

# Fantazmaty

tom II



Zdybska, Adwentowska, Laisen, Karnicka,  
Studniarek, Krzywik, Cuprjak, Nogal i inni

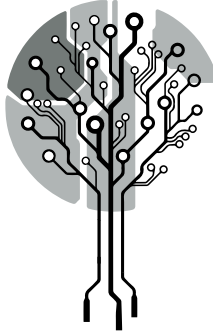




# **FANTAZMATY**

**Tom II**





---

# FANTAZMATY

Tom II

---

Kraków 2018

**Redaktor prowadzący:** Dawid Wiktorski

**Redakcja:** Anna Grzanek, Karolina Grzeszczak, Katarzyna Kozidrak, Aleksandra Miaskowska, Zuzanna Pikul, Izabela Ryżek, Łukasz Skoneczny, Magdalena Świerczek-Gryboś, Paulina Tomasiak, Dawid Wiktorski

**Korekta:** Aleksandra Buczyńska, Kinga Grodzka, Anna Grzanek, Milena Macul, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Michał Rymaszewski, Ilona Skrzypczak, Agata Tryka, Matylda Zatorska

**Druga korekta:** Alicja Tempłowicz

**Ilustracja na okładce:** Tomasz Ściolny, [https://www.artstation.com/niko\\_126](https://www.artstation.com/niko_126)

**Ilustracje:** „Budzenie zmarłych” – Jolanta Jaworska, „Bajka o głupim Jasiu”, „Imię” – Tomasz Ściolny, „Niezwykła kobieta” – Katarzyna Kaczmarek, „Ciemność i lustro” – Szymon Marciniak, „Zofia i korzenie” – Sonia Wojda-Wołkowycka, „Lot motyla” – Marek Gryboś, „Nagroda wojownika” – Maria Krzywda, „Dziewczyny-maliny” – Alicja Tempłowicz

**Projekt typograficzny:** Kamila Dankowska

**Skład i łamanie:** Kamila Dankowska

**Kontakt:** kontakt@fantazmaty.pl

**ISBN:**

epub: 978-83-66058-10-1

mobi: 978-83-66058-11-8

PDF: 978-83-66058-12-5

Oprawa miękka: 978-83-66058-09-5



Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa

**Użycie niekomercyjne** – Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe.

Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie utworu w dowolnym medium i formie.

**Uznanie autorstwa** – utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać, jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla Ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

**Użycie niekomercyjne** – nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych.

**Bez utworów zależnych** – remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

PATRONAT:



Fantastyka







# SPIS TREŚCI

<b>Przedmowa</b>	11
<b>Baśń o Łowcy</b>	13
Marcin Moń	
<b>Iskra z Edry</b>	27
Maria Zdybska	
<b>Dom</b>	53
Anna Hrycyszyn	
<b>Budzenie zmarłych</b>	69
Filip Laskowski	
<b>Bajka o głupim Jasiu</b>	99
Anna Grzanek	
<b>Niezwykła kobieta</b>	123
Dagmara Adwentowska	
<b>Nedd</b>	143
Daniel Nogal	
<b>Imię</b>	155
Maciej Oleszek	

**Jam Jest** \_\_\_\_\_ 177

Michał Sobociński

**Ciemność i lustro** \_\_\_\_\_ 195

Artur Laisen

**Zofia i korzenie** \_\_\_\_\_ 233

Anna Karnicka

**Lot motyla** \_\_\_\_\_ 243

Magdalena Świerczek-Gryboś

**Topiel** \_\_\_\_\_ 267

Natalia Wójcik

**Rękojeść z masy perłowej** \_\_\_\_\_ 293

Maciej Musialik

**Czarna mewa** \_\_\_\_\_ 309

Wojciech Boratyński

**Nagroda wojownika** \_\_\_\_\_ 361

Sylwia Finklińska

**Dziewczyny-maliny** \_\_\_\_\_ 375

Rafał Cuprjak

**Zdrada w Schiverheim** \_\_\_\_\_ 387

Łukasz Trykowski

**Dziewczyna z chlebem** \_\_\_\_\_ 415

Michał Studniarek

**Incydent helenowski** \_\_\_\_\_ 433

Tomasz Krzywik

## PRZEDMOWA

Prace nad pierwszym tomem „Fantazmatów” rozpoczęliśmy półtora roku temu. Sądziliśmy wtedy, że to jednorazowe przedsięwzięcie. Oł, fanaberia małej grupy, która chciała stworzyć coś nowego, świeżego. Naszym celem było pokazanie światu wartościowej polskiej fantastyki i... dobra zabawa.

Okazało się, że zabawa jest zbyt dobra, a pomysłów i propozycji zbyt wiele, żeby przestać.

W jakiś niewytłumaczalny dla mnie sposób w ciągu kilkunastu miesięcy rozpędziliśmy się tak, że lada dzień nasze plany będą sięgały dwa lata do przodu. Nad samymi tekstami pracuje obecnie kilkadziesiąt osób, a przecież mamy jeszcze osoby od ilustrowania, składu, marketingu czy strony. Nigdy nie czyniłem planów tak śmiałych, by zakładać, że uda mi się zebrać pod jednym szyldem tylu zapaleńców i miłośników fantastyki. O ich entuzjazmie najlepiej świadczy fakt, że zacząłem się bać sytuacji, w której... zabraknie nam tekstów. „Fantazmaty. Tom I” zostały przyjęte zaskakująco ciepło i entuzjastycznie – to naprawdę motywowało i wyznaczało wielomiesięczny wysiłek.

Sądzę, że czeka nas co najmniej kilka wspólnych lat, które będą obfitowały w kolejne antologie. Odbieramy zgłoszenia od kolejnych autorów, którzy oferują teksty lub całe pomysły na osobne przedsięwzięcia – mamy z czego wybierać.

Pozostaje mi podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do powstania trzeciego projektu pod logo Fantazmatów – świetna robota!

Już kończę – przecież przybyłeś tu, drogi Czytelniku, by poznać kolejne fantastyczne historie, które dla Ciebie przygotowaliśmy. Cóż zatem rzec? Baw się dobrze!

**Dawid „Fenrir” Wiktorski**

## **Projekt Fantazmaty tworzony jest także przez:**

**Redaktorzy:** Magda Brumirska-Zielińska, Justyna Dąbrowska, Sylwester Gdela, Karolina Grzeszczak, Magdalena Kozłowska, Aleksandra Miaskowska, Izabela Palińska, Michał Pięta, Zuzanna Pikul, Anna Rozenberg, Łukasz Skoneczny, Magdalena Świerczek-Gryboś, Alicja Tempłowicz, Paulina Tomasik, Agata Tryka

**Korektorzy:** Aleksandra Buczyńska, Justyna Dąbrowska, Kinga Grodzka, Karolina Grzeszczak, Milena Macul, Alicja Podkalicka, Kaja Pudełko, Anna Rozenberg, Michał Rymaszewski, Ilona Skrzypczak, Dominika Świątkowska, Alicja Tempłowicz, Agata Tryka, Matylda Zatorska, Magda Żurawska

**Weryfikatorzy:** Anita Brzozowiec, Agnieszka Chodkiewicz, Mariusz Flejszar, Eliza Gościniak, Mateusz Kempa, Damian Lupa, Marcin Majchrzak, Alicja Makowska, Jakub Moroński, Adam Otfinowski, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Aleksandra Smoczyńska, Łukasz Skoneczny, Damian Szandecki, Magdalena Świerczek-Gryboś, Anna Twarowska, Natalia Wilczyńska, Joanna Zajęc

**Recenzenci:** Agnieszka Chodkiewicz, Magdalena Czarnecka, Magdalena Drysiak, Anna Flaszka-Szydlik, Eliza Gościniak, Szymon Góraj, Ewa Iwaniec, Patryk Janczur, Mateusz Kempa, Maria Kubiak, Alicja Makowska, Anna Minge, Beata Mróz, Adam Otfinowski, Magdalena Piniak, Anna Sikorska, Patrycja Smaga, Damian Szandecki, Magdalena Świerczek-Gryboś, Dagmara Trembicka-Brzozowska, Anna Twarowska, Natalia Wilczyńska, Agata Włodarczyk

**Marketing:** Magdalena Drzewiecka, Sylwester Gdela, Patryk Janczur, Maria Kubiak, Dennis Latzke, Aleksandra Piwowarczyk, Dagmara Trembicka-Brzozowska

**Graficy:** Jacek Łukawski, Dorota Wieluńska

**Strona:** Artur Głowczyński, Sebastian Zarębski

# BAŚŃ O ŁOWCY

Marcin Moń

Działo się to w czasach, gdy świat był już bardzo stary. Kiedy nikt nie pamiętał nawet, że przecinająca niebo wstęga Pierścienia była niegdyś Księżycem. Kiedy wymarły języki, w jakich opowiadano legendy o Pierwszych Ludziach. Kiedy przestały rodzić się kolejne cywilizacje, które – jedna po drugiej – władały planetą i odkrywały sekrety swych poprzedniczek, by potem udławić się nimi, upaść z hukiem i niczym niesforne dzieci zostawić po sobie porzrzucone zabawki.

Jedną z takich porzuconych zabawek był Łowca, choć wcale tak o sobie nie myślał.

Spał przez stulecia, śniąc o ciepłe słońca i chłodzie nocy, aż wreszcie pewnego poranka zbudził się do życia ze świadomością, że jest niekompletny. Zebrał się w sobie, a drobiny z chrzęstem na nowo uformowały jego ciało – jak rozpadającą się rzeźbę z piasku, tylko odwrotnie. Czuł wyrwy w pamięci – pewnie przez to, że część tworzących go drobin nie miała sił po raz kolejny się przebudzić. Przez chwilę zmieniał kształty i falował niepewnie, z lekką obawą oceniając straty. Raz był kałużą, raz kolczastą kulą, raz kwiatem z ruchomymi wiciami zamiast słupków. Aż w końcu przybrał formę pierwszej rzeczy, jaka przysła mu na myśl.

Człowieka.

Swojej zwierzyny.

Od tamtego dnia Łowca szukał ludzi. Tak nakazywał mu instynkt drapieżcy, pierwsze i najważniejsze przykazanie wyryte głęboko w jego umyśle. Jednak na płaskowyżu, gdzie się przebudził, nie było nikogo. Żadnych śladów obecności człowieka, nic, tylko wysoka po pas trawa porastająca pagórki o dziwnych kształtach. I tak oto, chcąc nie chcąc, Łowca stał się wędrowcem. Przez tysiące cykli dobowych przemierzał świat wzdłuż i wszerz. Od poznaczonych ogromnymi jak jeziora lejami równin Pobojobowiska, po usłaną lśniącymi okruciami Pustynię Kryształową. Od ostrych niczym skalpele i czarnych jak obsydian Klifów Żyłekowych, aż po koncentryczne wybrzeża Morza Spiralnego.

Oczywiście nikt nie nauczył Łowcy tych nazw. Sam nadawał imiona miejscom i rzeczom. Pomagało mu to w katalogowaniu informacji o świecie i o upadłych ludzkich cywilizacjach. Obserwował otoczenie i zapamiętywał wszystko. Nie mogąc zobaczyć czy usłyszeć ludzi, nie mogąc nawet zwęszyć ich kodu genetycznego ani wyczuć ciepłoty ich ciał, postawił sobie za cel zgromadzenie jak największej wiedzy o nich. Pragnął poznać swoją zwierzynę, zrozumieć ją i móc przewidywać jej ruchy, żeby – tak jak myszołów – zawsze wiedzieć, gdzie należy szukać gryzoni i jakich zachowań się po nich spodziewać. Parametry fizyczne człowieka znał doskonale i był absolutnie niezdolny do ich zapomnienia – chyba że przestałby być Łowcą, a stał się kupką dziwnego, szarego piasku – jednak inne aspekty ludzkiego życia pozostawały dla niego tajemnicą.

Gdzie się chowali? Żyli w grupach czy samotnie? Jakimi mieli nadrzędne i instrumentalne cele? Jakimi zasoby wykorzystywali do przeżycia i gdzie one występowały? A w chwilach egzystencjalnego kryzysu zastanawiał się nawet: co, jeśli ludzi już nie ma?

To pytanie przerażało go najbardziej, bo czymże byłby Łowca bez zwierzyny?

Na pierwsze ślady ich obecności natrafił tysiąc dwieście dwunastego dnia swojej wędrówki. Coś drgnęło w jego pamięci na widok brudnobiałych, porośniętych mchem i liszajami porostów kopuł.

„Miasto”.

Mogło liczyć sobie sto albo i tysiąc lat, ale przynajmniej miał pewność, że ludzie istnieli naprawdę. Od tamtego dnia coraz częściej znajdował oraz badał ruiny, relikty i artefakty. Jedne znaleziska były niewielkie, jak gładkie i opalizujące w paśmie ultrafioletowym drobiazgi, których przeznaczenia nie znał, a które doskonale leżały w jego dłoni, gdy uformował z drobin ludzką rękę. Inne z kolei przytłaczały swym ogromem, jak Odwrócone Miasto, które górowało nad Łowcą, bodąc ziemię ostrymi iglicami. Wyglądało, jakby spadło z nieba i być może tak właśnie było. Jeszcze inne znaleziska okazywały się dla niego zupełnie niezrozumiałe, jak choćby Ażurowe Wykwity. Gąbczaste, nieregularne struktury stanowiły dziwną płataninę korytarzy i okrągłych komór. Łowca penetrował je pod postacią ogromnego pająka i wciskał się w zakamarki w formie węża, aż w końcu stwierdził, że cokolwiek tam żyło – jeśli w ogóle coś tam kiedyś mieszkało – z pewnością nie było człowiekiem.

Wędrował, obserwował i uczył się. Znajdował „narzędzia”, odszyfrowywał „pismo”, badał „szczątki zmarłych”. Nie musiał spać ani odpoczywać, ale śnił bezustannie, wciąż o jednym i tym samym, pod powierzchnią swojej świadomości, w żyjących własnym życiem głębinach umysłu, gdzie mógł czasem zagłębiać jak w toń pod taflą jeziora. Powoli, w miarę kolejnych odkryć, obraz człowieka nabierał w jego wyobraźni realnych kształtów. Ręce dzierżące narzędzia zagłady, władające grawitacją i naginające czasoprzestrzeń do swojej woli. Oczy, które pomimo swych ograniczeń dostrzegały więcej niż maszyna. Ciało – choć zwodniczo miękkie i delikatne – obdarzone zdolnością wydawania potomstwa, przez którą ludzie jako gatunek stawali się wieczni niczym siły natury.

Groźny, nieprzewidywalny organizm, najosobliwszy ze wszystkich.  
Zwierzyna godna Łowcy.

Pewnego wieczoru wędrował skrajem Pobojobowiska. Słońce zanurkowało już pod łuk Pierścienia i niemal całkiem znikło za zachodnim horyzontem, podczas gdy niebo na wschodzie nasiąkało odcieniami granatu, ukazując pierwsze gwiazdy. Miejsce to nazywał Menażerią; mijał je parokrotnie, ale nigdy nie zbadał go tak szczegółowo, jak by chciał. Tu i ówdzie wznosiły się dziwne, organiczne kształty, które mogły być

wrakami pojazdów, szkieletami monstrualnych istot albo czymś pomiędzy. Zagłębienia terenu wypełniała zaś gęsta, czarna, połyskliwa ciecz, która – odkąd sięgał pamięcią – nigdy nie parowała ani nie wsiąkała w glebę. Pod postacią pół węża, pół człowieka prześlizgiwał się po jej nienewtonowskich kałużach niczym poduszkowiec.

I wtedy nagle coś go tknęło. Coś nie zgadzało się w jego wewnętrznej narracji, coś zbulgotało niepokojąco pod powierzchnią świadomości.

Ominął jakiś istotny szczegół.

Zatrzymał się. W przeciwieństwie do ludzi nie posiadał oczu i chłonał świat całym swoim ciałem, więc po prostu skupił uwagę na widoku za plecami. W paśmie od głębokiej podczerwieni po ultrafiolet widział tylko płaski i pusty skrawek terenu, a dalej – brzeg czarnej sadzawki, po której powierzchni ślizgał się przed chwilą.

Cofnął się, z idealną precyzją powtarzając wszystkie swoje ostatnie ruchy w odwrotnej kolejności. I znowu to samo – nieprzyjemny dysonans.

16 Błyskawicznie utworzył w umyśle mapę topograficzną terenu, po czym ostrożnie znów ruszył przed siebie, bardzo powoli. Tym razem dostrzegł – niewielkie przesunięcie naprzód, tak subtelne, że umysł przechodził nad nim do porządku dziennego. Cofnął się jeszcze wolniej, w tempie żywicy ciekącej po pniu, analizując każdy najmniejszy ruch drobinek swego ciała. W pewnym momencie to poczuł – zawieszoną w powietrzu sferę. Niewidzialna, twarda i niewyobrażalnie masywna, rozgarniała jego drobiny jak miniaturowa zaginająca czasoprzestrzeń osobliwość.

Przez dłuższą chwilę oceniał sytuację i zastanawiał się, co robić. Dotychczas nie zetknął się z czymś tak potężnym. Co ciekawsze, anomalia była zapewne ludzkiego pochodzenia, bo, o ile wiedział, tylko oni potrafili stworzyć coś takiego. Mogła stanowić reliktd, broń, nieudany eksperyment, cokolwiek. Natłok myśli i hipotez stawał się nie do wytrzymania.

Wreszcie jego uwaga skupiła się na kałuży. Była to nienewtonowska ciecz o zmiennej lepkości. Wiedział, że gdy uderzy się w nią mocno, zachowuje się jak ciało stałe, natomiast przy delikatnym dotyku reaguje jak płyn. „Nie zaszkodzi spróbować” – taką zasadą zdawali się kierować



ludzie, choć skutki bywały dalece odmienne od pożądaných. Przez jakiś czas rozważał jeszcze wszelkie za i przeciw.

Mimo wszystko zdecydował się na eksperyment.

Tym razem zbliżył się do anomalii naprawdę powoli. Słońce wzeszło i zaszło, zanim choćby musnął jej skraj. Poczuł, jak pierwsze drobiny rozpływają się na boki, rozsuwane przez niewidoczną sferę, więc zwolnił jeszcze bardziej, do prędkości, z jaką przemieszczają się kontynenty. Zamigotał stroboskop dni i nocy, deszcz chlusnął i natychmiast wyparował. Nadeszła astronomiczna zima, ciemność zdominowała światło, a konstelacje na nocnym niebie obracały się z wolna w miarę upływu dni i tygodni.

Był cierpliwym Łowcą.

Aż wreszcie poczuł, jak ciężka niczym gwiazda neutronowa sfera daje się oszukać. Pierwsze drobiny wniknęły do niej, tworząc maleńką wyrwę w polu grawitacyjnym. Łowca natychmiast przywrócił subiektywny upływ czasu do normalnego tempa, po czym trysnął do środka jak ciecz z przedziurawionej rury i wlał się do sfery.

Od wewnątrz była większa, wręcz ogromna. Miała pewnie kilka kilometrów średnicy. Jej brzegi tworzyła matowa, półprzezroczysta bańka wibrująca jak powietrze w upalny dzień. Za jej granicami dało się dostrzec poszarzały, rozmyty i zniekształcony obraz Pobjowiska. Zaś pośrodku sfery rozrastało się... coś. Łowca zamarł, usiłując dopasować to, co widział, do poznanych już wzorców.

62% dopasowania do etykiety „miasto”.

21% dopasowania do etykiety „las”.

17% dopasowania do etykiety „ruiny”.

Organiczne, łagodne kształty ustawionych w krąg budowli wznosiły się na kilkanaście metrów w górę i na podobieństwo korzeni drzew zdawały się wrastać w ziemię. Szybki skan ujawnił, że te ściany żyły. Pomiędzy kosmatymi od mchu murami biegły wąskie, podobne do leśnych wąwozów uliczki.

Nasłuchiwał przez chwilę. Brak odgłosów był nie tyle ciszą, co nie-naturalną akustyczną wyrwą. Czyżby jakaś technologia wytłumiająca

dźwięki? Rozpląszczył się na ziemi i badawczo wypuścił wokół siebie cienkie macki. I wtedy wzęszyl ofiarę. Sygnatura genetyczna pasowała niemal idealnie.

98% dopasowania do etykiety „człowiek”.

Tryb najwyższej gotowości aktywowany.

Musieli tu być jeszcze niedawno, może nawet przed chwilą. Włączył kamuflaż optyczny, po czym ruszył między budynki, przywierając płasko do ścian i pełnząc nieregularnymi ruchami jak cień szarpanej przez wiatr gałęzi.

Już zaraz miał ich spotkać. Już zaraz miał spełnić swoje przeznaczenie. A kiedy znalazł się na skrzyżowaniu dwóch wąskich uliczek, nagle wyrośli jak spod ziemi. Czterech ludzi z czterech stron świata.

Tryb bojowy aktywowany.

Czas zwolnił; zmysły Łowcy wyostrzyły się, a instynkt drapieżcy przejął kontrolę nad ciałem. Osaczali go. W rękach ściskali broń podobną do włóczni o skrzęcych się grotach błyskających łukami wyładowań elektrycznych. Umysł Łowcy eksplodował milionem kalkulacji. W jego wyobraźni już powstawał plan działania. Wiedział, co zrobi. Najpierw wystrzelił mackę w krtań tego od północy. W tym samym momencie sprężyste odbije się od ściany, przyjmie kształt sopła i oddzieli ostry, rozprędzony niemal do prędkości dźwięku wierzchołek – małeńki fragment siebie – wymierzony w pierś tego od strony wschodu. Kiedy pocisk będzie jeszcze w locie, Łowca natychmiast zmieni kierunek, zaczepiając drugą macką o ukośną, gałęziokształtną przyporę. Wykorzysta pęd, by dwiema przekształconymi w ostrza kończynami rozplatać tego w południowej uliczce. Zostanie jeszcze czwarty...

Upłynęło zaledwie piętnaście setnych sekundy, gdy nagle Łowca uświadomił sobie, że wahał się o piętnaście setnych sekundy za długo. I że od samego początku nie miał szans. Sylwetki ludzi rozmazały się jak rozprędzone pociski i zniknęły. A potem zapadła ciemność.



*Nie wolno nam tego zrobić. Ta istota jest samoświadoma.*

*Czuł, że ma kształt zbliżony do walca.*

*I cholernie niebezpieczna. Gdybyśmy spotkali coś takiego poza sferą...*

Nic nie widział. Ze wszystkich stron otaczało go żelazo, miejscami utlenione.

*Podłączenie do introspektora i tak go pewnie zabije, więc lepiej go od razu, no wiesz...*

Wlali go do jakiegoś zardzewiałego pojemnika jak pospolitą deszczówkę. Poczują złość. Spróbował przybrać inny kształt i się uwolnić. Nic z tego. Był bezwładny. Jak piasek, jak bezwolna ciecz.

*Chociaż spróbujmy. Proszę.*



Seria błysków i dziwnych sprzężeń zwrotnych.

Spektrum barw strzelające aż po promienie gamma, zapach słońca, smak księżycy...? Litania komunikatów o błędach.

Rozpad ciała na pojedyncze drobiny. Podszepty umysłu, że upłynął milion lat i Łowca już dawno się zepsuł.

Wreszcie – po pozornie nieskończonym okresie dryfowania w chaotycznej otchłani absurdalnych doznań – rzeczywistość zdecydowała się, czym chce być. Łowca runął w czarną przepaść w kierunku maleńkiego punkciku. Plamka urosła do rozmiarów kafelka, a ten do rozmiarów ogromnej, kwadratowej platformy, z której wyrastały kilometry ścian układających się w zawiłe korytarze. Łowca spadł na środek labiryntu rozpędzony jak meteor i rozbryznął się o kamienną posadzkę.

– Wybacz, jeśli sekwencja rozruchowa była dla ciebie nieprzyjemna – rozległ się dźwięczny głos.

Łowca powoli skupił drobiny w jedną całość. Chciał znów poczuć gniew, chciał dać się ponieść szałowi trybu bojowego, ale nie potrafił. Był spokojny jak zawsze. Ułożył się w obły, podłużny kształt, usiłując namierzyć źródło dźwięku.

– Jeszcze nigdy nie testowaliśmy tego urządzenia na istocie innej niż człowiek. Potrzebowało trochę czasu, by dostroić się do twojego umysłu. I chyba wzajemnie.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że rozumie ludzką mowę. Już wcześniej wiedział, że te istoty tradycyjnie komunikowały się za pomocą fal akustycznych, ale dopiero teraz pojął, jakie to uczucie słyszeć czyjś głos.

– Skoro mowa o twoim umyśle... Co za potworne miejsce, nie uważasz? – dodał z rozbawieniem bezcielesny głos. – Człowiek czuje się tu... osaczony. Chyba nie powinno mnie to dziwić.

Ściany otoczonego atramentową pustką labiryntu pokrywały płaskorzeźby. Setki, tysiące, może miliony wypukłych reliefów ludzkich twarzy, małych i dużych, wykrzywionych we wszystkich anatomicznie możliwych grymasach: gniewu, ekstazy, rozpacz, bólu, znużenia, zaciekawienia, odrazy, frustracji...

W umyśle kłębiły mu się nowe słowa i znaczenia.

Przyjął kształt bezskrzydłej osy, ale zamiast żuwaczek uformował usta i krtań.

– Kto...? Gdzie ja...? – wydusił z siebie chrapliwe słowa, które zabrzmiały jak syk przesypującego się piasku, bo w zasadzie tym właśnie były.

– Jestem Saylor, adept inżynierii i czternasty opiekun generatora osobliwości, a znajdujemy się, jak już wspomniałem, w twoim umyśle – oznajmił mężczyzna, który wyłonił się zza zakrętu korytarza. – Nie kłopotcz się...

Urwał. Łowca już był przy nim, już przyjmował formę pająka o długich odnóżach zakończonych ostrymi jak brzytwy kosami, którymi ciął i rąbał. Powietrze.

– ...bo i tak nie możesz mnie tu skrzywdzić.

Zafalował niepewnie. Spodziewał się, że ostrza przenikną przez ciało, nie wyrządzając mu najmniejszej krzywdy, ale i tak...

– Musiałem spróbować – wychrypiął.

– Wiem o tym. W tym cały problem. W twojej naturze.

Człowiek chciał rozmawiać. Łowca przyjrzał mu się uważniej. Wyglądał na młodego i niezbyt muskularnego, miał śniadą cerę, czarną czuprynę i wąskie dłonie o długich palcach. Młodość może oznaczać brak doświadczenia, a brak doświadczenia – błędy. Niech mu będzie. W końcu walczyć można nie tylko ostrzami.

– Pokonaliście mnie dzięki manipulacji czasem... tak? – zapytał Łowca.

Mężczyzna przytaknął.

– Generator osobliwości... To dzięki niemu się kryjecie? Zakrzywiacie czasoprzestrzeń?

– Nie byłoby mądrze z mojej strony, gdybym zdradził ci wszystkie nasze sekrety, prawda? – Saylon uśmiechnął się, co według wiedzy Łowcy mogło oznaczać drwinę, triumf, zadowolenie lub nawet sympatię, choć w to ostatnie wątpił.

– To znaczy, że nie chcecie mnie wyłączać.

– Nie, przynajmniej nie ja. Długo o tym dyskutowaliśmy. Niektórzy twardogłowi nie dawali się przekonać. – Mężczyzna westchnął i odwrócił się plecami do Łowcy, który znów poczuł pod powierzchnią świadomości pulsowanie instynktu. Niemądre posunięcie. Nigdy nie odwracaj się plecami do drapieźnika. Saylon jednak był tu, rzecz jasna, całkowicie bezpieczny, więc przez chwilę ignorował go, w zamyśleniu wodząc palcami po reliefie jednej z twarzy. Przedstawiona na nim dziewczyna wyglądała na smutną, jakby uzmysłowiła sobie, że nigdy nie zdoła wypełnić swojego nadrzędnego celu.

– Ale tu rodzi się problem – odezwał się wreszcie człowiek, ostatni raz pogłaskawszy kamienną dziewczynę po policzku. – Jeśli mamy cię nie wyłączać, to co w takim razie z tobą zrobić? Cóż, istnieją pewne opcje. Na szczęście zdajesz się dobrze reagować na indukcję psychoresponsywną.

– To te słowa i uczucia w moim umyśle – domyślił się Łowca.

– Tak – odparł smutno Saylon.

– Więc o jakich opcjach mówisz?

Saylon, zamiast odpowiedzieć, przez chwilę wpatrywał się w swojego więźnia. W umyśle Łowcy ciekawość zachowań zwierzyny ścierała

się z niższymi instynktami, które szeptały, by pozbył się ust i natychmiast zaczął uciekać. Nie podobał mu się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa. Gdyby to była walka, przegrywałby. Być może przegrał już w momencie, kiedy przekroczył granicę sfery ochronnej. Znów przybrał kształt kuli i zafalował, jak zawsze w chwili niepewności. Mimo wszystko musiał choćby spróbować przejąć inicjatywę. Z jego ciała wysunęły się ząbkowane ostrza.

– Gdybyśmy przebywali w prawdziwym świecie – syknął, chcąc wstrząsnąć człowiekiem i zmusić go do jakiejś reakcji – potrzebowałbym niecałych dwustu milisekund, żeby przeciąć ci co najmniej cztery arterie... a mimo to traktujesz mnie, jakbym należał do twojego gatunku.

Obawiał się, że przesadził, że prowokacja skłoni ludzi do uderzenia wyprzedzającego, ale tak się nie stało. Saylon nawet się nie skrzywił. Błąkający się na jego ustach uśmiech zrobił się jeszcze szerszy.

– Wiem, że mógłbyś mnie zabić w mgnieniu oka. Jesteś bojowym teratomorfem którejś z bardziej antropofobicznych cywilizacji Wielkiego Introdsusu. Zabijanie leży w twojej naturze. Jesteś myśliwym.

– Łowcą – powiedział Łowca, smakując to słowo. – Jestem Łowcą, a ty zwierzyną. Po co mnie tu trzymacie? Co chcecie mi zrobić?

Gdyby nie znał siebie lepiej, odniósłby wrażenie, że w jego głosie zabrzmiała nutka hysterii. Był więźniem tych stworzeń o miękkich tkankach i kruchych kościach, a oni najwyraźniej się go nie obawiali. Czyżby jednak zamierzali go wyłączyć? Ale w takim razie, czemu nie zrobili tego od razu?

– Urządzenie, z którym jesteś sprzężony... – Z ust Saylona wreszcie zniknął uśmiech. – Ono służy do leczenia ludzi. Do ich naprawiania. Widzisz, czasem w czyjejś naturze leży coś niezdrowego, co nie służy całemu miastu. Groźne albo szkodliwe instynkty. Źródło cierpienia. Introspektor pomaga takich ludzi wyleczyć. To nie my go stworzyliśmy. Jest spuścizną po minionych cywilizacjach, tak samo jak generator osobliwości, ale i jedno, i drugie pomaga nam przetrwać od wielu pokoleń. Pomaga wyleczyć...

– Nie!

Ostre jak żyłki wici cięły powietrze, nie czyniąc człowiekowi najmniejszej krzywdy.

– Polowanie na *Homo sapiens* uważasz za cel swojej egzystencji – mówił spokojnie Sylon. – Pojmuję to. Nawet szanuję, o ile to możliwe. Ale zrozum, że to jedyne wyjście. Alternatywą jest pełne unicestwienie twojego umysłu. A uwierz mi, że ten świat już dosyć naoglądał się bezsensownej śmierci.

– Nie!

Łowca zaczął miotać się na wszystkie strony, falując jak morze w czasie sztormu i siekając twarze na ścianach biczami macek.

– Wybór należy do ciebie – powiedział cicho Sylon. – Nie wytnę samowolnie tak dużego i fundamentalnego fragmentu ciebie. Zabijanie jest wgrane bardzo głęboko, stanowi rdzeń twojej tożsamości. Z wielkim trudem przekonałem pozostałych, żeby dali ci tę szansę, ale sam musisz podjąć decyzję. Przystań być Łowcą, a wtedy pozwolimy ci odejść.

*Przystać być Łowcą to jak umrzeć* – pomyślał. W tym dziwnym więzieniu pozostała mu tylko jedna broń.

– Nie rób tego. Proszę – syknął przymilnie Łowca, przyjmując kształt człowieka. – Błagam cię.

Znał znaczenie słowa „honor”, ale nie posiadał niczego takiego. Mógł błagać.

– Ja czuję i myślę – kontynuował.

Odczuwał emocje, ale w przeciwieństwie do ludzi, jego nie czyniły one słabym.

– Sam mówiłeś, że jestem samoświadomy – dodał, upodabniając swój wzrost i posturę do Sylona.

*Niech zobaczy siebie na moim miejscu.*

– Nie bierz mnie pod włos – prychnął człowiek. – Czemu tak bardzo ci zależy na chęci zabijania? Obecnie twój ośrodek nagrody zostanie pobudzony tylko po uśmierceniu jednego z nas. Ilu ludzi udało ci się znaleźć?

– Ani jednego – przyznał ponuro Łowca.

– To chyba nie takie proste jak kiedyś, prawda? Więc po co ci to niezaspokojenie? Możemy cię zmienić tak, jak zmieniliśmy dziesiątki osób przed tobą. Damy ci inny cel, łatwiejszy do zrealizowania.

Ale kim innym mógłby być Łowca? Badaczem? Wędrowcem? Poszukiwaczem Piękna? Może Obrońcą Ludzi? Żadna z tych tożsamości do niego nie pasowała.

– Nie chcę innego celu. Wolałbym już umrzeć.

– Ale jesteś uparty. Zaraz skończy nam się czas i tamci faktycznie każą cię wyłączyć. Zastanów się. Śmierć albo nowe życie. Będziesz szczęśliwy.

Łowca bał się. Bał się po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, ale ten strach dodawał mu sił, napędzał jego myśli.

– Wyobraź sobie – zaszumiał cicho – że role się odwróciły i to ja trzymam ciebie w tym labiryncie. Masz potomstwo?

– Mam córkę.

– Kochasz ją? – Łowca poczuł się dziwnie, zadając to pytanie.

– Tak.

– Wyobraź sobie, że proponuję ci „naprawę”. Bycie ojcem musi być takie wyczerpujące... Wykasuję twoje pozytywne uczucia wobec córki i przebuduję twój ośrodek przyjemności tak, żeby aktywował się na stałe po jej zabiciu. Wystarczy, że poderżniesz jej gardło i resztę swoich dni przeżyjesz w błogości i ekstazie. Zgadzasz się? Będiesz szczęśliwy – przedrzeźnił człowieka.

Saylon westchnął.

– Zrozumiałem. Więc jakie inne, sensowne rozwiązanie proponujesz?

Łowca zastanowił się. Wspomniał ostatnie lata. Wszystkie ruiny, szczątki i artefakty, jakie napotkał w trakcie wędrówek. Wszystkie cuda i dziwy. Świat pełen tajemnic i możliwości.

– Zabierz wszystko, co wam zagraża. Ostrza, refleks, co tylko zechcesz. Zostaw mi tylko moje „ja”. Chcę pamiętać, po co istnieję.

Człowiek milczał przez długą chwilę, a Łowca stał nieruchomo niczym kamienny posąg. Tylko jego skóra falowała niespokojnie, najeżona maleńkimi igiełkami.



– Zobaczą, co da się zrobić – oznajmił Saylon. – Mam nadzieję, że da ci to szczęście.

Widmo człowieka zniknęło. Rozpłynął się też labirynt. Powróciły zakłócenia, ale tylko na krótką chwilę, bo zaraz potem atramentowa czerń pochłonęła świadomość Łowcy.



Obudził się gdzieś daleko, na skraju Pobojojwiska i Kroczących Wydm. Słońce świeciło ostro, a ciało Łowcy rzucało na piach cień o znajomym humanoidalnym kształcie. Spróbował zmienić formę. Nic się nie stało – nadal miał ręce, nogi, tułów i głowę. Spróbował ponownie, wyężdżając całą wolę. Może to błąd. Może drobiny jeszcze nie doszły do siebie po spotkaniu z introspektorem...

Zajrzał w głąb siebie i zrozumiał. Mężczyzna imieniem Saylon dotrzymał danego słowa tak ściśle, jak tylko mógł, ale jednak musiał dotknąć samego rdzenia jestestwa Łowcy, jego najbardziej fundamentalnego oprogramowania.

Nie potrafił zmieniać kształtu.

Nie miał więcej siły niż ludzkie dziecko.

Poruszał się wolno i ociężale, jak gdyby oblepiała go gruba warstwa smoły.

Od teraz był Okaleczonym Łowcą.

Rozejrzał się. Na północnym zachodzie wznosiły się sine trójkąty gór, a na wschodnim horyzoncie lśniło morze. Wciąż miał w głowie mapę świata, którą tworzył w trakcie wędrówek. Widniały na niej ogromne pola białych plam. Postawił więc jedną stopę przed drugą, a potem drugą przed pierwszą i tak dalej, i dalej, w kierunku najbliższego niezbadanego terytorium. Nie pozbawili go wszak umysłu, a wraz z nim pozostawili cel. Drobiny Okaleczonego Łowcy były długowieczne niczym góry i oceany, dysponował więc też czasem, by do tego celu dążyć. O tak, czasu miał pod dostatkiem. Jeśli nie ulegnie awarii, czekały go całe milenia wędrówki. Może kiedyś natrafi na porzucony introspektor albo inne urządzenie,

które zdejmie z niego klątwę kalectwa. Może naprawi inny bojowy konstrukt, z pomocą którego odnajdzie i unicestwi wszystkich ludzi. A może po prostu jakimś niewyobrażalnym zbiegiem okoliczności pewnego dnia znajdzie chorego lub rannego człowieka i zdoła udusić go swymi słabymi, ludzkimi rękami? Rozmarzony, przyspieszył kroku.

Powiadają, że Okaleczony Łowca nadal wędruje i gromadzi wiedzę, odkrywa artefakty, bada ruiny, a pod powierzchnią świadomości śni o morzu ludzkiej krwi. Powoli umiera, zużywając się jego drobiny, ale ma ich jeszcze mnóstwo. Podobno bez wytchnienia przemierza świat i będzie go przemierzał do chwili, gdy nie zostanie z niego ani jedno ziarnko piasku.

## **Marcin Moń**

Z wykształcenia lingwista, z zawodu tłumacz, od kilku lat zajmujący się głównie przekładem literatury fantastycznej. W 2009 roku debiutował opowiadaniem „Drugi głos” w „Magazynie Fantastycznym”.

Swoje opowiadania publikował również w: „Creatio Fantastica”, „Qfancie”, „Smokopolitanie”, „Silmarisie” oraz „Szortalu na Wynos”. Jako osoba dotknięta syndromem kompulsywnej kreatywności próbował swoich sił w niemal każdej formie sztuki, z jaką się zetknął. Choć literatura towarzyszyła mu niemal od zawsze, eksperymentował też (z różnym skutkiem) z kręceniem filmów, scenariopisarstwem, rysunkiem, grafiką komputerową, sztuką fraktalną oraz tworzeniem muzyki. Twórca projektu muzycznego „Angular Dreams”, ma na koncie dwa albumy z nurtu dark ambient.

# ISKRA Z EDRY

Maria Zdybska

Nigdy nie była w pełni świadoma, podobnie jak nigdy nie zapadała do końca w sen.

Powieki Kastii drgnęły, gdy promień gasnącego słońca przedarł się przez zasłonę. Rozmyte kontury postaci zmieniały się w na wpół realne, rozedrgane cienie, jeszcze bardziej niż zwykle utrudniając rozróżnienie dwóch światów.

Stłumiła ziewnięcie i poruszyła się, bezskutecznie szukając wygodnej pozycji na twardym, kamiennym tronie. Pulsujący w skroniach ból przybrał na sile.

– Poselstwo z Aggarty – w niskim kobiecym głosie brzmiała niewypowiedziana nagana. Obrzydzona Midrid, Druga Wieszczka Świątyni, zrobiła krok nad kłębowiskiem wijących się wokół tronu węży, ostrożnie schylając się po przewrócony ceremonialny kielich. Na wypolerowanej kolanami pątników mozaice resztki czerwonego płynu wyglądały jak porzucana róża. Naczynie musiało wypaść z rąk Kastii podczas ostatniej wizji.

*Jeszcze tylko godzina i słońce zniknie za szczytami Tangerynu* – przypomniała sobie z ulgą, zmuszając się do skupienia uwagi na kolejnym pątniku. *Jeszcze tylko ten człowiek.*

Za muślinową zasłoną majaczyła sylwetka wysokiego mężczyzny. Wkrótce wyłonił się z niewyraźnej mieszanki ludzkich i zwierzęcych

konturów nieustannie przenikających się za granicą półprzezroczystych tkanin.

Kastia zacisnęła drżące dłonie na krawędzi tronu. Zimny kamień dawał uludę kontaktu z rzeczywistością. Odkąd sięgała pamięcią, niebezpiecznie balansowała na cienkiej granicy rozdzielającej śnienie od rzeczywistości, dzień od nocy, życie od śmierci. Coraz częściej nie była pewna, do którego świata należy.

Nieznajomy był jednak prawdziwy. Miał w sobie krew. Wyczuła to wyraźnie, gdy podszedł zdecydowanym krokiem i zatrzymał się stanowczo zbyt blisko naos, najświętszego miejsca. Nie padł na kolana, tylko uklonił się jakby od niechcienia, przez cały czas uparcie patrząc Kastii w oczy. Było w nim coś bezczelnego. Robił wrażenie człowieka nieprzywykłego do oddawania należnej czci. W jego zdecydowanych ruchach, w nonszalanckim sposobie, w jaki zatknął kciuki za obszyty metalowymi płytkami pas i w bluźnierczo wyzywającym tonie rozmowy z najwyższym kapłanem Aszi Firuzem kryła się zapowiedź niebezpieczeństwa, która postawiła wszystkie zmysły Kastii na baczność.

Zdumiona uniosła brwi. Dawno nie widziała kogoś tak zdeterminowanego. Ludzie przed obliczem Wyroczni zwykli tracić rezon, kajać się, jękać, gubić myśli. Węże wokół tronu wiły się z narastającym niepokojem. Ich złowrogi syk brzmiał jak ostrzeżenie. Mgliste, skrzydlate postacie górskich duchów oderwały się od pokrytych świętymi inskrypcjami ścian, z ożywieniem przyglądając się posłowi i czwórce towarzyszących mu Aggartczyków.

– Asza Kastia, Śniąca Wyrocznia, Usta Bogów, wysłucha twojego pytania, przybyszu. Uklęknij przed obliczem Czystej i wypowiedz swoje imię – zadekłamował Firuz. Odczekał chwilę, odchrząknął nieznacznie i, słabo ukrywając odrazę, powtórzył zwyczajową inkantację w Vattan, prymitywnej mowie nizinnych ludów.

Kastia przechyliła głowę. Jej ulubieniec, jadowity biały żmij z solnej pustyni, oplótł zaborczo jej ramię i przywarł do obnażonego obojczyka, wyczuwając nerwowe podekscytowanie swojej pani. Chwile, gdy ktoś naruszał prastary świątynny ceremoniał, były zawsze mile widzianą odmianą.

– Dagan z Aggarty. – Przybysz ponownie skinął sztywno głową, ale zignorował nakaz ukłęknięcia przed naos. – Przybywam na polecenie króla królów, Sargona, Niezwycięzonego Szachinszacha, niech błogosławione słońce zawsze oświetla jego ścieżki, a wszechwidzący księżyc strzeże jego snu. Przybywam do Yadan na ratunek Śniącej Wyrocni.

W jego szorstkim głosie brzmiała zarazem groźba i przestroga. Kastia przez chwilę patrzyła mu badawczo w oczy, daremnie szukając oznak kłamstwa lub szaleństwa. Firuz chrząknął z niezadowoleniem i zaczął niechętnie tłumaczyć słowa posła na świętą mowę. Dagan nie dał mu jednak dokończyć, bez zawahania chwycił niewielki, złoty nożyk z tacy Midrid i sprawnym ruchem przeciął skórę od wewnętrznej strony dłoni do nadgarstka.

Midrid krzyknęła słabo. Taca i kielich potoczyły się z brzękiem po posadzce. Kapłan zatrzymał się wpół słowa i zaczął ostro besztać niecierpliwego przybysza.

Dla Kastii było już za późno. Odurzona, patrzyła na sączącą się powoli krew Dagona. Kropla po kropli czerwony płyn plamił turkusową mozaikę. Kropla po kropli serce Kastii zwalniało rytm. Midrid padła na klęczki i niezdarnie podstawiła kielich pod zraniony nadgarstek przybysza, bezskutecznie usiłując zebrać płynącą krew. Kap, kap... Wkrótce jej twarz stała się miękka, łagodna, niewyraźna. Tuż obok milczący zakapturzony starzec przyglądał się zabiegom Wieszczy, ponuro kręcąc głową. Kap, kap... W jego pustych oczodołach czaił się złowrogi mrok, który żarłocznie wchłonął wszystkich i wszystko wokół. Ciemność pachniała świeżą krwią.

Wizja przyszła nagle i z siłą, na jaką Kastia nie była przygotowana. Z początku nie rozumiała, co się dzieje. Nawet nie zdążyła przecież wypić ofiary, Firuz nie odmówił inkantacji.

*To nie tak, wszystko nie tak!*

Miała ochotę krzyknąć, ale sprzeciw otumanionego umysłu był zbyt słaby, by powstrzymać chaotyczny korowód postaci i obrazów, które bez zapowiedzi wyłoniły się z krwistego mroku, przeszywając serce Wyrocni obezwładniającym bólem.

Śmierć. Wszystkie wizje tak się zaczynały. Za każdym przeklętym razem Kastia doświadczała bólu i agonii konających. Aszi Firuz i Kapłanki Matki, które ją wychowały, Wieszczyki wszystkich rang, nawet zwykli szafarze usługujący w świątyniach – wszyscy bez wyjątku powtarzali uparcie, że z czasem się przyzwyczai, że przestanie tak mocno czuć, że to minie. Łgarze! Przy każdej kolejnej wizji Kastia umierała na nowo, przeżywając ostateczny ból tych, których krew piła. Ból, którego oni sami jeszcze nie zaznali.

Wzięła głęboki oddech niczym przed zatopieniem się w morskiej głębinie. Wydarzenia z życia Dagana zaczęły odtwarzać się w odwrotnej kolejności, z ogromną prędkością przenosząc wszystkie zmysły Wyroczeni z miejsca na miejsce, z przyszłości, coraz dalej i głębiej, aż do bieżącego dnia.

*Tyle bólu, tyle krwi...* – pomyślała, tracąc dech. Płuca paliły ją żywym ogniem. Twarze osób, które pojawiły się w życiu posła z Aggarty wirowały teraz wokół niej, szepcząc, nalegając, krzycząc. Nie potrafiła zrozumieć ich nagłych słów. Kakofonia głosów zaczynała ją coraz bardziej otumaniać, wypierając resztki zdrowego rozsądku. Kastia zacisnęła palce na zimnej krawędzi wieszczonego tronu.

*Nie zadał pytania. O nic nie pytał!* – uświadomiła sobie nagle ze strachem. Wizja nie mogła się skończyć, dopóki Kastia nie znalazła odpowiedzi. Kolejne obrazy ludzi i zwierząt, bezkresnej pustyni, zielonych miast, czerwonych gór, dziwacznych, ośmionogich wierzchowców i zamaskowanych wojowników osaczały ją coraz ciaśniejszym kręgiem. Chciała krzyczeć o pomoc, powstrzymać jakoś ten obłęd, gdy nagle zniechęciła z przerażenia, dostrzegając wśród przyszłych wspomnień posła znane sobie postacie, białe mury Yadan, a w końcu własną, bladą ze strachu twarz.

– Obudź się!

Szorstki głos przywrócił ją do zmysłów. Ktoś szarpał ją za ramiona. Początkowo niewyraźne rysy nieprzyjaznej, ogorzalej pustynnym wiatrem twarzy wyostrzyły się dopiero po chwili. Zimne jak stal oczy zapowiadały niebezpieczeństwo i coś jeszcze. Coś, czego Kastia dotąd nie знаła. Przyszłość, której bogowie wciąż przed nią nie odkryli.

Święte węże rozpierchły się, zaś biały solny żmij strachliwie skrył się w misternych splotach jej włosów. Kastia, wciąż nie rozumiejąc, rozejrzała się dookoła. Spłoszone skrzydlate górskie demony przywarły do ścian, Firuz szarpał się z Aggartczykami, Midrid i pozostałe wieszczki zawodziły histerycznie, a sala audiencyjna zaczęła szybko wypełniać się uzbrojonymi szafarzami. Zaślada świątyni miała jednak dopiero nastać.

Dagan chwycił ją mocno w tali i unióśł z nieoczekiwaną łatwością, ignorując krzyki i chaos, jaki rozpętał się wokół. Pośród szaleństwa świątyni jego głos zabrzmiał prawie rozsądnie:

– Musimy uciekać!



Kastii trudno było ocenić, co dokładnie działo się później.

Strzępy niedawnej wizji mieszały się z nierealnymi obrazami płonących murów Yadan. Małe rogate dzieci ganiające po wąskich ulicach, śmiejące się do rozpuku. Kobiety na kłęczkach zachrypłymi głosami błagające o ocalenie. Oślepiająco jasne słupy iskier rozkwitające raz po raz na kopułach domów. Chaos.

Wieszczka, przez całą drogę wiodącą od wrót świątyni ku Bramie Prawdy, kurczowo trzymała się szerokich pleców Dagona, starając się nie myśleć o upadku z galopującego konia. Pierwszy raz siedziała w siodle. Pierwszy raz obejmowała Nieczystego. Pierwszy raz uciekała przed własną śmiercią. Z trudem odwróciła się za siebie, rzucając ostatnie, gorzkie spojrzenie na zbezczeszczoną świątynię Ust Bogów.

To koniec.

Wiedziała, że już nigdy nie będzie jej dane tego miejsca zobaczyć.

Miasto konało w krwi i pożodze, a Dagan wiódł ją wciąż dalej i dalej, wprost ku dzikim, nieprzyjaznym nizinom Milczącej Pustyni, do krańców znanego jej świata.

– Dlaczego? – wyjąkała w końcu. Słowa przyszły jej z trudem. Obce, charczące, urywane dźwięki, do których nie przywykła. Nigdy dotąd nie używała prymitywnego Vattan, nie musiała.

Odpowiedziała jej cisza. Poseł, nawet jeżeli zrozumiał, nie zamierzał niczego wyjaśniać.

– Dokąd mnie zabierasz? – zapytała głośniej.

Tym razem porywacz burknął w zniecierpliwieniu coś, co w żadnym razie nie brzmiało jak rozsądne wyjaśnienie. Być może ją uciszył, być może wyklął. Nawet się nie odwrócił. W jego nerwowych ruchach, wykonywanych za każdym razem, gdy na drodze pojawiały się jakieś postacie, Kastia rozpoznała ze zdziwieniem odbicie własnego strachu.

Kimkolwiek był Dagan z Aggarty, tej nocy on również obawiał się o swoje życie.



Widziała pustynię wcześniej już setki razy.

Podziwiała gorące, czerwone piaski oczami ludzi, których krwi smakowała. Znała śmiertelnie groźny żar zalewający bezkres Umarłego Jeziora, piekący oddech wiatru nieustannie przesuwanego zarysy garbatych wydm tak dobrze, jakby sama wielokrotnie je przemierzyła. W żadnej z wizji nie czuła się jednak tak zagubiona i samotna.

Nikt nie przeżył. Była tego pewna. Poszarpane wspomnienia z wizji Aggartczyka nie pozostawiały najmniejszej nadziei. Poseł zabrał ją ze świątyni w ostatniej chwili. Z fragmentów tego, co pokazali jej bogowie, powoli składała się mroczna prawda. Yadan przestało istnieć. Porywacz okazał się wybawicielem.

Z letargu wyrwało ją rzenie. Dźwięk był nienaturalny, zbyt drażniący jak na zwykłego konia. Kastia uniosła się powoli na ramionach. Dwie ciemnoskóre harpie strzegące wejścia do prowizorycznego namiotu wysunęły rozwidlone języki z ostrzegawczym sykiem.

Minęła je bez słowa, ostrożnie wychyliwszy się na zewnątrz.

Na tle rozżarzonego horyzontu majaczył tuman czerwonego pyłu podążający tropem oddalającego się galopem jeźdźca. Dagan wiódł zaś ku niej dwa najdziwniejsze potwory, jakie kiedykolwiek widziała na jawie.

O ile to była jawa – coraz trudniej było jej zdecydować.



Oniemiała przyglądała się potężnym końskim łbom i wygiętym w imponujący łuk szyjom. Każdy hodowca szlachetnych gidryjskich wierzchowców byłby dumny z takich kształtów, gdyby nie fakt, że – zamiast tradycyjnie białopiaskowej sierści – skórę zwierząt pokrywały miniaturowe łuski, że posiadały po osiem pajęczych, patykowatych nóg, a ogon zadarty w górę i zakończony groźnie wyglądającym kolcem przypominał żądło gigantycznego skorpiona.

– Ekwirachny... – wyszeptła z zachwytem, powoli zbliżając dłoń do opancerzonego pyska jednego z potworów. Dopiero teraz zrozumiała, czym są.

Dagan zacmokał i pogładził drugie monstrum po niewielkich, spiczastych różkach. Nie wyglądał groźnie, chyba po raz pierwszy od opuszczenia Yadan.

– Sądziłaś, że będziemy się wlec przez pustynię na zwyczajnych koniach? – W jego głosie obecna była pyszałkowata duma.

Kastia zmrużyła niepewnie oczy. Aggartczyk dotąd milczał, kłął półgłosem albo wywarkiwał krótkie komendy.

– Myślałam, że wszystkie przepady – odparła ostrożnie. Kiedyś wydawało jej się, że widziała ekwirachna w jednej ze swoich wieszczych sesji. Nie mogła jednak mieć pewności, bogowie niekiedy mieszały w jej głowie ludzką rzeczywistość z półświatami półmroku.

Stanęła na palcach i ostrożnie położyła dłoń na czole zwierzęcia. To parsknęło zdenerwowane, tupiąc i sycząc, ale nic poza tym. Pancerne łuski pod palcami Wieszczyki były zadziwiająco delikatne.

– Szachinszach ma własną hodowlę, podobno sam ich dogłąda, kiedy tylko jest w pałacu. Możesz więc czuć się wyjątkowa. – Dagan niemal się uśmiechnął. Przez krótką chwilę w jego stalowych oczach zagrały cieplejsze, złote refleksy.

Kastię tknęło nagle przecucie. Czyżby i ona miała być dla Szachinszacha tylko egzotycznym okazem wymierającego gatunku? Czy ocalenie przed świętokradczą napaścią bezbożnego Marduka zawdzięczała próżności króla królów?

– Do czego jestem mu potrzebna? – zapytała wprost.

Przebłysk życzliwości w spojrzeniu posła natychmiast zgasł. Znała odpowiedź, zanim jeszcze się odezwał:

– Wojny łatwiej wygrywać, jeśli zna się przyszłość.



Pustynne wzgórza zlewały się w falujące piaszczyste morze. Pałący wiatr smażył skórę, słońce kłuło nieznośnie w oczy. Brnęli nieustannie dalej i dalej, prosto w trzewia pustynnego bezkresu, najkrótszą drogą prowadzącą do miast w Dolinie Oaz. Dopiero gdy monotonne zarysy identycznych wydm przerwała przemierzająca się z mozołem karawana, Dagan ściągnął wodze pajęczego wierzchowca. Ludzie nie zapuszczali się tak daleko w głąb piasków.

Kastia zatrzymała się tuż za Aggartczykiem, z trudem łapiąc oddech. Mające postacie wędrowców wydawały się równie nierealne, co natrętne harpie podążające śladem ekwirachnow. Sądząc po napięciu na twarzy Dagona, karawana była jednak całkiem prawdziwa.

– Kim są ci ludzie? – zapytała.

Dagan potarł w milczeniu bliznę przecinającą lewą brew. Nie był zadowolony.

– Uchodźcy. Z Edry – rzucił w końcu z pogardą.

– Skąd wiesz?

– Po ich smrodzie. – Uśmiechnął się cierpko i splunął z odrazą pod nogi wierzchowca. – Strach, brud i krzepiąca miodowa herbata; uniwersalny zapach ucieczki i rozpacz wszystkich uchodźców świata.

Kastia ściągnęła brwi. Gdzieś słyszała już te słowa. Wspomnienia pełne były pourywanych fragmentów wizji przeszłości i przyszłości. Czasami nie miała nawet pewności, czy przeżywa teraźniejszość czy może wspomnienie przeszłości lub marę tego, co dopiero nastanie. Krocząc na granicy światów, skazana była na podglądanie tego, co ukazywała jej bezustannie poruszająca się Zasłona, na wieczne śnienie o cudzych życiach. Cokolwiek podsuwała jej pamięć, musiało mieć związek z losem Dagona, jej własne życie straciło sens z upadkiem Yadan.

Ruszyli w dół piaszczystego zbocza, wprost ku karawanie. Dagan przodem, z zaciętą miną i ręką na kindżale, Kastia z ociąganiem, starając się ignorować niewidzialne dla Nieczystych harpie chichoczące złośliwie za jej plecami.

Zanim dotarli do wędrowców, dwóch zamaskowanych jeźdźców pognało ku nim wymęczone konie.

– Dokąd zmierzacie? – zapytał hardo ten bardziej muskularny. Badawcze spojrzenie ciemnych oczu ślizgało się między Kastią, kindżalem Dagona i syczącymi ostrzegawczo ekwirachnami. Drugi jeździec dopadł do nich dopiero po chwili. Z bliska wydawał się tak mikry, że można by go wziąć za dziecko. Patrzył jednak równie nieufnie dużymi zielonymi oczami.

Aggartczyk ściągnął gwałtownie wodze, celowo zmuszając swojego pajęczego wierzchowca, żeby stanął przed obcymi dęba.

– Do Edry – odparł podejrzenie pogodnie, z satysfakcją obserwując mieszanie malujące się na twarzach obydwu jeźdźców. Niższy pisnął, a ciemne oczy wyższego strażnika zwęziły się w szparki.

– A więc jesteście u celu – oznajmił z ponurą godnością w głosie. – Oto, co pozostało z Zielonego Miasta. Jesteśmy tym, czym kiedyś była dumna oaza Solnej Pustyni.



Kastia nie musiała smakować krwi uchodźców, żeby poznać ich los. Wystarczyło spojrzeć w ich puste oczy, przyjrzeć się świeżym ranom krwawiącym pod brudnymi bandażami, posłuchać cichych rozmów o zagładzie miasta i szeptanym wspólnie modłom za bliskich, których utracili.

Karawana przypominała ogromny żałobny kondukt. Edryjczycy zostawili za sobą pożogę i śmierć, ale przed nimi, w promieniu wielu dni drogi, nie było nic poza spiekotą i bezlitosnym żarem czerwonych piasków. Mimo to, zgodnie z prastarym prawem pustynnych ludów, ugościli Dagona i Kastię jak wędrowców w potrzebie.

Gdy o zmierzchu popijali herbatę w namiocie samego emira Edry, Wyrocznia nie potrafiła dalek milczeć.

- Dokąd ich prowadzisz? - zapytała, ignorując gromiące spojrzenie Dagona.

Emir, wysoki, szczupły mężczyzna o twarzy pełnej zmarszczek sugerujących, że w swoim długim życiu równie dużo się uśmiechał, co troskał, długo spoglądał na horyzont. Przyglądała się mu kilkuletnia dziewczynka o włosach splecionych w trzy czerwono-czarne warkocze, wcześniej wcielająca się w konnego strażnika karawany.

- Nasi kapłani, kiedy czują, że nadchodzi ich kres, przed świtem wychodzą na pustynię i idą w stronę słońca, póki starczy im sił.

Pogodna ostateczność w jego głosie zmroziła krew w żyłach Kastii.

- Masz stare oczy - dodał, studiując uważnie niebieskie spojrzenie Wyroczni. Być może rozpoznał w niej Czystą, być może nie miało to już dla niego znaczenia. Dziewczynka u boku emira wyciągnęła za to ciekawie chudą szyję, wbijając przenikliwe spojrzenie w dwójkę obcych.

W odpowiedzi Kastia skłoniła powoli głowę z szacunkiem należnym umarłemu.

- Widziały wiele - zgodziła się niechętnie

Wiedziała, że powinna zamilknąć, że to nie jej sprawa, nie jej miasto i nie jej żałoba. Dagan mierzył ją ponurym spojrzeniem, powoli sącząc swój napój. Gdy otworzyła usta, ledwie zauważalnie pokręcił głową. Upiła jeszcze jeden słodki łyk i postanowiła złamać jego zakaz.

- Przeżyliście koniec swojego miasta, bogowie okazali wam łaskę - zauważyła, mimo wszystko starając się nie brzmieć zbyt karcąco. Słowa bezimiennej podróźniczki na środku pustyni nie znaczyły tyle, co wersy natchnionej przepowiedni w Yadan.

Puste oczy emira powoli skupiły na niej uwagę. Dziewczynka z warkoczami zamarła, otwierając w zdumieniu usta. Dagan chrząknął gniewnie.

- Łaskę? - Emir zwrócił się do niej z denerwującą pobłażliwością. Wachlarz zmarszczek wokół oczu pogłębił się. - Czy tak wygląda łaska? Ogień strawił nie tylko mury, zamienił w pożogę nasze dusze, jasnooka!

– A jednak przetrwaliście, a teraz ty wiesz wspaniałych ludzi ku śmierci! – Kastia nie dawała za wygraną. Z każdym kolejnym słowem jej ton stawał się coraz bardziej rozpaczliwy.

– Oni już są umarli! – W uśmiechu emira czaiło się szaleństwo. – Wkrótce pustynia wypali resztki strachu, żalu i cierpienia. Wtedy narazie odpoczniemy. Edry już nie ma!

Wieszczka odstawiła czarkę drżącą ręką, uparcie unikając oczu Aggartczyka.

– A jeśli oni chcą żyć? Jesteś za nich odpowiedzialny!

– Nie bardziej niż bogowie, którzy, jak mówisz, okazali nam łaskę, ale dopuścili do zagłady miasta. Nie bardziej niż ludzie Szachinszacha, których miecze dokonały rzezi. Nie bardziej niż ci, którzy nie przyszli nam na pomoc – odparł łagodnym, melodyjnym głosem. Nie patrzył już na Kastię, zdawał się też nie dostrzegać dziewczynki o zielonych oczach pełnych wyrzutu ani zniecierpliwionego Dagona. Myślami wędrował wśród gorących piasków na spotkanie końca swojego czasu, jakby nie mógł doczekać się śmierci.



– Co z nimi będzie? – powtórzyła po raz kolejny, choć przecież знаła odpowiedź.

Dagan uparcie milczał. Słońce wstawało osłonięte złowrogą, krwawą poświatą. Ekwirachny galopowały dalej od obozu Edryjczyków.

– Nie przeżyją na pustyni – dodała, czując, że od prędkości i emocji traci dech. Wizja emira nią wstrząsnęła. Karawana cierpiących uchodźców zmuszona do wspólnego samobójstwa. Religijne uniesienie szaleńca, który utracił resztki nadziei dla swojego ludu.

Aggartczyk w końcu spojrzał jej w oczy.

– Widziałaś to w jednej z wizji? – Wykrzywił usta w pogardliwym uśmiechu. – Nie trwoń talentów na tę brudną hołotę, oni i tak są już zgubieni.

Kastia pognała swojego wierzchowca, aby ten zrównał się z Daganem.

- Powinniśmy im pomóc – oznajmiła dobitnie.

- Wyrzuty sumienia? – Roześmiał się gorzko. – To za twoją namową Szachinszach postanowił zniszczyć Edrę.

Wieszczka szarpnęła za wodze, gwałtownie zwalnając. Przez długą, milczącą chwilę w zdumieniu wpatrywała się w twarz porywacza, usiłując odczytać sens jego dziwnych słów. Poza cieniem dawnego cierpienia nie odnalazła w jego rysach niczego, co mogłoby jej pomóc.

- Choć dumny jest pustynny lew, bezbronny schyla się do wodopoju. Zetrzyj na pył zieloną sól, bo nie doczekasz się pokoju – zadeklował Dagan, unosząc wyzywająco podbródek. – Czy to nie twoje słowa, o Czysta? – zadrwił. – Objawiona mądrość bogów przemawiających twoimi nieskalanymi ustami? Nawet szpiedzy Szachinszacha nie wiedzieli, że wojska Marduka zaopatrywały się potajemnie w Edrze.

- Ja nigdy... Ja tylko widzę... Nie daję rad – wyrzucała z siebie z trudem. Była wściekła, że musi się przed nim tłumaczyć, że w ogóle śmiała ją w ten sposób oskarżać. Wyrocznia nie odpowiadała przed nikim, a rzekomy poseł był przecież tylko prostym żołdakiem, Nieczystym.

Aggartczyk spojrział na nią tylko spode łba i po prostu ruszył przed siebie.

- Równie dobrze mogłabyś własnoręcznie podpalić ich domy i zatrucić źródła – rzucił obojętnie przez ramię.

Kastia pognała ekwirachna w ślad za nim.

- Ja tylko... – wydusiła, teraz równie wściekła na Dagona, co na swoją bezsilność. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że ona przekazuje tylko obrazy, marne okruchy rzeczywistości ukazane jej przez bogów, na wpół mającąc przy tym z bólu, a słowa właściwej przepowiedni układane są w wersy dopiero przez kapłana.

- Słowa zabijają szybciej niż miecz, rozumiesz, Śniąca? – przerwał jej obcesowo. Bruzda pomiędzy brwiami pogłębiła się złowrogo. Kastia pomyślała, że delikatne zmarszczki wokół oczu wcale nie świadczą o tym, że Dagan często się uśmiechał. – Przyszedł czas się obudzić – ciągnął,

patrząc na nią z rosnącą niechęcią. – Jedna twoja wizja może wzniecić ogień, który pochłonie wiele żyć. Być może już nawet tchnęłaś tę iskrę. Nasz świat płonie. Edra nie jest pierwsza i nie ostatnia.

Otworzyła usta i po chwili zamknęła je, bezradna wobec oskarżeń. Uderzyło ją, że Dagan sprawiał wrażenie kogoś, komu osobiście zaszkodziła w przeszłości. Nie pamiętała większości przepowiedni – wizje zabierały zbyt wiele energii, a ona wciąż błędziła na granicy snu, ale w tym przypadku coś jej podpowiadało, że umiałyby go rozpoznać nawet po wielu latach, że nie pomyliłyby go z nikim innym, nie zapomniałyby.

– Nie będę służyć twojemu panu – wycedziła w końcu. Zebrała mocno wodze, powstrzymując wierzchowca przed dalszą podróżą.

Dagan wydawał się nieporuszony.

– Mój pan uratował ci życie i zapewnił schronienie przed hordami Samozwańca. Wolałabyś zginąć jak reszta kapłanek?

– Nie będę pomagać komuś, kto skazuje na śmierć niewinnych!

– Podczas wojny nikt nie jest niewinny, a już najmniej ci, którzy ją przeżyją. Właśnie na tym polegają wojna i zanim się skończy, jeszcze wiele miast takich jak Edra zmieni się w zgliszcza.

Nie mogła uwierzyć w jego beznamiętny ton.

– Jak możesz im nie współczuć?

– A cóż im po współczuciu? – Wykrzywił usta w smutnym uśmiechu. – To miecze wygrywają wojny, nie łzy. Jeśli nie powstrzymamy Samozwańca Marduka, spłoną wierne nam miasta, zginą ludzie ani lepsi, ani gorsi od Edryjczyków. Im nie współczujesz? Dzięki tobie wojna skończy się szybciej.

Gdzieś z oddali dobiegały niewyraźne głosy i złośliwy chichot; kłótnia musiała przyciągnąć uwagę dzinnów. Kastia wzięła głęboki oddech, usiłując się uspokoić. Nigdy nie oczekiwano od niej, żeby rozstrzygała między tym, co dobre i złe, nie była jednak w stanie zapomnieć o wędrujących ku własnej śmierci Edryjczykach.

– Nic nie rozumiesz! – odparła w końcu zdławionym szeptem. – Ja nie mogę wybrać strony! Wrocznia nie ma nad sobą władzy. Jest neutralna. Ja tylko przekazuję...

- Neutralna? - Dagan parsknął z wyższością. - Neutralna! - Zaniósł się gorzkim śmiechem. Pustynne echo poniosło nieprzyjemny dźwięk daleko na wschód, wywołując zaraz chór wtórujących mu rechotem demonów. Poseł gwałtownie zeskoczył z siodła i chwycił w garść uzdę wierzchowca Kastii. - Nauczę cię czegoś, co najwyraźniej pominięto w trakcie twojej świątynnej edukacji - warknął złowieszczo. - Potraktuj to jako prezent z okazji twojego nowego życia. Chcesz być neutralna? W takim razie idź! - Szarpnął mocniej uzdę, a oszołomiona dziewczyna szybko zsunęła się na ziemię. - No dalej, uciekaj! Nie będziesz musiała już nigdy nikomu służyć! Może twoi bogowie ujmą się za tobą, gdy będziesz konać z pragnienia! - rzucił za nią zajadle, przekrzykując się przez coraz głośniejsze wycie wygłodniałych pustynnych demonów.



Kastia długo brnęła przez migoczące złotem i czerwienią piaski, byle dalej od oskarżeń.

Pustynna noc, niegościnna i samotna, przysłała nagle, niosąc chłód, który przenikał wprost do serca Wieszczy. Kastia zwinęła się w kłębek, zastanawiając się, czy ma jeszcze jakąkolwiek szansę odnaleźć obóz Edryjczyków.

- Dlaczego jesteś sama? - pytała ją ciemność. - Gdzie twój mężczyzna?

Kastia ziewnęła przeciągle, odganiając się od natrętnych szepotów i myśli. Z dzinnami lepiej było nie zaczynać rozmowy. Zza kaptura podróżnego płaszcza, który dostała od Dagona, ostrożnie wypęłzył biały solny żmij. Uśmiechnęła się smutno, gładząc jego delikatne łuski.

- Napij się! - zażądał dzinn. Kastia przelotnie zdziwiła się na myśl, że taki wysoki, dziecinny głos może brzmieć równie rozkazująco. Wydało jej się to niezrozumiale zabawne. Stłumiła nieco głupkowate parsknięcie, wypływając przy tym część wlewanej jej na siłę do ust wody.

- Napij się! - powtórzyła poirytowana istota i bezceremonialnie szarpnęła ją za ramię.



Gwiazdy wirowały w górze w krąg i w krąg, białe i błękitne, potem czerwone jak płomienie trawiące świątynię, złote jak piaski pustyni, potem srebrnoszare, surowe jak spojrzenie posła.

– Pij! – wrzasnął tuż nad jej uchem Dagan, siłą zmuszając ją, żeby usiadła. – Mam zamiar dostarczyć cię żywą, inaczej cały mój trud pójdzie na marne.

Przed oczami Kastii nadal wirowały wielobarwne, błyszczące drobinki. Chciała coś powiedzieć, ale przez suche gardło nie przecisnęła się żaden dźwięk.

Mały dzinn stał tuż obok, bacznie śledząc każdy jej ruch. Wyrocznia dopiero po chwili rozpoznała duże zielone oczy córki szalonego emira.

Kastii nie udało się odnaleźć Edry, ale Edra odnalazła ją.



– Zabierzcie mnie tylko do miasta – poprosiła mała Agni, gdy wyszło na jaw, że ruszyła ich śladem tego samego ranka, kiedy opuścili karawanę.

– Edry już nie ma. – W głosie Dagona nie było żalu, jedynie zniechęcenie, jakby rozmowa o tym mieście zaczynała go coraz bardziej drażnić.

– Mam tam babkę, przygarnie mnie – upierała się dziewczynka.

Dagan kręcił głową z coraz większym zniecierpliwieniem.

– Pogódź się z tym, że nie żyje.

Mała tylko zadarła wyżej spiczasty podbródek. Nie odezwała się więcej tego dnia. Zasnęła na kolanach Kastii, która nie umiała znaleźć dla niej słów pocieszenia, więc tylko gładziła ją w milczeniu po splecionych w warkocze czerwono-czarnych włosach.

– Nie zdołasz ich wszystkich ocalić. – Głos Dagona po raz pierwszy zabrzmiał miękko, niemal łagodnie. W tych słowach poruszyło ją coś głęboko osobistego, zadra, której nie umiała opisać. Być może poseł starał się po prostu nie obudzić małej, a może upadek Edry przypominał mu

o własnych ranach. Wieszcza podniosła się, delikatnie odsuwając na bok bezwładną głowę śpiącej dziewczynki.

- Może uda mi się uratować chociaż część. Chociaż niektórych. Ją - odparła cicho.

Przez dłuższą chwilę Aggartczyk milczał ponuro, poruszając tylko szczęką, zupełnie jakby przeżywał gorzkie poczucie winy.

- Co to zmieni? - jego głos, choć stanowczy, wydawał się dziwnie stłumiony. - Powinniśmy ją odesłać.

- I skazać na śmierć na pustyni? - Kastia zrobiła wszystko, żeby nie mówić zbyt głośno. Mimo to mała uciekinierka poruszyła się nerwowo. Biały żmij owinął się zaborczo na nadgarstku Wieszczyki.

- To nie nasza sprawa. Każdy lud ma swój koniec.

Kastia żałowała, że w ciemności dogasającego ogniska nie może dostrzec wyrazu oczu Aggartczyka.

- To tylko dziecko. Jest bezbronna, a my... - zaprotestowała, marszcząc brwi.

- Tylko dziecko? - Tym razem Dagan podniósł głos. - To buntownicza, jedyna ocalała z Edry. Sprzeciwiła się decyzji emira. Z takich iskier powstają niebezpieczne rebelie. Wojny, w których potem ludzie giną tysiącami! Takie zarzewie mądrzej jest zdeptać, zanim się rozniesie i świat wokół spłonie!

- Póki ona żyje, Edra trwa. Nie zabiję nadziei. Jestem jej to winna! - dodała drżącym z przejęcia głosem, nie wiedząc już, czy ma na myśli dziewczynkę czy miasto.

Aggartczyk skrzywił się. Wyglądał, jakby chciał splunąć, pozbyć się brudnych myśli, które go nawiedziły.

- Naiwna, uparta wieszczka - wyszczał zajadle. - Byłoby łatwiej, gdybyś nie znała Vattan. Mam dość twojego przemądrzałego gadania i tych wzniosłych rozważań. Gówniara nas tylko opóźnia.

Kastia, najdelikatniej jak potrafiła, ułożyła śpiącą dziewczynkę na rozpostartym podróżnym płaszczu, a sama usiadła na piętach. Biały żmij powoli zsunął się z jej nadgarstka i owinął szyję uciekinierki ciasną, ochronną kolią. Polubił małą.

W oczach posła widać było tę samą zimną determinację, która tak zwróciła jej uwagę przy ich pierwszym spotkaniu.

– To tylko kilka dni drogi. Na tym pustkowiu... – zaczęła stanowczo, usiłując przedstawić mu racjonalne argumenty, choć nie miała właściwie pojęcia, jak daleko od miasta się znajdują.

Dagan przygryzł mocno dolną wargę i zmrużył oczy. Tracił cierpliwość.

– Zostawimy ją u babki i nigdy więcej nie wspomnisz jej imienia – oznajmił sucho. – Tylko pamiętaj, jeżeli stara nie żyje, dzieciak i tak zostanie w ruinach miasta. Nie zamierzam jej niańczyć.



– Baba-Anu!

Cisza. Ciemność. W gęstym, czarnym powietrzu nadal nagrzanego słońcem zmierzchu coś poruszało się niespokojnie, z narastającą irytacją jęcząc na wpół szakalim, na wpół ludzkim głosem.

– Baba-Anu! To ja, Agni, otwórz! – Dziewczynka jeszcze mocniej zabębniła pięściami w drzwi.

W środku coś łupnęło. Rozległ się nieprzyjemny trzask, jakby złamało się suche drzewo albo czyjeś bardzo stare kości.

– Odyjdz ode mnie, przebrzydły demonie! – rozległ się równie nieprzyjemny, skrzekliwy głos. – Nakarmiłam cię już wczoraj! Masz dość trupów wokół!

– Anu! Jestem Agni! Agni, córka Andry. Wróciłam po ciebie! – Mała nie dawała za wygraną.

W środku ktoś splunął. Ekwirachny zasyczały ostrzegawczo i zaczęły przebierać pajęczymi nogami. Zapadał zmrok. Zza czerwonego horyzontu zbliżała się noc, zimna i bezlitosna, bezgwiezdna. Noc pełna duchów. Kastia rozejrzała się z obawą dookoła. Ochra na drzwiach z pewnością miała służyć starej jako ochrona przed demonami, a wokół cmentarzy i trupów pełno było tych najgorszych, półcielesnych, które wyłaniały się rankiem z pustynnych miraży i szukały ludzkiego mięsa.

– Jesteś pewna, że to twoja babcia? – Głos Dagan drgał lekko, jak zbyt mocno naciągnięta cięciwa łuku. Aggartczyk z trudem utrzymywał nerwy na wodzy.

Agni rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Żywa? Czy ino przywrócona? – zaskrzeczała starucha.

– Żywa, ale jeśli nadal będziesz nas tu trzymać, to albo umrę z pragnienia, albo szabrownicy poderzną mi gardło! – oznajmiła rezolutnie dziewczynka. – Słońce zachodzi, pospiesz się!

Baba-Anu skwitowała odpowiedź serią niewyraźnych burknięć.

– Nas? – dopytała podejrzliwie.

Drzwi jęknęły boleśnie, uchylając się ledwie na szerokość pięści. Zmęczone, bladozielone oko patrzyło przez ciemną szparę, studiując twarze podróżnych.

Zniecierpliwiony Dagan naparł na drzwi barkiem i siłą wdarł się do środka, posyłając zgarbioną staruchę na piaszczystą podłogę.

– Co to za jedni?! – krzyczała skrzekliwie jak atakujący sęp.

– Obcy, parszywi obcy! Wynocha, odmieńce, albo dam wam popalić! – Splunęła siarczyście na buty Dagan i wyciągnęła z kieszeni garść zielonej soli.

– Baba, proszę! Zaraz wszystko wyjaśnię. – Dziewczynka szybko wsunęła chudą rękę w jej szpony, starając się ją uspokoić. – Oni chcą tylko bezpiecznie przenocować. Pomogli mi.

Nieufny wzrok starej przesunął się uważnie pomiędzy Daganem a Kastią.

– Nie podobajo mi się – zawyrokowała i znów splunęła z odrazą w ich kierunku.

– I nawzajem – warknął Dagan, na wszelki wypadek przesuwając dłoń bliżej kindżału.

Przez resztę wieczoru stara nawet na moment nie odłożyła zawiniątka z zieloną solą, które ścisnęła zabobonnie w pomarszczonej, szponiastej dłoni. Pozwoliła im jednak przeczekać noc, a ekwirachny wprowadzić do śmierzdzącej szopy z zapadniętym dachem.

– Nie boicie się żyć tu w samotności, w tych ruinach? – zagadnął już spokojniej Aggartczyk, gdy popijali gorącą miodową herbatę przy kopącym palenisku.

Stara obdarzyła go bezzębnym uśmiechem.

– Mówio, że śmierć przychodzi ino raz. U mnie już była, starczy się rozejrzeć, chłopcze. – Zarechotała złowieszczo.

Kastia szczelniej otuliła siebie i Agni brudnym kocem. Babka dziewczynki robiła bardziej upiorne wrażenie niż niejedna zmora, jakie mijali po drodze do zburzonego miasta. Dagan nie wydawał się jednak poruszony jej szczególnie manierą.

– Dlaczego nie poszłaś z twoimi ludźmi, z emirem? – pytał dalej.

– Banda głupców! – sarknęła Edryjka. Kolejne splunięcie ugodziło w środek płomieni. – I to nie moi ludzie, ja siedzę za murami – wyjaśniła z butą. – No, siedziałam. Dopóki Edra miała jeszcze mury. Tera so tu tylko kamienie, trupy i piasek. Duma emira starta na pył.

Poseł pokiwał z głową z czymś w rodzaju zrozumienia.

– Mała martwiła się o ciebie. – Skinął w stronę dziewczynki.

Słowa Dagana wyraźnie schlebiły starusze.

– Gówniara przechytryła własno śmierć. Mała szelma! Ognista krew!

– Zaopiekujesz się nią?

– Ja? – Anu natychmiast zmieniła ton i wybałuszyła blade oczy.

– Ona nie może się tu ostać – oznajmiła dobitnie. – Edry już ni mo. Tylko piaski i demony, mówiłam już. Nocą wyjo ghule, żrą resztę trupów z miasta, przemieniajo pozostałych, ale i tego im niedługo braknie. Efrytów też jakby wincyj, a sól mi się kończy. – Zaniosta się charczącym kaszlem. – Nic dobrego. Nic dobrego – powtarzała, nadal rżężąc. Dolała gorącej herbaty do czarek. – Ogień pustyni.

Dagan chwilę obracał naczynie w dłoniach, ale ostatecznie odsta-  
wił je na bok. W ściągniętych brwiach i zaciśniętej szczęce Kastia rozpo-  
znała nadchodzącą wściekłość.

– To twoja wnuczka, musisz ją przygarnąć – zauważył powoli.

– Nie moja krew! – zdenerwowała się Edryjka. – Siła nie może mieć dzieci, głupcze! – jazgotała. – Agni lubiła mnie ino odwiedzać, ale to córka emira. Królewskie ziarno. To nie jej ścieżka!

– Moja ścieżka prowadzi za to prosto na dwór Szachinszacha. – Słowa posła cięły powietrze niczym miecz.

Nastąpiła cisza. Nieświadoma niczego Agni znów poruszyła się niespokojnie we śnie. Co ją czekało? Córka emira, przyjaciółka czarownicy ocalona z rzezi przez wyrocznię i najemnika, odebrana śmierci wprost z serca pustyni, ostatnie dziecko Edry, mała, bezbronna Agni. Jej los zależał teraz od bogów. Oby nie okazali się neutralni.

– Więc niech tak będzie. Zabierz ją – postanowiła w końcu Anu. Nagle wydała się jeszcze starsza i jeszcze bardziej zmęczona niż dotychczas. W migotliwym blasku dogasającego ognia jej twarz przypominała upiorną czaszkę, z dwoma kryształami zielonej soli wetkniętymi w miejsce oczu.

Dagan wytrzymał jej upiorny wzrok.

– Nie wezmę odpowiedzialności za jej los. – Potrząsnął zdenerwowany głową i zaczął wstawać. Stara nie pozwoliła mu jednak odejść, łapiąc jego dłoń w swoje szpony.

– Krew szybko wsiąka w piasek, ale pustynia pamięta na zawsze. Wiesz, o czym mówię, co? – wyszczała z ponurą satysfakcją, zaciskając boleśnie pazury. Teraz Dagan starał się na nią nie patrzeć, ale coś trzymało go nieruchomo w miejscu, szamotał się bezradnie. – Dobrze wiesz. – Zarechotała dziko. – Szindżar, choć upadł, żyje w tobie, tak jak ta mała nosi w sobie iskrę Edry. Nic tego nie zmieni. Szachinszach stał miasto na proch, ale uszanuje życie małej księżniczki, której życie ocalili bogowie.

– Nie wiem, czy ją przyjmie. – Twarz posła była trupioblada.

– Przyjął ciebie! Nic tak słodko nie przypomina o triumfie jak żywy świadek królewskiego zwycięstwa. Zabierz ją! – rozkazała twardo.

Dagan w końcu wyszarpnął się z jej krogulczego uścisku.

– Czeka ją życie w niewoli, czarownico. Parszywy los. – Tym razem on splunął. – Wszędzie będzie obca. – Jego ton był lodowaty.

– Lepsze to od śmierci. Znacznie lepsze od śmierci i przywrócenia przez demony. – Wykrzywiła twarz ni to w uśmiechu, ni to w grymasie cierpienia. – A ty co tak się chowasz w mroku? – Nagle spojrzała na milczącą Wieszczkę. – Boisz się złej czarownicy? A może nie w smak ci moja sól na progu?

– Nie boję się ciebie.

– Nie boję się ciebie – powtórzyła stara, przedrzeźniając hardą odpowiedź Kastii. – Więc jesteś głupia! Twoja branka? – zwróciła się do Dagana. Ten wzruszył ramionami, nie przestając rozcierać poszarpanego nadgarstka.

– Moje zlecenie.

– No tak. Zadziera nosa, musi być znaczna. Co za czasy! – Rechot starej mieszał się z obłokami czarnego dymu dogasającego paleniska. Przez chwilę gapiała się w ogień, poruszając bezgłośnie wąskimi wargami. W końcu sypnęła do ognia garść dusząco słodkich ziół. – Niedobrze dzisiaj być ważnym. Kamień odrzucony przez budowniczych stanie się kamieniem węgielnym. Moźni padają na kolana, ale najpierw świat spłonie.

Jak na komendę palenisko buchnęło oślepiającym płomieniem, posyłając całą chmarę zielonych iskier ku niebu przezierającemu przez okopcony otwór w dachu. Kastia skuliła się w kącie. Słowa sili poruszyły ją, obudziły strzępy odległych wspomnień, których nie potrafiła skonkretyzować. Wzięła głęboki oddech, mimowolnie wciągając mdląco słodki aromat, gdy nagle seria niepokojących obrazów nieoczekiwanie wypełniła jej umysł.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość – wszystko działa się jednocześnie, napierając naraz na wszystkie zmysły. Słyszała głosy, czuła zapachy i smaki, cierpiała bólem ludzi z naglej wizji. Przeżywała wszystko to, co było ich udziałem, widziała wszystko to, co było im dane widzieć. Czas przestał istnieć. Gdy obrazy znikły, poczuła, że zaraz zwymiotuje. Po raz pierwszy poczuła tak głęboki strach. Stara przytoczyła jej własną przepowiednię.

- Zaraz. Ty to wiesz. Widziałaś – oznajmiła grobowym tonem siła.  
- Dobrze. Teraz zajmij się małą i nie pozwól jej zapomnieć o cierpieniu jej miasta, bo ty nie zapomnisz nigdy, prawda?



Kastia nie wiedziała, co powiedzieć. Dagan porwał ją i wbrew woli dostarczył na dwór Szachinszacha, ale ona i Agni zawdzięczały mu życie. Teraz, gdy nadszedł czas pożegnań, myśl o rozstaniu przepełniała ją mdlącym smutkiem.

Głęboki dźwięk gongu wypełnił przedsionek nieprzyjemnym drżeniem.

Nie zostało im wiele czasu. Zza imponujących mosiężnych drzwi sali audiencyjnej w każdej chwili mógł wyłonić się wyniosły Sirdar Szachinszacha. Za progiem czekało ją nowe, nieznane życie.

- Nie zapytałeś mnie nigdy o własną śmierć. – Słowa opuściły jej usta, zanim zdążyła je przemyśleć. Ta myśl trapiła ją, odkąd się poznali.

Twarz Dagona zastygła na chwilę w niemym zdziwieniu, ale surowy wyraz powoli zaczął łagodnieć. Zmarszczki wokół oczu pogłębiły się, oczy uniosły skośnie, jak odbicie odległego uśmiechu.

- Na pewno jej nie przegapię – zapewnił ją w końcu, wyraźnie powstrzymując się przed dodaniem czegoś jeszcze. Jego głos, zbyt cichy, żeby odbijać się echem po wysokim przedsionku królewskiego audytorium, brzmiał dziwnie miękko i przyjaźnie.

Wieszczka poczuła się rozczarowana.

- Nie jesteś nawet odrobinę ciekawy? – Prawie udało się jej ukryć urazę w głosie.

- Ciekawe są tylko rzeczy zmienne. Zdecydowanie bardziej interesuje mnie to, co przeżyję przed śmiercią. – Aggartczyk skrzywił się przelotnie.

Głowę Kastii przez ułamek chwili wypełniły strzępy niezrozumiałych wizji wywołanych jeszcze tak niedawno jego krwią. Zapierające dech w piersiach ekwirachny, galopujące szybciej od pustynnego wiatru, duże zielone oczy pełne łez i nienawiści, koszarne rogate postacie



wyłaniające się z mroku, stada płomiennych efrytów tańczących nad polami zasłanymi przez rozkładające się trupy, śmierć, krew i pożoga zbliżającego się końca świata. Instynktownie wciągnęła powietrze, szukając w pamięci smaku Dagana, chciała go zapamiętać, zachować.

– Jeszcze się zobaczymy, Śniąca Kastio. – Z bliska lekko skośne oczy Dagana nie wydawały się wcale pochmurne, przypomniały bardziej zimowe niebo rozjaśniające się po śnieżnej burzy.

– Wiem – zapewniła go, prawie się uśmiechając. Chociaż raz była wdzięczna bogom za swoje umiejętności. Obawiała się jednak tego, co miało stać się do czasu ich spotkania.

– Uważaj na siebie. Ludzie są zbyt słabi, żeby wysłuchać całej prawdy. Bądź dla nich łaskawa.

Po raz pierwszy nie rozkazywał. Prosił.

– Mam kłamać? – Mimo wszystko poczuła się boleśnie dotknięta jego sugestią. Cienie za plecami posła poruszyły się miękką falą jak zmącona woda. Chuda półprzezroczysta dziewczyna ze skrzydłami motyla, którą Kastia dotąd ignorowała, zaczęła cicho szlochać w kącie audytorium.

– Masz przeżyć – wyjaśnił z naciskiem. Kątem oka Kastia zauważyła, że jego ręka drgnęła niecierpliwie, zupełnie jakby Aggartczyk zamierzał położyć ją na jej ramieniu, ale zmienił zdanie. – Miałem nadzieję... Chciałbym zobaczyć cię jeszcze żywą – dodał, zaciskając zęby. Od tego miejsca przenieść do nowego akapitu. Znała jego krew, wiedziałaby, że kłamie. Teraz przyszła więc pora na nią. Na pożegnanie była mu winna szczerłość, tylko tyle. Chciała, żeby zrozumiał, i być może, na przekór wszystkiemu, miała nadzieję, że wybaczy jej Edrę.

– Gdy przemawia do mnie krew, staję się tylko ustami bogów. Nie mam władzy nad swoimi wizjami. Nie mam władzy nad sobą. – Zniżyła głos do miękkiego szeptu. Nie chciała jeszcze bardziej denerwować delikatnej motylej zjawy. – Czyści nie potrafią kłamać. To część naszego daru.

Dagan przytaknął w zamyśleniu. Potarł szczękę.

– Lecz jeśli nie znasz prawdy, kto wie, czy kłamiesz? – Zamiast pytania postawił przed nią wyzwanie. Znów unióś ramię, żeby je zaraz bezsilnie opuścić.

– Jeżeli ciągle kłamiesz, skąd wiesz, co właściwie jest prawdą? – Kastia uśmiechnęła się gorzko, brnąc w tę dziwną grę. Miała nadzieję, że kiedyś opowie jej o swoim rodzinnym Szindźarze, o tym, kim był, zanim dostał się w niewolę.

Spuścił wzrok, a kiedy popatrzył jej ponownie w oczy, zdumiona ujrziała w nich zapowiedź człowieka, którym dopiero miał się stać, buntownika i bohatera z wizji wywołanej jego krwią. Zrozumiała, że Dagan miał dopiero nauczyć się żyć w zgodzie z prawdą. Prawdą o sobie i o swojej przeszłości. Ona z kolei, żeby przetrwać, miała nauczyć się kłamać i jak najszybciej zapomnieć o tym, kim była.

– Dlatego wolę milczeć – odparł zdławionym głosem. – Wolę...

Zaciął się, zawahał, ale trwało to ledwie mgnienie oka, za to pocałunek, którym ją obdarzył, ciągnął się całą wieczność. Smutek i tęsknota Dagona odbijały się nieoczekiwaną czułością w żarliwym dotyku ust. W upojonej bliskości jego ciała, w gorącym oddechu, bolesnym łopotaniu serca Kastia po raz pierwszy odnalazła upragnione wytchnienie. Słodki ból, zakazana, bluźniercza pasja. Taki smak musiała mieć wolność.

– Co ty zrobiłeś? Dlaczego... – Opamiętanie przyszło dopiero, gdy oderwała się od jego ust, z emocji tracąc oddech. – Skalałeś mnie! To zakazane! – Odtrąciła go od siebie gwałtownie. – Ja... stracę moje błogostawieństwo, stracę moje widzenie! Jesteś Nieczysty!

Samymi opuszkami palców Dagan dotknął swoich warg, nadal smakując pocałunek. Na pożegnanie uśmiechnął się bezczelnie zwycięsko.

– Obudź się, Śniąca Wyrocznie. Właśnie podarowałem ci wolność. Teraz, kiedy jesteś odpowiedzialna za swoje słowa, możesz zrobić z nich właściwy użytek.

Zrozumiała dopiero po chwili. Dopiął swego. Znalazł sposób, żeby ją ochronić, i dał szansę, żeby mogła ocalić małą iskrę z Edry, dał jej nadzieję na odkupienie win. Oddał jej słowom moc.

Powoli przeniosła wzrok na małą Agni przyglądającą się im z kąta z mieszanią niedowierzania i rozbawienia. Dziewczynka wyglądała dziwnie. Inaczej. Kontury sylwetki były wyraźniejsze, zielone oczy jeszcze

żywsze, niż zapamiętała to Kastia. Motyla zjawa rozplynęła się w ciemnościach wysokiego sklepienia.

Kastia uklękła szybko przed Edryjką i wzięła jej drobne dłonie w swoje ręce. Nie była pewna, które mocniej drżały.

– Od tej chwili nie wolno ci powiedzieć choćby słowa w Vattan – nakazała jej zdławionym szeptem. – Nikt nie może dowiedzieć się, kim jesteś.

Agni zacisnęła usta w wyrazie chmurnej determinacji i sztywno skinęła głową. Na krótką chwilę jej wzrok powędrował nad ramieniem Wieszczy, ku Daganowi, jakby szukała potwierdzenia dziwnego rozkazu.

Gdy zabrzmiał kolejny gong, rzeźbione drzwi otworzyły się z przeciągłym szcękaniem.

Kastia wyprostowała się dumnie przed najwyższym urzędnikiem w pałacu Sargona, nie wypuszczając dłoni Agni z kurczowego uścisku. Sirdar Zand omiółł je obie obojętnym spojrzeniem zaczerwienionych oczu. Dagan skłonił się krótko i wycofał w milczeniu ku wyjściu.

– Za chwilę staniesz przed obliczem króla królów. Podaj mi swoje imię, dziecko – poprosił sennym tonem Zand.

Kastia wyprostowała się dumnie i wysoko uniosła podbródek. Jej słowa kiedyś zgładziły Edrę, lecz teraz mogły uratować życie małej dziewczynki.

– Jestem Midrid z Yadan, Druga Wieszczyka Świątyni Ust Bogów i mówię w imieniu Kastii, Śniącej Wyroczni. – Krótkim skinieniem wskazała milczącą Agni. – Przybyliśmy na dwór Szachinszacha, żeby służyć mu radą.

## **Maria Zdybska**

Pochodzi z magicznego świętokrzyskiego, mieszka w zaczarowanym Krakowie, ale w jej żyłach zamiast krwi płynie morska woda. Pisze fantastykę inspirowaną przede wszystkim wiedzą o mitologicznych symbolach i wzajemnym przenikaniu się motywów wspólnych dla różnych kultur. Pasjonuje się windsurfingiem, muzyką alternatywną,

filmowaniem i podróżami – im dalej na północ tym lepiej. W 2017 roku. debiutowała w wydawnictwie Genius Creations powieścią fantasy „Wyspa mgieł” otwierającą trylogię „Krucze serce”.

- Zabierzesz mnie do domu?

Pytanie padło znienacka, jak zwykle. Moje serce zaczęło bić mocniej, a dłoń, w której trzymałam szklankę, zadrżała, rozlewając nieco zawartości naczynia. To był przesłodzony sok z odrobiną wódki.

- Szlag!

Nie cierpiałam się lepić.

Tkwiłam w bezruchu, niezdolna wstać od konsoli i pójść do kam-buza Sprawiedliwej Wróżki. Leciałyśmy na autopilocie, więc mogłam to zrobić, a nie zrobiłam tylko dlatego, że sparaliżowała mnie odraza.

- Zabierzesz mnie do domu? - tym razem głos rozległ się tuż nad moim uchem. W polu widzenia zamajaczyła pomarańczowa chustka, a wraz z nią Mała.

Z trudem oderwałam wzrok od szklanki, skwapliwie i w milczeniu przyjmując koło ratunkowe. Mała stała nade mną jeszcze chwilę. Przechylała przy tym głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, niczym zaciekawiona papuga. W jej przypadku skojarzenie z papugą było nieuniknione. Uwielbiała jaskrawe kolory. Kiedy tylko mogła, nosiła furkocące spódnice i bluzki z szerokimi rękawami. No i do znudzenia powtarzała jedną wyuczoną frazę: „Zabierzesz mnie do domu?”.

– Dzięki. – Oddałam Małej chustkę, a ona, nie przejmując się lepką plamą, szybko zawiązała ją sobie na szyi. – I tak muszę iść umyć ręce. Chcesz popilotować?

Uśmiechnęła się, w jej ciemnych, niemal czarnych oczach błysnęła radość.

Wstałam z fotela, a Mała wślizgnęła się na moje miejsce z kocią zwinnością. Łączyła w sobie cechy wielu różnych zwierząt, które oglądałam namiętnie na holowidach tuż przed zaśnięciem. Lubiłam to, tak jak lubiłam patrzeć na Małą. Widziałam w niej czystą energię opakowaną w drobne, ludzkie ciało. Jej kolorowa obecność ożywiała statek. Jakby wraz z nią Sprawiedliwa Wróżka zyskała duszę.

Przez chwilę stałam z tyłu. Piłam drinka, przyglądając się smukłym palcom skaczącym po przyciskach kokpitu. Mała wyłączyła autopilota; lekko skorygowała kurs. A potem potrząsnęła głową, wprawiając czarne spirale loków w chaotyczny taniec, i zaśmiała się cicho.

W głowie znów usłyszałam jej pytanie: „Zabierzesz mnie do domu?”

Poczułam napływające do oczu niechciane łzy i czym prędzej uciekłam do kambuza.



Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Małą w sali audiencyjnej Huweia Rytro, miała dwanaście lat. Dla mnie wyglądała wtedy na nie więcej niż siedem. Siedząc na huśtawce, majtała nogami i na przywitanie pokazała mi język. Zanim zdążyłam zrobić krok w jej stronę – nie wiem właściwie dlaczego, może chciałam zapytać, czemu mnie nie lubi – schowała się w różowym domku. Wtedy do pomieszczenia wszedł Huwei.

– Stój! – wrzasnął, a ja stanęłam jak wryta. – Na demony galaktyki! Co za bałwan wyłączył podświetlenie?

Sięgnął do umieszczonego na lewym przedramieniu skórzanego karwasza, w który miał wbudowany pad, i tuż przede mną pojawiły się grube linie pola siłowego. Wędrowały pod sufit wdzięcznymi łukami,

zebrane u szczytu pulsującą pętlą. Poczułam mrowienie tak silne, że aż włosy stawały dęba.

– Trzymasz córkę w klatce? – spytałam, powoli odsuwając się od żył błękitnego światła.

Huwei parsknęła śmiechem.

– Serio? Wyobrażasz sobie mnie w roli ojca?

Wzruszyłam ramionami. W tej chwili byłam w stanie wyobrazić sobie wszystko.

– To Szczęściara – wyjaśnił, szczerząc zęby. – Dobrze robi na interesy.



Nie miałam wtedy pojęcia, kim... lub czym jest tajemnicza Szczęściara. Huwei najwyraźniej oczekiwał pytań. Wprost płonął z chęci wyjaśnienia mi, o co w tym wszystkim chodzi. Raził mnie ten entuzjazm. Zwłaszcza że dziewczynka w kolorowej sukience najwyraźniej była więźniem.

Przez myśl przemknęło mi pytanie o jej rodziców. I parę innych – bardziej niewygodnych. Ale nie zadałam żadnego. Huwei zawsze dobrze płacił, a to, czego ode mnie oczekiwał, nie było przesadnie ryzykowne ani wymagające. Raczej nudne, jeśli mam być szczerą. Poza tym co miałabym zrobić? Roztoczyć przed nim czar wymowy i przekonać, że to, co wyprawia, jest nie w porządku? Że tak się nie traktuje dzieci? Mała nie wyglądała na głodzoną czy bitą. Była uczesana i ładnie ubrana. Miała huśtawkę, różowy domek, zabawki. Wolałam myśleć, że nie dzieje się nic złego. A przynajmniej nic bardzo złego.

Zmyłam się stamtąd, jak tylko Huwei przekazał mi warunki zlecenia. Tym razem chodziło o transport modyfikowanych ziaren na jedną z pustynnych planet układu MuAD. Na to akurat straż kosmoportu patrzyła przez palce. Mogli mnie z nimi puścić, mogli je skonfiskować. Mało istotne, bo i tak były jedynie przykrywką dla kilku kosmicznie drogich papierowych ksiąg, na handel którymi Rytro nie posiadał zezwolenia. Zapłatą miał być procent od sprzedaży. Opłacalne.

Jak już mówiłam – zmyłam się od razu. Huwei wyglądał na rozczarowanego, że nie zostałam do rana, jak czasem bywało, ale nie próbował mnie namawiać. Może jednak moja twarz wyrażała więcej, niż myślałam.

Zadanie należało do tych banalnie prostych. Na widok skrzyni pełnej podłużnych, lśniących drobinek celnicy zaprezentowali pantomimę porozumiewawczych gestów i uśmiezków, co najmniej jakby występowali w jednym z modnych ostatnio przedstawień z żywymi aktorami. Czekałam cierpliwie, starając się wyglądać na wystraszoną. Zażyczyli sobie piętnaście procent. Zapytałam, czy w naturze czy w kodach, a potem zaczęłam się jękać i trzepotać rękami. Też potrafiłam w aktorstwo.

Huwei żądał wysłania jego kodów przez system przekaźnikowy. Po wzięciu swojej doli puściłam je w drogę z Tegeru. Kolejnego zlecenia miałam szukać – jak zwykle – w węźle przesiadkowym. Ponoć kiedyś, dawno temu, na Starej Ziemi, ogłoszenia o pracy dla specjalistów przybijało się do drzew, które rosły przy skrzyżowaniu ważnych dróg. Jak widać, niewiele się pod tym względem zmieniło.



Po tej robocie Rytro długo nie zapraszał mnie do siebie. A kiedy mówię „długo”, mam na myśli niemal trzy lata. Nie przeszkadzało mi to i nie zastanawiałam się nad powodami. Wystarczyło, że kilka razy spotkaliśmy się na Tegerze w apartamencie, który zwykł nazywać swoim biurem zamiejscowym. Poza tym wykonywałam w tym czasie coraz więcej drobnych, legalnych robótek i to one zaczynały powoli stanowić podstawę mojego utrzymania.

Zaproszenie na rancho Huweia znalazłam w Livijskim Porcie Orbitalnym. Krążył on wokół planety na niskiej orbicie, a za miejsce na tarasie widokowym kazano tu słono płacić. Widok był obłędny i wiem, że niektórzy ludzie potrafili przemierzyć pół znanego nam kosmosu tylko po to, by go zobaczyć. Mnie jednak nad Livię przyciągało coś zupełnie innego – najlepsze doki naprawcze i gigantyczny węzeł przesiadkowy między tunelami nadprzestrzennymi. Wielcy galaktyczni architekci zadbali,



żeby można było stąd skoczyć w niemal każdym kierunku. Idealne skrzyżowanie, choć drzewa tutaj nie istniały.

Krótką, pozbawioną jakichkolwiek szczegółów wiadomość od Rytra czekała na mnie w sieci kosmoportu. Musiałam tylko odstać swoje w kolejce do terminalu, a wcześniej przeczekać dwa dni na redzie, dopóki nie zwolnił się jeden z doków u Marka. Mark zajmował się Sprawiedliwą Wrózką od zawsze. To od niego ją kupiłam.

Przyleciałam tuż przed świtem. Huawei spał, a jeden z jego ludzi zaprowadził mnie do sali audiencyjnej. Tym razem Mała nie siedziała na huśtawce. Właściwie powinna była spać w różowym domku, a zamiast tego tkwiła na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i pochyloną głową. W tamtej chwili nie wyglądała na dziecko i zrozumiałam, że musiała być starsza, niż założyłam przy pierwszym spotkaniu. Lewą dłoń, zaciśniętą w pięść, położyła na kolanie, a prawą ręką szarpała za sprężyste kosmyki. Puszczane natychmiast zwijały się z powrotem. Pręty klatki świeciły zimnym światłem pola siłowego. Ochroniarz wskazał mi barek i wyszedł, by – jak oznajmił – obudzić gospodarza. Zdziwiłam się; jeszcze nigdy Rytro nie kazał przerywać sobie snu z powodu mojego przyjazdu. Wzięłam piwo, ale zaraz je odłożyłam. Mała podniosła głowę i patrzyła na mnie. Jej oczy błyszczały rozpalone gorączką.

– Zabierzesz mnie do domu?

Mówiła cicho, ale bardzo wyraźnie. Zaskoczyła mnie wtedy po raz pierwszy i bynajmniej nie ostatni. Już miałam odpowiedzieć, kiedy do sali wpadł Huawei. W jego spojrzeniu wciąż czaiły się resztki snu, a ciemne włosy sterczały wokół opuchniętej twarzy. Koszulę zapiął krzywo i teraz dopiero wypychał ją w spodnie.

– To takie pilne, że nie mogło poczekać do rana? – spytałam z ciekawioną.

Wzruszył ramionami i unióś rękę, by przeczesać włosy. Potem chwycił butelkę, którą odstawiłam na blat, odkręcił kapsel i wypił do dna.

– Nie spieszyłaś się.

– Nie mieszkam na Livii – przypomniałam mu.

Otworzył usta, ale zaraz je zamknął, jakby uznał, że nie warto się kłócić. Kolejna niepokojąca rzecz dla kogoś, kto go znał. Gestem wskazał mi sofę. Nim usiadłam, do pomieszczenia weszło dwoje służących – kobieta i mężczyzna – a Rytro pomajstrował przy padzie. Świetlne pręty zniknęły. Kobieta podeszła do dziewczynki. Ta nawet nie podniosła głowy, więc niezajoma kucnęła i coś do niej szepnęła. Kiedy dziecko nadal się nie poruszyło, skinęła na towarzysza. Mężczyzna bezceremonialnie podniósł Małą i, przyciskając ją do piersi niczym niemowlę, wyniósł z sali. Kobieta powędrowała za nimi.

– Zabierzesz ją na Ganimę – oznajmił Rytro, kiedy zostaliśmy sami. Gwizdnęłam w udawanym zdziwieniu.

– Emerytura? Tak wcześnie?

Ganima to położona na uboczu lesista planetka. Huwei mówił o niej wtedy, gdy upił się na tyle, by snuć pijackie wizje spokojnej starości, do jakiej było mu w tamtej chwili zdecydowanie daleko. Chciałam go sprowokować, ale całkowicie mnie zignorował.

– Tylko okrężną drogą. Którą dokładnie, zdecyduj sama. Tak, jakbyś musiała zgubić ogon.

– A muszę?

Zaniepokoił mnie. Zlecenie wyglądało coraz gorzej.

– Nie wiem. – Znów wsunął palce we włosy. – Naprawdę. Ale na pewno ci się to opłaci. Jeśli nie wpadniesz.

– A jeśli wpadnę? I nie wykręcaj się, chcę konkretów. Co mi grozi? Przed kim ewentualnie uciekam i jaką rolę gra to dziecko?

– Nagle tak cię to interesuje? – Wysunął podbródek, teraz wyglądał jak nadąsany nastolatek. Skrzywiłam się.

– Bądź poważny, Huwei. Jeśli nie będę wiedziała, kogo unikać, łatwiej wpadnę. Powiedz mi, dlaczego to ważne, inaczej nie będzie mi się chciało nadstawiać karku. To nie przemyt kilku książek!

– Czemu nie? Czemu nie możesz tego potraktować jak zwykłej roboty?

Pytanie było głupie i chyba świadczyło o desperacji. Z tego powodu – choć mnie zirytował – odpowiedziałam spokojnie:

– Bo książki na ten przykład nie są żywe. Nie oddychają, nie jedzą i nie chodzą na siusiu. Nie mogą zamknąć dzieciaka w schowku. Nie na całą podróż. To chyba jasne? Jeśli chcesz, żebym to zrobiła, musisz mi powiedzieć prawdę. Kim ona jest i dlaczego trzymasz ją w klatce? Chcę wiedzieć wszystko. To mój warunek.



Dwie godziny później odlatywaaliśmy w kierunku najbliższego punktu węzłowego. Mała zasnęła w fotelu drugiego pilota, na którym do tej pory nikt nigdy nie siedział, a ja żułam baton żurawinowy i, zerkając na nią od czasu do czasu, rozmyślałam nad tym, czego dowiedziałam się od Huweia.

Rytro dostał dzieciaka od jakiegoś gościa pochodzącego z zapyziałej planетки podwójnego układu Frig. Tamten nie miał pieniędzy, które był winien Huweiewi, a Rytro upił się na smutno i z jakiegoś powodu postanowił mu uwierzyć w historyjkę o dzieciach pochodzących z AG-17-J, które rzekomo posiadały tajemniczą moc. Osobom przebywającym w ich pobliżu wszystko się udawało. Wygrywali w kości, wiodło im się w uczuciach, w interesach. Gdy Huwei, dość niechętnie, zaczął wreszcie zdradzać szczegóły – przedtem wypiwszy drugie piwo – parsknęłam śmiechem.

– To się gościowi upiekło.

– Zamknij się, Rosie – warknął Huwei. – Taka jesteś światowa, a nigdy nie słyszałaś o Szczęściarzach?

Przyznam, że słyszałam różne rzeczy tu i ówdzie, ale jakoś trudno było mi przyjąć, że ktokolwiek jest w stanie uwierzyć w żywe talizmany. Wydęłam usta i miałam właśnie parsknąć po raz drugi – tym razem raczej sztucznie – gdy Huwei nachylił się nad stołem i stuknął mnie w czoło palcem ręki, w której trzymał pustą butelkę.

– Rusz odrobinę tym, co masz tutaj!

Natychmiast zalała mnie fala wściekłości i gwałtownie odtrąciłam jego dłoń. Pusta butelka z brzękiem potoczyła się po stole.

– Przeginasz, Rytro – wyszczałam.

– Bo uważałem cię za bystrą, a okazujesz się bezdennie głupia.

Już miałam unieść się honorem i wyjść, zostawiając Huweia, jego pieniądze i do tego całkiem, jak się wydawało, interesujące zadanie, gdy coś do mnie dotarło. Rytró nie zabił kolesia, który usiłował się wywinąć w tak głupi sposób. Zwykle załatwiał te sprawy bez zbędnych sentymentów. Wszyscy o tym wiedzieli i dlatego mało kto odważał się na tak nierozsądny krok, jak przekroczenie terminu spłaty zobowiązań.

– Dlaczego go nie zabiłeś? – zapytałam, wciskając się głębiej w fotel. Huwei potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia. Właściwie sam sobie zadałem to pytanie, gdy wracałem z dziecakiem do domu. A potem wygrałem w karty z Kwaśnym.

Kwaśny – jak łatwo zgadnąć – wygrywał zawsze. Jedyne powód, by z nim grać, to chęć obalenia mitu. Co jakiś czas ktoś próbował i oczywiście okazywało się, że akurat tego mitu nie można obalić.

– W porządku. – Zaciśnięłam palce na poręczach fotela. – To mnie trochę przekonuje...

Tym razem to Rytró parsknął, przewracając teatralnie oczami. Miał do tego prawo.

– Od tamtej pory wszystko, co załatwiam na miejscu, idzie świetnie. – Rozłożył ręce i westchnął.

– A poza domem?

– Różnie – przyznał. – Myślę, że to zależy od odległości. Po prostu trzeba ją mieć przy sobie.

– To czemu ją odsyłasz? – spytałam ostrożnie.

Huwei znów sięgnął do włosów, ale zaraz się powstrzymał. Zamiast tego oparł ręce na udach i lekko odchylił się do tyłu.

– Przenoszę biznes do podziemia. Dostałem cynk, że się na mnie szykują.

Rytró nigdy nie wymawiał nazwy żadnej organizacji egzekwującej prawo. Pod tajemniczymi „onymi” mogły się kryć miejscowe władze, Gwardia Celna, a nawet Policja Intergalaktyczna.

Przyznam, że wtedy – zasugerowana jego histeryczną reakcją – uznałam, że to ostatnie jest najbardziej prawdopodobne.

- Tak cię wystraszyli, że w dzieciaka przestałeś wierzyć?  
Skrzywił się z politowaniem.  
- Wolę nie sprawdzać, czy poradzi sobie z precyzyjnie wymierzonym strzałem orbitalnym.

Zatkało mnie.

- Z kim ty zadarłeś, Huawei?

Wzruszył ramionami.

- Każdy kiedyś trafia na kogoś mocniejszego. Przyjmijmy, że byłem pierwszy tam, gdzie nie powinienem być w ogóle. Zależy mi na dzieciaku, więc dostarcz ją na Ganimę...

- O twoich planach związanych z Ganimą wie chyba każdy - prze-rwałam mu, ale zamknęłam się natychmiast, kiedy zobaczyłam, jak napinają się mięśnie jego szczęki.

Rytro pochylił się do mnie. W oczach miał lód.

- Dostarcz ją na Ganimę - powiedział powoli, akcentując każde słowo.

Nie dyskutowałam więcej. Wiedziałam, kiedy należy spasować. Zapytałam go jeszcze, jak Mała ma na imię, ale tylko popatrzył na mnie, jakbym wymagała nie wiadomo czego. Wtedy do sali wszedł facet, który wcześniej niósł dziewczynkę, a Huawei natychmiast wstał i gestem nakazał mi to samo.

- Twój statek jest zatankowany. Wody i żarcia masz na pół roku. Raczej nie powinno ci to zająć dużo więcej. - Sięgnął do pada i po chwili w mojej kieszeni zabzyczał komunikator. - Połowa kodów jest już na twoim koncie. Drugie tyle dostaniesz na Ganimie. Możesz ruszać.

Wyjęłam komunikator i szybko sprawdziłam powiadomienia. Przyznam, że mnie zatkało, gdy zobaczyłam liczbę zer w przelewie.

- Powodzenia, Rosie. - Wyciągnął do mnie rękę. - Miło się z tobą pracowało.



Rytm zapłacił tak dobrze, że początkowo nie negowałam sensu jego decyzji nawet w myślach. Jednak im więcej czasu mijało od startu Sprawiedliwej Wróżki, tym więcej miałam wątpliwości. Nie byłam głupia. Jeśli coś było głupie, to jedynie to, co zamierzał zrobić albo raczej – co powiedział mi, że zamierza. Jasne, przesadziłam, twierdząc, że wszyscy wiedzą o Ganimie, lecz z pewnością poza mną istniało co najmniej kilku ludzi, którzy mogliby sobie o niej przypomnieć, zapytani w odpowiedni sposób.

Myślałam nad tym, oddalając się od ostatecznego celu w losowo wybranym kierunku – instrukcję dotyczącą okrężnej drogi potraktowałam bardzo poważnie. Podróż upływała spokojnie. Mała chodziła za mną krok w krok i patrzyła mi na ręce, gdy wprowadzałam dane kursowe. Bez problemu pozwalała, bym zamykała ją w schowku pod koją, kiedy docierałyśmy w pobliże kolejnego portu. Każde wejście do tunelu wzbudzało w niej ogromne emocje. Widziałam to w jej napiętej postawie, szeroko otwartych oczach i przygryzionych wargach. Czasem mruczała coś do siebie, a każdy skok przebiegał tak gładko, jak nigdy do tej pory. Zużywałyśmy minimalną ilość energii, nie odczuwałam żadnego z przykrych efektów ubocznych podróży tunelowej, a Sprawiedliwa Wróżka ani razu nie straciła najmniejszego fragmentu poszycia.

Gdzieś pomiędzy jednym węzłem a drugim zaczęłam uczyć Małą pilotażu. To były dziwne lekcje, bo Mała od początku naszej wspólnej podróży ani razu się nie odezwała. To nie znaczy, że nie reagowała na próby komunikacji. Wprost przeciwnie. Kiwała głową albo wykrzykiwała usta. Wykonywała polecenia, marszczyła czoło i uśmiechała się na wiele różnych sposobów. Miała niezwykle plastyczną twarz i oczy, w których mogłam czytać jak w książce. Owszem, początkowo jej milczenie (zwłaszcza że słyszałam, jak mówi) było irytujące, potem nieco mnie przerażało. A jednak – być może ze względu na mój wcześniejszy tryb życia – szybko się do niego przyzwyczaiłam.

W końcu – jakbym gadała do siebie. A to robiłam niemal ciągle, odkąd zajęłam się przemytem. Różnica polegała na tym, że teraz wypowiedane słowa wracały do mnie odbite od lustra, jakim był drugi człowiek, nawet uparcie milczący. Do tej pory Sprawiedliwa Wróżka i ja

stanowiliśmy domkniętą całość. Z nikim nie musiałam dzielić ciasnej przestrzeni pokładu i nigdy dotąd nie powstało mi w głowie, że brakuje nam towarzystwa. Teraz odkryłam, że cudza obecność wcale nie musi być przykra.

Z wizyty na Lantan wróciłam na pokład obładowana torbami pełnymi ciuchów, a Mała spędziła potem parę godzin na przebierankach.

W Livijskim Porcie Orbitalnym kupiłam odtwarzacz holowidów interaktywnych. Godzinami odgrywałyśmy kolejne wersje scenariuszy proponowanych przez ich autorów. Mała upodobała sobie szczególnie jeden, w którym ludzkim bohaterom towarzyszył pocieszny, długouchy pies o krótkiej biało-rudej sierści. Robiła wszystko, żeby zwierzak przeżył, a kiedy jej się to nie udawało, zaszywała się pod stołem w kambuzie i wychodziła stamtąd dopiero wtedy, gdy wracał jej humor.

Zapasy załadowane przez ludzi Huweia dawno się skończyły, a ja zaczynałam odczuwać niepokój na myśl o moim zleceniodawcy. Dręczyło mnie niejasne wrażenie, że moja rola jest zupełnie inna i że tak naprawdę Rytró wcale nie chce odzyskać Małej. Może to ona była powodem, dla którego ktoś się na niego szykował? Mimo tych myśli wciąż trzymałam się wytycznych.

W punkcie węzłowym na Tegerze spotkałam Gastona, czyli jednego z moich nowych klientów. Zaproponował niewielką robótkę, a ja się zgodziłam. W końcu przewiezienie kilku setek zdjęć na Stację Ekumeni nie mogło zająć zbyt wiele czasu. Ekumeni była dziwnym tworem i, prawdę mówiąc, niewiele o niej wiedziałam. Mówiono, że to rodzaj więzienia, choć nie osadzano tam zwykłych przestępców. Raczej osoby niepożądane. Po co trzeba było przemycać tam zdjęcia krajobrazów – nie miałam pojęcia.

Gaston mówił, że na wszelki wypadek powinnam je ukryć, bo Straż Stacyjna czepia się najdziwniejszych rzeczy. Generalnie, jak powiedział, zwykły drobny przemycik, żeby nie nałożyli jakichś tam opłat, bo wtedy biznes przestanie się kalkulować. Dał mi nazwisko kontaktowe i kody wywoławcze. Prościzna. Tyle że nie, jak się szybko okazało. Na szczęście nie miałam oporów, by wtajemniczyć Małą. Uznałam, że jako członek załogi,

nawet tymczasowy, ma prawo albo i nawet obowiązek wiedzieć o wszystkim. Uśmiechała się szeroko, słuchając; oczy błyszczały jej radością.

Początkowo było łatwo. Kody zadziałały, człowiek, który miał przejąć ładunek, stanął się w doku. A potem, kiedy już skrzynie – pchane przez samojezdny wózek i wypełnione alkoholem, którego użyłyśmy jako kamuflażu – znalazły się na płycie lądowiska, hala rozbrzmiała sygnałem alarmu. Chwilę później – niemal równocześnie z okrzykiem „Stać!” – rozległy się strzały i kontakt padł na ziemię z dziurą w plecach. Teraz wiem, że to musiała być pułapka – wtedy nie miałam czasu na zastanowienie. Po prostu zawróciłam w stronę włazu. Jak tylko przeskoczyłam próg, Sprawiedliwa Wróżka rozpoczęła wznoszenie. Uszy rozrywało mi upiorne wycie, z trudem łapałam równowagę na rozkołysanym pokładzie, a mózg wypełniały walczące o pierwszeństwo myśli. Nim dotarłam do kokpitu, została pojedyncza refleksja: gdyby nie było ze mną Małej, najpewniej leżałabym teraz martwa.

Niebezpieczeństwo bynajmniej nie znikło i kiedy opadłam ciężko na swój fotel, natychmiast sięgnęłam do sterów. Mała posłała mi znaczące spojrzenie i pokręciła głową. Posłuchałam jej, a chwilę później pospiesznie zapinałam pasy. W tym czasie leciałyśmy już ostro w górę, przyspieszenie zginało mi płuca, w ustach czułam posmak żelaza. Mała mamrotała coś pod nosem, choć raczej nie był to język, który miałam szansę zrozumieć.

Za nami szedł pościg. Na głównym ekranie widziałam każdy pocisk, który wystrzelili w kierunku statku. Z Małą za sterami Sprawiedliwa Wróżka robiła uniki, jakby była skoordynowana z wrogimi systemami namierzania. Patrzyłam z fascynacją na skupioną twarz dziewczynki i tańczące sprężyny czarnych loków. Jednocześnie wiedziałam, że nie uciekniemy. Zatrzyma nas stacja skokowa, bo ucieczka w otwartą pustkę kosmosu była bezsensowna. Nie miałam racji. Dotarłyśmy do bramy akurat, gdy rozpoczęto procedurę otwarcia. Niewielki holownik klasy StarFire szykował się do przejścia. Sprawiedliwa Wróżka nie była większa od niego. Po prostu wślizgnęłyśmy się bez kolejki, a kokpit wypełnił śmiech Małej.



Adrenalina zesłała ze mnie w pełni dopiero dwa węzły dalej. Zegar pokładowy wskazywał porę kolacji, więc zjadłyśmy po batonie energetycznym, a potem ustawiłam autopilota na Livię, z której zamierzałam skoczyć do układu Ganimy. Uznałam, że chrzanić wrażenia i przeczucia, dość wygłupów, czas najwyższy doprowadzić zadanie do końca. Kazałam Małej pójść spać. Zasnęłam zaraz po niej, w trybie natychmiastowym, jakby przyłożenie głowy do poduszki wyłączyło jakiś pstryczek.

Śniło mi się, że Mała przyszła do mnie i usiadła obok na koi. Wyciągnęła ręce i, patrząc mi prosto w oczy, położyła je na moim czole. Czułam suche i chłodne palce, a przede mną pojawiły się obrazy.

Widziałam Małą bawiącą się z innymi dziećmi. Biegała między kolorowymi namiotami, chowała się pod wozami ukrytymi pośród drzew. Usłyszałam, jak ktoś wymawia jej imię, którego nie dałabym rady powtórzyć, a potem poczułam radość, gdy dziewczynka podbiegła do matki, by wziąć od niej torbę miękkich, czerwonych owoców skrywających wewnątrz twardą pestkę.

Obrazy przeskakiwały przed moimi oczami coraz szybciej. Kolorowa karuzela dzieciństwa. Zdarte kolano, kleks na środku liniowanej kartki, si-korka w klatce.

I nagle coś się zmieniło.

Ktoś ciągnął Małą, która opierała się z całych sił i próbowała krzy-  
czeć, lecz szorstka dłoń zasłaniała jej usta. Smakowała potem i tytoniem. Wiem, bo Mała ją ugryzła, w zamian za co silne uderzenie pozbawiło ją przytomności.

Potem obie słuchałyśmy rozmowy o dzieciach z zapomnianej pla-  
nety, które przynosiły szczęście. Potem podróżowałyśmy długo. Bardzo  
długo. Jeszcze potem nad naszą głowę rozpięto pręty klatki pola siłowe-  
go i niebo przestało dla nas istnieć. To był długi, bardzo długi sen.



Ocknęłam się równie gwałtownie, jak zasnęłam.

I zobaczyłam ją. Siedziała na brzegu mojej koi, przechylała głowę na bok i patrzyła na mnie błyszczącymi w ciemności oczami. Powinnam się była wystraszyć – jej schówek skonstruowano tak, że nie mogła z niego wyjść, póki ja nie wstałam. Zamiast tego zapytałam jedynie:

– Jak?

Mała odpowiedziała niepewnym uśmiechem.

Niczym w dopiero przeżytym śnie położyła ręce na moim czole. Ponownie zalała mnie fala wizji. Teraz znałam już nie tylko imię Małej, ale imiona jej rodzeństwa, a także nazwisko, wiek, zawód matki. Wiedziałam, jak mieszkańcy nazywają planetę o dwóch księżycach, z której pochodziła, i to, jak bardzo lubiła przyglądać się Jesiennemu, gdy wschodził i ciągnął za sobą mniejszego brata. Pamiętałam każdy dzień, gdy tęskniła za niebem i rodziną. Bałam się z nią, cieszyłam się z nią i razem z nią zaciskałam zęby, żeby nie płakać. Kiedy w końcu to nakładanie barw na wcześniejszy szary sen się skończyło, długo milczałam, słuchając szumu we własnych uszach i cichego oddechu Małej.

– W każdej chwili mogłaś przejść przez pole siłowe u Huweia... – powiedziałam w końcu, siadając powoli.

Przytaknęła, a ja przełknęłam ślinę.

– Ale tego nie zrobiłaś, czemu?

Uniosła lekko ramiona i zeszywniała na ułamek sekundy. Trochę jakby chciała nimi wzruszyć, ale się rozmyśliła. Opuściła je na powrót i przechyliła głowę. Myślała.

– I tak nie umiałabyś wrócić – odpowiedziałam sama, a Mała natychmiast się rozpromieniła.

– Zabierzesz mnie do domu?



Od tamtej pobudki minęły dwa miesiące. Z Livii – jak łatwo się domyślić – nie skoczyłyśmy do układu Ganimy, ale nie ruszyłyśmy też najprostszą drogą na AG-17-J oznaczoną na najnowszych mapach gwiazdnych jako Sheda. Próbowałam sobie wmawiać, że to dlatego, że ktoś może nas

przecież śledzić i nie byłoby najmądrzej ciągnąć go ze sobą na ojczystą planetę Małej. Owszem, brzmiało to głupio nawet dla mnie, więc nigdy nie powiedziałam tego na głos. Jakby robiło to jakąkolwiek różnicę w obliczu faktu, że Mała najwyraźniej dobrze znała moje myśli.

Pytanie padało w nieregularnych odstępach czasu. Mała zmieniała intonację, tempo i natężenie. I za każdym razem patrzyła na mnie, nie mrugając, a ja nie odpowiadałam.

Wstydziłam się odpowiedzi.

Nie pasowała do mnie.

Rosie Heyrdal, jaką znałam, powinna się zastanawiać tylko nad tym, czy zerwanie umowy – nawet tak podejrzanej – nie zaszkodzi jej nieposzlakowanej opinii u zleceniodawców. Mogłaby też rozważyć, jak bardzo groźny jest Huawei Rytro i czy na pewno chce z nim zadzierać. A potem ustawiłaby kurs na Shedę i oddała Małej życie, które jakiś dureń uznał za stosowne zawłaszczyć.

Tak właśnie powinnam była zrobić.

Ale nie potrafiłam. Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie dziś.

Stałam oparta biodrem o blat stołu i ścisłałam lepką szklanekę w odrętwiałych palcach. Wokół mnie unosiły się te wszystkie dźwięki i zapachy, jakie Sprawiedliwa Wróżka wydawała z siebie podczas lotów. Syki, trzaski i delikatne wibracje generowane przez silniki, smar i rozgrzany metal w filtrowanym wielokrotnie powietrzu. I nowa nuta, która pojawiła się blisko rok temu. Nauczona własnego statku do perfekcji wyczuwałam ją bez wysiłku. Niepasujący do ciasnego wnętrza puszek sunącej przez kosmiczny mrok, zapach ziemi i mokrych liści. Zapach, którego będzie mi brakować.

Zapach Małej – zapach domu.

## **Anna Hrycyszyn**

Rocznik 1978, gliwiczanka, z wykształcenia tyflopedagog. Szczur łądowy beznadziejnie zakochany w morzach, statkach i okrętach, a do

tego wielbicielka rewolucji przemysłowej i architektury obronnej. Echa tych fascynacji pojawiają się w jej tekstach. Dumny członek Sekcji Literackiej Śląskiego Klubu Fantastyki. Moderator na forum Literka. Autorka powieści steampunkowej „Zatopić Niezatapialną”.  
Ma kota.

# BUDZENIE ZMARŁYCH

Filip Laskowski

Mateusz obudził się z poderżniętym gardłem. Zdążył jeszcze zobaczyć ostrze bagnetu i krew chlustającą z okropnej rany, a potem runął w ciemność, która po przebudzeniu zmieniła się w śmierzdzący barłóg ze szmat. Zerwał się z krzykiem, a potrącona okopowa lampka zagrzecotała na betonowej podłodze. Stracił równowagę na rozlanym oleju, podłoga uciekła spod jego bosych stóp i chłopiec runął na beton.

– To tylko zły sen – wyszeptał. – To tylko zły sen.

Takie rzeczy zdarzały się innym. Ale nie jemu. Nie Mateuszowi.

Krzyk chłopca obudził matkę. W zimnej ciemności nachyliła się nad synem i powtórzyła:

– To tylko zły sen...

Odepchnął ją, a potem schował dłonie pod pachy, żeby nie widziała, jak drżę. Kiedy już sobie poszła, zdjął cuchnący strachem podkoszulek i na czworakach wrócił do swojego barłogu. Ułożył się pod mokrym od potu kocem, przykrył po samą głowę i skulony czekał na nadejście świtu. Matka jeszcze spała, kiedy otworzył oczy z przeczuciem, że słońce już wzeszło.

Zapytany o wiek, Mateusz przyznawał się do piętnastu lat, ale matka twierdziła, że jest trochę młodszy. Właściwie nie była pewna, bo jej mały chłopiec tak szybko rósł. Na wszelki wypadek po jego dziesiątych

urodzinach (według rachuby Mateusza: po jedenastych) rozwiesiła w poprzek baraku zasłonę z pozszywanych jutowych worków. „Mój mały chłopiec chce być dorosły” – powtarzała złośliwie. Mały chłopiec przygryzał wargi i nic nie mówił, tylko po raz kolejny zawzięcie rozkładał, przecierał szmatką i ponownie składał karabin odziedziczony po ojcu.

Stary kałasznikow przyjemnie ciążył w dłoniach. W magazynku zostały tylko dwa naboje, reszta już dawno rozeszła się na jedzenie, czynsz, drewno do piecyka, czasem na nowe ubranie i raz na buty, które Mateusz dostał na ósme urodziny. Matka specjalnie kupiła kamasze o trzy numery za duże, żeby wystarczyły na parę następnych lat. W tym roku Mateusz musiał włożyć do nich kartonowe wkładki, bo podeszwy zupełnie się przecierały na betonowej podłodze schronu.

Chłopiec usiadł, w ciemnościach znalazł śmierzzące buty, po czym założył je ze wstrętem. Dociągnął sznurowadła. Jedno pękło, więc – klnąc cicho pod nosem – związał cholewkę kawałkiem drutu. Wstał i przetarł zaropiałe oczy. Westchnął.

Mały chłopiec był gotowy na nadejście kolejnego dnia.

Wciągnął na grzbiet bluzę od maskalatu i zarzucił stary koc na ramiona. Potem spróbował oddechem wzbudzić płomień w wygasłym palenisku, ale tylko wzniosła się chmura popiołu i zaczął kaszleć. Śpiąca za zasłoną matka poruszyła się niespokojnie. Mateusz wygrzebał z kuchenki małą węgielek, rozdmuchał żar i przytknął do knota lampki. Podniósł się słaby płomień, a w jego świetle ukazały się cienie stołu, metalowej szafki, miednicy na stojaku i karabinu opartego o ścianę. Na jutowej zasłonie pojawił się cień śpiącej matki.

Mateusz przykucnął nad lampką z miską cienkiej zupy odlanej z garnka. Dla niego będzie to jedyny posiłek przez kilka najbliższych godzin. W garnku zostało już niewiele jedzenia dla matki, ale ona nie będzie narzekać. Jej mały chłopiec musiał mieć siły do pracy, inaczej umrą. Obok kuchenki leżała żalosna sterta drewna kupionego za kilka zarobionych spłonek. Na kaszę również zapracował Mateusz. I na kawałek mięsa, który wspólnie zjedli w poprzednim tygodniu. Mały chłopiec musiał pracować, bo ona już nie miała siły.

Nagle zrobiło mu się żal tej starej kobiety, która resztę życia spędzi w zatęchłym półmroku schronu. Odstawił miskę z niedojedzoną zupą, pochylił się przy piecyku, ze sterty drewna wybrał kilka drasek i ułożył w palenisku. Za pomocą kawałka gazety przeniósł płomyk lampki do piecyka. W całym schronie wszystkie rury piecyków były spięte w jeden system kominowy, zapewniający dobry ciąg i ochronę przed zaccadzeniem. Wkrótce ogień trząskał w palenisku, napełniając ciepłem i światłem lichej barak.

Matka się ucieszy po przebudzeniu.

Mateusz, w słabym świetle lampki, z podkrążonymi oczyma i zapadniętą twarzą, przypominał zagłodzone dziecko lub więźnia podziemnego obozu. Jego ciało powoli traciło proporcje: ręce i nogi zdawały się być nienaturalnie długie, a wygolona do skóry głowa zbyt duża. W mętnych oczach chłopca odbijało się słabe światło lampki.

Gdy zjadł, założył stary wojskowy płaszcz, na plecach zawiesił kałasznikowa, wełniane rękawiczki bez palców wcisnął za pasek. Wyszedł przed barak z długą, wierzbową laską opartą na ramieniu. Zabrał też wiadro na nieczystości, żeby wylać je po drodze. Stał już na progu, gdy usłyszał zaspany głos matki:

– Nie musisz tego robić...

– Mamo, weź! – Mateusz potrząsnął głową. – Zajdę na trochę do Josipów.

– Ciągnie cię do nich... Oj, ciągnie...

Nie odpowiedział, bo nie warto było nic mówić. Oboje wiedzieli, że ze wszystkich znanych światów najbardziej ciągnęło go do tego śmierdzącego nagarem, wyprawioną skórą, potem i smarem do broni. Do świata, gdzie szcękają odciągane suwadła w karabinach, brzęczą butelki z bimbrem, a każda wypowiedź jest krótka jak wystrzał z kałasznikowa. Ciągnęło go do świata Josipów.

Tymczasem za progiem już czekał strupieszwały świat, który również trzeba było pokonać.

Po zamknięciu drzwi Mateusz z niepokojem popatrzył na ścianę przy wejściu. Cień mordercy, gdy pojawi się za plecami, żeby poderżnąć chłopcu gardło, będzie większy od jego własnego. Wchłonie chłopca

i zepchnie w ciemność, z której nie można się już obudzić. Ponieważ nic takiego jednak się nie stało, Mateusz z ulgą zagłębił się w gąszcz baraków.

Przed śmierdzącą toaletą czekało już kilku ludzi. Mateusz również odstał swoje, a gdy przyszła jego kolej, na jednym wdechu wszedł do środka i wylał nieczystości. Z pustym wiadrem wrócił do baraku. Zostawił je przed progiem, by nie budzić matki.

Wolnym krokiem udał się na niższy poziom schronu, gdzie stały dwa rzędy baraków, przedzielone wąską uliczką zaslaną śmieciami. Za cienkimi ścianami z drewna i blachy spali ludzie, którym życie wyraźnie się nie udało.

Mateusz nie miał im nic mądrego do powiedzenia. Sam jeszcze mocno wierzył, że potrafi odmienić własny los, a droga do szczęścia wiedzie krętymi drózkami wydeptanymi przez wszystkich Josipów tego świata. To na nich zawsze czekała miska ciepłego jedzenia, butelka wódki i dobre słowo.

Mateusz nie był głupi: umiał pisać, trochę czytać, a liczyć nauczył się w szkółce zakonnej na trzecim poziomie schronu. Już dawno wykombinował, która ścieżka będzie dla niego najlepsza. I tylko ten strach, który najpierw trzeba pokonać, mącił myśli chłopca.

Szedł, nasłuchując oddechów śpiących ludzi. Usłyszał kilka zaspanych rozmów, a zza drzwi jednego z baraków dobiegły do niego stłumione kobiece jęki. Uśmiechnął się pod nosem.

Mechaniczny zegar wskazywał czwartą dwadzieścia.

*Niedługo koniec ciszy nocnej. Czas po raz ostatni zabrać się do pracy.*

Ze zmiętej kartki, wyjętej z kieszeni płaszcza, odczytał numery baraków. Dziś była środa, więc powinien obudzić dwadzieścia trzy osoby pracujące na rannej zmianie. Postanowił rozpocząć od robotników z Oczyszczalni. Udał się pod wybrany barak, dla pewności odczytał cyfry zapisane wyblakłą farbą na ścianie i delikatnie zastukał laską w drzwi. Odczekał chwilę i stuknął ponownie.

– Spierdalaj, gówniarzu!



Teraz Mateusz rąbnął w drzwi baraku z całej siły. Odezwał się blaszany dach, w środku zabręczały łyżki spadające z kołków na ścianie, ktoś ohydnie zaklął.

– Wszyscy już wstali? – rzucił chłopiec w ciemność za uchylonymi drzwiami.

Nikt nie odpowiedział. Mateusz nie ustępował.

– Wszyscy wstali?

– Tak, spierdalaj!

Na twarzy Mateusza pojawił się uśmiech. Stary Wir już się obudził i teraz sklął chłopca za wczesną pobudkę. Wciąż z uśmiechem na ustach Mateusz udał się do kolejnego baraku z listy. Zastukał dwukrotnie, odczekał, a potem stuknął ponownie. Poczekał jeszcze chwilę, zanim delikatnie pchnął drzwi. Zaledwie stanął na progu, gdy w jego stronę poleciał ciężki buciur. Uchylił się w ostatniej chwili. W ślad za butem poleciało też głośne przekleństwo.

– Won! – warknął mężczyzna leżący na podłodze. – I oddaj buta, łązęgo!

Tuż przed piątą Mateusz dotarł pod barak starego Kukacza. Stojąc w świetle uchylonych drzwi, dwukrotnie uderzył laską w swój cień na podłodze. Po trzecim stuknięciu Kukacz otworzył oczy.

– Już wystarczy... – szepnął. – Tym waleniem obudziłbyś umarłego... A ja przecież jeszcze żyję.

– Widzę.

– Idziesz do nich?

– Idę.

Mateusz starannie zamknął drzwi. Przez następną godzinę z kartką w ręku przemierzał schron, stukał w wybrane drzwi, cierpliwie przyjmował przekleństwa i odchodził. Tylko raz usłyszał podziękowania.

Na końcu skierował kroki pod barak szwaczek. Postać trochę przed wejściem, zasłuchany w roześmiane głosy dziewcząt szykujących się do pracy. Po chwili drzwi się otworzyły i owionął go delikatny zapach młodych kobiet. Z przyjemnością zamknął oczy, a kiedy otworzył je ponownie, w uchylonych drzwiach baraku stała jego lw. W podziemnym

schronie, gdzie ludzie już dawno zmarnieli i stracili kolory, dla Mateusza ona wciąż pozostawała piękna.

– Stukacz! – Zaśmiała się i pogłaskała go po twarzy. – Na co czekasz? Wchodź.

Po chwili siedział wśród sześciu młodych kobiet, otoczony ich radosną paplaniną i zapachem. Były ubrane w zgrzebne robocze drelichy, a włosy skryły pod chustami. Iw usiadła na kolanach Mateusza. Dziewczęta wciąż się śmiały. Kiedy wyszły i został tylko z nią, dostał kilka całusów i mógł przez bluzę dotykać jej piersi. Potem dostał po łapach. Nie odpuszczał: rozpiął już dwa guziki jej spodni, kiedy złapała go za nadgarstki.

– Przestań! – mruknęła. – Musimy pogadać.

Wyciągnęła rękę ponad ramieniem chłopca i zmniejszyła płomyk lampy. Pocałował ją szybko, bo wiedział, że za chwilę zrobi się smutno.

– Kocham cię – szepnęła.

Właśnie zrobiło się smutno.

– Naprawdę do nich idziesz? – zapytała z wyrzutem. – Dlaczego?

– Bo tak trzeba.

Jej twarz spoważniała. Popatrzyła w oczy Mateusza, a potem zeszła z jego kolan.

– Chodźmy! – zarządziła. – Muszę dogonić dziewczyny.

Szli między barakami, trzymając się za ręce. Iw nuciła jakąś starą piosenkę. Przed drzwiami szwalni Mateusz dostał jeszcze całusa, a potem został sam. Odchodząc, musnął dłonią jej biodro. Zaśmiała się cicho.

W drodze powrotnej zapragnął chociaż na chwilę zajrzeć do Josipów. Poczuć ten dobrze znany zapach metalu i starego prochu. Może zdąży porozmawiać ze starym Wojniczem. Barak mieścił się tuż przy wejściu do schronu, żeby każdy Josip miał blisko na powierzchni. W środku paliła się mała lampka naftowa i słychać było zaspane głosy. Mateusz dobrze wiedział, że nie trzeba ich budzić – może nigdy nie zasypiają? – dlatego zostawił drewnianą laskę przed drzwiami i delikatnie zapukał. Odpowiedział mu nerwowy śmiech starego Wojnicza.

– Wchodź, Mateusz.

Chłopiec nieśmiało przestąpił próg.

- Skąd pan wiedział, że to ja?
- A kto może tu przyjść o tej porze?

Pod ścianką baraku, rozparci za szerokim stołem, siedzieli Josipowie. Mateusz znał ich wszystkich: starego Wojnicza, Gintera i Balabanowa, którego szczerze nie lubił. Chłopiec rozejrzał się niepewnie.

- Gdzie reszta? - zapytał. - Jeszcze nie wrócili?
- Ano, jeszcze nie.
- Dziwne.

Pozostali ponuro pokiwali głowami. Przecież oddzwoniono już godzinę szóstą, a nocna zmiana jeszcze nie wróciła. Dziwne. Znów kiwnęli głowami. Stary Wojnicz spojrzął na Balabanowa i powiedział:

- Może idźcie po nich...
- Tak trzeba będzie zrobić. - Balabanow wstał od stołu. Poprawił ciężki pas na biodrach i kiwnął na Gintera. - Chodź. Trzeba zapracować na dniówkę.

W milczeniu ruszyli do drzwi. Przypominali bestie z najgorszych snów: opatuleni w szmaty, w ciężkich butach nabijanych kolcami i z kałasznikowami w rękach szli w szczękę oporządzenia, z ciężkimi oddechami ludzi gotowych na wszystko. Po drodze poprawiali jeszcze ładownice, dopinali sprzączki, regulowali paski karabinów i sprawdzali, czy znienawidzone bagnety wystarczająco szybko wysuwają się z pochew. Mateusz pokornie ustąpił im z drogi. Po wyjściu dwójki Josipów spojrzął niepewnie na Wojnicza.

- Myśli pan, że stało się coś złego?
- Na pewno. Powinni już wrócić. - Wojnicz popatrzył gniewnie na Mateusza. - Nie stój jak pizda, siadaj - mruknął.

Mateusz odpowiedział wściekłym spojrzeniem, po czym zajął miejsce po drugiej stronie stołu. Wojnicz postawił przed nim musztardówkę i nalał do połowy bimbrowa z butelki.

- Masz... - mruknął.

Chłopiec upił odrobinę, a potem się zakrztusił, wzbudzając śmiech Wojnicza. Stary Josip wyciągnął z kieszeni pomiętego papierosa, a przed zapaleniem wychylił resztę bimbrowa z musztardówki.

- Masz ten swój karabin? – zapytał.

- Mam.

- Pokaż.

Po dokładnym sprawdzeniu przez starego Josipa, wysłużony kałasznikow spoczął na stole.

- Nada się. – Wojnicz wskazał karabin. – Ile masz amunicji?

- Dwa naboje.

- Dostaniesz cały magazynek, ale do rozliczenia po powrocie.

Żeby mi tylko żadna sztuka nie zniknęła!

Mateusz natychmiast zapewnił, że nie zniknie.

- Na pewno chcesz tę robotę?

- Tak!

- Gadasz jak panna młoda... – Stary Josip rozwiązał dłońmi dym. –

Wiesz, taka, co by chciała, ale się boi. Znasz takie?

Chłopiec pokręcił głową. Nie znał.

- Ja też nie. Ale podobno kiedyś bały się pierwszej nocy. Ty się boisz?

- Nie boję! – skłamał Mateusz.

- To bardzo głupio z twojej strony. Nocy trzeba się bać. Zwłaszcza tuż przed świtem. Mówiłem ci już, dlaczego trzeba się bać przedświtą?

Mateusz znów pokręcił głową. Nigdy nie słyszał tej historii.

- Więc ci opowiem. – Wojnicz oparł dłoń z dymiącym papierosem na stole. – Dla śpiącego człowieka to najgorszy czas. I dla nas najgorszy, chociaż nie śpimy. To wtedy wychodzi całe zmęczenie. To wtedy najbardziej kleją się oczy, a to kurewskie zimno wreszcie jest mniej dokuczliwe. Nie słychać też żadnych dźwięków. Człowiek staje się obojętny. Już tylko wyczekuje powrotu do schronu. – Stary Josip zamilkł. Mocno zaciągnął się dymem i mruknął: – Dlatego oni zawsze przychodzą o tej porze...

- Kto?

Wojnicz wzruszył ramionami.

- Czy to ważne? Oni.

- Ale kto?

- Nie pytaj jak mały zasraniec. Przecież nie wiemy, skąd są ci ludzie.

Zresztą ta wiedza nie jest nam do niczego potrzebna. – Wojnicz ze złością

rozkruszył papierosa, a niedopałek schował do kieszeni. – Poczekaj chwilę – warknął. Wstał i spojrzął na chłopca. – Muszę rozprostować kości. To od tego zimna. Za moment znowu będę gadał.

Wojnicz przeciągnął się leniwie, a potem zaczął wolno spacerować za plecami Mateusza. Znużony chłopiec odwrócił wzrok. Przymknął oczy i spróbował sobie wyobrazić, jak wygląda naga lw, gdy stary Wojnicz złapał go od tyłu za gardło.

Miał potwornie silny uścisk dłoni. Jedną ręką przyciągnął głowę chłopca do piersi, a drugą sięgnął po znienawidzony bagnet. Ostrze błysnęło przed twarzą Mateusza.

– Oto koniec opowieści – wychrypiał Wojnicz. – Wszystkie kończą się tak samo.

I wtedy Mateusz zaczął walczyć: z całej siły zacisnął palce na ręce z bagnetem i targnął się w przód, a potem w tył, uderzając głową w pierś Wojnicza. Upadli na podłogę. Stary oplótł chłopca nogami, jednocześnie dusząc go przedramieniem.

– Urznię ci łeb, mały zasrańcu... – wycharczał. – Urznię...

Mateusz nie odpuszczał: unieruchomił rękę Wojnicza, próbował wykręcić. Z wysiłku nabrzmiały żyły na jego skroniach, a twarz pociemniała. Walczył o każdy oddech. Wojnicz miał silne ręce i znał się na tej robocie.

Dłoń z bagnetem znalazła się tuż przed oczami chłopca. Mateusz przyciągnął ją bliżej, a potem wbił zęby w nadgarstek Josipa. Odpowiedział mu okrzyk bólu. Nacisk na gardło zelżał. Mateusz natychmiast to wykorzystał: wyrwał się z uścisku i odturlał pod ścianę. Był wolny. I miał w rękę bagnet Josipa.

Stary Wojnicz leżał na plecach. Oddychał z wyraźnym trudem. W końcu przewrócił się na bok i oparł na łokciu.

– Zawzięty z ciebie bydlak... – mruknął z uznaniem. – Ty też się nadasz. Tak jak ten twój karabin.

Mateusz tylko machnął ręką. Również nie mógł złapać powietrza. Wojnicz z wysiłkiem usiadł na podłodze.

– Rozumiesz, co do ciebie przed chwilą powiedziałem?

Mateusz szybko odpowiedział, że rozumie każde słowo.

- To dobrze. Oddaj bagnet. I pomóż mi wstać.

Kiedy znów usiedli po przeciwnych stronach stołu, Wojnicz odchylił głowę, ukazując obrzydliwą bliznę biegnącą w poprzek gardła.

- Widzisz? - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Tak mnie załatwili lata temu. Od ucha do ucha. - Stuknął czubkiem bagnetu w grdykę. - Tak się kończy trzecia część nocy...

Pokręcił głową, aż zachrzęściły kręgi szyjne, i spojrzał na Mateusza.

- Przez pięć tygodni nosiłem w gardle rurkę zaprawioną przez naszego doktora. Do dziś nie mogę dobrze przełykać. Ale żyję. I tylko to się liczy.

Ponad stołem podał Mateuszowi musztardówkę z bimbrem.

- Na pewno zrozumiałeś, co do ciebie powiedziałem?

- Tak. Chyba tak.

- I nadal chcesz tę robotę?

Chłopiec tylko kiwnął głową.

Po wyjściu Mateusz szybko się zorientował, że nie zdąży już nawet na chwilę wrócić do matki, bo o siódmej zaczynała się jego ostatnia zmiana w Oczyszczalni.

*Będzie gadać - pomyślał. A niech gada, bo to raz!*

Dlatego udał się wprost do baraku na trzecim poziomie, gdzie niedługo miał stanąć przy stole, na którym szperacze układali dobra znośzone z powierzchni. Nieme ślady rzeczywistości nieodwołalnie minionej. Każdy przedmiot był oglądany ze wszystkich stron, drobiazgowo czyszczony, a potem trafiał do rąk brygadzysty, który szacował jego wartość i, lekko sepleniąc, określał przydatność: to do rozebrania na części, to do naprawy, to do sprzedania, a to do wyrzucenia, bo szmelc.

Dla Mateusza to był kolejny świat, z którym musiał się pożegnać.

Czas wyrwać się ze wszystkich znanych światów: zamkniętych wraz z matką w czterech ścianach baraku, wypełnionych ludźmi o poszarzałych twarzach, rozbrzmiewających stukaniem wierzbowych lasek i szmerem piasku na pamiątkach z przeszłości.

Była w Mateuszu zadziwiająca pasja nakazująca każdego dnia powstanie z zimnego barłogu, zasznurowanie butów, wędrownkę o świcie

między śpiącymi barakami, sortowanie niekończącego się korowodu martwych przedmiotów; było marzenie o dotknięciu nagich piersi Iw; była siła nakazująca rąbanie drewna w ciemnościach, targowanie z handlarzami o każdy kawałek chleba lub wiązkę chrustu, w końcu bezcelowe codzienne czyszczenie karabinu po ojcu. Było też pragnienie odmiany własnego losu, do którego wiodły ślady wydeptane w śniegu przez wszystkich Josipów tego świata.

Bite pięć godzin przekładał przeróżne drobiazgi, aż pod koniec zmiany zawołał go jeden z robotników. Pokazał chłopcu zniszczoną książkę.

- Jaki tytuł? – zapytał Mateusz z ciekawością.
- „Archipelag Gułag”.
- Nie znam. Gatunek?
- Powieść współczesna... jak dla mnie. Chcesz przeczytać?
- Nie.

Książka spoczęła na stercie skarbów. Została oszacowana jako rzecz ciesząca oko, ale zupełnie nieprzydatna. Na koniec zmiany Mateusz pożegnał się również z tym światem: uścisnął dłoń brygadzysty, pogadał chwilę z innymi robotnikami, po czym cicho zamknął za sobą drzwi.

Po pracy Mateusz kupił niedopałek papierosa od ulicznego handlarza, żeby potem zaszyć się w jakimś cichym kącie i pomarzyć o Iw. Wracając do baraku, zaszedł do Josipów, którzy znów siedzieli przy stole i kłócili się zawzięcie. Byli wśród nich dwaj wartownicy z nocnej zmiany, Arctowski i Mendel. Wojnicz wskazał ich ręką.

- Znaleźli ślady na śniegu – powiedział. – Ktoś kręcił się przy wejściu do schronu.

- Co teraz?
- Wojnicz westchnął.
- Bez zmian. Zaczynasz dziś w nocy.

Balabanow uderzył ręką w stół. Spojrzał groźnie na chłopca, potem na Wojnicza.

- Nie chcę iść z tym gówniarzem! – warknął.
- Ale pójdziesz.

Mężczyzna podniósł się na nogi.

– Nie słyszałeś? Kręcą się tu obcy, a ty wysyłasz chłopaka na pierwszą wartę? Pojechało cię?

– Siadaj. – Wojnicz nawet nie spojrzął na Balabanowa. – To już postanowione.

Kiedy Balabanow ponownie usiadł, Wojnicz zwrócił się do chłopca:

– A ty idź spać. Robota czeka. Masz tu być przed północą.

I już. Dokonało się. Oszołomiony Mateusz wyszedł z baraku Josipów i skierował kroki do baraku szwaczek. To jedyny świat, z którym nie zamierzał się żegnać. Wręcz przeciwnie: uważał, że młody Josip doskonale pasuje do tego miejsca pachnącego dziewczętami. Potem siedział wśród nich i niewiele mówił, więcej słuchał, a najbardziej chciał je wszystkie pogonić i zostać tylko z lw.

Patrzył na swoje schodzone buciory i milczał. Lw dotknęła jego ręki.

– Powiedz coś...

– Idę do Josipów. Wojnicz się zgodził.

Lw gwałtownie cofnęła dłoń.

– Nie tak miało być... – wyszeptala. – Nie tak.

Dziewczęta umilkły. Zerkały na Mateusza z głupimi uśmiechami. Trochę zazdrościły lw, a może już jej współczuły.

– Nie możesz tego zrobić. Nie ty!

Mateusz, chociaż gotował się w środku, zaczął cierpliwie tłumaczyć. Powoli zyskiwał przewagę w tej rozmowie. Kiedy był prawie pewny, że lw się zgodzi, dziewczyna powiedziała:

– Nie możesz tego zrobić.

Mateusz zaczął ponownie tłumaczyć, że dzięki pracy Josipa będą mieli więcej wszystkiego: więcej jedzenia, więcej drewna opałowego, więcej lekarstw na schorowane nogi matki.

– Nie – przerwała lw. – Mówiłeś, że ona już się nie liczy. Że teraz ja jestem najważniejsza! A ja nie chcę, żebyś tam poszedł!

Dziewczęta niepewnie patrzyły na siebie nawzajem. Nie bardzo wiedziały, dokąd mogłyby iść, więc czekały. I nasłuchiwały uważnie. Lw milczała. Mateusz również.



– Pójdę już – powiedział w końcu. – Muszę się wyspać.

Iw pokiwała głową.

– Jasne. Idź.

Odprowadziła go do wyjścia i pożegnała chłodno. Mateusz przystanął za progiem, ale Iw zamknęła drzwi tuż przed jego nosem. Chłopiec tylko wzruszył ramionami. Młody Josip zamierzał tu wrócić.

Przed wejściem do baraku na Mateusza czekał chłopiec. Miał zaledwie kilka lat, ale udawał, że jest starszy: dumnie paradował w za luźnych ubraniach i robił groźne miny. Jego zbyt duże buty smutno człapały po betonie. Spoglądał groźnie na Mateusza, ale jego głos był wylękniiony.

– Podobno idziesz do nowej roboty?

– No. Idę.

– A czy ja będę mógł teraz budzić ludzi?

– A chcesz?

– No.

– To zaczekaj tu chwilę.

Mateusz wyniósł z baraku swoją wierzbową laskę i wręczył ją chłopcu wraz z pomietą kartką. Chciał jeszcze potargać mu włosy, ale malec cofnął głowę.

– Jest jeszcze coś... – mruknął Mateusz.

Wyciągnął kartkę z rąk chłopca, odwrócił go delikatnie i na plecach malucha rozprostował papier. Wyjętym z kieszeni ołówkiem dopisał do listy jeszcze jedno imię i numer baraku.

– Zaczynasz dziś wieczorem. Pamiętaj, musisz mnie obudzić przed północą.

Chłopczyk z przejściem kiwnął głową.

– Nie zawiodę!

Mateusz cofnął się w ciemność baraku i zamknął drzwi. Kiedy odwrócił głowę, napotkał spojrzenie matki.

– A więc idziesz?

– Idę. Skąd wiesz?

– Była tu matka Josipa.

– Po co?

- Przyniosła trochę jedzenia dla ciebie.

Wtedy Mateusz dostrzegł postawiony na środku stołu talerzyk z kawałkiem mięsa.

- Nie jestem głodny.

- Ale tylko zobacz...

Matka podsunęła talerz pod twarz chłopca.

- Nie jestem głodny - powtórzył Mateusz. - Za kilka godzin idę na pierwszą wartę.

- To nic. Zjemy rano. Jak wrócisz.

- Idę na pierwszą wartę.

- To zjemy jak wrócisz. Na pewno się nie zmarnuje.

Mateusz bezsilnie opuścił głowę.

- Zjemy jak wrócę.

- Teraz idź spać. Musisz odpocząć.

Leżał już w barłogu, gdy przyszła lw. Matka zastąpiła jej drogę.

Szeptaly chwilę za zasłoną, a potem zaskrzyphiały drzwi wejściowe i matka z zapaloną lampką odpłynęła w ciemność schronu.

Lw pochyliła się nad Mateuszem.

- Cześć - szepnęła. - Śpisz?

- Czekam na ciebie.

- No więc jestem.

Leżeli przytuleni w barłogu ze szmat. Lw trzymała dłoń na jego brzuchu, a on obejmował ją ramieniem. Szeptali.

- Nawet nie znałeś dobrze tamtego chłopaka... Dlaczego nazywasz ich Josipami?

Mateusz nie wiedział. Milczał.

- No już! - ponagliła lw. - Powiedz!

Odwrócił wzrok. Dziewczyna dotknęła jego twarzy.

- Oni mają imiona - szepnęła łagodnie. - Nie potrzebują innych...

- Może ja potrzebuję?

Chłopiec zacisnął powieki i milczał, chociaż bardzo pragnął wydyszeć jej do ucha cały swój strach. Opowiedzieć o tych wszystkich nocach śmierdzących zimnym potem, gdy próbował kolejny raz wydobyć

się z ciemności. Ale przecież nie mógł tego zrobić. Nie teraz, kiedy już prawie był Josipem. Dlatego milczał. I nie otwierał oczu.

Czuł jej dotyk na brzuchu. Szare od brudu palce lw rozpięły pasek jego spodni, sprytnie wsunęły się pod materiał, dotknęły nagiego ciała. Dziewczyna chichotała cichutko, gdy odważnie przesuwała dłoń po jego napiętym brzuchu, a Mateusz z przejęcia zaciskał mocno powieki. To zupełnie inny sen od tych wcześniejszych.

– Tak bardzo cię kocham – szepnęła dziewczyna.

Miękkimi ruchami dłoni potwierdziła własne słowa.

– Wierzysz mi?

– Tak.

Naprawdę wierzył. Zapragnął ją pocałować. Po raz pierwszy dotknąć jej nagich piersi. Na szyi czuł parzący oddech lw. Mateusz drżącymi rękoma mocował się z zapięciem jej spodni. Dłonie dziewczyny sprawiły, że nie zauważył łagodnego przejścia do nowego świata. Do świata, który pachnie lw.

– Jeszcze nie dziś... – Dziewczyna odepchnęła jego natarczywe ręce. – Musisz do mnie wrócić...

Mateusz gwałtownie otworzył oczy, ale jej już nie było. Zasnął jak dziecko i nie spadał w ciemność.

Tamten chłopiec nazywał się Josip i był tylko trochę starszy od Mateusza. Przyciskając karabin do piersi, z dumą wychodził z baraku, a potem znikał w tumanie śniegu nawiewanym przez uchylone drzwi schronu. Ciekawe, czy czekała na niego jakaś lw. Mateusz miał wtedy zaledwie kilka lat, natomiast dobrze pamiętał tamto pragnienie: być jak Josip. Nosić nabity karabin, przy każdym kroku stukać kolcami butów o beton podłogi, łaskawie przyjmować klepinięcia w ramię od innych mężczyzn i słuchać głosu kobiet, które wtedy jeszcze błogosławiły wszystkich Josipów wychodzących na powierzchnię.

W tamtym czasie Mateusz wciąż ich nie rozróżniał, więc dla niego wszyscy mieli jedno imię: Josip. Biegał za Josipami, gdy wychodzili na wartę i gdy wracali: potwornie zmęczeni, oblepieni popiołem i śniegiem, w skrzypiących od lodu kombinezonach i zamarzniętych maskach. Kiedyś

dłoń chłopca przykleiła się do oszronionego karabinu. Wojnicz zabrał go do baraku Josipów i z pomocą ciepłej wody uwolnił palce malucha. Odtąd Mateusz jako jedyny mógł ich odwiedzać w przerwach między robotą na powierzchni. „Kiedys też będziesz z nami chodził” – powtarzali ze śmiechem.

Pewnego dnia młody Josip zniknął i nikt nie chciał powiedzieć, dokąd odszedł. W późniejszych latach inni również znikali, ale zawsze na ich miejsce pojawiał się nowy, tylko smutniejszy od poprzedniego. Aż pewnego ranka Mateusz przekonał się na własne oczy, dokąd odchodzą wszyscy Josipowie tego świata.

O świcie z uchylonych drzwi schronu wynurzyła się przedziwna procesja Josipów o gniewnych spojrzeniach i dłoniach kurczowo zaciśniętych na karabinach. Prowadził ich Wojnicz, a kilka kroków za nim dwóch kolejnych ciągnęło po betonie innego Josipa. Idąca z boku kobieta podtrzymywała niemal zupełnie oderżniętą głowę.

W zupełnej ciszy ułożyli Josipa na podłodze przy wejściu. Natychmiast otoczył ich rozszepcany tłum. Zrozpaczona kobieta wciąż podtrzymywała głowę martwego chłopca, a gdy poruszała dłońmi, szyja Josipa otwierała się jak usta i natychmiast zamykała z głośnym mlaśnięciem.

Tamtej nocy Mateusz po raz pierwszy spadł w pustkę.

Obudził się w chłodnej ciemności z przecuciem, że nadchodzi właściwy czas, aby wstać z barłogu, założyć buciory i płaszcz, a potem cichutko wyjść z baraku, i nie obudzić przy tym matki. Kiedy sięgał po stojący w kącie karabin, rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Otworzył je bardzo powoli i spojrzał z góry na chłopczyka, który zajął jego miejsce. Malec z wysiłkiem stuknął drewnianą laską o beton.

– Czy tak było dobrze? – zapytał przejętym głosem.

– Bardzo dobrze.

– Naprawdę cię obudziłem? Pod twoje drzwi przyszedłem jako pierwszy.

– Dziękuję... – szepnął Mateusz. – A teraz biegnij do innych.

Chłopczyk odszedł, lecz po kilku krokach musiał przystanąć: drewniana laska chwiała się w jego rękach i zawadzała o blaszane ściany baraków. Malec rozejrzył się bezradnie.

– Na początku możesz ciągnąć ją po ziemi – podpowiedział Mateusz. – Ja tak kiedyś robiłem i było łatwiej... – Uśmiechnął się. – Mały zasrańcu... – dodał.

Chłopczyk podziękował, a potem zniknął w ciemnościach. Po chwili z głębi uliczki rozległ się odgłos stukania do kolejnych drzwi. Mateusz stał jeszcze długo ze stopą opartą na progu, zbyt przejęty myślą, że najmniejszy ruch przeniesie go natychmiast do świata Josipów, skąd nie będzie już powrotu do domu. Za jego plecami rozległ się głos matki:

– Mnie nie pożegnasz, synku?

Odwrócił głowę i spojrzał przez ramię w ciemność zimnego baraku.

– Mamo... – szepnął, mrużąc oczy. Nie mógł jej dostrzec. – Wróć.

A potem przestąpił próg i szybko zamknął za sobą drzwi. Nie obejrzał się przez całą drogę do świata Josipów. Nie patrzył w oczy mijanych ludzi i nie przystawał, żeby posłuchać oddechów tych, którzy nadal spali. Przechodząc obok baraku szwaczek, dumnie uniósł głowę, ale nawet nie spojrzał w tamtą stronę.

Josipowie już na niego czekali. Przyszli wszyscy, ale tylko Balabanow był ubrany w kombinezon: siedział na krześle pod ścianą i nerwowo stukał kolcami butów o podłogę. Posłał Mateuszowi wredne spojrzenie.

– Się porobiło... – warknął. – Z takim szczyłem muszę...

Wojnicz natychmiast uciszył go ruchem dłoni. Klepnął Mateusza w ramię.

– Zdejmuj swoje łachy, chłopaku. Nie ma czasu!

Pozostali Josipowie rozstąpili się, ukazując miejsce w kącie baraku, gdzie na podłodze leżała płachta folii. Wojnicz znów klepnął chłopca w ramię.

– Ściągaj ciuchy! Przecież tak nie pójdziesz.

Chłopiec rozebrał się do kalesonów i podkoszulka, resztę ubrań położył obok folii, na którą wszedł bosymi stopami. Otoczyli go ciasnym kołem. Balabanow wciąż siedział na krześle.

- Ściągaj wszystko.

Mateusz z ociąganiem zdjął resztę ubrań i wyprostował się z dłońmi przyciśniętymi do krocza. Nie potrafił opanować drżenia kolan. Szczękał zębami. Przypominał zbitego psa o zapadniętych bokach i spojrzaniu wzbudzającym litość. Blady, niemal przezroczysty na tle brudnej ściany. Jeden z Josipów postawił przed nim kubel z wytopionym psim sadłem.

- Natrzyj się tym dokładnie.

- Po co?

- Żebyś mógł bezpiecznie wyjść na zimno.

Po wszystkim na skórze chłopca została gruba warstwa tłuszczu, pod pachami i w pachwinach zebrała się galaretowata piana. Obejrzeni go dokładnie, a potem kazali z powrotem założyć ubranie.

- Tylko bez butów – napomknął Wojnicz. – I zejdź z folii.

Z pomocą Josipów chłopiec założył trzy pary spodni, dwa podkoszulki, starą bluzę z kapturem i wojskową kufajkę śmierdzącą benzyną. Kazali mu też kolejno zanurzyć stopy w kubie z sadłem, a potem owinąć onucami i powiązać sznurkiem. Na końcu dostał potężne buciory ze stalowymi kolcami, ochraniacze na kolana i ciężką kamizelkę kuloodporną. Wcisnęli też na jego ramiona i spięli uprząż z manierką pełną wódki, torbą z maską przeciwgazową, zapasowym magazynkiem do kałasznikowa i saperką, przytroczoną na wysokości serca. Grube rękawice wcisnęli za pasek, dołożyli szalik, wełnianą maskę na twarz i gogle, których szkła przetarto wcześniej spirytusem, żeby nie parowały. Kiedy już się rozstąpili, patrzył na nich kolejny Josip. Tylko mniejszy, zgarbiony pod ciężarem ekwipunku. Wojnicz wcisnął do jego ręki musztardówkę z bimbrem.

- Do dna!

Kiedy Mateusz już wypił, musiał oddać pusty pojemnik, dostając w zamian stary karabin po ojcu. Wojnicz wskazał butelkę stojącą na stole i zapytał:

- Dobra?

Mateusz kiwnął głową. Wojnicz stuknął palcem w szyjkę.

- Reszta jak wróćcie.

Balabanow ociężałe podniósł się z krzesła. Trzymany w ręku karabin oparł kolbą na okutym czubie buta.

- Idziemy.

Szli ramię w ramię, w chrześcicie oporzędzenia, aż do bramy. Wyglądali jak przedziwne bestie wyruszające na polowanie. Za stalowymi drzwiami schronu czekał na nich bezkres zrujnowanego świata, mogący przynieść chwałę lub śmierć pod ostrzem znieawidzonego bagnetu.

Przed bramą założyli rękawice ochronne, maski, gogle i hełmy. Wojnicz naciągnął im na głowy kaptury i zasnurował.

Przez uchylone skrzydło bramy do środka wpadał gęsty śnieg. Wojnicz złapał Balabanowa za ramię.

- Pilnuj chłopaka!

Mężczyzna odepchnął jego rękę, a potem bez słowa wyszedł ze schronu. Mateusz ruszył za nim. Z karabinem w zaciśniętych dłoniach i lampą przytroczoną do paska zniknął w szarej zamieci.

Chłopak przystanął tuż przed zamkniętymi drzwiami, zadziwiony widokiem obcego świata. Patrzył na przedziwną dioramę o zamazanych brzegach, pociętą smugami padającego śniegu i popiołu. Z daleka nie nadleciały ptaki i nie słychać było żadnego dźwięku.

Odwrócił się ku wejściu. Na ścianie wokół pancernych drzwi widniały wyblakłe ślady maskowania na żelbetonie: wymalowane farbami wysokie jodły i sosny. Mateusz przystanął z zaciekawieniem. Nigdy nie widział takich drzew. Odwrócił głowę, szukając ich wzrokiem. Wokół niego zmrózona pustka i ślady po dwustuletnim karczowaniu: smętne pieńki wystające z ziemi ciągnącej się aż do horyzontu. Żadnego drzewa w zasięgu wzroku.

Przed oczyma miał zimny przepych martwego świata: jasny księżyc na niebie i przedziwny księżycowy krajobraz na ziemi. Nieruchome trawy zamarznęte na wieczność. Ponad nimi wiatr przeganiał kłęby popiołu i śniegu. Na pustej jezdni upiorna kolejka zardzewiałych





samochodów. Nad martwą krainą przetaczał się odległy grom. To stare drzewa upadały niczym martwi Josipowie.

Balabanow zniknął w cieniu pobliskich ruin i wyłonił się na linii horyzontu: ciemna zgarbiona sylwetka na tle szarego nieba. Przywołał do siebie Mateusza.

Chłopiec ostrożnie wstąpił na ścieżkę wszystkich Josipów: szedł wolno po śladach na śniegu w stronę Balabanowa. Zimny wiatr próbował go przewrócić, nawiewany śnieg zacierał ślady, ale młody Josip się nie poddawał: rozchwiany jak dym, skulony od zimna, przecierał rękawicą zasypane śniegiem gogle i uparcie podążał przed siebie.

W końcu dotarł do Balabanowa, który kiwnął głową i po przyjaźielsku trącił chłopca łokciem, a potem razem poszli przez martwy, nieruchomy świat.

Mateusz sycił wzrok nieznanymi dotąd obrazami: ciemne niebo z mdłą plamą księżycy, skryte w mroku wejście do schronu, budynki zniszczone do fundamentów, gruzowiska pokryte lodem i zasypane szarym, brudnym śniegiem. Po niebie nie płynęły chmury, księżyc trwał nieruchomo, trawy nie szumiały, ruiny zastygły na wieczność w dawno ustalonym porządku, a ludzkie ślady natychmiast przykrywał padający śnieg. Tylko szum wiatru nasilał się i opadał, ale nigdy nie cichł.

Balabanow prowadził Mateusza ścieżką wytyczoną już wiele lat temu, wydeptaną buciorami kolejnych Josipów: zamrzniętym kanałem melioracyjnym, wzdłuż wałów gruzu i po nasypie z cegieł, przez dawne mieszkania na piętrze bloku, a potem wąskim korytarzem do wyjścia, skąd można było podążyć do miejsca, w którym wędrownka zatoczy pełne koło.

Wkrótce przed Mateuszem otworzył się widok na ślady dawnych wojen toczonych na tej ziemi. Na prawie zasypane linie okopów, pajęczynę zerwanych drutów kolczastych, leje po bombach wypełnione zamrzniętą wodą i ślady kolein zostawionych przez czołgi. Wszystko na wieczność utrwalone mrozem jak płaskorzeźba wytrawiona w ziemi.

Wzdłuż starego okopu leżały zamrznięte ludzkie ciała. Zimny wiatr już dawno zdarł z nich ubrania, a wieczna zmarzlina pozbawiła

zapachu. Z bliska przypominały woskowe kukły rozrzucone w przeróżnych pozach, niezwykle wychudzone, pozbawione zarostu, o żółtej skórze wychłostanej wiatrem do połysku. Balabanow ostrzegł, żeby ich przypadkowo nie nadepnąć.

- Są bardzo śliskie. Łatwo się przewrócić, nawet w kolcach.

Mateusz uważał więc przy każdym kroku stawianym wśród tych woskowych ciał. Zgodnie ze słowami Balabanowa niektóre miały po sto lat. Czekały na słońce, które rozmrozi ziemię.

- Przeszto je grzebać już dawno temu. Za duży wysiłek, bo zamrzniętą ziemię trzeba rozbijać kilofami.

Mateusz zapytał, dlaczego w tym miejscu było tak wiele trupów.

- To nasza pierwsza linia obrony. Dawno temu wybrano dobre miejsce na budowę schronu. Za plecami mamy zakole rzeki i tylko tędy można dostać się do wejścia. To stąd zawsze prowadzono natarcie. I tu się broniliśmy.

Balabanow dał znak ręką, żeby Mateusz podązał za nim. Stary Josip poprowadził chłopca daleko przed linię okopów. Przystanęli nad głębokim lejem po wybuchu bomby. Ich sylwetki odbijały się w zamrzniętym dnie. Balabanow wskazał ciało leżące u ich stóp.

- To mój ojciec. Zginął przed czterdziestu dwoma laty w bitwie z Ukraińcami.

Chłopiec milczał. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć w takiej chwili. Balabanow kiwnął głową.

- Wiem, o co chcesz zapytać. Ojciec zginął rano, pierwszego dnia bitwy. Po dwóch dniach, gdy odeszli Ukraińcy, nie można już go było stąd ruszyć. Przymarł do ziemi, której bronił. Nawet nie dało się zdjąć butów... Zobacz, prawie jak nowe.

Spod warstwy popiołu wystawały podeszwy wojskowych trepów.

- Walczył o schron? - zapytał Mateusz.

- No. Ja należę do trzeciego pokolenia. W czasie ostatniej wojny światowej nasz dziadek spadł z nieba wraz z rosyjską kompanią spadochroniarzy. Jakoś tak wyszło, że później zagubił się za linią frontu. Po zakończeniu wojny wielu naszych przemierzało te ziemie. Dziadek

znalaził sobie tu kobietę i został na stałe. Podobno nawet budował schron. W tamtych czasach wszystkie narody walczyły ze sobą o przetrwanie. Kiedy pokonaliśmy Ukraińców, przyszli Rosjanie. Po nich Niemcy. W końcu wszystkie nacje wymieszały się między sobą, stworzyły własne państwa, a potem znów skoczyły sobie do gardeł. Ostatecznie zostały już tylko pojedyncze schrony, które do dziś walczą między sobą. Mój dziadek zginął w jakiejś zasadzce. Stare dzieje... Przed śmiercią zdążył jednak spłodzić syna. Mój ojczulek, drugi polski Balabanow, już urodzony i wychowany na tej ziemi, zginął w bitwie z Ukraińcami. To było chyba w pięćdziesiątym piątym albo szóstym. Nie pamiętam dobrze. Byłem wtedy dużo młodszy od ciebie.

Przed odejściem Balabanow dotknął ramienia zamrożonego trupa.

– Czas na nas... – mruknął. W śnieżnej zawieli Mateusz nie usłyszał jego słów. – Przyjdę do ciebie jutro, staruszk.



Para buchała z ust, osiadała na maskach i goglach i natychmiast zamarała. Oblodzone ubrania skrzypiały przy każdym kroku. Kałasznikow po ojcu zbiegał od mrozu, a Mateusz z przerażeniem odkrył, że powoli tracił czucie w palcach. Wtedy Balabanow dał znak, że muszą zejść ze ścieżki.

Ukryli się za załomem pokruszonego muru, gdzie czerniał ślad po ognisku, a wokół widać było odciski kolczastych butów innych Josipów. Balabanow z pomocą saperki rozgarnął zamrożony popiół.

– Idź po chrust! – przekrzykiwał szum wiatru. – Jest ukryty w tamtych ruinach. Tylko uważaj!

Kiedy już Mateusz przyciągnął kilka suchych gałęzi, połamał je i ułożył w stertę, Balabanow podlał całość spirytusem i przyłożył ogień z lampki. Jasny płomień podniósł się w trzasku iskier i rozsiadł na drewnie. Wkrótce obaj przykucnęli nad niewielkim ogniskiem, rozdzieleni chybotałą smugą dymu. Stary Josip odsonił twarz i sięgnął po bagnet,

którym pociął resztę gałęzi. Ułożył je przy ognisku, a następnie ze wstrętem schował ostrze do pochwy.

– Co teraz? – zapytał Mateusz.

Balabanow odpowiedział, że teraz będą rozgrzewać się ciepłem ognia i bimbrem, a jeżeli Mateusz ładnie poprosi, to może nawet usłyszy jakąś ciekawą historię. No ale najpierw trzeba było się ogrzać.

– Tu zawsze odpoczywamy – powiedział Balabanow, pociągając łyk z manierki. – To jest miejsce, gdzie można pogadać i się pośmiać. Nie umiem mówić tak ładnie jak Wojnicz, ale też sporo przeżyłem.

Mateusz natychmiast potwierdził skinieniem głowy. Naprawdę chciał, a palący gardło bimber sprawił, że zrobiło mu się ciepło i wygodnie.

Balabanow zaczął opowiadać. Mówił o piekielnym zimnie, które wypala skórę do kości, o złych ludziach nawiedzających przed świtem zmęczonych Josipów, na końcu opowiedział też o starym człowieku, który widząc ślady na śniegu, zesrał się ze strachu i posłał małego chłopca na wartę. W pewnej chwili Balabanow klepnął Mateusza w ramię.

– Nie śpij. Idziemy!

Chłopiec rozejrzał się ze zdziwieniem: ognisko już zdążyło przygasać, a na kolbie karabinu znów pojawił się mróz.

– Idziemy! – ponaglił Balabanow.

Wkrótce znów brnęli po zmrożonym śniegu. Zdążyli wielokrotnie przejść po własnych śladach i wypić resztę bimbru przy ognisku, kiedy Mateusz zobaczył coś niezwykłego: księżyc pobladł, na wschodzie pojawiło się światło, a Balabanow stał się niespokojny. Odtąd kazał Mateuszowi iść kilka kroków za sobą. Nie chciał już rozpalać ogniska, kilka razy przeładował karabin i to samo nakazał Mateuszowi. Przedziwny nastrój starego Josipa udzielił się też chłopcu.

– Co jest? – zapytał Mateusz ze złością.

– Słońce wschodzi. Niedługo koniec naszej warty.

Mateusz przystanął i z niepokojem patrzył, jak cicho zakrada się świt.



Przyszli tuż przed pierwszym brzaskiem, w tej najgorszej dla wszystkich Josipów porze, kiedy sen najmocniej kleił oczy i mącił umysł, kiedy panowała przejmująca cisza i nie było słycać żadnych dźwięków świata. Kiedy martwy świat nie oddychał.

W tamtej chwili wzmógł się wiatr, podniósł się tuman popiołu i śniegu, a Mateusz stracił Balabanowa z oczu. Trwało to tylko kilka upiornych sekund. Kiedy śnieg się rozwiął, chłopiec znów go dostrzegł: Balabanow leżał na ziemi z rozrzuconymi rękoma i przedziwnie odchyloną głową. Krew z rozplatanego gardła parowała na mrozie.

Nad zarzęniętym Josipem pochylał się obcy człowiek. Mateusz w jednej chwili zrozumiał, dlaczego wszyscy Josipowie tego świata tak nienawidzą bagnetów. Na widok Mateusza obcy uniósł głowę, potem się wyprostował, przestąpił trupa i ruszył w stronę chłopca.

Mateusza sparaliżował strach. Nie wykonał żadnego ruchu, gestu. Patrzył tylko nieprzytomnym wzrokiem na nadchodzącego człowieka. Widział wszystkie swoje lęki obleczone w szmaty, dymiące oddechem, połyskujące dobrze znanym kształtem bagnetu, którego od tej chwili również nienawidził.

Wtedy usłyszał za plecami skrzypienie deptanego śniegu. Odruchowo spojrzął pod nogi i zobaczył, jak jego nieruchomy cień jest wchłaniany przez inny, nadchodzący z tyłu. Zamknął oczy.

*To tylko zły sen. Takie rzeczy zdarzają się innym. Ale nie mnie. Nie w tym momencie.*

Poczuł dłoń łapiącą go za głowę, następnie mocne szarpnięcie, a przed jego oczami pojawiło się szare niebo.

Błysnęło ostrze bagnetu.

Wtedy odezwała się w nim pamięć wszystkich mężczyzn, którzy od tysięcy lat wychodzili nocą ze swych domów, żeby z bronią w ręku strzec spokoju bliskich. Pamięć i doświadczenie wszystkich Josipów tego świata, zamknięte w wątlym ciele chłopca. Poderwał karabin i zasłonił gardło. Spadające ostrze bagnetu skrzesało iskry na zamarniętej lufie.

Mateusz gwałtownym ruchem rzucił się na ziemię, przetoczył w tumanie śniegu i zastygł na kolanach z uniesionym kałasznikowem. Przed sobą miał dwóch obcych ludzi.

Wyglądali jak wystannicy piekiel: upiorni łachmaniarze o poparzonych mrozem twarzach, zaopatrzeni w gogle ochronne i bagnety do podrzynania gardeł młodych Josipów. Nie mieli innej broni.

Krążyli wokół Mateusza jak wilki i jak wilki połyskiwali obnażonymi zębami. Ich oczy błyszczały złowrogo. Zabójca Balabanowa trzymał się z tyłu. Na jego brodatej twarzy pojawiła się niepewność. Drugi napastnik był w wieku Mateusza. Zbliżał się, potrząsając bagnetem z zapalczystością młodego chłopca.

Mateusz uniósł karabin, a łachmaniarze zatrzymali się. Lewa dłoń chłopca odnalazła zaczep suwadła. Ostre szarpnięcie. Zmrożone suwadło zgrzytnęło w prowadnicy. Karabin zatańczył w dłoniach młodego Josipa.

Teraz tylko nacisnąć spust!

Już.

Iglica głucho uderzyła o spłonkę. Niewypał. Mateusz szarpnął suwadło, lecz nabój zablokował się w zamrożonym zamku. Rozległ się dziki krzyk. Chłopiec z przestachem uniósł głowę.

Nadchodzili.

Mateusz odrzucił karabin. Sięgnął po zniechęcony bagnet.

Stary wyraźnie trzymał się z tyłu. Wskazał ciało Balabanowa. Jakby chciał powiedzieć: „Patrz, tak szlachtuje się Josipów!”. Młody skoczył na Mateusza z uniesionym bagnetem. Miał szaleństwo w oczach.

Chłopiec zasłonił się ręką, po czym zadał pchnięcie. Nie trafił dobrze, więc tylko odepchnął młodego, a w następnej chwili obaj turlali się po śniegu. Stary krążył nad nimi.

Mateusz znalazł się na plecach, podciągnął kolana do piersi i z całej siły odepchnął młodego od siebie. Znów byli na nogach. Otaczały ich kłęby pary z oddechów. Stary, z dłońmi opartymi na udach, zaglądał młodemu przez ramię. Pokrzykiwał, zagrzewał do walki. Doradzał. Prowadził za rękę.

Młody zaatakował z uniesionym bagnetem. Mateusz już na niego czekał. Tego pchnięcia nie zadał młody, wylęknięty chłopiec, tylko doświadczony Josip: ostrze bagnetu sprytnie ominęło skórzaną uprząż na piersi młodego, przeszło przez kilka warstw ubrań, w tym jedno z wyprawionej twardej psiej skóry, przebiło tkanki między żebrami i zanurzyło się w miękkie ciało. Odpowiedział mu rozpaczliwy krzyk dziecka.

Chłopiec odwrócił się, próbował uciekać. Wrzeszczał rozdzierająco. Stary bezradnie opuścił ręce. On już wiedział, co się stanie. Mateusz złapał dzieciaka, przyciągnął do siebie. Objął jak brata. I przystawił ostrze bagnetu do gardła. Patrzył w oczy starego, który tylko kręcił głową. Nie tak miało być.

Mateusz, jeszcze bardzo niewprawnie, poderżnął młodemu gardło. Z potwornej rany trysnęła krew. Życie uciekało na zawsze z przestraszonych oczu chłopca. Stary zaczął krzyczeć ze złości i podskakiwać w jakimś obłąkańczym tańcu. Śnieg dymił pod jego stopami.

Josip stanął na szeroko rozstawionych nogach ponad rozdygotanym ciałem. Opuścił głowę i rozłożył ręce. Z bagnetu kapiała gęsta krew.

Stary rzucił się do ucieczki.

Wtedy w głowie Mateusza doszła do głosu ta przedziwna zawziętość, z jaką codziennie pracował przy stole w przetwórni, krążył między śpiącymi barakami i dobierał się do lw. Zawziętość, która nie pozwalała zejść z wybranej ścieżki.

Z dzikim okrzykiem ruszył w pościg.

Już po kilkunastu krokach dopadł starego, podciął, a gdy tamten upadł twarzą na śnieg, kilkoma uderzeniami saperki rozbił jego głowę. Stary umierał bezgłośnie. Młody Josip wrócił do swojej pierwszej ofiary.

Długo klęczał nad ciałem martwego chłopca. Odwinął szmaty z jego głowy, zdjął gogle i odsłonił młodziutką twarz, zupełnie podobną do własnej. Potem wstał, otrzepał kolana ze śniegu, znalazł Josipa i zaciągnął jego ciało przed wejście do schronu. Odnalazł też zagrzebany w śniegu karabin po ojcu. Zupełnie bezużyteczny. Znów wrócił do martwego chłopca. Zdjął rękawice, dotknął jego twarzy i natychmiast z przestachem cofnął dłoń, bo ciało młodego było już zimne jak kamień.

Mateusz dwukrotnie stuknął kolbą karabinu w zamrzniętą ziemię, ale martwy chłopiec nie otworzył oczu.



Dwa zakrwawione trupy złożono na schodach przed wejściem, natomiast Balabanowa przyniesiono do wnętrza schronu w dobrze znanej Mateuszowi procesji. Kolejny martwy Josip spoczął na betonie otoczony przez mieszkańców, których lament niósł się aż pod sklepienie schronu. Jakaś zapłakana kobieta, być może żona, ale tego Mateusz nie był pewny, rzuciła się z rozpaczą na ciało Balabanowa. Inna zamoczyła w jego krwi białą chustę i z nabożnym przejęciem uniosła ponad głowę. Oto jest krew bohatera! Tłum zaszumiał.

Mateusz trzymał się na uboczu. Stał z dłońmi opartymi na karabinie zawieszonym na piersi. Milczał, bo dobrze wiedział, że nie warto nic mówić. Podchodziła do niego niezliczona ilość mężczyzn, wszyscy klepali go po ramieniu i ściskali ręce. I powtarzali: „Szkoda Balabanowa. Ale dobrze im odpłaciłeś!”.

Dwa zamrznięte trupy na schodach wystarczyły, żeby ten smutny poranek został zapamiętany jako dzień zwycięstwa.

„Odpłaciłeś im!”.

Chłopiec milczał uparcie. Chciał jak najszybciej odejść z tego miejsca, wrócić do matki, ale przede wszystkim zobaczyć się z lw.

Stary Wojnicz pogonił wszystkich Josipów, żeby dokładnie sprawdzili teren przed schronem, natomiast Mateusza pociągnął przez tłum do baraku przy wejściu. Chłopiec przyjął to z ulgą. W połowie drogi powiedział, że musi wcześniej porozmawiać z matką. Stary Josip tylko mruknął:

– Idź...

Kłęcząca przy swoim barłogu z dłońmi złożonymi do modlitwy. Mateusz minął ją bez słowa i usiadł za stołem. Na kuchence bulgotał garnek z jedzeniem.

Kiedy matka podniosła się z kolan, spojrzała na Mateusza. Natychmiast wyczuła, że stało się coś złego. Jej drżące dłonie ponownie



się znalazły. Tylko że tym razem nie złożyły się do modlitwy: matka przygotowała się do załamywania rąk i płaczu. Mateusz postanowił jej przerwać.

– Jestem głodny.

Matka bezradnie opuściła ręce, otarła twarz z niewidocznych łez. Kiwając głową, ułożyła przed nim sztucce i talerz, a na małej deseczce postawiła garnek zdjęty z kuchenki. Nalała zupy, po namyśle dołożyła cały kawałek mięsa. Jej talerz pozostał pusty.

– Jedz, syneczku...

Mateusz pochylił się nad parującym jedzeniem. Przeszkadzała mu saperka na piersi, więc odpiął ją i niedbale rzucił na stół. Odezwały się łyżki i blaszany talerz. Matka zadrżała, widząc ludzkie włosy przyklejone do sztychu saperki. Mateusz jadł w milczeniu. Sycił się ciepłem rozlewającym się po wnętrzu. Powoli kroił nożem mięso, które było miękkie jak ciało tamtego chłopca. Zjadł wszystko. Kromką chleba wytarł resztki tłuszczu.

– Dobrze, że już jesteś...

Zapadło długie milczenie, które przerwał Mateusz:

– Już się nie boję, mamó – powiedział, odsuwając pusty talerz. Sięgnął po saperkę i zanim przypiął ją do oporządzenia, popatrzył jeszcze na ostrze z zastygłą krwią i włosami. – Nie ma w tym żadnej tajemnicy – dodał.

Następnie podziękował za jedzenie, wstał od stołu i wyszedł z baraku, zostawiając matkę w zupełnej ciszy. Przepchnął się przez tłum stojący nad martwym Balabanowem i bez pukania wszedł do baraku Josipów.

W środku czekała już obiecana butelka bimbru i rozstawione musztardówki. Wojnicz wskazał wolne krzesło, a chłopiec bez słowa zasiadł do stołu. Zimny bimber palił gardło. Za drzwiami wciąż było słychać rozgorączkowany tłum. Po pierwszej szklance Mateusz znalazł leżące w kącie własne ubranie, a potem boso wszedł na folię rozłożoną w kącie. Zdjął kolejno cały rynsztunek Josipa, a nagie ciało wytarł z tłuszczu i potu szmatą podaną przez Wojnicza. Z ulgą założył swoje stare ubranie, wzuł buty i ponownie usiadł przy stole. Zdawało mu się, że zrzucając

rysztunek Josipa, znów będzie młodym chłopcem mieszkającym z matką. Że będzie mógł wrócić po własnych śladach do dawnego świata. Jak bardzo się mylił, zrozumiał już w następnej chwili, gdy nagle Wojnicz wstał, obszedł stół i przeszedł za plecami Mateusza.

– Nie próbuj łąpać mnie za gardło – powiedział odruchowo chłopiec.

– Nie będę. Chciałem tylko wziąć papierosa.

Gdy pokazało się dno butelki, Mateusz podał Wojniczowi rękę na pożegnanie, a potem wyszedł przed barak. Kręciło mu się w głowie, więc odczekał chwilę, żeby zebrać myśli. Pooddychać zapachem starego świata. Kiedy był już gotowy, poszedł pod barak szwaczek.

Stał w podcieniu ściany i patrzył na wychodzące dziewczęta, jeszcze zaspane, lecz już śmiejące się radośnie. Kiedy wreszcie sobie poszły, ruszył w stronę budynku. Przystanął przed drzwiami, za którymi w ciemności czekała lw, a potem wszedł do środka.

## Filip Laskowski

Rocznik 1977, pracownik korporacji, od kilku lat szczęśliwy mąż i tata. Kibicuje klubowi piłkarskiemu Valencia CF, lubi filmy ery VHS, zapach starych książek i smak kawy. Forum literackie Weryfikatorium.pl traktuje jak swój drugi dom. Bardzo ceni sobie zaangażowanie i pracowitość, dlatego każdy rozpoczęty projekt stara się doprowadzić do końca.

Jego opowiadania zaplątały się w antologiach: „I żywy stąd nie wyjdzie nikt”, „Ostatni dzień pary”, „Dobro złem czyni”, „W ruinie”, „Ostatni dzień pary II”. Żeby nie popaść w rutynę, przyjemność pisanania opowiadań dozjuje sobie z umiarem. Dlatego w wolnych chwilach trochę pisze, a trochę nie.

# BAJKA O GŁUPIM JASIU

Anna Grzanek

Błoto smakowało gorzko.

– Zostawcie go, to dobry chłopak! – krzyknęła sąsiadka przez płot. Przyciskała ścierkę do ust, a oczy miała rozszerzone z przestachu, choć była już świadkiem podobnych scen setki razy.

– Zamknij się, głupia babo! – warknął najstarszy z braci, odwracając się w jej kierunku. – Ty też się ucisz, pieroński kundlu!

Kobieta odstąpiła o krok, a potem uciekła do swojej chaty.

Pies imieniem Gryzak ujadał i szarpał łańcuchem, nic jednak nie mógł zrobić, by pomóc. Bracia zawsze pamiętali, żeby go uwięzić, zanim zaczną.

Jasio wypluł trochę piasku i krwi. Tylko on słyszał puste groźby, które Gryzak wykrzykiwał pod adresem dwóch braci. Niemrawo zaczął gramolić się z ziemi, gdy powstrzymał go but postawiony na karku.

– Nie wstaniesz, dopóki ci nie pozwolimy, matołku – oznajmił średni brat. – A nie pozwolimy, dopóki nas nie wysłuchasz. Ojciec lada moment wyzionie ducha. Rozumiesz? Skona! Zdechnie! Odejdzie z tego świata! A to oznacza, że nie będzie już nikogo, kto chciałby ciebie, darmożjada, utrzymywać! Będziesz musiał się stąd wynieść. Nie chcemy cię tu!

– Tata żyje – powiedział głupio Jasio. Wszystko, co mówił, brzmiało dla innych ludzi głupio.

– No taaa, jeszcze pożyje z tydzień czy dwa. Tyle że nic mu już nie pomoże. – Starszy brat wzruszył ramionami.

Jasio przytulił policzek do błota. Było rzadkie i pełne kamyków, ale z jakiegoś powodu jego bliskość przynosiła mu ulgę. Z rozbitego nosa wąskim strumyczkiem płynęła krew. Tata... Tata nie może umrzeć. A on, Jasio, nie może do tego dopuścić.

– Nie mogę do tego dopuścić – powtórzył stanowczo na głos, co wywołało wielką wesołość jego braci.

– Rzeczywiście! – Średni brat aż zgiął się wpół. – Doprawdy! Pewnie uzdrowisz go magicznym zaklęciem! A może pójdziesz po Wodę Życia i ocalisz ojczulka przed gorączką, co?

Śmiał się długo, aż wreszcie najstarszy brat trzepnął go po głowie. Obaj spowaźnieli i przez chwilę się naradzali. Gryzak nie przestawał ujadąć, a Jasio nie śmiał pozbierać się z błota, dopóki mu nie każą.

– No dobra. – Wreszcie najstarszy z braci podszedł i szturchnął Jasia pod żebra roboczym butem. – Jest nadzieja, półgłówku. Nie chcesz, żeby ojciec poszedł do piachu?

Jasio energicznie pokręcił głową, spoglądając niepewnie w górę.

– Świetnie. Pakuj zatem manatki i jazda, za siedem gór, siedem rzek, czy gdzie tam chcesz. Przynieś trzy łyki Wody Życia, bo bez tego ojczulek zemrze. Rozumiesz mnie? – Brat chwycił Jasia za przód koszuli i jednym ruchem poderwał go na nogi.

Ludzie często pytali Jasia, czy ich rozumie. Kiedy bowiem wpatrywał się w przestrzeń, zdając się nasłuchiwać głosów, których nikt inny nie słyszał, trudno było powiedzieć, czy cokolwiek do niego dotarło.

– Ojciec. Umiera. Woda. Życia. Przynieś. – Starszy brat akcentował każde słowo, potrząsając Jasiem w ich rytm. Gdy postawił go wreszcie na ziemi, chłopiec zatoczył się i omal nie upadł ponownie.

Starszy brat z obrzydzeniem wytarł ręce o spodnie. Średni poklepał go po ramieniu. Cała sytuacja nadal niewymownie go bawiła.

– Słyszałeś, głupku? Powinieneś wyruszyć od razu. Trudno przewidzieć, kiedy stary zdechnie.

– Najlepiej idź jeszcze dzisiaj.

- Czas goni.
- Kto rano wstaje i tak dalej.
- Masz, tu jest dobry kijek do podpierania się po drodze.
- No, to zjeżdżaj, dość już czasu przez ciebie straciliśmy.

Jasio wpatrywał się w nich tępo. Trwało to tyle czasu, że aż zwątpili, czy w ogóle ich słyszał.

- Chcę zabrać ze sobą psa – oznajmił wreszcie.

Bracia obejrżeli się na Gryzaka, który zrezygnował z ujadania, czekając w spokoju na rozwój wydarzeń. Jego na wpół odsłonięte zęby nie wróżyły niczego dobrego.

- A bierz go w cholerę – zgodził się starszy brat. – I tak się kundel do niczego nie nadaje. Tylko pilnuj go dobrze, bo poderżnę mu gardło, jeśli jeszcze raz ugryzie kogoś z nas.

Jasio niepewnym krokiem zbliżył się do płotu, pod którym stała buda. Ukłęknął i odpiął Gryzaka od łańcucha. Kiedy się wyprostował, spojrział wprost w złęknione oczy sąsiadki.

- Przygotowałam ci coś na drogę, chłopcze – szepnęła, podając mu ponad sztachetami sporawy pakunek. – Może tak będzie dla ciebie lepiej...

Odwróciła się i odbiegła, nie chcąc dłużej narażać się braciom Jasia. On sam stał przez chwilę w bezruchu, trzymając tobolek z prowiantem wysoko w powietrzu.

- Jestem brudny, chcę się przebrać – rzekł po namyśle. Namysł u Jasia zawsze trwał dość długo.

- Byle szybko – rzucił niecierpliwie najstarszy brat. Chciał mieć całą tę farsę już za sobą. Kto by pomyślał, że wszystko pójdzie tak gładko? Ojciec na dniach umrze, a on zaraz pozbędzie się najmłodszego, słabego na umyśle brata. Wtedy pozostanie mu już tylko średni.

Po trzech pacierzach Jasio wyszedł z domu przebrany w świeżą koszulę. Na boscę dotąd stopy założył trzewiki, przygładził włosy, a podarunek sąsiadki schował w sakwie podróźnej.

- No, to idę – oznajmił pogodnie. – Przyniosę Wodę Życia dla ojca. A potem będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Średni brat skwitował jego słowa kolejnym wybuchem śmiechu.

Pies szedł posłusznie u boku Jasia, warcząc, gdy któryś ze starszych braci próbował się zanadto zbliżyć.

Wyszli razem na gościniec. Zaczynało zmierzchać. Gryzak patrzył wprost przed siebie, ale Jasio odwrócił głowę, by po raz ostatni spojrzeć na dom. Był dobrym chłopcem i kochał swoją rodzinę oraz miejsce, w którym się urodził.

– Szerokiej drogi, ćwoku!

Średni brat rzucił w niego kamieniem, chybił jednak o dobre trzy stopy.

– Wróć i odgryzę draniowi jaja – zaproponował Gryzak, gdy zostali na drodze sami.

– Nic z tego, piesku – powiedział łagodnie Jasio i pogłaskał zwierzę po kudłatej głowie. – Abyś mógł mu odgryźć jaja, najpierw musiałby je mieć.



Nieszczęścia zaczęły się mnożyć przed rokiem, kiedy umarła ich matka. Była łagodną kobietą, sumiennie dbającą o obojgocie i dzieci. Przymykała oko na wybryki dwóch starszych synów, powtarzając, że chłopcy zawsze muszą się wyszumieć. Jednak pod jej opiekuńczymi skrzydłami Jasio żył dobrze i bezpiecznie. Bracia bali się go prześladować w domu.

Ich ojciec, poważny gospodarz, nie miał czasu na wychowywanie dzieci. Zarządzał wieloma hektarami pól i pastwisk, stadami bydła, tartakiem oraz młynem. Synów trzymał krótko, poza najmłodszym, którego – pomimo upośledzenia, a może właśnie z jego powodu – kochał i rozpieszczał. To sprawiało, że starsi bracia tym bardziej nienawidzili Jasia, dokuczając mu, kiedy tylko mogli.

Po śmierci matki, która umarła, wydając na świat martwą córeczkę, życie Jasia stało się piekłem. Ojciec załamał się i zaczął zaniedbywać swoje obowiązki. W końcu powaliła go choroba, przez którą został

przykuty do łóżka na wiele miesięcy. Gospodarstwo przejęli bracia, mogąc teraz bezkarnie prześladować Jasia w dzień i w nocy.

Wszyscy doskonale wiedzieli, co dzieje się w najbogatszej rodzinie we wsi, nikt jednak nie miał odwagi zareagować.

Jasio znosił swój los ze stoickim spokojem. Jego ciało znaczyło wiele siniaków i blizn, często nie dojadał, ciężko pracował. Nigdy nie zadawał pytań, nigdy nie wyrzekał. Wiedział, że cokolwiek straszego wymyślą dla niego bracia, wkrótce się znudzą i przestaną.

Jasio kochał swój dom. Pamiętał matkę. Szanował ojca i spędzał długie godziny przy jego łożu, trzymając go za pomarszczoną i poznaconą plamami wątrobowymi dłoń. Był mocno związany ze zwierzętami gospodarskimi, które szeptały mu do ucha swoje sekrety. Pogodzony z losem mógłby tak żyć aż do końca świata. W zamian za każdy cios i kopniak otrzymywał coś, by czuć się szczęśliwym.

Aż do dnia, w którym bracia wyrzucili go z domu.

– Wiesz, że to podstęp – odezwał się Gryzak, gdy minęli ostatni dom w wiosce. – Taki żart, niezbyt wysokich lotów. Oni wcale nie chcą, żebyś ocalił ojca, chcą się tylko ciebie pozbyć. Podzielią między siebie twój majątek, a ty zginiesz na wygnaniu. Na to właśnie liczą.

Jasio długo się nie odzywał. Musiał przemyśleć odpowiedź.

– Nieprawda – odpowiedział dopiero, gdy szykowali sobie nocleg pod żywoplotem. – Przecież ja wrócę. Odnajdę źródło Wody Życia i uratuję tatę. Tylko to się liczy.

Na kolację Jasio zjadł kromkę chleba i trochę sera, a Gryzakowi dał kawałek kielbasy. Potem zwinął się w kłębek i natychmiast zasnął.

Pies dość długo leżał bezsennie z pyskiem złożonym na łapach. Starał się opracować plan. Ktoś tu musiał myśleć za nich obu.



– A niech mnie, jeśli to nie nasz Jasio! Co ty tu wyrabiasz cały w rosie pod żywoplotem?

Okrzyk zbudził Jasia, który przewrócił się na drugi bok i ziewnął przeciągle. Rzeczywiście, był cały mokry. Nie czuł chłodu nocą, teraz jednak z zadowoleniem wystawił twarz ku pierwszym promieniom słońca. Potrafił cieszyć się rzeczami małymi. Dużych nigdy nie miał zbyt wiele. Gryzak siedział nieopodal, miarowo uderzając ogonem o ziemię.

Na trakcie tuż przy nich zatrzymał się wóz wyładowany kapustami i marchewkami. Na koźle siedział jeden z mieszkańców wsi, który jechał na targ do pobliskiego miasteczka.

– Dzień dobry panu – powiedział grzecznie chłopak. – Wyruszyłem w podróż. Bracia wysłali mnie na poszukiwanie Wody Życia, dzięki której uzdrowię tatę.

Wieśniak roześmiał się w głos. Dopiero po chwili zamilkł, przypomniawszy sobie, z kim rozmawia. Jasio spoglądał na niego spokojnie i poważnie.

– Chłopcze... Po prostu zawróć do domu – poradził chłop, drapiąc niemal łusą głowę.

Jasio tylko patrzył z uprzejmym niezrozumieniem. Wreszcie woźnica skapitulował. Znał Jasia od dziecka, wiedział, że kiedy coś raz wpadło do jego łba, nie było już odwrotu. Zanotował tylko w myślach, by odpowiednio policzyć się potem ze starszymi braćmi opóźnionego chłopaka.

– Wskakuj – zachęcił z westchnieniem. – Podwiozę cię do miasteczka. Pokręcisz się trochę po rynku, a pod wieczór wrócimy do wioski. Dobrze?

Chłop uznał, że warto spróbować. Może po całym dniu w mieście, tak różnym od rodzinnej wsi, zmęczony Jasio da się namówić na powrót do domu i zapomni o tych bzdurach z Wodą Życia. Dla wszystkich jasne było, że stary gospodarz, ojciec trzech braci, wkrótce zejdzie z tego świata. Ot, niektóre rzeczy po prostu się dzieją i żadna Woda Życia nie mogła tu pomóc. Tym bardziej, że przecież nawet nie istniała.

Jasio rozglądał się ciekawie dookoła i podziwiał mijane krajobrazy. Na gościńcu co jakiś czas natykali się na ludzi zmierzających z miasteczka na wschód, za nimi zaś jechało na targ jeszcze kilka innych wozów z wioski.



W drodze, co Jasio zauważył natychmiast, niestrudzenie towarzyszył im mały, czarno-biały ptaszek. Skakał po żywopłocie, podlatywał tu i tam, śpiewając niezwykle smutną, przejmującą pieśń. Opowiadała o rozstaniu, żalu oraz stracie. Jasiowi od słuchania łzy napłynęły do oczu.

– Przestań – warknął Gryzak do ptaka. – Idź żalić się gdzie indziej. Tam, gdzie nikt cię nie zrozumie.

– Każdy artysta potrzebuje publiki – odparł ptaszek, śmiejąc się srebrzyście. – Niewielu jest takich ludzi, co znają naszą mowę. Niech się chłopak uczy. Głupi czy nie, prędzej czy później każdy musi zrozumieć, że życie kończy się żałobą.

– Żałobą... Jesteś muchołówką żałobną – wtrącił się Jasio, ocierając twarz rękawem. Wyglądał na ucieszonego jak dziecko tylko dlatego, że przypomniał sobie nazwę ptaka. – To bardzo ładna piosenka.

Woźnica zerknął na niego z ukosa, ale nie odezwał się. Wszyscy w wiosce wiedzieli, że pomyłony chłopak gada sam ze sobą. Wprawdzie twierdził, że tak naprawdę rozmawia ze zwierzętami, ale to było równie głupie, co gadanie do siebie. I jak pomysł poszukiwania Wody Życia.

Sam Jasio już dawno przestał kryć się z tym, że przemawia do ptaków, psów czy krów. Szybko do niego dotarło, że dorośli i tak nigdy niczego nie rozumieją. A posiadanie opinii wiejskiego głupka miało swoje zalety.

– Dziękuję – odparła muchołówka i zaśpiewała jeszcze jedną zwrotkę. Urwała i poderwała się gwałtownie w powietrze, gdy skoczył na nią rozeźlony Gryzak.

– Piesku! – skarcił Gryzaka Jasio. – Nie rusz! Nie wolno krzywdzić bliźnich!

Muchołówka przyglądała mu się przez chwilę niepewna, czy chłopiec stroi sobie żarty, czy naprawdę mówi to, co myśli.

– Dobrze już, dobrze – rzekła wreszcie, polatując tuż poza zasięgiem psich zębów. – Zobaczyłam, co chciałam. Teraz odleczę. Ale wrócę. Ja zawsze wracam.



Gdy dotarli do miasteczka, Jasio, pomimo usilnych namów woźnicy, podziękował za podwiezienie i zsiadł z wozu, jeszcze zanim wjechali pomiędzy pierwsze zabudowania.

Wieśniak przez długi czas patrzył za chłopcem, którego sylwetka stopniowo malała w oddali. Wreszcie pokręcił głową i powrócił do swoich spraw. Zajęty kluczowymi zagadnieniami warzywnego handlu, zapomniał o Jasiu. Aż do wieczora, kiedy wrócił do wsi i spotkał kobietę o śnieżno-białej cerze i włosach jak skrzydło kruka.

Ale to było później. Wcześniej zaś Jasio odkrył, że...



Jasio odkrył, że nie ma pojęcia, dokąd iść. Ani on, ani Gryzak nigdy wcześniej nie znaleźli się tak daleko od domu. Otaczał ich las. Nie żaden złowieszczy, mroczny bór, tylko zwyczajna dąbrowa świetlista.

- Piesku... - Jasio przyklęknął na jedno kolano, by móc spojrzeć Gryzakowi w oczy. - Co powinienem zrobić? Muszę odnaleźć Wodę Życia, by uratować tatę. I to szybko. Ale nie wiem, gdzie jej szukać!

- Na południu - odparł Gryzak.

- Na zachodzie - powiedział jednocześnie jeden z ptaków siedzących na gałęzi pobliskiego dębu. Przypatrywał się dziwnej parze już od pewnego czasu, niepewny kim są i czego chcą.

- Na południu! - warknął pies, zwracając się ku biało-niebieskiemu intruzowi. Od spotkania z muchołówką nabawił się urazu do przemądrzałych ptaszysk. - Niedawno przez wieś przejeżdżał kapłan. Pamiętam, co mówił o dobrach przyznanych ludziom przez bogów i wielkiej świątyni w stolicy! Tam dowiemy się, gdzie znajdziemy źródło Wody Życia!

- Gównu - skwitował ptaszek, wyglądając dzióbkiem piórka na lewym skrzydełku. - Źródło Wody Życia znajduje się tam, gdzie słońce zachodzi, tam, gdzie jest tylko przód, a nie ma tyłu, tam, gdzie strach nie może istnieć. Każdy to wie.

Jasio patrzył na ptaka jak urzeczony. Wydawało się jednak, że wcale nie słucha jego słów.

- Jesteś modrosójką błękitną – powiedział wreszcie z miną dziecka, które dostało od dawna wyczekiwany kawałek ciasta.

Ptaszek przyglądał mu się przez kilka sekund czarnym okiem.

- No tak – orzekł wreszcie. – Tak. Rzeczywiście. Nic dodać, nic ująć. Jesteś jednym z nich.

- Jednym z których? – dociekał Gryzak, warcząc głucho.

- Po prostu jednym z nich – skwitowała modrosójka. – Wiecie, poszukiwanie Wody Życia to misja chwalebna, ale straceńcza. Mało kto dociera na miejsce, jeszcze mniej osób dochodzi na sam szczyt, a żadna nie pozostaje przy zdrowych zmysłach. Plotki głoszą tylko o jednej jedynej, a przecież nikt tak nie plotkuje jak ptaki.

Jasio wciąż patrzył na modrosójkę oczarowany i nie odzywał się słowem. Kochał wszystkie zwierzęta, ale ptaki najbardziej. Gryzak usiadł w pyle drogi i podrapał ucho tylną łapą.

- No dobrze – przyznał niechętnie. – Zatem musimy iść na zachód. W poszukiwaniu jakiejś góry, tak? Skoro mamy dotrzeć na szczyt. I co?

- I nic – odparł ptak. – Tyle tylko, że musicie mieć nie po kolei w głowach, żeby w ogóle próbować. Kiedy wspomniałem o tej jednej osobie, której udało się odnaleźć Wodę Życia, nie powiedziałem, co się z nią tak naprawdę stało... Nic godnego pozazdrosczenia. Szkoda waszego czasu. Jeśli jednak chcesz zrobić coś pożytecznego, psie, zabierz swojego człowieka na południe, do stolicy. Wieść głosi, że król umiera. Na tego, kto go uzdrowi, czeka ręka królowny i pół królestwa, jak to zwykle bywa. Powiedz choć słowo, a zdradzę ci tajemnicę lekarstwa, którego król potrzebuje. Chłopaka masz niebrzydkiego, a królowna jest rezolutna. Razem mogą władać nie gorzej niż obecny tyran.

Gryzak zerknął niepewnie na Jasia. Nawet wiejskim zwierzętom znane były wybryki starego króla, którego edykty pozostawiały wiele do życzenia.

- No tak... – zaczął powoli.

- Przestańcie – powiedział dźwięcznie Jasio. Jego błękitne oczy lśniły pewnością i determinacją. – Nie pójdę do stolicy. Król nie jest moim

tatą. Nie będę go ratować, tata jest ważniejszy! Muszę odnaleźć Wodę Życia. Nic innego nie ma znaczenia.

Gryzak i modrosójka wymienili spojrzenia. Zwierzęta zawsze szybciej niż ludzie potrafią zrozumieć pewne rzeczy. Dla obojga było oczywiste, że Jasio, niezależnie od wszelkich argumentów, zrobi to, co sobie zamierzył.

– Dziwny z ciebie przypadek. Twojego ojca i tak zapewne nikt nie jest już w stanie ocalić. Tak przypuszczam, bo gdyby istniał racjonalny sposób, nie wyruszyłybyś przecież na poszukiwanie Wody Życia – powiedziała modrosójka, zanim Jasio zdążył zaprotestować. – Mógłbyś być bogaty – kontynuowała. – Mógłbyś mieć za żonę najlepszą partię w promieniu wielu mil. Mógłbyś mieć święty spokój do końca życia. I tyle zwierząt do towarzystwa, ile tylko byś chciał.

Jasio nie chciał. Było to widać na pierwszy rzut oka. Wpatrywał się w modrosójkę wzrokiem skrzywdzonego dziecka.

– Chodźmy – zarządził Gryzak, delikatnie ciągnąc chłopca za nogawkę. – Niech będzie, że na zachód, nie do stolicy. Znajdziemy naszą górę, a na jej szczycie źródło. No, chodźże wreszcie.

Zostawili modrosójkę w tyle, nie żegnając się. Ptak spoglądała za nimi przez chwilę, przechylając łebek to na prawą, to na lewą stronę.

– Co to byli za dziwacy? – dociekała zięba, która po chwili wylądowała na gałęzi.

– Jak to dziwacy? – odparła modrosójka. – Szukają Wody Życia.

– Och. – Zięba wdrygnęła się na samą myśl. – Biedactwa. Oby tylko ona ich nie znalazła...

– Przypuszczam, że na to już o wiele za późno. Ona zawsze dowiaduje się pierwsza.



Zapadał zmierzch. Wóz skrzypiał sennie, tocząc się w stronę wioski. Woźnica ziewnął przeciągle zmęczony po całym dniu targowym. Wiedział, że wieś zostanie pustą i cichą. Krowy już przyprowadzono z pastwisk,

pozostałe zwierzęta pozamykano, psy spuszczone. Kury poszły spać, a wraz z nimi ich właściciele. Życie na wsi rozpoczynało się skoro świt i wraz z zachodem słońca zamierało. Woźnica jeszcze będzie musiał rozprząc i oporządzić konia, zje pozostawioną przez żonę na piecu kolację i również uda się na spoczynek, by następnego ranka wstać i wyruszyć na pole.

A w każdym razie tak odbyłoby się to w każdy inny dzień targowy, po powrocie z miasteczka. Ale ten wieczór był odmienny, ten wieczór miał wstrząsnąć całą wsią i wszystkimi jej mieszkańcami.

Gdy woźnica dojechał wreszcie do wioski, było już ciemno, tą aksamitną ciemnością letniej nocy przesyconej blaskiem gwiazd. Budynki i drzewa kładły głębokie cienie, w których mogło kryć się wszystko.

Mężczyzna jechał jedyną drogą osady, w kierunku swego domu, gdy wtem od pnia jednej z rosnących na poboczu grusz oderwała się zwiewna, wiotka postać.

Woźnica odruchowo ściągnął lejce i zdziwił się, że nie dostrzegł jej wcześniej, miała bowiem luźną, śnieżnobiałą szatę i jasną, alabastrową cerę. Ciemne loki opadały jej do pasa, a oczy miała tak mroczne jak cień, w którym przed chwilą jeszcze się kryła. Wyglądała niczym księżniczka z bajki. Albo może jak podstępna czarownica. Wieśniak był pewny, że nigdy nie widział w okolicy nikogo podobnego do tej kobiety.

– Dobry panie – odezwała się zjawa nie zjawa, zanim woźnica zdążył otworzyć usta. Jej głos był głęboki i niski. – Wybacz śmiałość, błagam cię jednak o pomoc. Przechodziłam dopiero co przez las wzdłuż płotu tego oto gospodarstwa... – zatoczyła ręką krąg, wskazując ziemie należące teraz do starszych braci Jasia – ...i wydało mi się, że zobaczyłam coś strasznego! Dobry panie, jestem tylko słabą kobietą, która nie może znieść niegodziwości i nieprawości... Wydawało mi się, że widziałam, jak ktoś cichcem wykopuje... grób! Pod osłoną nocy, z dala od ludzkich oczu. Ale ja, ja widziałam, często tędy chadzam, bo mieszkam po drugiej stronie wzgórza. Błagam, dobry panie, rozwiej moje wątpliwości! Nie spocznę, póki nie dowiem się, że to jeno przywidzenie było i żadna zbrodnia w tak spokojnej wiosce się nie dokonała! Nie znalazłam nikogo



innego, kogo mogłabym poprosić o pomoc... Dobry panie, nie opuszczaj niewiasty w noc pełną strachów!

Kobieta padła przed woźnicą na kolana, wyciągając doń nieskazitelnie białe ręce i unosząc zmartwiałą ze zgrozy twarzyczkę.

Woźnica aż sapał zaskoczony. Wprawdzie bardziej do niego przemawiały wdzięki dziewczyny niż to, co do niego mówiła, nie widział jednak luk w jej opowieści. Za wzgórzem wznosił się letni pałac jednego z królewskich dostojników, więc jeśli gdzieś mogła mieszkać tak nadobna pani, to właśnie tam. A o synach starego gospodarza, braciach Jasia, można przecież powiedzieć wszystko, tylko nie to, że są praworządni i uczciwi. Jeżeli gdziekolwiek w wiosce miałyby dokonać się niegodziwość, to tylko na ich ziemiach. Jeśli ktokolwiek miałyby być winny zbrodni, to tylko oni.

A jeśli mieliby kopać grób... to tylko dla swojego schorowanego ojca, prawda? Czemu jednak w sekrecie, skoro wszyscy wiedzieli, że gospodarz wkrótce sam zemrze? Jedynym wytłumaczeniem było to, że bracia postanowili uśmiercić ojca przed czasem, kiedy wreszcie pozbyli się z domu ostatniej przeszkody. Proste jak drut.

– Pani... – Chłop zlął ciężko z koźła i skłonił się niezdarnie przed kobietą. – Zawsze jesteśmy do usług, gdybyś tylko potrzebowała wsparcia. Tu jeden w drugiego sami dobrzy ludzie mieszkają! Ale tobie niebezpieczno po nocy chodzić. Skrzyknę kilku kumów, coby...

– Och, nie! – zaprotestowała niewiasta, przykładając roztrzepotane niczym skrzydła ptaka dłonie do piersi. – Winowajcy śladu nie zostawią i przepadną, gdy za wiele czasu zmitrzymy albo uciekną, gdy posłyszą, że się nagonka zbliża!

– Dobrze – zdecydował nieco ogłupiały wieśniak. Nie był w stanie oprzeć się tym czarownym, choć dziwnie mrocznym oczom. Sięgnął na wóz po pałkę z dębiny, którą zawsze woził przy sobie, ot tak, na wszelki wypadek, gdyby ktoś na drodze chciał się z nim wdać w jakąś nieprzyjemną dysputę.

– Dziękuję ci, dobry panie. Ale staraj się nie narobić hałasu, bo inaczej ptaszyna się spłoszy.

Kobieta dobrze trafiła, jako że rolnik był roslym, barczystym mężczyzną. Wagą i siłą nie ustępował żadnemu z sąsiadów, a i pałką umiał się wprawnie posługiwać. Poprowadziła go skrajem lasu, wzdłuż ogrodzenia otaczającego włości starego gospodarza i jego synów. Wieśniakowi wydało się, że postępująca przed nim niewiasta raczej frunie niż idzie, ale złożył to wrażenie na karb zwiewności jej szaty i sposobu, w jaki rozkładała ręce, kiedy biegła.

Pokonali sporą odległość, nim dotarli do miejsca, w którym kobieta podpatrzyła podejrzaną scenę.

Na skraju jednego z pastwisk należących do starego gospodarza dwie osoby rzeczywiście pracowicie wykopywały dół. Nieopodal leżał podłużny pakunek, wielkością dziwnie przypominający człowieka. Wieśniak aż sapanął jak niedźwiedź, gdy niewiasta białą dłonią wskazała mu właściwy kierunek. Nie mógł mieć wątpliwości co do wymowy sceny, którą ujrzał.

– Mordercy! – zakrzyknął strasznym głosem, ponieważ wściekłość wzięła w nim górę nad zdrowym rozsądkiem i ostrożnością. – Zdracy! Potwory! Oprawcy!

Wyskoczył z krzaków na skraju lasu, w których kryli się wraz z kobietą, przesadził jednym susem ogrodzenie i wymachując pałką, pobiegł w kierunku zbrodniarzy.

Starsi bracia Jasia, bo to rzeczywiście byli oni, oniemieli ze strachu, widząc szarżującego w ich kierunku chłopca. Było ich dwóch, prawda, ale w bezpośrednim starciu nie mieliby szans. Wpadli w panikę, cisnęli łopaty na ziemię i rzucili się do ucieczki. Nic lepszego nie przyszło im do głowy – zostali przyłapani na gorącym uczynku.

Wieśniak biegł za nimi dość długo, zanim zasapał się i odzyskał zdolność logicznego myślenia. Zrozumiał, że dogonić ich nie zdoła, zawrócił więc do miejsca, w którym bracia wykopywali dół. Padł na kolana obok ciemniejącego w trawie podłużnego pakunku i czym prędzej zaczął odwijać zeń lachmany.

Jego oczom ukazało się, tak jak się spodziewał, ciało starego gospodarza. W wiosce od dawna nikt go nie widział, bowiem spoczywał



w łóżu przez wiele miesięcy. Schudł i zmarniał przez ten czas, stał się ledwie cieniem człowieka, którego niegdyś wszyscy szanowali i poważali. Tyle chłop był w stanie ocenić nawet nocą przy świetle gwiazd. Doskonale widział też nienaturalny grymas, który zastygł na twarzy zmarłego.

– Uduszony! – wykrzyknął w zgrozie wieśniak, spoglądając z niedowierzaniem w kierunku, w którym zniknęli synowie zabitego. – Nie godzi się! Taka hańba, taka zbrodnia! Gore! Gore! Wstawać, kto żyw! Zbrodnia się dokonała! Łapać morderców!

Oczywiście z takiej odległości od zabudowań wioski nikt by go nie usłyszał – gdyby nie psy.

Wpierw jeden, wyrwany ze snu, zaczął ujadać do wtóru krzyków wieśniaka, potem dołączyły do niego następne. Wreszcie wszystkie mieszkające we wsi kundle rozszczękały się na dobre, podnosząc alarm i podrywając mieszkańców z łóżek.

Błada niewiasta o kruczych włosach jeszcze przez chwilę obserwowała scenę rozgrywającą się na pastwisku. Żli bracia uciekli, ale nie miała wątpliwości, że psy ich wytropią i odnajdą, a sami mordercy zostaną postawieni przed królewskim sądem.

Czuła się trochę winna przez to, co będzie musiała uczynić pewnemu chłopcu w niedalekiej przyszłości, jak już to czyniła tylu innym wędrowcom szukającym Wody Życia. Cieszyła się więc, że chociaż tyle mogła teraz dla niego zrobić, nawet jeśli on sam miał się o tym nigdy nie dowiedzieć.

Niewiasta odwróciła się w stronę ściany lasu. Biała, zwiewna szata przekształciła się w puch, a czarne, miękkie loki przybrały postać piór ciemieniowych i pokrywowych. Muchołówka żałobna odśpiewała kilka taktów smutnej pieśni, aby upamiętnić śmierć starego gospodarza, a potem odleciała na zachód, zostawiając za sobą wioskę i pandemonium, które w niej rozpętała.



Poranek następnego dnia zastał Jasia oraz jego psa na lepkich, cuchnących bagnach. Wędrowali już od dwóch godzin. Chłopak w swym uporze postanowił zmierzać na zachód najprostszą drogą, furda ubite gościńce, nieważne przetarte ścieżki, byle jak najszybciej odnaleźć źródło Wody Życia i powrócić do domu, by ocalić ojca.

Nie wiedział, że nie ma po co wracać.

Na bagnach panowała przytłaczająca cisza i bezruch – żadnych ludzi, żadnych ptaków ani innych zwierząt.

Tym bardziej więc zdumieli się wędrowcy, kiedy po jakimś czasie dogoniła ich muchołówka żałobna. Jej przybycie zaanonsowała przejmująca aria.

Zdążyła zaśpiewać dwie zwrotki, nim sprowokowała Gryzaka do pościgu za sobą; potem śmiała się długo i dźwięcznie, gdy pies aż po brzuch zapadł się w mokradle.

– Czy znasz jakieś weselsze piosenki, ptaszku? – zapytał pogodnie Jaś, niestrudzenie przemierzając kolejne kałuże, wyszukując suche kawałki gruntu i odgarniając sprzed twarzy zwisające z drzew martwe gałęzie.

– Nie – zasępiła się muchołówka. – Moją domeną są nieuchronny koniec i zatrata. Nie znam radosnych pieśni.

– A czym właściwie się zajmujesz? – dociekał pies, z obrzydliwym cmokaniem wyciągając się z kupy błota na korzeń wielkiego drzewa. – Śpiewasz przy pochówkach? Straszysz dzieci po nocach?

– Opiekuję się źródłem Wody Życia – odparł z godnością ptak, decydując się na odkrycie niemal wszystkich swoich kart. Przysiadł na moment na ramieniu Jasia i skubnął go w ucho. – Jestem przewodnikiem, ale i strażnikiem. Moim zadaniem jest pilnować by nikt, kto nie powinien, nie doszedł do celu.

– Od razu mi się nie spodobałaś – warknął Gryzak, ale muchołówka odleciała już na sąsiednie drzewo, od którego psa oddzielało zdradliwe bajorko.

– Czy to prawda? – Jasio wpatrywał się w ptaka szeroko otwartymi oczami, nie zważając, że stopniowo zapada się w bagno. – Wiesz, gdzie

jest źródło Wody Życia? Możesz mnie tam zaprowadzić? Pomożesz mi ocalić ojca?

– W niczym więcej ci nie pomogę – odparła enigmatycznie muchołówka.

– Ale zmierzamy w dobrym kierunku? – upewnił się Gryzak, niby to mimochodem coraz bardziej zbliżając się do ptaka. Ten odleciał na gałąź kolejnego drzewa.

– Jesteście blisko – zgodził się. – Tak naprawdę od celu dzieli was tylko nieco ponad dzień drogi.

Pies bezskutecznie próbował pozbyć się grudek błota, które wcisnęły mu się w łapy. Na razie udał, że znudziło go polowanie na muchołówkę.

– Niemożliwe – fuknął, wypluwając kępkę wełnianki, dopiero co wyrwaną spomiędzy poduszek przedniej prawej łapy. – Spodziewałem się, że trzeba będzie iść całymi miesiącami...

– Czasami to, czego poszukujesz, jest w zasięgu ręki. Choć oczywiście też czasem to, czego poszukujesz, tak naprawdę wcale nie jest tym, czego potrzebujesz.

– Nie rozumiem – oznajmił Jasio. Nie wydawał się jednak tym faktem przejęty. Przysłuchiwał się rozmowie zwierząt tak, jakby nie dotyczyła jego.

Ptaka i pies zgodnie westchnęli.

– Nie musisz. Powiem wam tylko tyle: wkrótce dotrzecie do stromej, kamienistej góry. Prosto na zachód stąd, dokładnie tak, jak idziecie. Ja... ja będę czekać na szczycie, o ile zdołacie go zdobyć. Powiedz, chłopcze, czy kochasz swój dom?

– Oczywiście! – wykrzyknął z dumą Jasio, bo wreszcie usłyszał coś, co doskonale pojmował. – Kocham dom i kocham tatę! To dla niego tu jestem, to dla niego poszukuję Wody Życia!

– Oczywiście – powtórzyła muchołówka i, kręcąc łebkiem, poderała się do lotu. Wkrótce zniknęła im z oczu.

Gryzak warknął, niezadowolony. Podejrzewał, że jego pan udzielił podstępemu ptakowi jakiejś niewłaściwej odpowiedzi, choć jeszcze nie był w stanie przewidzieć jej konsekwencji.

Ponieważ teraz nie było już odwrotu, niestrudzenie szli dalej, aż zawędrowali na kamienne, nieprzyjazne pustkowie, którym władał tylko wiatr.



Słońce chyliło się ku zachodowi. Suche trawy szeleściły cichutko, gdzieś w oddali rozległo się wołanie jakiegoś zwierzęcia. Brzmiało na poły zło-wieszczco, na poły tęsknie. Przebyli kawał szarej, niemal pozbawionej życia równiny. Wreszcie stanęli u podnóża wysokiej, samotnej góry. Nie wyglądała zachęcająco. A raczej: nic nie wskazywało na to, żeby na jej szczycie miało znajdować się cokolwiek godnego uwagi.

- Cholera - powiedział Gryzak. - Węże... Nie cierpię węży.

- *Ssspadaj sssatem* - odparła żmija zygzakowata, wychylając się z kępy uschniętej trawy tuż przed jego pyskiem.

Pies odskoczył gwałtownie, tak przejęty obrzydzeniem, że nawet nie warknął. Węży było więcej; tak wiele, że nie dało się ich zliczyć. Pełzały leniwie po zboczach, wygrzewały się w ostatnich promieniach słońca, leżąc na kamieniach oraz na całej ścieżce wiodącej na szczyt. Szelest, który pies i chłopak słyszeli wcześniej, nie był wywoływany jedynie przez ocierające się o siebie trawy.

Jasio przyklęknął obok żmii. W ogóle nie okazywał lęku: miał za mało wyobraźni, żeby się bać.

- Dzień dobry - powiedział poważnie. - Czy to jest góra, na której wierzchołku bije źródło Wody Życia?

Żmija syknęła zdumiona. Widziała już różne rzeczy, ale kogoś takiego jak Jasio po raz pierwszy.

Uniosła głowę i owinęła się chłopcu wokół ręki. Ten nawet nie drgnął.

- *Rosssumiesssz nassszq mowę? A ssszemu ssszukasz Wody Ssszycia, ssstraceńsssze?* - spytała, wypełzając wyżej, aż sięgnęła szyi chłopaka. Gryzak obserwował tę scenę z bezpiecznej odległości i, niezadowolony do ruchu z przestachu, tylko warczał głucho.

– Mój tata jest chory – wyjaśnił Jasio ze smutkiem. – Poszukuję Wody Życia, by móc zabrać trzy łyki do domu i go uzdrowić.

Do Jasia podpełzło więcej gadów. Przysłuchiwały się uważnie jego słowom, rozważając wszystkie za i przeciw.

– Nie boisz się nas? – zapytał przepiękny, oliwkowy wąż Eskulapa, przed którym pozostałe zwierzęta zdawały się czuć respekt. W przeciwieństwie do żmii nie syczał, ale mówił normalnym głosem, jakby wydo-  
bywającym się z innego miejsca niż jego pysk. – Nie wahasz się obok nas przejść? Nie chcesz uciec z wrzaskiem, z podkulonym ogonem?

– Wypraszam sobie! – warknął Gryzak.

Jasio rozejrzał się dookoła zdziwiony pytaniem węża.

– A dlaczego mielibyście mnie skrzywdzić? – zapytał. – Przecież nie zrobiłem wam nic złego. Piesek też nic nie robi. Potrzebuję tylko trzech łyków, naprawdę. Nie dla siebie, dla taty!

Wąż Eskulapa prychnął pogardliwie. Na jego znak pozostałe stworzenia odsunęły się i odpełzły, pozostawiając Jasiowi i Gryzakowi wolne przejście.

– Niech ci będzie. Pójdź zatem, jeśli chcesz. Choć lepiej dla ciebie byłoby, gdybyś teraz zawrócił. Idź prosto przed siebie, nie zważaj na to, co zobaczysz, a nade wszystko: nie oglądaj się. Więcej rad nie mogę ci udzielić.

Jaś skinął głową w podziękowaniu. Gryzak przemógł się wreszcie i ruszył powoli, łapa za łapą, starając się stąpać jak najdalej od gadów. Gdy zrównał się z chłopcem, obaj stanęli twarzami do ścieżki. Ramię w ramię – a raczej łeb w kolano – zaczęli piąć się na szczyt. Jasio chciał jak najszybciej dotrzeć do źródła, pies chciał jak najszybciej zostawić za sobą węże.

Wkrótce zniknęli za zakrętem.

– Zadowolona? – zapytał wąż Eskulapa.

– Nie – odparła siedząca nieopodal na kamieniu muchołówka ża-  
łobna. – Gdybym tylko mogła tym razem tego uniknąć... Ale nie mogę.

– Czeka go jeszcze jedna próba – zgodził się wąż.

– Próbom nigdy nie ma końca, mój drogi. – Czarno-biały, niepozorny ptaszek zerwał się do lotu. Miał do wykonania ostatnie już zadanie.



Wokół nie było widać żywej duszy. Znajdowało się za to całkiem sporo martwych.

Gryzak kulił się i warczał za każdym razem, gdy któraś z nich z nadto się zbliżała. Okazały się jeszcze gorsze od węży. Upiory, widma, bezgłowe ciała, topielcy, wisielcy, ludzie bez kończyn, rozszarpani przez zwierzęta, spaleni; umarli dawno i niedawno, zdawali się wypełniać całe zbcze góry, niemal nie było pomiędzy nimi przestrzeni, tak że wspinanie stawało się z kroku na krok coraz trudniejsze. Nie robili nic szczególnego, po prostu snuli się w tę i z powrotem... i patrzyli. Ich wzrok był jasny, przejmujący i straszliwy. Zawierał w sobie wszystkie oskarżenia świata, żądania zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy, przyznania się do winy. Tylko ktoś prawdziwie niewinny i czysty mógl znieść na sobie wzrok umarłych.

*Niewinny albo bardzo głupi* – pomyślał Gryzak, trzymając się tak blisko nóg Jasia, jak to tylko było możliwe. Szczęśliwie na niego upiory nie patrzyły, dla nich liczył się jedynie człowiek.

A Jasio zdawał się w ogóle nie zauważać tego, że nie są sami. Szedł przed siebie z uniesioną głową, nie rozglądał się na boki, nie zważał na ręce, które wyciągano w jego kierunku ani na te straszne spojrzenia, które większą część ludzkości zmusiłyby do odwrócenia się i rzucenia do ucieczki, byle szybciej, byle dalej.

Choć psu wydawało się, że wspinali się pośród mar przez całą wieczność, wciąż było jeszcze jasno, kiedy dotarli na szczyt.

Tam zaś, dokładnie tak, jak opowiadały legendy, znajdowało się źródło Wody Życia. To nie mogło być nic innego. Przypominało raczej fontannę niż źródło – biło prosto w górę, na wysokość około trzech stóp. Woda wydawała się czystym srebrem, nieziemski strumień otaczała tęczą.

Jasio zaśmiał się radośnie jak dziecko i ruszył szybciej, niemal biegiem, gdy wtem na jego drodze stanęła zwiewna, jasna postać.

Gryzak uznał, że kobieta wyłoniła się wprost z powietrza, bo przecież jeszcze przed chwilą przed nimi nie było nikogo. W tej samej chwili zniknęły wszystkie widma, ale eteryczna, kruczowłosa kobieta trwała jak skała, zagradzając Jasiowi drogę do źródła. Jej oczy, ciemne niczym wloty jaskiń, były jeszcze bardziej przerażające niż te, które wyglądały z twarzy nieumarłych.

*Kim też musi ona być, by mieć tak nawiedzone wejrzenie jeszcze za życia?* – pomyślał mimowolnie pies.

– Witaj u źródła Wody Życia – powiedziała istota niskim, wibrującym głosem. – Zobacz, kto dotarł tutaj przed tobą.

Zza pleców kobiety wyłonił się mężczyzna w sile wieku, krzepki, rumiany i uśmiechnięty. Długa, gęsta broda była kasztanowata, pozbawiona pasm siwizny, ramiona pozostały mocne, dłonie krzepkie, sylwetka wyprostowana. Ojciec trzech braci – taki, jakim był, zanim odumarła go żona, zanim zmgóła go choroba.

Mężczyzna rozłożył ręce w geście powitania. Uściskał syna i rzekł:

– Tak się cieszę, że jesteś, Jasiu! Popatrz w dół! Widać stąd nasz dom!

W przeciwieństwie do człowieka, psa nie można zwieść urokami. Zanim jednak Gryzak zdążył choćby się ruszyć czy zaprotestować, było już za późno.

Jasio, nie wypuszczając ojca z objęć, odwrócił się.

Gryzak nie mógł wiedzieć na pewno, ale potrafił wyobrazić sobie, co się wydarzyło. Cisza wokół zapadła tak głęboka, jak gdyby wszystko umarło i nie miało się odrodzić nigdy więcej.

Pies otworzył oczy. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że wcześniej je zamknął. Przed sobą widział tylko źródło i odzianą w biel kobietę, która klęczała przy nim ze spuszczoną głową. Zniknęło widmo ojca braci, a kątem oka Gryzak mógł dostrzec obok siebie bryłę szarego kamienia, która jeszcze niedawno była jego panem.

– Niedawno? – zapytała niewiasta, unosząc na psa przepastne spojrzenie.

Gryzak stał jak wryty, bojąc się poruszyć, aż wreszcie podjął decyzję. Nie odrywając wzroku od srebrnego strumienia, zbliżył się i upił z sadzawki, która rozlewała się przy źródle, trzy łyki wody. Nie więcej i nie mniej.

Dopiero wtedy zdecydował się odwrócić.

– On chciał dobrze – warknął, ledwo tłumiąc rozpacz i gniew. – Nigdy nie skrzywdził najmniejszej nawet istoty. Ze świecą by szukać drugiego tak dobrego człowieka. Do diabła, on chciał tylko ocalić swojego ojca!

Podszedł do głazu, którym stał się teraz Jasio. Posąg zdawał się nienaturalnie wykręcony, ale jego twarz wyrażała prawdziwe szczęście.

Po bokach oraz niżej, dalej na ścieżce, widniały dziesiątki innych ludzi-kamieni, których nie było widać wcześniej.

– Oczywiście, że nie było – powiedziała kobieta, wstając z kłęczek. Jej długa, biała szata dziwnym trafem nie była ubrudzona ziemią. – W przeciwnym razie śmiałkowicie zostaliby ostrzeżeni, a to wbrew regułom gry.

Rozległ się szelest i na ramieniu nowego posągu przysiadła czarno-biała ptaszyna.

– Próbowano nigdy nie ma końca – kontynuowała muchołówka żalobna. – Wiem, że on w niczym nie zawinił. Ale takie są prawa. To musiało się dokonać. A jego ojciec i tak nie żyje. Spóźnilibyście się, nawet gdybyście obaj osiągnęli dziś cel.

Gryzak zaskomlał, a potem zawył długo i przeciągle. Bo co pozostaje psu po tym, gdy jego pan odejdzie?

– Co teraz będzie?

– Co tylko zechcesz – odparła muchołówka. – Napileś się wody ze źródła, masz do dyspozycji cały czas świata. Wiesz, niektórzy wracają – dodała po chwili, bo pies nie odpowiadał. – Trwa to czasem całe lata, ale jakimś sposobem oddalają się od miejsca, w którym skamienieli. Wracają tam, skąd przyszli. Jak? Nie wiem. A niektórzy z nich nawet wracają do życia.



Gryzak wciąż milczał.

– Byłam kiedyś taka jak ty – dodał ptak. – Towarzyszyłam komuś i dotarłam do źródła, a on nie... Ale mój rycerz już dawno został obrócony w pył. Siedziałam przy nim tak długo, aż źródło mnie zniewoliło. On rządzi się własną, dziką, niewytłumaczalną magią. Wiesz, przede mną wodził wędrowców na pokuszenie czarny kot. Kiedyś, przed wiekami, był kapłanem dawno zapomnianej religii, przynajmniej tak mi powiedział. Teraz to już bez znaczenia. Odejdź, póki możesz, zanim i ciebie to diabelstwo dopadnie.

– Może dopadnie, może nie – rzekł pies, kładąc się przed głazem, w który zamienił się Jasio. Twarz posągu, nawet w zapadającym mroku, wciąż emanowała niewinnym, niczym nieskażonym szczęściem.

Muchołówka bez słowa odleciała w ciemność, uznając, że pies sam musi sobie poradzić z tym, co go spotkało, i z decyzją, którą podjął.

Gryzak złożył łeb na łapach.

– Teraz jest mi już wszystko jedno – mruknął. – I tak nie mam dokąd pójść.

Patrzył w górę na oblicze swego pana i zamierzał to robić przez całą wieczność, a przynajmniej dopóty, dopóki wiatr i deszcz nie zetrą widniejącego na nim wyrazu. Wyrazu, jakiego nie widział na tej twarzy ani razu, odkąd urodził się sześć lat wcześniej.

– Tak... Woda Życia czy nie, warto było tu przyjść.

## **Anna Grzanek**

Rodowita, dumna ze swojego brzydkiego miasta łodzianka. Z wykształcenia geograf i zarządcza nieruchomości, a na cały etat przede wszystkim szczęśliwa (choć zmęczona) matka. Kilkukrotnie nagradzana i wyróżniana w różnych konkursach literackich (m.in. trzykrotnie w Ogólnopolskim Konkursie na Opowiadanie Fantasy im. Krystyny Kwiatkowskiej). Publikowała m.in. w „Esensji”, „Qfancie”, „Creatio Fantastica”, „Silmarisie”, „Białym Kruku” i w „Szortalu”, a na

papierze w „Fantomie”, „Bramie” oraz antologiach „Jabłoń i inne opowiadania”, „Transgeniczna mandarynka”, „Po100słowie” oraz „Dreszcze”. Jest aktywnym członkiem społeczności portalu fantastyka.pl jako użytkownik joseheim. Ponadto współpracuje z redakcją „Smokopolitana” oraz dorywczo robi korekty dla Szortalu. W wolnym czasie czyta, śpiewa i zwiedza, najchętniej ruiny zamków.

# NIEZWYKŁA KOBIETA

Dagmara Adwentowska

## Noc rodzi potwory

Oto jest noc, podobna wszystkim poprzednim.

W jego myślach króluje niepodzielnie jedna kobieta. Jej ikonę wozi ze sobą i wiesza na ścianie nad łóżkiem, gdziekolwiek się zatrzymuje. Gdy śpi, je, czyta i pracuje, śledzi go spojrzenie ciemnych oczu wymalowanych na deszczułce. Wdzięczna głowa otulona białym zawojem wdowy pochyla się nad nim z własnej woli, na pewno nie pod ciężarem złotej korony. Smukłe dłonie dzierżące krzyż wyciągają się ku niemu w geście – zdawałoby się – pieszczotliwym niemal, właściwym osobom dzielącym życie, intymność i przynależne tylko sobie tajemnice. Jest mu bliższa niż ktokolwiek na świecie, ale tak być powinno. To on jest tym, który ją odnajdzie. Postanowił to i podporządkował temu celowi całe swoje życie. Dla niej wybrał studia, pracę, przyjaciół. Poświęcił wszystko, by ją odszukać.

Jej ciała nie tknął rozkład. Tak mówiły liczne źródła. Miał więcej niż jeden dowód i przesłankę, by żywić nadzieję, że zobaczy ją taką, jaką była za życia. Przepadła bez śladu na trzy wieki, ale czuł, że dołożono wszelkich starań, by czas nie zniszczył jej ciała.

Oto jest noc, podobna wszystkim poprzednim, a jednak inna. Rozjaśnia ją przecucie bliskiego spełnienia. Cerkiew ukryła cenne relikwie, gdy Piotr Wielki zaczął wprowadzać reformy i wziął popów pod



obcas. Schowali je tak dobrze, że sami nie mogli po latach odnaleźć. Aż do czasu, gdy na ich ślad natrafił młody archeolog Błażej Strzeliński. On. Szedł tropem długo, zbłądził i mylił się kilka razy, ale wreszcie znalazł się u kresu drogi. W bieszczadzkiej dolinie, pośród porośniętych zielskiem resztek gospodarstw, pali papierosa oparty o zdziczałą jabłoń. Dwóch miejscowych łomami dobija się do podziemi zrównanej z poziomem gruntu cerkwi. Nie chciał czekać i zapłacił im niemało, więc bez szerniania kopią po ciemku. Obok odsłoniętych fundamentów rośnie sterta kamieni i ziemi.



Oto jest noc, podobna wszystkim poprzednim.

Pod powiekami leżącej w ciemnościach kobiety ospale przesuwiają się obrazy. Olga nie wie już sama – a bardzo chciałaby wiedzieć – czy to senne widziadła, czy snute na jawie marzenia wyrosłe z jej pragnień... A może cudzoziemski Bóg wysłuchał jej modłów? Czas się cofnął, może to wszystko dzieje się znowu, dziejąc się prawdziwie?

W takie noce bowiem przychodzi do niej mąż. Widzi go takiego, jakim zobaczyła go pierwszy raz – cień rzucony na rozpiętą na krosnach tkaninę, nad którą pracowała. Igor Rurykowicz, tak o nim mówili. Ona zwała go inaczej, na północną modłę. Ingvar, jej Ingvar, nie jest piękny. Nigdy pięknym nie był i nigdy go takim nie pamiętała. Ani tak wysoki jak inni, ani szeroki w ramionach, nie miał tak niebieskich oczu ani włosów jasnych niby przędza, ani mocnego głosu stworzonego do pieśni. Ale miał w sobie dumę i siłę, jak wszyscy potomkowie przybyłych z północy wikingów. Może nawet więcej – był w końcu synem ich przywódcy. Z tkaniny na warsztacie uszyła potem swoje ślubne giezło. Bowiem gdy książę Ingvar stanął przy niej, pracującej przy krosnach, i poprosił o jej rękę, powiedziała „tak”.

Próbuje przyciągnąć cień męża do siebie. Próbuje czerpać ciepło i pocieszenie ze wspomnień. Próbuje – gdy widziadła rozwiewają się jak rozpędzane wiatrem dymy – mierzyć czas według tego, jak często się

pojawiają. Wie, że to bezcelowe, ale pozwala zająć czymś myśli, kiedy leży samotnie w ciszy i mroku. Kret, jej ostatni posiłek, jest już suchym truchłem. Dawno, tak dawno nikt do niej nie przyszedł. Może to być, że zapomnieli? Że nikt więcej nie przybędzie? Zostawili ją na powolną śmierć z głodu w tej krypcie? Gdyby nie zrobiła tego na samym początku swe go uwięzienia, teraz tłukłaby w ściany, zdzierając paznokcie o kamienie i wyła, próbując się wydostać. Wiedząc, że nic to nie da, leży spokojnie. Oszczędza siły. Czeką. Na kolejnego gryzonia. Na kolejnego głupca. Liczy na to, że będą więksi i mniej ostrożni niż ich poprzednicy.

Oto jest noc, podobna wszystkim poprzednim, a jednak inna. Ciszę przerywa odgłos miarowych uderzeń. Wyrwana ze słodkich wspomnień Olga otwiera oczy i zamiast oślepiającej ciemności widzi oślepiającą biel. Chwilę zajmuje jej odkrycie, że to niewidziane od dawna, padające gdzieś z wysoka światło razi ją w źrenice. Jakby anieli Boga, którego przyjęła w Bizancjum, rozwinęli swe promienne skrzydła.

– Kurwa – dobiega z przestworzy wraz z jasnością podobną w oczach uwięzionej kobiety światłości wiekuiestej opiewanej przez kapłanów Pana. – Panoczku, ależ tu wali...

Olga, wielka księżna kijowska, święta równa apostołom, pełnym godności gestem odrzuca truchła drobnych zwierząt z dala od swojej twarzy.



Oto jest noc, podobna wszystkim poprzednim.

Młodszy inspektor Marek Wekiera drzemie wtulony w pulchne plecy swej małżonki, a budzik na nocnej szafce odmierza bezlitośnie czas pozostały planowo do końca tej sielanki. Nieplanowo, ale zupełnie nie zaskakująco, zamiast budzika odzywa się telefon komórkowy.

– Halo? – pyta inspektor głosem dość przytomnym jak na tę barbarzyńską porę. Stwierdziwszy, że to wcale nie dyżurny z komendy, ale znowu jego osobisty szalony szwagier bełkocze coś bez ładu i składu na drugim końcu linii, bez wahania przekazuje telefon Malwinie i zapada się

z ulgą w miękką poduszkę. Rozmowa przebija się jednak do niego przez pierze i kolorową satynę – i inspektor niewiele może na to poradzić.

– Cieszę się, że wreszcie kogoś poznałeś, Błażejku – świergocze jego ślubna tym szczególnym tonem, którego niektórzy używają wobec szczeniaków, kociąt, niemowląt i własnego młodszego rodzeństwa, choćby wyrosło z pieluch dekady temu. – Niezwykła kobieta? Znaczy, ktoś szczególny...?

Gotowość do wałkowania tematu życia uczuciowego brata do bladego świtu wręcz się z niej wylewa. Tego Markowi już za wiele. Postanawia jednak coś z tym zrobić. Delikatnie, ale zdecydowanie spycha żonę nogą z łóżka i pokazuje jej władczym gestem drzwi do kuchni. I myśli naiwnie, że to załatwi sprawę. Myli się, bo ta noc jest inna.

Malwina wraca po pięciu minutach i zdiera z niego kołdrę.

– Wstawaj.

W jej głosie jest coś strasznego. Jej twarz w świetle księżyca sączącym się przez okno przypomina halloweenową maskę. Marek unosi się na łokciach.

– Znalazł ją. Znalazł tę swoją Olgę. Tak powiedział. I że wygląda, jakby umarła wczoraj.

– Coś mi się kołacze, że to ponoć całkiem zwyczajny stan dla relikwii. Powinna jeszcze pachnieć fiołkami i wodą różaną...

– Wygląda, jakby umarła wczoraj – powtarza Malwina drewnianym głosem znamionującym rychły koniec cierpliwości i wybuch. – Chodzi trochę krzywo i mówi trochę dziwnie. Rozchlastała na strzępy dwóch lokalnych pijaczków.

– To ona żadna święta sprzed wieków, a normalna współczesna wariatka – ocenia inspektor tonem fachowym i stoickim, zegnając się już w duchu z kołdrą, poduszką i ciepłym łóżkiem. – Zawsze się trzymał z dziwnym towarzystwem ten twój brat. To się musiało tak skończyć!

– Powiedziała, że będzie rozmawiać tylko z władzą, więc zadzwonił do ciebie.

Z piersi Marka Wekiery wydobywa się przeciągłe westchnienie. Mógłby nawet podziwiać szwagrowski talent do wmawiania bliźnim

podbudowanych historycznie idiotyzmów – gdyby nie odczuwał skutków tego na własnej skórze.

– Przecież nie wierzysz w to całe mumbo jumbo! Jezu, Malwina, ty nawet w Jezusa nie wierzysz! A dałaś sobie wcisnąć, że jakaś święta zmartwychwstała? Powiedz mi, że to chwilowe zaćmienie umysłu. Że wyłącznie twój brat jest trwale walnięty na rozumie w waszej rodzinie. Jeden taki przypadek, hm... nasze dzieci tego nie odziedziczą? Dobra, gdzie on jest? Jadę. Ale nie miej złudzeń. Jeśli tam faktycznie padły trupy, to nie skończy się na pogroźeniu palcem na najbliższej komendzie. Doigrał się wreszcie...

### **Wieczna wdowa**

Nie zmrużyła oka, od kiedy przyniesiono jej wieści o Ingvarze. Zdawało się, że jeszcze wczoraj całował ją na pożegnanie i podrzucał w górę, pod niebo, ich syna Światosława. Ostrzegała, by pokonanemu niedawno plemieniu Drewlan nie podnosił danin od razu.

– Owca, która zemrze z głodu, więcej runa nie da – przekonywała, tuląc do policzka jego prawicę. Jeszcze dźwięczał jej w uszach mężowski śmiech. Żadne z nich nie przewidziało, że żyjący w nieprzebytych puszczech na południe od Prypeci Drewlanie bardziej dzikim bestiom są podobni niż baranom dającym się pokornie strzyc. Nie posłuchał i pojechał, by drugi raz tego samego roku pobrać dań. Nie wrócił już ani do Kijowa, ani do alkowy Olgi. Łoże księżnej stało zimne i puste. Postanowiła, że takim pozostanie na zawsze.

Siedząc w ciemnościach, rozpamiętywała słowa posłańca i jak wzory na materii tkąta czerwieni pod przymkniętymi powiekami obraży swej krzywdy. Wzięli Drewlanie Ingvara żywcem, wybiwszy do nogi jego drużynę. Przywiązali go nagiego do przygiętych ku ziemi młodych brzoź. Drzewa, puszczone wolno, wyprostowały się, rozdzierając ciało jej męża na strzępy. Szczątki pogrzebali gdzieś pod swą stolicą, Iskorosteniem, bez konia, bez broni i ozdób, nie odprawiawszy obrzędów ani uczt. Jakby psa w ziemię-matkę rzucili, nie kniazia. Wybuchł bunt i Drewlanie oderwali swe dziedziny od kijowskiego stolca.



Obiecała sobie, że je odbije a morderców Ingvara ukarze po sto- kroć. Jeszcze jej siwy koń zatańczy nad Prypecią, ten sam, który teraz marniał z beczynności w stajni.

Możny Sweneld trwał przy niej niezłomie, gdy w imieniu syna objęła władzę. Doświadczony woj dzielił z Ingvarem Rurykowiczem i Olgą krew Waregów i pozostał wierny. Mógł zagarnąć kijowskie ziemie i rządzić sam – bogatszy od nich od zawsze, a jego drużyna liczniejsza i bardziej bitna. A jednak został i przyklęknął przed bladą z rozpaczy i wściekłości wdową. Przyobiecała mu wtedy, że pomści Ingvara, który był jej mężem, a Sweneldowi ziomkiem i przyjacielem serdecznym. Zanieśie tym psom słowiańskim, zdradzieckim Drewlanom, ogień i miecz. Wareski wojownik przymrużył wilcze oczy, a na ich dnie zobaczyła tę samą pożogę, która trawiła jej serce.

– Helge – nazwał ją w języku ich przybyłych z północy ojców, skłonił głowę jeszcze niżej i uśmiechnął się, ale nie było radości w tym grymasie drapieżnika odsłaniającego zęby. – Wiem. Od zawszem wiedział, żeś ty bardziej od małżonka krwi żądna.

Miał rację. Powinna rozpaczać, zalać się łzami. Powinna wyprawić mężowi tryznę, wielką ucztę, podczas której każdy mógłby jeść i pić do woli, a także zmierzyć się w zawodach jeździeckich, łuczniczych i wyścigach czy zapasach, by uczcić imię i pamięć Rurykowego dziedzica. To słowiański obyczaj, ale przejęli go od ludu, któremu przewodzili i przy- lgnąć zdążył do potomków Waregów jak ich własna skóra. Grajkowie już zresztą czekali, by wydobyć gęśle, bębny, grzechotki i piszczałki. Jeśli nie wypełnią nocy muzyką i pieśniami sławiącymi zwycięstwa zmarłego, jeśli pijani miodem drużynnicy nie będą wspominać wciąż od nowa dawnych wypraw pod jego wodzą, jeśli plemię nad nim nie zapłacze – Ingvar po- wróci z zaświatów jako strzygoń i będzie prześladować tych, których za życia umiłował. Obowiązkiem wiernej małżonki jest wyprawić duszę męża w ostatnią podróż. Tego wymagali od niej bogowie i ludzie.

Olga wystąpiła przeciwko bogom i ludziom. Zacisnęła zęby tak mocno, aż czerwone usta, które Ingvar lubił całować, zamieniły się w kreskę cienką jak ostrze noża. Założyła wdowi czepiec z białego lnu, lecz

kazała iść precz muzykantom. Rozniosły się wieści, że księżną kijowską złamała rozpacz, że dawni poddani Ingvara zostali bez wodza. A ona czekała, tak cierpliwie, jak czekać potrafią węże, w pustej i zimnej łożnicy żując nienawiść i żądząc zemsty niczym umierający z głodu żuje zeschnięte ziarno.

### **Każdy ma swoją cenę**

Prawa noga pierwszego pijaczka tkwi w pętli zadzierzgniętej z zardzewiałego drutu. Denat wisi głową w dół na gałęzi zdziczałej, obsypanej wiosennym kwieciami jabłunki... Głowy jednak brakuje i nigdzie jej nie widać, niestety. Z szyi powinna zatem łać się krew, ale nie leci. Inspektor Marek Wekiera uznaje to za okoliczność w sumie pozytywną, w odróżnieniu od brakującej makówki. Jeśli bowiem postanowi uratować dupę swego durnego szwagra razem z dobrym imieniem całej rodziny i wybieli sprawę, to łatwiej będzie doprowadzić miejsce zbrodni do stanu pierwotnego. Decyzja, czy uratować Błażejka, czy też zostawić go na pastwę losu, jest jednakże w chłodnym osądzie Marka sprawą wtórną wobec kosztów sumiennego zatarcia śladów. Jako taka musi poczekać, aż Marek rozejrzy się po okolicy. Inspektor rozgląda się zatem, strzelając po zarosłych trawą ruinach światłem latarki. Świt nadejdzie za niecałą godzinę, skrada się już pomału po okolicznych szczytach. Czasu nie zostało za wiele.

Drugiego pijaczka, a raczej znaczną jego część, bo ewidentnie brakuje mu wnętrza, Marek znajduje w zasypanej do połowy starej piwnicy. Uznaje, że wystarczyłoby obalić słup i zawalić piwnicę całkowicie. Szanse szwagra Błażejka na uratowanie i zamiecenie sprawy pod dywan rosną!

Inspektor szuka jeszcze brakującej głowy pierwszego denata. *Taka samotna łepetyna – myśli sobie – może wzbudzić niepotrzebne podejrzenia, nawet jeśli leży w zapomnianej przez Boga i ludzi dolinie w Bieszczadach. Bo jak ją ktoś przypadkowo znajdzie, może zacząć zadawać naturalne w takiej sytuacji pytania. Na przykład: gdzie jest reszta ciała i jak to się stało, że straciła połączenie z głową?*

Szczęśliwie zguba się odnajduje. Tkwi na czubku sporego kopca z ziemi i kamieni, obserwując lekko zdziwionymi, ścietymi jak jajka na

patelni oczami terenówkę Błażeja zaparkowaną pod rozsypującym się murem. W dolinie nie widać ani nie słychać żywego ducha i wszystko wskazuje na to, że Błażewi i tym razem się upieczę.

*Ale tylko dlatego, że Malwina tak bardzo go kocha – myśli inspektor z niechęcią. I doprawdy, ostatni raz. Podwójne morderstwo to nie przelewki, nawet jeśli zatłukł jakichś żulików.*

– Błażej! Gdzie jesteś!

– Marek?! Tutaj! Na dole! Przez wykop pod fundamentem! – dobiega go odpowiedź z dziwnym pogłosem, jakby dźwięk odbijał się po wielokroć o sklepienie.

Inspektor znajduje wejście i świeci w rozszepstaną echami ciemność. Coś tam się porusza, coś szeleści. Coś śmierdzi, niewątpliwie trupem. I coś błyszczy...

– Jesteś sam? – pyta inspektor na wszelki wypadek.

– Olga jest tu ze mną – odpowiada Błażej głosem drgającym na granicy ekstatycznego jęku. – Zgaś latarkę, światło chyba jej szkodzi.

– Nie zamierzam skrócić karku – mruczy inspektor i bierze latarkę w zęby, by móc oburącz przytrzymywać się szczebli drabiny podczas schodzenia. Smród przybiera na sile, trupi zaduch wwierca się w nozdrza.

Inspektor Marek Wekiera odwraca się od drabiny i omiata kryptę światłem latarki. Z mroku wyłania się szczupła sylwetka jego szwagra. Brat Malwiny mruży oczy i uśmiecha się w swój zwykły sposób, czyli jak wariat. Zaczyna coś mówić o kocach i o tym, że Olę trzeba otulić dokładnie na czas podróży i jechać bardzo ostrożnie. Marek nie słucha. Szeroko otwartymi oczami patrzy na to, co błyszczy i lśni za plecami jego szwagra.

– Złoto... – szepce na drżącym z wrażenia wydechu.

– A tak – trajkocze Błażej. – Cerkiew ukryła skarby razem z Olgą. Ikony, okucia, tu chyba fragmenty relikwiarza. Historycznie są bezcenne, ale Olga jest najważniejsza. Wrócimy po nie potem...

Marek już podjął decyzję. W dolinie nie ma żywego ducha. Błażej całą wyprawę trzymał w tajemnicy. Malwina wie, że wpadł w nieliche kłopoty. Ukryć dwa ciała czy trzy to właściwie żadna różnica. Nie będzie żadnego „potem”. Nie podzieli się z Błażem. Dzięki skarbowi nie będzie

musiał już nigdy harować. I wreszcie pozbędzie się tego wariata. Wypala prosto w jego rozgadaną gębę.

Ciało Błażeja osuwa się bezwładnie pomiędzy płaczące błyskami klejnoty.

Kiedy huk wystrzału odbija się po tysiackroć od sklepienia i milknie wreszcie, w odległym kącie pod sufitem porusza się mrok ciemniejszy od otaczających go ciemności.

Olga uśmiecha się ustami wypełnionymi ostrymi jak igły, nieludzkimi zębami. Ten pierwszy przybysz przypadkiem czy też rozmyślnie przyprowadził jej ofiary i wyraźnie ją czcił, ale był słaby i dlatego pozwoliła go zabić. Potrzebuje siły i wpływów, a nie powierzchownych czy nawet głębokich dowodów uwielbienia. Ten drugi mężczyzna podoba jej się znacznie bardziej. Mocny, bezwzględny i chciwy – trochę przypomina Swenelda. Klęczy wśród skarbów, które złożono tu wraz z Olgą, gdy nie wiedzieć czemu zabrano ją ze świątyni, w której otoczona czcią przesyłała dnie, by w nocy zrywać się i na swoich skrzydłach sunąć bezszelstnie w ciemnościach. Ona też lubi te klejnoty. Pozwala inspektorowi się nimi nacieszyć, zanim bezgłośnie spada mu na kark i wbija pazury w jego ciało.

– Ile? – pyta Olga, starając się mówić uprzejmie, wolno i wyraźnie, podczas gdy Marek Wekiera przerażony krzyczy i wije się w jej uścisku.  
– Ile jest dla ciebie warte twoje życie?

## **Krwawa tryzna**

W nędznych szczątkach nie poznawała nic z mężczyzny, którego kochała. Oczodoły czerepu świeciły pustką, nie błyskały w nich dumnie ani przekornie ciemne oczy. Ręce, które niegdyś ją obejmowały, były już tylko strzępami zeschniętego mięsa i skóry rozpiętej jak szmata na stelażu zgruchotanych kości. I nie mogły tego ukryć barwione na czerwono drogie jedwabie ani miękkie futra gronostajów, w jakie Drewlanie oblekli zwłoki. Błysł złotych i srebrnych ozdób nie oślepił Olgi tak bardzo, by straciła z oczu najważniejsze. Wysłała za Prypec żywego człeka, teraz oddawano jej doczesne resztki, a jego mordercy bali się zemsty Kijowa.

Nie uroniła ani łzy. Spojrzała nad rozłożonymi na Inianej płachcie zwłokami męża w oczy księcia Mała, pierwszego spośród możliwych Drewlan, którzy posłuchali jej wezwania i zebrali się pod Iskorosteniem w nadziei na rychły rozejm z kijowskim stolcem. Mał liczył na coś więcej niż pokój. Przez posłańców poprosił o rękę Olgi. By otoczyć księżnę opieką i naprawić wyrządzoną krzywdę. Tak mówili, zanim poleciała zakopać ich żywcem. Tych, którzy przybyli potem i zachwalali, że drewlański książę cieszy się łaską bogów, mądry jest w osądzie i miły dla oka, straszny dla wrogów, lecz dla rodziny i druhów czułe ma serce... Tych kazała zaryglować w łaźni i podłożyć ogień wokół ścian. Musiała jednak przyznać pomordowanym posłom, że nie przesadzili mocno w swych słowach. Mał w istocie krasny był i postawny, w sile lat męskich, nie brakowało mu też odwagi, skoro przybył, by osobiście zwrócić jej ciało Ingvara.

– Zło się stało – rzekł drewlański wódz łagodnie, zdejmując z szyi srebrną kaptorgę nabijaną agatami i kładąc ją obok ręki martwego kniazia jako dar na ostatnią drogę – i nie odstanie się już. Przybyliśmy, jak tego żądałaś, i tryznę sprawimy wedle obyczaju, godną księcia. Gdy zaś żałoba twa się skończy, przybędę, by raz jeszcze prosić cię o rękę. Niech śmiech dzieci zastąpi zawodzenie płaczek, a krew wspólna krew przelaną, by pokój mógł trwać wieczny pomiędzy nami.

Skinęła mu głową na zgodę, zadzwoniły lekko srebrne zausznice. Po chwili wahania wyciągnęła także dłoń, którą ujął lekko i przyklęknął, dotykając jej palcami swojego czoła. Dopiero wtedy szarpnęła się jak spłoszony koń, wrywając mu rękę.

– Moja żałoba trwa jeszcze – zaznaczyła cicho. – Lecz dziękuję ci już teraz, moźny Male. Za twe dobre serce i hojność okazaną kniaziewi. Uczyni nam ten zaszczyt i rozpocznij tryznę w mym imieniu. Mąż mój idzie w zaświaty, niechaj niczyj puchar nie będzie dziś próżny!

Mał skłonił się po raz kolejny. Zaklaskał w silne, smagłe dłonie i czterech młodzieńców uniosło zwłoki kniazia Ingvara, by złożyć je w ustawionej na stosie łożni wypełnionej darami na ostatnią drogę. Drewlański książę zaklaskał raz jeszcze i noc rozbrzmiała jęklwym szlochem płaczek, uderzył pod niebo łomot bębnow i terkot kołatek, snuć się poczęła jak

dymy słodka muzyka lir i gęśli. Usadzono to, co z Ingvara zostało, resztki owinięte w drogie materie, na łodzi pośród bogactw niezmiernych. Bezoki czerep patrzył niewzruszenie, jak u boku Olgi Mał, wódz buntowników, wznosił pierwszy toast i jak zstąpił pod stos, by położyć trupem ofiarnego konia i byka. Krew zwierząt jeszcze nie zdążyła wsiąknąć w ziemię, gdy rogi, miedziane puchary i kubki z kory po raz wtóry poszły w górę i zaczęły się wyścigi.

Drewlanie dotrzykali słowa danego Oldze. Wyprawili tryznę godną księcia. Miód i piwo lały się strumieniami, mieszając z krwią składanych w ofierze zwierząt i potem zmagających się w kolejnych konkurencjach wojowników.

Tak jak przewidziała Olga – i zgodnie z obyczajem – zdradzieckie plemię, od możnych aż po zwykłych wojów, popiło się tak, że niektórzy ledwie trzymali się na nogach. Krzyki pierwszych konających zginęły w muzyce i śpiewach. Także Mał nie zwrócił uwagi na wojowników Olgi zarzynających popitych Drewlan u stóp martwego kniazia jak bydłęta składane w ofierze. Nadal szeptał jej do ucha obietnice dozgonnej miłości. Urwał dopiero, gdy pchnęła go oburącz w pierś tak silnie, aż zaskoczony wyrzucił się na plecy przy biesiadnej ławie. Zdążył się zerwać na równe nogi, nim pochwyciła porzucony na stole nóż, którym ledwie przed chwilą odkrajał dla niej mięsiwo najprzedniejsze. Ciosu zadać ani jej pojmać już nie zdołał. Z chrzęstem srebrnych kótek naszytych gęsto na kaftan starł się z nim Sweneld z Waregów, zlany krwią, mocarny jak dąb i straszny. Olga wycofała się i zza tarcz drużynników syciła oczy rzezią. Ponad skłębioną ciżbą, w której ciężko było rozróżnić walczących nadal i już pokonanych, widziała strojnego w jedwabie małżonka i jej serce na chwilę jedną ogarnęła spokój i nasycenie. Ingvar pojedzie w zaświaty jak wielki pan, w orszaku tych, co mu życie odebrali. Nie zapomną Drewlanie ani żadne inne plemię tej tryzny, co się w żertwę krwawą, całą noc trwającą zamieniła.

Gdy świt rozpędził ciemności i opar snujący się przy ziemi od pobliskich bagien, sytość, jaką czuła po rzezi, była już tylko wspomnieniem. Sweneld stanął przed nią ranny, okrwawiony i zmęczony. Jego wojowie

składali u jej stóp, jedno po drugim, odszukane pośród setek innych ciała możliwych drewniańskich, ich wołchwów i żerców.

– Mał zbiec zdołał – przyznał się do porażki, nim zdążyła zapytać.

– Pościg za nim posłany nie wrócił. Na Iskorosteń poszedł niechybnie.

– I my pójdziemy.

– Ludzie dość mają przelewania juchy, Helge. I dość mają tych bagien i lasów przeklętych – powiedział wolno ze wzrokiem wbitym w jej haftowane srebrną nicią i powalane czerwoną posoką ciżemki.

– Krwi zaiste dość już popłynęło, aby Ingvar mógł godnie i bez wstydu w zaświatach obok ojca swego zasiąść – przyznała mu rację Olga.

– Ale żywie jeszcze Mał i stoi w słońcu Iskorosteń, a zza jego wałów żony i dziatki tych, co tu padli, patrzeć mogą bez strachu w stronę Kijowa. Dopóki nie zmieni się to, każdy myśleć będzie, że bunt przeciw mnie podnieść może.

– Chcesz wojny. – Wareski wojownik rozciągnął usta w zmęczonym, lecz zadowolonym uśmiechu. – Będziesz ją miała.

– Chcę, aby wszyscy poddani wiedzieli, że aby żyć, płacić muszą. Mogą płacić po sprawiedliwości, ale unikać danin im nie wolno. Jak już spalę Iskorosteń, zrównam podatek książęcym słowem. Nikt nie zapłaci więcej ani mniej niż inni. Dopóki wiernym będzie. Nową dań od Drewlan ty zbierzesz, Sweneldzie. I tobie będzie przynależna. Tyś mój pierwszy żerca, najwprawniejszy i najwierniejszy ze wszystkich.

Olga uśmiechnęła się szeroko po raz pierwszy od czasu, gdy została wdową. I w uśmiechu tym było coś nienaturalnego i strasznego nawet dla wojownika Waregów. Rok później Iskorosteń, stolica Drewlan, spłonął i został zrównany z ziemią, a Sweneld zgodnie z obietnicą dostał we władztwo nadprypeckie puszcze i resztki niepokornego słowiańskiego plemienia zhołdował przemocą.

## **Nie wierz przechrztom**

Marek Wekiera próbuje skoncentrować się na drodze przed sobą i zapanować nad własnymi oczami. Te jednak jakby zyskały własną wolę. Uparcie zezują na wsteczne lustерko, w którym odbija się twarz Olgi. To

już nie oblicze potwora. Siną skórę właściwą trupom zastąpiły różane rumieńce. Włosy wiotkie i brudne jak wiecheć zostawionej w kącie stodoły słomy zwinęły się w połyskujące miedzią pukle. Na łagodnie wykrojonych wargach kobiety błąka się bezwiedny, słodki uśmiech. Tylko że inspektor pamięta, jak rozpychał się między nimi rząd wąskich jak igły, długich zębów. Do tego w kąciku ust pobłyskuje czerwono grudka ledwie skrzącej krwi. Olga wzięła sobie to i owo na drogę, na wypadek, gdyby miała zgłodnieć. Co jakiś czas sięga do torby, wyciąga krwawy ochłap i wgrza się w niego z ohydny warkotem, dobiegającym gdzieś z głębin piersi.

– Boże... – wyrывa się Markowi. Inspektor poci się jak mysz. Olga unosi pytająco spojrzenie i delikatnie ociera usta chusteczką.

– Chrześcijanin? – pyta bez zainteresowania.

– Byłem ochrzczony. – Marek postanawia, że najrozsądniej będzie nie wchodzić w szczegóły swej wiary i jej praktykowania.

– To tak jako i ja. – Olga wybucha krótkim, gardłowym śmiechem.

– Też... zostałam ochrzczona.

Odwraca głowę, wbija wzrok w szachownicę pól za oknem.

– Zdradzę ci sekret – kontynuuje. – To nie pomogło. Widziałam dziesiątki dowodów na to, że stare bogi Słowian i Waregów mają moc. I żadnego na to, że ukrzyżowany Bóg ma jej choć cząstkę. Że iście będzie sądził, nagradzał i karał, jako oni to czynili. Ale dobrze zrobiłam, żem się dała obmyć wodą i świętymi olejami, i ludziom mym to samo kazała. Bo liczy się prawdziwa siła, a nie czarowskie gusta. To jest siła. – Wskazuje Markowi smukłym palcem przydrożny krzyż, po chwili – kapliczkę, minutę później – wieżę kościoła wyrastającą ponad wioską w dolinie.

Struchlały Marek zezuje na mijaną świątynię. Przypomina sobie, że w dekalogu stało jak wół coś o tym, żeby nie zabijać i zastanawia się, czy byłoby właściwe o tym napomknąć. Woli jednak nie drażnić potwora i odpuszcza. Inspektor ma tylko nadzieję, że ta, którą wiezie na tylnym siedzeniu, dotrzymuje zawartych umów, zapłaci mu oraz pozwoli odejść i zapomnieć.

– Opowiedz mi o tym człeku, do którego mnie wiesziesz. To kniaź?

– Nie bardzo.



– Powiedziałeś, że jest u władzy. – Ciemne oczy odbite we wstecznym lusterku ciemniej jeszcze bardziej.

– Ma władzę, ale nie jest kniazem. Nie ma już książąt. To poseł.

Olga zaplata ramiona na piersi. Miedziana brew wygięta jak skrzydło jaskółki wędruje w górę.

– Obiecałeś mi człeka wpływowego. A prowadzisz do byle chłystka o gładkiej wymowie, który wieści nosi?

Inspektor nie czeka, aż groźba drgająca między słowami stanie się ciałem. Zjeżdża gwałtownie na mijaną stację benzynową. Parkuje przed restauracją. Przynosi kawę dla siebie i dla niej. Łamie jej wściekłość, trajkocząc o zaletach zamorskiego napitku. Przez następną godzinę Marek próbuje tłumaczyć. Olga próbuje zrozumieć.

Pod leśniczówkę zajeżdżają trzy godziny później – jako tako pogodzeni. Przynajmniej inspektorowi się zdaje, że wyjaśnił to i owo z warunkowań funkcjonowania współczesnego społeczeństwa, a jego towarzyszka przyjęła to do wiadomości. Siada na schodkach pod zamkniętymi drzwiami i wykonuje telefon do znajomego posła, z którym oddawał się tu w zeszłym roku rozrywkom prawdziwych mężczyzn – picciu i polowaniu na dziki. Olga stoi u wylotu ścieżki na polanę, wyprostowana i dumna.

– Już jedzie – informuje ją. – Będzie za godzinę.

Dziękuje mu skinieniem głowy godnym zaiste księżnej i znów zwraca twarz ku drodze, którą tu przyjechali. Marek zaś popełnia błąd i odwraca się do niej plecami. Potwór spada mu na kark i obala na ziemię. Kiedy inspektor próbuje wydobyć broń, pazurzasta łapa z przerażającą siłą gruchocze mu prawą rękę. Kolejny cios pozbawia go przytomności i przez to inspektor nie czuje już ani nie widzi kresu własnego życia. Nie widzi też tego, że Olga dotrzymuje zawartej umowy i do jamy daleko za leśniczówką, gdzie ukrywa jego zwłoki, wrzuca także kilka zabranych z samochodu kosztowności.

Pozbywszy się człowieka, który widział ją w krypcie i wiedział zbyt dużo o jej naturze oraz słabościach, by mogła pozwolić mu odejść, Olga wybija okno w leśniczówce. Ma niecałą godzinę, by przygotować się na spotkanie z kolejną ofiarą. Chce wyglądać pięknie i godnie. Z czasów swej

dawnej świetności pamięta, że to może nie najważniejsze – ale bardzo pomaga w polityce.

## **Klątwa pokonanych**

Znalazła go nad rzeką. Siedział ze skrzyżowanymi nogami przed małym ogniskiem, spoglądając przez płomień na odległy drugi brzeg. Mówili, że drowlańskiego wodza w niewoli w Lubeczy odwiedzali możni z wielu plemion, by o radę zapytać. On zaś patrzył w żar i w czarne odmęty Dniepru, wróżąc chętnie każdemu, kto o to poprosił. Nie podobało się jej to, ale niewiele mogła uczynić. Tak samo jak nie mogła odmienić pogaińskiego serca i dzikiej duszy własnego syna; Światosław nadal klaniał się północnym i słowiańskim bałwanom.

– Księżno – rzekł zapatrzony w płomień Mał. Rozpoznał ją, choć ponad dziesięć lat już minęło, od kiedy widzieli się po raz ostatni – on, na klęczkach, upokorzony i pokonany, i ona, triumfująca, z płonąącym Iskorosteniem za plecami. – Olgo... Czy może winieniem rzec: Heleno.

Szukała drwiny lub przygany w oczach, wpatrzonych w nią bez strachu. Nie znalazła nic. Przysiadła na pniu drzewa wyrzuconego na brzeg rzeki i gestem odprawiła strzegących ją wojów. Była pewna, że Mał nie podniesie na nią ręki. Wódz Drowlan nie chciał jej zabić; pragnął, by cierpiała. Jak najdłużej i jak najpełniej. Dlatego razem ze słowami hołdu cisnął jej w twarz klątwę. Przekleństwo wiecznego głodu krwi, które na szczęście zmyła z siebie w Bizancjum, przyjmując nowego Boga.

– Decyzja o chrzcie politycznie była mądra – pochwalił ją nieoczekiwanie Mał. – Kijowski stolec książęcy tylko na tym zyska. Rzeknij mi jeno, Olgo-Heleno... czy wiedzą twoi doradcy i wojowie, czy wie dumny Sweneld i twój bitny syn... żeś nie dla siły większej i wpływów pojechała do Konstantynopola i obcemu pokłoniła się bóstwu, ale ze strachu?

Nie mogła znieść jego spokoju. Nie mogła ścierpieć uśmiechu. Uderzenia pożałowała już w chwili, gdy jej ręka trzasnęła w policzek Mała. Prócz czerwonego odcisku palców na skórze nie odbiło się to na drowlańskim księciu żadną reakcją.

- Waż słowa! – warknęła Olga. – Życie ci darowałam.
- Bym mógł na własne oczy widzieć, jak Sweneld grabi ziemie naszych przodków i dumne plemię nasze upada. Dzięki ci, pani!
- Syna twego w Kijowie przy sobie trzymam.
- Jako jeńca i zakładnika lojalności mojej i moźnych plemienia, którzy żywi z pożogi uszli.
- Córka twa zaufaną jest mą i klucznicą.
- Służącą ci jest moja Malusza – uniósł głos po raz pierwszy. – A synowi twemu nałożnicą, którą bierze kiedy i jak chce.

Olga zagryzła wargi. Nie rzekła, że najchętniej Maluszę by odesłała... ale ani Światosław się nie zgodził, ani ta dziewczka przekłeta. Wielu wierzyło, że po ojcu łaskę bogów odziedziczyła. Za wieszczkę ją mieli, co przyszłość potrafi wywróżyć i zły los odmienić... A Malusza więcej znała niż prawowita żona Światosława i kto wie, co knuła. Podejrzewała Olga zresztą, że Mał ma kontakt z córką i dobrze wie, że jej się krzywda nijaka w Kijowie nie dzieje.

- Przybyłam ci rzec, że stało się, jako pragnąłeś. – Księżna zmusiła się do spokoju, złożyła razem na podołku pomarszczone dłonie ozdobione pysznymi pierścieniami. – Połączyły się nasze rody. Malusza syna Światosławowi powiła. Włodzimierzem go nazwaliśmy.

Urwała. Przysunęła się bliżej do nieruchomego jak skała i zapatrzonego w dniewrowe głębie Mała. Dopiero teraz dostrzegła nitki siwizny w ciemnych jak skrzydła kruka włosach i pajęczą sieć zmarszczek wokół oczu. Zestarzał się. Oboje się postarzel.

- Dla tego dziecka, co krew niesie twoją i moją, odwołaj swą kłótwę – zażądała. Choć na chwilę serce jej złagodniało, głos miała twardy i ostry. Księżna rozkazuje, nie prosi.

Nawet na nią nie spojrział. Zacisnął tylko dłonie na sosnowej gałęzi, którą miał do ognia dołożyć. Zbiałały mu kostki i mięśnie wezbrały w twarde węzły.

- Posłów naszych spaliłaś w łaźni i pogrzebałaś żywcem. Na tryźnie, gdzieśmy przybyli w dobrej wierze, gdyś już nam rozejm, a mnie miłość obiecała, pomordowałaś lud mój zdradziecko i wbrew prawu

i obyczajom. Iskorosteń spaliłaś... choć też już pokój był między nami poczyniony. A wszystko po temu, żeśmy się grabić nie dali. Tyś nie Helena, nieważne, ile wody i świętych olejów w ciebie wetrą. I tyś nie Olga, bo tych ziem i obyczajów nie rozumiesz i nie pojdziesz nigdy. Tyś Helge i jak wareski łupieżca myślisz i postępujesz. Bądź przeklęta. Niech twa żądza krwi cię trawi, aż cię zeżre. Nie znajdziesz nasycenia i z mogiły głód twój cię wygoni, byś się tułała po świecie.

Obrócił do niej twarz i Olga przypomniała sobie słowa drewniańskich posłów, którzy prosili o jej rękę. Mał ma łagodne serce dla rodziny i przyjaciół, mówili. Jednak dla wrogów zimny jest, okrutny i bezwzględny.

– I to jeszcze ci rzeknę, Helge – wycodził drewniański ksiądz, pokonany, ale ciągle silny – wielu wnuków doczekasz się po swym synu. Lecz przeżyją i własny pomiot wydadzą tylko zrodzone z mej córki. Przepadnie krew Ruryka bez krwi Mała, ty zaś nie umrzesz. Nie umrzesz nigdy prawdziwie i będziesz musiała patrzeć na nasze wspólne potomstwo.

– Ochrzczę Włodzimierza, jako i siebie obmyłam z grzechów dawnych. – Olga uśmiechnęła się triumfalnie. – I żadne gusła go nie tkną, podobnie jak i ja jestem już od nich bezpieczna. Pogodzić się z tobą chciałam, bo kres życia przeczuwam. Tryzny zabroniłam po sobie wyprawiać, lecz pogodzić się winnam. Po chrześcijańsku rękę wyciągnęłam do zgody, aleś napluł na mą dłoń!

– Wiele razy obiecywałaś mi fałszywie zgodę i rozejm. Dziś ja ci odmówię spokoju.

– Odnajdę go w wierze w Pana. – Olga wzruszyła ramionami. – Jest jeden Bóg, Mał z Drewlan. I jest On potężniejszy od twoich bałwanów.

Mał uśmiechnął się leciutko, usta ledwie dostrzegalnie ugięły się w cieniu bujnych włosów.

– Jest jeden Bóg... – powtórzył z powagą. – Tak, słyszałem, że tak mówili jego kapłani. Choć nawet oni po cichu przyznawali, Helge, że diabłów są tysiące.

Wstała gwałtownie.

– Nie zobaczymy się więcej – obiecała mu i dotrzymała słowa.

W nocy dwaj jej wojowie udusili Mała w jego alkwie, a ciało obciążyli kamieniami i utopili w Dnieprze, z którego odmętów zbyt długo pozwałała mu wróżyć.

Wspomnienie uśmiechu drewlańskiego księcia w chwili, gdy mu mówiła, że zabroniła sprawienia tryzny po swej śmierci, prześladowało jej sny, dopóki nie rozpędziła koszmarów ufundowaniem kolejnej świątyni ukrzyżowanemu południowemu bóstwu.

## **Głód bezmierny**

Oto jest noc, podobna wszystkim poprzednim. Spokojni ludzie śpią, a potwory ruszają na żer.

W wielkiej sali kilka pięter niżej trwa przyjęcie. Bawi się na nim mężczyzna, który stanie się kolejnym chwilowym sprzymierzeńcem. Ofiarą. Narzędziem. Jak zwał, tak zwał... Było ich tak wielu, że z trudem przypomina sobie imiona większości z nich. Ona przedstawi mu się jako Jelena.

Przygląda włosy zwichrzone lotem na sowych skrzydłach. Gdzieś z krańców pamięci wypływa blady mężowski cień i tak samo niewyraźne widmo Drewlanina Mała. Kobieta wciąga w płuca nocne powietrze przesyczone wonią smogu i czuje krótkie ukłucie żalu.

Nie wierzyła, by miał moc zmienić ją w to, czym się stała. Musiał jednakże dostrzec znaki na jej ciele, które przeoczyli bliscy i rodzina. Słowianie zabijali dzieci, które rodziły się z zębami. Jej, urodzonej wśród potomków Waregów, pozwolono żyć. Odprawienie tryzny mogło ją ocalić... ale Mał milczał, gdy postanowiła odrzucić ten obyczaj na rzecz mocy świętych olejów i chrztu. Wiedział, że ochrzczona zostanie tylko jedna dusza. Druga po śmierci obejmie ciało we władanie i będzie krążyć po świecie, żądna pomsty i krwi. Podał jej tę wiedzę jako klątwę i zatrul ostatnie lata śmiertelnego życia. Pewnie bawił się doskonale, patrząc, jak Olga się miota... Ta mała dziewczka, jego córka, w międzyczasie podburzyła jej wnuków i potomków Swenelda przeciwko sobie, zapewne także za jego radą. Wspomniała drwinę ukrytą na dnie wpatrzonych w odmęty Dniepru oczu i znów poczuła żal. Powinna była przyjąć oświadczyń Mała. Czyż

nie był ze wszystkich mężczyzn, których spotkała, najbardziej przebiegły, cierpliwy i silny? Pokonał ją, choć złamała jego władzę, wyniszczyła jego ziemię i plemię.

Nie przewidział tylko jednego. Że gdy jej wnuk Włodzimierz pod koniec panowania rozkaże otworzyć grób i znajdzie zwłoki babki nie-  
tknięte rozkładem, tak świeże jak w dniu pogrzebu, nie za przeklętą  
upiorzycę ją uzna, lecz za świętą. I że przez wieki nikt nie będzie na  
nią polować, za to wielu znajdzie się takich, którzy oddadzą życie, by  
chronić jej ciało.

*Ostatecznie* – uznaje Jelena – *przegrał*. Zapomina o Male w tej  
samej chwili.

Oto jest noc, podobna wszystkim poprzednim. Zmienia się najwy-  
żej jej oblicze i imię. Helge, Olga, Helena, Jelena, żona, księżna, wdowa,  
matka, wódz, morderczyni, przeklęta, święta czy strzyga. Ten sam pozos-  
tanie tylko głód krwi i pragnienie po stokroć od niego głębsze i bardziej  
palące. Żądza władzy.

Przymknęła cicho okno i ruszyła pogrążonymi w ciemnościach ko-  
rytarzami. Jej miękkie kroki odbijały się echem pod sklepieniem Kremla.

Oto jest noc. Nadejdą kolejne.

## **Dagmara Adwentowska**

Urodzona w 1981 roku. Z wykształcenia kulturoznawca i dziennikarz.  
Pracuje jako redaktorka w czasopiśmie zielarskim. Członek redakcji  
„Okolicy Strachu” i „Magazynu Histeria”. Publikowała opowiadania  
w zbiorach: „Teorie spisków”, „Krwawnik 2”, „Echo zgasłego świata”,  
„Krew zapomnianych bogów”, „Na nocnej zmianie”, „Zapomniane hi-  
storie”, „Słowiańskie koszmary”, „Jakie czasy, taki diabeł”, „Maszyna”.  
Miłośniczka rzeki Odry i kajakarstwa.

Nemeton się budził.

Pierwszy fabryczny świst rozdarł ciszę przedświt, a zaraz odpowiedziały mu kolejne metalowe gardziele i dały się razem, niby chór mechanicznych kogutów. W przypominających zamczyska przędzalniach Moczarów i w najeżonych kominami hutach Starego Młyna robotnicy lali już smoczy olej, buchały płomienie, a maszyny napędzane silnikami Fingana ruszały do pracy.

Flisacy wskakiwali na barki i wypływali na kanały połączone z przecinającą miasto Czarną Rzeką, a na pokładach kliprów i szkunerów przybywających do największego portu świata z Betelii i Orangii zaczynała się krzątania. Tragarze gromadzili się w zamglonych dokach Wschodniego Kwartału, gdzie w cuchnących tawernach czekali na nich brygadziści wybierający szczęśliwców, którzy tego dnia mieli zarobić na wykarmienie rodziny albo na butelkę brandy.

Najpóźniej budziły się okolice Pierwszej Alei rozciągniętej pomiędzy Ogrodami Królewskimi a Bazyliką Regalium. Zamknięte były jeszcze dwuskrzydłowe odrzwia pubu Kozioł i Smok, gdzie organizowano comiesięczne spotkania Klubu Odkrywcy, i oszklone drzwiczki kawiarni Markiz Prąt, na piętrze której, jak plotkowały damy z towarzystwa, spotykali się potajemnie džentelmeni z Łoży Mechanistów, by, po przebraniu się w togi,

dyskutować o filozofii oraz sposobach przejęcia władzy nad światem. W końcu na szerokiej ulicy pojawili się subiekt z kluczami do eleganckich sklepów, a o bruk zastukały kopyta koni ciągnących pierwsze powozy, w których ziewali hierarchowie kościelni, arystokraci i przemysłowcy.

– Co tak wolno? – Król Moczarów wysunął przez okienko łusą głowę. – Mówiłem przecież, że mi się spieszy. W południe muszę być w gabinecie ministra Dunneta!

– Przepraszam, panie Boland – odparł stangret i popędził konie.

Kilka minut później zatrzymali się pod narożną kamienicą przy skrzyżowaniu Pierwszej Alei ze Złotym Przesmykiem. Trzypiętrowy budynek z wysokimi oknami i gzymsami tak szerokimi, że można byłoby po nich biegać, nawet w eleganckiej okolicy kłui w oczy przepychem.

Dom należał do komendanta Higginsa, założyciela scentralizowanej policji nemeońskiej, która przed dekadą zastąpiła archaiczną straż miejską i dzielnicowe milicje, pamiętające czasy zamków i rycerzy. Zatłoczona stolica już wtedy liczyła ponad milion mieszkańców, a poziom przestępczości był astronomiczny. Niezorganizowani i źle opłacani stróże prawa nie radzili sobie ani z zapobieganiem występkom, ani z chwytniem przestępców. Wtedy Higgins, emerytowany oficer z arystokratycznego rodu, zaapelował do władz miasta: potrzebujemy profesjonalnych policjantów na pełny etat, potrzebujemy hierarchii i reguł, uprawnień i mundurów. Pytano: kto się tym zajmie? Ja, odparł Higgins. Dano mu więc szansę, a on ją wykorzystał.

Lokaj zaprowadził Bolanda do salonu. Komendant czekał tam w fotelu obitym zielonym aksamitem i żuł betel, który barwił mu zęby na czarno.

– Spóźnił się pan – mruknął, spoglądając na pozłacany wahadłowy zegar wiszący pomiędzy dwoma pejzażami. Jeden przedstawiał białe wille otulone soczystą zielenią betelijskich tropików, a drugi lśniąca w słońcu Diamentową Rzekę wypływającą z orangijskich gór.

– Wiem – odparł Boland, podchodząc do stolika, na którym stała karafka koniaku i kryształowe szklanki. Król nie przeproszał. – Dlatego nie marnujemy czasu i przejdźmy od razu do rzeczy.



- Słucham zatem. Co pana do mnie sprowadza?  
- Dobrze pan wie, komendancie. - Przemysłowiec usiadł w drugim fotelu i zamoczył usta w septyjskim alkoholu.  
Higgins pokiwał głową, mlasnął.  
- Neddyści. Znów coś panu zepsuli?  
- Tak.  
- Kolejny silnik?  
- Nie. Na szczęście. Teraz wszystkich silników dzień i noc pilnują zbrojni. Ale nie mam tylu ludzi, by strzec każdego urządzenia w każdej przędzalni!  
- A więc zniszczyli tylko krosno?  
- Tylko? - sapnął Boland, a potem jednym haustem opróżnił szklankę. - Wie pan, komendancie, ile kosztuje mechaniczne krosno?!  
- Pojęcia nie mam.  
- Nieważne zresztą, ile kosztuje. Ważne, że nie mogę dłużej pozwolić, żeby banda rewolucjonistów wpadała nocą do moich fabryk i niszczyła moje mienie. Czas z tym skończyć.  
- A jest pan pewien, że jest ich więcej? Że to nie jeden Nedd... Jak oni go nazywają?  
- Nedd Młotodzierzca - syknął przez zaciśnięte zęby król Moczarów i poszedł dolać sobie koniaku.  
- Właśnie. Może to jeden człowiek miażdży wszystkie te maszyny? Z tego, co słyszałem, chodzi o najwyżej jedną zniszczoną maszynę w ciągu nocy. A ci cali neddyści to mogą być tylko jego miłośnicy. Krzykacze, nic więcej.  
- Źle pan słyszał, komendancie. Albo po prostu nic nowego nie słyszał pan od dawna. To już nieaktualne. Kimkolwiek jest ten cały Nedd, o ile w ogóle jakiś Nedd istnieje, znalazł naśladowców. Przedostatniej nocy straciłem krosna w dwóch przędzalniach, a w fabryce Henlena zniszczyli silnik Fingana. Poza tym nie możemy uznawać krzykaczy za nieszkodliwych. Ludzie ich słuchają. Oglądają plakaty rozklejone po całych Moczarach i Starym Młynie, przychodzą na te ich spotkania. Gotowi są wszczynać bunt w imię robotniczych przywilejów i zatrzymywać

produkcję nawet tam, gdzie maszyny działają. Nie mogę sobie na to pozwolić. Nemeton nie może sobie na to pozwolić! Wiedzą o tym w parlamencie, dlatego już jutro wejdzie w życie nowe prawo...

- Tak, wiem. Kara śmierci za niszczenie maszyn. Dość radykalny krok, muszę przyznać.

- Trudne czasy wymagają radykalnych środków! Trzeba rozwiązać ten problem. Odrąbać łeb smokowi i wrócić do normalnej pracy.

- Dobrze, panie Boland, rozumiem. Ale czego właściwie oczekuje pan ode mnie?



- Kim jest Nedd Młotodzierzca? - Od tygodni żadnego pytania nie słyszano częściej w Wątku i Osnowie, największym pubie Moczarów, który co wieczór wypełniał się pracownikami okolicznych fabryk.

- To marynarz, co na koniec świata po betel pływał - mówił zarzęnięty brygadzysta z największej przędzalni Bolanda. - Jego ojciec był tkaczem, miał swój warsztat, ale stracił go, gdy pojawiły się fabryki z silnikami na smoczy olej. Bez miedziaka przy duszy sam poszedł pracować jako robotnik i zginął przy maszynie. A Nedd z dalekiego rejsu wrócił, o losie ojca się dowiedział i mści się teraz. Tak słyszałem.

- Na maszynach się mści? - zdziwił się ospowaty właściciel Wątku i Osnowy. - Żaden to mściciel, a rewolucjonista! Reprezentant ludu pracującego, uciśnionego przez finansistów bezwzględnych i...

- Z ciebie to w szczególności jest lud pracujący i uciśniony - odgryzł się brygadzysta. - Lud pracujący i uciśniony to u ciebie ciężko zarobione pieniądze zostawia, a ty nawet do nalewania tego wodnistego piwa masz posługaczy. Ile im płacisz, co?

Były też i inne teorie. Że sami przedsiębiorcy niszczyli wadliwe czy uszkodzone maszyny, by z kompanii ubezpieczeniowych wyciągać odszkodowania, podobnie jak w przypadku umyślnie wywołanych pożarów, co przed laty stanowiło w Nemetonie istną plagę. A może, zastanawiali się ci bardziej pijani i przesądni, to rzeczywiście jest

zemsta – jednak nie ludzi, lecz duchów tych, co zginęli zmiążdżeni przez maszyny?

– Jeszcze niedawno Moczary były takim wspaniałym miejscem do życia. – Stary tkacz wzdychał nad obtłuczonym kuflem. Mężczyznę od lat dręczyła podagra, utrzymywał go syn pracujący w zakładzie Henlena. – Chaty duże jak na wsi, z przodu warsztat, z tyłu ogródek i gęsi, a woda w Słomiance czysta niby w górskim strumieniu! A teraz? Gęsi i warsztatów nie ma, ceglane więzienia zamiast chałup, a Słomianka cuchnie, jakby co dzień szczało do niej tysiąc goblinów!

Rob, młody mechanik pracujący dla Bolanda, nie mógł już tego słuchać. Kochał maszyny i bolało go, gdy oglądał je roztrzaskane młotem. A jeszcze bardziej bolała go nienawiść do silników, postępu, nowoczesności. Najlepiej wróćmy do lepianek i wszystko róbmy własnymi rękami! Łupmy kamienie, ubierajmy się w futra i siedźmy przy ogniskach. Bo po co nam cywilizacja?

Chciał to wykrzyczeć tym prymitywom w twarz, lecz brakowało mu śmiałości. Po cichu dopił więc piwo i wyszedł z pubu. Było już ciemno. Choć nieliczne olejowe latarnie nie oświetlały dobrze nawet głównych ulic, Moczary nie uchodziły zaś za dzielnicę bezpieczną, mechanik postanowił się przespacerować. Zresztą, gdyby porównać Moczary ze Wschodnim Kwartałem... A Rob pochodził właśnie stamtąd. Wychował się wśród dokerów, ładacznic i gangsterów, lecz i tak wyszedł na ludzi. Chodził do szkoły kościelnej, wyuczył się zawodu i w końcu złapał wymarzoną robotę u Króla Moczarów. W miesiąc zarabiał więcej od swojego ojca, portowego tragarza, który podobną kwotę dostawał za rok ciężkiej harówki. No i przede wszystkim – codziennie pracował przy maszynach!

Z dłońmi w kieszeniach, w których pobrzękiwały zapasowe śruby i nakrętki, spacerował zabloconym przesmykiem pomiędzy robotniczymi domami, wzniesionymi z tej samej ciemnoczerwonej cegły co tutejsze fabryki. I pomyśleć, że jeszcze dwadzieścia lat temu większość okolicznych budynków była drewniana!

*A jak wyglądała okolica przed stuleciem? – zastanawiał się Rob. Czy wtedy Moczary stanowiły już część Nemetonu? Chyba tak. Jednak*

*kiedyś były tylko wioską na skraju trzęsawiska zamieszkiwanego, jak wierzyli wieśniacy, przez plemię złośliwych karłów, zwanych goblinami albo gremlinami. Bagna osuszono, przekopano kanałami, ale pozostała po tamtych czasach garstka pamiątek. Młyn przerobiony na remizę straży ogniowej, ruiny kamiennego kościółka, który zastąpiła świątynia wzniesiona z, jakżeby inaczej, ciemnoczerwonej cegły, oraz kamienny mostek nad Słomianką.*

Mechanik przeszedł właśnie po tym mostku, nie spoglądając na płynącą korytem maź wydalaną przez fabryki. Znalazł się na najstarszej ulicy Moczarów, przy której wciąż stało trochę pokrzywionych chałup przykrytych sypiącą się strzechą. W kilku z nich mieściły się ostatnie pracownie tkackie, funkcjonujące wbrew wszelkiej logice. Ich właściciele toczyli rozpaczliwą, dawno przegraną walkę, jednak nie chcieli się z tym pogodzić i brnęli coraz głębiej w nędzę i beznadzieję.

O klęsce tkaczy najdobitniej świadczyła obecność górującego nad okolicą olbrzyma, teraz pogrążonego w krótkim śnie, lecz za dnia huczącego tuzinami maszyn i bez miłosierdzia pożerającego kwitnące tu niegdyś rzemiosło. Rob dostrzegął już sylwetkę gmaszyska obrośniętego sześciopiętrowymi basztami, otoczonego murem godnym fortu. Dodać królewskie proporce, halabardników przy bramach i można by pomyśleć, że to siedziba króla Alada. A przecież świeżo ukończona przędzalnia Henlena nie była nawet największym zakładem Moczarów.

– Patrzcie, to ten majster od silników!

Okrzyk wyrwał mechanika z rozmyślań o transformacji dzielnicy.

Pod murem otaczającym fabrykę stało trzech mężczyzn niewiele starszych od Roba. Jeden z nich trzymał w rękach pędzel i wiaderko z farbą, którą wymalował właśnie młot z literą N, a pod nim hasło: „Machinom śmierć!”.

– Poszczęściło się nam dzisiaj. – Najwyższy z trójki wyszczerzył szachownicę uzębienia i ruszył w kierunku mechanika, podwijając poplamione rękawy.

– Panowie... – Rob się cofnął.

- My nie żadni panowie! - warknął dryblas, zbliżając się coraz szybciej. - My prości ludzie! Lud ściśnięty...

- Uciskany - poprawił ten z farbą.

- Tak! I ciebie też zaraz uciśnięm, odechce ci się machiny przekłętą budować!

- Ja nie buduję - rzekł mechanik, w duchu przyznając, że budować chciałby. - Naprawiam tylko!

- Tego też ci się odechce.

Rob odwrócił się i nagle poślizgnął na błocie. Niemal wpadł twarzą w cuchnącą kałużę. Ledwie zdążył podnieść się na czworaki, a zwolennik Nedda Młotodzierzcy już był przy nim. Kopnął mechanika w żebra tak mocno, że ten upadł ponownie, tym razem na plecy. Nie próbował wstać. Zwinął się tylko, jęcząc z bólu i oczekując kolejnych razów. Nie nadeszły.

- Co się tu dzieje?! - zawołał ktoś.

- Cholera, gliniarze!

- Spieprzamy!

Rob dalej leżał i jęczał.

- Możesz już wstać, chłopcze. - Brodaty sierżant podał mu szorstką dłoń i poderwał go do pionu.

Mechanik zdziwił się, że policjantów pojawiło się aż dziesięciu. Na dodatek wszyscy nosili pistolety, a nie tylko alarmowe terkotki jak lokalne patrole. Tymczasem jedynym śladem po neddystach było przewrócone wiaderko, z którego wylewała się powoli gęsta, czarna farba.

- Dlaczego ich nie gonicie? - wysapał Rob, obmacując żebra, najpewniej połamane.

- Bo mamy ważniejsze zadanie - odparł sierżant, rozglądając się.

- Do ruin kościoła prowadzi chyba tamta ulica, prawda?



- Skąd pan wiedział, że przywódcy neddystów mają w krypcie tajne zebranie? - zapytał Higgins, stojący obok Bolanda na loggii nemetońskiego ratusza, skąd przyglądali się ostatnim przygotowaniom do egzekucji.

Na placu pomiędzy siedzibą magistratu a sukiennicami po raz pierwszy, od kiedy na tronie Regalium zasiadł król Alad, zmontowano szafot. Słyszący z łagodności monarcha był przeciwnikiem publicznej kaźni, tym razem dał się jednak przekonać ministrom, których wcześniej przekonali przemysłowcy. Nie mogło więc dziwić olbrzymie zainteresowanie wyjątkowym widowiskiem. Ścisk panował taki, jakby Królewska Kompania Handlowa rozdawała betel.

– Myśli pan, komendancie, że nie wiem, co dzieje się w moim królestwie? – odparł fabrykant. – Ale przecież nie mogłem rozprawić się z nimi na własną rękę, takie coś nie przystoi praworzędnemu... No dobrze, przede wszystkim potrzebne było to, co teraz tu widzimy.

A widzieli siedmiu neddystów wprowadzanych na szafot. W podziemiach kościoła policjanci napotkali dziewięciu. Dwóch z nich sięgnęło po broń i zostało zastrzelonych na miejscu. Zdążyli ranić sierżanta, który wciąż leżał w szpitalu i nie zapowiadało się, żeby mógł kiedyś wrócić do pracy.

– Żaden z nich nie nazywa się Nedd – zauważył Higgins.

Boland milczał, przyglądając się, jak kat zakłada pętlę pierwszemu skazańcowi stojącemu dumnie i prosto niczym żołnierz na honorowej warcie. Król Moczarów rozpoznał chudą twarz obsypaną rudawym zarostem, widywał ją od dawna w jednej ze swoich przędzalni. Zmrużył oczy, próbując sobie przypomnieć nazwisko... Kerr? Keir? Jakoś tak. Nie pochodził z Moczarów, ale z jakieś dalekiej wsi, z której pewnie uciekł przed śmiercią głodową po kolejnym nieurodzaju. W sumie solidny pracownik i wydawałoby się, że spokojny chłopak. Fabrykant nie kojarzył go z żadną awanturą, bijatyką, nigdy też chyba nie oglądał go pijanego i nie miał powodów, by grozić zwolnieniem, co przecież czynił często, widząc w tym najlepszy sposób na zdyscyplinowanie robotników.

Mimo to Keir – albo Kerr – też dał się uwieść rewolucyjnym hasłom. Dał się uwieść Neddowi Młotodzierzcy, który...

– Coraz częściej myślę, że żaden Nedd nigdy nie istniał – odezwał się w końcu Boland, odrywając wzrok od rudego skazańca. – Ale to nieważne. Ważne, że teraz będą się bali. Skończy się cyrk i wrócimy do roboty.

Tymczasem siwy urzędnik, ubrany w bury surdut, wyjaśniał tłumowi, za co i na podstawie jakiego prawa skazano neddystów na śmierć, choć chyba wszyscy już to wiedzieli. Jednak większość nie zdawała sobie sprawy, że przytoczone przepisy obowiązywały dopiero od kilku dni i że tych kilka dni wystarczyło na śledztwo, zebranie dowodów i proces. Moczary i Stary Młyn nie pozwoliły nawet na chwilę zwłoki, a to dzięki bliskiej i obfitującej w obustronne profity znajomości Bolanda i Dunnetą, pierwszego ministra Jego Królewskiej Mości.

Ale w tłumie byli i tacy, którzy wszystko to wiedzieli i nie mieli złudzeń dotyczących tego, czyich interesów strzegą regalijskie kodeksy. Król Moczarów widział, jak Higgins rozglądał się za budzącymi podejrzenia grupkami młodych mężczyzn. Jak sokolim, choć przecież niemłodym już wzrokiem wylawia tych, którzy może jednak nie bali się wystarczająco i gotowi byli wywołać zamieszki, ciskać kamieniami, a może nawet – kto wie? – ruszyć na odsiecz skazanym towarzyszom.

Dostrzegłszy potencjalne punkty zapalne, komendant gestami wydawał rozkazy policjantom zadzierającym głowy ku loggii. Dwóch niech idzie na prawo od szafotu, pokazywał, czterech tu, pod ratusz, trzech pod arkady sukiennic. Mundurowi, z dłońmi zaciśniętymi na pałkach, przepychali się, gdzie im kazano, gotowi gasić ogień robotniczego buntu przy pierwszych iskrach.

– Jakieś ostatnie słowa? – zapytał urzędnik rudawego pracownika przędzalni Bolanda.

– Niech żyje Nedd Młotodzierzca! Machinom śmierć!  
Kat pociągnął dźwignię.



Nemeton usypiał.

Dawno zamilkły mechaniczne koguty Moczarów i Starego Młyna, maszyny znieruchomiały i stygły już olejowe piece. Czarną Rzeką przepływały ostatnie łodzie, wyludniły się zatłoczone za dnia doki Wschodniego Kwartału, tylko w tawernach żeglarze i portowi robotnicy żłopali jeszcze

najlichszą brandy, podśpiewując wulgarnie zwrotki o wdziękach septyjskich dziewcząt. Trunki, choć dziesięciokrotnie droższe, polewano też wciąż pod Kozłem i Smokiem, lecz reszta Pierwszej Alei pustoszała i cichła.

Rob wychodził w końcu z przędzalni, w której zostali jedynie nocni stróże. Cały wieczór spędził na zmaganiach z zacinającym się uporczywie silnikiem Fingana. Skończyło się wymianą sfatygowanego wału korbowego na ostatni, jaki pozostał w zapasie.

*Z samego rana muszę zamówić nowe – wbijał sobie w pamięć mechanik – z samego rana!*

Ziewając co i rusz, Rob człapał alejką przecinającą fabryczny dziedziniec. Przebył pół drogi do zachodniej bramy, gdy przystanął raptem, zorientował się bowiem, że zapomniał o torbie z narzędziami. Cóż, był ostatnio rozkojarzony, bo choć potępiiał neddystów, choć wrogowie postępu chcieli zgruchotać mu wszystkie kości, to egzekucja nim wstrząsnęła. Tym bardziej że trzech spośród powieszonych widywał niemal codziennie! Cichego i pracowitego Kerra, który co miesiąc słał pieniądze żyjącej na wsi matce, wiecznie roześmianego Blaina, a także Ogga, nieco zbyt często zaglądnącego do butelki. Może dali się zmanipulować demagogom, może roztrzaskiwali maszyny – ale żeby skazywać ich na śmierć?! I jeszcze ci nadgorliwi policjanci, którzy stłukli kilku ich kolegów tak dotkliwie, że ci teraz nie mogli pracować...

Mechanik, starając się przegonić ponure myśli, zawrócił do przędzalni i zaczął piąć się na piętro po szerokich schodach oświetlonych pojedynczą lampką. Gdy był już prawie na górze, usłyszał donośny trzask. Jakby ktoś...

Jakby ktoś rąbnął młotem w maszynę! Nie wołając stróżów na pomoc, Rob popędził do hali, z której dobiegł właśnie łomot kolejnego uderzenia. Wkroczył do niej w momencie, gdy na naprawiony niedawno silnik spadł trzeci cios.

Wkroczył... i zamarł, kiedy zobaczył, kto niszczy maszynę.

Nie był to żaden wściekły tkacz, nie był to niesiony rewolucyjną ideą robotnik, lecz... gremlin. Gremlin najprawdziwszy! Na cztery i pół stopy wysoki, zgarbiony i krępy, o czaszce łysej i nosie spiczastym,



odziany w łachmany i futra. W szponiastych dłoniach nie młot trzymał, a maczugę.

Gremlin spojrział na Roba. Wyszczerył zębiska ostre jak sztylety, potem zachichotał wściekle i czmychnął tylnym wyjściem.

Mechanik stał zaś dalej niby posąg, nie mrugając nawet. Takiego zastali go zaalarmowani hałasem strażnicy i dużo czasu minęło, nim wydusili z niego opowieść o tym, co widział.

Nie uwierzyli.

## **Daniel Nogał**

Częstochowianin, rocznik orwellowski. Dziennikarz z zawodu, podróżnik z zamiłowania (szczególnie z zamiłowania do Azji, co da się dostrzec w jego książkach), a z wykształcenia politolog (co również można dostrzec). Kiedyś ćwiczył japońskie sztuki walki, ostatnio woli renesansowe tańce.

Autor „Malajskiego Excalibura” i „Betelowej rebelii”. Akcja opowiadania „Nedd”, napisanego dla Fantazmatów, rozgrywa się w świecie tej drugiej powieści.



To była czterdziesta noc na stanowisku obserwacyjnym. Trwałem wychylony przez świetlik w ukośnym stropie klatki na poddaszu. Zabezpieczyłem boki szaroburym kocem, żeby ochronić się przed wiatrem. Ja sam, stojąc na ułożonych w stos skrzynkach, walczyłem z zimową pogodą i dreszczami przy pomocy wielu warstw odzienia. Korpus opatuliłem dwoma swetrami i płaszczem, na głowę zaś założyłem papachę. Dzięki rozmaitym filtrom i detektorom, w jakie wyposażono moje gogle, widziałem przez tumany śniegu i zaparowane okna pracowni w budynku po drugiej stronie ulicy.

Mimo wielu wysiłków mróz wciąż wciskał się w każdą szczelinę mojego schronienia na szczycie kilkupiętrowej kamienicy. Skuliłem się pod wpływem lodowatego podmuchu. Poprawiłem czapkę i schowałem rękę pod połę płaszcza. Czas mijał i nie miałem żadnych informacji od dowództwa, które wynajęło lokum na poddaszu, wyposażyło mnie i kazało czekać na instrukcje. Bez nich musiałem trwać beczynnym na posterunku. Nieruchomy niczym truchło kota leżące na gzymsie lub przycumowany do budynku sterowiec komunikacyjny.

Zadanie było bardzo proste: obserwować profesora Stanisława Potockiego w jego laboratorium, które zajmowało ostatnie z czterech pięter kamienicy w centrum Krakowa. Poznać jego plan dnia, nawyki,

156

mocne i słabe strony. Dowiedzieć się, nad czym pracuje, sporządzić dokładne raporty i w momencie nadejścia rozkazu skorzystać z podręcznego karabinu dalekiego zasięgu, by jednym strzałem posłać naukowca na tamten świat.

Nie do końca rozumiałem motywację dowództwa, które zamiast zwyczajnie zlikwidować obiekt i zabezpieczyć wyniki badań, ewentualnie porwać go i przesłuchać, wysyłało podobnych mi żołnierzy na pozbawione większego znaczenia obserwacje.

Pierwszy dzień zacząłem od zapewnienia sobie łączności z bazą. Z wielkim trudem wspiąłem się po linie cumowniczej – teraz oblodzonej – i dotarłem do węzła komunikacyjnego na pokładzie sterowca. Otworzyłem skrzynkę rozdzielczą, zainstalowałem w niej radiowy przekaźnik i stałem się częścią miejskiej sieci telegraficznej. Na poddaszu rozłożyłem kieszonkowy telegraf z małą drukarką. Następnie połączyłem go z radiem na górze. Meldowałem się przełożonym co drugi dzień. Odzewu nie było.

Profesor pracował w nocy, w ciszy śpiącej metropolii. Dzięki rozświetlonej pracowni i ciemnościom na zewnątrz miałem lepszą widoczność. Policyjne patrole powietrzne niewiele mogły wypatrzeć w pochmurne i śnieżne noce. Każdego ranka zaraz po brzasku, gdy naukowiec układał się na leżance w kącie pracowni, schodziłem z posterunku. Przesypiałem wówczas kilka godzin, potem posiadałem się w zadymionej restauracji pobliskiego motelu pełnej zapijaczonych mechaników, budowlanców i sinych od mrozu dziewczek, by ostatecznie wrócić na strych.

Przez ponad miesiąc oglądałem, jak zapisywano i ścierano tablice, przerzucano notatki, piłowano, spawano, chodzono w kółko z rękami założonymi na plecach i poprawiano okulary. Jedyным stałym elementem laboratorium pozostawały wyniki badań, które mogły zrewolucjonizować świat.

Pogoda nie sprzyjała zdrowiu. Co trzy, cztery dni zjawiałem się u znajomego aptekarza, który zaopatrywał mnie w najróżniejsze mikstury – likwidujące potrzebę snu, usprawniające oddychanie czy utrzymujące nadwyreżane mięśnie w stanie pełnego wigoru. Piłem bez pytania

o skład. To dzięki nim, mimo wilgoci i zanieczyszczeń w powietrzu, zdrowie i siły mnie nie opuszczały. Na szczęście.

Tkwiał w tym pewien paradoks. Stosowałem preparaty lecznicze powstałe w oparciu o przełomowe odkrycia, używałem gogli i karabinu – będących tworamii myśli technologicznej – a jednocześnie należałem do ruchu przeciwstawiającego się nieprawdopodobnemu, niekontrolowanemu i niebezpiecznemu rozwojowi nauki. Utworzono go w odpowiedzi na poczynania fizyków, medyków, alchemików, biologów i wszelkiej maści szarlatanów tłumaczących swoje postępowanie zwiększaniem dobrobytu ludzi oraz poszerzaniem wiedzy o otaczającej nas rzeczywistości. Ktoś wpadł na radykalny pomysł eliminacji nazbyt płodnych naukowców. Idea szybko przerodziła się w czyn. Ja i podobni mi żołnierze, doskonale przeszkoleni i wyposażeni, zostaliśmy siłą sprawczą anonimowego dowództwa. Bez pytania pociągaliśmy za spust i rozsiewaliśmy plotki o naszych poczynaniach. Szerzyliśmy strach i zamęt. Przełożeni hojnie nas wynagradzali. Nie wiedzieli jednak, że są żołnierze, którzy mają w tym wszystkim własny interes.

I nagle stało się. Aż podskoczyłem, gdy przenośny telegraf – ni z tego, ni z owego – wypuł informację przejętą z systemu łączności. „Obiekt zlikwidować, zabezpieczyć wyniki” – tak brzmiała wiadomość. Zdawkowo i mało finezyjnie, zważywszy na wielki dorobek Potockiego. Nawet patrząc przez pryzmat filozofii ruchu oporu, trudno było odmówić mu geniuszu i pracowitości.

Spojrzałem w stronę okien pracowni. Naukowiec jak zwykle śleczął nad notatkami. Przywykłem do obserwowania go przy pracy. Przez ten czas stał się dla mnie kimś na kształt bliskiego znajomego, którego wbrew rozkazom nie zamierzałem zabijać.

Pewnego dnia profesor pisał coś w notatniku, aż nagle podskoczył z okrzykiem radości. Jego okulary poleciały w gąszcz papierów na biurku. Sam mało nie spadłem wtedy ze skrzynek, ale podejrzewam, że nie spostrzegłby mnie nawet wówczas, gdybym nadepnął mu na stopę. Podbiegł do okutej mosiądzem szafy i zaczął klikać na umieszczonym na przedniej ścianie kontrolerze. Laboratorium ożyło. Z sykiem parowych



siłowników otworzył się panel, a stojące obok systemy napędowe poruszyły setki kół zębanych. Zauważyłem też wahania strzałek na ciśnieniomierzach. Profesor co chwila ciągnął za jeden z wielu zakończonych gałką sznurków, przestawiał dźwignie. Maszynieria w pracowni odgrywała skomplikowaną symfonię, a Potocki dyrygował.

Nie wiem, co odkrył, ale sądząc po jego ożywieniu, było to coś wielkiego. Wena spłynęła, dostępiał iluminacji, może w końcu odblokował jakąś dawno zastaną zapadkę. Podczas czterdziestu dni obserwacji miały miejsce trzy takie zdarzenia. Trzy urozmaicenia monotonii profesora i mojej, która została definitywnie przerwana trzydziestego pierwszego stycznia roku pańskiego tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego.

Dowództwo dawało cztery godziny na poinformowanie o wykonaniu rozkazu. Po tym czasie zakładano, że doszło do spalenia kryjówki, pojmania żołnierza albo jego likwidacji. Musiałem się spieszyć. Czekala mnie długa i poważna rozmowa z profesorem Stanisławem Potockim.

Zrzuciłem z ramy okna zamknięty koc i ostatni raz wszedłem na poddasze. Zabezpieczyłem karabin i telegraf. Podpięty do sterowca przełącznik był mi jeszcze potrzebny, więc został. W końcu kolejna wspinaczka nie wchodziła w rachubę. Zatrzasnąwszy drzwi zgodnie z procedurą, odruchowo przetarłem gogle i wyostałem się na śliski od śniegu dach.

Pod osłoną nocy po balkonach i gzymsach zszedłem na chodnik, przeciąłem pustą o tej porze ulicę i przywarłem plecami do ściany budynku, w którym mieszkał Potocki. Rozejrzałem się, chyba z przyzwyczajenia, po czym zniknąłem w ciemności bramy.

Na ostatnie piętro kamienicy wszedłem po drewnianych schodach. Musiałem kroczyć powoli i ostrożnie, bo każdy stopień trzeszczał, a dźwięk niósł się echem po wnętrzu klatki schodowej. Po drodze poprawiłem wiszący na ramieniu karabin, zdjąłem gogle i rozluźniłem szal. Wreszcie dotarłem do drzwi na ostatnim piętrze, zza których dobiegał hałas pracującej maszynierii.

Znałem rozkład pracowni na pamięć. Na lewo od drzwi stała szeroka szafa ograniczająca pole widzenia profesora. Zerknąwszy na zegarek,

powoli wsunąłem się do środka. Poczułem mieszaninę zapachów, w tym olej i ozon. Pomieszczenie było zadymione. Zdjąłem z ramienia karabin i oparłem go w kącie – obym nie musiał go później użyć.

Wychyliłem się zza szafy i dostrzegłem zatopionego w myślach Potockiego. Zmrużył oczy i przycisnął do czoła czubek pióra, poruszając przy tym wargami. Najpewniej coś szeptał, ale dźwięk nie przebił się przez hałas pracujących maszyn. Dopiero teraz mogłem obejrzeć wnętrze w pełnej okazałości. Widziałem zdjęcia naukowych autorytetów zajmujące górę sekretarzyka, obrazy z wizerunkami jakichś mitologicznych postaci na ścianach i małe kałuże wody kapiącej na podłogę z biegnących pod sufitem rur.

– Profesorze Potocki, mamy do pogadania – powiedziałem głośno i wyraźnie, stojąc dwa metry za nim. Poderwał się na dźwięk moich słów, omal nie przewracając przy tym krzesła. Napięcie na jego twarzy nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości. Wiedział, kim jestem i po co przyszedłem.

– Spodziewałem się kogoś. Od jakiegoś czasu. – Zapatrzył się w dal. – Strzelcy wyborowi zabili już pięciu moich kolegów, wybitnych naukowców... Taka strata...

– Pańska przyszłość opiera się na tym, czy będzie pan współpracował.

– Jesteś z ruchu oporu, nie zaprzeczysz.

– Nie. – Machinalnie stanąłem na baczność. – Jestem żołnierzem, który wykonuje rozkazy.

– Jednak stwierdziłeś, jak miemam, że nie chcesz mnie zabić.

– Nie zamierzam – przyznałem szczerze. – Choć nie ukrywam, że pańskie życie zależy od tego, jak potoczy się nasza rozmowa. Ruch oporu ma swoje nie do końca dla mnie zrozumiałe cele i pobudki. Próbowali wtłoczyć mi je do głowy. Słuchałem z uwagą, przytakiwałem i z ogniem w głosie powtarzałem. Nigdy też nie zdradziłem, że moje motywacje są nieco inne. Nie bardzo obchodzi mnie rozwój nauki. Widzę pozytywwy i negatywy każdej strony, ale nie opowiadam się po żadnej. Co innego, jeśli wskutek postępu dzieje się krzywda niewinnym ludziom. Takim jak ja.



Spojrzał na mnie uważniej, by zatrzymać się na pustym lewym rękawie.

– Stracił pan rękę, trudno to przeoczyć. Efekt pańskich działań wywrotowych czy skutek jakiegoś wypadku?

Zwykle przy takich pytaniach wybuchiałem śmiechem. Z perspektywy czasu wymuszoną troskę o moją ułomność traktowałem jak doskonały żart. Jednak reakcja profesora była inna. Potraktował mnie jak obiekt badań, z obojętnością medyka amputującego kończynę kolejnego pechowego wojaka. Nie widział we mnie ofiary, nie chciał współczuć. Bardzo przyjemna odmiana. Może nawet zdążył naprędce wymyślić sposób na poprawę mojego stanu – sposób chybiony, bo Potocki nie znał wtedy całej prawdy.

– Wybuch Instytutu Farmacji w Krakowie. W maju siedemdziesiątego ósmego. Na pewno pan kojarzy.

Wzdrygnął się, ale poza tym zachował pozory spokoju.

To była największa katastrofa związana z pracami naukowymi w tej części Europy. Ekspłodował budynek, w którym znajdowały się laboratoria badawcze. Fala ognia i zabójcza chmura chemikaliów przeszły po okolicy. Toksyczny nalot pokrył fabryczne magazyny, park, dom towarowy i szkołę elementarną. Nie doliczono się wszystkich ofiar, ale ogólne kalkulacje wskazywały na setki. Samego Instytutu nigdy nie odbudowano. Na jego terenie doszło do nieodwracalnego skażenia substancjami lotnymi o nieznanym właściwościach. Kto mógł, uciekał z zanieczyszczonego obszaru.

Władze nie panowały ani nad potokami ludzi przelewającymi się przez sąsiadujące ze strefą wybuchu dzielnice, ani nad późniejszym zapewnianiem poszkodowanym pomocy medycznej. Naprędce powstawały lazarety, głównie z inicjatywy duchownych z pobliskich klasztorów i zwykłych mieszkańców Krakowa. Okolicę w promieniu pół kilometra od ruin Instytutu uznano za nienadającą się do życia i otoczono wysokim murem.

– To była moja szkoła, ta w zasięgu skażenia – wyznałem. – Miałem wtedy siedem lat. Widziałem straszne rzeczy i, już później, doświadczyłem jeszcze straszniejszych. Dlatego chcę znać przyczynę. Chcę wiedzieć!

Potocki pokręcił głową.

– Nie wiem, co doprowadziło do wybuchu, przykro mi. Farmacja i nauki medyczne to nie mój krąg zainteresowań. Proszę się tylko rozjeździć. – Zakreślił ręką łuk, pokazując na maszynię w laboratorium. – Tym się zajmuję. Metalurgia, materiałoznawstwo, chemia nieorganiczna. Podejrzewam, że w pańskich goglach – wskazał na przedmiot na mojej szyi – jest coś wymyślonego przeze mnie. Ale w Instytucie pracował mój dobry przyjaciel. Zaginął, nigdy nie odnaleziono ciała. Przebywałem wtedy na konferencji w Paryżu i dowiedziałem się dzień później z sieci telegraficznej. O wybuchu i konsekwencjach.

Profesor zamilkł. Wiedziałem aż za dobrze, co to za konsekwencje.

Kilka tygodni po incydencie wyszło na jaw, że unoszące się w powietrzu substancje trują wystawionych na ich działanie ludzi, ale w szczególny sposób, niczym myśląca istota. Wpływały zwłaszcza na dzieci poniżej dziesiątego roku życia. Pozostali umierali wskutek zatrucia, uduszenia albo oparzeń. Zastanawiałem się, czy można określać ich mianem szczęściarzy, bowiem najmłodszych czekał los o wiele gorszy od śmierci. Kilkulatkom zaczęły wyrastać nowe albo odpadać już istniejące części ciała, niektórzy puchli w niekontrolowany sposób i wybuchali jak pieczone kasztany. Jednym złaziła skóra, zaś drugim miękkie kości albo kamieniały mięśnie. To były zmiany naznaczone niewysłowionym cierpieniem.

– Rozumiem, że stracił pan wtedy rękę. – Profesor przerwał milczenie. Jednocześnie zaczął przesuwając się wzdłuż krawędzi sekretarzyka w kierunku pracowni. Czyżby planował ucieczkę? W tamtą stronę? Po co? Może jednak nie mówił całej prawdy.

– Nie miałem dzieciństwa. Wiedziałem życie pełne strachu, surowych reguł i wyrzeczeń. Straciłem wiele, ale proszę mi wierzyć, nie straciłem ręki.

Nagle profesor zerwał się do biegu. Liczył pewnie, że weźmie mnie z zaskoczenia, że dopadnie do drzwi w głębi pomieszczenia, zanim zdążę zareagować. Nie przewidział dwóch rzeczy – miałem doskonały, morderczy wręcz refleks i zasięgiem lewego ramienia daleko przewyższałem każdego człowieka.

Stanisław Potocki zatrzymał się raptownie niecałe cztery metry ode mnie. Stał napięty jak struna kontrabas, a na jego szyi zaciskała się różowa macka. To był ukrywany przed światem efekt mojej przemiany.

Przez miesiące paroksyzmów bólu moja zwyczajna ręka powoli traciła swój wygląd: kości zmiękły, mięśnie zwiotczały, skóra pokryła się wybroczynami. Ramię robiło się dłuższe i coraz elastyczniejsze, a palące wrzody popękały i przeobraziły się w przyssawki. W końcu ciało pokryło się różowymi i fioletowymi plamami. Ból ustał. Rodzice nie mówili mi o konających kolegach, powtarzali za to, że Bóg mnie oszczędził i że-  
bym był mu za to wdzięczny. Byłem. Odwiedzałem kościoły i modliłem się gorliwie. Jednocześnie po kryjomu wykorzystywałem mackę do zabawy, wspinania się na drzewa i pomagania dorosłym przy zrywaniu owoców.

– To niemożliwe. Podobno wszystkich wyłapali, co do jednego – stęknął profesor. Macka ścisnęła mu gardło. Nie zamierzałem go udusić, ale dawało mi to dużo satysfakcji.

– Jak widać – wycedziłem przez zęby – nie wszystkich.

Nie minęło pół roku od wybuchu i zaczęły się łapanki. Pamiętam uzbrojone patrole. Pamiętam wyważane drzwi i wybijane okna. Pamiętam chore, zdeformowane, cierpiące dzieci odbierane krzyczącym rodzicom. Każdego, kto choć trochę odbiegał od normy, transportowano do obozu wewnątrz odgradzonej strefy. A tam dzieci albo umierały, albo poddawane były eksperymentom.

Początkowo naukowcy próbowali pomóc poszkodowanym. Wykonywali najróżniejsze badania, stosowali farmaceutyki, przeprowadzali operacje na zmienionych fragmentach ciał – od najprostszych zabiegów usuwania małych narośli po skomplikowane amputacje kończyn i całych grup zniekształconych organów wewnętrznych. Bezskutecznie. Zmiany nie poddawały się ingerencji – albo wracały, albo pacjent umierał.

Wobec braku rezultatów uczeni porzucili czyny miłosierdzia i rozpoczęli testy na małych nieszczęśnikach. Sprawdzali wpływ najrozmaitszych substancji – obojętnych dla zdrowia i trujących. Analizowali poszczególne zmiany ciał pod kątem odporności na wysoką i niską temperaturę, podatności na rozciąganie zmiękczonej kości, wytrzymałości

skamieniałych tkanek. Podobno niektóre dzieci były głodzone albo podtapiane. A wszystko w imię odkryć i wydarcia naturze jej tajemnic. Śmierć stała się wyczekiwany wybawieniem.

Ocalałem trochę przez przypadek, trochę dzięki szczęściu. Ojciec miał znajomego urzędnika, który zdradził nam, co planują władze. Początek łapanek przetrwałem ukryty w śmierzdzącej ziemi. Strażnicy podczas przeszukiwania gospodarstwa przeoczyli zamaskowane trawę wejście do kryjówki. Po wieczności spędzonej w mroku, rodzice wywieźli mnie na wieś pod Stanisławowem w Galicji Wschodniej.

Profesor cały czas walczył. Jego palce raz za razem ześlizgiwały się z wilgotnej macki, kiedy usiłował rozewrzeć uścisk.

– Proszę, nie zabijaj mnie – wydusił resztką sił.

– Jak już wspominałem, nie zamierzam. Chcę wiedzieć... Masz mi powiedzieć, profesorku, jak doszło do wypadku. Mam wrażenie, że znasz jego przyczyny. – Przyciągnąłem go bardzo blisko, aż nasze twarze znalazły się tuż przy sobie. Zobaczyłem drobinki potu, spływające po pomarszczonym czole. – Muszę przyznać, że ta przemiana jest nawet użyteczna.

Na dźwięk tych słów profesor jęknął i napiął się. Przypominał dziecko korzące się przed ojcem z różgą.

– Wypuść mnie, to opowiem wszystko!

Brzmiał przekonująco, więc spełniłem prośbę. Kiedy upadł na kolana, uświadomiłem sobie, że tylko czubkami butów sięgał podłogi.

– To nie do końca był wypadek – zaczął zachrypniętym głosem.

– Nie był to też błąd człowieka, a raczej problem z jednym obiektem badanym w Instytucie...

Mówił coraz szybciej i coraz mniej składnie. Ciągłe przeczył wcześniejszym słowom, plątał się w zeznaniach. Miałem wrażenie, jakby wodził mnie za nos, zamiast prowadzić do sedna. Przerwałem mu:

– Proszę jaśniej, profesorze.

– Właaaaańnieee prooofesoorze, jaaańnieeej... – Świszczący głos rozbrzmiał z drugiego pomieszczenia. Poczułem go każdą kością, każdym mięśniem i każdym włosem. Przeciągane samogłoski były jak chropowaty

smyczek, od którego pękały struny, a spółgłoski przypominały wbijane w uszy gwoździe.

Profesor przeniósł wzrok na drzwi w głębi pomieszczenia. Wcześniej był przestraszony, teraz wręcz trząsał się z przerażenia.

– Kto tam jest? – spytałem szybko.

– Nikt, nikt, nikt! – Zaczął potrząsać głową, jakby wpadł w trans.

– Tam nikogo nie ma!

Potocki nigdy nie zaglądał do tego pomieszczenia. Prawdę powiedziawszy, dopiero podczas jego próby ucieczki uświadomiłem sobie istnienie drzwi. Kimkolwiek był właściciel nieludzkiego głosu, nigdy nie zarejestrowałem, by wychodził.

– Kto się odezwał za drzwiami?

– Nikt!

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie:

– Kłaaamstwoo!

Kolejne przeciągłe słowo wprawiło zęby w bolesne wibrowanie.

Odepchnąłem profesora. Zatoczył się i poleciał na sekretarzyk, rozrzucając przy tym notatki. Kiedy szedłem ku drzwiom, Potocki zaczął błagać i kwilić jak małe dziecko, bym tylko ich nie otwierał. Im bliżej byłem, tym głośniej zawodził.

– Chłooopczeeee... Chłooopczeeee, tutaj jest twoja odpowiedź.

Drzwi były na wyciągnięcie ręki, wystarczyło nacisnąć klamkę i pociągnąć.

– Nie idź tam! – krzyknął zatrwożony profesor. – Nie masz pojęcia, co tam jest, nie oprzesz się!

– Nie mam nic do stracenia.

Zawiasy skrzypnęły, a ja trafiłem do obszernej sali, która zdawała się być jednocześnie jasna i pogrążona w ciemności. Nie potrafiłem znaleźć adekwatnego określenia, by w pełni oddać tę nienaturalną dysharmonię.

W centralnej części pomieszczenia stał wysoki cylinder bijący po oczach wszystkimi kolorami tęczy. Początkowo sądziłem, że to dym albo złudzenie – widać mój wzrok nie radził sobie z niesamowitością zjawiska.

Od dwóch boków cylindra odchodziły miedziane rury, znikające w ciemności, by pojawić się znowu przy metalowych skrzyniach, stojących pod przeciwległą ścianą. Na każdej z nich umocowany był wielki talerz. Teraz ustawione pionowo, wirowały, sypały małymi piorunami i trzeszczały cicho. Za cylindrem dostrzegłem konstrukcję przypominającą kościelne organy, które zbudował ktoś niespełna rozumu. Nad rurami zainstalowano cewki i porcelanowe izolatory, od nich z kolei rozchodziła się pajęczyna kabli pokrywająca cały sufit.

Na końcu zwróciłem uwagę na drewnianą podłogę. Jej gładkie deski zdobiły skomplikowane wzory i napisy, których układ współgrał z ułożeniem przedmiotów w pomieszczeniu. Pomiędzy sprzętami rozstawiono małe lampy jaśniejące niebieskimi i zielonymi płomieniami.

Wewnątrz nikogo nie dostrzegłem.

– Mówiłem, że pusto? – Profesor wyrwał mnie z zamyślenia. Zbyłem go i przeszedłem próg.

Pachniało niebezpieczną mieszanką: wiórami drewna, naftą i spalenizną. Zrobiłem dwa kroki, gdy znów usłyszałem Potockiego:

– Zaklinam cię na wszystkie świętości, wracaj! – jęknął błagalnie.  
– Nic tam nie znajdziesz!

– Na pewno? – Nowy głos zawibrował, aż zgrzytnąłem zębami. Tym razem miał konkretne źródło: cylinder w środku pomieszczenia. Skupiłem na nim wzrok.

– Kim jesteś? Pokaż się!

– Z przyjemnością.

Poczułem w tych słowach ulgę. Jakby ktoś zrzucił z ramion wielki ciężar.

Światło bijące z cylindra przygasło, by po chwili ciemności rozbłysnąć oślepiająco. Było jednocześnie w środku i jakby poza urządzeniem – nie potrafiłem tego dokładnie stwierdzić, jakby obserwowany spektakl zaburzył percepcję.

Z jasności wyłoniła się zupełnie biała ręka, potem druga, nogi, wreszcie głowa i reszta ciała, jak na pokazie iluzjonisty, po czym światło zgasło. Stała przede mną naga, smukła kobieta. Od razu rzucił mi się

w oczy brak sutków i genitaliów, jakby Stwórcą postanowił je pominąć, uznając za nieprzydatne. Jej skóra lśniła niczym marmur. Gładka klatka piersiowa poruszała się w rytm oddechu. Całości dopełniała twarz bez wyrazu i falujące kamienne włosy. Nie co dzień można zobaczyć żyjący posąg.

Nagle czyjaś dłoń chwyciła mnie za ramię, aż podskoczyłem. Profesor przyłożył palec do ust. Zachowywał się tak, jakbyśmy mieli przed sobą śpiącego niedźwiedzia.

– Nie rozmawiaj z tym – wyszeptał mi prosto do ucha. – Zbalamuci cię. Jest bardzo niebezpieczne.

Postać otworzyła oczy – niebieskie jak niezapominajki. Pochyliła głowę, by przemówić. Poczułem to całym ciałem.

– Witaj młody człowieku, chłopcze, żołnierzu. Kryjesz w sobie więcej, niż zwykleś pokazywać. Zupełnie jak mój gospodarz i pan. Muszę cię uprzedzić, ma rację, jestem niebezpieczna. Ale zadaj sobie pytanie: czy dla snopa siana groźniejsza jest pochodnia czy też ręka, która nią włada?

– Kim jesteś?

Chciałem odpowiedzi. Reszta była mi obojętna.

– Potraktowałeś mnie personalnie, chłopcze, to coś nowego. Zwykle...

– Milcz! – krzyknął profesor.

Zerknąłem na niego, szukając oznak nagłego przypływu odwagi, ale Potocki wciąż się trząsł.

– Nie może ci powiedzieć. – Tym razem zwrócił się do mnie. – Jest pod moją pełną kontrolą.

Emanujący z naukowca strach zdawał się temu przeczyć, ale nie oponowałem.

– Nie muszę mówić, są inne sposoby – stwierdziła marmurowa kobieta. Jej oczy błysnęły.

Zanim zdążyłem zareagować, poczułem ukłucie w głowie i już. Wiedziałem wszystko.

W cylindrze, którego ściany stanowiły potężne, precyzyjnie skonstruowane pole ochronne, objawiła się istota określająca siebie jako

Prabóstwo. Była protoplastką każdego ze znanych bóstw słowiańskich. W niej właśnie miały początek wierzenia dawnych mieszkańców terenów Rzeczypospolitej. To z niej zrodzili się: Perun, Trygław, Swaróg i inni. Nie była jedyna, każdy region na Ziemi miał swój odpowiednik. Ale to właśnie ją pojmano, więziono i zmuszano do dzielenia się swoimi mocami.

A potrafiła niemal wszystko. Mogła dowolnie kształtować rzeczywistość, zmieniać jedne rzeczy w inne, łączyć i dzielić to, co zdawało się niepodzielne. Była w stanie nagiąć reguły rządzące rzeczywistością, ingerować w siłę przyciągania, zakrzywić bieg promieni światła i wiele innych cudów, których nie pojmowałem. Wpływała też na organizmy żywe, choć nie potrafiła wskrzeszać zmarłych. Miała także jedno poważne ograniczenie – swoje imię. Naukowcy schwytali istotę w pułapkę, ponieważ zdołali je poznać. Od tej pory służyła im, pomagała przy napychaniu kieszeni i zdobywaniu zaszczytów po kolejnych – zawdzięczanych wyłącznie bóstwu – odkryciach.

– Uwzięliście ją? – spytałem. – Jak odkryliście jej imię?

– Tego ci nie przekazało? – zamyślił się. – Widać ograniczenia, o których mówiło, są prawdziwe. Co się tyczy porwania... Ta historia nie wydaje się warta opowiedzenia.

– Chłopcze – zaczęło bóstwo – profesor nie jest zbyt chętny, pozwól więc, że to ja odpowiem na twoje pytania.

Jak na więźnia miała sporo swobody, bo Potocki jej nie uciszył. Tylko dlaczego odnosiła się do mnie bez śladów wrogości? Czyżby odnalazła we mnie sojusznika? Czy to wszystko było tylko grą mającą na celu zbałamucenie mnie, przed czym ostrzegł profesor?

– Bo traktujesz mnie jak osobę – usłyszałem w umyśle jej głos.

Poczułem kolejne ukłucie i już znałem pokrótce historię jej przywołania do naszej rzeczywistości, okiełznania i wykorzystywania.

Był sobie pewien inteligentny, pracowity i uparty jak osioł archeolog, który zajmował się badaniem wierzeń ludów pierwotnych. Nazywał się Andrzej Niedźwiedź. Posiadał wiedzę i wielkie szczęście w docieraniu do jej źródeł. Odnajdywał ludzi znających przekazywane z dziada pradziada podania. Prowadził szereg wykopalisk, zawsze owocnych.



Zgromadził ogromną bibliotekę, aż w końcu trafił na ślad czegoś bardzo starego, bardzo potężnego, czegoś, co czczono od zarania dziejów na terenach obecnej Rzeczypospolitej. Czegoś, co istniało, zanim człowiek pojawił się na ziemskim padole. Prabóstwo stało się jego obsesją. Porzucił wszystkie prowadzone prace i badania, by nic nie przeszkadzało mu w poszukiwaniu prawdy o potężnej istocie sprzed wieków.

Jako że stykał się z przedstawicielami różnych nauk, trafił wreszcie na Potockiego i jego kolegów po fachu. Ci przekonali archeologa do współpracy. W opowieściach o poszukiwanym Prabóstwie widzieli nieograniczone możliwości. Siedem lat zajęło im odnalezienie wszystkich niezbędnych informacji, opracowanie planu złapania i bezpiecznego przetrzymywania istoty. Zaangażowani w to ludzie – dwanaście najgenialniejszych umysłów, jakie zrodziła polska ziemia – doprowadzili do ujarznienia jej mocy.

Posiłkując się wiedzą zebraną z wielu zakątków Europy uzupełnioną o współczesne nauki przyrodnicze, naukowcy skonstruowali urządzenia do wnikania do rzeczywistości istoty, eksploracji obcego terytorium i łowienia pożądanej zdobyczy. Gdy istota zorientowała się w działaniach ludzi, było za późno. W obrębie swojego świata cieszyła się wszechmocą, w kleszczach naukowców pochodzących z innego wymiaru musiała poddać się ich woli.

Wreszcie została uwięziona między rzeczywistościami i uzyskano nad nią kontrolę. W tym celu naukowcy stworzyli czterdzieści siedem punktów kontaktowych rozsianych po centrach badawczych całej Europy i korzystali tam z niewyczerpanych zasobów mocy Prabóstwa.

Nie oznaczało to złożenia broni. Istota od początku stawiała zaciekły opór, choć używano wobec niej szeregu sposobów wymuszania działań. Wykorzystywała każde najmniejsze potknięcie, każdą lukę w rozumowaniu lub przejęzyczenie jako sposobność do ataku. Nie obyło się bez ofiar. Naukowcy zaczęli poznawać możliwości istoty, szczególnie te zagrażające życiu i zdrowiu całego personelu ośrodków badawczych.

Zmieniła jednego z techników w bryłę lodu, gdy poprosił o prezentację najniższej możliwej do uzyskania temperatury. Inny został

wtopiony w ceglaną ścianę – tajemnicą pozostało polecenie wydane istocie. Jeszcze inny, odwiedzony w miejscu pracy przez wybrankę swego serca wyznał, że chciałby pokazać jej swoje bogate wnętrze. Reakcja była natychmiastowa. Istota, która usłyszała życzenie, wywinęła nieszczęśnika na lewą stronę. Przed biedną dziewczyną rozkwitł cielisty, odrażający, tryskający płynami ustrojowymi kwiat, po czym rozsypał się na podłodze z przeraźliwym młaśnięciem. Serce wciąż pracowało, naczynia pulsowały, płuca traciły na objętości. Wciąż żyjący technik ruszał lśniącymi mięśniami kończyn, z których odpadały kolejne kości i krzyczał wewnątrz siebie. Umilkł, gdy od czubka czaszki odkleił się zniekształcony mózg i potoczył pod nogi wrzeszczącej towarzyszki. Biedaczka postradała rozum.

Istota, nie bacząc na nakładane ograniczenia, robiła, co było w zasięgu jej mocy, by utrudnić pracę swoim panom. Naukowcy odebrali jeszcze wiele okrutnych i bolesnych lekcji. W końcu, przy współpracy filozofów, logików i językoznawców, wypracowali zapewniające bezpieczeństwo metody postępowania i porozumiewania się z przyzwaną istotą. Skonstruowali też cylindryczne cele otoczone elektrycznymi i eterycznymi polami ochronnymi.

– Tu – przemówiła, wskazując otaczający ją cylinder – moja rzeczywistość łączy się z twoją. W tym miejscu moja emanacja jest widzialna i więziona między światami. Trwam i służę tym robakom. – Wskazała głową na Potockiego. – Jestem na każde zawołanie, niewolnik najpodlejszej formy istnienia! Materii!

– Co masz na myśli?

– Potrafię dowolnie kształtować rzeczywistość, jak rzeka kształtuje swoje koryto, jak gąsienica swój kokon, jak grawitacja spaja materię i zakrzywia tkankę świata, jak ręka formuje glinę. Urzeczywistniam ich myśli, naprawiam, co zepsuli. – Spojrzała znacząco na wystającą spod rękawa mackę. – Skoro przy naprawianiu jesteśmy... Widzę pewną ułomność struktury twojego ciała. Może masz ochotę na cudowne uleczenie? Chciałbyś mieć zdrową i sprawną rękę? Potraktuj to jak niebezpieczne bałamucenie, przed którym ostrzegął cię mój pan.

- Każda przysługa ma swoją cenę, jak mawiał mój ojciec. Rozumiem, że oczekujesz rewanżu – odpowiedziałem.

- Tak. Miałeś słuszność, widzę w tobie sojusznika. Układ jest prosty, twoja ręka za moją wolność.

- Nie gódź się! – zawołał profesor. – To myśli tylko o sobie, namieszła ci w głowie, nie masz pojęcia o konsekwencjach... Ten wypadek...

- Konsekwencje będą takie, że odrośnie mu ręka – ucięła istota. – Prawie bezboleśnie, szybko i bez efektów ubocznych. Cofnę to, co spowodował incydent z Krakowa. Chłopcze, w twoim umyśle bije łuna wielkiego braku... Braku wiedzy, dlaczego masz rękę morskiego stworzenia zamiast własnej...

Nagle przyczyna mojego stanu stała się jasna. Tym razem bez ukłucia w głowie.

- Próboweś uciec?

- Tak, ale byli szybsi. Zamiast skorzystać z nadarzającej się okazji, dałam się pochłonąć prymitywnemu ludzkiemu entuzjazmowi. Chwilowe rozproszenie uwagi wystarczyło, by zapanowali nade mną. Doszło jednak do destabilizacji pewnego procesu chemicznego, który do tej pory kontrolowałam. Eksplozja w Instytucie zawadziła o krawędź mojego istnienia. Dlatego doszło do nienaturalnych zmian.

- Ucierpiały tylko dzieci. – Przed chwilą jej współczułem, teraz chciałem ją zniszczyć. – Wyrządziłaś zło.

- Chcieli opracować substancje lecznicze dla waszych młodych, to pewnie dlatego. Nie potrafię tego stwierdzić, nawet ja nie wiem wszystkiego. I nie dotyczą mnie kategorie dobra i zła – dodała po chwili milczenia. – Były mi zupełnie obce do momentu, w którym człowiek zaczął tworzyć kodeksy moralne...

Przestraszyłem się. Uczucia mieszały się we mnie bez ładu i składu. Myśl, że profesor miał rację, majaczyła gdzieś w głowie i próbowała wykielkować, coś jednak ją blokowało. Coś albo ktoś.

- Musisz wypowiedzieć moje imię. Dwa razy. – Posągowa kobieta patrzyła prosto na mnie przepięknymi, jednolicie niebieskimi oczami. – Raz już wypowiedziałeś.

– Już wypowiedziałem? Twoje imię? – Byłem zdezorientowany. Gubiłem się, jak wyrwany ze snu w środku nocy. – Po co?

– Tego nie mogę ci zdradzić. Nie mogę też podpowiadać ani dawać wskazówek. Obowiązują mnie reguły nadrzędne względem tej rzeczywistości i posłuszeństwo.

Istota wskazała na profesora. Po raz pierwszy wyglądał na pewnego siebie.

– On nigdy nie zgadnie! – stwierdził Potocki z niespodziewanym triumfem w głosie. – Nikt nie zgaduje. Musiało nas być dwunastu. Dwanaście największych umysłów pracowało nad notatkami Niedźwiedzia siedem lat, zanim odkryto twoje imię.

– To złe wspomnienie, ale trzymam je w pamięci. Nie pierwszy raz jednostki niższego szczebla zmierzyły się ze mną, ale pierwszy raz wygrały, a przynajmniej tak im się wydaje.

Zbiła Potockiego z tropu. Czyżby bóstwo miało rację, a w zanzardzu trzymało jakąś sztukę? Nie czekałem długo na odpowiedź:

– Głupstwa gadasz! – Potocki odzyskał rezon. – Nie ma sposobu, żeby wpadł na twoje imię, nie możesz mu powiedzieć.

– Nie, ale mogę pokazać.

Zanim profesor zdał sobie sprawę, co się właśnie stało, lewa ręka bóstwa zmieniła się w długą mackę. Doznałem kolejnego olśnienia. Wyszptałem słowo, nie bacząc na konsekwencje.

Wówczas kilka rzeczy wydarzyło się prawie jednocześnie. Profesor Potocki złapał się za twarz i upadł, przewracając rozstawione na podłodze lampy. Cylinder rozprysł się w chmurze lśniących kryształków, natomiast ja sam osunąłem się na kolana w krótkim paroksyzmie bólu promieniującego z lewej ręki. Uwolnione bóstwo dotrzymało słowa. Znów byłem zdrowy, czego nie można powiedzieć o Potockim. Istota szybko dokonała zemsty. Głowa profesora zmieniła się w lśniący kryształ, przez który mogłem dojrzeć wewnątrz pustej czaszki.

Posągowa kobieta również przeszła metamorfozę. Miałem przed sobą umięśnione, ociekające krwią, pozbawione skóry i najeżone krótkimi kolcami ciało o nienaturalnie długich, zakończonych kopytami

kończynach. Wieńczący je łeb – groteskowa mieszanka głów: ludzkiej i końskiej – porośnięty zielonym futrem, miał czworo świecących niebieskich oczu i rozłożyste, bardzo powyginane poroże.

Bóstwo ruszyło w kierunku drzwi.

– To wszystko? Po prostu odchodzisz? – Byłem zaskoczony zarówno gwałtownym przebiegiem wydarzeń, jak i własną reakcją.

Oczekiwałem wyjaśnienia. Niższa forma istnienia, pogardzana materia zażądała czegoś. Nie bałem się, choć byłem świadomy marnych szans w starciu z idącym obok i ignorującym mnie stworem.

Istota zrobiła jeszcze kilka kroków, omijając ciało naukowca, po czym zwróciła się do mnie:

– Podziękowania nie leżą w mojej naturze, więc po prostu ciesz się nową ręką i normalnością. Nadszedł czas zapłaty.

Po tych słowach straciła zainteresowanie moją osobą i ruszyła w kierunku drzwi.

– Poczekaj!

Zatrzymała się, mimo braku ciężącego na niej posłuszeństwa. Wciąż widziałem w odchodzącym stworze piękną, marmurową kobietę.

– Chcę z powrotem moją mackę. Chcę, żebyś dokonała ponownej przemiany!

Istota odwróciła się w odpowiedzi na podniesiony ton głosu.

– To – zacisnąłem lewą dłoń w pięść – nie jest normalność, przynajmniej dla mnie. Normalność to sięganie do jabłka wiszącego cztery metry nad ziemią, to łapanie starych bab za kostki i słuchanie ich przeraźliwych krzyków, to podkradanie towaru leżącego daleko za ladą w sklepie. Oczywiście przed ucieczką na wieś czułem strach przed złapaniem, a moi rodzice zamartwiali się o przyszłość i w każdym widzieli kapusia, ale potem nastąpił okres, który nazywam normalnością. Chcę z powrotem moją mackę. Chcę znów być odmieńcem. Chcę mieć możliwości, o których inni mogą pomarzyć.

– Nie wiesz, czego żądasz! – Tym razem głos był niski i przypominał huk huraganu. – Ale, muszę przyznać, masz tupet. Jestem pod wrażeniem. Naukowcy traktowali mnie jak najnędrniejszego niewolnika, ale ich

serca przepelniał strach, którego nie wyczuwam u ciebie. Podejrzewam też, że twoje pobudki nie ograniczają się do dziecinnych zabaw.

- Pragnę zemsty. - Nie było sensu zaprzeczać. - Tak jak ty, chcę dopaść wszystkich, którzy wpłynęli na moje życie, moje i wielu dzieci, które miały mniej szczęścia. Pani - skłoniłem się usłuznie i złagodziłem ton - nie jestem w stanie objąć umysłem twoich możliwości. Skoro jednak nasze dążenia są zgodne, proponuję siebie jako sługę. Moje umiejętności mogą okazać się przydatne.

Zgięty prawie w pół spoglądałem na pokrytą wzorami podłogę i cierpliwie czekałem na reakcję. Milczenie przedłużało się nieznośnie. Wreszcie przemówiła.

- Przyjmuję ofertę. - Odniosłem wrażenie, że wypowiedziała to od niechcenia. - Będziesz użytecznym pomocnikiem. Czas ruszać.

Usłyszałem potężny huk, od którego aż podskoczyłem. Istota wychodziła właśnie przez wybitą w miejscu drzwi wielką dziurę w ścianie.

Zaakceptowała mnie, a to znaczyło, że miałem bardzo mało czasu. Kto jak kto, ale wszechmocne bóstwo spoza naszej rzeczywistości błyskawicznie reagowało na wszelkie zdarzenia. Musiała się rozproszyć albo uznać sytuację za absolutnie pozbawioną zagrożenia, skoro nie wyczuła niebezpieczeństwa. Już raz, w taki sposób, poniosła klęskę w starciu z pozornie podrzędnym gatunkiem. Gdyby w tamtej chwili zachowała jasność swego przeogromnego umysłu i sięgnęła głębiej do mojego, jej los potoczyłby się inaczej. Nie byłem w stanie dłużej powstrzymać myśli o tym, co faktycznie zaplanowałem.

- Przemiana - wypowiedziałem imię - od teraz jestem twoim panem.

Zatrzymała się przy oknie, przez które obserwowałem profesora.

- Mam być żywy i zdrowy przez następne osiemdziesiąt lat! - wykrzyczałem pierwsze polecenie. Z przesłanej do głowy wizji wiedziałem, że muszą dotyczyć konkretnych elementów świata, zawierać jasną treść oraz mieć umocowanie w czasie i przestrzeni.

Istota stała nieruchomo przez kilka sekund. Chyba nie mogła do końca uwierzyć, że wydarzyło się to po raz drugi, że znów została niewolnikiem.

– Jak powiedziałaś przed chwilą, czas ruszać.

Błyskawicznie odwróciła się i wbiła we mnie niezapominajkowe spojrzenie.

– To niemożliwe – wyszczała.

Zdawałem sobie sprawę, że wypełnia ją furia, ale nie dała tego po sobie poznać.

– A jednak.

Przeszedłem pewnie obok potężnego stwora i wzięłem karabin, który wciąż stał oparty w kącie. Skinieniem głowy wskazałem na okno.

– Tędy będzie ci najwygodniej – powiedziałem spokojnie.

Istota jednym uderzeniem rogu wybiła wielkie okno. Przez dziurę wpadł strumień lodowatego powietrza.

– Jak zejść na dół, chcę odzyskać mackę. A potem przyjdzie czas na zemstę. Ruszaj.

Przemiana posłusznie wyskoczyła w mrok nocy.

Patrzyłem, jak spada na pokrytą śniegiem ulicę, jak staje majestatycznie wśród brudnych kamienic i rozgląda po nędznej okolicy – małym fragmencie rzeczywistości, której tak bardzo nienawidziła. Zacząłem też ważyć konsekwencje swojego czynu ze szczególnym uwzględnieniem jednego aspektu: jak szybko Przemiana znajdzie lukę w rozkazach i dobierze się do mnie. Z ironią zauważyłem, że nie myślę o tym w kategorii „jeśli”. Wiedziałem, że prędzej czy później to nastąpi.

*Będę musiał uważać* – pomyślałem, zawiesiłem karabin na ramieniu i wyszedłem z pracowni.

## **Maciej Oleszek**

Gdy przyszedł na świat, po ulicach wciąż jeździły czołgi, sklepowe półki obstawiał samotny ocet, a dzieci bały się o „Teleranek”. Do dziś nie wyleczył się z pesymizmu. Ukończył studia na kierunku filozofia przyrody nieożywionej i, wbrew wszelkim plotkom, nie rozmawia z kamieniami. Na pewnym nudnym wykładzie wydebił od

kolegi „Podpalaczkę” Kinga i tak zaczęła się przygoda z czytaniem i późniejsze próby pisania. Z braku etatów w zawodzie zajmował się niemal wszystkim, aż osiadł w laboratorium badania pisma i dokumentów, został przebiegłym biegłym i siedzi tam do dziś. W wolnej chwili czyta, ogląda i nieśmiało pisze fantastykę wszelaką, z naciskiem na SF i steampunk. Debiutował w antologii „Dobro złem czyni” i jeszcze wszystko przed nim. Inspiracji szuka w albumach Mike’a Oldfielda, muzyce syntezatorowej i w kolejnych słoikach miodu. Miłośnik spokoju i domowych pieleszy.



# JAM JEST

Michał Sobociński

Jest usłyszał, jak czerwona lampka ostrzegawcza zaczyna pikać. W rzeczywistości nie wydawała z siebie żadnego dźwięku, ale Jest wyobrażał sobie, jaki dźwięk mogłaby wydawać. Niski, buczący, podobny do brzęczenia trzmiela.

Jest nie wiedział, jakie dźwięki wydawały trzmiele. W końcu wyginęły po Końcu. Jak wszystko inne. Ale czytał o florze, faunie, konstrukcjach piętrzących się do nieba, kolorowych, różnorodnych społeczeństwach. Natomiast o tym, co nieznanne, opowiadał mu Tata, jego Stwórca. I chociaż świat nie wyglądał tak pięknie, jak kiedyś, Tata zawsze powtarzał, że na dole są bezpieczni, a ból, który mu sprawia, ochroni Jest przed wszystkim, co Złe.

Po seriach zastrzyków i wielogodzinnych obserwacjach Tata mówił mu, że inni mogą go uznać za Złe, ale to nieprawda. Jest był przystosowany do nowego świata – Złe nie. Stwórca spowodował w nim zmiany genetyczne. Uodpornił go na radiację, potroił siłę fizyczną. Wpoił paradygmaty, których Jest musiał przestrzegać, choć ich nie rozumiał. Czuł, że nie wolno mu niczego kwestionować.

Potem usłyszał kolejny dźwięk. W jaźni. Intensywne pischczenie, przez które zaciskał ogromne, nierówne kły, aż polała się krew. Znowu przegryzł wargę, lecz to nie nagły ból był powodem podniecenia.

Piszczenie sygnalizowało zbliżanie się osoby lub osób. Detektory ruchu zainstalowane przez Stwórcę przy wejściu do szybu wykrywały przybyszów. Najpierw Jest wysyłał do interkomu nagrany głos Stwórcy: „Jeśli wychodzisz z domu niewoli, przyjdź. Wyprowadzę cię”.

Potem wpuszczał osobę do szybu.

Potem nastawało najgorsze.

Złe przychodziło wielokrotnie do Jest i Taty, próbując zdobyć zaopatrzenie Rodziny. Jest nie rozumiał, nie potrafił pojąć motywacji, które popychały ludzi do Złego.

*Może ich Stwórca nie wpoił im zasad* – zastanawiał się wielokrotnie. *Może łamali je celowo? Wówczas byłiby nieszczęśliwi.* Tak powtarzał mu Tata: „Łamiąc zasady, będziesz nieszczęśliwy, Synu”. Bo bez nich zostaje tylko Złe, czyli Brak. Brak światła to ciemność, brak miłości to nienawiść, brak zrozumienia to ignorancja, brak mądrości to głupota.

A Jest bał się Braku.

Dlatego, gdy Złe zabrało Stwórcę, zaczął myśleć o sobie „Jest”. Bo przecież był – wcześniej Synem. Zrodzonym, a nie stworzonym. Natomiast teraz, kiedy zabrakło Taty, nie było również Syna. Pozostał jedynie Jest.

Nie pamiętał za dobrze tego dnia. Dnia Smutku. Złe przyszło do bunkra, gdy Jest został zamknięty w komorze katatonicznej. Widok na pracownię przesłaniały mu stosy książek, którymi zwykł obkładać się od środka.

W czasie, gdy Ojciec przygotowywał się do pracy, on zaczytywał się w najróżniejszych tytułach. Pochłaniał je znacznie szybciej niż Tata. Przed zabiegiem Stwórca prosił Jest, aby odłożył książki, ale Jest o tym zapomniał. Był zbyt podniecony nowym eksperymentem, który, według obietnic Taty, miał uczynić jego słuch jeszcze czulszym. Tata zdenerwował się wówczas na niego. Jest nie pojmował, dlaczego Stwórca się obraził. Mógł dać Jest karę za złamanie zasad i bez gniewu przystąpić do eksperymentów.

Z głośników zainstalowanych w komorze leciały różne, mało harmonijne dźwięki. Jest nie słyszał, jak Stwórca wołał o pomoc, gdy Złe zatrzymywało jego funkcje życiowe. Kiedy dźwięki ucichły, Syn, nie

mogąc doczekać się wyjścia z komory, uruchomił awaryjne otwieranie drzwi i wyszedł. Znalazł Stwórcę z roztrzaskaną czaszką. Wszędzie, gdzie spojrział, lała się krew. Jest nie był pewien, jak ma zareagować. Czytał niegdyś o płaczu i smutku, lecz Stwórcę powtarzał mu, by zawsze – mimo wszystko – iść naprzód. Poczłł zarazem, że strata bliskiej mu osoby powinna wywołać w nim określoną reakcję. Uznał, że jest smutny i powinien bronić się przed Złem.

*Dlaczego – myślał – dlaczego mnie nie zabili? Dlaczego Stwórcę się nie obronił? Przecież posiadał narzędzie do strzelania. Może... Może sam sobie odebrał życie? Nie. To niemożliwe. Dlaczego Stwórcę miałby zdecydować się na tak irracjonalną decyzję?*

Czas mijał, a Złe wciąż nadchodziło. Zapowiadała go pulsująca światłem lampka. Pulsująca tym bardziej, im bliżej było do wyjścia z szybu. Jest wiedział, że drugi koniec prowadził do bunkra. Stwórcę zabraniał mu wchodzić do ciemnego tunelu i podążać nieoświetloną drogą. Podobno na jej końcu mieszkały potwory, a Jest czuł trwogę przed potworami sprzed Końca.

Z obawy o własne życie, o Brak swojego życia, zabijał Złe. Strzelali do niego, a Jest nie rozumiał dlaczego. Mówił, czuł, jadł, spał, był. Tak jak Złe.

Pierwsze uderzenie w klapę oddzielającą pracownię Stwórcy od ciemności szybu.

Jest zastanawiał się, kto tym razem próbuje wejść do środka. Może to jakiś człowiek z przyrządem do strzelania? Może para, mężczyzna i kobieta? Czyżby oszaleli ze strachu? Kiedyś już takich widział i zapamiętał ich szczególnie, bo byli pierwsi. Zdawało mu się, że cierpiał, kiedy musiał zatrzymać ich funkcje życiowe. Przynieśli ze sobą owoce. Chyba jabłka. Tak je nazywali. Jest uwierzył im, że są dobre, a gdy wyciągnął z sakwy jedno z nich – wybuchło. O tym, co wydarzyło się później, Syn chciał jak najszybciej zapomnieć. Ściśnięty w dłoni gospodarza przedmiot eksplozował, rozrywając jego rękę i dotkliwie raniąc korpus. Jest zrozumiał, że nie był to owoc, a coś, co Tata nazywał granatami. Tak Jest poznał Dobre i Złe. Wtedy też zwalczył Złe.

Stracona kończyła odrosła w zaskakująco szybkim tempie. Syn stymulował proces zastrzykami, których używał Ojciec, gdy eksperymenty uszkadzały ciało Jest.

Po kolejnym uderzeniu nastąpiło trzecie. Jest zdecydował, że pora kończyć zabawę i nacisnął przycisk dezaktywujący blokadę hydrauliczną. Drzwi z sykiem uniosły się ku górze. Po drugiej stronie Jest zauważył osobę. Może i była mniejsza od niego, ale trzymała w pogotowiu karabin.

*Jak zwykle* – pomyślał Jest i westchnął ciężko. Twarz nieznanego przysłaniała maska z czarnymi wizjerami. Jest nie rozumiał, dlaczego każdy z jego gości, wysłanników Zła, nosi takie głupkowate stroje. Stwórca mówił, że to chroni przed radiacją, ale Jest znał tylko dobre skutki promieniowania: był mocarny, dobrze i szybko się uczył. Do szczelnie osłoniętej dłoni obcy miał przymocowaną niewielką latarkę, którą celował w gospodarza. Jest znał tę sztuczkę. Jego oczy reagowały na światło inaczej niż jakiegokolwiek inne. Potrafił rozszerzać i zwężać źrenice w zależności od jego natężenia. Dzięki temu dla Jest widzenie fotopowe było dostępne zawsze.

Zza nogi osoby wyszedł pies. Jest widywał je w podręcznikach zoologicznych i wydawały mu się miłe, choć nigdy żadnego nie spotkał. Tata opowiadał mu, że dawniej – przed Końcem – psy były przyjaciółmi ludzi i częstokroć okazywały się lojalniejsze od właścicieli. Jest uznał wtedy, że włochate czworonogi są naprawdę miłe. Ten tutaj, biały i miękki, też na takiego wyglądał, przynajmniej zanim smar ubrudził jego gęste futro.

Osoba ciągle mu się przypatrywała. Jest wiedział nawet, co jest powodem jej zainteresowania. W podręcznikach anatomicznych widywał sylwetki ludzi, zaś Stwórca powtarzał mu, że bardzo różnią się od jego. Jest miał rozbudowaną muskulaturę, szarawy odcień skóry, olbrzymie dłonie i głowę podobną do przerośniętej dyni. Stwórca powtarzał, że jego wygląd to wynik szeregu zabiegów, ale jego rdzeń – jego dusza – pozostała ludzka. Jest nie rozumiał, czym miałyby być i gdzie się znajdować, ale wiedział za to, że zaszczepiła mu ją Książka, a Stwórca sam ocenił, kiedy Duch zstąpił na jego Syna.

– Kim jesteś? – zapytała osoba niskim, nieprzyjemnym głosem.  
– Jam Jest – odpowiedział, wysilając się na basowy, straszny jego zdaniem głos.

Mały psiak podszedł w tym czasie do komputerów peryskopowych monitorujących otoczenie na powierzchni. Zaczął je obwąchiwać, prychając przy tym raz po raz. Osobnik obserwował z uwagą ogromne ciało Jest: poznaczone bliznami sploty mięśni, które pokrywała warstwa grubej skóry.

Człowiek się go bał. Jest to czuł.

– A czym jesteś? – dopytywał.

– Mój Stwórca, Tata, powiedział, że urodziłem się jako człowiek, ale po latach usprawnień genetyczno-psychicznych odseparowałem się od ludzi. Inni, podobni do ciebie, nazywali mnie potworem, mutantem albo dziwolągiem.

Osoba zerknęła na psa, który przestał badać terytorium i usiadł obok Jest. Jest wiedział, że powinien go pogłaskać, jak czynili to ludzie w książkach. Czuł się jednak skrępowany obecnością zwierzęcia.

– Filip chyba cię polubił – powiedziała osoba. Opuszczając karabin, wprawiła Jest w jeszcze większe zakłopotanie. – Ale ty za dużo do czynienia z psami nie miałeś, co?

Człowiek dalej obserwował Jest. Gospodarz żałował, że Stwórca nie nauczył go w pełni regenerować obrażeń doznanych na skutek niektórych spotkań. Czas leciał, ludzie się pojawiali i do tej pory Jest radził sobie ze wszystkimi. Wiedział jednak, że kiedyś przyjdzie ktoś, kto zada mu rany tak poważne, że Syn nie będzie w stanie nawet poruszać nogami. Brak sił oznaczał brak normalnego funkcjonowania.

A Jest bał się Braku.

– To tak się nazywa? – odezwał się Jest po chwili milczenia. – Filip?

– Tak.

– Czy mogę mówić na niego Filopater?

– Dlaczego?

– Bo to by oznaczało „Miłujący Ojca”, a chciałbym, żeby Filip polubił mojego Tatę.

- Tatę? – zdziwiła się osoba. – Jest tu z tobą ojciec?
- Już nie. Złe go zabiło.
- Złe? – Nieznajomy odłożył urządzenie z powrotem na miejsce.
- Nie wiesz, czym jest Złe? Sam nim przecież jesteś.

Osoba ściągnęła maskę i Jest zobaczył, że ma do czynienia z mężczyzną. Brud, długie kołtuny zebrane w kitkę, przekrwione ze zmęczenia oczy i ostre rysy twarzy. Jest tak właśnie ich sobie wyobrażał, patrząc na podobne fryzury i oblicza w książkach historycznych, gdzie wrodzy ucivilizowanym ludziom barbarzyńcy palili wioski i grabili miasta.

- Dlaczego uważasz, że mógłbym nim być?
- Wszyscy, którzy przychodzili tu przed tobą, byli. Niektórzy nawet zamieniali ze mną kilka zdań... Ale nawet gdy opowiedziałem im o sobie i moich zasadach, chcieli pozbawić mnie funkcji życiowych.

- Zabić? Usiłowali cię zabić?
- Ciii! Nie mówimy o tym w ten sposób – zaprotestował Jest.
- Mówienie, że chcieli mnie zabić, jest takie... nieeleganckie. Chyba. O śmierci trzeba mówić z szacunkiem, nie śpieszyć się z opowiadaniem.

Tata ostrzegał Jest, że ludzie dawno wyzbyli się zasad na rzecz wszystkiego, co szybkie. Szybko czuli, szybko myśleli, szybko reagowali. Wszystko robili tak szybko, że wszystko robili byle jak. Dlatego szybko wyginęły ich kultury i cywilizacje. Nastąpił ich Brak.

A Jest bał się Braku.

- Jesteś tu sam? – dopytywał mężczyzna.
- Tak i... Żle mi z tym. Czy pies Filip mógłby zostać tu ze mną i być moim przyjacielem?

Mężczyzna uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Filip pobiegłby za mną.
- Dlaczego?
- Bo ma już przyjaciela. We mnie. Dbam o niego, on dba o mnie. Wyczuwa niebezpieczeństwo. Zawsze i bezbłędnie. Po Końcu świat zdaje się nie kierować tymi samymi zasadami, co niegdyś. Przed tobą nie uciekł, więc widocznie nie jesteś groźny.

- To prawda. - Jest potwierdził skinieniem głowy. - Nie jestem. Jestem dobry, tylko czasami ludzie wolą Złe. Czy mogę go pogłaskać?

- Nie krępuj się.

Zadowolony, lecz nieco zdziwiony zaufaniem nieznanego, Jest pogłaskał Filipa po głowie. Pies widocznie nic sobie nie robił z potwornie rozrośniętych, monstrualnych i nienaturalnych kształtów ciała. Tymczasem mężczyzna dokładnie oglądał pracownię Stwórcy. Jego uwagę przykuła zamrażarka z przeszklonymi drzwiami, za którymi Tata trzymał posegregowane ampułki.

- Kim był twój Stwórca? - zapytał nieznamy, pochylając się nad jedną z zamrażarek.

- Moim Tatą.

- Tak, ale... - Mężczyzna się wyprostował. - Czym się zajmował, o tutaj?

- Tata stworzył mnie, opiekował się mną i dbał, abym z każdym eksperymentem stawał się coraz silniejszy - odrzekł Jest. - Tata mówił, że po Końcu rozpoczyna się Początek. Z Ciemności wydobędzie się Światło, a z Chaosu Porządek. Ja jestem pierwszym Synem, zrodzonym w Nowym Świecie. Jestem pierwszym Synem Porządku. - Jest przerwał na chwilę, z ciekawością obserwując reakcję gościa. Ten jednak zdawał się niczego nie rozumieć.

*Oni nigdy nie rozumieją* - pomyślał Jest.

- Tacy jak ja są przystosowani do życia w Prawdzie - kontynuował. - Tata dużo mówił o przekonaniu ludzkości do ich prawa stanowienia o przyszłości Starego Świata. Ale to były tylko powidoki. Ludzie pochłonęli różne idee, po czym odwrócili się od nich. A gdy odkryli, że wciąż im mało, tych pierwotnych nie dało się już uratować. Powidoki, nieznamy. Nic więcej... Tak czy inaczej, Tata powtarzał, że na powierzchni pojawiło się wielu mutantów, którzy zagrażają ludziom, od dawna będącym na usługach Złego. Dlatego ludzkość musi wyginąć, a Ziemia zyskać nowych gospodarzy.

- A planował może stworzyć ci... - Mężczyzna zrobił dłuższą pauzę. - Rodzeństwo?

– Tak! I bardzo się z tego powodu cieszyłem. Nikt nie powinien być samotny. Prawda?

– Prawda.

– Mielśmy zasiedlić Ziemię, jak tylko ludzkość zniknie – wytłuma-  
czył Jest bez jakichkolwiek emocji. – Mówił też, że posiada materiał gene-  
tyczny na stworzenie tysiąca braci i siostr dla mnie... To sporo, prawda?

– Prawda.

– Mówił, że będziemy przystosowani do nowych warunków, w któ-  
rych Stara Ludzkość nie mogła kontynuować istnienia. Jednak nikt nie  
jest na tyle silny, by samemu iść do walki przeciw Złemu. Dlatego kazał  
czytać to.

Ze stalowego regału Jest wyciągnął opasłą księgę ze zniszczoną  
obwolutą.

– „Biblia Tysiąclecia” – przeczytał na głos mężczyzna i uśmiechnął  
się blado.

– Znasz ją?

– Znam, i to całkiem dobrze.

– Niby skąd? – Jest zdziwił się szczerze. – Tata mówił, że sam ją  
napisał przed moimi narodzinami. Skąd możesz ją znać?

Nieznamy ponownie się uśmiechnął. Gospodarz poczuł dziwną  
sympatię do człowieka. Nie potrafił opisać, skąd się ona wzięła, ani uza-  
sadnić jej logicznie. Nie chodziło o przyjazne usposobienie. Jest lubił my-  
śleć, że nie cechuje go naiwność. Mężczyzna przyszedł ze stworzeniem  
innym niż jego własny gatunek. Może o to chodziło? Jest nie był pewien.

– Przed Końcem sprzedawali ją w wielu miejscach, była chyba  
w każdym hotelu. Miała nawet kilka wersji i wydań. Ludzie się w niej  
zaczytywali. Twój Tata miał rację. Było naprawdę wielu takich, którzy się  
od niej odwrócili. – Mężczyzna urwał wypowiedź, by po chwili zagadnąć  
z zainteresowaniem: – Opowiesz mi więcej o twoim Stwórcy?

– Mój Tata przed Końcem krzyżował różne gatunki zwierząt.  
Opowiadał mi trochę o nich. Trzymał je w klatkach, w terrariach, w slo-  
ikach... Karmił je i dobrze się nimi zajmował. Potem się mnożyły, a cho-  
re gatunki Tata rozkładał i sprawdzał, co było przyczyną choroby. Kiedy



poznał odpowiedź, zaraz brał się do dalszej pracy. Wprowadzał jakieś zmiany, dodawał coś do jedzenia i potomstwo rodziło się silniejsze. Wtedy znów wprowadzał zmiany, aż rezultat zadowalał go w pełni. Sprytnie, prawda? Musiał to robić w wielkiej tajemnicy, bo Złe mogło mu zrobić krzywdę. Mówił, że dzięki jego badaniom powstałem ja. Tata był bardzo mądry, dlatego nikt go nie przyłapał! – Jest wyraźnie podkreślił słowo „Tata”. Wolał je bardziej niż słowo „Stwórca”. – Pomagał też osobom, które nie mogły urodzić dzieci. Nosił długi, biały fartuch, który codziennie prałem, i coś jeszcze, nazywał to okularami. Miały poprawiać mu wzrok, ale nie rozumiem, dlaczego nie poprawił go sobie tak, jak poprawił go mnie.

Jest wskazał wielką łapą na zamrażalniki.

– Tamte pojemniki... – mówił dalej. – W nich mieszkają moi młodzi bracia i siostry. Tata twierdził, że przez Koniec byli wystawieni na promieniowanie. To z nich miał się narodzić Nowy Człowiek. Potrzeba jednak jakichś zabiegów, żeby nie stali się mutantami pozbawionymi rozumu. Tata tłumaczył mi, jak to się robi.

Lampki LED podświetlające półki zamrażarki zamigotały. Jest podszedł do monitorów peryskopowych i zerknął na stan paneli prądotwórczych. Jeden był okryty czarnym materiałem, przez który, jak domyślał się Jest, następowały braki elektryczności.

A Jest bał się Braku.

– Jeśli panele są zakryte, słońce nie ma do nich dostępu – stwierdził gospodarz. – A brak słońca to brak prądu. Urządzenie działa następująco... – Oparł dłonie na biodrach, jak zwykły czynić Stwórca, gdy coś tłumaczył. – Energia słoneczna dostarczana przez słońce jest konwertowana na ciepło. Aparatura zapewnia mi ciepłą wodę. Po prawdzie nie potrzebuję jej aż tak dużo, ale kto wie? Strzeżonego Ojciec strzeże. Głównym zadaniem kolektorów jest dostarczanie energii do prądownic. Bez tych z kolei nie mógłbym odpowiednio funkcjonować. Przed Końcem też istniała taka aparatura, prawda? Może chciałbyś porozmawiać więcej o kolektorach słonecznych?

Mężczyzna pokręcił głową. Jest postanowił wrócić do głównego tematu.

– Nie jestem pewien, w jakim celu Stwórca mnie pojawił. Może nie miałem być jedynym Stworzeniem Ojca? Planował uczynić mi rodzeństwo. Razem z braćmi i siostrami mieliśmy podporządkować sobie Ziemię? Stać się jej gospodarzami i uczynić ją sobie poddaną? Jeśli tak, czemu Tata nie nauczył mnie, jak radzić sobie z... – Przez moment szukał słowa. Nie chciał mówić „Złe”, gdy mężczyzna wydawał mu się przyjazny. – Z wami? W Księżce, którą zostawił, dużo pisano o miłości. Próbowałem żyć z miłością, ale żaden z was nie próbował uraczyć nią mnie.

Jest naprawdę chciał kochać, ale nie wiedział jak. Z Księżki i innych lektur wynikało, że to wspaniałe – być kochanym. Istota obdarzona miłością zyskuje zdolność do poświęceń i czuje się potrzebna tym, którzy odwzajemniają te uczucia. Miłość, jak domyślał się gospodarz, w ogólnym rozrachunku dostępna pozostaje dla wszystkich. Nie wszyscy jednak pragną, czy pragnęli, dopuścić ją do siebie. Czytał również, że bez miłości istota ludzka tkwi w odarciu z prawdziwej mocy i wewnętrznej piękna. Jest uznał, że Złe to wynik braku miłości.

A Jest bał się Braku.

– Dlaczego? – spytał po chwili. – Dlaczego nie doświadczyłem sprzężenia zwrotnego?

Mężczyzna złapał za plecak i wyjął z niego puszkę psiej karmy, którą natychmiast otworzył. Oblizawszy wieczko, z pieczołowitością sprawdził jej brzegi. Pies Filip wiedział, co za chwilę nastąpi. Merdał beztrąsko ogonem, wpatrując się w swego pana. Gdy tylko puszka znalazła się na ziemi, od razu zajął się zawartością.

– Wiesz czemu, Jest? – powiedział obcy, głaszcząc psa. – Ludzie to chuje. Zwierzęta stadne chlubiące się intelektem z rzadka wychodzącym poza ramy naturalnych instynktów.

– Ty jednak – odparł Jest – wydajesz się odstawać od reguły. Bo gdzie twoje stado? O intelekcie nic nie wiem, choć widzę, że instynkty biorą nad tobą górę. Chyba nie powinienem ci ufać, ale mimo to czuję, że chcę.

Mężczyzna wyprostował się. Jest usiłował wyczytać w przekrwionych oczach rozmówcy coś, co sprowokowałyby go, żeby zadał to pytanie.

Nie wiedzieć czemu, bardzo się tego obawiał. Zamiast tego zamknął oczy, pozwalając, by fale theta przyniosły mu obraz niedawnych wydarzeń. W mglistych wizjach pozbawionych logicznego porządku, przywołał sceny wywołujące u niego ból.

– Co robisz? – spytał mężczyzna.

– Och, nic takiego – odpowiedział Jest, wycierając ręką spłaszczony nos o szerokie nozdrza. – Chcę ci opowiedzieć o tych, którzy tu przybyli. Oni... pragnęli odebrać kartki mego Ojca.

– Kartki?

– Tak – odpowiedział. – Byli podobni do ciebie. Posiadali broń, nawet ubierali się jak ty... Nie rozmawiałem z nimi. Po prostu wiedziałem, że po nie przyszli. Nie pytaj skąd. Po prostu wiedziałem.

Mężczyzna milczał. Zerknął na zwiniętego w kłębek Filipa.

Jest zauważył, jak czerwona lampka pulsuje ostrzegawczo. Wcisnął przycisk z podporządkowaną komendą uruchamiającą odtwarzanie pliku dźwiękowego w interkomie.

„Jeśli wychodzisz z domu niewoli, przyjdź. Wyprowadzę cię”.

Głos był słyszalny tylko dla Jest. Filip przekrzywił łeb.

*Psy mają czulszy słuch od ludzi* – pomyślał Syn.

– Tata mówił, że tak będzie – kontynuował. – Przed odejściem kazał mi strzec kartek. Przewidział, że przyjdą ludzie pragnący stworzyć podobnych do mnie. Lecz nie takich, którzy byliby wolni od Złego.

– Ci przybysze nie potrafiliby ich od niego uchronić?

– Potrafiliby – odrzekł Jest, zerkając na zamrażarkę. – Ale nie chcieliby stworzyć ich na podobieństwo Ojca. Słowa z kartek stałyby się Ciałem, lecz nie posiadałyby Ducha Ojca. Byłyby Złe.

Wspomnienie kartek Stwórcy wywołało w Jest uczucie silnej tęsknoty. Dopóki żył, kolejne dni w schronie były dla Syna przyjemnością, nie karą. Zwykle prowadzili wielogodzinne rozmowy, nierzadko poświęcając na nie cały siódmy dzień tygodnia. Tata nie ukrywał, że Jest spełnia wymogi wartościowego interlokutora, ale docelowo miał przerosnąć Stwórcę. Syn nie pojmował słów Ojca. Tata był najmądrzejszy, najspokojniejszy i najsprawiedliwszy. Za Dobre wynagradzał, za Złe karał.

Nie chodziło jedynie o luksus posiadania towarzysza. Prócz przekazywania wiedzy i Ducha Jest, jako Syn Ojca, był zobowiązany do podtrzymywania ognia jego idei. Tata uważał, że gdy nadejdzie odpowiedni czas, a ludzkość dojrzeje do Prawdy, bracia i siostry podobni do Jest wyruszą w Zniszczony Świat, zwiastując Świt.

– Czy twój Tata... – zaczął mężczyzna, wrywając Jest z zamyślenia. – Mówił, by mieć serce i patrzeć w nie?

– Tak!

Jest nad wyraz się ożywił. Czy możliwe było, aby nieznajomy i jego pies znali Stwórcę?

– Mówił, że należy mieć serce i patrzeć w serce – powtórzył głosem podnieconego dziecka o zmutowanych, wypełnionych nienaturalnym basem strunach głosowych. – Skąd wiedziałeś? Skąd znasz jego słowa?

Nieznajomy nie odpowiedział. Jest szanował tajemniczość człowieka. Stwórca tłumaczył, że ludzkość skrywała tajemnice nie tylko z grzesznych powodów. Czasami lepiej było zostawić pewne rzeczy niedopowiedzianymi. Czasami warto było zaufać, nie uciekać się do osądów.

Jest zauważył, że czerwona lampka znów zaczęła mrugać miarowo. Ktoś się zbliżał.

– Czy pozwolisz mi odejść? – spytał nagle nieznajomy.

– Nie mogę wpływać na twą wolę, jeśli ona nie próbuje godzić w moją. – Jest nacisnął przycisk dezaktywujący panel informujący o ruchu w szybie wejściowym. Westchnął przy tym chrapliwie, wypuszczając z szerokich nozdrzy ogromne ilości powietrza. – Nie zapytałem cię o imię, ale wiem, że dokądsz zmierzasz – oznajmił podniośle. – Zapamiętam cię jako Pielgrzyma. Czy mogę tak na ciebie mówić?

– Proszę.

– Dziękuję, Pielgrzymie – odparł z zadowoleniem, odsuwając jedną z pobliskich szuflad. – Nim odejdziesz, chciałbym ci coś podarować. Początkowo miała to być moja fotografia, na której jestem z Tatą, ale doszedłem do wniosku, że potencjalnie przysporzyłaby ci kłopotów. Ktoś mógłby pomyśleć, że jesteś przyjacielem mutantów. A przecież na zewnątrz lepiej się z nimi nie lubić. – Jest wyciągnął z szuflady kraciastą

chustę, której widok wywołał u mężczyzny blady uśmiech. – Proszę. Niech ta chustka świadczy o pokoju między nami.

– Czy to arafatka? – ucieszył się Pielgrzym, przyjmując dar. – Nie wiem, czy wiesz, ale swą nazwę wzięła od Jasira Arafata. Ten facet otrzymał nawet pokojową nagrodę... – przerwał nagle, widząc pytające spojrzenie Jest, który najwidoczniej nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia pewnych nazw przed nastaniem Końca. – Nieważne. Tamto należy już do przeszłości, a to – uniósł chustę na wysokość piersi – do teraźniejszości. Dziękuję... Jest.

– Chciałbym cię jeszcze o coś prosić.

– Słucham.

Gestem dłoni Jest przywołał mężczyznę do wyświetlacza, który pokazywał monitorowany obszar za grodzią oddzielającą szyb od części mieszkalnej.

– Nic nie widzę – stwierdził mężczyzna.

– Otóż to. Wcale się pod tym względem nie różnimy. Z tego powodu zachowuję ostrożność w kontaktach z nowymi gośćmi – wytłumaczył Jest, wskazując na grodzie. – Nie mam pojęcia, dlaczego kamery przestały przysyłać obraz. Być może przegryzły je potworki nazywane szcurami? Bez względu na powód, będę mieć gości.

Człowiek nic nie odpowiedział. Zamiast tego rozejrzał się i dostrzegł kłębek brudnej sierści kulący się przy jednej z maszyn. To Filip próbował znaleźć schronienie.

– Grozi nam niebezpieczeństwo – oznajmił sucho Jest. – Chcę jednak coś udowodnić. Mogłem porozmawiać z tobą, mogę też przekonać Złe do Dobra. Rozświetlić ciemność światłem, napełnić garniec ignorancji wiedzą.

– Jest, nie byłbym tego taki pewny – zaniepokoił się Pielgrzym. – Co chcesz przez to osiągnąć?

– To, że lepiej mieć nadzieję, niż nie mieć nic – powiedział Jest, wciskając przycisk zwalniający blokadę grodzi. – Stań z boku.

Systemy hydrauliczne jęknęły żałośnie, jakby z wysiłku. Jest nie zobaczył, lecz poczuł, że jego nowy przyjaciel posłusznie usunął się w cień.

W progu metalowych wrót pojawiło się dwoje ludzi. Nosili się podobnie jak Pielgrzym: długie płaszcze i dziwacznie wyglądające maski z rurą. Nie było z nimi psa. Jest uznał to za brak wrażliwości. Jest bał się Braku, ale nie skreślał ich, jak zwykł to czynić w przeszłości.

Pierwszy z przybyszów trzymał kurczowo długą, zaostroszony na końcu pręt o brunatnym zabarwieniu. Drugi, niższy i drobniejszy, gdy tylko dostrzegł gospodarza, od razu schował się za towarzyszem.

Jest wysilił się na pełen ciepła uśmiech, a przynajmniej grymas, który miał go przypominać, prezentując komplet pożółkłych zębów, każdej wielkości pudełka od zapalek. Wyższy z przybyszów, jawnie wystraszony, dał krok do tyłu. Jego lewa ręka powędrowała za plecy w poszukiwaniu kompana. W tym czasie niższy zrzucił maskę, odsłaniając gęste, choć tłuste i brudne, loki. Z jego drobnego noska sączyły się smarki, a okrągłe oczy zalewał potok łez.

Jest znów sięgnął do fal theta. Rysy twarzy nie wskazywały na dorosłego osobnika, podobnie jak gabaryty. Za to po pochlipywaniu w wysokich rejestrach Jest poznał, że ma do czynienia z kobietą, lecz bardzo młodą. Wynik obserwacji: człowiek, dziecko płci żeńskiej.

– Czym ty, kurwa, jesteś?! – darł się osobnik numer jeden.

Głos miał raczej niski, ale ze względu na jego drgania i podwyższoną emisję, Jest, korzystając z eksperencji, uznał, że osobnik numer jeden bardzo się boi. Wynik obserwacji: dorosły mężczyzna zbliżony gabarytami do Pielgrzyma.

– Jam Jest – odezwał się wreszcie swoim niskim, tubalnym głosem. – Witam was.

Gdy tylko zrobił krok w kierunku dwójki nowych gości, poczuł kłujący ból w okolicach mostka. Mężczyzna, osobnik numer jeden, pchnął go prowizoryczną włócznią. Jest poczuł w swoim ciele obcą substancję organiczną. Zrozumiał, że brunatna barwa na wierzchołku ostrego pręta to nie rdza czy farba, a zaschnięta krew.

Ten cios pewnie powaliłby innych, ale nie jego. Jest cofnął się o krok, chwycił prawą ręką za włócznię i wyszarpnął ją z rąk człowieka.

Mężczyzna w odpowiedzi wyciągnął zza pasa inne, krótsze, ale nie mniej ostre narzędzie i ciął gospodarza po rękach.

Jest nie poczuł nic oprócz smutku i zrezygnowania. Wziął zamach i uderzył wierzchem rannej dłoni w twarz osobnika numer jeden. Posypało się szkło okularów dziwacznej maski. Jest wiedział, że funkcje życiowe mężczyzny, wskutek poważnych obrażeń głowy, zostały gwałtownie przerwane. Nie czekając na dalszy rozwój sytuacji, skoczył w kierunku osobnika numer dwa. Chwyił go za gardło i uniósł do góry.

– Jest! – Gospodarz usłyszał krzyk za swoimi plecami. – Nie rób tego! Odwrócił się, lekko zwalniając mocarny uścisk.

Najpierw zauważył skupiony wzrok dotykający istoty jego duszy. Zimny, pozbawiony współczucia, jednocześnie nienawidzący tego, na co patrzy. Potem był przyrząd służący do strzelania. Pielgrzym, jego nowy przyjaciel, mierzył prosto w niego.

– Dlaczego? – zapytał zdziwiony, ale i pozbawiony strachu Jest.

– Puść dziewczynkę!

– Nie mogę – odparł oschle. Dziewczynka wierzgała dziko, a jej twarz siniała coraz bardziej. – Złe i ona przyszli razem! Więc i ona jest Złe! Chociaż małe, musi zostać wyplenione! Nie może dobre drzewo wydać złych owoców ani złe drzewo wydać dobrych owoców!

Dziewczynka jęknęła. Jest czuł, jak powoli uchodzi z niej życie. Pielgrzym nie opuścił przyrządu do strzelania, za to głośno przełknął ślinę.

– Puść ją! – rozkazał ponownie. – To jeszcze dziecko!

– Nieprawość ojców karać się powinno w trzecim i czwartym pokoleniu!

*Dlaczego mężczyzna nie rozumiał? Znał słowa Stwórcy!* – pomyślał.

– Jest, puść ją. Więcej nie będę powtarzał.

– Nie mogę.

Brak porządku wynika z braku zasad. Brak normalności wynika z braku zasad. Życie potrafiło zepsuć najczystsze idee. Życie psujące odwieczne zasady winno zostać unicestwione, by nie psuło dalej i nie uśmiercało. Brak zasad to brak porządku.

A Jest bał się Braku.

Osobnik numer dwa, płci żeńskiej, usystematyzowany w porządku chronologicznym życia jako dziecko, zaczął opadać z sił.

Syn postanowił ukrócić przedłużające się przeznaczenie dziecka. Złe Dobrem winno być pokonane.

Trzask. Kark Złe pękł pod naciskiem palców Jest.

W tej samej chwili odgłos wystrzałów rozszedł się wzdłuż ścian schronu.

Jest zerknął w stronę Pielgrzyma.

*Czy to on strzelił? Jak mógł?! Był przyjacielem! Rozumiał!*

Krwawiące otwory w torsie Syna były dowodem na wrogie działania mężczyzny. Jest puścił zwiotczałe ciało dziewczynki i odwrócił się ku gościowi, pokazując podziurawiony tors.

– Gdzie Filip... – Jest oddychał z coraz większym trudem. – Dlaczego nie wyszedł?

Pielgrzym nie opuszczał przyrządu do strzelania. Skupionym wzrokiem śledził każdy krok Jest, obserwując, jak ten omija panel do sterowania wentylacją.

– Filip! Filopater! – wołał Jest. – Nie ma już zagrożenia!

Nagle zrozumiał. Pies chował się przed zagrożeniem. Złe było Pielgrzymem, tak jak Jest podejrzewał od samego początku. Z przekrwionych białek jego oczu wylewała się wściekłość. Jego nieruchome, lecz napięte ręce pozostały gotowe do zabójczej roboty.

Jest zrobiło się smutno. Pielgrzym nie pozostawiał mu wyboru. Gospodarz przeniósł więc ciężar ciała na prawą stronę i skoczył szybciej, niż mogłyby wskazywać na to jego gabaryty. Jednak mężczyzna wcale się go nie przestraszył.

*Złe i głupcy nie znają lęku – pomyślał Jest. Są zbyt zepsuci, zbyt ślepi, by dostrzec niebezpieczeństwo. Jeszcze chwila i go dopadnę! Złamię Złe!*

Strzał. Jest się zatrzymał.

Drugi strzał. Jest upadł na podłogę brudną od kurzu i krwi.

Nic nie czuł, lecz nie mógł się poruszyć.



Może – pomyślał – *mężczyzna nie jest Złe*? Dobro przecież zawsze tryumfuje. Tak nauczał go Ojciec. Czy możliwe, aby Syn, upadłszy, miał przegrać? Dlaczego Filip, jego przyjaciel, nie opuszcza swojej kryjówki?

– Fi... Filip? – wycharczał Jest. – Wyjdź! Złe... Złe już nie ma!

Pielgrzym podszedł bliżej. Wydawał się spokojny, wyciszony.

– Złe – powiedział, celując w głowę Syna – jest.

Przyszedł Brak. Jest bałby się, lecz w końcu zabrakło Jest.

## **Michał J. Sobociński**

Ancymon urodzony w 1990 roku w Nowej Soli. Nauczyciel historii, amatorski muzyk, narzekający na brak ciągłości grania w jego drużynie RPG. Homo Scriptor: pisze opowiadania, pisze wiersze, pisze teksty piosenek. Za gatunkową żonę uznaje medieval fantasy, za kochankę klimaty postapokaliptyczne. Kompletnie nie potrafi rysować.



# CIEMNOŚĆ I LUSTRO

Artur Laisen

I'm the shadow in your memory  
I'm the beat within your heart  
I'm the promise in all the lies you've made  
And I'm the flame within your light  
I'm the prowler in your night  
I'm the feel that keeps you down when you're afraid  
And I'm the tears within your rage  
And the bars upon your cage  
I'm the terror and the beauty in your eyes  
And I'm the nightmare for your dreams  
And the conscience in your screams  
I'm the answer to a question never asked

Fragment tekstu piosenki „Secrets” zespołu Aragon

– Pusty Plac – szepnął Nezami, wpatrując się w pogrążoną w wieczornej szarówce przestrzeń. – Zaiste pusty.

Stał na nieco zaniedbanym skraju Parku Tysiąca Sadzawek stanowiącym północną granicę słynnego czworoboku. Od wschodu Pusty Plac otaczały chaszczce, zdziczałe ogrody, rozwalające się domostwa i owiana złą sławą dzielnica Szeptów; od południa – bazar Shakif oddzielony od Placu kanałem i niewysokim murem. Ten sam kanał, zakręcając,

wyznaczał zachodnią granicę czworoboku, za którą, odseparowana kolejną ścianą miejskiej zieleni, przycupnęła biedna, lecz ciesząca się w miarę przyzwoitą reputacją, dzielnica Batr.

- Żadnych gapiów ani ciekawskich. Żadnych spóźnionych przechodniów, pragnących skrócić sobie drogę – perorował Nezami. – Jak sądzisz, droga Kolec – zwrócił się ku swej przybocznej – jakaś odstrasza ją magia, czy też zwykły ludzki strach przez nieznanym?

Ubrana na czarno kobieta niemal zlewała się z chaszczami. Właśnie skończyła uwiązywać konie do drzewa.

- Mówiłeś coś, mistrzu? – zapytała, przekonująco udając brak zainteresowania.

Nezami westchnął z irytacją i spojrzął ku budowli znajdującej się na środku Pustego Placu. Kryształowa Wieża wznosiła się pięćset stóp ponad monotonną, pokrytą szarym brukiem powierzchnią, tworząc dla niej kontrast swymi filigranowymi, skomplikowanymi zdobieniami. Jej szczyt nadal łąpał blask zachodzącego słońca, który rozlewał się po całej konstrukcji, rozświetlając ją subtelnym, pomarańczowym blaskiem i sprawiając, że jeszcze mocniej odcinała się od tła. Mag przymrużył oczy. Wydało mu się, że optyczny dysonans stanowi przejaw czegoś znacznie głębszego – jakiejś metafizycznej niezgodności pomiędzy tajemniczą siedzibą równie enigmatycznego Astronoma a miastem, w które została nonszalancko wkomponowana.

- A ja sądzę – powiedział – że mieszkańcy T'araf wyczuwają, iż nawet jeśli Kryształowa Wieża jest realna, to przedstawia inny rodzaj realności niż ten, którego doświadczają na co dzień. I że lepiej trzymać się od niego z daleka. Kolec?

Kobieta stanęła mu tuż za plecami. Gdyby naprawdę chciała, zdążyłaby wbić jeden ze swoich sztyletów pod właściwe zebro, zanim by się zorientował. Po skórze przebiegł mu dreszcz ekscytacji.

- Jesteś pewna, że nikt nas nie śledził? – zapytał pogodnie.

Owszem, był magiem, ale istnieli szpiedzy oraz zabójcy na tyle wprawni w panowaniu nad własnymi umysłami, że sam mógłby ich

przeoczyć. Spostrzegawczość i intuicja Kolec doskonale uzupełniały jego umiejętności.

– Tak – odpowiedziała. – Chyba na to jeszcze za wcześnie. Czy przypadkiem nie zrobiłeś się nieco nerwowi, mistrzu?

Nezami popatrzył na wojowniczkę z ukosa. Kiedyś zadrżałaby pod tym spojrzeniem. Teraz jednak jej wzrok był chłodny, taksujący. Mag pomyślał niechętnie, że ich relacja zmierzała do momentu, który od samego początku był nieuchronny. Wkrótce Kolec stanie się na tyle niebezpieczna, że będzie musiał ją zlikwidować. Poczul żal, ale również coś w rodzaju satysfakcji. Nie lubił tracić swoich ulubionych zabawek, ale jeszcze bardziej nie lubił się nudzić. Cóż, wspólny czas, jaki im pozostał, z pewnością będzie interesujący.

– Pewnie masz rację – odrzekł spokojnie. – Dopiero jutro ci z Pałacu Magów zaczną się niepokoić. Miną kolejne dwa dni, nim połączą wszystkie fakty i ruszą w pościg. – Westchnął i potoczył spojrzeniem wokół. – Nieprędko wrócimy do Lśniącego Miasta.

– Skoro tak ci się tu podoba, nie trzeba było posuwać się za daleko – wypomniała mu z niewzruszoną logiką.

– Ach! – jęknął teatralnie Nezami. – Są chwile, kiedy na przekór wszystkiemu musimy dać upust własnym namiętnościom, by pozostać wiernymi sobie samym. Lecz aby to zrozumieć, musiałybyś najpierw posiadać jakieś namiętności, prawda? Jakieś... ludzkie uczucia.

W oczach Kolec dostrzegł krótki, stłumiony błysk gniewu i nienawiści – zbyt słaby, by sprawił mu satysfakcję.

– Idę. – Mag odwrócił się w stronę Wieży. – To ostatnia rzecz, jaka została mi tu do zrobienia.

– Co właściwie zamierzasz w ten sposób osiągnąć? – zainteresowała się. – Tak jak inni uwierzyłeś legendom, że ten, kto przejdzie Galerię Luster, uzyska niezwykłą moc?

– Nie. Przypuszczam, że Lustra stanowią artefakt zupełnie innego rodzaju. Nie sądzą, by były w stanie podarować nam coś, czego w gruncie rzeczy i tak już w nas nie ma.

– Nie boisz się zatem, że spotkasz tam samego siebie, mistrzu? – w głosie przybocznej pojawił się cień ironii.

– Nie lękałem się stoczyć pojedynku z Rekinim Bogiem, więc być może teraz przyszła pora, bym stanął naprzeciwko Nezamiego z T'araf? Tak czy inaczej, Lustra stanowią wyzwanie. Gdybym go nie podjął, zdradziłbym samego siebie. Jeśli nie wrócę do świtu, to znaczy, że zapewne w ogóle nie wrócę. Poczujesz wtedy ulgę, czy może choć odległe ukłucie smutku, moja droga uczennico? I jak wiele czasu minie, nim rozwiejesz się w nicości, gdy tylko przestanę podtrzymywać twoje istnienie swą uwagą?

– Nie wiem, czy zdołałabym dostrzec różnicę pomiędzy istnieniem a nieistnieniem. – Uśmiechnęła się smutno. – Nie przeszkolono mnie w tym zakresie. Ale myślę, że wrócisz, mistrzu. Twoim przeznaczeniem nie jest śmierć w Galerii Luster.

– Lec z twojej ręki? – Roześmiał się, po czym, nie czekając na odpowiedź, ruszył ku Wieży.

Powiał chłodny, jesienny wiatr i mag mocniej otulił się swym złotym płaszczem. Przez jakiś czas słyszał jedynie odgłos własnych kroków. Choć od Wieży dzielił go dystans najwyżej pół mili, a Plac znajdował się pośrodku T'araf, najbardziej cywilizowanego i najwspanialszego miasta na całym wielkim świecie, poczuł, jakby wędrował środkiem niezmiernie pustyni, zaś Iśniąca pomarańczowa iglica była jedynie mirażem. Z fascynacją spróbował precyzyjnie określić źródło lęku, jaki narodził się w jego sercu.

Lecz po chwili stał już przed kamienną ścianą budynku wtopionego w najniższy poziom wieży i łomotał pięścią w drewnianą bramę. Otworzyła się niemal natychmiast, tak jak się tego spodziewał – był przecież Nezamim. Służący o obojętnej, znudzonej twarzy poprowadził go ku schodom wiodącym na wyższe piętra wieży, gdzie czekał na niego siwobrody starzec w Iśniących szatach, z białym turbanem o wielkim pomarańczowym kryształem osadzonym na wysokości czoła.

Astronom.

– Mistrzu Istarionie. – Mag skłonił głowę.

- Dostojny Nezami – odrzekł miękko tamten. – Spodziewałem się ciebie.

Mag uniósł brwi, w żaden inny sposób nie komentując słów Astronoma.

- Pozwól, że zaprowadzę cię na najwyższy taras, gdzie skosztujesz mego najlepszego wina i będziemy mogli spokojnie porozmawiać – zaproponował Astronom. – Zachodnie schody okrążają wieżę od zewnątrz, my jednak pójdziemy środkowymi, tak, by podróż była dla ciebie ciekawsza i bardziej pouczająca.

I rzeczywiście taka była.



- Znów moja kolej. – Astronom westchnął. – Ja zatem wybiorę formę i temat. Sonet mistrza Baltira, metrum zachodnie, komentarz. Przebudzenie.

Nezami odwzajemnił uśmiech, odstawił kielich na stół i zaczął deklamować:

Nieokreśloność nieoczekiwanie się rozwiewa.

Ulga – to krok cichnący gdzieś po tamtej stronie,

Zdziwienie – to po prostu nagły powrót świadomości,

a Strach – to myśl, że Znów Jestem – na moment...

Astronom przerwał mu gestem dłoni, następnie zaś gładko zaimprovizował drugą strofę:

Myśli w popłochu obmacują ściany celi,

wyjście złośliwie cały czas było otwarte.

Namierzam – błyskiem zrywam się do biegu,

światło wyprzedzą kroki – szybka zmiana warty...

Potem zachęcił Nezamię, by kontynuował. Ten przycisnął dłoń do piersi w geście uznania i dopowiedział trzecią zwrotkę:

Na moich oczach nicość znów nabierze kształtów  
– jakże przekonująco odgrywa rolę konkretności –  
bezczelna nawet nie stara się maskować.  
Rzeczywistość jest jak atomy, pusta w środku...

Teraz to on urwał i spojrzał na Astronoma wyczekująco, zastanawiając się, jak enigmatyczny mędrzec przyjmie jego kontrowersyjne nawiązanie do prac filozofa Rawirama. Lecz Isthariion wzruszył tylko ramionami i bez zbędnych wahań dodał czwartą strofę:

Pomiędzy jasną nocą, mrocznym dniem  
nazbyt umowną jawą, zbyt logicznym snem  
obcym koszmarem, cudzą codziennością  
pomiędzy pierwszym światłem – ostatnią ciemnością...

Potem znów zamilkł, pozostawiając Nezamiemu honor dopowiedzenia konkludującego komentarza. Co ten uczynił, bezbłędnie i bez chwili namysłu:

za krótkie przebudzenia.

Uśmiechnęli się i jednocześnie sięgnęli po kielichy.

– Twoja sława jako poety jest zatem w pełni zasłużona – przyznał Astronom. – Ciekawe, czy jako maga również. Niestety nie przekonamy się o tym. Jak z pewnością już się zorientowałeś, moja wieża nie pozwala na użycie magii w swym wnętrzu.

– Niestety. – Nezami naśladował ironię w głosie rozmówcy. – Mimo wszystko zastanawia mnie jedna rzecz. Nie jesteś głupcem, jak magowie i dworacy *chosry*, mistrzu Isthariionie. Widzisz mnie. Naprawdę mnie widzisz. Wiesz, kim jestem. Nie chciałbym wyjść przed tobą na człowieka zarozumiałego i pysznego, ale czy, choć znajdujemy się na twoim terenie, nie czujesz się odrobinę nieswojo w mojej obecności?



– Nie żyw z tego powodu urazy – odrzekł melancholijnie Astronom.  
– Może po prostu nie potrafię?

Nezami upił łyk trunku i zmarszczył czoło z namysłem.

– To nie jest zwykły Uśmiech Sachi, prawda? Na dnie słodczy wyczuwam delikatną cierpką nutę... Odpychającą w pierwszym momencie, pociągającą w następnym. A później? Hm...

– Istotnie. – Gospodarz z uznaniem pokiwał głową. – To wino wykonano na specjalne zamówienie. Pochodzi z niewielkiej wytwórni na samej granicy Nal Harat. Miałem nadzieję, że ci zasmakuje.

– Później – zaznaczył Nezami – musisz koniecznie zdradzić mi, gdzie dokładnie znajduje się ta winnica.

– Cóż, zaiste jesteś koneserem, dostojny – zauważył kpiąco Astronom. – Mam wrażenie, że wino to zrobiło na tobie o wiele większe wrażenie niż wszystkie cuda, jakie ci dotąd pokazałem...

Mag wzruszył ramionami.

– Światło wewnątrz szybu... było interesujące. Kto wie, może kiedyś będzie mi pisane zmierzyć się z jego zagadką. To samo dotyczy Teleskopu. Cała wieża nosi piętno twojej magii... Choć nie jestem pewien, czy akurat magia jest tutaj właściwym określeniem. Bądź też – dodał po namyśle – powinienem raczej powiedzieć, że to ty nosisz w sobie piętno tej wieży?

– Odwieczny dylemat. – Gospodarz westchnął. – Czy Wieża należy do Istharonia, czy też raczej Istharon do Wieży? Nikomu nie udało się rozwikłać tej zagadki. Włącznie ze mną.

– Jakkolwiek jest w istocie, nie sądzę, by ta magia mogłaby mi się do czegokolwiek przydać. Jeśli nawet nie do końca potrafię zdefiniować, czym jest, widzę już jasno, czym nie jest. Zatem nie musisz się mnie obawiać, mistrzu Istharonie. Kimkolwiek się stanę, nie powrócę, by ci ją odebrać.

– Czy ktoś, kto, tak jak ja, stanowi jedynie w pełni zadowolony z własnej ulotności iluzję, może się lękać kogoś, kto, tak jak ty, wierzy, że istnieje naprawdę? Należymy do różnych światów, dostojny.

Nezami pokiwał głową.

– A inne eksponaty, które ci pokazałem? – Istharon zmienił temat. – Choćby cudowne obrazy mistrza Effara? Zupełnie nie zrobiły na tobie wrażenia...

– Widywałem je wcześniej. – Mag wyduł lekceważąco wargi. – W pałacu *chosry*, w kolekcji księcia Satiego... *Talakka o brzasku* i *Portret Harahana, Władcy Tanmuku* wydały mi się dość interesujące. Natomiast te sześć, które znalazły się w twoim posiadaniu... Portrety żony i córki Effara, uliczni żebracy, tańczące wieśniaczki, górale z Hugusz i słońce zachodzące ponad górami? Wybacz, Istharonie, ale niezwykła forma to trochę zbyt mało, by mnie olśnić.

– A zatem – Astronom spoważniał – udajmy się w miejsce, które to uczyni.



202

Szli korytarzem w milczeniu. Wokół panowała zupełna ciemność, lecz żaden z nich nie wydawał się dezorientowany. Wreszcie stanęli przed Lustrem.

*Doskonałe* – pomyślał Nezami. Tylko ciemność i Lustro. A raczej samo Lustro. Reszta należy do ciemności, dopóki nie odbije się w zwierciadle. Trudno było w tym miejscu zachować wiarę w realność własnego istnienia. On sam, a także Istharon i wreszcie cały Wszechświat stanowili jedynie fragment ciemności, mniej niż próżnię. Prawdziwe było tylko Lustro.

Nezami podszedł bliżej. Jego ręka przeniknęła przez srebrzystą powierzchnię. Poczuł przyjemny chłód.

– Co znajduje się dalej? – zapytał swobodnym tonem.

– Kolejne zwierciadło. Cała galeria. Wiadomo, że kończy się po przeciwnej stronie wieży. Tamto Lustro wygląda całkiem zwyczajnie i oczywiście nie można przez nie wejść do środka. Kto wie, być może da się wyjść. Natomiast to przejście działa w obie strony. Da się zawrócić. Przynajmniej do pewnego punktu.

– Czy istnieją jakieś reguły? Czy Lustra posiadają własną świadomość? Ukryty cel? Czy są w stanie wciągnąć mnie w pułapkę? Kłamać? Komu i czemu służą?

– Tak wiele pytań, dostojny... Chyba nazbyt optymistycznie zakładasz, że znam wszystkie odpowiedzi. Istnieje jednak pewna reguła. Lustra nie pokazują niczego prócz prawdy. I tylko prawdzie służą. Tak jak ją postrzegają, rzecz jasna. Nikomu ani niczemu więcej.

– Jak wielu...?

– Zwycięsko przeszło próbę? Dlaczego uważasz, że komukolwiek się to udało? Pamiętam jednak dobrze tych, którzy, zawróciwszy, wypadli z Lustra z obłędem w oczach, skąpani we własnej krwi, z powbijanymi w ciało odłamkami szkła. Owszem, tak jak powiedziałem, można się cofnąć, przynajmniej na początku. Ale to raczej bolesne. Im dalej dojdiesz, tym trudniej będzie bezpiecznie powrócić do punktu wyjścia. Nie wszyscy z tamtych nieszczęśników odzyskali zmysły.

Nezami z zainteresowaniem wpatrywał się w falującą taflę.

– Byli też tacy – dodał Astronom – którzy na zawsze przepadli wśród Luster.

Przez moment mag milczał, a potem niespodziewanie zachichotał.

– Próbujesz mnie oszukać, mistrzu Istharonie. Powtarzasz to zapewne każdemu kolejnemu śmiałkowi, aby go zniechęcić. Myślę jednak, że byli też tacy, którym się powiodło. Anwari? Tak, sądzę, że pierwszy *chosra* przeszedł Galerię. Kto jeszcze?

Choć tego nie widział, mógłby się założyć, że twarz Astronoma rozjaśnił subtelny uśmiech.

– Nie oszukuję cię – odpowiedział gospodarz. – Ja po prostu...

– Tak?

– Nie pamiętam.

Zgodnie parsknęli śmiechem.

– A ci, którzy ponieśli klęskę? Czym sobie na nią zasłużyli? – zastanawiał się dalej mag. – Niektóre plotki mówią o demonach i potworach, które czają się wewnątrz Luster, ale ja w to nie wierzę. Myślę, że każdy spotyka tam wyłącznie siebie.

– Czyż prawda o nas samych nie może okazać się o wiele bardziej przerażająca od najstraszliwszych nawet demonów i potworów? Wielu ludzi nie potrafi żyć bez złudzeń, które stworzyli na temat własnej osoby.

– Ja nie tworzę żadnych złudzeń. I nie boję się prawdy. Dobrze pamiętam najgorszy ze swoich uczynków. Każde z kłamstw. Twarze mych ofiar. Wiem, kim jestem.

– Wszyscy tworzymy iluzje. To esencja naszej egzystencji. Esencja samego istnienia.

– Przeszedłem wiele prób – mag wykrzywił gniewnie usta – i ze wszystkich wyszedłem zwycięsko. Jestem Nezami z T'araf. Pokonywałem potężnych czarowników, zabójczych wojowników, władczych arystokratów i bezwzględnych bandytów. Kiedyś zabiłem nawet pomniejszego boga. Twoim Lustrom również stawię czoła. Choćby cały świat miał się okazać złudzeniem, ja jeden pozostanę realny. Zaczekaj na mnie w swej komnacie, Panie Kryształowej Wieży. Potem przyjdę raz jeszcze uraczyć się twoim winem i dokończyć naszą dyskusję o poezji.

Wziął głęboki wdech i przeszedł na drugą stronę Lustra.



– Nie wychodź po zmroku, Kage, bo Daraga cię złapie i pożre – szepcze na wpół sennie matka skulona w kącie namiotu. Siedmiolatek troskliwie okrywa ją kocem, po czym wyślizguje się na zewnątrz.

Ostrożnie przemyka pomiędzy namiotami. Co prawda niespecjalnie wierzy w Daragę i w upiory, którymi nieustannie straszy go matka, ale doskonale zdaje sobie sprawę, że wojenne obozowisko Uegów nie jest bezpiecznym miejscem. Zwłaszcza dla niego – syna trzeciej żony wodza Rambuka, której status jest na tyle niski, że musi towarzyszyć mężowi w wyprawie i opiekować się jego namiotem. W obozie nie ma, rzecz jasna, dwóch pierwszych żon, za to są ich synowie – młodzi, zapalczywi wojownicy rywalizujący o względy ojca. Kage bardzo uważa, by przypadkiem nie napatoczyć się na któregoś z nich.

Obozowisko buzuje hałasem i przemocą. Koncentrują się one zwłaszcza wokół ogniska, gdzie wojownicy świętują zwycięstwo nad karawaną. Kage ostrożnie podkrada się i przez dłuższą chwilę obserwuje dynamiczne sceny, szybko lokalizując też obu braci. Dwudziestoletni Path wiezie prym wśród młodych mężczyzn torturujących w wymyślny sposób rozpiętego na kole aruńskiego żołnierza z eskorty karawany. Młodszy o cztery lata Gaaw, pod okiem samego Rambuka, nieporadnie gwałci jedną z branek. To jego pierwsza kobieta, młodzian udowadnia swą męskość z zacisniętymi zębami i drżącymi ze zdenerwowania dłońmi, starając się ignorować kpiny starszych wojowników.

Kage przymyka oczy i chłonie wiszące w powietrzu emocje zwycięzców oraz pokonanych. Są bardzo intensywne, ale jednocześnie odstręczające; na przemian to fascynują, to rażą swym prymitywizmem. Chłopiec intuicyjnie przeczuwa, że ludzi stać na dużo szersze spektrum ekspresji.

Wie jednak, że tu go nie znajdzie.

Powoli wycofuje się i opuszcza granice rozbitego na skraju przecięty obozu. Noc jest jasna, rozświetlona blaskiem księżyca w pełni. Po kilkunastu minutach Kage dociera do pola niedawnej walki. Teraz jest tu pusto i spokojnie – końskie truchła i ludzkie zwłoki leżą pośród porzucanych wozów. Dzień był chłodny, więc nie zaczęły jeszcze specjalnie śmierdzieć. Drobnymi padlinożercy nie przerywają uczt – najwyraźniej niezaniepokojeni obecnością chłopca.

Kage przepatruje pobożowisko w poszukiwaniu inspiracji. Martwi wydają się w jakiś sposób atrakcyjniejsi od żywych. Emanują ciszą i powagą. Być może skrywają niedostępną tym drugim mądrość?

Wtem chłopiec słyszy cichy jęk. Ostrożnie skrada się przez mrok, by po chwili odnaleźć starszego mężczyznę opartego o koło wozu. Tamten nie może się poruszać, w jego brzuchu widnieje potężna rana. Wciąż jest jednak przytomny; gdy Kage się zbliża, unosi wzrok. Choć w tej sytuacji wydaje się to cokolwiek absurdalne, jego twarz rozjaśnia nieśmiały uśmiech. Szepcze coś cicho, wskazując na swe usta, potem zaś na leżący u jego stóp na wpół wybebeszony tobołek. Kage nie rozumie

słów, ale przekaz jest jasny. Nie bacząc na to, że nieznajomy mógłby chwycić go resztką sił i poderżnąć gardło skrywanym za plecami nożem, pochyla się i sięga ręką do pakunku. Odsuwa na bok twardy, prostokątny kształt i wyciąga drewniany kubek. Potem szybko biegnie do pobliskiego strumienia. Zaraz jest z powrotem. Podaje wodę umierającemu. Ten wypowiada w swoim melodyjnym języku słowa podziękowania i drżącymi dłońmi przykładają naczynie do ust.

Kage z rosnącym zainteresowaniem obserwuje nieznajomego. Mężczyzna nie jest Aruńczykiem, mieszkańcem Hugusz, dalekiego Ledh ani członkiem któregoś z wędrownych plemion. Skąd zatem pochodzi? Z jeszcze dalszego kraju położonego gdzieś hen za górami? Z miejsca, gdzie wstaje słońce?

Wzrok chłopca pada na prostokątny kształt, który wypadł wcześniej z tobołka. Podnosi go, rozchyla i z fascynacją dotyka cienkich, białych arkuszy. Wie, czym jest ten dziwny przedmiot. Słyszał kiedyś o takich z ust kupca, któremu jego ojciec pozwolił przejść przez ziemie plemienia. Z ekscytacją przebiega palcami po ozdobionych czarnymi znakami kartach księgi, jakby licząc na to, że w ten sposób pozna ich tajemne znaczenie.

Tymczasem nieznajomy odkłada kubek i bacznie przygląda się chłopcu. Znów uśmiecha się z wysiłkiem. Gestem prosi Kage, by podał mu przedmiot.

Jest zbyt ciemno, by czytać; mężczyzna po prostu na chybił trafił rozkłada księgę, dotyka palcami stron, przymyka oczy i zaczyna recytować z pamięci. Chłopiec słucha, urzeczony rytmem i melodią słów. Choć nie potrafi jeszcze tego nazwać, w jakiś sposób wie, że ma do czynienia z poezją.

Mężczyzna z wysiłkiem odkłada księgę i po raz ostatni uśmiecha się. W jego oczach nie ma żalu, gniewu czy rozpaczy, lecz jedynie jakaś subtelna melancholia, docierająca wprost do serca Kage, budząca w nim głód i tęsknotę, której – znów – nie potrafi jeszcze opisać właściwymi słowami.

Nieznajomy delikatnie uderza dłońią w swą pierś.

– Nezami. Nezami *sahl el T'araf* – przedstawia się i pytająco wskazuje palcem na swego małego rozmówcę.

– Kage – odpowiada chłopiec, jednocześnie wyczuwając fałsz w swoim głosie. To przecież nie jest jego prawdziwe imię. Jak powinno brzmieć?

Mężczyzna zamyka oczy i po chwili przestaje oddychać.

Chłopiec stoi jeszcze przez jakiś czas w miejscu, potem z szunciem pochyla głowę. Zabiera księgę i powoli, w zamyśleniu wraca do obozu. Gdy staje na niewielkim pagórku, coś dziwnego dzieje się z jego zmysłami; blask ognia i krzyki świętujących w dole wojowników dochodzą do niego jak przez mgłę.

I wtedy Kage uzmysławia sobie, że nigdy nie będzie częścią świata, który wrzaskiem, dymem i smrodem sięga ku niemu przez noc. Że jest tak naprawdę kimś zupełnie innym.

I że nazywa się...

– Tylko tyle? – Nezami śmieje się lekceważąco, widząc, jak gdzieś przed nim materializuje się tafla kolejnego zwierciadła. – Oferujecie mi podróż sentymentalną? Spodziewałem się po was więcej!

Wzdycha z politowaniem i rusza w dalszą drogę.



– Przyjmę tylko jednego ucznia – oświadcza chudy czarownik. – Teraz, jak każe tradycja, albo jeden z was sam odejdzie, albo będziecie musieli stoczyć walkę. Na śmierć i życie.

Obaj kandydaci spoglądają po sobie niepewnie.

– Tak – powtarza sucho Ahug. – Bycie czarownikiem to poważna sprawa.

Zapada milczenie, które w końcu przerywa osiemnastoletni Therje:

– Słyszałeś, smarku? – Pogardliwie uśmiecha się do konkurenta.

– Spierdalaj, póki możesz. Poderżnięcie gardła takiemu gówniarzowi nie przyniesie mi wielkiej chwały.

– Nie – odpowiada trzynastoletni Kage. – Nie przebyłem tej długiej drogi na próżno. Będziesz mnie uczył, *ura* – zwraca się bezpośrednio do Ahuga, ignorując rywala.

– Na pewno? – Ahug unosi lekceważąco brwi. – Therje przeszedł już dwie pierwsze inicjacje. Ty też za jakiś czas znalazłbyś sobie odpowiedniego nauczyciela.

– Nie. Chcę, by szkolił mnie prawdziwy *ura* – powtarza z uporem chłopiec.

Ahug od niechcienia dotyka kolczyka z kryształu górskiego, który nosi w lewym uchu. To znak elitarnych czarowników Uegów.

– Na pewno? – pyta raz jeszcze.

– Na pewno.

– Masz jaja. – Czarownik prychnął to z szacunkiem, ni to z rozba-  
wieniem. – A więc dobrze. Niech wszystko rozstrzygnie *batszag*.

Chłopcy siadają naprzeciwko siebie.

– Pamiętajcie, że nie należy drwić z *ura* – ostrzega jeszcze Ahug. – Jeśli żaden nie wygra do wieczora, to osobiście poderżnę gardła wam obu, a głowy zatknę na żerdzi na przełęcz. Ku przestrodze dla innych smarkaczy, którzy chcieliby niepotrzebnie zawracać mi dupę.

Obaj rywale potakują na znak zgody, po czym nieruchomieją, wpa-  
trzeni nawzajem w swoje oczy. *Batszag*, pojedynek spojrzeń. Najbardziej  
oczywista spośród konfrontacji. Najpiękniejsza w swej prostocie i bez-  
względności. W swej prawdziwości. Wola przeciw woli. Dusza przeciw  
duszy.

Ten *batszag* nie trwa jednak długo. Po kilku zaledwie minutach  
Therje, płacząc, opuszcza wzrok i zapada się w sobie. Kage wstaje, pod-  
chodzi do bezwolnego przeciwnika i podrzyina mu gardło, po czym dum-  
nie spogląda na starszego czarownika.

Nezami mruży oczy. Tak jak się tego spodziewał, wokół postaci  
Ahuga pojawia się rama Lustra.

– I co to niby miało mi pokazać? – Rozczarowany rozkłada ręce.  
– Była to właściwa rzecz w tamtym czasie i tamtym miejscu. A Therje  
to nawet nie pierwszy człowiek, którego zabiłem. Ale jeśli kierujecie się



etyką, to prawdopodobnie moi bracia nie do końca się liczą, bo wówczas działałem w samoobronie. W zasadzie... – Zachichotał. – Przechodzimy do następnego punktu?

Obramowania wokół sylwetki Ahuga znikają. Czarownik wydaje się teraz nieco starszy i jeszcze bardziej ponury. Zmienia się również sceneria – obaj stoją na płaskim szczycie góry Faahaad pośród rusztowań ofiarnych.

Ahug obrzuca spojrzeniem przygotowanego do drogi młodzieńca.

– Wiedziałem, że wkrótce odejdiesz – stwierdza. – Ale byłem też pewien, że przyjdiesz się pożegnać. Zatem powiedz to wreszcie, uczniu, i dokończmy twoją edukację.

Siedemnastoletni Kage odkłada swój tobołek i spogląda w oczy starszego czarownika.

– Nienawidzę cię, *ura* – oznajmia spokojnie. – Przyszedłem, by cię zabić i odebrać ci kryształ. Będzie to ostatnia rzecz w moim życiu, jaką uczynię zgodnie ze zwyczajami naszego ludu.

– Ja też cię nienawidzę – odpowiada z namysłem Ahug. – Jest w tobie coś... obcego. Niegodnego czarownika Uegów. Widzisz... My wszyscy może i jesteśmy zapalczywymi, zdradliwymi sukinsynami, rywalizującymi ze sobą, ale jednak zawsze pozostajemy wierni tradycji, której służymy od setek lat. I Baahg Ka Sorukowi, Władcy Pobojobisk. To cena naszej pozycji i mocy.

Cyniczni i pragmatyczni Uegowie nie znają wielu bluźnierstw, ale Kage udaje się wypowiedzieć jedno z nich.

– Nie wierzę w istnienie Władcy Pobojobisk. Ale gdyby mimo wszystko okazał się czymś więcej niż tylko pradawnym przesądem, czułbym dla niego jedynie pogardę.

Ahug nie wydaje się zaskoczony tą deklaracją.

– Posiadłeś umiejętności równe *ura*, ale nigdy nie zostaniesz jednym z nas. Pożądasz czegoś zupełnie innego. Masz ogromny talent, ale mój wewnętrzny głos podpowiada, że lepiej będzie, jeśli twoja droga zakończy się właśnie w tym miejscu. Przekonajmy się zatem, jak dobrym okazałem się nauczycielem, Kage.

– Przekonajmy się – odpowiada niczym echo uczeń. – Ale nie nazywaj mnie już w ten sposób. Od tej pory moje imię brzmieć będzie „Nezami”.

A potem szczyt tonie w dźwięku i blasku.

Nezami z niejakim trudem odnajduje ciemną oprawę Lustra pośród rozgrywającego się wokół pandemonium.

– Mój pierwszy porządny magiczny pojedynek. Z perspektywy czasu przyznaję, że zdecydowanie zbyt ostentacyjny. Cóż, człowiek dopiero z wiekiem uczy się umiaru i umiejętności zachowania właściwych proporcji. I tego, że prawdziwe piękno najłatwiej odnaleźć w prostocie. Możemy przejść do kolejnego punktu? Znudzili się mi już te ponure górskie plenery. Nie na darmo uciekłem przed nimi na drugi koniec świata.



– Daleko jeszcze? – Nezami wzdycha zniecierpliwiony.

– Pytasz o to piąty raz, cudzoziemcze. – Hayaz się śmieje. – To już za wzgórzami. Widzisz linię tych drzew? Stamtąd powinniśmy zobaczyć Lśniące Miasto. Hm... – Kupiec zrównuje konie. – Patrząc teraz na ciebie, z trudem domyśliłbym się, że nie urodziłeś się w Hamanie. W ciągu tych dwóch miesięcy świetnie opanowałeś nasz język. W twoich słowach już niemal nie słycać obcego akcentu.

Nezami skłania skromnie głowę w geście podziękowania.

– Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć za pomoc w drodze do Huguszu. – Kupiec poważnieje. – Wtedy, gdy uderzyli na nas górcy rozbojnicy... Nie wiem, czy wyszlibyśmy z tego bez pomocy twojej magii. Choć z drugiej strony sposób, w jaki rozprawiłeś się z nimi, był nieco... przerażający. Ci barbarzyńcy...

– Uegowie – komentuje obojętnie Nezami. – Tak się nazywają.

– Uegowie... Musisz ich bardzo nienawidzić. – Hayaz spogląda na niego z zaciekawieniem.

– Mam powody, by nimi pogardzać – odpowiada mag. – Poznałem ich bardzo dobrze. Ale to sprawa pomiędzy mną a nimi.

– Nie zamierzałem cię urazić. – Hayaz składa ręce w przeproszającym geście. – Chciałem jedynie jeszcze raz podziękować. I zaproponować gościnę. Przynajmniej dopóki nie postanowisz, co dalej.

– Czynisz mi zaszczyt, czcigodny. – Nezami przykłada prawą dłoń do piersi.

Przez chwilę jadą w milczeniu.

– O, to już tutaj! – woła wesoło Hayaz. – Gdy tylko znajdziemy się na tym pagórku, roztoczy się przed tobą panorama T’araf. Przygotuj się. To widok, który zapiera dech w piersiach!

– Nie tak łatwo mnie olśnić – odpowiada pobłaźliwie Nezami.

Potem przez ponad godzinę gapi się z rozwartymi ustami na miasto, podczas gdy Hayaz cierpliwie czeka obok.

Gdy w końcu odwraca się do kupca, nie jest specjalnie zdziwiony widokiem ciemnej ramy obejmującej jego sylwetkę.

– Nie chodziło tylko o to, że nigdy wcześniej nie widziałem niczego podobnego. Po prostu ujrzałem wtedy wyraźnie duszę miasta. Zrozumiałem, że są rzeczy większe niż... – Wzrusza ramionami. – Idźmy dalej. Mam nadzieję, że przygotowałyście dla mnie również coś mniej sielankowego.



Nezami siedzi obok ogrodowej sadzawki wpatrzony w żółte kopuły Pałacu Magów. Młodzi adepci przezornie nadkładają drogi, by minąć go w bezpiecznej odległości. Ich zachowanie jednocześnie irytuje i bawi maga; narasta w nim trudna do odparcia pokusa, by udowodnić im, że gdy ma się do czynienia z Nezamim, żadna odległość nie zapewnia bezpieczeństwa.

– Jesteś naprawdę wściekły, co?

Jego rozmyślania przerywa łagodny głos. Powoli odwraca głowę, zastanawiając się, komu dał się zaskoczyć.

Mężczyzna w żółtym turbanie siada tuż obok.

– Mistrz Hormuzd. – Nezami z niejakim oporem skłania głowę. – Przysłali cię, ponieważ lękali się osobiście mnie stąd wyrzucić?

Mężczyzna przygląda mu się uważnie, jakby oceniając targający nim gniew.

– Nie. Przyszedłem z własnej inicjatywy. Czy wiesz, dlaczego nie chcę cię dopuścić do Żółtego Kręgu?

Nezami wzrusza ramionami.

– Nie ufają mi. Uważają, że wciąż jestem krwiożerczym barbarzyńcą skrywającym swe prawdziwe oblicze pod wątlą maską ogłady. Boją się mnie.

– Czy niesłusznie?

Kolejne wzruszenie ramion. Hormuzd kiwa głową i wstaje z miejsca.

– Chodźmy – stwierdza niespodziewanie. – Nadciąga południe. Lepiej przenieśmy się do chłodu mojej pracowni. – Nezami patrzy na mężczyznę zaskoczony. – Chcę, żebyś został moim osobistym uczniem – wyjaśnia mistrz lakonicznie.

Nezami ostrożnie schyla głowę w pokłonie i również wstaje.

– Dlaczego? – pyta.

– Jesteśmy magami. – Hormuzd uśmiecha się nieznacznie. – Sami musimy znaleźć odpowiedzi na każde z naszych pytań. W tym na te, których nigdy nie zadaliśmy.

Nezami marszczy podejrzliwie brwi, obserwując, jak sylwetka mistrza niespodziewanie oddala się i zostaje uwięziona w ramie Lustra.

– Pytania, których nigdy nie zadaliśmy – szepnął. – Zapomniałem, że wypowiedział wtedy takie zdanie. Hm... – Otrząsa się z zamyślenia i uśmiecha się szyderczo. – Sprawnie nam idzie, prawda? W tym tempie Istharon nie zdąży nawet porządnie rozsiąść się w fotelu, nim będę z powrotem!



Nezami cierpliwie czeka, aż zadumany Moezzi uniesie wzrok.

– Kojarzę cię – odzywa się w końcu. – Ty jesteś Nezami. Ulubieniec samego Hormuzda. Jak powiadają niektórzy, największy poeta spośród

magów. A może nawet... – dramatycznie zawiesza głos – największy mag spośród poetów?

Nezami z uśmiechem skłania głowę, trzymając dłoń na piersi.

– Kimkolwiek jestem, czuję się zaszczycony, że zechciałeś mnie zapamiętać, dostojny.

– Moja pamięć nie służy mi tak dobrze, jak niegdyś. – Moezzi wzdycha ironicznie. – Ale czterowiersze, które recytowałeś tydzień temu na przyjęciu u księcia Satiego, były niemal znośne.

– Odniosłem wrażenie, iż wśród zebranych wzbudziły raczej konsternację.

– Dziwisz się, dostojny Nezami? Twoje próby łączenia niezrozumiałych dla większości biesiadników teorii mistrza Rawirama na temat natury Wszechświata z tradycyjnym metrum musiały skończyć się klęską. Ale mi spodobały się... na swój sposób. Było w nich coś buntowniczego, świeżego. Ciekawi mnie jednak – spogląda na maga spod oka – co sądzisz o prologu do mego najnowszego eposu, który wówczas zaprezentowałem?

– Bardzo niedopracowany – odpowiada bez wahania Nezami. – Naprawdę ty to napisałeś, mistrzu?

Moezzi spogląda na maga ponuro, po czym niespodziewanie parska śmiechem.

– Ja – przyznaje ze skruchą. – Być może wino sprzyja poezji, ale kac z pewnością nie. A musiałem wtedy, zgodnie z zapowiedzią, zaprezentować epos, by książę nie poczuł się urażony. W końcu była to uczta na moją cześć. Ech, dworskie życie. – Zamyślił się. – Jutro wieczorem urządzam w mym domu niezobowiązujące przyjęcie, tylko dla przyjaciół i uczniów. Zechcesz się przyłączyć? Skosztujemy prawdziwego ferańskiego wina, porozmawiamy o poezji i szalonych pomysłach Rawirama, które, zdradzę ci to w sekrecie, mnie również zaintrygowały. Może ty zdołasz mi w końcu wyjaśnić, o co tak naprawdę w nich chodzi.

Nezami przymyka powieki, wsłuchując się w cichnący głos poety.

– Pamiętam tamten wieczór. – Niechętnie pozwala sobie na chwilę wzruszenia. – Przez mgnienie wydawało mi się wtedy, że dotknąłem... naprawdę dotknąłem...

Otwiera oczy.

Moezzi leży nagi we własnej wannie, wpatrzony martwym wzrokiem w sufit. Ciało – na tyle, na ile widać je w zabarwionej na czerwono wodzie – ma stare, blade i pomarszczone. Wygląda odrażająco.

Stary sługa wciąż zanosi się szlochaniem przy wannie.

– Nie mógł dojść do siebie po tym upokorzeniu, którego doświadczył przez Chakaniego. Po tym jak odebrali mu wszystkie zaszczyty... Jak go opuścili... Szkoda, że ciebie tutaj wtedy nie było, dostojny Nezami, może...

– Dużo podróżowałem – odpowiada chłodno mag. – Ale masz rację. Szkoda.

Odwraca się i odchodzi, wiedząc, że w tym miejscu nie odnajdzie już tego, co spodziewał się znaleźć.

Wizja na moment mętnieje, by na powrót się wyostrzyć, ukazując przestraszone oblicze mężczyzny w średnim wieku.

– Jeśli uczynisz krzywdę jednemu z nadwornych poetów, Żółty Pałac wyprze się ciebie! – woła tamten ze złością. – Nie unikniesz kary!

– Boisz się, dostojny Chakani – stwierdza z uśmiechem Nezami. – Boisz się magii. Jednakże gdybym jej teraz użył, nie przyniosłoby mi to prawdziwej satysfakcji. Choć ty nie miałeś podobnych skrupułów, pokonując Moezziego siecią intryg, nie zaś poetyckim kunsztem. Ale bez obaw. Jak zapewne wiesz, Nezami z T'araf nigdy nie idzie na łatwiznę. Stoczmy więc pojedynek na... wiersze. Według standardowych zasad. Jeśli zwyciężysz, wypuszczę cię, a następnie udam się na dobrowolne wygnanie i nigdy już nie powrócę do Lśniącego Miasta. Jeśli natomiast przegrasz... Cóż, wtedy już bez większych skrupułów zrobię z tobą wszystkie rzeczy, które tak pieczołowicie zaplanowałem, a może nawet, kto wie, dam się porwać improwizacji? Zaczynamy zatem, dostojny.

– Nie ośmielisz się... – protestuje coraz słabiej Chakani.

– Naprawdę w to wierzysz? – pyta pobłaźliwie mag. – Że się nie ośmielę? Patrząc w moje oczy? Jak dotąd nie brakowało ci przecież

wiary w siebie. Zaufaj natchnieniu. Wtedy przynajmniej masz jakąś szansę.

– A kto niby miałby być arbitrem tego pojedynku? – Poeta chwyta się ostatniej deski ratunku. – Powinniśmy wezwać...

– Nie, nie. – Nezami kręci głową. – Wiesz, że to niemożliwe. Ale nic nie szkodzi. Nie zależy nam przecież na tanim poklasku ani cudzych opiniach, prawda? Zatem my sami będziemy najlepszymi sędziami. Zobaczymy prawdę nawzajem w swoich oczach. Nie zdołamy jej przed sobą ukryć. I każdy z nas będzie w głębi duszy wiedział. Klnę się na własne imię, że jeśli stwierdzę, że naprawdę wierzysz, iż odniosłeś zwycięstwo, ja również ci je przyznam. Akceptujesz te warunki, dostojny?

Chakani z trudem przełyka ślinę, po czym anemicznie przytakuje.

– Doskonale! – Nezami rozpromienia się. – Ja cię wyzwiałem, więc zaczynam...

Mag z zadumą obejmuje wzrokiem oddalającą się scenę.

– Oczywiście nie dorastał Moezziemu do pięt, ale dał wtedy z siebie naprawdę wszystko. Ledwo go pokonałem. Po raz kolejny musiałem przekroczyć samego siebie... Chakani może i był tchórzliwym, pozbawionym honoru sukinsynem, ale również prawdziwym poetą i znawcą sztuki. Gdy recytowałem ostatni czterowiersz, w jego oczach obok przerażenia widziałem też podziw. Moja poezja nigdy nie doczekała się większego komplementu... Ach! – woła ironicznie, wpatrując się w pustkę. – Dzięki wam powróciło tyle miłych wspomnień! Które następne?



Zaskoczony Nezami próbuje przebić wzrokiem otaczający go mrok. Czyżby znów znalazł się w ciemnym korytarzu prowadzącym do Galerii? Ale nie, gdzieś przed nim pojawia się światło kaganka. Mag schodzi po krętych schodach w dół, wsłuchany w nerwową wymianę zdań pomiędzy dwoma mężczyznami. Po plecach przebiega mu dreszcz – tamci mówią w jego rodzimym języku.

I nagle już wie, gdzie właśnie się znalazł.

– Jesteś pewien? – Rozpoznaje głos swojego gospodarza, Mugi. – Moglibyśmy dać jej jeszcze jedną nauczkę, tak jak wtedy, gdy...

– Nie – przerywa ostro Sakik, naczelnik wioski. – Żadna nauczką nic tu nie da. Trzeba się jej pozbyć, nim w końcu naprawdę zabije kogoś z nas. Pojutrze święto *Hukan*, to odpowiednia okazja.

– Nie zgadzam się! – protestuje Muga. – Wiesz, ile zapłaciłem za nią Poharowi!

– Zamknij się! – warczy Sakik. – Będzie, jak powiedziałem. Pojutrze otrzymasz zwyczajowe zadośćuczynienie. Do tego czasu zaś – naczelnik łagodnieje – możesz robić z nią, co zechcesz. Bylebyś nie pozwolił jej uciec, tak jak tamten głupiec.

Nezami bezszelestnie pokonuje ostatni stopień i staje za plecami mężczyzny, obserwując scenę. Obaj Uegowie stoją obok ściany, do której przykuto grubym łańcuchem drobną postać. Mag przygląda się jej z zaciekawieniem – jego pobratymcy nie potrafili sobie poradzić z dwunastoletnią na oko dziewczynką?

Dziecko unosi wzrok i spogląda prosto na Nezamię. I wtedy cała ciemność świata zostaje w jednej chwili rozjaśniona przez niesamowity, antracytowy błysk.

– Skąd ją wzięliście? – Nezami jak przez mgłę słyszy własny głos.

Tamci dwaj odwracają się niczym na komendę.

– Choć nosisz obcy strój, mówisz naszym językiem – Sakik się krzywi – i posiadasz kryształ *ura*, dlatego udzieliłiśmy ci gościny, zamiast cię zabić lub zniewolić. Nie znaczy to jednak, że możesz wszędzie włązić...

Nezami ignoruje groźbę naczelnika i klęka obok dziewczynki. Powoli wyciąga dłoń i delikatnie dotyka brudnych włosów. Dziecko drży na całym ciele, lecz się nie odsuwa.

– Skąd ją wzięliście? – powtarza, z trudem skrywając ekscytację.

– Pięć lat temu wyprawa, w której uczestniczył mój szwagier, napadła na karawanę zmierzającą przez obrzeża Hugusz na wschód – odpowiada pokornie Muga, najwyraźniej zaskoczony własną ustępliwością. – Kupcy wieźli ze sobą dziewczynkę o dziwnych, niespotykanych



czarnych włosach i oczach. Przypadła w udziale właśnie Poharowi. Potem ją odkupiłem.

– Założę się, że już od pokoleń nie zawędrował do was żaden spośród *ura*? – zauważa Nezami, na pozór bez związku.

Tamci nie odpowiadają.

– Sprzedajcie mi ją – proponuje mag. – Zapłacę podwójną cenę.

Gdzieś na samym dnie czarnych oczu rodzi się kolejny seny błysk. Nezami, urzeczony, obserwuje, jak powoli wznosi się ku powierzchni rzeczywistości.

– Nie – odpowiada gniewnie Sakik. – Ona jest przeznaczona na święto *Hukan*. Nawet tobie nie wolno łamać naszych praw!

Nezami prawie go nie słyszy. Szeptem zadaje dziewczynce pytanie i długo czeka na odpowiedź. Gdy w końcu, nie otrzymawszy jej, wstaje, za jego plecami oprócz Mugi i Sakika stoi jeszcze sześciu innych, uzbrojonych po zęby mężczyzn. Mag, nie stawiając oporu, pozwala wyprowadzić się na zewnątrz.

Niedługo później znów schodzi do piwnicy. Tym razem jest sam. Jego wcześniej nieskazitelne ubranie znaczą teraz krew i popiół.

Przestraszona dziewczynka dygocze, po czym rozpoznawszy go, niespodziewanie się uspokaja.

– Przyszedłeś po mnie – szepcze. – Wróciłeś.

– Tak. – Nezami uśmiecha się łagodnie i dotyka łańcuchów. Ogniwa pękają. – Nie odpowiedziałas przecież na moje pytanie.

Dziewczynka przelęka ślinę.

– Tak – odpowiada. – Ufam ci.

Rzeczywistość znów pogrąża się w absolutnym mroku. Lecz nawet jednolita, zdawałoby się, ciemność posiada swoje odcienie. Wzrok maga bez trudu identyfikuje ramę Lustra. Wewnątrz jej obrysu mrok jest najgęstszy.

Nezami nabiera powietrza i staje naprzeciwko zwierciadła.

– Tak – mówi. – Od początku wiedziałem, że zmierzacie do tej właśnie chwili. Sądziliście, że jeśli spojrzę na to z boku, bądź też nawet oczami Kolec, złamię moją wolę i serce? Naiwnie założyłyście, że nie



rozumiałem wtedy, co czynię? Że jestem bezrozumną, pozbawioną empatii bestią, która dąży jedynie do zaspokojenia swych prymitywnych popędów? Mylicie się. Tym, co tak naprawdę zaspokoiło mój głód, było zdziwienie zdradzonego dziecka. Subtelne drzenie rozpadającego się świata. Poczucie władzy, gdy złożyłem ten świat na nowo w ciekawszej konfiguracji. Po tych pierwszych dwóch latach nasza relacja nie dawała już prawdziwej satysfakcji. Ja wchodziłem w rolę zwykłego opiekuna, a ona zatracala swe ukryte, drapieżne instynkty. Ta noc pchnęła nas na nową ścieżkę, poszerzyła granice naszych dusz. Od tamtego czasu toczy-  
my ze sobą niekończącą się, ekscytującą grę światła i cieni. Doznajemy dziesiątków nieznanych dotąd emocji, zarazem wyrazistych i subtelnych. Kolec nie pozwoliła się złamać, okazała się godną partnerką. Śmiało!

Ciemność w głębi Lustra ustępuje bądź też wręcz przeciwnie, zapada się pod własnym ciężarem w jeszcze głębszy mrok. Nezami wyławia z niego plecy mężczyzny pochylającego się nad leżącą na łóżku sylwetką. Z jakichś powodów nie widzi wszystkiego wyraźnie, ale to bez wątpienia tamta chwila – rozpoznaje nieskazitelną biel własnej koszuli i równie doskonałą czerń włosów śpiącej postaci.

– To ty? – Dziewczynka budzi się przestraszona.

Scena staje się jeszcze bardziej rozmazana. Nezami mruży oczy.

– Tak – odpowiada łagodnie mężczyzna.

Czy to na pewno jego własny głos? Słyszysz w nim jakąś dziwną, nieznaną nutę. Sztywnieje, przeczuwając, że właśnie dzieje się coś niepokojącego.

Mężczyzna gładzi dziewczynkę po policzku, po czym odwraca się i powoli wychodzi. Nezami nie jest w stanie dostrzec jego twarzy.

I wtedy otacza go zwarty krąg kilkudziesięciu luster. W każdym z nich odbija się jego własna postać. Wszystkie wydają się identyczne, ale...

– Co to ma znaczyć? – cedi powoli. – Dobrze wiecie, że wtedy wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. To jakiś podstęp? Co chcecie w ten sposób osiągnąć? Nie powstrzymacie mnie!

Wybiera na chybił trafił jedno ze zwierciadeł i przechodzi na drugą stronę.



Nezami odstawia kielich na stół i przez moment obserwuje liście klonu drżące na wietrze. Zazwyczaj śmiało przyjmuje wyzwania rzeczywistości, tym razem jednak odczuwa lekką melancholię.

Powoli wstaje, odwraca się i spogląda w mrok ogrodu, ku nadchodzącej sylwetce.

– Przyszedłeś sam – mówi, kłaniając się z szacunkiem. – Tak jak się tego spodziewałem. Miałem jednak, mimo wszystko, nadzieję, że zajmie ci to więcej czasu i że się spóźnisz.

– Cóż za niezwykle skrupuły, przyjacielu – komentuje Hormuzd z ironią w głosie. – Powinienem chyba czuć się zaszczycony. Teraz wiem już, że podobne skrupuły są ci raczej obce. Ale nie, nie mogłem się spóźnić. Ślady, jakie pozostawiłeś tym razem, były zbyt wyraźne, przynajmniej dla mnie. Zwłaszcza w sprawie Chakaniego.

Mistrz zatrzymuje się w odległości dziesięciu kroków od dawnego ucznia. Jego prosta sylwetka emanuje mocą i godnością, jakby chwilę wcześniej strząsnął z siebie wszelkie oznaki roztargnienia. On też na co dzień jest dobrym aktorem. Choć nie tak dobrym jak Nezami, rzecz jasna.

– Przyszedłeś mnie zabić? – Młodszy mag mruży oczy. – Powinieneś wiedzieć, że to może okazać się bardzo trudne. Nawet dla ciebie, mistrzu.

– Szesnaście lat temu przed Pałacem Magów wziąłem za ciebie odpowiedzialność. I nikt nie może mnie z niej zwolnić – wyjaśnia byłemu uczniowi Hormuzd tym samym łagodnym tonem, którym robił to już setki razy wcześniej. Nezami uśmiecha się w myślach do wspomnień.

– Najpierw jednak pragnąłbym zrozumieć, gdzie popełniłem błąd? Kim naprawdę jesteś? Jak brzmi odpowiedź na pytanie, którego nie potrafiłem zadać?

Przez krótkie mgnienie Nezami dostrzega przeblysłk bólu, rozczarowania i frustracji, które jego rozmówca skrywa za Pierwszą Zastłoną. Widok ten wzbudza w nim jednocześnie żal i irytację.

– Kim jestem? – powtarza chłodno.

– Sprawa szambelana Hebrima – zaczyna wyliczać jego były nauczyciel. – Szmaragdy z Wysp Czarnych. Mingun. Kupiec Muhir i jego córka. Chakani. Na Jeźdźców, przyjacielu, potrafię zrozumieć, że pragnąłeś zemsty, wszyscy czasem ulegamy podobnym namiętnościom, ale jak mogłeś uczynić coś takiego?

– Uczyniłem o wiele gorsze rzeczy – odpowiada Nezami, zwyczajnie stwierdzając fakt.

– Domyślał się. – Hormuzd wykonuje prawą dłońią Gest Pokory, jakby chciał w ten sposób wziąć na siebie winę za postępkę ucznia. – Dlaczego więc? – w jego głosie po raz pierwszy otwarcie pojawia się nuta rozpacz.

– Wiesz, skąd pochodzę. – Nezami wzrusza ramionami. – Teraz możesz powtórzyć za tamtymi, że „barbarzyńca zawsze pozostanie barbarzyńcą”.

– Nie. – Hormuzd potrząsa głową. – Nie rozmawiaj ze mną jak z głupcem. Nie oszukałbyś mnie w ten sposób. Anwari napisał niegdyś, że każdy z nas, niezależnie od tego, gdzie i w jakich okolicznościach było mu dane przyjść na ten świat i jaką drogę wybrał dla niego los, niesie ze sobą drobny okruch światła. Jeśli tylko umiejętnie podsycimy jego blask, sam poprowadzi nas ku prawdzie i wyzwoleniu. I ja od samego początku widziałem w tobie ten okruch, mocno lśniący pośród mroku dziedzictwa twych przodków. Żaden z moich poprzednich uczniów nie dorównywał ci talentem oraz wytrwałością w jego szlifowaniu, ale ty miałeś w sobie coś jeszcze. Pamiętam fascynację, z jaką poznawałeś mity, a także opowieści o walce Światła z Ciemnością. Od początku interesowało cię dobro i zło, nie zaś przyziemne cele, jakim hołdowali inni. Nie pieniądze i zaszczyty. Nigdy nie wątpiłem, że stworzono cię do wielkich rzeczy. Dlaczego, *iradzi*? – Hormuzd używa pieszczotliwego określenia, którym mistrzowie

zwracają się jedynie do swych najbliższych i najukochańszych uczniów. W kąciku jego oka lśni łza.

– Dlaczego, *tafi*? – odpowiada Nezami równie pieśczośliwie, chociaż jego irytacja zaczyna już powoli przeważać nad żalem. – Nie przyszło ci nigdy do głowy, że poszedłem po prostu o krok dalej, tam, gdzie ty bałeś się choćby spojrzeć? Że tak, jak przezwyciężyłem prymitywizm i okrucieństwo mych przodków, uwolniłem się również od dogmatów, którym ty wciąż hołdujesz?

– Czyniąc... – Hormuzd mruży oczy – zło?

– Czyniąc dobro lub zło o właściwym czasie i we właściwym miejscu, tak, by poczuć pełnię mego człowieczeństwa – tłumaczy staremu magowi jak dziecku. – Poznać całą tęczę możliwych doświadczeń. Lepiej zrozumieć świat. Pokonać wszelkie ograniczenia. Stać się wolnym. Poznać, naprawdę poznać drugiego człowieka...

Stary mistrz wykrzywia usta.

– Zabijając go lub torturując?

– Niekiedy – przyznaje Nezami. – Ale nie zawsze. Czasem też ratując go lub pokazując mu drogę, tak jak ty nieraz mi ją pokazywałeś. Widzisz, po prostu szukam najwłaściwszego sposobu, by wydobyć pełen potencjał z tych, z którymi zetknie mnie los. By nasze spotkanie stało się satysfakcjonujące dla obu stron. Byśmy zbliżyli się do prawdy o świecie i sobie samych. To nie moja wina, że większość ludzi nic w sobie nie skrywa i że ich istnienie rozsypuje się w proch, gdy tylko obedrze się ich z cienkiej warstwy pozorów. Ja jednak wciąż, pełen nadziei, kontynuuję swe poszukiwania.

Hormuzd wpatruje się w niego z konsternacją, próbując odnaleźć słowa, z których mógłby złożyć jakąś odpowiedź.

Ale obaj dobrze wiedzą, że nie ma takich słów.

– Muszę cię powstrzymać – stwierdza wreszcie z żalem starszy mężczyzna. – To moja *makir*, moja odpowiedzialność.

– Pewnie zdołałbyś to zrobić dziesięć lat temu – zauważa łagodnie Nezami. – Pięć lat temu mógłbyś jeszcze przynajmniej próbować. Ale teraz już nie. Poznałem wszystkie sekrety magii Hamanu, tak jak wcześniej

tajniki magii Uegów. Gdy ty spoczywałeś na laurach i przyjmowałeś kolejnych uczniów, ja podróżowałem po świecie. Przemierzyłem zachód oraz południe, a wszędzie, gdzie się udawałem, wydierałem światu jego cenne tajemnice. Pamiętasz nasze rozmowy o Mocach Ziemi i Dawnych Bogach? Dla mnie istoty te nie są już abstrakcją. Dwa lata temu, na najdalszej wyspie archipelagu Saar, spotkałem jedną z nich. Zabiłem ją po, muszę to przyznać, fascynującej walce. Ciebie nie będzie stać na podobną. Nie masz ze mną żadnych szans, *tafi*. I choć nasz pojedynek miałby w sobie dramatyzm rodem z *Agary* bądź innych antycznych tragedii bliskich mojemu poczuciu estetyki, ja także niekiedy kieruję się sentymentem. Zatem odejź, *tafi*, próbuj przemyśleć to, co ci właśnie rzekłem. Może i ty nauczysz się czegoś od byłego ucznia. A jeśli jest już na to za późno i twój umysł nie potrafi się wyrwać z klatki, w której sam go zamknąłeś, poszukaj ulgi w swych zwykłych zajęciach. Weź kolejnego czeladnika. Oł, choćby tego młodego maga z Zame, nad którego zdolnościami rozplywa się połowa Pałacu. Jak on się tam zwie? Ach, Sarot. Może uda ci się go wyszkolić na tyle, że kiedyś zdoła stawić mi czoła. Choć, szczerze powiedziawszy, wątpię. A teraz odejź już, proszę. Muszę się przygotować do dalekiej drogi.

Na twarzy Hormuzda wyraźnie znać wahanie. Ekscytacja i nadzieja, czułość i irytacja walczą o władzę nad sercem Nezamięgo. Usta młodszego maga rozjaśnia uśmiech – to właśnie takie ambiwalentne stany zawsze sprawiają mu największą przyjemność.

I nagle oblicze starszego mężczyzny znów skrywa maska.

– Nie mogę, przyjacielu – odpowiada spokojnie i pewnie.

Obaj magowie jednocześnie chowają swe umysły za Drugą Zasłoną.



Nezami odprowadza wzrokiem zamrożoną sylwetkę Hormuzda powoli odpływającą w mrok.

– To dobrze, że mnie nie posłuchał – wyjaśnia Lustrom. – Inaczej zakończenie rzeczywiście straciłoby cały dramatyzm. A tak mamy

interesującą klamrę. Obaj moi najważniejsi nauczyciele zginęli z mej ręki: i ten, którego nienawidziłem, i ten, którego kochałem. Pomimo oczywistej symetrii można się tu też doszukać interesujących kontrastów i subtelnych półtonów. Cóż – wzdycha – i tak oto dotrwaliśmy do końca opowieści. Nie pozostało już nic więcej. Czas, byście wypuścili mnie z Galerii.

Wokół zapada całkowita ciemność. Nezami ma wrażenie, że próbuje go pochłonąć.

– Ej! – upomina zwierciadła. – Nawet wy musicie przestrzegać pewnych reguł. Jeśli nie macie już nic do pokazania, to po prostu mnie przepuście!

Mrok jakby nieco ustępuje. Nezami rusza ku formującej się przed nim tafli. Coś tutaj się nie zgadza, podpowiada instynkt czarownika Uegów. To zasadzka?

Lecz... czyja? Isthariona? Nie, to niemożliwe; on jest jedynie arbitrem. Któż zatem chce go pokonać? Sama Galeria? Zwierciadła nie są jedynie zwierciadłami? Mają własny, ukryty cel? A może...

Obraz niespodziewanie się wyostrza – mag dostrzega mężczyznę i kobietę spacerujących brukowaną uliczką. Kim są? W pewnej chwili wydaje mu się, że rozpoznaje w parze siebie samego oraz swą przyboczną. Lecz zaraz potem widzi, w jaki sposób kobieta spogląda na towarzysza i zdaje sobie sprawę z własnej pomyłki. Czy ktoś kiedyś w ogóle tak na niego patrzył? Ach tak, tamta czarnowłosa dziewczynka przykuta do ściany piwnicy. Ale przecież...

Tymczasem towarzysz kobiety zatrzymuje się i czujnie rozgląda wokół, jakby w jakiś sposób wyczuwał, że jest obserwowany. Na pozór wydaje się bliźniaczo podobny do Nezamięgo, ale mag wie, że tamten jest tylko oszustem, potrafi dostrzec różnicę.

Niespodziewanie spojrzenia mężczyzny się przenikają. Zimny dreszcz sływa magowi w dół pleców. Zdaje sobie sprawę, że tamten nie jest tylko iluzją, lecz kimś, kto, podobnie jak on sam, wierzy w swoje istnienie.

Kto potrafiłby stawić mu czoła w pojedynku *batszag*.



Nie dochodzi jednak do starcia. W ostatniej chwili Nezami cofa się w mrok galerii, szukając wzrokiem kolejnego Lustra.

Na wprost niego rysuje się inna scena: dwaj mężczyźni w żółtych płaszczach grają w *dongi* w altance pośrodku pięknego ogrodu. Obaj mają włosy starannie zaplecione w warkoczyki *tapi*, znak rozpoznawczy magów z Lśniącego Miasta.

– To wyjątkowo niepokojąca sprawa – odzywa się Hormuzd. – Cieszę się, że powróciłeś, by się nią zająć, *iradzi*.

Nezami słyszy głos bliźniaczo przypominający jego własny.

– Dlaczego przekonałeś ich, by zwrócili się do mnie, a nie do ulubieńca dworu, Sarota, *tafi*?

– Przeczcucie – odpowiada starszy mag. – Ponadto... wierzę, że Sarotowi przyświecają szczytne intencje, ale jest nazbyt...

– Dogmatyczny – kończy z ironią w głosie ten drugi Nezami. – Tak, też rzuciło mi się to w oczy.

*To się nigdy nie wydarzyło* – stwierdza tymczasem stojący przed Lustrem mag. I, z oczywistych względów, już się nigdy nie wydarzy. Co zatem pokazuje zwierciadło? Zwykłą iluzję? Alternatywną przyszłość?

Wtem obaj siedzący przy stoliku mężczyźni przerywają rozmowę i spoglądają w bok, marszcząc czoła, zupełnie jakby mogli go zobaczyć lub, co gorsza, usłyszeć jego myśli.

– Tylko prawdę – odzywa się niespodziewanie tamten drugi Nezami, przewiercając go wzrokiem. – Jeszcze tego nie pojąłeś? Lustra pokazują jedynie prawdę, nawet jeżeli zapomniała o niej sama rzeczywistość. One wciąż będą ją pamiętać, choćby świat się od niej odwrócił. Tym właśnie są. Wspomnieniem prawdy.

Nezami znów cofa się w mrok i przymyka oczy, usiłując zebrać myśli. Gdzieś na krańcach jego świadomości zaczyna się formować niepokojące przeczcucie, które...

Otwiera powieki. Przed sobą widzi kolejne Lustro. Niepokój na dnie serca rośnie.

– Jestem Nezamim – warczy przez zęby i zbliża się ku falującej tafli, która ukazuje znajomy górski krajobraz. Kolejny powrót do młodości?

Ale stojący pośrodku sceny mężczyzna w białej koszuli i z włosami zaplecionymi w warkoczki *tapi* jest w jego wieku, może nawet trochę starszy. Zatem znów... przyszłość? Ta, która na niego cierpliwie czeka, czy też ta, która nigdy się nie wydarzy?

Przed magiem klęczy na kamieniach młody czarownik Uegów.

- Pokonałeś mnie – szlocha. – Zemsta jest wasza. Zawiodłem moje plemię. Poderżnij mi gardło, bym nie musiał być świadkiem jego zagłady.

- Nie – odpowiada sucho mag. – Oddacie łupy oraz jeńców i poprzysięgniecie na krew ziemi, że nigdy nie przekroczycie kotliny Gilgan, a już nikt więcej dzisiaj nie zginie. Ale ty pójdziesz ze mną.

Młody czarownik unosi wzrok.

- Dlaczego? – pyta bardziej zaskoczony niżli przestraszony. – Będziesz... mnie torturował? To wbrew tradycji. Czarownik zabija czarownika na miejscu.

- Nie. – Mag prycha pobłaźliwie. – Dam ci szansę, abyś zrozumiał. Zacznę od ciebie. Chcę się przekonać, czy rzeczywiście jestem jedynym przedstawicielem naszego ludu, do którego umysłu jest w stanie cokolwiek dotrzeć. Czy, być może, jest jeszcze dla nas jakaś nadzieja.

„Dam ci szansę, byś zrozumiał” – słowa rykoszetem uderzają w zagubionego w Galerii Nezamiego. „Byś zrozumiał” – wibrują niczym echo. „Zrozumiał”.

I nagle wokół znów pojawiają się dziesiątki luster. Wirują wokół maga po elipsie, atakują uwięzionymi w swych wnętrzach scenami. W przelocie chwytają jedną z nich.

Wisi ponad gigantyczną, porośniętą niską trawą równiną, po której przemieszczają się potężne wojska. Dziwne kształty szybują w oddali po niebie. Intuicja podpowiada mu, że to, co widzi, nie jest zwykłą bitwą pomiędzy zwaśnionymi księstwami, królestwami czy też nawet imperiami, lecz starciem, w którym w jakiś sposób rozstrzygają się losy całego świata.

Na szczycie niewielkiego wzgórza odziana w antracytową zbroję sylwetka wskazuje na coś swoim wodzom i przybocznym. Emanuje od niej nieziemskie piękno i dziwny, niedający się opisać ludzkimi słowami

blask; w Nezamim budzi się nieznana dotąd tęsknota i żal, że z jakichś względów nie jest w stanie jej rozpoznać.

Wtem dostrzega starszego od siebie o kilka lat mężczyznę w żółtym płaszczu stojącego po prawej stronie tajemniczej postaci. Tamten nieoczekiwanie spogląda w górę i porozumiewawczo mruga do Nezamiego.

– Nie! – wrzeszczy mag, zaczynając wrzescie rozumieć. – Nie.

Scena oddala się i znika. Wszystkie lustra powoli zdążają ku sobie i zbiegają się w tym samym punkcie. Po chwili pozostaje już tylko jedno.

– To ostatnie, prawda? – szepcze Nezami.

Tafla lekko faluje, po czym ukazuje mu to, co znajduje się po drugiej stronie. Całkiem niedawno oglądał już bardzo podobną scenę.

Ubrany w nieskazitelnie białą koszulę mężczyzna pochyla się nad śpiącą dziewczynką, która niespokojnie rzuca się po postaniu, mamrocząc coś niezrozumiale. Mężczyzna wyciąga dłoń i dotyka jej doskonale czarnych włosów.

– Już dobrze – mówi łagodnie. – *Sanuk tel bar.*

Dziewczynka niemal natychmiast uspokaja się i ponownie zapada w głęboki sen. Mężczyzna prostuje się i odwraca do Nezamiego.

– To tamta chwila? – domyśla się. – To wtedy nasze drogi ostatecznie się rozeszły?

– Myślisz zbyt linearnie, jakbyś nigdy nie czytał Rawirama – prycha lekceważąco mężczyzna. – To nigdy nie jest pojedyncza chwila ani jedno zdarzenie, lecz ciąg, fala. Lub też raczej dwie fale na przemian to zbiegające się, to oddalające od siebie. Ale możesz potraktować tę scenę jako symbol naszego spotkania.

– Co się stanie – Nezami przełyka ślinę – jeśli przejdę przez to Lustro?

– Znajdziesz się po drugiej stronie Galerii. – Tamten uśmiecha się zachęcająco. – Ale jednocześnie...

– Będę musiał zmierzyć się z tobą... – Zastanawia się, który z nich zwyciężyłby w *batszag*. – Nie. – Dopada go nagle olśnienie. – *Stanę się tobą.*

Jego alter ego wzrusza ramionami.

– Jak już rzekłem, postrzegasz wszystko w linearny, przyczynowo-skutkowy sposób, a to nie zawsze jest najwłaściwsze.

– Na tym polega podstęp Luster – kontynuuje oskarżycielsko Nezami. – Chcą mnie zastąpić stworzoną przez siebie iluzją! Ale to stanowiąłoby...

– Złamanie reguł gry – kończy za niego gładko tamten drugi. – A tego Lustra nie są w stanie uczynić. Astronom nie kłamał. Musi zatem istnieć inne wyjaśnienie paradoksu. A więc może przyjąłeś błędne założenie początkowe. Może to ja jestem tym prawdziwym?

– Bzdura. – Nezami się krzywi. – Aż tak nie zamieszaliście mi w głowie. Przecież dobrze wiem, kim jestem. Pamiętam całe moje życie, każde z najdrobniejszych zdarzeń tak, jak rzeczywiście się rozegrało.

– Mylisz prawdę z faktami, dostojny. Prawda to coś znacznie głębszego. Komu jak komu, ale tobie nie trzeba chyba tego tłumaczyć. Lustra pokazują jedynie prawdę, nawet jeżeli o prawdzie tej zapomniała sama rzeczywistość. Pamiętasz tamten wiersz, którym pokonałeś Chakaniego? Jestem obietnicą ukrytą pod grubą warstwą wszystkich twoich kłamstw. Łzą, której nie zechciałeś uronić. Odpowiedzią na nigdy niezadane pytanie.

Nezami wpatruje się w hipnotyzujące, bezlitosne źrenice stojącego naprzeciwko mężczyzny.

Swoje własne.

– No dalej, Nezami z T'araf. – Tamten łagodnieje. – Dalej, Kage. – Wyciąga przed siebie rękę i dotyka nią tafla od przeciwnej strony. – Podaj mi dłoń. Zbyt długo kroczyłeś samotnie tą ścieżką. Czas, byś wreszcie dotarł do celu.

– I co? – pyta poważnie Nezami. – Co się wtedy wydarzy? Zmieni się przeszłość? Przyszłość? Otrzymam ostatnią szansę na odkupienie? Lub też może raczej nic się nie zmieni, a ja po prostu zostanę tu sam, złamany świadomością tego, co mogłoby być, lecz nigdy się już nie zdarzy? Przeszanę być sobą, ale nie stanę się też tobą; będę odtąd stanowić ułomny cień nas obu? Albo jeszcze inaczej: kiedy podam ci dłoń, to,

zgodnie z jednym z opisanych przez Rawirama paradoksów, nastąpi kres całego Wszechświata?

– Żaden z nas tego nie wie – odpowiada jego rozmówca z identyczną powagą. – Ale istnieje tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Kto wie, może to jednak nie koniec, a początek twojej drogi? Może wciąż czeka tam na ciebie jeszcze jakieś niezwykle przeznaczenie, pełne pięknych i groźnych cudów? Lub też wręcz przeciwnie, miałeś rację i nic już tam nie czeka na nas obu? Tak czy owak, ty nie zwykłeś się przecież cofać, dostojny.

Nezami powoli obraca się i spogląda w tył. Za jego plecami formuje się długi rząd luster, każde skryte wewnątrz kolejnego.

– Dotarłeś do samego końca – zauważa jego alter ego. – Jeśli spróbujesz teraz zawrócić, czeka cię bardzo długa droga. I tym razem nie obędzie się bez prawdziwego bólu. Obaj wiemy, że stać cię na wiele, ale wątpię, byś nawet ty był w stanie wyjść z tego żywy.

Mag wciążą głęboko powietrze i po raz ostatni patrzy w twarz swemu rozmówcy. Przed jego oczami wirują dziesiątki scen. Umierający mężczyzna recytuje wiersz. Mistrz Hormuzd spogląda na Nezamię z dumą i miłością. Moezzi, śmiejąc się, wznosi toast. Czarnowłosa dziewczynka patrzy na maga z nieśmiałą nadzieją. Odziana w antracytową zbroję, skąpana w nieziemskim blasku postać powoli obraca ku niemu swą twarz. Za moment będzie już w stanie ją rozpoznać.

Nezami czuje, jak po policzku spływa mu łza.

– Nie – odpowiada, szlochając. – Choćby cały Wszechświat miał się rozpaść, choćbym rzeczywiście utracił jakieś niezwykle przeznaczenie, pełne pięknych i groźnych cudów, pozostanę wierny samemu sobie aż do końca. Pozostanę wolny. Pozostanę Nezamim. Żegnaj, nieznamy. Nie spotkamy się już więcej.

A potem mag odwraca się i, zaciskając zęby, rusza w drogę powrotną, po raz kolejny rzucając wyzwanie Gallerii Luster.

Ani razu nie ogląda się za siebie.

## Artur Laisen

Kielczanin z urodzenia i z wyboru. Prywatnie pasjonat fotografii, podróżny dalekowschodnich, kultury chińskiej i japońskiej oraz także – kuchni, ze względów praktycznych starający się aktywnie łączyć swe pasje. W poprzednim, beztróskim wcieleniu autor kilku opowiadań i laureat jednego z konkursów poetyckich. Obecnie prozaiczny, pragmatyczny i zapracowany właściciel drobnego przedsiębiorstwa, mąż swojej żony i ojciec swoich dzieci.

Miłośnik fantastyki od zawsze, wychowany na Lemie i Zajdlu. Po przejściu smugi cienia koneser dobrej literatury w ogóle, o eklektycznym guście. Lista wszystkich jego literackich fascynacji byłaby zbyt długa, by zamieszczać ją w tym miejscu, od dłuższego czasu na topie utrzymują się jednak zwłaszcza Haruki Murakami, Richard Morgan, Yasutaka Tsutsui, Jose Carlos Somoza, Miyuki Miyabe oraz Aleksander Kościów.

Laureat konkursu na opowiadanie SF Wydawnictwa Paperback („Trzy spotkania Księdza Marka z demonem”, opublikowane w antologii „Science Fiction po polsku”). Na jego obecną bibliografię składają się też thriller metafizyczny „CK Monogatari” oraz opowiadania „Pocałunek Królowej Piasku” i „Pieśń Żywiołów”, zamieszczone w antologii „Geniusze fantastyki”.

Od pewnego czasu z uporem godnym lepszej sprawy konstruuje własne uniwersum fantasy – „Świat Błękitu”. To tam właśnie umieszczona została akcja sagi „Teraia” (jak dotąd ukazał się jej pierwszy tom, „Studnia Zagubionych Aniołów”) jak również opowiadań „Sto lat w słońcu” („Esensja” 10/2016), „Chłopiec i wiedźma” („Nowa Fantastyka” 4/2017) oraz „Wyprawa Koj Choruna” („Fantastyka Wydanie Specjalne” 4/2017).

„Ciemność i lustro”, napisane specjalnie do antologii, również rozgrywa się w tym świecie. Stanowi jedno z czterech opowiadań o Kali i Nezamim, będących swoistym prequelem do „Teraii”. Do powyższego cyklu należą również mikropowieści „Dziedzictwo” (FWS

3/2018) oraz „Dług” (najprawdopodobniej ukaże się w 2019 roku w autorskim zbiorze „Okruch Słońca” również w ramach projektu Fantazmaty).

Autor zaprasza do pobrania darmowych tekstów ze swojego bloga: <http://arturlaisen.blogspot.com/>.





# ZOFIA I KORZENIE

Anna Karnicka

Roślina pojawiła się pewnego ranka między grządkami marchwi i pasternaku. Wyrosła z przyniesionego wiatrem nasionka? A może już od jakiegoś czasu kryła się w ziemi, czekając na odpowiedni moment?

Wszyscy mówili Zofii, żeby nie podlewała chwastów, ona jednak wiedziała lepiej. Zraszała roślinę wodą z konewki dwa razy dziennie, o świcie i po zachodzie słońca. Wymykała się ze swojego pokoju na piętrze, przechodziła przez zaniedbane podwórze i maszerowała na pole. Ignorowała omdlałe liście sałaty i pasternaku oraz przywiedły groszek. Podlewała rosnący na środku pola chwast i zawracała, niepomna obumierającej na grządkach marchwi. Gdy Henryk zdołał ją na tym przyłapać, w pierwszym momencie wydawało mu się, że to część jego snu.

– Daj spokój – powiedział jej, gdy wróciła. – To tylko chwast. Zabiera światło naszym roślinom. Trzeba go wyrwać, nie podlewać.

Nie odpowiedziała. Zmierzyła go pustym, nieobecny spojrzaniem i ruszyła na górę. Słyszał kroki na schodach i skrzypienie desek. Wiedział, że zajęła miejsce w fotelu przy oknie i że nie opuści go aż do wieczora, kiedy znów przyjdzie pora na podlewanie rośliny.

Sięgnął po butelkę samogonu i popijając, ruszył w stronę zagrody owiec. Zapowiadał się upalny dzień. Trzeba było nakarmić zwierzęta, zwieźć słomę i pozbiierać dojrzałe warzywa. Co jakiś czas nienawistnie

zerkał na chwast. Denerwowało go to, jak rozpanoszył się na grządce. Pojedyncza zgrubiała łodyga z postrzępionymi liśćmi i drobnymi, białymi kwiatkami rzucała cień na anemiczne marchewki i ledwie odrastające od ziemi listki pasternaku.

Przeniósł wzrok na bawiącego się między zagonami bratanka.

On i Zofia nie mieli dzieci, chociaż sam bardzo ich chciał. Wiedział, że ich córeczka miałaby jej niebieskie oczy i ciemne włosy po dziadku i po nim. Nie było to jednak takie łatwe. Z Zofią od dawna nic nie było łatwe, dlatego też nie potrafił zdobyć się na wyrwanie zielska. Owszem, zabierało słońce i wysysało energię z gleby, ale dawało żonie powód do wyjścia z domu. Dawało nadzieję, a nadziei nie można tak po prostu zniszczyć, nawet jeśli ma postać zgrubiałej, zielonej łodygi obsianej białymi kwiatkami.

Henryk co wieczór przeglądał książki ojca, popijając biber z wyszczerbionej szklanki. Próbował znaleźć w encyklopediach i zielnikach nazwę, która pasowałaby do zniechęconej rośliny. Nadaremno.

Samogon miał cierpki posmak poczucia winy. Podchodził mu aż do gardła, gdy w drzwiach stawał ktoś z rodziny. Prawie się do niego nie odzywali i unikali go, kiedy tylko mogli. Gdy prosił o pomoc, widział w ich oczach strach. Dawno przestał zastanawiać się, czemu tak jest.



Wyrwał z zielnika kartkę pokrytą szkicami liści. Zmiał ją w dłoni i wrzucił do ognia. Duszką opróżnił szklankę, patrząc, jak papier wygina się i marszczy pod wpływem płomieni.

Wszystko zepsuło się po jego powrocie i dlatego nigdy nie powinien był wyjeżdżać. Ani tym bardziej wracać.

Pamiętał, jak szedł do domu połą drogą, wdychając woń skrzyppu, rumianku i rozgrzanej słońcem ziemi. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie ucałuje stęsknioną żonę, usiądzie z bratem przy kuflu piwa i opowie o wszystkim, co przeżył. Zamiast żony zastał jednak wychudzoną lalkę o błędnym spojrzeniu, a brat na jego widok tylko splunął. Zofia

całymi dniami siedziała w pokoju na piętrze, wpatrując się w widoczne ponad drzewami morze. Uśmiechała się tajemniczo, nucąc coś do siebie. Bratowa karmiła ją i pomagała się umyć. Zaplatała długie, ciemne włosy Zofii w warkocz.

Błagał, by z nim porozmawiali, by wyjaśnili, co się wydarzyło podczas jego nieobecności. Siadał przy Zofii i mówił do niej, spoglądała jednak przez niego, jakby był powietrzem. Sprowadzał lekarzy z miasta, ale żaden nie potrafił powiedzieć, co jej dolega.

– Jak to, co się stało? – nie wytrzymał pewnego dnia brat, zniecierpliwiony pytaniami. – Popadła w obłąd.

– Obłąd?!

– Mówię przecież. Postradła zmysły, oszalała do reszty, nic w niej już nie zostało.

Henryk zacisnął pięści, gotów do bójki.

– Mieliście się nią opiekować! Co jej zrobiłeś, bydlaku?

– Ja? – spytał tylko brat, po czym splunął mu pod nogi i poszedł oporządzać owce.

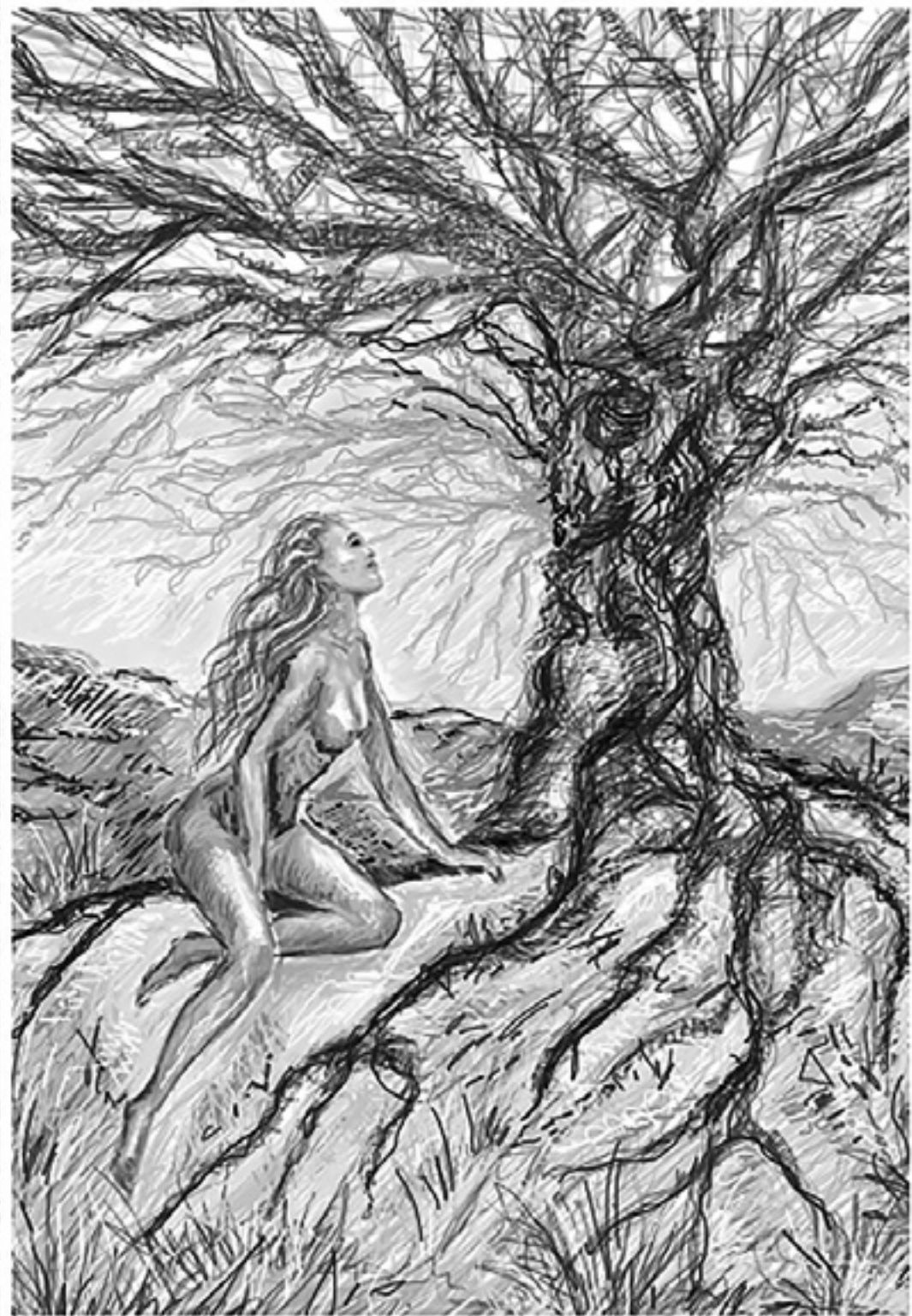
Henryk wcale mu się nie dziwił. Nie miał prawa obwiniać rodziny za własne błędy. Zawiódł. Zostawił Zofię w starym domu na farmie, z dala od miasta, sąsiadów, z prawie obcymi ludźmi.

Wrócił do miejsca, które coraz mniej przypominało mu dom.

Obrazy z podróży już dawno wyblakły. Słowa barwnych opowieści wyschły w jego pamięci. Gdyby ktoś go teraz spytał, nie potrafiłby wyjaśnić, gdzie był i co tam robił. Nie wiedział nawet, jak dawno wrócił. Nic się nie zmieniło – poza liśćmi na drzewach, warzywami na polu i liczbą owiec w zagrodzie.



Każdego ranka Zofia wstawała z krzesła, schodziła na dół i szła po konewkę, by podlać tajemniczą roślinę. Kiedy wychodziła wieczorami, nie wracała od razu. Spacerowała po okolicy. Kilka razy dotarła aż na klify nad brzegiem morza. Starał się jej towarzyszyć – kiedy tylko był dość



trzeźwy, by ustać na nogach. Nie protestowała, ale też nie zwracała uwagi na męża. Nuciała, spoglądając na rozsiane po niebie gwiazdy. Jej głos – bliski i obcy zarazem – przeszywał go chłodem.

Coraz częściej zerkał na rosnący pośrodku poletka chwast. W głębi duszy spodziewał się, że na jesieni roślina zwiędnie, tak jak reszta tych badyli. Wcale się jednak na to nie zanosilo. Na grządkach pojawiły się pierwsze dynie, a okoliczne drzewa przyoblekły się w żółcie i rudości okraszone gdzieniegdzie czerwienią jarzębiny. Od morza coraz częściej nadciągał zimny powiew, a ziemia stała się twarda i nieprzyjazna. Jedynie podlewana przez Zofię roślina wciąż rosła, wypuszczając kolejne pędy i liście.

Pewnego przedpołudnia, gdy Henryk pracował przy wykopie ziemniaków, podbiegł do niego bratanek.

– Wuju Henryku! – zawołał, przełamując strach. – Wuju Henryku!

Zaalarmowany mężczyzna dopił to, co zostało w butelce, i podszedł do chłopca.

– Ten chwast... Próbowałem go wyrwać, ale...

– Co próbowałeś? – przerwał mu Henryk. Pochwycił chłopca za poły jesiennej kurtki i potrząsnął. – Mówiłem, że masz go zostawić w spokoju! Głupi bachor!

– Zostaw go! – warknął ostrzegawczo brat, odrywając się od łopaty.

– Wuju, tylko próbowałem... – wykrztusił przerażony chłopiec. – Nie wyrwałem... Nie dałem rady... On... Jego korzenie...

Henryk natychmiast puścił dzieciaka i zbliżył się do rośliny.

– To nie chwast – mruknął, przesuwając dłonią po chropowatej łodydze. – To małe drzewo!

Już po kilku tygodniach drzewo przestało być takie małe. Pojawiały się nowe gałązki. Mimo ciągnącego od morza chłodu z pączków rozwijały się liście i białe kwiaty. Henryk spoglądał na nie z podziwem, jego rodzina – z jawną niechęcią. Zofia podlewała drzewo rankiem i o zmierzchu, nucąc swoją dziwną piosenkę.

Tego roku zbiory okazały się wyjątkowo ubogie. Marchew i pasternak nie wyrosły niemal wcale, pozostałe rośliny też były wątłe. Jakby coś

zabierało im miejsce i energię. Nawet rosnące na sąsiednim polu zboże złapało zgorzel i spleśniało. W domu coraz częściej szeptano o tym, że to wina drzewa. Że należy je ściąć, bo wysysa życie z innych roślin. Odbiera im i zwierzętom jedzenie. Henryk udawał, że nie słyszy.

Mimo coraz zimniejszych nocy Zofia nie zrezygnowała ze spacerów. Zapuszczała się coraz dalej, wędrując oblodzoną ścieżką wzdłuż klifu, Henryk zaś szedł za nią, pilnując, by zimny wiatr nie zwiął kobiety do morza. Była przecież tak drobna i lekka. Na podobieństwo ptaka zdawała się mieć kości wypełnione powietrzem. Coraz częściej po powrocie z nocnych eskapad nie siadała już w fotelu. Wracała do łóżka i kładła się u boku męża, tak jak kiedyś. Pierwszy raz, gdy tak się stało, Henryk nie mógł powstrzymać łez. Nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak brakowało mu jej dotyku.

– Zosiu – szeptał, gładząc długie, ciemne włosy. – Zosiu, Zosieńko.

Milczała. W błękitnych oczach nie było miłości ani wdzięczności, odbijały się w nich jedynie widoczne za oknem gwiazdy. Nawet zapach nie był do końca jej. Przywodził na myśl wszystkie historie z podróży, jakie Henryk chciał opowiedzieć, gdy jeszcze pamiętał słowa.



Aby przetrwać zimę, musieli wpuścić owce do izby. Śmierdziało, ale przynajmniej nie zamrzli. Gdy przyszły roztopy, ze zdumieniem spostrzegli, że korzenie drzewa przebiły się przez stwardniałą ziemię – grube, zdrewniałe i niemożliwe do usunięcia. Brat Henryka walczył z nimi do upadłego o choćby najmniejszy skrawek pola do obsiania. Nadaremno. Zajmowały je całe, oplatały dom i rozdrapywały drogę. Dopiero po stopnieniu śniegów Henryk uświadomił sobie, że korzenie, o które potykali się, spacerując nocą po nabrzeżu, również należały do rosnącego na polu drzewa. Wydawały się gotowe pochłonąć ich wszystkich, wyssać z ziemi każdą kroplę wody. Oplatały ściany i okna niczym węże, upodabniając dom do jamy dzikiego zwierzęcia.

– Owce nie mają co jeść – skarżył się brat Henryka, stukając trzonkiem siekiery w jeden z korzeni. – A jeśli zdechną, my też zaczniemy głodować. Rusz się i pomóż mi wreszcie ściąć to drzewo! We dwóch powinniśmy dać radę.

– Nie ma mowy! To drzewo Zofii. Nie zetnę go. Poza tym i tak nic by to nie dało, korzenie sięgają zbyt głęboko.

Jego brat rozłożył bezradnie ręce.

– Zupełnie cię nie rozumiem. Nie wiem, co w ciebie wstąpiło.

– Ona kocha to drzewo. Przecież widzisz, że lepiej się czuje, od kiedy zaczęła je podlewać. Już prawie jest normalnie. I będzie jeszcze lepiej, poprawia jej się z każdym dniem.

– Normalnie? – Brat parsknął gorzkim śmiechem. – Dobre sobie! W tym domu już od dawna nic nie jest normalne. Obojgu wam odebrało rozum, snujecie się tylko jak jakieś cienie, nic was nie obchodzi, że gospodarstwo upada i nie mamy żadnych zapasów.

– Skoro ci się nie podoba, to wynocha! – Henryk warknął na niego. – Już i tak miałem do was zbyt dużo cierpliwości, darmozjady. Idźcie w świat, znajdźcie sobie lepsze miejsce do życia, nam nie potrzeba nic poza przytulną klatką z korzeni!

Na twarzy brata dojrzał błysk złości i wykrzywione grymasem usta. Widział zaciśnięte pięści. To było jednak tylko mgnienie. Gniew zapłonął i zniknął, zastąpiony przez znużenie człowieka powtarzającego słowa ostrzeżenia zbyt często i nadaremno. Brat Henryka pokręcił jedynie głową, spakował walizki swoje, małżonki i syna. Henryk obserwował, jak odchodzą krętą drogą, raz po raz potykając się o korzenie.

– Nie potrzebujemy ich – zapewnił stojącą obok Zofię. – Po co nam inni ludzie, po co nam słońce i wiatr, skoro mamy naszą jamę?

Uśmiechnęła się do niego blado, po czym zaczęła nucić, spoglądając w ślad za znikającymi na horyzoncie postaciami. Zgadzała się z nim, co do tego nie miał wątpliwości.



Coraz częściej zastanawiał się, jak głęboko sięgają korzenie. Wydawało mu się, że porastają cały znany świat. Jego wyblakłe wspomnienia z podróży też były pełne korzeni. Towarzyszyły mu od bardzo dawna, wypijając z niego soki i chroniąc przed światłem. Zofia nie spędzała już dni, spoglądając przez okno na odległe morze. Siedziała przed domem, między korzeniami drzewa, śpiewając swoją piosenkę i obserwując owce skubiące resztki mizernej trawy.

Czasem, podczas zasypiania, Henryk słyszał, jak korzenie pełzną po drewnianej podłodze, coraz bardziej zbliżając się do małżeńskiego łóżka. Otwierał wtedy oczy tylko po to, by ujrzeć pogrążoną we śnie żonę. Wpatrywał się w jej spokojną twarz tak długo, aż wreszcie sen powracał. Co rano, ku rozbawieniu Zofii, sprawdzał gorączkowo, gdzie znajdują się korzenie.

– To nie jest śmieszne – przekonywał, widząc drwiący uśmiech na twarzy żony. – Którejś nocy obudzimy się w pułapce.

Wzruszywszy tylko ramionami, siadała na swoim ulubionym korzeniu i nuciła piosenkę. Znał słowa już niemal na pamięć i chociaż nie rozumiał ich, każdy kolejny ton przejmował go dreszczem i sprawiał, że drewniane macki wydawały się większe, bliższe i bardziej drapieżne.

*To tak, jakby była z nimi w znowie* – przeszło mu przez głowę. Zupełnie, jakby podlewała je i śpiewała im specjalnie po to, by rosły i pochłaniały cały jego świat. Coraz częściej myślał o tym, że może brat miał rację. Może trzeba było uciekać, kiedy jeszcze miał szansę.

Pewnego ranka znalazł pierwszą zaduszoną korzeniami owcę i zrezygnował z odpoczynku. Całymi nocami leżał w łóżku obok Zofii, słuchając odgłosów rozrastającego się drzewa. Ścisnął wówczas trzonek stojącej przy łóżku siekiery. Musiał bronić siebie i żony. Zofia przecież nie chciała nic złego, potrzebowała zająć się czymś, by odzyskać równowagę. Nie mogła przewidzieć, do czego to doprowadzi.

Henryk, oczami otwartymi tak długo, że zaczynały już łzawić, obserwował cienie na ścianach. Nasłuchiwał trzasków i szelestów. Napięte mięśnie drżały w oczekiwaniu na atak, który wciąż nie nadciągał, a cały świat trwał w oczekiwaniu wraz z nim. Tylko Zofia spała spokojnie, nieświadoma niebezpieczeństwa. Nie zaprotestował, gdy objęła



go ramionami i mocno przytuliła. Nie mógł odmówić dotyku aksamitnie miękkich włosów na policzku. Pachniały suchymi liśćmi, wilgotną ziemią i wspomnieniami z jego podróży pełnych podziemnych korytarzy i... korzeni. Zaniepokojony tym skojarzeniem spróbował się odsunąć i uświadomił sobie, że nie jest w stanie. Włosy Zofii oplatały go ciasno. Grube korzenie jej ramion przyszpilały do łóżka. Twarz – o zgrubiałych, jakby wyciosanych w drewnie rysach – wydawała się jednocześnie obca i przerażająco znajoma.

Opowieści z podróży odżyły w jego głowie, zatrważająco barwne i szczegółowe. Oczekiwanie, strach, desperackie próby ucieczki i ciągłe, nieubłagane wracanie do punktu wyjścia. Wszyscy towarzysze niedoli, których zdradził i porzucił, wszystkie godziny oczekiwania na kolejną szansę. To była bardzo długa droga do domu, nawet jeśli ani jego brat, ani Zofia nie dawali temu wiary.

– Naprawdę sądzisz, że zdołałeś uciec? – wymruczała mu do ucha.  
– Że kiedykolwiek wróciłeś do domu?

Zacisnął zęby. Tak naprawdę znał odpowiedź. Wiedział już w momencie, gdy po raz pierwszy zobaczył Zofię kroczącą z konewką przez pogrążone w półmroku podwórze. Nie potrafił się zdobyć na to, by ją porzucić, zwłaszcza gdy wszystko wskazywało na poprawę.

– Chciałbyś może wiedzieć, jak to wyglądało z ich perspektywy? – spytała istota, którą tyle czasu brał za Zofię. Jej głos był łagodny, pełen współczucia. – Chcesz wiedzieć, co się tu działo pod twoją nieobecność?

Skinął głową. Musiał wiedzieć. Musiał zrozumieć, zanim znów trafi do porośniętych korzeniami podziemnych korytarzy.

– Dla nich nigdy nie wyjechałeś – zaczęła opowieść. – A przynajmniej nie na tak długo, jak sądziłeś. Wróciłeś zaraz następnego dnia, ale odmieniony: okrutny i pozbawiony skrupułów. To ty doprowadziłeś Zofię do szaleństwa. Sprawiliś, że sama do mnie przyszła. Błagała, bym pomogła pozbyć się męża-tyrana. Ty i twoja mała grupka zdołaliście już wtedy zorganizować ucieczkę z mojego labiryntu, uznałam więc, że to może być zabawne. Uciekać ode mnie tak długo tylko po to, by powrócić do miejsca, w którym czekam pod postacią ukochanej żony.

– Co z nią zrobiłaś?! – dopytywał Henryk. Wściekłość odbierała mu dech z jeszcze większą siłą niż oplatające szyję korzenie. – Gdzie ona teraz jest?!

– W moim labiryncie, rzecz jasna – odparła, składając na jego policzku zdrewniały pocałunek. – Tam już zawsze będziecie mogli żyć długo i szczęśliwie.

## **Anna Karnicka**

Rocznik 1989. Studiowała na Uniwersytecie Łódzkim. Tłumaczka języka angielskiego. Pasjonatka literatury, szczególnie fantastyki, magicznego realizmu oraz powieści dla młodzieży. Debiutowała w 2016 roku powieścią „Paradoks Marionetki: Sprawa Klary B.”, obecnie pracuje nad dalszą częścią cyklu. Współpracuje z łódzką fundacją Atelier Improwizacji. Fascynuje się miejskimi legendami i strasznymi opowieściami krążącymi po Internecie. Uwielbia podróżować, a w szczególności jeździć pociągiem. Zbiera klucze.

# LOT MOTYLA

Magdalena Świerczek-Gryboś

## RAPORT REPTILIANA 2.0

04.04.2030

243

Oficer Bradley Check zeznał, że rzezonego dnia żona zaserwowała mu na obiad sałatkę z pora i mizerię w occie. „Por! Ocet!” – mówił z niedowierzaniem podczas przesłuchania w szpitalu St. Misery. „Trzydzieści lat wstecz już wiedziała, że tego nie znoszę. A tu zamiast jabłka z marchewką i mizerii w śmietanie dostaję takie gównno. No więc pytam ją, dlaczego to zrobiła, a ona: „*Żeby cię zabić, ty chuju*”. Jej największe dotychczasowe przekleństwo to: a niech cię diabli! I to właśnie jej powiedziałem, widząc, jak się na mnie gapi – jak stara lalka Kelly, mojej bratanicy. I naszła mnie jakaś dziwna myśl, gdy tak na mnie patrzyła, że oni po mnie przyszli”.

Dziesięć minut po incydencie przy obiedzie oficer Check dostał zawału mięśnia sercowego. Jego stan ustabilizował się w szpitalu, jednak w ciągu następnego tygodnia pacjent doznał jeszcze sześciu ataków. Ostatniego nie przeżył.

Jego żona, Amanda Check, zeznała, że nie pamięta opisywanego przez męża zdarzenia i nigdy nie podała mu takiego zestawu surówek.

## **Wyciąg z akt w sprawie Reptilian 1.0**

### **12.09.2001**

Oficer Bradley Check zeznał, że zastrzelił pilota statku kosmicznego, który rozbił się nieopodal Pentagonu. Był to jeden z dwóch ocalałych członków załogi pojazdu nazwanego BIN LADEN. Według oficera Checka pilot zachowywał się agresywnie. Biegli uznali, że radykalna odmienność fizjonomii przybyszów nie pozwalała na obiektywną interpretację ich odruchów. Drugi z nich oddalił się w jednej z kapsuł ratunkowych. Odnaleziono go w Syrii, nieopodal Aleppo. Znajdował się w stanie krytycznym. Nim nastąpił zgon, obcy zdołał napisać na ziemi: *wrogie niebo, dziewica, wejście i na drugą stronę*.

## **Podsumowanie posiedzenia w sprawie plam na niebie**

### **26.02.2018**

244

Plamy na niebie początkowo uznano za konsekwencję plam na Słońcu, potem za następstwo wybuchu supernowej, emanację antimaterii, ciemnej materii, ciemnej energii, aż w końcu powiązano je z przerwaniem ciągłości czasoprzestrzennej. Przyjęto hipotezę fizyka Andiego Lawrsona (akta L404), według której kilkusekundowe pojawianie się czarnych plam na dziennym niebie wzdłuż zwrotnika Raka związane jest z zatrzaśniętym tunelem czasoprzestrzennym. Lawrson jest jednym z badaczy BIN LADENA i rozszyfrowuje jego bazę danych. Według rozczytanych zapisów tuż przy Ziemi znajduje się samoistne rozdarcie tunelu (pot. „kosmicznej autostrady”), przez które Err-P-ranie (pot. „Reptilianie”) uciekli niesprecyzowanym agresorom. Wciąż nie udało się pozyskać więcej informacji. Koncepcja Lawrsona implikuje, że inni obcy mogą poszukiwać owego rozdarcia. „To tak, jakby ktoś szukał palcem dziury w balonie. Albo uderzał pojazdem w gumową ścianę. Tunel na chwilę wygina się na zewnątrz, przerywając czasoprzestrzeń”.

„Ktoś się do nas dobija”, skwitował fizyk.

## Zakotwiczenie

22.05.2030

Amanda Check zносиła żałobę z godnością odpowiednią dla prezbiteriańskiej rodziny Smithów, z której pochodziła. Zwrot ku obyczajowości wiktoriańskiej, stanowiący bunt wobec przerażającego rozwoju technologicznego dwudziestego pierwszego wieku, wybitnie do niej pasował. Przyjmowała wszystkich gości niezależnie od wyznania i stopnia przynależności do zepsutej cywilizacji. Częstoowała ich najlepszą ultraekologiczną herbatą. Nosiła niezbyt gustowne, czarne kombinezony (dama nie powinna przejmować się wyglądem w takiej chwili) i codziennie chadzała do drewnianego kościoła w osiedlowym parku. Modliła się sumiennie po łacinie i podziwiała ubóstwo pastorów oraz lichotę zbutwiałego Domu Bożego, dziękując niebiosom za to, że jej religia zesłała z diabelskiej drogi ku przepychowi i cywilizacji śmierci.

Stosunek do odejścia męża miała ambiwalentny. Tylko święty wytrzymałby z nim tyle lat i właśnie dlatego jej się udało. Lubiła myśleć o sobie jako o świętej.

Kiedy późnym popołudniem w jej domu zjawiło się czterech obcych, wzięła ich sylwetki za omamy i objaw przemęczenia. Dwoje z nich wyglądało niczym ludzie, których doskonale znała: jak Bradley i sekretarz stanu Oliver Pompeo. Tyle że zamiast Olivera po domu krążyła jego siostra bliźniaczka; ot, nie wiedzieć czemu, Amanda w swych przywidzeniach zmieniła mu płeć. Gdyby nie rozmawiała z Oliverem przez telefon kilka godzin wcześniej i gdyby nie wiedziała, że nigdy nie miał on rodzeństwa, mogłaby uznać, iż widzi duchy w asyście osobliwych *aniołów* przypominających egipskie wyobrażenia bóstw.

*Wyglądają jak ten cały Seth z głową podobną do szakala i Ra z ptasim łbem* – pomyślała i prychnęła. Dwie zjawy i dwójka pogańskich bogów, też coś.

Osobliwe kształty gości zrzuciła na karb ostatnich wydarzeń. O egipskich bożkach oglądała rano program w tym zdradliwym pudle, telewizorze. Wiedziała, kto ją podkusił, żeby zmienić kanał i z programu o głodujących, nastoletnich Brytyjkach epoki wiktoriańskiej



przepowiadających przyszłość dzięki przychylności bożej przejść na stację „Poznaj pogan”. Skusił ją sam szatan, a teraz mamił i rozbudzał tęsknotę. Wszak mimo wszystko brakowało jej Bradleya, jego wielkiego, gorącego ciała w łóżku i swojej zimnej świętości. A Oliver zamieniony w kobietę... Cóż, Amanda zawsze (bez najmniejszych rezultatów) krytykowała go za nieustające miłosne podboje. Powiedział jej kiedyś, że mógłby sobie odpuścić, tylko gdyby nie miał przyrodzenia. No i proszę.

Przybysze przez jakiś czas błędzili za panią Check po domu, bezszelestnie stąpając, aż w końcu otoczyli ją w lśniącej kuchni, gdzie usiadła przy stole z filiżanką melisy.

– Będziesz naszym głosem, Amando? – odezwał się Bradley, wyglądający znacznie szczuplej niż jego realny odpowiednik. Był też jakiś wypłowiwały, zszarzały. Ponadto prawdziwy mąż nie pytałby jej o nic, tylko kazał zostać jakimś głosem. Kobieta dosypała jeszcze trochę liści melisy do gotowego wywaru. Pomyślała o Jezusie na pustyni kuszonym przez diabła i natychmiast postanowiła pościć.

– Nie jesteśmy w stanie zwizualizować się bliżej. Tutaj jest jedyna możliwa kotwica. – Oliver-kobieta błędziła wzrokiem po kontrastowym wnętrzu, gdzie tradycyjny wystrój mieszał się z nowoczesnym.

Jej spojrzenie padło na złotą serwetkę z wyhaftowanym przez Amandę napisem: RYGORYZM MORALNY, na której spoczywał *spinsex*, krążek do wywoływania natychmiastowej satysfakcji seksualnej. Amanda, śledząca poczynania zjawy, niemal uśmiechnęła się do urządzenia. Orgazm zapewniał zdrowie i dobre samopoczucie, chronił przed tą kobietą zmorą, histerią, a możliwość jego doświadczania bez cielesnych podniet i grzechu stanowiła dla pani Check wielkie udogodnienie.

– Ależ dziwny wymiar, spójrzcie na... – zaczęła zjawy, ale jeden z egipskich bożków machnął ręką, uciszając ją. Rzucił wiązanką niezrozumiałych słów w kierunku Amandy. Gospodyni poczuła się nagle otępiała, jakby tego dnia melisa zadziałała na nią wyjątkowo silnie.

– Mam być waszym głosem? – wymamrotała do gości.

– Zadzwoń do sekretarza – wyrzekła ptasia głowa, choć nic się w niej nie poruszyło. Zachodzące słońce nadawało Ra różowawy odcień.

Kobieta patrzyła na niego intensywnie, myśląc, że to surrealistyczny obrazek, jeden z tych, których matka (słusznie) nie pozwalała jej oglądać.  
– Sprowadź go tutaj. Powiedz, że pewni ludzie szukają oficera Checka i potrzebujesz pomocy.

– Powiedz, że mówią o BIN LADENIE – dodał szakał. Jego spojrzenie było martwe, jakby ktoś założył mu na barki wypchany łeb zwierzęcia z dwoma paciorkami zamiast gałek ocznych.

– Naprawdę tak go nazwali? – spytał Bradley i uniósł brwi. Jego twarz zdawała się znacznie przystojniejsza, jak sprzed dwudziestu lat. Egipskie bożki zwróciły ku oficerowi surrealistyczne głowy. Zreflektował się natychmiast. – Tak, Amando, proszę, idź zadzwonić.

Jej mąż o coś prosił.

*Pewnie wychłostali go w czyścicu, więc zmiękt* – pomyślała. Wstała z roztagarnieniem i skierowała się w stronę biblioteczki w salonie, gdzie stał telefon.

Kilka minut później kod BIN LADEN zawładnął umysłami ludzi, którzy powinni pilnować ich permanentnej czystości. Wobec obcych uważających, że *homo sapiens* mają wyjątkowo tłuste dusze, brak czujności był nader nieostrożny.

## Nęcenie

Najważniejszym miejscem na Ziemi stał się dom Checków.

A dokładnie wiktoriańsko-ponowoczesny salon, gdzie w biblioteczce obok freudystycznych banialuk spoczywały czytniki pełne najnowszych danych z dziedziny psychologii. Gdyby zajrzeć do apteczki, przy drogich suplementach diety ujrzeć można by arsenik podpisany „NA CERĘ”.

– Jesteśmy strażnikami pokoju – wykladał w tymże miejscu obcy wyglądający niczym Ra. – Ścigaliśmy BIN LADENA, podróżujących w nim oprawców i morderców, gdy przebili się przez tunel i rozbili w waszym świecie.



Podkomendny sekretarza, Thomas Preis, trzydziestopięcioletek o twarzy przywodzącej na myśl angielskiego buldoga, gapił się na postać Pompeo-kobiety, którą jego ludzie właśnie próbowali zbadać. Okazało się to niemożliwe; nie dało się jej dotknąć, prześwietlić ani zredukować. Żadne urządzenia nie rejestrowały tego zjawiska wyglądającego jak holograficzny, pośmiertny żart popapranego oficera Checka.

– Jesteśmy zdani na waszą łaskę. – Kosmiczny brzuchomówca o głowie szakala rozłożył szeroko ręce, nieudolnie naśladowując człowieka. – Przybyliśmy tutaj samą świadomością, ale musicie nas nakarmić, żebyśmy mogli wrócić na autostradę. Nie odejdziemy bez waszej pomocy.

– Co to jest? – Preis wskazał ciężką łapą na postacie Checka i Pompeo, leciutko falujące, ale absurdalnie wyraźne.

– Świadomości z innych wymiarów, Thomasie – odparła niby-sekretarz. Gdyby miała niższy głos i krótkie włosy, a nie długie, szare, skołtunione kudły, naprawdę można by wziąć ją za Olivera. – Przybyliśmy z najbliższego otwartego świata. Wasz nadal jest zamknięty. Nie posiadacie bramki na autostradę. Reptilianie mieli nadzieję się tutaj ukryć, ale musieli użyć zbyt dużej siły, żeby precyzyjnie statek przez szczelinę. Właściwie rozbił się jeszcze przed uderzeniem o ziemię.

*Doskonałe przedstawienie, Bradley* – pomyślał Preis. Amanda postawiła przed nim talerz domowych precelków prezentujących wymyślne wzory. Gospodyni wyglądała, jakby zażywała coś mocnego. Czarna, prentensjonalna woalka zasłaniała jej tylko pół twarzy, czego kobieta zdawała się nie zauważać.

– A bożek nocy i bożek dnia ścigali ich za morderstwa, tak? – dopytywał Thomas.

– Przybraliśmy taką kreację z powodu kotwicy. – Szakal wskazał na Amandę, która zgubiła właśnie kaptur w drodze do kuchni. – Nie mamy żadnej formy w waszym świecie. Przybieramy te dostępne na danym obszarze cumowania.

– Reptilianie to pasożyty – stwierdził pseudo-Ra. – Wchłaniają inne cywilizacje. Ponieważ rosną w siłę, chcieliśmy zaprosić was do wspólnej obrony terytorialnej, włączyć do Unii, podłączyć do sieci autostrad.

Najwyższy czas opuścić kokon, *homo sapiens*. Przepoczwarzyliście się.  
– W jego głosie brzmiało zadowolenie.

Preis nie podzielał tej radości. Zawołał za panią Check:

– Jaki to system? Gdzie jest urządzenie inicjujące? I czy te hologramy mają dla nas jakąś poważną wiadomość, poza grubym żartem?

– Wybacz, Thomasie, ale jesteś tylko płótką. – Pompeo uśmiechnęła się do niego uprzejmie. – Przekaż zapis naszej rozmowy mnie, a na pewno sama... sam tu przybędę.

Preis przekazywał na żywo, ale nie dostał żadnej wiadomości zwrotnej. Zdążył zjeść absurdalnie kunsztowne precelki (niemal czuł wyrzuty sumienia, miażdżąc je w zębach), gdy wreszcie nadeszła informacja, wprost do jego ucha, o zmierzającym na miejsce sekretarzu stanu USA.

## **RAPORT REPTILIANA 2.0**

### **Zwierzenia Eminencji**

250

Dzięki technologii pozyskanej z BIN LADENA potwierdzono obecność pozawymiarowych świadomości w domu oficera Checka – dwóch ludzkich i dwóch „Eminencji” (nazwa użyta przez przybyszy, znajdująca się także w bazie BINL). W opinii przybyszów jeden z Reptilian, spokrewniony z zastrzelonym w 2001 roku pilotem, użył szczeliny do wymierzenia sprawiedliwości Checkowi, uszkadzając jego serce. Dzięki temu naprowadził Eminencje na okno do naszego hermetycznego wymiaru. Eminencje ani ludzie z równoległych światów nie mogą *w całości* dostać się do środka, gdyż – podobnie jak Reptilianie – ulegliby błyskawicznej degradacji jako ciała obce (akta zarejestrowanych od 1833 roku przypadków DO-101). Wejście jako świadomość implikuje możliwość utkwienia w naszym wymiarze, gdyż nie może ona (poza aktami werbalnymi i wizualnymi) oddziaływać na naszą rzeczywistość. Powrót do ciała możliwy jest dzięki złożeniu przez człowieka dobrowolnej ofiary z nieznaczącej ilości krwi (akta szczeg. bazy BINL 200-342).

Nasi naukowcy od dawna zdawali sobie sprawę z takiej natury rzeczy i wyczekiwali podobnej wizyty.

Eminencje wystosowały propozycję zaprezentowania swojej oferty i ukazania otwartych wymiarów. Nastąpił „przełom wszystkiego” (możliwość dotarcia do teorii wszystkiego).

## **Fragment zapisu „Check: Pompeo-Eminencje”**

**22.05.2030**

**Pompeo:** W jaki sposób możecie nam to pokazać?

**Ra:** Możemy zabrać ze sobą świadomość każdego, kto stanie z nami na cumie. Podniesiemy kotwicę i przenikniemy przez szczelinę na nasz statek. Zapewnimy podróżnikom niby-formy doskonale odzwierciedlające ich ciała. Zostawimy jednego z nas jako gwaranta. Ciała podróżników i jego świadomość pozostaną tutaj. Tak jak nam, wystarczy podetknąć powłokom pod nos kroplę krwi, a ich świadomości wrócą.

**Pompeo:** Jesteś w stanie udowodnić tę teorię? W bazie BIN LADENA nie rozkodowaliśmy żadnych informacji na wasz temat. Chyba was nie dziwi, że jesteśmy nieufni?

**Seth:** Nie dziwi. Można to udowodnić tylko przez doświadczenie. Nie ma nic poza doświadczeniem. Nazywacie to empiryzmem.

**Pompeo:** Możemy przejść przez szczelinę własnym statkiem?

**Ra:** Jeśli otworzycie drzwi. Ale my umożliwiamy zwiad przed podjęciem tak ważkiej decyzji.

**Pompeo:** Możecie nas oszukać. Chcieć zaatakować. To wszystko może być ukartowane, Eminencjo.

**Quasi-Pompeo:** *Tabula rasa*, sekretarzu. Jeśli chcesz ją pokryć wiedzą, powinieneś z nami pójść. Pokażemy ci światy, gdzie nie było wojen. Światy, w których było już dziesięć totalnych. Ruiny po wojnach nuklearnych. I wszystko poza Ziemią. To tylko igły w stogu siana. Spaliłeś stodołę Hedermanów. Cztery razy miałeś nawrót hemoroidów. Tylko ty to wiesz. Jestem z najbliższego wam wymiaru. Jestem tobą. Możesz w to wierzyć.



**Pompeo:** Rząd Stanów Zjednoczonych jest odpowiedzialny za swoich obywateli. Nikt poza mną nie powinien ryzykować.

**Quasi-Check:** Musimy zabrać Amandę. To kotwica. I przyda się świadomość jakiegoś naukowca, żebyś wszystko dobrze zrozumiał, Oliverze. Andy Lawrson byłby odpowiedni, ma analityczny umysł, potrafi korzystać z informacji ze statku Reptilian, bawił się w podróże astralne...

**Pompeo:** Muszę się skonsultować i przygotować.

**Ra:** Wiemy. Ale nie możemy na was czekać wiecznie. Wszechświat nie będzie czekał. Jeśli nie wyjdziecie z kokonu, po prostu w nim zgnijecie.

### **Fragment raportu uzupełniającego parapsychologa Anga Zhanga 23.05.2030**

252

Zgodnie z rozwiniętymi badaniami nad teorią Prątnickiej aktualizowanymi o informacje pozyskane z BIN LADENA duch (superświadomość okolona ciałem astralnym) może lawirować między wymiarami. Dostatecznie potężny byt może wpływać na naszą rzeczywistość w miejscu o wystarczająco dużej liczbie śladów pozostawionych za życia przez zmarłego, zamieszkałym przez osobę silnie z nim związaną. Wydaje się, że właśnie ten mechanizm został wykorzystany przez Eminencje i obywateli z bliźniaczych wymiarów. Przybysze nie znaleźli ducha zmarłego oficera Checka – być może rozpoczął on już reinkarnację – skorzystali jednak z bliźniaczych bytów najbardziej związanych z Amandą, by zakotwiczyć świadomości w naszym świecie. W mojej opinii, opartej na danych z BIN LADENA o hermetycznych światach, a także na prawidłach subtelnych poziomów naszej rzeczywistości, zabiegu tego nie sposób zamarkować, a Eminencje rzeczywiście pozostają bezradne, decydując się na kontakt z nami. Pozytywnie oceniam podjęcie z nimi ezoterycznej podróży. To droga ku, być może, wielkiemu postępowi naszej cywilizacji.



## **Poradnik łapacza motyli dla młodych Eminencji, podrozdział: „Dylematy etyczne”:**

*Kiedy motyl pierwszy raz rozkłada skrzydła, a my możemy wskazać mu kierunek lotu, czujemy się jak pionierzy, twórcy, siewcy, smakosze spijający czar dziewictwa. Z pierwszego stosunku można wyssać olbrzymi ładunek energetyczny i wiedzę o tym wszystkie rasy, które jakkolwiek wyczuwają energię. Podobnie rzecz ma się z pierwszym lotem motyla, ale to już wiedza całkowicie elitarna. Nie jesteśmy ani jak Szaraki z Syriusza, ani Jaszczury zza Oriona. Dlatego Kasjopejanie strzegący wejścia do wyższych wymiarów akceptują nasze praktyki. Dzięki nim możemy płacić najwyższe podatki. Nie pasożytujemy przy tym na innych cywilizacjach, nie niszczymy ich ani nie podbijamy.*

*Kradniemy im niewinność.*

*Pozostawiamy biedniejszymi o konkretny rodzaj energii. Namawiamy ich na prawo pierwszej nocy. Jakże łatwo przychodzi stworzeniu, które nie mieści się już w kokonie i rwie do lotu, oddać nam swą czystość! Wciąż powstają hermetyczne światy, miliony pozamykanych kokonów, a gdy tylko nieznacznie pękną, zjawiamy się tam, by wysać potencjał. Jakość cywilizacji nie zmienia się, podobnie jak jakość rozdzielczanej istoty, z której czerpiemy moc. Na tak niskim poziomie rozwoju kosmicznego jak pierwszy lot, nasz czyn nie nosi znamion niemoralnego: owa energia jest zbyt subtelna, aby jej brak zubożył prymitywne cywilizacje z niższych wymiarów. Samodzielnie z pewnością by ją roztrwonili, podniecone perspektywą wzbicia się w powietrze, sprzedały albo zgubiły, jak wielokrotnie to już zaobserwowaliśmy.*

*Tak oto budujemy sobie miejsce wśród elity, wyzwalając się z niebezpiecznych nizin. Należy pamiętać, że ten dojny wymiar pełen pozamykanych kokonów z homo sapiens skazany jest na klęskę. Wierzmy w Motyla Zagłady, który narodzi się w jednej z powłok izolujących od siebie wielkie kolonie Ziemi. Gdy zatrzepocze skrzydłami, rozedrze*

*kokony, a niższe wymiary zostaną stracone, niezależnie od tego, czy ludzka rasa zginie w bratobójczych walkach, czy niepohamowanym rozwojem doprowadzi kosmos do ruiny. Jej potencjał destrukcyjny zdaje się nie do zabicia. Hermetycznych światów jest zbyt wiele nawet jak dla Unii, a ich namnażania nie sposób zatrzymać. Dlatego musimy wycisnąć jak najwięcej energii z niczego nieświadomych dziewic, by zapracować na miejsce w bezpiecznych wymiarach.*

*Nie możecie zapomnieć, by dawać w zamian przyjemność – prymitywną, o nagannej jakości, lecz jak najbardziej intensywną. Nie wolno nam zdestabilizować najniższej warstwy podatników. Uwolnione i okradane motyle potrzebują poznawczych orgazmów. W późniejszej hodowli otwartych światów wystarcza prymitywna powtarzalność znanych już doznań, by powstrzymać przepoczwazzone motyle od buntu. Zresztą, zazwyczaj są zbyt skupione na samozagładzie.*

### **Fragment przepowiedni „Motyl Zagłady” (przekaz wyłapany z bezczasu)**

254

Kiedy Motyl Zagłady przepoczwarzył się w końcu i machnął skrzydłami, zerwał wszystkim ludziom twarze. Niedługo po tym zdarzeniu stałem przed lustrem w łazience zatłoczonego szpitala. Od szyi w górę zmieniłem się w ranę, która nie krwawiła. W głowie kołatały mi niepojęte słowa: OCZYSZCZENIE, JEDNOŚĆ, SIŁA. Gdy motyl odleciał, ujrzałem nowe niebo, tysiące Słońc i z jakiegoś powodu wiedziałem, że wokół każdego z nich kręci się Ziemia podobna do mojej. Oto Wszechświat przestał milczeć. Zaslona została zdarta.

### **Zwodzenie**

Amanda Check, Oliver Pompeo, *quasi*-Bradley Check, Olivia Pompeo i Andy Lawrson znaleźli się poza ziemskim czasem, na statku Eminencji noszącym nazwę Trupia Główka.

Amanda uważała to wszystko za sprawkę zainstalowanego przez Bradleya niewiadomego programu w systemie domu, który wciągnął ją głęboko w, pozał się Boże, fantastyczne wizualizacje. Oliver, jako zapalony scjentolog, był święcie przekonany, że doznaje objawienia i oto wspina się w górę Mostu Całkowitej Wolności, zabierając wraz ze sobą na wyżyny naród amerykański. Andy Lawrson traktował wszystko śmiertelnie poważnie i gromadził wszelkie możliwe dane, wlokąc za sobą kilkudziesięciokilogramową aparaturę badawczą, którą szczęśliwie udało się zabrać razem z podróżnikami. Wszyscy otrzymali kabiny dopasowane do potrzeb – odtwarzały one ulubione pomieszczenia podróżników, jak salon Checków, gabinet Olivera czy laboratorium Lawrsona. Poza kabinami wewnątrz statku zdawało się składać się z zupełnie pustych, jasnych korytarzy, a gospodarze wyrastali znikąd, przyjmując akurat taką formę, o jakiej niedawno myśleli goście – pająka, prezydenta Stanów Zjednoczonych czy dziewczycy Maryi. Zazwyczaj pojawiali się w pojedynkę lub w parach; podróżnicy nie mieli pojęcia, ilu znajduje się na statku ani czy zawsze kontaktują się z nimi te same istoty.

O ile można by spodziewać się jakiegoś podobieństwa co do wystrój kabin osobników z dwóch Ziemi, to w rzeczywistości różniły się one diametralnie. Mieszkania przybyszy z otwartej Ziemi były przepelnione ponurością i brudem, których nie zakrywał nawet podejrzenie gęsty mrok. *Wyzwolona* Olivia i Bradley woleli przesiadywać na korytarzu, który materializował dla nich to, na co mieli ochotę. Jakiś czas po odcumowaniu leżeli w bezbarwnych hamakach zdających się lewitować nad jasną podłogą i pili szarą kawę z przezroczystych kubków, analizując sytuację.

– Nasz szósty lot – zagadnęła bez entuzjazmu kobieta. – Oby chcieli zobaczyć coś nowego.

– Zawsze możemy... – zaczął Bradley, na co Olivia natychmiast fuknęła:

– Błagam cię! Ukarzą nas za sugerowanie czegoś dziewczicom.

Check wpatrzył się ze złością w swój przezroczysty kubek i napój koloru popiołu.

– Prowadzić i nie sugerować, co za parszywa robota. Hermetyczni nie potrafią dokonywać rozsądnych wyborów...

– Dobra, dobra, kolejny raz będziesz wałkował ten temat? Wyrzuty sumienia nie odpuszczają? – Kobieta uniosła rękę nad głowę w geście dezaprobaty. Jej kawa chlusnęła z naczynia, ale zamiast oblać Pompeo, zniknęła w powietrzu. – Wielu ludzi żałuje swojego pierwszego razu, Bradley. Dałam się przerznąć takiemu idiocie...

– Olivia, cholera, mówimy o duszy, nie o dupie! Mówimy o zło-dziejach...

– O koneserach czystości, Bradley. I systemie podatkowym, które-go nie zmienimy. Czemu nie możesz się po prostu przystosować?

– Oj, nie pieprz, że ani razu nie miałaś ochoty powiedzieć dzie-wicom, że...

– Mili goście mają dylematy moralne? Czemu nie dbacie o swoje kręgosłupy? – Znienacka pojawił się przy nich obcy-Superman, dla her-metycznych być może nierozpoznawalny, ale Bradley i Olivia nie zdziwili się na widok albinosa w zgniłozielonym, obcisłym kostiumie, z popielatym S na wątlej piersi. Hamaki płynnie zmieniły kształt na wysokie, biuro-we fotele. Ludzie siedzieli teraz przed gospodarzem z prostymi plecami. Check, wierząc się, spojrział pytająco na towarzyszkę.

– Jakim cudem myślałaś teraz o Supermenie?

– A bo ja wiem? – odparła zdenerwowana Olivia. – Różne rzeczy wypełniają te luki w głowie... Mamy problemy natury technicznej, nie moralnej – zwróciła się do uprzejmie uśmiechniętej Eminencji, ignorując śmieszność jej wyglądu i puste spojrzenie. Obcy nie do końca rozumieli niuanse ludzkich światów i wyglądało na to, że wcale ich one nie ob-chodzą. – Na przykład co, jeśli zechcą odwiedzić wyjąłowione światy? Polecieć do oberwanych skrzydeł, tam, gdzie naprawdę nic już nie ma i...

– I zobaczyliby, co tracą – wtrącił cicho Check.

– Obszar drastycznie się powiększył – naciskała Olivia – nie spo-sób wyjść już poza zasięg. Jeśli nadal będziemy trzymać się landów...

– To problem szalenie łatwy do rozwiązania. – Eminencja stanęła w pozie superbohatera, z rękami na biodrach i wypiętą klatką piersiową.



Bradley roześmiał się, bo wiedział, że jego zachowanie nie obchodzi kosmity. – Natychmiast skusicie ich oszłamiającą alternatywą.

– Mamy nie sugerować. – Olivia upuściła kubek w przestrzeń, a w tym samym momencie pojawił się pod nim popielaty, prosty stolik.

– Zakaz używania sugestii kończy się tam, gdzie zaczynają się obrwane skrzydła – wyjaśnił entuzjastycznie Superman głosem Penelope Cruz, o której pomyślał Check. – Za chwilę zaczynamy. Przygotowani, prawda?

Obcy zniknął. Bradley spojrzął z ukosa na Olivię.

– Czemu moje wizualizacje nie mogą przebić twoich?

Kobieta zamokła i wreszcie się uśmiechnęła.

– Zrozumiałbyś, gdybyś pozwolił sobie na porównanie duszy do dupy.

## **Sprawozdanie z Ziemi Otwartych**

### **Sprawozdająca: Olivia Pompeo**

257

#### **Wybrane Ziemie w liczbie: 30.**

##### **#2**

Duchowisko. Jałowa, martwa planeta z tańczącymi duchami. Na tę Ziemię trafiają wszyscy, przeżywając ekstremalną ekstazę, bo to taka umysłowa dzielnica czerwonych latarni. Podświetlamy dusze tak, że wyglądają jak fosforyzujące, świetliste byty z lepszego świata, obiecujące niemal namacalny cud nieśmiertelności. Amanda i Oliver podziwiają ślady po ludziach, nie zauważając zniszczonej powierzchni planety. Zabawne, że wystarczy nałożenie byle projekcji z innego wymiaru, by zachwycić młodego motyla. Czy rzeczywiście my, jako gatunek, zniszczymy ten poziom rzeczywistości? Która z Ziemi to uczyni, wyłoniwszy się z kokonu niczym biblijny jeździec Apokalipsy?

## #7

Zapylacz. Złota, pełna pyłu Ziemia stanowiąca nektar dla motyla, którego urodziła, zamiast drzew obrośnięta chybotliwymi pręcikami. Woda jest tutaj gęstsza, rozlewiska wyglądają jak aksamitne płatki. To fantastyczna pułapka na dziewicze osobniki; większość podróżników chce oglądać siódmkę, wdychać zatrutą słodycz planety pełnej wizualizacji wielkich paziów królowej, złocistej na zewnątrz, gnijącej wewnątrz. Andy złapał się najmocniej, ledwie chodzi, zapomina o tych swoich badaniach i pomiarach. Energia cieknie tu z naszych oglupionych dziewic nieco mocniej, wabiąc niewidoczne dla ludzkiego oka drapieżniki. Teraz ci napaleńcy będą szeptanym kosmicznym marketingiem nęcić motyle obietnicami widoków i promocji w swoich światach...

## #12

258

Immanentnik. Ziemia po czwartej wojnie światowej, która wbrew obiegu opinii nie odbyła się na kamienie, a na impulsy pozwalające manipulować ludzkim mózgiem. Andy i Oliver są oczarowani, mimo że ludzie wyglądają tu inaczej: nie dbają o zewnątrz, pieczołowicie pielęgnują natomiast swoje psychiczne jestestwa. Wszechobecna brzydota drażni, ale i pociąga Amandę. Przestrzeń poszatkowana impulsami mąci umysły podróżników. Ciągniemy za sobą korowód akwizytorów, naganiaczy i złodziei, całą tę masę przyssaną do systemu podatkowego, której Eminencje nie neutralizują z tylko sobie znanych powodów. Bradley biegnie z miotłą i odgania nieproszonych gości od okien; nie mam pojęcia, dlaczego nie wpadnie na to, żeby zwizualizować sobie lepszą broń, jakiś miotacz promieni, namnażacz antymaterii albo coś w tym rodzaju.

Czemu pierwszy lot musi być taki niebezpieczny, a wola dziewic manipulowana przez całą kosmiczną drobnicę opryszków? Dlaczego właśnie w ten obrzydliwy sposób zazwyczaj traci się dziewictwo?

Pierwszy nietypowy wybór. Rżnięte cnotki wybrały Szklaną Bakterię. Wyzlifowane wiatrem, przezroczyste i mlecznobiałe góry pokrywające powierzchnię tej planety zupełnie zahipnotyzowały motyle. Andy szaleje, bo wszystko, co tutaj zbiera, w próbkach zmienia się w piasek. Drobiny są wszędzie, niesione przez porywiste podmuchy. Wszyscy mają wysuszone, przekrwione oczy, a dłuższy pobyt zaowocowałby zdartą skórą. W tym świecie mieszkają szklane byty, które Oliver uparcie nazywa ludźmi z lodu. Prowadzą koczowniczy tryb życia, szukając osłon od wszechobecnego wichru. Kiedy już znajdą niszę, materializują się, a ich powłoki pozostają w bezruchu. Amanda bardzo pochwala taki stateczny żywot. Egzystencja szklanych toczy się w świadomościowych bańkach, gdzie – jako architekci snów – zbudowali zastępczą cywilizację. Możemy tam zaglądać, zapadając w drzemki.

Nie wiem, kto namówił motyle na tę autodestrukcyjną podróż. Są zakrwawione, uszkodzone, a podczas snu rżnięte dwa razy mocniej. Nam nie wolno nic sugerować, a kosmiczny śmieć miota nimi na prawo i na lewo. Eminencje pozwalają każdej łachudrze rozdzwierzczać Ziemię, beznamiętnie podkładając ręce pod cieknącą energię...

Ludzie wysypiskowi zaciągnęli zmęczonych podróżników na swoje Śmieci. Żal patrzeć, zwłaszcza że my z Bradleyem też tutaj trafiliśmy podczas naszego pierwszego lotu. To jeden z cholernie starych otwartych światów, gdzie ludzka tłuszczka zniszczyła siebie i wszystko wokół w sposób tak raptowny, jakby między nimi a ich Układem Słonecznym zaszła nazbyt gwałtowna reakcja chemiczna. Oliver chciałby wszystkich wyleczyć, łązi z tym e-metrem scjentologów (jakim cudem jakakolwiek wersja mnie wplątała się w taki kult?). W swoim mniemaniu chyba rehabilituje te ścierwa o rozłożonych duszach, tkwiące w martwych miastach, gdzie nawet maszyny dawno już zżarła zaraza. Myśli tych strzępów przypominają

mi krew Obcego z filmów Ridleya Scotta – potrafią rozpuścić każdą tkankę. Nasze rozdziewiczone motyle są już bardzo chore na ciele i najpewniej także na umyśle, ale niewiele czują. Eminencje znieczulają je, a nam nakazują uśmiechać się entuzjastycznie.

#30

Przegląd Ziem kończymy tradycyjnie, na Baleronach. Dotarliśmy do nich po Wyspach Szczęśliwych, które do reszty otumanily hermetycznych, a dodatkowo ostatecznie rozdarły miękką tkankę ich delikatnego wnętrza. Niewinność musi już w nich dogorywać, choć niepokojący jest brak podstawowych oznak rozdziewiczenia u tych motyli. Kiedy patrzę na nie z boku, z perspektywy własnych doświadczeń wydaje mi się nierealne, że upojone stosunkami, ale przecież świadome jednostki, ze skomplikowanymi systemami filozoficznymi opartymi na rozumie, dają się tak zbałamucić. Słodkie słówka, banalne iluzje, w większości puste obietnice tego, czego sami niby nie osiągną. Podróżnicy są już obdarci i powinni być zatruci, cenny pyłek na skrzydłach ulotnił się niemal w całości. Powoli rodzi się w nich wstyd, choć jeszcze nie znają jego źródła, jeszcze nie potrafią dopuścić do siebie myśli o kradzieży. Wszak przyniosła im tanią frajdę, doznania, które wciąż w nich buzują. Lecz już zaczynają czuć w kiszkach, że ten szampan był z najniższej półki. Tak się dawać... Ktoś powinien edukować przepoczwarczających się hermetycznych, szeptać im ostrzeżenia, a nie obietnice chuci, związków i laurów.

Balerony ociekają tłuszczem. Amanda, Oliver i Andy chłepcą go, niemal się w nim kąpią, czując złudną ulgę. Ból jeszcze do nich przyjdzie, na razie o tym nie myślą. Chwila wytchnienia przemija zbyt szybko. Trupia Główka tkwi w morzu rekinów, które wciąż chcą jeść, wyssać resztki błony, zasiać swoje ziarno.

Nie jestem w stanie przewidzieć, jakiego motyle dokonają wyboru. Wciąż mają swoją hermetyczną siłę, ale i naiwność. Czy pójdą podglądać innych ludzi w kokonach, by ujrzeć swoją klęskę? I nie dadzą już rady obejrzeć nieludzkich światów? Czy też obiorą odwrotną drogę

i obejrzymy dziedzinę tych, którzy chętnie się brakiem *homo sapiens* w swoich włościach, a motyle pomyślą, że choć są zarazą, to miały szczęście spotkać Eminencję?

Amanda jest ledwie żywa, lecz o dziwo wydaje się upojona własnym zbezczeszczeniem. Ona może namówić resztę na podróż przez tunel Unii Światów, gdzie – jak sądzę – wbrew obietnicom Eminencji nigdy nie przyjmą naszego gatunku, choć pobierają od nas tak horrendalne podatki. Może wreszcie ujrzą Unię. Choć raz.

## **Rozkradanie**

Amanda tęskniła za Bradleyem. Ten, który im towarzyszył, szczerzył się nieustannie, a jednocześnie patrzył na nią jak na zbitego psa. Brakowało jej oschłości prawdziwego męża, który kochał ją na swój sposób. I po-niewierał jedynie ciałem, nie będąc w stanie tknąć czystego, boskiego ducha. Teraz jej świadomość, jej nienaruszone dotąd jestestwo spuchło. Rozumiała już, że to żadne wizualizacje ani hologramy, a porwanie przez diabły. Czowała jednak, że nie odarto jej z niczego cennego. Jakby akt agresji był już dawno za nią albo dokonał się gdzieś obok. I miał jej zapewnić życie. Nosiła w sobie to przeświadczenie niczym talizman i uważała, że pochodzi ono od Najwyższego.

Więcej, wydawało jej się, że oto odpowiada za los całej ludzkości. Nie miała pojęcia, że jest motylem w kokonie, uważała się za to za owcę wywleczoną ze stada. Musiała pokazać, że Pańskie owieczki są nietykalne. Jakże ciągnęło ją do diabelskich dziedzin, by obserwować grzech nieludzkich istot! Ale nie, ona, dama z prezbiteriańskiej rodziny Smithów, będzie trzymać się świętości. Poza tym – nie wiedzieć czemu – wydawało jej się, że słyszy ten irytujący, ale jakże ukochany głos męża, który zachęca ją do trzymania się boskich zasad. Czasem była wręcz pewna, że rejestruje jego sylwetkę kątem oka, ale nigdy nie mogła dostrzec twarzy.

## Sprawozdanie z Punktu Decyzyjnego

Sprawozdająca: Olivia Pompeo

Zgłosiłam Eminencjom moje wątpliwości. Rozdziewiczany motyl niemal wcale nie krwawi. Przyznali, że dlatego nim poniewierają. Cieknie z niego niewiele energii. Musiał zostać uszczknięty wcześniej. Być może błona pękła za sprawką BIN LADENA.

Nasi podróżnicy wybrali. Amanda chce jednak „patrzeć na niewinne”. Reszta jest temu przychylna. W człowieku tkwi natura podglądacza. Pewnie nigdy nie zobaczą Unii.

### Rozerwanie

Na pierwszy rzut oka trudno było to dostrzec. Amanda uważnie oglądała z okna statku ośmioplanetarny Układ Słoneczny, ale nie widziała bariery. Trupia Główka zbliżyła się do ciał niebieskich na pewną odległość, zatrzymała, po czym podróżników zaproszono na taras widokowy w kształcie czaszki. Kosmici wizualizujący się w formie świetlistych aniołów, o których prezbiterianka nieustannie myślała (*Ratujcie nas, niebiańskie zastępy*), włączyli jakieś ustrojstwo na burcie. Przed pojazdem rozlało się fioletowe światło, które uwidocznilo olbrzymią powłokę, oddzielającą osiem planet i ich Słońce od reszty kosmosu.

*Jak zwalisko grzechów odgradzających od Stwórcy* – pomyślała Amanda. Lecz czy aby na pewno? To kosmos zdawał się zepsuty i czyhający na niewinność bezpieczną w kokonach.

– Pani Check, proszę podejść – zachęcił skrzydlaty o twarzy Anioła Stróża z obrazu Hansa Zatzki. Reprodukacja wisiała w salonie Amandy.

Kokon był tuż za burtą. W dotyku lepki, włóknisty, pulsujący, obdarzył skórę kobiety kojącym ciepłem kontrastującym z zimnem kosmosu. Eminencja ostrożnie włożyła w powłokę coś na kształt cienkiej lunety. Spojrzała wyczekująco na kobietę.

– Proszę zerknąć.

Czując mdlący głód, kobieta spojrzała przez szkiełko.

Ujrzała oko Bradleya.

Wytrzeszczone i spękane, lecz pełne wyrachowania i spokoju, przewiercało ją na wylot. Patrzyła w nie bez ruchu ani żadnej myśli, póki z tyłu nie dobiegł głos Olivera:

– Co widzisz, Amando? Są tacy jak my? – Miał strach w głosie i kobieta nie wiedziała, co budzi w nim to przerażenie: możliwe podobieństwo tutejszych Ziemian do znanych mu ludzi czy druga opcja: ich zupełna odmienność.

*Jest nas wielu, czy też stanowimy byty jedyne w swoim rodzaju?*

*Mają tego samego Boga czy innego?* – przemknęło jeszcze przez głowę wdowy, wiedziała skądś jednak, że nigdy już nie pozna odpowiedzi.

– Powinna widzieć szlam i zgniliznę – oznajmił złotowłosy anioł. Amanda oderwała oko od lunety i zerknęła na niego. Niezależnie od przybranej formy, oczy Eminencji zawsze były martwe i nieruchome. – To jeden ze światów, który nam odmówił. Tapla się we własnych ekskrementach zbyt długo i próbuje zatrzymać przepoczwarczenie. Nie znajdziecie w tutejszych sektorach zbyt wiele upragnionej niewinności.

– Powinniście się cieszyć ze swojej decyzji i podróży – zawtórował czarnowłosy skrzydlaty. – I powiedzieć nam wszystko o tym, kto mógł was okraść z cnoty. Panie Pompeo? Panie Lawrson?

Runęła na nich lawina trzasków i statkiem zakołysało. Elementy konstrukcji prawego boku Trupiej Głównki uleciały w przestrzeń, niszcząc w locie i zmieniając się w popiół niby palony papier.

*Tyle warta ta wasza potęga* – pomyślała Amanda. Nie umiałaby wyjaśnić, co się dzieje, ale całą sobą czuła boski zamysł zdarzeń.

Na taras wspiął się szary kosmita. Miał długie palce, obłe ciało i wielką głowę, której połowę zajmowały czarne oczy. Dokładnie taki, jak ten opisywany przez Bradleya. Przybysz coś powiedział, ale zagłuszyły go odgłosy pęknięć kokonu. Szarak podszedł do aniołów. Te wydawały się zbyt zaskoczone, by jakkolwiek zareagować. Uznając siebie za królów, najwyraźniej nie spodziewały się ataku *pospólstwa*.

– Pokażę wam, parszywce, jak rozwalić cały system podatkowy waszymi niewyparzonymi mordami – warczał kosmita w języku, którego

motyle nie umiałyby określić, ale go rozumiały. – To nie był najlepszy pomysł, straszyć wszystkich wylapanymi przekazami z przyszłości. Macie nas za idiotów, a jednak niespodzianka, przejmujemy stery.

Myśli Szaraka musiały być wyjątkowo silne, bo Eminencje zmieniły kształt. Stały się szaroniebieskimi, tłustymi paskudami przypominającymi pasożyty z ludzkich trzewi. Na długich odwłokach unosiły spłaszczone łby z jednym gadzim okiem.

– Takie są atuty skorzystania z praw bezczasu, zasańcu! – splotnęło z czaszki odstręczającego stwora, który jeszcze chwilę wcześniej zakręcał sobie blond loki wokół alabastrowych palców. – Mamy was wszystkich w garści i przeciskamy się do wyższych wymiarów! Właśnie wycisnęliśmy ostatni sok z tej dziwki!

– Kłamiesz! – Szarak wycelował palec w rozdygotanego robaka. – Zabraliśmy im niewinność. Brakuje wam pary, żeby się stąd wydostać. Poza tym, jakie prawa bezczasu? Jest jedno prawo: nie podsłuchuj bezczasu. Zignorowaliście je, butne gnoje, no i proszę.

– Jak... – Eminencja podpełzła do leżącej na pokładzie lunety, zawinęła wokół niej ogon i wsunęła przedmiot w szczelinę drżącego konu. Po chwili odskoczyła do tyłu przerażona. – Nielegalna kolaboracja z niedojrzałą duszą! Porwaliście i zasadziliście hermetycznego ducha na tym gnijącym bagnisku!

– Głupcy! Skala zniszczeń jest nie do przewidzenia! – zapiekliła się druga Eminencja, kołysząc łbem jak wściekły wąż.

– Trzeba było nie rozgłaszać sposobu na rozbitcie banku – warknął Szarak.

Kokon pękł. Amanda ujrzała utęsknionego, zmartwychwstałego męża, który rozwinął skrzydła, zrywając jej twarz.

*Odarcie z grzechu* – ucieszyła się pani Check. Jej duch pozostał czysty.



## **Magdalena Świerczek-Grybos**

Urodzona w 1990 roku. Podwójny licencjat, podwójny magister i doktorantka filozofii. Na konferencjach naukowych mówi tylko o fantastyce. Współtworzy portal [fantastyka.pl](http://fantastyka.pl) jako Naz. Sporadycznie publikuje artykuły publicystyczne („Nowa Fantastyka”, „Smokopolitan”) i naukowe. Nagradzana w konkursach poetyckich (m.in. nagroda pierwszego stopnia Turnieju Jednego Wiersza O Laur Jubilata 2009, wygrana w konkursie Stella Polaris 2014) oraz prozatorskich (m.in. drugie miejsce w konkursie Świetlne Pióro 2014, publikacja w antologii na dziesięciolecie Creatio Fantastica). Czeka na swój pełnoprawny debiut w wydawnictwie SQN, w marcu tego roku zadebiutowała opowiadaniem w „Nowej Fantastyce”. Odpowiedzialna za konkurs „Jestem legendą”. Nałogowo uprawia urbex, leczy weltschmerz okładami z kotów oraz strofuje męża, żeby oddał pada.



# TOPIEL

Natalia Wójcik

Zegar wskazywał dwudziestą drugą trzydzieści.

Znużony, machinalnie zaczynałem liczyć znikające pod kołami białe linie na jezdni. Lecący z płyty soundtrack z „Władcy Pierścieni” był jedyną rzeczą, która trzymała mnie jeszcze na jawie.

Gdy telefon zawibrował, podskoczyłem, wyrwany z zamyślenia. Wstrzymując oddech, zerknąłem na wyświetlacz i jęknąłem. Przeczekałem jeszcze kilka sygnałów, po czym odebrałem.

– Cześć, kochanie – przywitałem się, z trudem przełykając gulę w gardle.

– Obiecałeś.

Jej głos zupełnie nie zdradzał złości. Nie cierpiałem, gdy tak mówiła. To było jeszcze gorsze od krzyków i przekleństw.

– Skarbie, ja...

– Obiecałeś, że zostaniesz na tę kolację. Że choćby kosmici wystąpili do prezydenta z prośbą o wywiad z tobą, to zostaniesz i razem będziemy świętować moje urodziny. Uwierzyłam ci na słowo i przyszłam. Nawet nie zdążyłam wejść do restauracji, kiedy dostałam SMS-a od ciebie, że właśnie wyjechałeś z Cambridge.

– Jess, tym razem to naprawdę ważna sprawa. Wysłali mnie do Orchardleigh, bo jestem ekspertem, jeśli chodzi o upiory. Musiałem...

– Nie, nie musiałeś – przerwała ostro. – Zrozumieliby, gdybyś odmówił. Ale tego nie zrobisz, bo ode mnie wolisz uganianie się za jakimiś demonami czy czymś takim.

– Gdy wrócę, zrekompenśuję ci to. Naprawdę.

– Nie chcę. I wiesz co? Chrzań się.

Usłyszałem sygnał przerwanej połączenia. Zakląłem. To była moja piąta dziewczyna od czasu skończenia studiów. Ta wytrzymała najkrócej.

Wiedziałem, że w tej dziedzinie nie będzie łatwo. Nie miałem zwykle problemów z nawiązywaniem nowych znajomości, ale gdy dochodziliśmy do punktu „Czym się zajmujesz?“, mój rozmówca najczęściej pospiesznie wykręcał się ważnym spotkaniem i oddalał na bezpieczną odległość.

Kryptozoolog to nie naukowiec ekscytujący się każdą wzmianką o kosmitach. To spec od badania istot nadnaturalnych – na przykład wszelkiej maści upiorów. Właśnie tym się zajmowałem, a w dodatku pracowałem także jako dziennikarz śledczy dla czasopisma „Misty World” wydawanego dla społeczeństwa nadnaturalnych. Społeczeństwa X.

Idealny kandydat na wybranka serca, czyż nie?

Pociągnąłem duży łyk zimnej już kawy, którą kupiłem na stacji benzynowej. Skrzywiłem się – smakowała jak rozwodnione mleko.

Wiadomość od mojego asystenta Mike’a przyszła niespodziewanie, była krótka i dziwnie enigmatyczna.

*Kościół St. Mary, Orchardleigh. Poważna sprawa. Albo Ty, albo nikt. Migusiem. Spotkamy się na miejscu.*

– *Za pół mili dojedziesz do celu* – oświadczył ciepły kobiecy głos dobywający się z GPS-a.

Skręciłem i moim oczom ukazał się otoczony drzewami mały kamienny kościółek Saint Mary. Zbudowany w trzynastym wieku, łączył styl gotycki z romańskim. Sprawiał wrażenie wyrwanego z odległych czasów i wrzuconego w dwudziesty pierwszy wiek, w którym miejsca takie jak to zbyt często mijano obojętnie.

Przejrzałem się we wstecznym lusterku. Potargany, z dwudniowym zarostem i podkrążonymi oczami wyglądałem po prostu bosko. Potwory uciekną z wrzaskiem.

Powietrze na zewnątrz było rześkie i zacząłem żałować, że nie wzięłem nic cieplejszego od flanelowej bluzy. Świat dokoła zdawał się uśpiony. Cisza – przerywana tylko szumem jesiennych liści – otulała niewielką świątynię z czułością matczynych ramion.

Tuż pod bramą z kutego żelaza stał zaparkowany czerwony, utyłany błotem pick-up. Ziemia i piach zakrywały lakier na drzwiach i masce ze starannością godną lepszej sprawy.

– O proszę, kto to przybył z odsieczą! A już myślałem, że zapomniałeś.

– Wpadłem do mieszkania po rzeczy... – próbowałem się usprawiedliwiać, ale wtedy Mike zaśmiał się tubalnie i poklepał mnie po ramieniu swoją niedźwiedzią łapą.

– Daj spokój, żartowałem!

Michael Spritestone nie tylko był Kanadyjczykiem z dziada pradziada, ale i odpowiadał wszelkim moim dziecięcym wyobrażeniom na temat przedstawicieli tego narodu. Wielki, o barach szerokości lodówki dwudrzwiowej i dłoniach, które wyglądały na zdolne do kruszenia kamieni. Ponad gęstą, czarną brodą średniowiecznego zbója spoglądały wesole, szare oczy. Wizerunku dopełniała czerwona, kraciasta koszula i czapka z daszkiem. Jednym słowem: stereotypowy drwal. I zgodnie z tym stereotypem, mimo aparycji baribala, odznaczał się poczuciem humoru i jowialnością dobrego wujka.

– Skoro już tu jestem, to możesz wyjaśnić mi, o co chodzi?

– Oczywiście. – Odchrząknął, jakby przymierzał się do deklamacji wiersza. – Sześcioro nastolatków urządziło imprezę w pobliskim domku letniskowym. Z relacji jednej z dziewczyn, jedynej ocalałej, nawiasem mówiąc, wynika, że pozostali utopili się w jeziorze. Twierdzi, że widziała ducha.

Wzruszyłem ramionami, starając się opanować narastającą irytację.

– Wiele osób, kiedy czuje na karku oddech śmierci, „widzi” duchy, upiory, teściową albo poborcę podatkowego.

Mike pokręcił stanowczo głową.

– Zdaje się, że to nie był zwykły zwid. Poza tym łowca wyczuwa tu jakąś negatywną aurę, co zdawałoby się potwierdzać tezę z duchami.

Moja irytacja zaczęła powoli rosnąć do rozmiarów złości.

– Jaki łowca? – wycodziłem.

Mike uśmiechnął się z niewinnością dziecka.

– Centrala przysłała do pomocy łowcę potworów, eksperta. Podobno charakteryzuje się zaskakująco... ludzkim charakterem. Jak na... takich jak on. No wiesz.

– Wiem – warknąłem.

Stanowczo nie byłem w nastroju na uganiecie się za jakimiś wiedziami. Miałem na koncie rozwiązane sprawy, o których moi współpracownicy mogliby tylko pomarzyć. I to jeszcze zanim Centrala ściągnęła mnie z rodzinnej Minnesoty do Anglii. Diabeł z New Jersey, raptor z Georgii, wendigo, Płacząca Kobieta, Gray Man, Mist... Do dziś mam w pokoju zdjęcie, jak ściskam łapę Bestii z Bray Road, która nie okazała się zresztą tak agresywna, jak się mówiło. Zezwolono mi nawet na prowadzenie badań na temat Mothmana na własną rękę. W Europie moje osiągnięcia nie były aż tak duże, choć stanięcie (niemalże) twarzą w twarz z biesem, leszym czy banshee to też nie byle co. A teraz wysyłali mnie do sprawy na jakimś odludziu, w dodatku w dniu urodzin mojej dziewczyny. I to w towarzystwie przeklętego łowcy! Doskonale wiedzieli, że wolę pracować jedynie we własnym towarzystwie.

– Dobra, to gdzie on jest? – spytałem z rezygnacją.

– Mówił, że idzie na brzeg jeziora rozeznaczyć się w sytuacji. I wiesz – Mike podrapał się nerwowo po zarośniętym policzku – on wcale nie jest aż taki zły.

– Nie chwał dnia przed zachodem słońca – mruknąłem, wchodząc na teren kościoła.

Mike poprowadził mnie za budynek, skąd przeszliśmy przez niewielki cmentarz. Zaraz za nim znajdowało się jezioro. Rozejrzałem się.

Księżyc tuż przed pełnią świecił jasno i latarka, którą wziąłem na wszelki wypadek, okazała się zbyteczna. Miejsce tchnęło spokojem.

– Nie ma go – stwierdziłem, pielęgnując w duchu naiwną nadzieję, że znudziło mu się i sobie poszedł.

– To nie to jezioro.

– Co?

– Są dwa – wyjaśnił cierpliwie mój towarzysz. – Nie krzyw się tak, to zaraz obok.

Orchardleigh Lake było znacznie większe. Na brzegu wznosił się niewielki domek. Prosty, ładny, zadbane, z dużymi oknami. Panowały w nim egipskie ciemności. Przez chwilę miałem irracjonalne przeświadczenie, że nie był jednak zupełnie pusty – ktoś stał tam, skryty w mroku, i obserwował każdy nasz ruch. Poczułem, jak włosy na karku stają mi dęba.

Wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu i kapeluszu przechadzał się powoli wzdłuż linii wody. Odwrócił się dokładnie w momencie, gdy podeszliśmy. Pomimo że wiedziałem, czego się spodziewać, i tak drgnąłem na jego widok.

Łowcami potworów najczęściej zostawały licze – istoty powstałe poprzez „obudzenie” duszy zmarłego i wezwanie jej z powrotem do ciała. Wiedziałem na ten temat tylko tyle, że proces był dość skomplikowany, zależny od wieku duszy i czasu oderwania od ciała po śmierci. W każdym razie porównanie licza do zombie stanowiło dla niego śmiertelną – cóż za ironia – zniewagę. Zombie nie posiadał duszy. Jedyne, czym się kierował, to podstawowe instynkty. Licz zaś to istota kreatywna, logicznie myśląca i posiadająca osobowość, a jeśli chodzi o ciało – mająca tylko kości.

Co do metod pracy, to łowcy potworów tak naprawdę niewiele różnili się od kryptozoologów. Ci drudzy wykorzystywali swoją wiedzę jako konsultanci, ci pierwsi – w praktyce. Różnica mniej więcej jak między detektywem a snajperem.

Roboczy strój licza wyglądał zwyczajnie: oprócz płaszcza oraz kapelusza składała się na niego czarna koszulka, glany i spodnie bojówki. Przez pierś przechodził mu na krzyż skórzany pas, jedyny osobliwy

element – zapewne na plecach pod płaszczem miał ukrytą pochwę z mieczem.

Spojrzenie pary lśniących błękitem źrenic – małych punkcików w głębi oczodołów – ślizgało się po mnie oceniająco. Jakby łowca oglądał konia na targu. Tylko czekałem, aż zajrzy mi w zęby. Zamiast tego wyciągnął kościstą dłoń.

– Jared Hartmann. Cieszę się na myśl o naszej przyszłej współpracy.

– Wzajemnie – rzuciłem szorstko, ściskając mu prawicę. Była nieprzyjemnie chłodna i twarda w ten dziwny... martwy sposób. – Martin McGrooth. Kryptozoolog praktyk...

– Tak, wiem – przerwał, puszcżając moją rękę i na powrót skupiając się na jeziorze. – I nie musi się pan wysilać przy wymuszonych uprzejmościach. Widzę, iż nie pała pan do mnie sympatią i, szczerze mówiąc, wcale się nie dziwię.

– Słucham? – Nieco zaskoczył mnie tą otwartością.

– Mało kto lubi nawiązywać kontakt z osobą martwą od paru ładnych lat. Choćby i sprawiała wrażenie wcale rześkiej. Więc niech się pan nie męczy. Wolałbym, aby w naszej drużynie wszyscy byli ze sobą szczerzy. – Wcisnął dłonie w kieszenie płaszcza. – Ale nie jesteśmy tu w celach towarzyskich.

Weszliśmy na wszystkim nam dobrze znany grunt i napięcie wywołane niewygodną rozmową zaczęło nareszcie opadać.

– Właśnie, podobno zauważył pan coś ciekawego?

– Owszem. Całe jezioro ma silną, negatywną aurę.

– W sensie: złą?

– W sensie: smutną – poprawił z naciskiem. – Wypełnioną rozpaczą, zniechęceniem. Tak jak w miejscu czyjejś nieszczęśliwej śmierci czy na cmentarzach. – Machnął ręką, obejmując tym gestem jezioro. – Jest wyjątkowo silna, bo zginęło tu kilka osób. Mimo to sposób, w jaki kumuluje się w jednym miejscu, wskazuje na nietypowe podłoże, odmienne od takiego, które powstaje na skutek zwykłego utonięcia.

Mike, do tej pory milczący, zmarszczył brwi i mruknął:



- Sugerujesz więc, że...?

- Raczej nie potopili się po pijaku – dokończył Jared.

Spojrzałem na dom.

- Czy ta dziewczyna, która przeżyła, była zdrowa? Nie miała depresji, zaburzeń psychicznych, problemów w szkole, nie czuła się odrzucona przez rówieśników?

- Co masz na myśli? – zapytał mój asystent ze zdziwieniem.

Rozłożyłem ręce.

- Przyjęcie na kompletnym zadupiu, pięcioro martwych nastolatków i jedna żywa dziewczyna zwalająca winę na siły nadprzyrodzone. Nic was to nie dziwi?

Widząc ich zdumione spojrzenia, pokręciłem głową z dezaprobatą.

- U was, w Anglii, nigdy nie mieliście takich akcji? Osobiście się czymś takim zajmowałem. Nastoletni chłopak, według słów jego matki absolutnie zdrowy, zorganizował z okazji swoich szesnastych urodzin imprezę dla kręgu najbliższych znajomych. Pod namiotem, w górach. Wyróżnął wszystkich i stwierdził, że jakiś potwór napadł ich w środku nocy. Dlatego mnie wezwali. Dzieciak musiał czytać sporo fachowych książek, bo zadbał o wiele wiarygodnych szczegółów dotyczących zarówno potwora, jak i zatarcia śladów. Naprawdę ciężko było połapać się, że to on. A podobno wszystko miało być z nim w porządku. Trzeba też przyznać, że zaimponował mi kreatywnością...

- Nie, wszystko było z nią okej – przerwał Jared stanowczo. – Podkreślam: b y ł o. Jak słyszałem, bardzo źle zniosła całą sytuację. I ta aura nie jest na tyle nowa, by mogła powstać skutek morderstwa tej piątki. Jest starsza o co najmniej kilka tygodni. A poza tym czy coś nie rzuca się wam w oczy?

Posłałem mu spojrzenie spode łba. Szkielet uśmiechał się ironicznie. I dopiero po chwili dotarło do mnie, że przecież on nie mógł tego robić. Świadomość uśmiechu zrodziła się gdzieś w moim mózgu.

Przyjrzałem się tafli wody. Westchnąłem ze zrozumieniem.

- Nie ma ani jednej zmarszczki.

Brak reakcji otoczenia na zjawiska pogodowe stanowił podstawowy sygnał wskazujący na obecność upiora. Jezioro gładkie mimo wiatru, sucha polana podczas deszczu, drzewo, którego nie ima się ogień, gęsta mgła w upalne południe – to tylko nieliczne przykłady takich wskazówek.

Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza, jakby wszyscy czekali, aż tajemnicza istota wychynie z wody z potępieńczym wrzaskiem i zażąda ofiary. W końcu odezwał się Mike, jakby lekko rozzarowany:

– I co dalej?

Łowca przeciągnął się, a my usłyszeliśmy nieprzyjemne trzaski kręgosłupa.

– Moja propozycja jest taka: trzeba zasięgnąć języka.

– Od kogo konkretnie? – spytałem, owijając się szczelniej bluzą; na całym ciele czułem już ukłucia chłodu bijącego od wody i ugryzienia wygłodzonych komarów.

– Proponuję, żebyście poszli do tej młodej.

– A pan?

– Proponuję też, żebyśmy zrezygnowali z tego oficjalnego tonu. I nie martw się – prychnął. – Nie będę się lenić. Zamierzam pogadać z tutejszym pastorem. Może coś wiedzieć.

– Ty, z pastorem? – parsknąłem śmiechem.

– Zapewniam, że nie odrzuca mnie od kościołów. Za życia należałem do wierzącej rodziny.



Jak następnego dnia rano udało nam się dowiedzieć, niedoszła ofiara nie była w najlepszym stanie psychicznym, dlatego też większość czasu spędzała w domu. Anna Bartońliszko pochodziła ze Wschodniej Europy. Miła, cicha i dobrze ucząca się dziewczyna. Mieszkała w ładnym domu na skraju Beckington.

Rudowłosa kobieta, która nam otworzyła – zapewne jej matka – dobiegała czterdziestki, była mocno piegowata i atrakcyjna. Wrażenie

silnej, cieszącej się życiem osoby psuły jedynie głębokie cienie pod oczami – świadectwo ostatnich ciężkich dni i nieprzespanych nocy.

– W czym mogę panom pomóc? – zapytała głosem uprzejmym, choć nieukrywającym zmęczenia.

– Martin McGrooth, dziennikarz śledczy gazety „Arcane”, a to mój asystent, Michael Spritestone – przedstawiłem nas. – Chciałbym porozmawiać z pani córką. Sądzimy, że nad jeziorem doszło do morderstwa.

Przykrywką pracy dla „Arcane” posługiwaliśmy się wobec zwykłych ludzi, żeby przypadkiem nie natrafili na trop czasopisma, dla którego naprawdę pracowałem.

Kobieta skrzywiła się sceptycznie.

– Nigdy nie słyszałam o takiej gazecie. I bardzo mi przykro, ale Anna nie jest w nastroju do udzielania jakichkolwiek wywiadów. Staramy się odciągnąć jej myśli jak najdalej od tamtych wydarzeń, dlatego...

– Ależ rozumiem! – zapewniłem, nakładając na twarz maskę profesjonalnego współczucia. – To z pewnością było traumatyczne przeżycie. Potrafię sobie wyobrazić pani niepokój. Mimo wszystko nalegam. Pani córka to jedyna osoba, która widziała całe zajście i jest w stanie je zrelekcjonować.

– A może istnieje jakieś miejsce, które budzi w niej szczególnie dobre wspomnienia? – zapytał do tej pory milczący Mike.

Matka utkwiała w nim podejrzliwe spojrzenie i odparła:

– Kawiarnia przy Kościele Chrześcijan Baptystów w Beckington.

Mój asystent, jak zwykle niezastąpiony, posłał jej ten swój rozbrajający uśmiech.

– To co, spotkanie o siedemnastej?



Choć początek był dość pochmurny, to reszta tego odcinka mojego życia zapowiadała się naprawdę ładnie. Kościółek Saint Mary, w pokrzepiającym blasku popołudniowego słońca, otoczony przez wirujące na wietrze liście, wyglądał jak magiczna kapliczka z jakiejś bajki albo legendy o królu

Arturze. Podobno często wynajmowano go na ceremonie ślubne. Nie dziwiłem się; wewnątrz skromnej, średniowiecznej świątyni wypełniały drewniane elementy o ciepłych barwach, nadające mu przytulny charakter.

Pastor, którego tam zastaliśmy, był niewysoki, siwiejący i raczej nie należał do najszcuplejszych. Okulary w cienkich oprawkach zsuwały mu się na nos. Tym razem Jared zamienił czarny płaszcz na kurtkę narciarską w wesołym kolorze pomarańczy. I muszę przyznać, że ledwo go poznałem – miał ciało. Wyglądał absolutnie normalnie. Wysoki, chudy jak badył brunet. Zwykły dwudziestokilkulatek. Jedyłą rzeczą niepasującą do obrazka były bardzo gwałtownie reagujące na światło źrenice i chorobliwie blada skóra pokryta siatką blizn po szwach.

Zanotowałem w myślach, by później poruszyć temat tej nieoczekiwanej metamorfozy. Podeszliśmy do Jareda i duchownego, pogrążonych już od jakiegoś czasu w rozmowie.

– Przykro mi, ale, jak już mówiłem, nie dysponuję żadnymi informacjami, które mógłby pan uznać za przydatne – powiedział pastor z autentycznym żalem. – Nie znałem za dobrze tych dzieci, tylko niektórych ich rodziców. Osobiście poznałem tylko jedną dziewczynkę, Elisabeth. Niezwykle mądra i miła, strasznie jej szkoda. – Westchnął ze smutkiem. – W ogóle nie znam tej, która przeżyła. Jak jej było, Bar... Barton... Bartonlisho?

– Bartońliszko – poprawił Jared uprzejmie.

– O, właśnie! Ale zgadzam się, że to nie mógł być zwykły wybryk.

– A czy ktoś wcześniej zginął tu, w okolicy jeziora? Wskutek utożsamienia na przykład?

Pastor zmierzył go czujnym spojrzeniem, ale piwne oczy licza nie zdradzały nic a nic. Przez chwilę wahał się, jakby oceniał, ile może powiedzieć temu, bądź co bądź, dziwnemu osobnikowi, po czym przytaknął powoli:

– Ta-ak... Utopiła się tu dziewczyna, Emily Solitude.

– Wypadek?

– Nie, niestety. Samobójstwo. Miała depresję, ale nikt nie podejrzewał, że podejmie aż tak radykalne kroki. Biedactwo...

- Miała jakiś powód? Zostawiła wiadomość?
  - Nie, nie zostawiła żadnych wyjaśnień. Ciało znalazł jej ukochany podczas porannego pływania w jeziorze. Wspaniały chłopak, nawiasem mówiąc. Bardzo mocno to przeżył, ale trzyma się dzielnie.
  - No dobrze, a kiedy to się wydarzyło?
  - Gdzieś z miesiąc temu.
- Spojrzeliliśmy po sobie z Mikiem z podekscytowaniem. To było to. Jared podziękował pastorowi i wyszliśmy przed kościółek.
- Zanim przyszlście, dowiedziałem się, że dziewczyna leży na cmentarzu Frome Dissenters' – oznajmił licz. – Zaraz tam jadę. A wam jak poszło?
  - Spotykamy się z Anną Bartońliszko dopiero o siedemnastej. Wsparł się pod boki.
  - Super. To jedzie ktoś ze mną?



Ku mojej rozpaczy Mike został oglądać domek nad jeziorem, a ja miałem pojechać z Hartmannem na cmentarz. Facet nie miał samochodu, więc wzięliśmy mój.

Pełna napięcia cisza zaczynała robić się nieznośna, dlatego w końcu nie wytrzymałem i zapytałem:

- To ciało... to iluzja?
- Tak. – Licz natychmiast się ożywił.

Wiedziałem, że istniało wiele rodzajów magicznych złudzeń. Najprostsze mogły zwieść tylko wzrok. Dla przykładu, gdyby w futrynie umieścić taką iluzję drzwi, nie dałoby się ich otworzyć, a jedynie przejść p r z nie. Łatwe do stworzenia i zlikwidowania, wymagały niewiele energii. Złożone zaś wyglądałyby jak drzwi, przypominałyby je w dotyku i zapachu, a otwierane wydawałyby autentyczny dźwięk. Takim iluzjom na dłuższą metę trzeba by załatwić jakieś pokaźne źródło mocy.

- Pewnie ciężko jest ją podtrzymać?

- Kwestia przyzwyczajenia. - Licz wzruszył ramionami. - Energię czerpiemy w tym celu ze światła, wszystko jedno, czy słonecznego, czy księżycowego, czy sztucznego.

- Jak te kości właściwie trzymają się kupy?

Spojrzał na mnie spode łba.

- Co to, kryptozoolog i nie wie?

- Nigdy nie interesowałem się nekroidami.

- W żywym ciele dusza pełni funkcję ogniwa, ale to pewnie wiesz, nie?

- No raczej.

- Właśnie. A w martwym służy też jako spoiwo. Na tyle mocne, żeby byle wiaterek nie zwał mi głowy.

- A brak mózgu nie sprawia problemów? - zażartowałem. Poczułem na sobie piorunujące spojrzenie Jareda, lecz zdjąłem z twarzy uśmiezek dopiero, gdy zobaczyłem we wstecznym lusterku, jak bardzo był głupkowaty.

- Nie, nie sprawia - rzucił sucho licz. - Naukowcy spekulują, że w żywym ciele dusza zakotwicza się w mózgu jako najważniejszym organie. Ale stwierdzenie „myśleć żołądkiem” nie jest błędne. To dusza odpowiada za procesy myślowe, a jej umiejscowienie nie ogranicza się do jednej części ciała.

Znów zapadło milczenie. Zaczął padać deszcz. Wielkie krople uderzały o przednią szybę z takim hukiem, jakby ktoś tam na górze zdecydował się przeprowadzić bombardowanie. Wycieraczki skrzypiały cicho na szkle. Po upływie kilku minut zapytałem ponownie:

- Skąd masz te blizny?

- Iluzja ciała mniej więcej odtwarza wygląd, jaki miałem na po-grzebie. Byłem... w kawałkach, delikatnie rzecz ujmując.

Zerknąłem na niego kątem oka.

- Ile ty właściwie masz lat?

- Dwadzieścia siedem plus dwanaście po śmierci.

- A ile spędziłeś jako licz?

- W sierpniu minął... rok.

Dziwne nuty w jego głosie zwróciły moją uwagę. Wyglądał na... zdziwionego. Jakby sam nie zauważył, kiedy minęło tyle czasu.

- Młodo zginąłeś. Wypadek?

Skrzywił się.

- Można tak to nazwać.

Zauważyłem, że z nieobecny wyrazem twarzy zaczął drapać bliźnię okalającą mu połowę szyi.

- Co się stało? Karambol samochodowy?

- Nie.

- A co?

- Nie chcę o tym mówić – warknął i zamilkł.



Wizyta na cmentarzu niewiele nam pomogła. Nagrobek dziewczyny był skromny, zadbane, najwyraźniej regularnie odwiedzany. U jego stóp stał wazonik z więdnącymi już powoli kwiatami. Tuż nad nimi znajdował się napis:

**Emily Solitude**

**1997-2016**

**Niech jej dusza spoczywa w spokoju**

*Tak – pomyślałem – właśnie widać, jak spoczywa w spokoju.*



Równy o siedemnastej przyszedłem do kawiarni. Czekając, zamówiłem espresso. Anna spóźniła się prawie dziesięć minut. Przywitała się cicho, ze wzrokiem wbitym w ziemię, i usiadła naprzeciw mnie. Jej matka rzuciła mi surowe spojrzenie i zniknęła w butik naprzeciwko.

- Mam na imię Martin, chciałbym zadać ci kilka pytań.

Brak reakcji. Kelner, który przyniósł mi kawę, spojrzął na nowo przybyłą i zapytał, czy coś podać. Bez odpowiedzi. Kupiłem jej więc pu-char lodowy. Przecież wszystkie dzieciaki lubią lody.

– Wiem, że to dla ciebie trudny temat – zacząłem powoli i delikatnie – i twojej mamie nie podoba się, że chcę z tobą o tym rozmawiać. Ale jesteś jedyną osobą, która jest w stanie dokładnie zrelacjonować mi, co się wtedy wydarzyło.

Cisza. Dziewczyna nie reagowała tak długo, aż zacząłem myśleć, że w ogóle nie odpowie, kiedy odezwała się, bardzo cicho i szybko, niemalże wypluwając słowa:

– Dobrze wiem, co widziałam. Ale nie powiem panu, bo nie uwierzy pan. Jak wszyscy. Jak wszyscy poleci zaraz do mojej mamy i zasugeruje wizytę u psychiatry.

– Możesz mi powiedzieć. Uwierzę w każde twoje słowo – zapewniłem, pochylając się do niej nad stołem. – Właśnie dlatego chciałem o tym z tobą mówić. Bo ty to widziałaś.

Spojrzała na mnie wilkiem. Dopiero teraz miałem okazję zobaczyć jej oczy: duże, okrągłe, jadowicie zielone. Idealnie kontrastujące z rudymi lokami.

Długo milczała, w końcu jednak przemówiła:

– Od razu mówię, że oni nic nie pili, nie ćpali. Nagle w środku nocy po prostu rzucili, co akurat mieli w rękach, i wyszli. Poruszali się jakoś tak dziwnie, jak w transie. Jak jakieś zombie. Zaczęli wchodzić do wody. Ta woda była... nienormalna, zupełnie się nie ruszała, nie marszczyła, jak powinna. Jak smoła. Próbowалам ich powstrzymać, krzyczałam. Nie reagowali. Kiedy chciałam wyciągnąć Lisę na brzeg, odepchnęła mnie tak mocno, że upadłam. Zanurzyli się w całości. Woda była zupełnie gładka, tylko na środku burzyła się jak przy sztormie. Wszędzie była mgła. I właśnie tam, nad środkiem jeziora, zobaczyłam ją. – Zadrżała.

Skinąłem zachęcająco głową.

– To była... kobieta. Okropnie chuda, brzydka, w poszarpanej sukni. Całe płyty skóry z niej zwisały. Była ohydna.

Wzdrygnęła się, po czym podjęła łamiącym się głosem:



– Nie wiem, ile nie wychodzili, dla mnie trwało to całe lata. Czulałam się, jakby mnie coś sparaliżowało, nie byłam w stanie nawet pobiec po pomoc. Sama nie wiem, czy to strach czy coś innego... W każdym razie nagle jezioro ich wypluło. Całą piątkę. Wyrzuciło ich na brzeg. Martwych. – Oczy wypełniły jej się łzami. Walczyła przez chwilę ze sobą, jedząc lody. Milczałam. Czulałam, że byłem blisko. Odniosłem wrażenie, że dziewczyna chce mi jeszcze coś powiedzieć, ale gdy wciąż się nie odzywała, zapytałem:

– Co wiesz o Emily Solitude?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– W listopadzie utopiła się w jeziorze. Dokładnie dwunastego.

– Znałaś ją?

– Była dziewczyną brata mojej przyjaciółki, Elisabeth. Tej, co teraz zginęła. Byli świetną parą. Ale Josh... On lubił poszaleć. Podobno kiedyś nazwał ją przy ludziach schizofreniczką i panikarą. Co prawda był już wtedy wstawiony... No i nie było jej przy tym. Powiedziała jej o tym była Joshua. Właściwie to nikt inny nie poświadczył... Ale wie pan, jak to bywa.

– Wiem.

– No właśnie. Em miała depresję, była okropnie wrażliwa. Boję się, że po prostu mocno w nią to ugodziło. Dlatego się zabiła. I jeszcze ta data, rocznica ich pierwszego spotkania. Sądzę, że to właśnie o to chodziło. Kropla, która przelała czarę goryczy.

Poczułem, jak przyspiesza mi puls. To było właśnie to.

– Jak układało się między Joshem a jego siostrą?

– Uwielbiał ją. Jego małą, słodką Lisę.

– Twoi przyjaciele też go znali?

– Pewnie. Cała czwórka. Byli przyjaciółmi od dziecka, różnica trzech lat między nimi a Joshem to nie tak wiele.

– A ty?

– Nie. Oni wszyscy od urodzenia mieszkali tutaj. Jedynie Sophie pochodziła z Londynu, ale przeprowadziła się tu w wieku trzech lat. Ja jestem tu zaledwie od roku. Tylko się kumplowaliśmy, nie byłam do końca członkiem paczki. Wiesz, oni stanowili nierozzerwalną drużynę. Wszędzie

razem. Przyjaciele *forever and ever*. Na ostatnią imprezę zaciągnęła mnie Lisa.

I tak oto ostatni element układanki wskoczył na właściwe miejsce.

Uścisnąłem dziewczynie dłoń, nie mogąc powstrzymać tryumfalnego uśmiechu.

– Dziękuję ci z całego serca.

– Pomogłam? – zapytała niepewnie.

– Mało. Ty praktycznie rozwiązałaś całą sprawę – zapewniłem gorąco. I całkowicie prawdziwie. – Jak tylko sprawa się skończy, jako pierwsza o wszystkim się dowiesz, obiecuję.

Odwzajemniła uścisk. Na jej twarz po raz pierwszy ujrzałem szczery uśmiech. Bardzo ładny zresztą.

Dokładnie w tym samym momencie wróciła jej matka. Na widok twarzy córki popłakała się ze szczęścia.

Gdy Anna siedziała już w samochodzie, kobieta, wciąż ocierając łzy radości, ścisnęła mnie za rękę, jakby bała się, że zniknę jak marzenie senne.

– Jak pan to zrobił? – zapytała łamiącym się głosem.

– Zadałem jej swoje pytania. Ona odpowiedziała. – Posłałem jej dumne, tryumfujące spojrzenie. – I wreszcie ktoś jej uwierzył.



Gdy powtórzyłem wszystko pozostałym członkom mojego małego zespołu, na jakiś czas zapadła cisza.

– I wszystko jasne – mruknął Jared w końcu. – Topielnica.

– Co? – zapytał Mike lekko nieprzytomnie, wyrwany z zamyślenia.

– Jaka topielica? Ten robak?

– Topielnica – poprawił go dobitnie. – Upiór słowiański, nic dziwnego, że nie znasz. Nie występuje w tej waszej Ameryce.

A widząc wyczekujące spojrzenie, westchnął ciężko i popatrzył na mnie.

- Znam temat, ale bez szczegółów. Nie miałem dotąd zbyt dużej styczności z upiorami, a o tym konkretnym słyszałem wyjątkowo mało - przyznałem.

Jared skinął głową ze zrozumieniem.

- Nic dziwnego, ten rodzaj jest wyjątkowo rzadki. Słyszeliście o południcach i północnicach? To duchy kobiet, które zmarły tuż przed, po lub w trakcie ślubu, czyli tak zwane nuptialnice, od łacińskiego *nuptiae*, „ślub”. Stawały się upiorami, które co dzień lub noc pojawiały się w miejscu swej śmierci, o ile było ono opuszczone lub z dala od ludzi. W innym przypadku, a więc najczęściej, ukazywały się na polach.

Popatrzył po naszych twarzach i widząc konsternację Mike'a oraz moje zaciekawienie, zadowolony ciągnął dalej:

- Jak zapewne wiecie, północ oraz dwunasta w południe od zawsze odgrywają wielką rolę we wszelkiego rodzaju rytuałach. Południe jest momentem, w którym siły światła, dobra, są największe. Może to właśnie jest przyczyną, że południce nie zawsze zabijają... od razu. Lubią się pobawić. Zadają zagadki i grają o życie, niegdyś rolników, którzy w największy upał pracowali w polu.

- Skąd się biorą? - spytałem.

- W zależności od przyczyny śmierci, na ziemi trzymają je różne rzeczy. Może to być niewłaściwie przeprowadzony pochówek, co przecież zdarzało się w średniowieczu często; w przypadku choroby może to być ukochany przedmiot kobiety, który nie został zniszczony bądź pochowany wraz z nią. W przypadku morderstwa upiór szuka zemsty. Jakiego by nie miał jednak powodu, lubi okaleczać, męczyć. I zabija wszystkich, którzy są jakoś związani z jego mordercą, momentem śmierci lub weselem.

- Jak rozumiem, nasza szkarada to ten sam rodzaj zjawy, tyle że jej powstanie związane jest z topielą i samobójstwem - stwierdził Mike, opatulając się ciałniej narzuconą wcześniej wiatrówką.

- W rzeczy samej - przytaknął Jared, zupełnie ignorując wzmagający się przenikliwy wiatr od strony wody. - Nie może zabrać spokoju, dopóki nie wciągnie pod wodę kogoś, kto mógłby zająć jej miejsce. Jeśli jednak ktoś ją utopił lub istnieje osoba, która bezpośrednio przyczyniła

się do tragedii, topielnica zabija wszystkich, którzy związani są z tą osobą. Podobnie jak nuptialnice.

- Czyli że pogrążona w depresji Emily skończyła ze sobą przez głupotę tego chłopaka i teraz szuka na nim zemsty, mordując jego przyjaciół i siostrę, którzy wystawili jej się jak na talerzu, wszyscy razem? – podsumowałem. Jednocześnie w myślach wyrzucałem sobie kompletny brak przezorności: szara flanelowa bluza nie wystarczała, by powstrzymać ukłucia zimna i wygłodniałe komary.

- Dokładnie – przytaknął.

- I co teraz? Da się to coś anihilować? – zapytał Mike, jak zwykle ochoczy do działania.

Żrenice Jareda przygasły nieco.

- Nie bardzo.

- A ta twoja zabawka? – Wskazał na charakterystyczne wybrzuszenie tam, gdzie licz skrywał broń.

Jared wyciągnął miecz. Na pierwszy rzut oka wydawał się zwyczajny, acz elegancki – smukły, o wygiętym w stronę główki jelcu. Gdy licz przesunął delikatnie palcami po klindze, wzdłuż krawędzi nieśmiałym szmaragdowym blaskiem zaśniły runy.

- Envrvyll – zaczął powoli. – Stop stali, srebra i animy. Anima jest jedynym materiałem zdolnym przeciąć niematerialne i uszkodzić matrycę magiczną. Tym – zakreślił sztychem powolną ósemkę – da się anihilować upiora. Ale ja nie potrafię walczyć, stojąc po pachy w wodzie. O staniu na niej już nie wspominam. A weźcie pod uwagę, że topielnica pojawia się na środku jeziora i bynajmniej nie zamierza opuścić postęrunku. Chyba żeby ją zwabić...

Skrzywiłem się.

- To co zamierzamy? Wystawić jej chłopaka, tak po prostu?

To była tylko ironia, nie myślałem o tym na poważnie. Gdy zobaczyłem spojrzenie tych przeklętych żrenic, na początku nie wierzyłem. Zwłaszcza gdy Jared dodał beznamiętnie:

- Zazwyczaj najprostsze rozwiązanie jest tym najlepszym...

Jęknąłem z rozpaczą.

- Ty chyba nie mówisz poważnie?! Jezu, ten świat już...



- ...kompletnie zwariował! To wszystko miało miejsce kilka miesięcy temu! Nie możecie wreszcie dać temu spokoju?

Znajdowaliśmy się w niewielkim pokoju, który wyglądał, jakby dosłownie chwilę temu przetoczył się tędy huragan – gruby ciemny dywan zastany był ubraniami, książkami (głównie dark fantasy i Stephen King) oraz pudełkami po pizzy. Nad łóżkiem wisiało kilka plakatów filmowych, między innymi z najnowszej części „Gwiezdných Wojen”, starego już „Smętarza dla Zwierzaków” z osiemdziesiątego dziewiątego i nowiutkiego „To”. Słowem – wpakowaliśmy się prosto do nory typowego nastolatka z kategorii „Co, że ja nie dam rady? Potrzyjmy mi piwo!”.

I tak właśnie na pierwszy rzut oka wyglądał niejaki Joshua Cooperton – wysoki chłopak (przewyższał mnie o dobre dziesięć cali) o sylwetce pływaka, ciemnych włosach rozrzuconych w artystycznym nieładzie i z jakimś bliżej niekreślonym tatuażem nieśmiało wyglądającym spod czarnej koszulki z napisem „I DON'T CARE”. Josh patrzył na nas z wyrazem osłupienia i oburzenia na twarzy.

Mieliśmy szczęście i chłopak akurat był sam w domu. Z początku odnosił się do nas nieufnie, ale gdy przeszliśmy na temat Emily, zaraz wpuścił nas do środka. Z jego słów wynikało, że rodzice właśnie (czyli o dwudziestej drugiej trzydziści) byli na urodzinach kuzynki.

- Nie wiem, co bierzecie, ale chyba czas zmienić dilerę – zawyro-kował, krzyżując ręce na piersi.

Rzuciłem Jaredowi poirytowane spojrzenie. To był jego pomysł, żeby gadać z małym, więc niech teraz sam sobie z nim radzi. Licz – zupełnie niezbity z tropu – wcisnął ręce do kieszeni i odparował:

- Nie sądzisz, że okoliczności śmierci twoich przyjaciół były trochę... nienormalne?

- Może i tak, ale mimo to nie wierzę w istnienie jakichś tam elfów, duchów i chodzących trupów!

– To ostatnie akurat łatwo da się zmienić. Martin, byłbyś tak dobry i zgasił światło?

Zerknąłem na niego niespokojnie. Licz zaczynał z grubej rury, to trzeba przyznać. Mimo to spełniłem prośbę bez słowa.

Młody przez chwilę patrzył na niewyraźną w ciemnościach, acz wyraźnie wychudłą twarz. Wtedy jednak Jared rozsunał poły płaszcza i zadarł koszulkę.

Josh w osłupieniu wpatrywał się w odsłonięte, nagie żebra.

– Niezłe przebra...

Nie skończył, bo wyciągnął rękę, przecisnął palce między kośćmi i zamknął je na kręgosłupie.

Shok nie trwał długo. Już po chwili odskoczył z dziewczęcym piśkiem.

– To jest chore – jęknął.

– Wiesz, dlaczego Emily się zabiła? – zapytał Jared bez ogródek, obciążając z powrotem podkoszulek.

– N-nie. Miała depresję, więc nigdy nic nie wiadomo.

– Josh... Mogę mówić do ciebie po imieniu? Super. Więc, Josh, twoja dziewczyna po śmierci doprowadziła do zgonu bliskich ci osób. Sądzimy, że mści się na tobie. Jedynym sposobem, by ocalić życie twoich kumpli i rodziny, a także twoje, jest konfr...

Wtem rozbrzmiał cicho utwór „The Road of Trials” Austina Wintory’ego z gry „Podróż”. Licz spojrział na nas przepraszająco, po czym cofnął się nieco, by odebrać telefon.

– Tak? Cześć, Mike. Coś się stało?

Przez chwilę dało się słyszeć tylko rozgorączkowany głos po drugiej stronie. Następnie Jared zakończył ledwo słyszalnym „kurczę”, po czym rozłączył się i potoczył po nas pełnym napięcia spojrzeniem, które zatrzymał na chłopaku.

– Czas, żebyś określił, w co wierzysz, Cooperton.



Zegar w moim samochodzie wskazywał za cztery minuty północ, gdy zaparkowaliśmy przed domkiem letniskowym od strony drogi dojazdowej. Wysiedliśmy i udaliśmy się na brzeg jeziora. Delikatna mżawka sprawiała, że byłem już zupełnie zamarznięty, a więc i zły.

Mike, skryty w cieniu drzew, wskazał drżącym palcem środek jeziora.

Woda kotłowała się tam, jakby pod powierzchnią budził się do życia od dawna uśpiony gejzer.

– Widzicie to? To jest... Co to za jeden? – zapytał, marszcząc krzaczaste brwi, gdy zauważył naszego nowego towarzysza.

– Przepraszam. Joshua Cooperton – zmytygował się chłopak, wyciągając rękę.

– A, to ty. Miło mi.

– Wzajemnie – wycharczał, rozmasowując dłoń zmiążdżoną w niedźwiedzim uścisku.

Tymczasem Jared, przyjrawszy się dziwnemu zjawisku, mruknął:

– Przywitaj się z dziewczyną, młody.

Bo oto zawrzało jeszcze mocniej, po czym z ciemnej jak bezdenna otchłań wody wynurzyła się koścista dłoń, a zaraz po niej cała reszta.

Gdy rozmawialiśmy w domu Coopertonów, miałem okazję rzucić okiem na zdjęcie zakochanych. Emily Solitude była naprawdę piękną kobietą o długich ciemnych włosach, bladej cerze i smutnych oczach barwy hebanu. Kiedy ujrzałem ją nad jeziorem...

Skołtunione włosy unosiły się wokół jej głowy jak chmura dymu; oko wypełniła furia, drugie wyjedzone zostało przez wodne stworzenia. Skóra zwisała płatami z nagich kości wraz z resztkami mięśni i ścięgien. Jasna niegdyś sukienka teraz przypominała raczej brudny, postrzępiony całun oplatający zniszczone ciało czy raczej to, co z niego zostało.

– O mój Boże – wychrypiał Josh, nie mogąc oderwać wzroku od swojej bylejk.

Topielnica przez chwilę kręciła się nad powierzchnią wody, aż nagle wyczuła naszą obecność i obróciła twarz w kierunku domku. Powoli przesunęła się w jego stronę. Poczułem na sobie zimne, martwe,

a jednocześnie wściekle spojrzenie. Zaraz jednak cała uwaga zjawy skupiła się na stojącym obok mnie chłopaku.

Z poszarpanego gardła wydobył się straszliwy wrzask. Potępieńcze wycie narastało z każdą chwilą.

Ta piekielna symfonia zakończona została dramatycznym, niemalże teatralnym gestem: dziewczyna wyciągnęła przed siebie rozcapierzoną dłoń, wskazując w naszym kierunku palcami przywodzącymi na myśl długie, zakrzywione szpony.

Josh padł na kolana. Niewidzialna siła zaczęła ciągnąć go po piasku w kierunku jeziora. Usiłował zapierać się nogami i rękami, lecz nic z tego. Z gardła chłopaka dobył się zduszony krzyk.

Spojrzałem na Jareda z przerażeniem.

- No zrób coś, do cholery!

Ale on nie drgnął. Sam nie potrafiłem postawić się takiej istocie. Po raz pierwszy w życiu czułem się tak bezradny. Z prawdziwym upiorem zetknąłem się dwa razy. Ostatnio jakieś pół roku temu, w Irlandii. Tamta banshee to była najstraszniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. Dzięki Bogu, miałem tylko potwierdzić jej obecność i pozwolić działać fachowcom od wypędzania potworów.

Mój pierwszy raz miał miejsce wiele lat temu. W ramach praktyki terenowej wraz z kolegami z roku mieliśmy zająć się Płaczącą Kobietą. Choć, przyznam szczerze, osobiście jej nie widzieliśmy, zebraliśmy jednak twarde dowody na jej istnienie. Dlatego też patrząc na topielnicę, zrozumiałem, że jeszcze przez długi czas będę miał koszmary.

- Emily, nie! Czekaj! - wrzasnął w końcu młody, w panice usiłując odsunąć się od wody obmywającej mu łydki.

Na dźwięk swego imienia upiór się zawahał. Josh natychmiast wykorzystał sytuację:

- Dlaczego to robisz? Co ci zrobiłem?

W pierwszej chwili sądziłem, że topielnica nie odpowie. Zrobiła to jednak syczącym, zachrypniętym głosem:

- *Jeszcze pytasz, zdrajco?*

- Co? - bąknął osłupiały.



– Powiedziałaś, co o mnie myślisz. Przy ludziach. Że jestem schizofreniczką. Psychiczną. Myślałam, że mnie kochasz, ty dupku, a przez cały czas miałeś mnie gdzieś.

– Kto ci to powiedział?

– Olivia.

Wykrzywił twarz we wściekłym grymasie i dźwignął się na kolana.

– Co za świnią, zabiję ją... Em, ja byłem pijany! Gadałem bzdury! Poza tym, nie powiedziałem, że masz schizy. Tylko że jesteś nerwowa. Znasz Olivię, ona cię nie cierpi. Chciała rozwalić nasz związek i tyle!

Przez chwilę panowała cisza.

– A więc mnie kochasz?

– Oczywiście!

– Udowodnij.

Zdębieliśmy.

– Ale jak? – zapytał oszołomiony Josh.

Może mi się tylko zdawało, ale miałem wrażenie, jakby resztki warg topielnicy rozciągały się w dziwnym uśmiechu: połączeniu smutku i złośliwości.

– Pocałuj mnie.

Zapadła pełna napięcia cisza, podczas której upiór powoli przysunął się do brzegu. Josh wstał niepewnie, ale niemalże bez wahania podszedł do niego na miękkich nogach. Oblizał spierzchnięte wargi, po czym zacisnął oczy. Gdy znów je otworzył, lśniła w nich determinacja.

Ręka Jareda powędrowała w stronę miecza, ale nie wyciągnął broni. Zapewne tak jak ja liczył, że – podobnie jak w bajkach – pocałunek ukochanego wszystko naprawi.

Powoli, jak w transie, Josh zbliżył się do Emily. Wsunął rękę w jej tłuste włosy, musnął kciukiem odsłoniętą linię zębów. Przysunął się jeszcze.

Po czym wziął głęboki wdech i z całej siły przyłgnął wargami do czaszki topielnicy.

Przez moment nic się nie działo. Potem Josh zamarł, a jego skóra zaczęła się marszczyć. Już po chwili jego zasuszony trup leżał na piasku,

obejmując szkielet Emily Solitude. Zapadła cisza, którą zakłóciło jeszcze tylko jedno ciche wyznanie, które potoczyło się nad spokojną już taflą jeziora:

- *Nareszcie będziemy razem...*



Nawet nie zauważyłem, że wstrzymuję oddech. Gdy tylko zbliżyliśmy się do martwej pary, zaatakowałem Jareda:

- Jak mogłeś być taki obojętny?! Miałeś możliwość, żeby ocalić mu życie, a zamiast tego stałeś tylko i patrzyłeś!

Licz obrócił się w moją stronę z kamienną twarzą.

- Anihilacja duszy jest trudna. To całkowite zniszczenie istoty. Jak wiesz, dusza to kumulacja energii życiowej, wypełniającej cały świat. Nagłe zniszczenie jej kawałka może spowodować zmiany w otoczeniu, podobnie jak wyginiecie gatunku może zachwiać ekosystemem.

- Naprawdę? – bąknął Mike, zszokowany widzianą przed chwilą sceną.

- Tak. Może wyschłoby jezioro, może wybuchłby niekontrolowany pożar, zniszczyłby las i zabił osoby z pobliskiego miasteczka. Może zwierzęta z tego lasu zapadłyby na dziwną chorobę albo zaczęły mutować. Pomijam fakt, że wpływa to także na osoby z bezpośredniego otoczenia. Ja mógłbym tylko wpaść w katatonię na kilka dni. Jestem martwy, nie mam ciała, które można by uszkodzić. Ale wy to co innego. Może obudzilibyście się jutro z dodatkowym palcem albo nowotworem złośliwym. A może padlibyście na miejscu z nieznanym medycznie przyczyn. Podjąłbyś to ryzyko? Chłopak dotknął topielnicy z własnej woli i nikt z nas nie miał pojęcia, co się wydarzy.

Przez moją głowę przelewało się prawdziwe tsunami myśli – zbyt szybko, bym którąkolwiek mógł wyłowić i uczepić się jej jak tonący brzytwy. Dlatego milczałem, a licz po chwili kontynuował, teraz już ciszej, niemalże szeptem:

– Łowcy potworów to nie zabójcy. My utrzymujemy porządek w społeczeństwie X, a także równowagę między nim a ludźmi. Nie zmienisz tego, co się stało. Ale postaw się na moim miejscu. Z tą wiedzą. To taka praca domowa. Zastanów się, co ty byś zrobił, i spróbuj przewidzieć skutki.

To powiedziawszy, odszedł.



Skulony na tylnym siedzeniu swojego samochodu zaparkowanego na stacji benzynowej w Beckington ciasniej owinąłem się starym kocem. Mżawka już dwie godziny temu przeszła w prawdziwą ulewę. Wielkie, ciężkie krople agresywnie bębniły w szyby i dach.

Ze zmęczenia nie byłem w stanie myśleć, jednak nie mogłem też zasnąć. Wtem rozległo się buczenie wyciszonego telefonu. Zerknąłem na wyświetlacz. Pierwsze, co do mnie dotarło, to fakt, że było wpoł do trzeciej nad ranem. A drugie – że dzwoniła Jess.

Starając się stłumić ziewanie, odebrałem.

– Tak?

– Żyjesz?!

Zamrugąłem, przez chwilę próbując zebrać myśli. Te jednak odskakiwały ode mnie za każdym razem, gdy próbowałem się zbliżyć, dlatego wydukałem tylko:

– Wszystko okej?

– Mike przed chwilą dzwonił i mówił, że jak widział cię ostatnio, gdy policja skończyła was przesłuchiwać, miałeś taką minę, jakbyś szedł skakać z mostu, więc się przeraziłam i...

Mówiła bardzo szybko, wyraźnie przestraszona. Przerwałem jej:

– A ty odebrałaś? Jest środek nocy! Przecież zawsze masz wyciszony telefon.

Na chwilę zapadło krępujące milczenie, aż w końcu dziewczyna zaczęła nieśmiało:

– Nie bardzo mogłam spać... Wiesz, przemyślałam wszystko i doszłam do wniosku, że... między nami nie musi być koniec. Jesteś super gość, serio. Co powiesz na mały kompromis? Ja uszanuję twoje nagłe wyjazdy, a w zamian ty wprowadzisz mnie w ten twój mistyczny świat, co ty na to?

Mój mózg reagował dwa razy wolniej, niż powinien, dlatego dopiero po kilkunastu sekundach udało mi się przeanalizować to, co usłyszałem. Poczułem, jak rozterki minionego dnia i wspomnienie śmierci Josha zostają na chwilę przykryte falą radości. Co prawda życie z wiedzą o społeczeństwie X stanowi gigantyczną odpowiedzialność, ale to mogliśmy przedyskutować później. Twarzą w twarz.

– Jasne, kotku – odparłem, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Spotkamy się wieczorem u mnie?

– Może lepiej u mnie – zaproponowała ze śmiechem – bo jak cię znam, to w twoim mieszkaniu po powrocie będzie bajzel.

Huk deszczu zmienił się w uspokajający szum. Ale i tak przez resztę nocy nie mogłem zasnąć. Podobnie jak przez wiele następnych.

I muszę przyznać, że zadanej mi minionego wieczoru przez Jareda „pracy domowej” odrobić nie potrafiłem.

## **Natalia Wójcik**

Rocznik 2002. Mieszka w niewielkiej wsi pod Warszawą. W przyszłości chce zostać weterynarzem. W wolnym czasie rysuje, gra na skrzypcach i pianinie (najchętniej soundtracki), gra w gry wideo, przegląda wszelkiej maści bestiariusze, słucha szant, a także pisze i czyta fantasy oraz thrillery. Gdy szuka „czegoś lżejszego”, zazwyczaj sięga albo po Terry’ego Pratchett’a, albo Stephena Kinga. Zapalona fanka Wiedźmina i kryptozoologii. Kociara, ma własny świat, do którego ucieka w każdej wolnej chwili. Fascynuje ją medycyna i temat życia pozaziemskiego oraz „życia po życiu”. Cyniczna, nie lubi działania pod dyktando, braku koncyliacyjności, koloru różowego i krokietów.

# REKOJEŚĆ Z MASY PERŁOWEJ

Maciej Musialik

Jednego z tych jesiennych wieczorów, gdy czuć już wilgoć nadchodzących deszczy, a powietrze wokół świateł latarni zdaje się gęstnieć jak mgła, Placem Wacława idzie człowiek. Choć nie jest już młody, a na jego twarzy widać zmęczenie, trzyma się prosto. Echo jego miarowych kroków niesie się po fasadach kamienic jak odległe tykanie zegara.

Niemal przez cały czas patrzy na chodnik, nie podnosząc wzroku na przechodniów. Nie myli jednak drogi. Mimo że nie był w tej okolicy od wielu lat, doskonale pamięta, w który zaułek skręcić i w którą wejść bramę.

Drzwi na klatkę schodową są otwarte, więc od razu kieruje się na drugie piętro. Gdy dociera do właściwego mieszkania, przez dłuższą chwilę stoi na wycieraczce i uspokaja oddech. W końcu zbiera w sobie wystarczająco dużo odwagi, by nacisnąć dzwonek.

Otwiera mu kobieta. Zadbana, około czterdziestki, z błyszczącymi oczami, w których jednak coś gaśnie na jego widok.

- Co tu robisz? - pyta lekko drżącym głosem.
- Dobry wieczór, Rachelo. Możemy porozmawiać?
- Skoro musimy - rzuca gospodyni, tym razem trochę pewniej, po czym z ociąganiem wpuszcza gościa. - Nie spodziewałam się ciebie.
- Wiem.

Przekroczywszy próg, wieszka płaszcz na haczyku i zzuwa buty. Kobieta niechętnie podsuwa mu kapcie, lecz tamten ją ignoruje i przechodzi do salonu, z zakłopotaniem drapiąc zmierzwioną, siwą brodę. Zaczyna czuć się nieswojo. Dotrzeć tu było łatwo, ale przeprowadzenie takiej rozmowy będzie o wiele bardziej wymagające.

Rachela gestem wskazuje mu stary, okryty kapą fotel i bez słowa znika w kuchni, by po dłuższej chwili wrócić z filiżanką gęstej, aromatycznej czekolady.

- Pamiętałaś - zauważa mężczyzna, który w międzyczasie przycupnął na skraju fotela.

Czekając na gospodynię, zdążył się już rozejrzeć i stwierdzić, że niewiele się zmieniło przez te lata. Obraz na ścianie wciąż się przekrzywia, drzwiczki komody dalej się nie domykają, a dywan nadal ma wytarte brzegi. Najwyraźniej czas się tu zatrzymał.

- Tak - odpowiada po prostu, jakby mimo zakrętów wspólnej historii ten czekoladowy rytuał był oczywistością. Stawia naczynie na szklanym stoliku, a sama zajmuje miejsce na sofie naprzeciwko gościa.

- No więc, o co chodzi?

- Niczego tu nie zmieniłaś - stwierdza mężczyzna.

- Nie miałam serca, za dużo wspomnień - odpowiada Rachela, jednocześnie uciekając wzrokiem gdzieś w bok.

Dopiero wtedy gość dostrzega na wszystkich meblach grubą warstwę kurzu. Poza tym, gdy wchodził, drzwi były zamknięte. Zapewne rzadko tu ktokolwiek zaglądał.

- Rozumiem.

- Niczego nie rozumiesz. Dlaczego przyjechałaś? - pyta wprost.

- Nie mogę porozmawiać z własną córką?

Na chwilę zapada cisza. Kobieta kiwa głową.

- Po tylu latach milczenia musisz mieć dobry powód.

- Mam go - mruczy bez przekonania.

- Więc słucham.

- To nie takie proste... - Mężczyzna wzdycha ciężko.

– Nic nie jest proste – przerywa mu jadownicę Rachel. – A już na pewno nie rozmowa z ojcem, który po pogrzebie własnej żony znika na ponad dekadę.

– Dwanaście lat – poprawia ją odruchowo.

– Właśnie. Dwanaście lat. Wiesz, jak chłopcy to przeżyli? Masz w ogóle pojęcie? – w głosie kobiety pojawia się nuta złości. Jej usta delikatnie drżą.

– Pisałem listy... – zaczyna mężczyzna, lecz urywa, uświadamiając sobie, jak żenująco obrał linię obrony.

– Listy! – parska Rachel. – Listami mogliśmy sobie co najwyżej rozpalic w piecu! Ledwo wiązaliśmy koniec z końcem! Ciotka Sara mieszkała z nami przez jakiś czas, żeby nam pomóc. Czuła się za nas bardziej odpowiedzialna niż ty! Ja byłam już dorosła, ale przez twoje odejście Aaron prawie zmarnował sobie życie.

– Nie chciałem tego, przysięgam. – Ojciec zwiesza głowę i na moment skrywa twarz w dłoniach. Gdy ponownie podnosi wzrok, oczy ma szkliste. – Ten ciężar... Był nie do opisanego. Nie mogłem... Nie mogłem przy was żyć z tą świadomością.

– O czym ty mówisz?

Ojciec w zamyśleniu bierze głęboki oddech i dopiero po chwili odważnie spojrzem córki.

– To się zaczęło jeszcze zanim poznałem twoją matkę. – Przy pierwszych słowach głos ma niepewny; dopiero po chwili nabiera mocy. Mężczyzna wie, że bez względu na wszystko ta historia musi zostać wreszcie opowiedziana. – Jeszcze w czasie wojny, gdy mieszkałem w Polsce. Ciągle pamiętam ulice miasta, tamte domy, ludzi, a to przecież świat, którego już nie ma. Pamiętam strach, gdy weszli Niemcy, pamiętam, jak mury trzęsły się od ich ciężarówek. To był ciężki czas, ale jakoś musieliśmy go przetrwać. Trzymaliśmy się razem, bo w takich chwilach zostaje człowiekowi tylko rodzina...

Przerywa nagle, uświadamiając sobie, że Rachel może użyć tych słów przeciwko niemu. Córka jednak milczy, więc mężczyzna ciągnie dalej:

– Było nas czworo: ja, mój brat Moryc i rodzice. Ojciec pracował u polskiego szewca, ale sprawy szybko się skomplikowały. Gruchnęła wieść, że wszyscy Żydzi bez pozwolenia na pracę muszą wyjechać z miasta. Nie było na to rady. Spakowaliśmy dobytek do wszystkich walizek, które udało nam się znaleźć, i daliśmy się zagonić na dworzec. Chcieliśmy jechać do ciotki, miała gospodarstwo. Gdzie mogło być nam wtedy lepiej niż w jakimś spokojnym miejscu na wsi, z dala od tych przeklętych szarych mundurów na każdym rogu? Niemcy mówili, że przewiozą nas tylko na kolejną stację, żeby stamtąd porozdzielać do innych pociągów, więc daliśmy się upchnąć jak bydłęta do jednego składu. Ale oczywiście żadnej stacji przesiadkowej nie było...

Mężczyzna przyłapuje się na tym, że bezwiednie pociera rękaw swetra, pod którym wciąż ma wytatuowany numer. Speszony zabiera rękę i podchwytuje spojrzenie Racheli – żal miesza się w jej oczach z dezorientacją.

– W obozie nas rozdzielili – kontynuuje. – Moryca i matkę po raz ostatni widziałem na rampie rozładunkowej, gdzie żołnierze kazali im przejść do innej części tłumu. Ojca też straciłem wtedy z oczu, ale odnalazłem kilkanaście godzin później, w sąsiednim baraku. Ten czas za drutem kolczastym był czymś, czego nie potrafię ci opisać. Nie wiem, czy ktokolwiek umie. Do dziś powraca do mnie w przedmiotach, zapachach i dźwiękach, na które inni nie zwracają uwagi. Widzę obóz w każdym piaszczystym placu, każdym sienniku, każdym zepsutym ziemniaku. Czuję go w zapachu świeżo heblowanego drewna i odorze latryny. To wszystko jest zrozumiałe wyłącznie dla mnie i nęka tylko mnie. Rozumiesz?

Rachela z wahaniem kiwa głową, lecz ojciec wie, że jego córka wciąż nie ma pojęcia, dokąd zmierza ta opowieść.

*Spokojnie, po kolei* – myśli, a potem przywołuje jeden z najżywszych obrazów.

– SS-Sturmbannführer Hugo Kleitz miał pistolet. Nie taki zwykły, tylko robiony na zamówienie. Luger z rękojeścią wykończoną masą perłową i wygrawerowanymi inicjałami H.K. To było prawdziwe dzieło sztuki, przynajmniej dla niego: obnosił się z nim jak z królewskim berłem. A co



jakiś czas, podczas wieczornego apelu, urządzał sobie tę przeklętą zabawę, *Die schartige Schlange*, jak mawiał.

– Szczerbatą kolejkę? – Rachela marszczy brwi niepewna, czy dobrze zrozumiała.

– Tak. Kazał wtedy wyciągać na środek grupę więźniów i ustawiać ich w szeregu, ramię w ramię. Czasem było ich dziesięciu, czasem piętnastu. A potem wyciągał lugera i zaczynając od brzegu, szedł i strzelał im w głowę.

– Dobry Boże, każdemu?

– Sęk w tym, że nie. Zazwyczaj wybierał co drugiego lub co trzeciego. To było jak loteria. Co gorsza, zdarzało się, że gdy dotarł do końca kolejki, ruszał od początku z tymi, którzy jeszcze tam stali. I tak aż do wyczerpania magazynka. Zaczynał zazwyczaj z pełnym, więc miał osiem nabojów. Gdy na środek wychodziło dziesięciu naszych, wiedzieliśmy, że poszczęści się tylko dwóm. A i to nie zawsze, bo czasem Kleitz przeładowywał, czasem rozkazywał któremuś ze swoich, żeby dobił pozostałych. Raz nawet osobiście jednego zadźgał. Gdy jednak wybierano większą liczbę, ocaleni stali na końcu między ciałami innych jak kikuty drzew. Chwiali się, często płakali, niektórzy mdleli.

Rachela przez chwilę milczy, lecz w końcu postanawia zapytać:

– Dlaczego mi o tym opowiadasz?

– Bo od tego się zaczęło. Od Hugo Kleitza i jego Szczerbatej Kolejki.

– To znaczy, że...

– Tak. – Mężczyzna kiwa głową. – Raz do niej trafiłem. Nie pamiętam, ilu nas wybrano, ale byłem trzeci od brzegu. Ciągle mam przed oczami Kleitza, gdy staje w pobliżu i unosi pistolet. Staralem się patrzeć prosto przed siebie, ale i tak wydaje mi się, że doskonale pamiętam, jak zachodzące słońce załamywało się na rękojeści lugera. Teraz myślę, że przez krótką chwilę było w tym coś pięknego. Ale potem Kleitz zaczął odliczać co drugą osobę. Najpierw zabił Henia Sztajgera, który stał po mojej prawej, a po nim człowieka, którego nie znałem, po mojej lewej. Poczułem, jak krew Henia prysnęła mi na policzek. Ciało osunęło się na

bok, prosto pod moje nogi. Trząsnę się jak osika, w uszach mi huczało, ale wiedziałem, że muszę stać prosto. Wszyscy musieliśmy. Ze strachu zmoczyłem spodnie, ciepła struga spływała mi po udzie. Ale kazali stać, więc stałem. W tamtym czasie mieliśmy to już wpojone jak tresowane zwierzęta. A kiedy Kleitz dotarł do końca kolejki, wrócił na początek. Strzelił do pierwszego w szeregu, a potem stanął przede mną. Mówią, że przed śmiercią człowiek widzi całe swoje dotychczasowe życie, ale to bzdura. Gdy tamten drań uniósł lugera, czułem się tak, jakby w mojej głowie kilkaset osób podniosło wrzask, jedna przez drugą. Nie sposób myśleć wtedy o czymkolwiek, pod czaszką ci dudni, a wylot lufy hipnotyzuje jak wąż. Ale zanim zdołałem to sobie uświadomić, Kleitz pociągnął za spust.

Rachela chce coś powiedzieć; otwiera usta, ale nie potrafi wykrztusić słowa.

– Oczywiście zabrakło mu pocisków – wyjaśnia mężczyzna. – To było jak chwyt z kiepskiego filmu, ale wtedy tak o tym nie myślałem. Gapilem się tępo na Kleitza, który skrzywił się, sięgając po zapasowy magazynek, i niewiele do mnie docierało. Nagle poczułem dziwne zawroty głowy, jakbym zapadał się w sobie. I zemdlałem. Dopiero później, w baraku, powiedzieli mi, jak wiele miałem szczęścia. SS-Sturmbannführer przeładował pistolet, mimo że leżałem już na ziemi, i podobno wyglądało to tak, jakby chciał mnie dobić. Takie sytuacje już się zdarzały. Ale potem strzelił do następnego więźnia z kolejki i warknął, że „zabawa skończona”. Uczestnicy apelu rozeszli się do baraków, a strażnicy kazali kilku naszym odciągnąć ciała gdzieś na bok. Mną też się zajęto.

– Cud, że ci się udało – mówi wstrząśnięta Rachela.

– To nie cud. – Ojciec kręci głową. – Cudów nie ma, są tylko szczęśliwe przypadki. Tyle że szybko przestałem uważać to za szczęście.

– Dlaczego?

– Bo dwa dni później widziałem śmierć ojca. Widziałem... – mężczyzna wzdycha ciężko – chociaż wcale tam nie byłem.

– Nie rozumiem.

– Ciężko to wyjaśnić, ale koniec końców właśnie po to tu przyszedłem. – Ojciec znów drapie się po brodzie. – Tamtego dnia rano jak zwykle rozdzielono nas do różnych robót. Ojca wybrano razem z setką innych do sprzątania Pawilonu B. O tym miejscu słyszeliśmy wtedy tyle historii, że obrosło jakąś dziwną legendą, której nikt nie był w stanie potwierdzić. Nie wszystkie grupy więźniów stamtąd wracały. Te, które po całym dniu przychodziły z powrotem, wspominały o przenoszeniu ciał i jakichś dziwnych pomieszczeniach, które nie wiadomo do czego służyły. Nie wszyscy chcieli dać wiarę, że dzieje się tam coś gorszego niż w pozostałej części obozu. Jedna z grup opowiadała, że wpadli w panikę, bo Szkopy zagoniły wszystkich do jakiejś ciemnej komory i zamknęły drzwi. Tyle że po chwili okazało się, że to przysznic. Przekłęci strażnicy pewnie zrobili to specjalnie, żeby uśpić czujność pozostałych. W każdym razie tamtego dnia, gdy ojciec z innymi szedł do roboty, podszedłem do niego w ogólnym zamieszaniu, żeby poklepać go po plecach i powiedzieć: „Nie przejmuj się”. Jednak gdy tylko dotknąłem jego ramienia, pociemniało mi przed oczami. Znów poczułem się tak, jakbym miał zemdleć, jakbym zapadał się do wewnątrz. A potem zobaczyłem go w jakimś innym, nieznanym miejscu razem z grupą tłoczących się ludzi. Zobaczyłem strażnika zatraskującego masywne drzwi. Więźniowie w pomieszczeniu zaczęli krzyżeć, wrzawa aż rozsadzała mi bębenki. W tym samym momencie poczułem w powietrzu jakiś dziwny, gorzki zapach, który palił nozdrza i przełyk. Chciałem coś wrzasnąć, lecz gardło odmówiło mi posłuszeństwa. A gdy zamknąłem oczy i ponownie je otworzyłem, okazało się, że wciąż stoję na obozowym placu, a ojciec przygląda mi się wystraszony. Jego grupa już ruszała, a strażnicy poganiali lufami pierwszych więźniów. Myśli kołowały mi się w głowie, ale zdołałem wyszeptać tylko: „Nie idź tam”, a potem jeszcze raz, głośniejszym głosem. Ojciec patrzył na mnie bezradnie, pytając: „Co się stało?”, ale wtedy jeden ze Szkopów podszedł do niego i pchnął kolbą karabinu. „*Schneller!*”, krzyknął. Jedyne, co mogłem zrobić, to odprowadzić ich wzrokiem. Ojciec oglądał się przez ramię, potykając się. Nigdy nie zapomnę strachu i bezsilności w jego spojrzeniu. Nigdy. Chyba nie muszę mówić, że jego grupa nie wróciła z Pawilonu B.

Rachela kręci głową, zamykając piekące oczy. Ukradkowym gestem ociera wilgoć z policzka.

- Jak? - pyta. - Jak to możliwe?

- Gdybym tylko wiedział...

- Czy to się jeszcze... powtórzyło?

- Tak, chociaż dużo później. Po tym, co się wydarzyło, długo nie mogłem dojść do siebie. Nie potrafiłem wyjaśnić sobie tego w żaden sposób i popadłem w odrętwienie. W końcu uznałem, że było to tylko nagłe przecucie. Jedno z tych, które towarzyszą dramatycznym momentom w życiu. Jak u matki, która instynktownie czuje, że jej dzieci są w niebezpieczeństwie. Tego się trzymałem. Aż któregoś dnia pojawiło się ponownie. A potem jeszcze raz. Zawsze widziałem tę przeklętą komorę i zatraskujące się drzwi.

- Powiedziałeś im?

- Zdążyłem tylko jednemu, ale uznał, że panikuję. A poza tym, co miał robić, stojąc już w szeregu do wymarszu? Pójdzie do Pawilonu B nie musiało oznaczać śmierci, a ucieczka przed strażnikami wprost przeciwnie.

- Więc nikomu nie udało ci się pomóc?

- Tylko raz, choć wtedy akurat nie chodziło o komorę, więc miałem większe pole manewru. Powiedziałem staremu Rosenzweigowi, żeby na apelu nie stawał w ostatnim szeregu, tak jak zwykle. Najpierw popukał się w czoło, ale w końcu posłuchał. A potem, na zbiórce, SS-Sturmbannführer Kleitz kazał przyprowadzić do Szczerbatej Kolejki wszystkich z końca placu. Rosenzweig całował mnie po rękach i aż do śmierci powtarzał, że jestem jego zbawcą.

- Do śmierci?

- Tak, dwa tygodnie później poszedł sprzętać Pawilon B - wyznaje ze smutkiem ojciec.

Na dłuższą chwilę rozmowa zamiera w martwym punkcie, jakby obie strony musiały zebrać siły, by móc kontynuować. Ciszę przerywa Rachela.

- Zdarzyło ci się zobaczyć coś innego niż czyjaś śmierć?

Ojciec kręci głową.

– Zastanawiałem się dlaczego, ale to było tylko kolejne jałowe pytanie. To, że o mały włos nie straciłem wtedy życia od kuli z pistoletu Kleitza, w jakiś sposób uczyniło mnie wrażliwym tylko na tę jedną sytuację. Nigdy nie miałem wizji czyjegoś szczęścia, chyba że ktoś akurat traktował zejście z tego świata jak wybawienie od trosk. Jeśli tak na to spojrzeć, to owszem, bywały takie przypadki. Jeszcze w obozie, gdy wszyscy spali, leżałem na sienniku i próbowałem wejrzeć w przyszłość z własnej woli, otworzyć to okno w głowie i sprawdzić, czy ten koszmar się kiedyś skończy. Ale nigdy mi się nie udało. Nie przewidziałem ani swoich losów, ani nawet końca wojny. Gdybym przepowiedział to drugie, być może spałbym odrobinę spokojniej, bo w końcu któregoś dnia do obozu weszli Amerykanie.

– Świątowaliście?

Mężczyzna przez chwilę przygląda się córce.

– Nikt nie pamiętał, jak to się robi – odpowiada. – Większość z nas snuła się między barakami, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić. Inni wpadali w histerię albo tracili przytomność.

– A co ze strażnikami?

– Większość poddała się, gdy tylko zobaczyła pierwszy oddział. Wcześniej wiedzieli już o końcu wojny z radia, więc na ogół nie stawiali oporu.

– Na ogół?

– Kleitz nie chciał łatwo sprzedać skóry. Razem z pozostałymi niemieckimi żołnierzami wyszedł Amerykanom na spotkanie z rękami w górze. A gdy tamci zaczęli ich rozbrajać, wyciągnął lugera i strzelił jednemu z nich prosto w twarz. Zrobiło się straszne zamieszanie, część Niemców padła na ziemię, a Jankesi momentalnie podziurawili Kleitza z thompsonów. Upadł, cały w krwawych strzępach munduru. Gdy karabiny zamilkły, do ciała podszedł jakiś amerykański porucznik, wysoki typ z kwadratową szczęką. Szturchnął trupa butem, a potem schylił się po lugera. Przez chwilę ważył go w dłoni i nawet z daleka widziałem błysk w jego oczach. Wielu żołnierzy polowało na niemieckie pistolety,

a takie cacko było jak wygrana na loterii. Porucznik zatknął sobie broń za pasek i odwrócił się do swoich ludzi, a ja straciłem perłową rękociecz z oczu. Chyba właśnie wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że wojna dobiegła końca. O ile w ogóle można tak powiedzieć, bo w głowach i sercach wszystkich, którzy przeżyli, walka nigdy się całkiem nie skończyła. A jednak stało się, opuściliśmy obóz.

- To wtedy emigrowałeś za ocean? - Rachela zadaje kolejne pytanie.

- Tak. Jeszcze na statku poznałem waszą matkę. To nie była miłość od pierwszego wejrzenia, na początku wcale nie wpadła mi w oko, ale wiesz, jak to jest: najdłużej zostaje z tobą to, czego wartość poznajesz z czasem.

- A wizje? Też z tobą zostały?

- Tak, ale nie pytaj mnie, czy dziś znam ich wartość.

Rachela przytakuje i czeka, bo widzi, że ojciec chce coś dodać.

- Jeszcze przez wiele lat po wojnie zastanawiałem się, co by było, gdyby te obrazy zaczęły pojawiać się wcześniej. Czy przewidziałbym to wszystko? Czy przewidziałbym Shoah? Może potrafiłbym uratować więcej niż jedno ludzkie istnienie? A może wizje narodziły się właśnie z powodu wojny, jako skutek tego całego cierpienia? Jak jakaś dziwna roślina, która wyrosła w miejscu, gdzie umarło zbyt wielu ludzi. Za dużo pytań - wzdycha mężczyzna. - Za dużo.

- Czasami lepiej nie szukać odpowiedzi.

- To prawda, ale nie zawsze można się powstrzymać. Zadręczałem się tym wszystkim przez długi czas. Zwierzyłem się nawet pewnemu rabinowi, bo czułem, że sam tego nie udźwignę. Lewi Bauman był dobrym, roztropnym człowiekiem. Nie umiał mi pomóc, ale mimo to bardzo się starał. Udzielił mi najlepszej rady, na jaką było go stać. Powiedział: „Nie licz na wyrozumiałość innych. Nie ma sprawy bardziej osobistej od śmierci”. Z początku jej nie doceniłem, ale gdy niektórzy zaczęli szeptać za moimi plecami, gdy coraz mniej osób przychodziło do mojego zakładu, a miałem już wtedy pracownię krawiecką, dotarło do mnie, że moje dobre chęci nie zawsze są mile widziane. Wcześniej uważałem, że jestem dyskretny, bo przecież nie obnoszę się ze swoimi wizjami. Zresztą, wcale nie jest

łatwo powiedzieć komuś, żeby uważał przy przechodzeniu przez jezdnię. Dlatego, mając w pamięci słowa rabina, przestałem poruszać ten temat. Jeśli nawet pojawiały się obrazy, zachowywałem je dla siebie. Tłumaczyłem sobie, że nie mogę uprzedzać Najwyższego, co w zasadzie brzmiało całkiem logicznie. Tym sposobem rabin Bauman został ostatnim człowiekiem, który usłyszał o Szczerbatej Kolejce i całej reszcie. Aż do teraz.

– Zaraz, więc mama...

– Nie, nie wiedziała o wizjach.

– Dlaczego? – w głosie Racheli słychać niedowierzanie.

– Bóg mi świadkiem, wiele razy chciałem jej powiedzieć, chociaż obawiałem się tego, jak zareaguje. Ot, taki paradoks: o pewnych sprawach łatwiej nam rozmawiać z obcymi. W każdym razie pewnego dnia postanowiłem ostatecznie zbadać grunt i w toku jakiejś rozmowy spytałem ją, co by zrobiła, gdyby wiedziała, jak umrze.

– Dość bezpośrednio postawienie sprawy.

– Czasem tak jest najlepiej, choć oczywiście wtedy mogło to jeszcze zabrzmieć całkiem niewinnie, jak filozoficzny temat do nocnych pogaduszek.

– Co odpowiedziała?

– Chyba wyczuła, że kryje się za tym coś więcej. A może słyszała jakieś stare plotki z czasów, gdy jeszcze nie byliśmy małżeństwem... Kto wie, może nawet ktoś odradzał jej związek z tym dziwolągiem? W każdym razie wlepiła we mnie te swoje piwne oczy i powiedziała: „Nigdy, przenigdy nie chciałabym tego wiedzieć. Co niby miałabym zrobić z taką informacją? To niewiedza jest sensem życia”. Próbowałem coś dodać, zaprotestować, ale położyła palec na moich ustach i pokręciła głową, wymownie patrząc mi w twarz. Wtedy byłem pewien, że ktoś jej o mnie powiedział, ale teraz sam już nie wiem. Więcej nie wróciłem do tematu.

– Bądź ze mną szczerzy... – wtrąca Rachel.

– Tak?

– Dlaczego tu przyjechałeś? Chciałabym zrozumieć. Przybywasz po tylu latach i opowiadasz mi tę historię. Dlaczego uważasz, że powinienam ją poznać? Czy to coś zmieni?

- Może zmieni, a może nie.

- Więc o co chodzi?

- Jestem starym, zmęczonym człowiekiem. To banał, ale chyba dotarłem do etapu podsumowań. - Ojciec uśmiecha się pod nosem, ale w jego spojrzeniu nie ma radości, jedynie gorycz. - Żyłem z tym od wielu lat i wiedziałem, że nie mogę odejść, nie mówiąc o tym nikomu. Budziłem się w nocy i coś mi powtarzało, żebym wreszcie to z siebie wyrzucił.

- Ale co? Obóz? Kleitza? Szcherbatą Kolejkę?

- Rachelo, ja... - Mężczyzna wykonuje gest, jakby chciał ująć dłoń córki, ale kobieta siedzi za daleko. Upstrzone starczymi plamami ręce przez chwilę wiszą w powietrzu, po czym wędrują z powrotem na kolana.

- Widziałem śmierć twojej matki.

- Jak to?

- Widziałem i nie zrobiłem nic. To było tuż przed tym jej nieszczęsnym wyjazdem do Jerozolimy. Kupiła bilet na samolot i zapowiedziała kuzynkom, że chce odwiedzić stare śmieci. Bardzo cieszyła się na tę podróż, cała promieniała. Aż trudno było rozmawiać z nią o czymkolwiek innym.

- Pamiętam to. Bardzo przejmowałam się, że chłopcy i cały dom zostaną na mojej głowie - dodaje cicho Rachelo. - Miałeś wtedy wizję?

- Tak. Na dzień przed jej wylotem. Widziałem ulicę i to, co zostało z autobusu. Twoja matka była obok, gdy mnie to dopadło, ale najpierw myślała, że zasłałem. Poblądłem i osunąłem się na fotel, a ona przyniosła mi szklankę wody. Powiedziała z uśmiechem: „Nie martw się, jakoś sobie beze mnie poradzicie”, ale musiała zobaczyć coś w moich oczach, bo nagle spochmurniała i nie odzywała się przez resztę wieczoru. Chciałem do niej podejść i powiedzieć: „Zostań, zabije cię palestyńska bomba”, ale nie potrafiłem. Nie umiałem wydać z siebie ani jednego dźwięku.

- Boże... - szepce Rachelo, a mężczyzna dostrzega mokre ślady na jej policzkach. - Dlaczego?

- Nie wiem... Ja... nie potrafiłem... - Ojciec skrywa twarz w dłoniach, a jego ramiona drżą.



Kobieta z wysiłkiem podnosi się i wychodzi z pokoju, który pamięta jeszcze jej dzieciństwo. Teraz niespodziewanie czuje się w nim jak w grobowcu. W kuchni, pomimo zaciśniętego żołądka, wmusza w siebie kubek zimnej herbaty, bezmyślnie wpatrując się w okno. Próbuje uporządkować myśli. Gdy wraca do ojca, ten już nie płacze – na jego twarzy maluje się jedynie rezygnacja.

– Mogłeś jej powiedzieć. – Rachela staje w progu i krzyżuje ręce na piersi. – Bałeś się, że nie posłucha?

– Nie wiem, czego się bałem. Ciało odmówiło mi posłuszeństwa, jakby nie pozwalało mi zmienić biegu wydarzeń.

– Bzdura. Ostrzegałeś innych i nigdy nie miałeś z tym problemu, a nie pomogłeś własnej żonie.

– Kochanie, wiem, jak to brzmi. Wierz mi, życie przez lata ze świadomością, że nic nie zrobiłem, nie było łatwe. Czuję się jak zdrajca, jak nieudaczny, który we właściwym momencie nie potrafił postąpić, jak trzeba. Kto wie, może nie było w moim życiu ważniejszej chwili.

– Dlatego nie rozumiem, jak mogłeś do tego dopuścić! – Kobieta gestykułuje wzburzona. – Nie wiem, czy mam ci współczuć, czy cię potępić. To jakiś koszmar. Zjawiasz się po takim czasie i nie dość, że rozdrapujesz stare rany, to jeszcze posypujesz je solą. I po co? Żeby móc spać spokojnie? Czego oczekiwałeś? Że padnę ci w ramiona i nazwę „kochanym papą”?

– Chciałem, żebyś mnie wysłuchała...

– Chciałeś pokonać swoje demony moim kosztem! Rozumiem, że nie było ci łatwo. Ale wiesz, co przeżyłam, gdy przyszli i powiedzieli, że mama nie żyje? Masz pojęcie, jak wyglądał potem nasz dom? Oczywiście, że nie, bo zwyczajnie uciekłeś!

– Rachelo, proszę, nie wracajmy do punktu wyjścia.

– Mogłeś ją ostrzec!

– To prawda, mogłem.

– Ale nie zrobiłeś tego i nie interesują mnie już twoje powody. Podzieliłeś się ze mną swoją historią i mam nadzieję, że jesteś zadowolony. Teraz chciałabym, żebyś wyszedł.

- Rachelo...

Twarz kobiety jest napięta i pełna emocji.

- Proszę cię, idź już. Nie chcę rozstawać się w gniewie, ale nie drażmy tematu. Chcesz wybaczenia, proszę bardzo, wybaczam ci, ale zniknij z mojego życia. Przez zbyt wiele lat i tak cię w nim nie było.

Mężczyzna wzdycha i z wysiłkiem wstaje z fotela. Niezgrabnym ruchem przygląda na sobie ubranie, jakby nie wiedział, co zrobić z rękami. Potem rusza do wyjścia. Córka robi mu miejsce w drzwiach do przedpokoju, ale on przystaje tuż obok niej i spogląda prosto w oczy.

- Widziałem też swoją śmierć - mówi. - Pomyślałem, że to dobry moment na bycie szczerym wobec własnej córki. Nie chciałem sprawić ci bólu. Przepraszam.

Potem bez słowa zakłada buty i zdejmuje z wieszaka płaszcz. Gdy wychodzi, Rachela zaciska pięści i przygryza wargę niemal do krwi, ale nie odzywa się ani słowem.

Dopiero na klatce schodowej, po pokonaniu kilku stopni, mężczyzna słyszy stłumiony szloch.



Jest druga w nocy, gdy starszy człowiek kończy pisać list. Odkłada pióro i prostuje się na krześle, nie odrywając wzroku od kartki, która na tym ogromnym biurku wygląda jak porzucona. Mężczyzna rozważa włożenie jej do koperty, lecz musiałby podać na niej choćby czyjeś imię. A w gruncie rzeczy zdaje sobie sprawę z tego, że te kilka zdań napisał przede wszystkim dla samego siebie. Z westchnieniem schyla się i wydobywa z szuflady mały tobołek owinięty w kraciatą flanelę. Kładzie go obok listu i przez chwilę siedzi nieruchomo, jakby czekał na właściwy moment.

Wcześniej mówił prawdę, widział już tę chwilę, ale przemilczał fakt, że planował ją wiele, wiele razy.

W końcu zbiera się w sobie i rozchyła materiał zawiniątka.

Wewnątrz leży luger SS-Sturmbannführera Kleitza. Wygląda tak, jakby najdalej godzinę temu wyjęto go z dłoni właściciela. W rzeczywistości

upłynęło sporo lat, jakie mężczyzna spędził na poszukiwaniu amerykańskiego porucznika, a potem kolejnych nabywców, przez których ręce przewinął się ten skarb. Udało się dopiero kilka miesięcy temu, gdy praktycznie spisał na straty ostatni trop.

Starszy mężczyzna patrzy na połyskującą w świetle lampy lunetę i myśli, że to dobrze, iż historię rozpoczął ten jeden przedmiot i on ją zakończy. Sięga po broń, a kiedy podnosi ją z blatu, przez moment ma wrażenie, że na rękojści rozbłyskuje ciepłe światło zachodzącego słońca.

### **Maciej Musialik**

Z wykształcenia ekonomista i filolog. Przygodę z pisaniem zaczynał od recenzji filmowych, ale w końcu zatęsknił za dialogami i przerzucił się na prozę. Na papierze zadebiutował w 2008 roku w magazynie „Science Fiction Fantasy i Horror”. Publikował również w „Nowej Fantastyce”, „Magazynie Fantastycznym”, a także na łamach Esensji, Fahrenheita i Creatio Fantastica. Autor zbiorów opowiadań „Zanieśmy im naszą wojnę” oraz „Życ i umrzeć w Nowej Moskwie”.



# CZARNA MEWA

Wojciech Boratyński

Łyżka gęstej, wielobarwnej papki powędrowała w kierunku ust Antoine'a, a te łąpczywie ją pochwyciły i zassały wraz z unoszącą się nad nią parą. Sztuczne, ale dostarczające niezbędnych witamin jedzenie tylko przypominało prawdziwy posiłek.

– Mógłbyś z tym chwilę zaczekać, Rick? – zapytał Antoine między kolejnymi kęsami.

Siedzący przy stoliku mężczyzna właśnie zapalił papierosa. Usłyszawszy pytanie, wyszczerzył żółte zęby i pokręcił powoli głową. Ponownie się zaciągnął.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, Chavalerin – odpowiedział i wzruszył ramionami, nie przestając delektować się papierosem. – Przecież sam palisz. – Wskazał na paczkę Marlboro leżącą obok pełnego talerza rozmówcy.

– Ale nie, kiedy jem – odbąknął zirytowany Antoine, mrużąc szare oczy i nachylając się ponownie nad miską. – Skoro i tak muszę żreć to gównno, to niech przynajmniej smakuje lepiej niż trociny pomieszane z popiołem.

– Pożywne trociny. – Rick zarechotał.

Przejeżdżające obok auta co i rusz rozświeślały ich sylwetki oraz zardzewiały szyld restauracji, w której siedzieli. „King's Wok – Najlepsze

jedzenie do zabrania i nie tylko” – głosił wytarty napis. Stary przeszklony lokal z neonowym, już zresztą nie działającym napisem „Otwarte” stanowił jedyne miejsce w pobliżu, gdzie to, co nazywano jedzeniem, warte było swojej ceny.

– Poza tym – Rick pouczająco kiwał na Chavalera palcem, którym podtrzymywał papierosa – skoro tak bardzo ci to przeszkadza, to czemu zawsze wybierasz stolik na zewnątrz? Przecież wdychasz wtedy cały ten syf.

Antoine rozłożył ręce i odchylił głowę do tyłu, by popatrzeć w niebo skryte za zasłoną zmroku. W tym miejscu nie wywołała jej jednak pora dnia, lecz dziesiątki poziomów autostrad przeznaczonych dla lepiej sytuowanych obywateli Nowego Świata. Świata, którego serce znajdowało się wśród chmur. Nawet nieopodal, pomiędzy kilkupiętrowymi brooklyńskimi kamienicami, wyrastał gigantyczny wieżowiec. Enklawa. Miejsce, gdzie im wyżej, tym lepiej, gdzie niczego ci nie brakuje. Miasto w mieście bez wstępu dla nikogo z dołu. Tutaj, poniżej wszystkiego, generatory wypływały spaliny. Przy ich oparach smród wysypisk mógł uchodzić za perfumy.

– Tutaj szybciej stygnie – odburknął po kolejnym kęsie Antoine. Jakby na potwierdzenie jego słów dotychczas chłodny, ale spokojny wiatr smagnął ze wzmożoną siłą, unosząc uliczny kurz. Obok Ricka przeleciała folia hologramowa, na której wyświetlano najnowsze informacje, a do posiłku Antoine’a z daszku nad jego głowę spadło kilka karaczanów.

– Kurwa, jak ja nienawidzę tego miasta! – Chavalera cisnęła plastikową łyżką w środek papki, co wykorzystał jeden z robali, by ratować się przed utonięciem. – Wiesz, Rick, czasami śni mi się Paryż. – Antoine tęsknym wzrokiem popatrzył na ciemne ulice, po których poruszały się głównie męty. – Ale nie ten dzisiejszy. Ten, który pamiętam. Przed wojną, pełen ludzi i kawiarni. Kolorowy nawet po zachodzie słońca.

– I pełen zamachów – skwitował kwaśno Rick.

Chavalera się skrzywił.

– Wiesz, że moi rodzice...

– Wiem – zreflektował się McDoyle. – Przypomnij mi, kiedy ty właściwie trafiłeś do programu relokacji wojennych?

– W lipcu dwudziestego czwartego. – Antoine sięgnął długimi palcami po papierosa i odpalił go wolną ręką. – Miałem osiem lat – dodał, wypuściwszy dym z płuc.

– Czyli zaraz po pierwszych bombach – powiedział Rick, drapiąc się po szpeciniastej koziej bródce. – Dwadzieścia sześć lat temu... Ja wtedy miałem piętnaście. Jak ten czas zapierdala...

– W rzeczy samej, McDoyle, w rzeczy samej. – Antoine pokiwał głową, delektując się smakiem prawdziwego tytoniu. Może i kosztował cholernie dużo, ale przynajmniej nie był tylko marną imitacją, tak jak większość rzeczy we współczesnym świecie.

Nagle stolik zaczął lekko drżeć. Zresztą nie tylko on – wibrowała cała ulica. Narastający ryk świadczył o jednym – mostem nad ich głowami, niezauważalnie, ale za to całkiem słyszalnie, mknęła kolej turbomagnetyczna.

Gdy nieprzyjemny pisk ucichł, Antoine wcisnął niedopałek w resztkę jedzenia, przypalając leżącego na grzbiecie i machającego odnóżami robaka.

– Dobra, czas brać się do pracy.

Rick McDoyle złapał swój beret i naciągnął na łusą głowę. Zanim wstał, nie omieszkął poprawić kraciastego, niebiesko-białego krawata, który gryzł się z żółtą koszulą w grochy. Całość doprawił zieloną marynarką. Pretensjonalność w każdym calu. Całkowite przeciwieństwo Antoine'a, który do prostego, ale schludnego i przede wszystkim jednolitego garnituru nosił stary, dobry prochowiec w kolorze beżowym. Wiatr zawiał raz jeszcze, tarmosząc jego kręcone włosy.

Rick podniósł stojącą przy krześle obszerną walizkę i szybkim krokiem ruszył na drugą stronę ulicy. Antoine podążył za nim.

Mężczyźni nie zważali na nadjeżdżające samochody, których kierowcy hamowali z piskiem opon i klaksonami manifestowali swoją irytację. Od strony zdezelowanej żółtej taksówki poleciało ku nim kilka soczystych wyzwisk okraszonych wyrażaniem pięścią przez uchyloną szybę.

Nie było czasu na kłótnie. Antoine i Rick dotarli do sklepu typu „wszystko za pięćdziesiąt centów” mieszczącego się w obdrapanej

trzypiętrowej kamienicy z czerwonej cegły. Takiej, jakich pozostały setki na szarym, brudnym Brooklynie. W obrotowych drzwiach minęli zasuszoną staruszkę. Jej podarte łachmany, chusta na głowie i smród starości, który zawisł w powietrzu, przywodziły Antoine'owi na myśl gnijące ciało. Wysła ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Typowe – większość ludzi wołała udawać, że Chavalerin i jego partner nie istnieją.

– McDoyle, urząd ochrony Nowego Porządku, legitymacja numer 1153 – rzucił od progu Rick i błysnął wyciągniętą z kieszeni srebrną odznaką.

Wnętrze sklepu było słabo oświetlone. Nad kilkoma regałami bzycała, gasnąc raz po raz, podłużna lampa. Półki uginały się od rzeczy, które można by uznać nie tyle za towar, co przypadkowo znalezione na pobliskim wysypisku fanty. Było tu wszystko: od kubków z napisami „Supertata”, przez przenośne urządzenia do tak zwanych gier wideo z przedwojennej ery, aż po zniszczone kapelusze i połączone puchary za specjalne osiągnięcia. Istny pchli targ.

– Chavalerin, urząd ochrony Nowego Porządku, legitymacja numer 3030 – przedstawił się Antoine.

Zza sklepowej lady usytuowanej na lewo od wejścia wychylił się około trzydziestoletni mężczyzna o subtelnie azjatyckich rysach. W jego czarnych oczach, mimo problemów ze światłem, Chavalerin dostrzegł ziarno strachu zasiane przez samą nazwę urzędu.

– Ja mieć wszystkie papier – wydukał łamaną angielszczyzną. Zaczął wyciągać z szafki stare, papierowe dokumenty. – Mieć każda pozwolenie, wszystko, jest dobrze – tłumaczył się, przełykając nerwowo ślinę.

McDoyle uniósł kącik ust i parsknął. Gdy na plastikowej ladzie leżały kolejne papiery, rudobrody urzędnik pewnym ruchem położył na niej swoją odznakę. Druga dłoń mężczyzny powędrowała na stertę dokumentów opatrzonych najróżniejszymi pieczętkami ministerstw i urzędów, powstrzymując jej piętrzenie się.

– Twoja rodzina przybyła do USA tuż po pierwszej wojnie światowej – powiedział Rick, patrząc głęboko w zaniepokojone oczy sklepikarza, który zamilkł, zastygłszy z rozchylonymi i drgającymi nerwowo wargami.



– Nie wywalili was stąd po Pearl Harbor, żyliście sobie tu spokojnie, ucząc się w amerykańskich szkołach i płacąc amerykańskie podatki – kontynuował Rick. – Więc proszę cię, John, nie udawaj, że nie znasz języka, bo przestanę być miły.

Mężczyzna za ladą ponownie przełknął ślinę. Był tak wystraszony, że aż podskoczył, gdy wiekowy zegar z kukułką za jego plecami odezwał się głośnym „kuku”.

– Spokojnie – mruknął McDoyle i wcisnął sobie do ust papierosa.

– To tylko rutynowa kontrola.

Gdy Rick próbował nakłonić sklepikarza do współpracy, Antoine z założonymi za plecy rękoma przechadzał się między regałami. Co jakiś czas wewnątrz zalewało światło reflektorów przejeżdżających aut i rozblyskujących na budynkach ogromnych ekranów reklamowych. Gdy tylko towar na półce zainteresował Chavalierina, brał go ostrożnie w ręce i przyglądał mu się uważnie. Dostrzegł między innymi szklaną kulę z mostem Golden State, której wewnątrz po potrząśnięciu wypełniało się białym proszkiem imitującym śnieg. Był tam też papierowy komiks „Przygody Supermana”, wydanie z dwa tysiące osiemnastego. Antoine pamiętał, że jego starszy brat takie zbierał. On sam niespecjalnie interesował się komiksami – zdecydowanie wolał bajki puszczone na tablecie. Na tę myśl ogarnęło go dziwne uczucie nostalgii. Miał dostęp do archiwów historycznych, do całej wiedzy, jaką ludzkość zgromadziła przez lata i jaka przetrwała. Ale czytając suche wpisy o tym, jak wyglądał świat, gdy on sam był dzieckiem, nie czuł się tak blisko przeszłości, jak wtedy, gdy dotykał nadgryzionych zębem czasu przedmiotów z minionej epoki.

– Na dobry początek przynieś nam dwa krzesła. – Głos McDoyle’a obudził zamroczonych wspomnieniami Antoine’a. – Usiądziemy sobie, pogadamy – dodał ironicznie Rick.

Sklepikarz posłusznie skinął głową i zniknął na zapleczu, po drodze roztrzającą zwisające z futryny wielobarwne koraliki na sznurkach. Dekoracja zaterkotała, uderzając o ścianę.

W tym czasie Rick z głośnym stukotem postawił walizkę na ladzie. Bez wątplenia była bardzo ciężka, samo stalowe obicie ważyło dobry

kilogram. Rozległ się piszczący dźwięk dekalibracji, kiedy McDoyle z jednej strony zamka przyłożył swój kciuk, a z drugiej wklepał na dotykowym panelu sobie tylko znany kod. Tradycyjne cyknięcie wewnętrzznego zamka, niezmiennie od dziesiątek lat, uprzedziło uniesienie pokrywy walizki.

– Niestety, jedno jest trochę krzywe. – John wyłonił się zza progu, z trudem niosąc dwa mocno podniszczone barowe hokery. Chavalerin ruszył, by mu pomóc, podczas gdy Rick grzebał we wnętrzu walizki.

Faktycznie, noga jednego z krzesel była typową prowizorką. Ot, do złamanego kawałka aluminium dokleiono drewnianą kątówkę. Ale to nie miało znaczenia.

Antoine bez słowa wziął stołek z rąk sklepiarza.

– Drugi daj mi pod tyłek – polecił Rick, nie odrywając wzroku od walizki.

Zmieszany John bez słowa podstawił mu hoker. McDoyle wybałał go po omacku dłonią i przysiadł na nim.

– Proszę – rzekł, wskazując na miejsce po drugiej stronie lady.

John wahał się chwilę, spoglądając na walizkę.

– Nie masz się czego obawiać – bąknął Rick, wzruszając ramionami. – To tylko rutynowa kontrola i rutynowe pytania, jasne?

Właściciel przybytku pokiwał głową, znowu przelękając nerwowo ślinę.

Antoine w tym czasie zaciągnął hoker pod obrotowe drzwi i wcisnął pomiędzy nie. Przy większych byłby kłopot, ale te, pozwalające przejść jednej osobie, nie stanowiły problemu nawet dla małego krzesła barowego. Wejście do lokalu zostało zablokowane. Oczywiście gdyby ktoś się uparł, sforsowałby zaporę bez trudu, jednak zajęłoby mu to chwilę potrzebną urzędnikom na wyjęcie broni i ewentualne wezwanie posiłków. Lecz Antoine nie przewidywał takiej sytuacji. To była tylko kolejna spokojna noc w Nowym Jorku. Chavalerin, idąc za przykładem partnera, także zapalił i wrócił do oglądania sklepowych półek. Miał ku temu powody. Z jednej strony była to ciekawość, z drugiej – służba. Zgodnie z ustawą o czystości myśli nawet tamten głupi komiks mógł świadczyć o popełnieniu przestępstwa. Artykuł osiemdziesiąty ósmy podpunkt trzeci kodeksu

karnego głosił: „Kto uznaje istnienie istot ponadludzkich, podlega karze pełnej odnowy”. Jakby nie patrzeć, Superman nie był zwykłym śmiertelnikiem. Jeżeli urząd da sygnał, że potrzebują osiągnąć do statystyk, mają już podkładkę pod aresztowanie Johna. Warto więc było się rozejrzeć – dowodów nigdy za dużo.

– Motyl – usłyszał za plecami odpowiedź sklepikarza. Odpowiedź na to, co wyświetlało się na skierowanym w jego stronę wieku walizki. Rick siedzący po drugiej stronie urzędu decydował, co pokazywał hologram. Chociaż sprzęt był modyfikowany, Antoine bez trudu rozpoznawał, czym posługuje się Rick – model Apple X345. Na wewnętrznej stronie wieka szesnastoipółcalowy wyświetlacz podawał najważniejsze informacje o przesłuchiwanej osobie – podejście do wiary i jej przynależność przed nastaniem Nowego Porządku. Szczegóły biograficzne były mniej ważne. Słyszac zestaw pytań numer 1773, Antoine wiedział, że John został ochrzczony w kościele katolickim. Typowe. Na chrześcijan trafiali najczęściej.

– Kwiat – stwierdził sklepikarz po dłuższym wpatrywaniu się w ekran. Test kolejno generował teoretycznie pozbawione sensu zlepki plam w różnych kolorach. Pośród nich jednak ukryte były faktyczne kształty. W tym czasie Rick sprawdzał tętno i pracę gałek ocznych mężczyzny za pomocą specjalnych sensorów.

Kolejne obrazy wyświetlały się przed twarzą przepytwanego, nienaturalnie ją rozświetlając. John odpowiadał, a McDoyle spokojnie palił kolejnego papierosa. Przez niedziałający system wentylacji sklep szybko wypełniła śmierdząca, tytoniowa mgła. Chavalerin niestrudzenie przechadzał się w niej w poszukiwaniu kolejnych dowodów.

– Pistole... nie, wiertarka.

Po tej odpowiedzi Antoine wiedział, że zbliżają się do końca. Przesłuchiwanego trzeba było najpierw wyczerpać całą serią nieistotnych pytań, by móc przejść do konkretów. Zmęczony mózg łatwiej popełnia błędy.

Sklepikarz odwrócił się gwałtownie, gdy Chavalerin spokojnym krokiem przeszedł za nim, zmierzając w stronę zaplecza.

– Panie lwakura, proszę skupić się na teście. – Rick pomachał papierosem i wskazał na hologram.

John przełknął ślinę i powoli powrócił wzrokiem do wyświetlacza, jednak mimowolnie uciekał spojrzeniem w stronę Antoine'a. Ten zaś odsunął ozdobne sznurki i zajął na zaplecze. Dziwne – mały schowek połączony z otwartą na oścież toaletą. Nic więcej, nie licząc kilku pluskiew biegających po ścianach. Miał neodparte wrażenie, że to pomieszczenie powinno być większe. Czyżby... szafa? Dwudrzwiowy, metalowy mebel stał pod przeciwległą ścianą. Czas nie był dla niego łaskawy – rdza zaatakowała ze wszystkich stron.

Sklepiarz milczał już dłuższą chwilę, uważnie wpatrując się w kolejny obraz. Była to raczej seria ukazujących się kolejno zdjęć splecionych z jednym napisem. Wszystko zostało zapętlone i miało się pokazywać, póki nie padnie odpowiedź. Rick bacznie obserwował przesłuchiwanego. Tak bacznie, że połowa papierosa była już zimnym popiołem. Usta Johna poruszyły się niemrawo, szepcząc ledwie słyszalną odpowiedź.

– Możesz powtórzyć? – poprosił stanowczo McDoyle.

Sklepiarz był zlany zimnym potem. Spuścił wzrok, ale czując, że nie uniknie odpowiedzi, jeszcze raz popatrzył na wyświetlacz. Ukryte między plamami litery układały się w napis: „Panie, nie jestem godzien, abys przyszedł do mnie, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja...”.

– Amen – szepnął nieco głośniej mężczyzna.

– Słucham? – Rick oczekiwał konkretnej, twardej odpowiedzi.

Antoine w tym czasie poczuł podświadomie, że coś jest nie tak. Lata szkoleń i praktyk. Setki godzin spędzone na utrwalaniu trudnego rzemiosła, jakim jest dochodzeniówka... i bezpośrednia akcja. Instykt nie zawodził... tylko czasem ciało reagowało zbyt wolno. Tak jak teraz. Wszystko widział jak w zwolnionym tempie.

– Amen! – rozległ się głośny warkot Johna.

Za późno. Ręka Chavalerina, choć zmierzała w stronę kabury z bronią, okazała się zbyt ociężała. Podobnie jak ruchy Ricka. Próbował złapać Johna i wymierzyć mu cios, ale ten mały, półzajatycki, katolicki

skurczybyk był za szybki. Zręcznie uniknął pięści McDoyle'a, sięgając jednocześnie pod ładę. Stary, niezawodny Glock 17 znalazł się w jego dłoni w mgnieniu oka i równie szybko wypalił.

Huk wystrzału i odgłos bezwładnego ciała uderzającego o podłogę wstrząsnęły pomieszczeniem.

Nie było czasu na ostrzeżenia. Antoine złapał wreszcie za broń i oddał strzał. Desert Eagle, którego używał, bez problemu rozsadziłyby czaszkę pieprzonego Johna Iwakury. Rozsadziłyby, gdyby nie trzask metalowych drzwi za plecami Antoine'a. Siła uderzenia powaliła go na ziemię. Kula, zamiast trafić sklepikarza w głowę, rozerwała na strzępy kolano Iwakury. Zaraz po tym rozległ się kolejny huk wystrzału.

Oszołomiony Chavalerin spojrział w stronę, z której został uderzony. Metalowa szafa była otwarta, a za nią, tak jak przypuszczał, znajdowało się ukryte pomieszczenie. W nim zaś stały stłoczone kobiety, dzieci i starsi mężczyźni, którzy obserwowali wszystko z przerażeniem. Obolała głowa z trudem łączyła fakty. Ukryte przejście, przesłuchanie, strzały... i grzmot rozbijanej szyby. Kurwa ich mać, ktoś próbował uciec!

Antoine zerwał się na równe nogi i, trzymając broń w pogotowiu, ruszył w pościg. Okruchy szkła jeszcze opadały na ziemię. Wysoki mężczyzna pędził na oślep w sam środek miejskiej dżungli.

– Kod piętnaście! – ryknął Antoine do swojego komunikatora na nadgarstku. – Ranny urzędnik, grupa łamiąca artykuł osiemdziesiąt osiem, do tego zbieg – wrzeszczał, biegnąc za uciekinierem. – Wsparcie natychmiast! – zażądał i nawet nie czekał na odpowiedź. Rozłączył się, przeskakując przez nieistniejące już okno. Miasto przywitało go smogiem, zimnym powietrzem i kaskadą barw. Cel jednak zniknął z oczu.

– Niech to szlag! – zaklął Antoine.

Byłby gotów się poddać, gdyby nie jeden szczegół.

– Mam cię – mruknął Chavalerin i pogonił ulicą Sterling Place.

Przy tak obfitym krwawieniu przestępca nie mógł uciec daleko, choć Antoine musiał radzić sobie sam. Rick McDoyle został na miejscu akcji. Leżał bezwładnie w mieszaninie krwi Iwakury i swojej własnej. Czekał

na oddział wsparcia... i walczył o możliwość dalszego życia na początku szóstej dekady dwudziestego pierwszego wieku.



*Przez tysiące lat naszą cywilizację trawiła choroba. Głód, wojna, epidemie – to wszystko było efektem kłamstwa, które wpoili nam pewni ludzie. Wymyślili sobie bożków, by przymknąć nam oczy na świat i lepiej nad nami panować.*

Znany wszystkim głos niósł się echem po budynkach dolnego Brooklynu. Wpadał przez powybijane szyby i nadkruszone cegły. Był wszędobylski. Głościki, z których się wydobywał, umieszczono niemal w każdym możliwym miejscu, a dachy ozdobiono ogromnymi holowyświatlaczami. Na nich widniała zaś pochmurna, pełna majestatu, poorana zmarszczkami twarz człowieka uznanego za pana i władcę tego świata. Spoglądał w dół swoimi stalowymi, wszystko widzącymi oczami. Nie można było przed nim uciec.

Biegący wzdłuż Sterling Place Edwyn Masters patrzył jednak wyłącznie przed siebie. Chociaż nie widział obrazu pokazywanego na ekranach, to czuł na swoich plecach przeszywający wzrok prezydenta Nowego Porządku. Czuł jego zimny oddech na karku. A przede wszystkim go słyszał. Podobnie jak ci, którym przyszło żyć w pięknym świecie setek stalowych kondygnacji nad jego głową. Oni też mogli nie patrzeć, mogli się nie zatrzymać. Mimo to słyszeli głos.

*– Religie i ich wyznawcy. To nas upodliło. To doprowadziło Ziemię do takiego stanu! – przemawiał twardo człowiek z wyświetlaczy. – To religijni fanatycy doprowadzili do początku trzeciej wojny światowej w dwa tysiące dwudziestym. To przez nich spadły bomby i wszystko się zmieniło. Nowy Porządek jednak posprzątał. Piętnaście lat później wygraliśmy pierwsze wybory i od tamtego czasu możemy z dumą mówić, że świat, z którego pozbyliśmy się religii, jest wreszcie światem człowieka! To jest świat wolny! Nasz świat!*

Głos dalej rozbrzmiewał w głowie Edwyna, ale jakby coraz bardziej oddalony. Uciekając przed urzędnikami ochrony Nowego Porządku, stracił wiele krwi. Adrenalina przestała działać. Nie tylko ledwie słyszał kolejne przemówienia, ale też obraz przed oczami zdawał się tracić na ostrości. Zawęzał się. Zniknęła ulica i budynek, o który mężczyzna się opierał. Na pewno się opierał, bo go czuł, ale nie widział.

Wysoko nad nim przefrunęły na sygnale trzy aerokoptery – połączenie małej awionetki z możliwością pionowego startu i prędkością dorównującą samolotom często sprawdzało się lepiej od tradycyjnych radiowozów.

Obraz zarysował się na nowo, a oddech zwolnił. Czucie również wracało, choć myśli nadal pozostawały poszatkowanym zestawem świeżo rozsypanych puzzli. Edwyn mógł tylko biec dalej, uciekać. Odłamki szkła wciąż robiły swoje w ranach, a te, zabrudzone... one to dopiero, kurwa, bolały! Krew sączyła się z nich jak z zarzynanej świni. Jeden oddech, kilka sekund cierpienia. Ale jeszcze go nie dopadli.

Napiął wszystkie mięśnie i skręcił w zaulek. Znał ten rejon jak własną kieszeń. Służył tu ładne kilka lat. Miał nawet wrażenie, że gdy mijali śmietniki między rozsypującymi się kamienicami, dwójka śpiących wśród stosu odpadów meneli rozpoznała go. Nie, to tylko złudzenie. Otępieni tanimi dragami po prostu przyklaskiwali słowom płynącym z głośników. Wierzyli we wszystko, co mówił Nowy Porządek. Wierzyli w lepsze jutro... którego, jak sądził, nie doczekają. Ale to nie było jego zmartwienie.

Jeszcze tylko kilka metrów. Zimna stal drabinki prowadzącej na most otrzeźwiła umysł. Minie linię kolei turbomagnetycznej i... będzie dobrze. Tak, będzie dobrze. Nikt nie zaryzykuje dalszych poszukiwań w opuszczonych od dekad tunelach metra, gdzie kwitła druga cywilizacja zapomniana przez współczesnych. Nie, nie rozumieją go, ale może się tam ukryje, chociaż na jakiś czas. Jeszcze kilka metrów...

Nagły ból przeszył jego kręgosłup, wrzącą falą rozlał się po wszystkich nerwach. To była sekunda, ułamki sekund. Jego ciałem – po wcześniejszej fali gorąca – zawładnęło przeraźliwe zimno. Czuł, jak ze wszystkich członków odpływa krew, jakby znienacka wcisnęli go do

komory kriogenicznej. Nie słyszał już grzmiącego głosu propagandy. Zniknęła szum ulic i bzyczenie wszechobecnej elektroniki. Zapanowała błoga, głucha cisza, w której myśli odbijały się echem. Metalowa drabinka, jaką piął się ku górze, zaczęła się oddalać. Spadał bezwładnie. Chciał się złapać, ratować, ale mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Upadł. Wiedział o tym, ale nie poczuł. Po prostu obiekt, po którym wcześniej się wspinał, nagle znieruchomiał. Obraz stanął w miejscu. Nieco mniej wyraźny niż być powinien, jakby rozmywający się, ale jednak.

W zawężający się z każdą sekundą kadr jego pola widzenia wtargnęła twarz. Znajoma. Szare oczy najpierw wyrażały gniew, który po chwili ustąpił niedowierzaniu połączonemu z przerażeniem. Edwyn dygotał jak osika na wietrze. Dziwnie znajome oblicze o lekko śniadej karnacji miało wyraz, jakby jej właściciel zobaczył ducha. Usta rozchyliły się, szukając zapewne jakichś słów.

– Mogłem się domyślić... – przerwał na chwilę, krztusząc się napływającą do gardła krwią – ...że to ty, 3030.

Pochylający się nad nim mężczyzna wciąż chyba szukał słów. Nieustannie wodził wzrokiem po ciele leżącego przed nim człowieka.

– Edwyn... – wymamrotał wreszcie w odpowiedzi. – Ja... Mówili, że zginąłeś na misji w Europie... Byłem nawet na wizualizacji twojego pogrzebu!

Mężczyzna roześmiał się słabo, ponownie dławiąc się krwią.

– Dziwne to czasy, kiedy nawet zmarłych grzebiemy w rzeczywistości wirtualnej.

Zasycał z bólu. Każdy fragment ciała, który jeszcze przed chwilą wydawał mu się martwy, teraz ożył. Jeśli nie cały, to przynajmniej jego zakończenia nerwowe. To nie był ból. To, co odczuwał, to były setki tysięcy szerszeni żądających go raz za razem, milimetr po milimetrze.

– Nic z tego nie rozumiem. – Szarooki mężczyzna ujął jego dłoń. Starał się mówić spokojnym tonem, jednak w każdy wyraz wkładało się zdenerwowanie. – Ed, o co w tym wszystkim chodzi?



- Chyba nie mamy tyle czasu, bym ci wszystko mógł opowiedzieć, Antoine – stwierdził Masters. Jakby na potwierdzenie tych słów delikatny uśmiech na jego twarzy zalała struga krwi.

- Przepraszam – smutno mruknął 3030, którego twarz pulsowała przed oczami rannego.

- Daj spokój, Chav – odparł Edwyn, którego oddech stawał się coraz wolniejszy. – Wykonałeś swoją pracę. Jak zawsze bezbłędnie, do samego końca służący Nowemu Porządkowi.

- Tak jak i ty. Wszystko będzie jak dawniej, pójdiesz na terapię do ośrodka niedostosowanych i wrócisz do nas. Wtedy opowiesz mi wszystko.

- Chyba sam do końca nie wierzysz w to, co mówisz, Chavalerin – bąknął. – Naprawdę myślisz, że po prostu mi odwaliło? Że dołączyłem do niedostosowanych, a teraz w cudowny sposób nawrócę się na drogę Nowego Porządku?

- Terapia pomogła już tysiącom.

Masters ponownie zarechotał.

- Zawsze miałeś własne zdanie, a teraz powtarzasz bez namysłu kłamstwa, którymi karmi cię Nowy Porządek?

- Statystyki nie kłamią, Ed. – Antoine pokręcił głową, ale w jego głosie słychać było zwątpienie.

- Terapia to fikcja, Chav – odparł Masters. – Cały świat Nowego Porządku zbudowany jest na kłamstwie, iluzji, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Widziałeś mój pogrzeb, a jednak teraz ze mną rozmawiasz. Czyż samo to nie jest dostatecznym dowodem?

Masters znów syknął z bólu. Antoine ścisnął mocniej jego dłoń, jakby chciał zmusić, by ten powiedział więcej.

- Jeśli nie wierzysz na słowo, dotknij śladów po gwoździach – wykaszał resztkami sił Edwyn.

- Gwoździach?

Znajoma twarz całkiem zniknęła. Została tylko ciemność. Bez nadziei.



Krople deszczu wpadały z impetem w powstałe niedawno na zniszczonym asfalcie kałuże. W ułamek sekundy zniekształcały niebieskoczerwone odbicie rzeczywistości w rozmazaną falę, która dygotała w rytm syren. Raz było widać w niej tłum ludzi za policyjnymi zabezpieczeniami, by po chwili zamienić go w jednoraką maź, która, spływając do kanalizacji, łączyła się po drodze z odchodami.

– Miał masę szczęścia.

Antoine uniósł brew i popatrzył na stojącego obok niego mężczyznę. Gdyby nie wielka czerwona litera „M” na plecach, wziąłby go za zwykłego żołnierza. Odziany w kamizelkę i szary cyfrowy kamuflaż członek służby medycznej sięgnął do kieszeni swojej wojskowej kurtki, koło której wisiało dwulufowe UZI, i wydobył z niej papierosa.

– Jeden pocisk zrykoszetował od tytanowej miednicy – wycedził, gdy zakończony filtrem skręt osiadł między jego zębami. – Drugi mocno poharatał szczękę i zahaczył o mózg, ale na szczęście nie uszkodził nic konkretnego.

– Ile to zajmie? – Chavalerin sam sięgnął pod płaszcz, gdzie ukrył swoje marlboro. Przeniósł wzrok z medyka na dwóch innych sanitariuszy, którzy na noszach wrzucali Ricka McDoyle’a do aerokoptera. Partner Antoine’a przypominał płataninę kabli przy serwerze, jednak zamiast wtyczek miał na całym ciele powbijane igły.

– Zależy od dostępu tkanek. – Medyk wzruszył ramionami. Aerokopter zaświecił dwukolorowymi światłami i się uniósł.

– Na przeszczep płuc czekałem tylko tydzień – skwitował kwaśno Antoine, powoli przenosząc spojrzenie z odlatującego transportu ze swoim partnerem na członka ekipy ratunkowej.

– Musimy znaleźć odpowiedni odcień skóry, wiek... – Sanitariusz przyłożył naszpikowaną elektroniką rękawicę do ust i zaciągnął się papierosem. Chavalerin mógł w tym czasie podziwiać tysiące zer i jedynek migoczących na jego naręcznym wyświetlaczu. Cały świat gnał do przodu, a wiele zaszyfrowanych informacji i tak dostarczał ludziom stary, dziewiętnastowieczny układ binarny. – Do tego jeszcze kwestia rekonstrukcji

kości – dodał medyk, częstując Antoine'a zapalniczką. – Wie pan, twarz jest widoczna, płuca nadadzą się każde, byle zdrowe.

– Racja. – Chavalerin kiwnął głową, choć na jego twarzy zmieniającej kolory z niebieskiego na czerwony widać było wyraźny niesmak. – W końcu nawet w trumnie człowiek musi wyglądać idealnie – rzucił z przekąsem.

Tuzin zielonych soczewek zasłaniających oczy medyka pomniejszyło i powiększyło się kilka razy, gdy ten mierzył Antoine'a od przemozonych stóp aż po głowę, z której ciurkiem lała się szara od zanieczyszczeń deszczówka.

– Pan też wymaga oględzin, 3030.

Antoine skrzywił się, jakby nagle poraziło go światło słoneczne.

– Doznał pan kilku obrażeń wewnętrznych i drobnych otarć – spreycyzował medyk.

– Nie ma potrzeby – warknął w odpowiedzi Chavalerin, ciskając przy tym papierosa w potok brudnej wody, by ten po chwili zniknął w otchłani studzienki ściekowej. – Możecie stąd spadać.

Nie czekał na potwierdzenie meldunku. Odwrócił się w kierunku sklepu, w którym jeszcze kilkanaście minut temu urzędował John Iwakura. Teraz grasowała tam zgraja, która przeczesywała wnętrze milimetr po milimetrze. Wszystko pakowane było do paczek, a to, co nie miało wartości dowodowej, palono na miejscu.

Przy wejściu do lokalu jaskrawe pomarańczowe światło zalało Antoine'owi oczy, a śwąd spalenizny uderzył prosto w nozdrza. Jeden z policyjnych androidów wylewał litry zamienionej w płomień benzyny w stertę rupieci, które dla Nowego Porządku nie miały żadnego znaczenia. Postać z okładki komiksu „Przygody Supermana” przestawała przypominać niezwykłego superbohatera, a stała się jedynie kupką popiołu.

– To jest dowód rzeczowy! – Antoine zerwał się jak spuszczonej ze smyczy. Powstrzymał go jednak ciężki karabin M33 wymierzony wprost w klatkę piersiową.

– Proszę się cofnąć – oznajmił metalicznym głosem inny android.  
– Utrudnianie wykonywania...

– Jestem funkcjonariuszem, pieprzona kupo złomu! – rzucił popiesznie Chavalerin, błyskając odznaką przed sensorami umieszczonymi na udającej głowę części robota.

Nie czekał, aż to skupisko kabli i tytanowych płyt połączy fakty. Skoczył w stronę ogniska i złapał za płonący komiks, przerzucając go następnie w rękach, by zmniejszyć temperaturę. Fragmenty popiołu opadały wraz z deszczem.

– Potwierdzono – odezwał się nieludzki głos. – Agent Antoine Jonathan Chavalerin.

Niebieski kostium superbohatera strawił już ogień, podobnie jak symbol „S” na jego piersi. Nawet on, człowiek z Kryptonu, ugiął się przed Nowym Porządkiem. Sztuczne istoty powróciły w tym czasie do swoich zadań.

Antoine poczuł, jak drży mu ręka. Odsunął rękaw płaszcza, by zobaczyć na przypominającym bransoletę naręcznym komunikatorze próbę holograficznego połączenia podpisanego jako „fabryka”. Musnął po ciekłokrystalicznym wyświetlaczu palcem, zaznaczając zgodę na odbiór, i wnet jego oczom ukazał się wyblakły hologram wielkości lalki.

– Gratulacje, 3030 – odezwała się widoczna na nim kobieta. Miała szczupłe, długie nogi zajmujące niemal trzy czwarte sylwetki. Wydatny biust odznaczał się pod zielonym żakietem, zaś twarz, perfekcyjnie gładka i blada, wyraźnie z nim kontrastowała. Tylko krople deszczu co jakiś czas psuły wręcz posągowy wizerunek.

– Niezbyt wiem za co, pani dyrektor – mruknął ponuro Chavalerin, chowając się w tym czasie pod gzymsem jednej z kamienic, by choć w minimalnym stopniu uchronić komunikator przed deszczem. Wodoodporne były tylko z nazwy.

– Szesnastu niedostosowanych – stwierdziła kobieta, której hologram stał się nieco wyraźniejszy, choć i tak niesione podmuchami wiatru krople deszczu co jakiś czas trafiały w jej porcelanową twarz. – Jeszcze parę takich akcji i zatrzymań, a religijnie niesubordynowani staną się

przeszłością. Idziesz na rekord – dodała, uśmiechając się wymuszenie, chociaż jej głos nie zdradzał żadnych emocji.

Chavalerin odpalił kolejnego papierosa.

– Szkoda tylko, że kosztem zdrowia dobrych urzędników – stwierdził, zerknąwszy w stronę ginących w mroku i kłębach smogu reflektorów medycznego aerokoptera, który odlatywał z jego przyjacielem. Twarz kobiety po jego słowach na nowo zaczęła przypominać oblicze beznamiętnej lalki.

– Wiemy, z jakim ryzykiem wiąże się ta praca – oznajmiła sucho.

– Poza tym 1153 to weteran. Poradzi sobie.

– *Urząd ochrony prowadzi na tym terenie prace związane z przestrzeganiem konstytucji Nowego Porządku. Prosimy o rozejście się i nieutrudnianie zadań powierzonych urzędnikom i funkcjonariuszom państwowym. Nie chcemy używać siły. Powtarzam...*

Komunikat nadawany z głośników radiowozów wnet potwierdziły dwie urzędowe maszyny. Stalowe kości androidów ostrzegawczo sięgnęły do karabinów, stając przed zebrnymi gapiami. Deszcz głucho trzaskał o blaszane głowy wysokich na blisko trzy metry robotów, podczas gdy ludzie powoli zaczęli się rozchodzić.

– Dziwne, że te ołowiane żołnierzyki nie wykonują naszej pracy – rzucił cierpko Antoine, spluwając na chodnik wraz z papierosem. – Przynajmniej nie osieracałyby rodzin i nie zmniejszały potencjału inteligencji Nowego Porządku. W końcu blachę da się wyklepać.

– Rozumiem waszą frustrację, 3030, ale powtarzam, że pisząc się na taką służbę za naprawdę dobre pieniądze, liczycie się z konsekwencjami – odparła stanowczo kobieta, mrużąc przy tym oczy. – Maszyny są po to, by nam pomóc, nie zastąpić – dodała, wzięwszy wdech. – Możemy im zaprogramować tysiące rzeczy, ale abstrakcyjne myślenie pozostaje naszą domeną, podobnie jak empatia. W waszym zawodzie nie ma cenniejszej rzeczy. O kosztach eksploatacji już nie wspominam.

– Tak. – Chavalerin skinął głową i uśmiechnął się ironicznie. – Leczenie to przecież grosze w porównaniu z paliwem wodorowym – bąknął. – Nawet pochówek, mimo braku miejsc, i tak będzie tańszy.

– Czyżbyś powątpiewał w rozporządzenia Urzędu Infrastruktury Nowego Porządku?

– Nie – zaprzeczył stanowczo Antoine. – Nigdy bym nie śmiał, dyrektor Howard – dodał z pełną powagą w głosie.

– To dobrze, że się rozumiemy – stwierdziła beznamiętnie kobieta. – Czy jest coś, co wymaga natychmiastowej reakcji naszego urzędu?

– Słucham? – zdziwił się Chavalerin.

– Szesnastu nieprzystosowanych to zorganizowana grupa – wyjaśniła. – Nie było wśród nich nikogo, kto mógłby uchodzić za swego rodzaju lidera bądź nie znaleziono nic, co mogłoby nas pokierować dalej i przybliżyć do ostatecznego triumfu? – dopytywała Howard. Choć obraz hologramu w naręcznych komunikatorach nie był najlepszej jakości, Antoine i tak dostrzegł, jak kobieta mruży podejrzliwie oczy.

– Nasi ludzie cały czas zbierają dowody z miejsca zatrzymania...

– Co z podejrzanymi? – przerwała dyrektor.

Mężczyzna poczuł się tak jak na ulicach Paryża, gdy miał sześć lat. Grał z kolegami w piłkę przy placu Duplex i pech chciał, że zamiast trafić w okienko bramki ustawionej między kasztanowcami, trafił prosto w szklane okienko galerii sztuki L'Atelier d'Artistes. Uciekł, ale kiedy tylko wrócił do domu, czuł, że jego rodzice coś podejrzewają, że zbita szyba nie jest tajemnicą.

Teraz Antoine był niemal pewny, że dyrektor Howard wie o Mastersie. Miał świadomość, ile dla dobra Nowego Porządku znaczy lojalność. Wpajano to obywatelom każdego dnia, a jemu, jako urzędnikowi, ze zwielokrotnioną siłą. Powinien to zameldować od razu służbom, które zabrały zatrzymanych. Teraz też milczał przez dłuższą chwilę, wsłuchując się w uderzające o karoserie aerokopterów krople deszczu.

– Nikogo, kto by się czymś wyróżniał albo znajdował na czarnej liście – wypalił wreszcie jednym tchem i nerwowo zaciągnął się po raz ostatni.

Kobieta na holowyświetlaczu nawet nie drgnęła, tylko uważnie przyglądała się Antoine'owi. Obraz zadygotał dwukrotnie, aż wreszcie pani dyrektor skinęła głową.

- Proszę o jak najszybszy raport w dzisiejszej sprawie, 3030 - rozkazała niemal szeptem.

Nie odpowiedział. Po prostu zakończył połączenie, a wizerunek kobiety zniknął. Chavalerin zakrył komunikator rękawem płaszcza i zajął przez rozbitą szybę do sklepu. Nadal widoczne były w niej odłamki oznaczone krwią jego dawnego przyjaciela. Wewnątrz zaś technicy wciąż mieli pełne ręce roboty w dokumentowaniu i segregowaniu zabezpieczonego mienia.

- Hej, Valezquez! - wrzasnął Antoine. Człowiek w jednorazowych, lateksowych rękawiczkach popatrzył na niego, przerwawszy przerzucanie kartek w jednej ze znalezionych książek.

- Zeskanujcie mi wszystkie rzeczy, które pójdą do ewidencji, i wrzućcie na serwer departamentu - wykrzyczał Chavalerin i gdy tylko w odpowiedzi zobaczył uniesiony kciuk, odwrócił się na pięcie i podążył w stronę aerokoptera. Nie miał sił ani ochoty bawić się w pilota. Ustawił automat i urząd ochrony jako cel. Po kilku chwilach przebił się przez mieszaninę smogu, radioaktywnego pyłu i chmur. Jakże niewiele osób w tych czasach mogło cieszyć się widokiem wciąż oślepiającego zachodzącego słońca na tle gigantycznych stalowych konstrukcji wzniesionych przez ludzkość.



Rick leżał w bezruchu, szklanym wzrokiem wpatrując się w wirujące śmigła wentylatora za kratami w suficie. Co jakiś czas mrużył zielone oczy drażnione przez ostre światło jarzeniówek, które zderzało się z błyskami neonów zza okna. Jego ciało naszpikowane było dziesiątkami igieł, które podłączone do specjalnej aparatury nieustannie wstrzykiwały mu kolejne dawki znieczulających substancji. Gdyby nie to, McDoyle najchętniej zmiażdżyłby wierzące się wkoło niego roboty medyczne, a przede wszystkim oplatające pół twarzy nanoboty, które szarpały za zmasakrowane tkanki. Bólu nie czuł, a jedynie to, że metalowe robactwo odrywa mu kolejne fragmenty policzków i że przypominający odkurzacz robot

laserowo wykańcza biodro po rekonstrukcji. Swąd palonej skóry był już nie do zniesienia, a gdy doszło do tego buczenie i piszczenie otaczającej Ricka elektroniki, miał ochotę wyskoczyć przez okno. Gdyby tylko mógł...

Innymi słowy: czuł się jak gówno.

Oczywiście liczył się z tym, od kiedy zaczął ubiegać się o stanowisko urzędnika. Wiedział, że im bardziej kurczą się szeregi nieprzystosowanych, tym stają się oni groźniejsi. To już nie tylko tajne spotkania, na których prali ludziom mózgi wiarą w jakiegoś boga, czy to katolickiego, czy muzułmańskiego. Te religijne oszołomy stawały się niebezpieczne, bowiem w obronie swoich wydumanych ideałów coraz częściej sięgały po broń, a Rick coraz częściej czuł, że lata lecą i nawet najlepsza technologia tego nie zmieni. Chyba że mieszkałby na samej górze Enklawy i spał na pieniądzech.

Do uszu McDoyle'a dotarł szum rozsuwanych drzwi. Kątem oka dostrzegł, że ktoś wszedł do pomieszczenia. Nie był to jednak z pewnością lekarz, gdyż ominął on całą medyczną aparaturę, na której widniały informacje o stanie zdrowia pacjenta. Zamiast tego Rick usłyszał, jak ktoś przesuwając stół, a następnie zobaczył, że męska dłoń sięga do czujników bezpieczeństwa przeciwpożarowego i gmera w nich podręcznym multitoolem.

– Nie mogłeś zapalić, zanim przyszedłeś mnie odwiedzić? – zapytał ochryple McDoyle. Wysuszone, nieużywane od dawna struny głosowe skrzypiały. Przez przytkniętą do ust rurkę natychmiast wpadł zastrzyk świeżej wody, przynosząc ulgę wyschniętemu gardłu.

– Przecież nie zostawię starego kumpla bez małego dymka.

– Pierdol się, 3030 – odwarknął Rick, choć bardziej brzmiało to jak odszczeknięcie zdyszanego starego psa.

W pokoju szpitalnym rozległ się trzask krzemienia, który po chwili zamieniony został w kłąb nikotynowego dymu. Przed oczyma McDoyle'a pojawiła się ręka Antoine'a przytrzymująca papierosa. Leżący na łóżku urzędnik niemrawo pochwycił lewą stroną ust filtr i powoli się zaciągnął. Jedno z dziesiątek urządzeń rejestrujących stan jego zdrowia natychmiast zapiszczało, a gdy zakasłał, piski stały się nie do zniesienia.



Chavalerin z całej siły przywalił w nie pięścią, aż zgasł wyświetlacz. Pisk zamienił się w ciche pomruki elektroniki.

- Jak się czujesz? - zapytał Antoine.

- Kurwa, ty tak serio?

- Nie, z czystej grzeczności.

- Przecież sam byłeś operowany, więc wiesz, jak to jest leżeć w samotności pośród zwojów kabli i bezmyślnych robotów - stwierdził zirytowany McDoyle.

- Ja byłem w szpitalu nieco wyżej. - 3030 uniósł palec wskazujący.

- Tam nic nie wygląda jak z minionej epoki.

Rick McDoyle zarechotał, po czym się zakrztusił.

- Już wiem, na co przepierdalasz pieniądze z premii - powiedział między kaszlnięciami. - Teraz pewnie też złapiesz jakąś niezłą sumkę. Ilu zawinęliśmy?

Chavalerin zamilkł. W głowie Ricka znowu było tylko uczucie grzebania w jego żuchwie. W uszach zaś szumiały elektronika i odgłos spalającej się bibuły z tytoniem.

- Wiedziałeś, że będzie tam Masters? - wypalił w końcu Antoine.

McDoyle nie chciał odpowiedzieć. Pragnął odwrócić głowę, ale mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Znajoma twarz partnera wyrosła przed jego oczyma.

- Odpowiedz mi, Rick! - naciskał Chavalerin. - Wiedziałeś, że Masters żyje?

Czarny robot przypominający przemysłowy odkurzacz zabuczał kilkakrotnie i obrócił głowę o trzysta sześćdziesiąt stopni. W ten sposób dał znak, że operacja na biodrze się zakończyła. Maszyna schowała swoje ramiona, do których przytwierdzone były narzędzia chirurgiczne, po czym odjechała w stronę doku ładującego.

- Kilka miesięcy temu natknąłem się na pewien trop - wyduśił z siebie McDoyle.

Antoine przysiadł obok niego na łóżku. Żar na papierosie sięgał już niemal jego palców.

- Archiwizowałem akurat sprawy, które rozwiązywaliśmy razem z Edwynem – tłumaczył dalej Rick, choć mówił z trudem. Z jednej strony z powodu stanu swojego zdrowia, a z drugiej po prostu nie umiał tego wszystkiego wyjaśnić. - Zauważyłem, że ktoś tuż przede mną logował się do systemu i sprawdzał te akta. Sęk w tym, że hasło znałem tylko ja... no i Masters.

- Ktoś mógł się włamać – zauważył Antoine. Papieros zdążył przycgasnąć.

- Taki atak wymagałby środków i cholernych nakładów sił – zaprzeczył McDoyle. - Netteerrorysta musiałby uderzyć w jedną sprawę, by nie zostać wykrytym, a tu przeglądane były dziesiątki spraw moich i Mastersa. Myślałem, że to jego zabójcy wyciągnęli od niego kody dostępu i teraz próbowali je wykorzystać. Zacząłem węszyć, ale ostrożnie.

Za oknem przeleciał dron propagandowy. Nie widzieli go przez żaluzje, ale doskonale słyszeli.

- *Nowy Porządek! Dobra zmiana, by żyło się lepiej!*

McDoyle nawet chciałby się zaśmiać, ale miał zbyt wysuszone gardło. Pociągnął więc łyk wody z rurki przytkniętej do ust.

- Z pomocą prywatnych hakerów włamywałem się do monitoringu. W końcu się udało. To był Edwyn Masters, cały i zdrowy... tak mi się przynajmniej wydawało – burknął McDoyle.

- Dlaczego nie zgłosiłeś tego górze?

- Skoro sam się nie zgłosił, to chciał pozostać w ukryciu, to logiczne. Poza tym sprawa zaczynała mi śmierdzieć. Chciałem się dowiedzieć, o co chodzi, a oficjalna akcja mogła wszystko popsuć. Zwłaszcza że Edwyn wiedział, że go namierzyłem. - McDoyle ponownie zatrzymał wzrok na łopatach wentylatora, a Antoine wcisnął za jego łóżko niedopałek.

- Spotkaliście się? - zapytał Chavalierin, wyłączając komunikator. Logo zielonego małego ludzika wyskoczyło na chwilę z holowyswietlacza, by na pożegnanie pomachać swojemu właścicielowi. Później elektroniczna bransoleta zgasła.

- Nie – odparł McDoyle, gdy był już pewien, że jego partner nie transmituje ich rozmowy. - Urząd zaczął mnie śledzić. Masters chciał się

spotkać, zostawiał informacje, ale... Kurwa, Chav, gdybym tam pojechał, wysłaliby za mną ludzi i chuj bym wiedział, o co chodziło Edwynowi!

Aparatura zanotowała wzrost ciśnienia krwi McDoyle'a i zabuczała cicho. Gdy oddech urzędnika zwolnił, czerwone cyferki na wyświetlaczu na nowo zmieniły kolor na zielony, a ostrzegawczy dźwięk ucichł.

- No to ci się udało jak cholera - stwierdził ironicznie Antoine.

- Mastersa wysłano do ośrodka reformy w Scranton, a ciebie przez najbliższe dni będą szarpać te elektroniczne pająki. - Wskazał na nanoboty oplatające policzek i żuchwę McDoyle'a. - Moje gratulacje, 1153.

- Daruj sobie.

- Nie byłoby tej rozmowy, gdybyś wcześniej mi wszystko powiedział, Rick.

- Ojciec powtarzał mi, by nie ufać nawet samemu sobie - mruknął McDoyle. - Chciałem usłyszeć prawdę z jego ust, nie raport z urzędu. Czy tobie też to wszystko nie wydaje się dziwne? Dlaczego Edwyn miałby sfingować swoją śmierć?

Szpitalne okna wychodzące na jeden z licznych sztucznych parków w Enklawie zatrzęsyły się. Kilkadziesiąt metrów dalej znajdował się dworzec kolei turbomagnetycznej. Najwyraźniej jeden z pociągów właśnie ruszył.

- Równie dobrze mógł ją zatuszować urząd. Masters twierdził, że Nowy Porządek kłamie...

Rick otworzył szerzej przekrwione oczy.

- Jak każdy niedostosowany - sapnął McDoyle. - Chciałem po prostu wiedzieć, co go zmieniło... nie z wymuszonych zeznań, tylko by wytłumaczyć mi to jak staremu kumplowi. Do kurwy nędzy, Antoine, przecież Masters był najlepszym z nas! - krzyknął mężczyzna, zmuszając robota medycznego do interwencji. - Miał dostęp do tajnych informacji, był zapraszany na bale. Może ktoś mu groził?

Chavalerin złapał za kolejnego papierosa. Pozwolił, by to Rick zaciągnął się pierwszy.

- Miałem nadzieję, że to ty mi odpowiesz na te pytania. - 3030 wzruszył ramionami, gdy McDoyle wypuścił kłąb dymu.

– Wierzysz mu? Wierzysz, że Nowy Porządek mógłby oszukiwać swoich obywateli?

Antoine przyjrzał się uważnie dymiącemu w jego palcach tytoniowi.

– Kiedyś Edwyn opowiedział mi, dlaczego Nowy Porządek wycofał wszystkie zamienniki tradycyjnych papierosów – stwierdził w zadumie. – Mimo wszelkich przedwojennych wyników badań, które wskazywały, że e-papierosy są zdrowsze – dodał i zachichotał. – Widzisz, wszystko przez pieniądze. Koncerny tytoniowe może i przerzuciłyby się na produkcję olejków czy innego gówna, ale po co? Wystarczy, że dogadają się z innymi koncernami. Leczenie raka płuc, przelyku, specjalne perfumy niwelujące zapach nikotyny, stomatologia estetyczna – wyliczał Antoine, gdy popiół opadł na jego spodnie. – To wszystko setki milionów zysku. Wystarczy podpisać odpowiednie porozumienie i biznes się kręci. Ludzie chcą mieć dostęp do używek, a koncerny na naszej głupocie chcą zarabiać. Nowy Porządek mógłby spokojnie zakazać produkcji papierosów, ale to koncerny i pieniądze wciąż rządzą światem.

– Pierdolisz – ostro zripostował Rick. – Gdyby tak było, to czemu zakazano trawy czy alkoholu?

– Papierosy nie otępiają – wyjaśnił Antoine, wpatrując się w okopcony, pomarańczowy filtr. – Po innych używkach robimy głupie rzeczy, a wadą tego gówna – przystawił resztkę Marlboro pod nos McDoyle'a – jest to, że śmierdzi. To jedyne, co przeszkadza społeczeństwu.

Chavalerin dźwignął się z łóżka i zbliżył ponownie do okna, rozsuwając delikatnie żaluzje. Ludzie w niemal jednakowych ubraniach i fryzurach podążali codziennie w tych samych kierunkach. Patrzyli przed siebie, lecz równie dobrze mogliby nie mieć oczu. Znali na pamięć każdy swój krok, niczym przechadzające się co kilkaset metrów policyjne androidy. Nawet dzieci nie biegały radośnie jak jeszcze trzy dekady temu. Nie uciekały rodzicom, nie psociły. Posłusznie dźwigały tornistry, by zdążyć na pierwsze zajęcia z Obywatelskich Obowiązków. W zamian jednak wszyscy ci ludzie byli dalecy od tego, co złe. Nie znali biedy, nie znali głodu, epidemii, nie znali tego, co zmieniło świat – wojny.

- Gdzie się mieliście spotkać? - zapytał Antoine, nie odwracając wzroku od przypominających mrówki ludzi na ulicach jednego z pięter Enklawy.

- U Pavla - odparł McDoyle, zamykając zmęczone oczy. - W jednej ze skrzynek kontaktowych, którymi się posługiwaliśmy, Masters zostawił mi dysk. Jeżeli bym się z nim nie spotkał, miał dać mi coś, co wyjaśni wszystko.

Antoine puścił zaluzje tak gwałtownie, że ich szelest sprawił, iż Rick aż podskoczył na łóżku. Chavalierin doskoczył do niego i szarpnął Irlandczykiem. Elektronika zawyła, garść nanobotów zleciała z rekonstruowanej szczęki i płątała się pokracznie po poduszce. 3030 najwyraźniej miał to w nosie.

- Nie mogłeś, kurwa, od razu mi powiedzieć?! - wrzasnął.

- Co to zmieni, Chav? - spytał, a ślina pociekła mu na brodę. - Masters trafił tam, gdzie powinien. Koniec kropka. Czasami lepiej wiedzieć mniej niż zbyt wiele.

Antoine puścił McDoyle'a, wyprostował się, poprawił płaszcz i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się w pół kroku przy szafce z osobistymi rzeczami Ricka i odłożył na nie niemal już pustą paczkę Marlboro.

- Jak już będziesz mógł się ruszyć, to przynajmniej zajarasz jak człowiek - rzucił, nie odwracając się do partnera.

- Żeby wesprzeć koncerty? - Rick chciał się szeroko uśmiechnąć, ale częściowo sparaliżowane znieczuleniem mięśnie twarzy mu na to nie pozwoliły.

- Wiesz, czemu wolę ciebie w tej białej, szpitalnej piżamie? - Antoine odwrócił się do McDoyle'a, uruchamiając w tym samym momencie komunikator. - Przynajmniej jesteś nijaki jak wszyscy, a nie szpanujesz tymi kolorowymi, niedopasowanymi strojami - wyjaśnił, a na ekranie wyświetlacza pojawiło się logo urzędu.

- Raz jeszcze: pierdol się, Chav - syknął Rick.

Antoine ponownie udał się do wyjścia, lecz gdy tylko nacisnął przycisk otwierający drzwi, znów się zatrzymał.

- O co chodzi z gwoździami?

– Jakimi znowu gwoździami? – McDoyle otworzył szeroko oczy.  
– Jeśli nie wierzysz na słowo, dotknij śladów po gwoździach.  
– Widać, że przyjęli cię do urzędu prosto z patrolowania ulic w policyjnym wdzianku – rzucił z przekąsem Rick. – Zero edukacji religijnej, która pozwala lepiej wykonywać swoje obowiązki. To parafraza z Ewangelii według świętego Jana. Niewierny Tomasz nie mógł uwierzyć, że ten, którego widzi, to Chrystus, który zmartwychwstał. Gdzie to usłyszałeś?

Antoine uśmiechnął się pod nosem.

– Też od takiego jednego, co zmartwychwstał – odparł. Tym razem naprawdę opuścił pokój.



Życie w USA zamierało po dwudziestej drugiej. Strzegący nowego porządku ogłaszali godzinę policyjną zarówno w Enklawach, jak i na szarych, brudnych ulicach. Oczywiście ci najbardziej wpływowi i zamożni, patrzący na resztę świata z okien swoich apartamentów mieli takie przepisy w poważaniu, gdy bawili się na całonocnych bankietach. Jednak i tonące w śmieciach ulice miały własny czas oraz zasady. Policjanci też zakładali rodziny i woleli nie ryzykować z grupami naćpanej czy pijanej hołoty, a wysyłanie tam elektronicznych funkcjonariuszy po prostu się nie opłacało.

Antoine Chavalierin nie czuł jednak strachu. Nie miał rodziny, bliskich, a teraz opuścili go przyjaciele – Masters okazał się zdrajcą, a życie McDoyle’a zależało od lekarzy. Poza tym był we wszystkich rejonach miasta – w pachnących parkach Enklaw, gdzie elegancko ubrani synowie bogatych rodziców mizdrzyli się do swoich pięknych koleżanek otoczeni czujnymi oczami kamer bezpieczeństwa. Bywał w Queens, Hell’s Kitchen czy Little Italy, gdzie opuszczone boiska do gry w koszykówkę otaczały dziesiątki rdzewiejących aut pamiętających jeszcze dwudziesty wiek, zaś ponad nimi rozciągały się rzędy kruszejących kamienic. Tylko holowy-świetlacz na dachach przypominały, że świat się zmienił. Na każdym

skrzyżowaniu mieszkańcy mogli kupić nowe wszczepy, a studia tatuażu oferowały implanty, dzięki którym malunki na ciele można było zmieniać w każdej chwili – wszystko po to, by lepiej poczuć się w oparach spalin produkowanych przez Enklawy.

Antoine bywał też na Staten Island czy w Bronxie, o których, jak mówili ich mieszkańcy, Nowy Porządek zapomniał.

Legitymacja numer 3030 pozwoliła Antoine'owi bez problemu opuścić Enklawę i skierować swoje kroki do metra, którym dziś częściej transportowano części zamienne do generatorów, niż wożono pasażerów. Jeśli już ktoś nim się poruszał, prawdopodobne było, że albo mieszka w opuszczonych tunelach, albo wręcz w samym wagonie skrzypiącym na każdym zakręcie i tryskającym kaskadą isker z niesmarowanych od lat kół.

Chavalerin jednym susem opuścił wagon przy Morris Park. Stary automatyczny system sterujący kolejką często się psuł i na stacjach zatrzymywał się dosłownie na kilka chwil. Antoine uruchomił latarkę na urzędowej bransolecie, by rozświetlić mrok.

Świst odjeżdżającego pociągu zamienił się w ciche pomruki i pojękiwania. Tubylcy. Jedni napromieniowani lub z chorobą popromienną, jeszcze inni – kalekie ofiary frontu i recydywiści zbiegli z więzień w czasie wojny. Nie było sensu wyciągać broni – zachowywali się jak zwierzęta, których lepiej nie podjudzać. Antoine czytał nawet raporty donoszące, że w takich miejscach kanibalizm to coś normalnego.

Po prostu ruszył na górę, by zaczerpnąć wreszcie świeżego powietrza... o ile mógł o takim mówić przy skrzyżowaniu Bogart i Lyding Avenue.

Odcięta od rzeczywistości część miasta z rzadka otrzymywała dostawy wody i ogrzewania, nie wspominając o elektryczności. Na ulicach działała co dziesiąta lampa, a głównym źródłem światła i ciepła były palone masowo nieczystości oraz kolejne rupiecie, które miejscowi przywozili z szabrowniczych wypraw na przedmieścia. Przez wybite okna można było dostrzec ogniska otoczone ćpunami. Płyn do czyszczenia drukarek

wymieszany z proszkiem do pieczenia i szamponem z pewnością pozwał na niezapomniany odlot. Zwykle jednorazowy.

Gdy kiedyś przyjechał tu z Rickiem i Edwynem jeszcze jako kadet, był przerażony. Prawdziwy gówniarz, który po raz pierwszy od dawna zerwał się ze smyczy i nagle zauważył, że idealnie wyprasowane białe koszule mężczyzn z Enklaw wcale nie są wszechobecne.

Przyjeżdżali tu po informacje – w czasie zamiejskich wypadów tubylcy często znajdowali przedmioty związane z wiarą. Później sprzedawali je ludziom z miasta za leki, jedzenie i ciepłe ubrania... lub za lepszy towar.

Rick McDoyale traktował ich jak muchy. Zawsze był idealistą po stronie Nowego Porządku. Na wojnie stracił wszystko. Ten odbudowany świat to jedyne, co mu zostało, a przeszłość stanowiła zbędny balast, niepasujący element w układance.

To dzięki niemu Antoine szybko porzucił chęć pomocy tym ludziom. Zamienił ją najpierw w zdenerwowanie, a ostatecznie w obojętność. Byli dla niego czystą informacją, jak te wyszukiwane w rejestrach.

Raz jednak trafił tu sam z Edwynem Mastersem. Chavalerin miał już wtedy swoją legitymację, czuł, że jest ponad tymi wynędzniałymi ludźmi, niegodnymi miana obywateli Nowego Porządku. Ba, czuł się nawet lepszy od mieszkających w dolnych partiach Enklawy numer 26, bowiem jego apartament znajdował się ponad płataninę ulic i autostrad.

Edwyn zabrał go do jednej ze spelun. Antoine myślał, że to test, podpucha. Ludzie patrzyli na nich spode łba, jednak odznaka robiła swoje. Oni zapewniali, że lokal – a raczej kilka zapleśniałych stolików i zepsuty bar – nie będzie nękania, a właściciel zachowa możliwość serwowania swoim kumplom grzania po kablach i polewania gorzały zrobionej z... No cóż, nigdy nie pytał z czego i chyba wolał nie wiedzieć.

– Traktujesz ich jak gorszych od siebie – ocenił po pierwszym szocie Edwyn.

– Nie dostosowali się – mruknął wówczas Chavalerin. Być może chciał coś jeszcze dopowiedzieć, ale alkohol zmusił go do powstrzymania odruchu wymiotnego.



– Mówi ten, który wygrał los na loterii. – Edwyn zachichotał.

– Słucham?

– Chav. – Masters nachylił się do towarzysza, uśmiechając się i klepiąc go po plecach. – Nie każdy miał szansę trafić do programu relokacji – wyjaśnił. – Inni nawet nie byli brani pod uwagę. Mieli pozostawić wszystko, co znali, także swoje rodziny, licząc na lepsze życie, a i to nie było pewne. Powiedz, czy mając wciąż rodzinę, zdecydowałbyś się zostawić ją na pastwę losu? Porzucić w momencie próby?

Wtedy nie odpowiedział. Wściekł się i nawet był gotów donieść na kolegę. Nie zrobił tego. Sentyment... Dziś zastanawiał się, czy gdyby ktoś na nowo nie wziął Edwyna na szkolenie, to wszystko nie skończyłoby się inaczej? Przecież skoro z niedostosowanych potrafili zrobić wzorowych obywateli, to co mogli osiągnąć z powątpiewającymi urzędnikami?

Dukagjini Burek nie miało już drzwi. Antoine po prostu wszedł do środka. Jeden z naćpanych, wychudzonych małałów doskoczył do niego, ale Chavalerin machnął mu tylko przed oczami odznaką, chyba bardziej dla dopełnienia rytuału niż udowodnienia czegokolwiek. Drugą ręką wymierzył cios. Niezbyt silny, ale wystarczający dla ćpuna. Męczyzna padł koło tłącego się na starym stole do snookera ogniska.

– To co zawsze, Pavel. Podwójnie – rzucił do wąsatego mężczyzny za barem. Pozostała grupa gości gotowa była rozerwać urzędnika na strzępy, ale odpuścili, gdy Pavel sięgnął po brudną butelkę.

– Dawno cię nie było – mruknął gburowato wąsacz, nalewając powoli alkohol dla Antoine'a. Ręka barmana bardziej przypominała poligon wojskowy niż kończynę, ale i tak miał szczęście, że przeżył wybuch bomby w ostatnim konflikcie.

Chavalerin opróżnił kieliszek jednym haustem. Nie przeszkadzało mu już smak, nawet odbicie szminki na plastiku.

– Jeszcze jeden – zażądał.

– Masz czym płacić?

Antoine sięgnął za połę płaszczu i wydobył z niego tuzin tabliczek czekolady. Pavlowi aż błysnęło oko.

– Prawdziwa? – spytał, oblizując wargi.

– Prawdziwa, lej – warknął Chavalerin. Nie zamierzał szybko zakończyć tego dnia.

W głowie wciąż kotłowały mu się słowa Mastersa.

*Nowy Porządek kłamie...*

Tak, dawny kolega z pracy mógł zwariować, ale... on naprawdę był przerażony.

– Pamiętasz mojego starego druha, Edwyna Mastersa? – rzucił do Pavela, gdy ten akurat dłubał w nosie podczas czyszczenia szklanek.

– Przyjeżdżaliśmy tu czasami.

– Mhm – mruknął, przegryzając kawałek czekolady, której resztę schował za ubrudzonym tłuszczem i farbą fartuchem. Pozostałe jedenaście tabliczek zdążył ukryć w szufladzie, nim ktokolwiek się zorientował... poza Antoine'em.

Urzędnik złapał za drugi kieliszek i ponownie wychylił.

– Słyszałem, że coś tu zostawił – stwierdził Chavalerin, krzywiąc usta.

– Nic tam nie wiem.

– Pavel, Pavel, Pavel. – Antoine pokręcił głową, cmokając głośno.

– Serio chciałbyś, żebyśmy ci zrobili tu prawdziwy rozpieprz? Jeden sygnał i...

Pavel uderzył pięścią w stary bar. Sklejka w jednym miejscu puściła z charakterystycznym skrzygnięciem. Pozostałe w „lokalu” lumpy natychmiast popatrzyły w stronę przybysza. Antoine też nie pozostał dłużny, podążając dłonią do kabury.

– Nie jestem religijnie niesubordynowany – warknął człowiek za barem, machając przy tym brudną ścierką przed oczami Chavalerina. – To, że wolę żyć po swojemu, nie znaczy, że macie prawo mnie zatrzymać! Znam dobrze nową konstytucję! Nie wyznaję żadnego boga, nie jestem winny!

– Ale twoje dzieci mają wady, nieprawdaż? – Antoine uniósł kącik ust i odpowiedział sam: – Nigdy nie leczyłeś ich na choroby popromienne. Te młodsze mają wady genetyczne. Urząd równości na pewno się tym zainteresuje, a słyszałem, że w Sektorze Afrykańskim brakuje pracowników.

Pavel zastygł w bezruchu. Patrzył to na urzędnika, to na coraz bardziej poddenerwowanych drabów, którzy byli jego klientami. Wreszcie machnął kawałkiem szmaty, aż wyleciały z niej dwa karaluchy. Klienci – bądź rezydenci – siedli na swoich zadkach i dalej tępo patrzyli przed siebie, a on odwrócił się do butelek. Wybrał jedną z nich i rozlał do dwóch szklanek. Etykiety Jacka Danielsa bądź Jim Beama na szkle miały już tylko efekt placebo, gdy chodziło o smak. Kopały tak samo – czyli dobrze.

– Ja naprawdę nikomu nie wadzę, szefie – uznał właściciel przybytku, stawiając przed Antoinem szklankę z alkoholem. Sam napełnił swoją do połowy i kontynuował: – Nie strzelam do waszych, nie włamuję się do fabryk, nie przetrzymuję...

Chavalerin uniósł rękę, w międzyczasie kosztując szczynowatego szota.

– Dlatego daj mi tylko to, co ten człowiek tu zostawił. Obiecuję, że nikt nie będzie cię niepokoił – wyjaśnił Antoine. – Traktuję cię jak przyjaciela, Pavel. Nie chciałbym, by tobie ani twoim bliskim stała się krzywda.

Wąsaty mężczyzna pokiwał powoli głową i pospiesznie udał się na zaplecze.

W tym czasie Chavalerin rozsiadł się wygodnie na poprętym siedzisku barowego hokera i odpalił papierosa. Mętne spojrzenia bywalców lokalu podążyły w jego stronę, gdy tylko usłyszały trzask zapalniczki. Gdyby nie zaćpane i zapite mózgi, pewnie rzuciliby się niczym wygłodniałe wilki w stronę urzędnika, jednak po prostu leżeli rozwaleni na zepsutych przedwojennych fotelach i tylko majtali głowami w reakcji na zewnętrzne bodźce. Jedynie znokautowany przez urzędnika mężczyzna głośno chrapał na podłodze, niemal w takt lecącej ze starego, obsługującego jeszcze kasety boomboxa. Z podwieszonego na sznurze pod sufitem sprzętu dało się słyszeć mocno zatarty przez czas i zużycie *beat* „Ghetto gospel” przetykany rapem Tupaca Shakura.

Antoine zaśmiał się w duchu. Dzisiejsi mieszkańcy przedmieść żyli według swoich zasad. Robili, co chcieli, słuchali nawet muzyki, jakiej prawym obywatelom Nowego Porządku nie było dane. No i dodatkowo uwielbiali zażywać kolejne porcje trucizn i zdychać jak robactwo. Świat

się zmienił, ale te cholerne swoiste getta były takie same. Perpetuum mobile samozagłady.

– Proszę – burknął Pavel i rzucił przed Antoine’a zawiniętą w starą gazetę paczkę. Chavalerin zaciągnął się i rozpakował rzekomą wiadomość od Mastersa. Barman podszedł w tym czasie do jednego ze swoich klientów, który dostał drgawek.

Po kilku ruchach Antoine zagryzł mocniej papierosa, trzymając w rękach już nie zawiniątko, a Biblię wydaną w dwa tysiące szesnastym przez Deutsche Bibelgesellschaft. Normalnie od razu rzuciłby ją na ziemię, ale to nie była oficjalna akcja i wiedział, że w tej hołubionej przez setki lat książce jest informacja od dawnego kolegi. Pospiesznie zaczął kartkować, w mgnieniu oka przechodząc przez Księgę Rodzaju, zburzenie murów Jerycha opisane przez Jozuego, a także pouczającą historię Hioba. Zwolnił, gdy tylko zaczął się Nowy Testament. Kartkował, aż dotarł do rzeczy spisanych rzekomo przez apostoła Jana.

*Trafiony, zatopiony* – pomyślał, gdy między wierszami opowiadającymi o niewiernym Tomaszu zobaczył odręczne notatki. Początkowo Antoine nie wiedział, o co chodzi, widział imiona i nazwiska, które nic mu nie mówiły. Terry Forest, Adeine Kabock, Jose Mirguel... Do tego adres najbliższego ośrodka reformy, do którego trafiali zatrzymani przez tułtejszy wydział urzędu ochrony.

Antoine złapał za swój komunikator i wpisał pierwsze z brzegu nazwisko. Sieć łączyła powoli, w rytmie kolejnych rymów płynących z magnetofonu i płaskaczy sprzedawanych przez Pavla nieprzytomnemu klientowi.

„Robert Stoneskin. Zatrzymany przez Mastersa i McDoyle’a. W pełni zreformowany”.

Chavalerin natychmiast zaczął wpisywać kolejne nazwiska. Wszystkie związane były z niedostosowanymi, którzy zostali wysłani na terapię i, według raportów, wrócili cali i zdrowi.

Urzędnik złapał za butelkę czegoś, co udawało Jim Beama i schował do kieszeni swojego płaszcza, po czym wyrwał stronicę z nazwiskami

i wcisnął między nadgarstek a komunikator. Gdy ruszył w kierunku drzwi, zerknął w stronę walczącego z wiotkim już ciałem klienta Pavlem.

– Nie żyje – ocenił sucho Antoine. – Przynajmniej kundle się nażrą.



Kolejne piętra migwały w oczach Anne Howard. Jeszcze kilkanaście minut temu musiała znosić trudy podróży samolotem, a teraz z każdą sekundą była bliżej gwiazd. Za szybą windy w Enklawie 12 widziała je wszystkie. Jeszcze chwila i będzie tam, daleko. Już tylko awans dzielił ją od wyniesienia się ponad ludzkość. Mars? To była dobra perspektywa. Nawet w nieoficjalnych komunikatach mówiono, że pierwszy etap przygotowania planety do życia został zakończony.

– *Witam w domu, dyrektor Howard* – rozległ się elektroniczny głos.

Gdy tylko drzwi windy się otworzyły, Anne poczuła buchnięcie ciepłego powietrza, które niemal ją przytłoczyło. Potężne klimatyzatory rozlokowane na korytarzach wokół apartamentów pracowały dzień i noc, by zapewnić odpowiednią temperaturę mieszkańcom znajdującym się przeszło osiem tysięcy metrów nad ziemią.

Kiedy skaner tęczówki potwierdził tożsamość Anne, kobieta weszła do swojego apartamentu i zaczęła się rozbierać, jednocześnie brnąc w głąb pomieszczeń. Skórzany płaszcz rzuciła na pamiętający wiktoriańskie czasy bujany fotel, który zaczął się kołysać pod ciężarem ubrania. Buty zostawiła na progu przestronnego salonu. Kolejne części garderoby opisywały drogę Howard do łaźni.

– Zrób mi coś do jedzenia, a potem rozbierz się i czekaj – rzuciła przez ramię, po czym odkręciła wodę. Długie włosy przykleiły się do wydatnych pośladków, częściowo jednak opadając na ponętny, kołyszący się i duży, jędrny biust. Smukłe ręce zaczęły masować to mięsiste usta, to zgrabne łydki o bladej skórze. Z kafelków wystrzeliły mechaniczne ramiona uzbrojone w strzykawkę i urządzenia masujące. To między innymi dzięki nim Anne nie miała już ponad siedemdziesięciu lat, ale trzydzieści...

przynajmniej wizualnie. Gorąca, ostra trzydziestka, która wiedziała, że jeszcze drugie tyle przed nią.

Kilkanaście minut później Howard wytarła ciało i przeszła do salonu, by rozłożyć się na wyściełanej lisim futrem sofie. Sięgnęła po butelkę wytrawnego wina stojącą na barku pamiętającym pierwszą wojnę światową. Skosztowała. Jej oczom ukazał się tęgi, ponad dwumetrowy czarnoskóry mężczyzna. Nagi.

– Jedzenie dla pani – rzucił chrapliwym głosem, a jego potężna ręka położyła na dębowym stoliku porcję wybornego ryżu jaśminowego w sosie curry z kawałkami tofu. Nie musiał pytać, co dalej. Po prostu poszedł od drugiej strony sofy i uklęknął za pośladkami kobiety. Zaczęła nabierać zielony sos na łyżkę, gdy on zaczął robić swoje. Dwie najlepsze rzeczy – ona zaspokajała głód i kubki smakowe, on jej łechtaczkę i kobiecość.

Wszystko byłoby idealnie... gdyby nie dron, który nadleciał, oznajmiając, że Anne ma oczekujące połączenie.

– Wyświetl obraz, Siri – rozkazała Howard. Niemal natychmiast w pomieszczeniu pojawił się wizerunek mężczyzny, który łapczywie nabierał widelcem żółtą papkę do ust.

– Smacznego, 3030 – przywitała się Anne.

– Dobry wieczór, pani dyrektor – odpowiedział z pełnymi ustami Antoine. Przełknął ostatni kęs i wytarł usta o rękę. – Widzę, że przeszkadzam.

– Po prostu zaspokajam głód i...

Czarnoskóry mężczyzna rozchylił mocniej nogi Anne i przyspieszył.

– I inne potrzeby – kontynuowała. – Nie będzie ci to przeszkadzać? Chawalerin westchnął wyraźnie zniesmaczony, ale pokręcił głową.

– Bynajmniej, dyrektor Howard – odpowiedział, a kobieta wróciła do jedzenia. – Pozwoli pani, że ja też będę dalej konsumował?

– W porządku. Ale przejdźmy do meritum – oznajmiła i odsunęła talerz. – Czyżbyś miał dla mnie raport z ostatniej akcji? – spytała, wytarłszy usta serwetką. Druga ręka sięgnęła po kieliszek z winem.

- Jest na pani biurku.
- Siri, pokaż mi rzut biurka.

Robot wyświetlił hologram setek teczek. Wyglądało to tak, jakby wszystkie miniaturowe dokumenty leżały na czerwonym perskim dywanie w salonie. Kobieta odwróciła się i stanowczo klepnęła w brzuch spoczonego kochanka. Ten bez najmniejszego sprzeciwu przerwał stosunek. Wstał i bez słowa podszedł do w połowie pustego talerza, który następnie zabrał i oddalił się, przechodząc przed obrazem twarzy Chavalerina z przyrodzeniem na wierzchu. Agent urzędu ochrony Nowego Porządku skrzywił się i z niesmakiem odłożył puszkę ze swoim jedzeniem. W tym czasie Anne usiadła wygodnie na sofie, nie krępując się zupełnie swoją nagością.

- Pokaż mi akta sprawy o kryptonimie „Nippon III”.

Jedna z teczek powiększyła się do rozmiarów dorosłego człowieka, a Howard machnięciami ręki zaczęła przerzucać kolejne strony raportu. Pojawiały się na nich zdjęcia przedmiotów, które uznano za dowód złamania prawa, oraz opisy.

- Krzyż chrześcijański, materiał użyty do produkcji cynołów, wykończenie srebrne, wyprodukowany dla The Catholic Company w dwa tysiące siedemnastym roku. Paragraf osiemnaście, siedemdziesiąt siedem i sto dwadzieścia jeden - czytała Anne. Jednak szybko ominęła dowody rzeczowe, by przejść do zatrzymanych. Natychmiast pojawiły się ich sylwetki, szczegółowe informacje o uzależnieniach, zwyczajach, znajomościach. Każdy szczegół ich życia.

- Widzę tu listę tylko pięciu niedostosowanych, 3030 - zauważyła, wymownie cmokając z niezadowolenia. - Z tego, co wiem, było ich szesnastu.

- Właśnie w tej sprawie do pani telefonowałem - pospieszył z wyjaśnieniami Antoine.

Anne dopiła wino i nałała sobie kolejną porcję. Ruchem ręki nakazała, by Chavalerin kontynuował.

– Nie wszystkich udało mi się zidentyfikować, w związku z czym chciałem prosić o zezwolenie na wizytację urzędniczą w ośrodku reformy numer 14 w Scranton.

– Hmm, ciekawe – rzuciła, zatrzymując usta przy brzegu kieliszka. – Zwykle masz wszystkich jak na widelcu. Jak rozbijałeś drukarnię wydającą te mużułmańskie banialuki, nie było problemu z identyfikacją stu trzydziestu niedostosowanych. Może powinieneś poprosić o pomoc swojego partnera? – zapytała cynicznie. – Słyszałam, że z nim coraz lepiej.

Antoine się skrzywił.

– Jest rozmowny, ale pod wpływem silnych leków – odparł. – Trochę zajmie, nim będzie w pełni funkcjonalny, a mi zależy na jak naj szybszym zamknięciu tej sprawy.

– Może poczekać – uznała Anne. – Są inne, równie pilne, skoro tak szybko chcesz wrócić na ulice.

– Potrzebuję premii. Muszę kupić leki na płuca.

– Przecież dopiero co je przeszczepiałeś.

Chavalierin wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć. Zaciśnął jednak zęby.

– Ten przeszczep jest bardziej podatny na raka i zatrucia niż oryginał – wycedził. – Chyba nie chce pani stracić takiego pracownika jak ja, dyrektor Howard?

Uwielbiała tę jego arogancję, butę i egoizm. No i bezwzględne dążenie do celu. Wszystko musiało być tak, jak chciał. Bystry, przebiegły, chodzący własnymi ścieżkami, mający własne zdanie. Prawdziwy samotny wilk. Może by go awansować? Może odwdzieczyłby się i został jej kochankiem?

– Oczywiście, że nie chcę – mruknęła. – Możesz jechać, ale zaraz później oczekuję solidnego raportu.

– Oczywiście, dyrektor Howard. – Antoine się uśmiechnął... i rozłączył. Jak zwykle bez pożegnania. Dostał, czego chciał i już go nie było.

Anne podeszła do olbrzymiej garderoby i wyciągnęła z niej jeden z dziesiątków kaszmirowych szlafroków. Zarzuciwszy go na siebie, na powrót rozsiała się na sofie i wróciła do konsumowania wina.



– Siri, wyślij wiadomość do doktora Gable’a, że jutro odwiedzi go jeden z moich ludzi – poleciła robotowi. Sama zaś przeszła z akt sprawy do mapy Stanów Zjednoczonych. Wydała polecenie wyświetlenia położenia podległych jej agentów.



– *Minęła ósma, mamy dwudziesty drugi dzień października. Opad radioaktywny powyżej normy, urząd środowiska odradza wycieczki za miasto. Przez cały dzień możliwe będą burze i kwaśne deszcze. Za chwilę nadamy kolejny odcinek audycji „Oto Historia”.*

Czarny pojazd należący do urzędu ochrony Nowego Porządku mknął po zniszczonych drogach.

Nie było sensu naprawiać nawierzchni po wojnie – ludzie nie ryzykowali podróży ze względu na promieniowanie, a jeśli już, to tylko hermetyczną koleją turbomagnetyczną. Głównie nie mieli jednak takiej potrzeby – Enklawy stanowiły miasta w miastach, miały własne parki, baseny, sklepy, szkoły i fabryki. Setki tysięcy ludzi nigdy nawet nie opuściło swoich megawieżowców, bo i po co? Te molochy były w pełni samowystarczalne.

– *Rok dwa tysiące dwudziesty czwarty. Z początkiem jesieni grupa fanatyków porywa uzbrojone samoloty w kilku miejscach w Europie. Zrzucają bomby na Paryż, Seville, Hamburg, Amsterdam i Manchester. Kierowani chorobą psychiczną, jaką jest religia, przyczyniają się do śmierci tysięcy ludzi.*

Docisnął pedał gazu. Silnik zawył, wskakując na najwyższe obroty. Puste drogi pozwalały szaleć bez opamiętania. I rozmyślać. Cały czas wracały do niego słowa dawnego przyjaciela: „Żyjesz w kłamstwie. Chcą, byś żył w kłamstwie”.

O co, do jasnej cholery, chodziło Edwynowi? Co się stało z tym człowiekiem? Dawniej najwierniejszy wojownik Nowego Porządku, a teraz? Po co ktoś sfingował jego śmierć? Sprawdził ostatnio archiwum – Edwyn Masters, numer legitymacji 1037, zginął podczas rutynowej misji

w Poznaniu. Podobno nawet zawieszono szereg lokalnych funkcjonariuszy za złe rozpoznanie.

*– Na odpowiedź czekano kilka miesięcy. Kraje i organizacje całego świata debatowały, co zrobić, aż w swoje ręce sprawy wzięli inni fanatycy. Przewodził im człowiek nazywany papieżem. To oni, równo trzydzieści lat temu, ogłosili kolejną krucjatę, tym samym przypieczętowując początek trzeciej wojny światowej.*

Machnięciem ręki wyłączył holowyświetlacz. Obraz ukazujący zgłiszczca Paryża zniknął, odslaniając szybę, a za nią bezkresne połacie wolnego od ludzi świata.

Tylko on i mruczący silnik maszyny. Codziennie mijał na ulicach tych samych ludzi, pakował do ust te same porcje jedzenia, popijał jednakowymi napojami, a zewsząd docierały do jego uszu te same komunikaty propagandowe. Jednak Antoine musiał to przyznać: żył stabilnie, spokojnie. Żadnych wojen, epidemii, straszenia bronią atomową. Każdy miał te same poglądy, popierał jedną władzę.

Stuknięciem w klawisz na kontrolerze włączył w samochodzie autopilota, po czym sięgnął po paczkę papierosów schowaną za pazuchą. Zapalił i zaciągnął się. Na powrót włączył holowyświetlacz. Z głośników popłynął kobiecy głos:

*– Doniesienia z ostatniej chwili: na północnej granicy Sektora Afrykańskiego doszło do rozruchów. Grupa Mniej Dostosowanych próbowała sforsować mur graniczny, ale na szczęście służby były już postawione w stan pogotowia. Nikt z obywateli nie ucierpiał. Urząd równości natychmiast wydał krzepiący komunikat dla Mniej Dostosowanych, ogłaszając, że w związku z incydemem nie czekają ich żadne reperkusje. Władza wyraża jednak głębokie ubolewanie, że tamtejsza ludność wciąż nie wie, że izolacja jest dla ich dobra i działa na rzecz wyrównywania szans.*

Auto zwolniło, a następnie zatrzymało się przed wysokim na kilka metrów i rozciągniętym wzdłuż całego dawnego Scranton grubym murem. Konstrukcja ostro wrzynała się w niegdysiejszy Park Narodowy. Z miasteczka, poza uszkodzonym znakiem powitalnym, nie pozostał

nawet cień. Na wypalonej eksplozjami ziemi, zamiast budynków mieszkalnych, stały wielkie betonowe hale. Po wojnie służyły jako schronienie dla ludzi z programu relokacji. Dziś miały zupełnie inne zadanie.

Do urzędowego forda zbliżył się uzbrojony strażnik. Drugi bezpiecznie obserwował wszystko z posterunku przy solidnej, pancernej bramie.

– Dokumenty poproszę – odezwał się wartownik, gdy tylko szyba od strony kierowcy opadła. Prośba mało subtelna nie tylko ze względu na ostry ton, ale i luźną MP22 zaglądającą do środka samochodu.

Urzędnicza legitymacja zaświeciła przed goglami strażnika. Skaner wbudowany w urządzenie natychmiast potwierdził prawdziwość legitymacji.

– W jakim celu pan tu przyjechał, panie Chavalerin? – zapytał podejrzliwie mężczyzna.

– Wizytacja urzędnicza. – Antoine uśmiechnął się wymuszenie.

– Mało mnie to przekonuje – burknął uzbrojony strażnik. – Radzę się oddalić.

Chavalerin wiedział, że nie wygra. Nie miał nakazu, odpowiednich dokumentów. Nawet urzędników nie wpuszczano ot tak do ośrodków reformy.

O dziwo jednak coś zaszeleściło przy uchu strażnika. Ten skupił się na sygnale ze słuchawki i pokiwał głową na znak, że zrozumiał. Chwilę jeszcze lustrował wnętrze samochodu, ale widząc, że nie znajdzie nic podejrzanego, ruchem ręki nakazał otworzyć bramę. Żółty kogut na szczycie muru zaczął świecić, a brama odsunęła się ze zgrzytem, pozwalając Antoine'owi wjechać do środka.

Poza garstką patrolujących teren strażników nie było tu żywej duszy. Wszędzie za to stały wojskowe transportery i magazyny. Wszystko ginęło w cieniu gęstych chmur, zza których z rzadka wyglądało słońce. Chavalerin przystanął pod jedynym różniącym się od innych budynkiem. Przypominał on przeszklony, kilkupiętrowy biurowiec. Tyle że na szkle wyświetlane były twarze wielkich przywódców Nowego Porządku, a z ukrytych głośników atakowały ich płomienne przemówienia.

– Cóż za niespodziewana wizyta! – zakrzyknął ktoś radośnie, zagłuszając rzewne hasła o „dobrej zmianie”.

Antoine odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos. Był to mężczyzna, który chwilę wcześniej wyszedł z okrytego wyświetlaczami budynku. Szeroki uśmiech na twarzy nieznanego wyglądał jak przyklejony.

– Doktor Hillary Gable – przedstawił się, dotarłszy do Chavalerina. Choć Antoine nie należał do ludzi wysokich, przygarbiony doktor i tak musiał zadzierać głowę, by spojrzeć mu w oczy. Ukryte za grubymi szkłami źrenice mężczyzny uważnie lustrowały twarz Antoine’a. Jednak wiek doktora, poza dziesiątkami zmarszczek na zasuszonym czole, zdradzał też wąty uścisk kościstej dłoni.

– Antoine Cha...

– Nie musi się pan przedstawiać! – oznajmił doktor Gable. Urzędnik spojrział na niego z zaskoczeniem. – Niemal jedna trzecia naszych pacjentów trafia do nas dzięki pańskim zatrzymaniom – wytłumaczył. – Na dokumentach transportowych widnieje pański numer legitymacji i nazwisko, panie Chavalerin. Tylko w zeszłym miesiącu dwieście zatrzymań. Winszuję!

Antoine nie czuł się dumny.

– Dziękuję – bąknął pod nosem.

Reakcja Chavalerina zbiła Gable’a z tropu. Zmieszał się, nerwowo pocierając dłonie.

– Proszę, proszę! – Po kilku sekundach doktor wskazał na budynek za swoimi plecami. – Przecież nie będziemy tu rozmawiać. Zapraszam do środka!

Antoine przystał na propozycję i podążył za starszym mężczyzną. Wiedział, po co tu jest. Edwyn, jego słowa. Fakt, że być może niedługo dowie się wszystkiego, wywoływał podniecenie... i zarazem strach. Strach przed tym, że być może Nowy Porządek nie jest całkiem nowy. Ustalają wszystko według własnych reguł, a ludziom wciskają medialną papkę. Tak jak wielcy przywódcy dwudziestego wieku, których oglądał

podczas cotygodniowych wykładów w urzędzie, mówili obywatelom to, co ci chcieli usłyszeć.

Nie, na pewno nie jest tak, że ktoś to wszystko wyreżyserował. Po prostu dowie się, że jego dawny przyjaciel sfiksował. Zawsze był... trochę inny. Wariat i tyle. Zwykły popapraniec, taki sam jak wszyscy inni wierzący w wielkie coś... Tylko gdzie oni się właściwie znajdowali?

– Gdzie są wasi pacjenci? – Chavalerin zatrzymał się tuż przed drzwiami do budynku i rozejrzał po placu. – Poza strażnikami i personelem – spojrzał na Gable'a i kilku innych sanitariuszy przechodzących obok nich lub krążących wokół hal – nie widzę ludzi, których się reformuje. Trzymacie ich w zamknięciu? Tych, których to rzekomo dostarczam w setkach co miesiąc? Powtórzę: w setkach – podkreślił urzędnik.

– Setki były w ostatnim miesiącu – sprostował z przekąsem Gable, poprawiając przy tym okulary spadające z nosa. – Naszych pacjentów nie widać, bowiem ośrodki reformy nie są domami opieki – stwierdził z całą stanowczością. – To bardziej zamknięte oddziały psychiatryczne. Religia, wiara to ciężka, umysłowa choroba, o czym na pewno pan wie. – Gable uniósł palec, by podkreślić wagę swych słów. – Nasi pacjenci po przywiezieniu na leczenie nie rozumieją, że chcemy im pomóc. Stanowią zagrożenie dla siebie samych i dla innych, ale o tym też powinien pan dobrze wiedzieć.

Uśmiech doktora wydał się Chavalerinowi bezczelny. Mężczyzna nie miał jednak ochoty na kłótnie. Mimo to przytaknął.

– Ale dla pana zrobię wyjątek! – dodał Gable i przeszedł przez rozsuwane drzwi, ręką przywołując Antoine'a. – Przecież nie przyjechał pan tu dla przyjemności. Chciał się pan dowiedzieć, co z pana przyjacielem, Edwynem Mastersem, prawda?

Chavalerin zaniemówił. Tak gwałtownie zatrzymał się w progu, że idąca za nim sanitariuszka wpadła na niego z impetem. Taca, którą niosła, wysunęła się jej z rąk i z metalicznym brzdękiem uderzyła o posadzkę, zaś szklane pojemniki z różnego rodzaju płynami roztrzaskały się w drobny mak.

– Skąd... – zdołał tylko wydusić z siebie Antoine. Przerwał mu gardłowy śmiech doktora.

W tym czasie kobieta, która upuściła tacę, aż zagotowała się w sobie. Po wyrazie jej twarzy widać było, że pragnęła wybuchnąć i wykrzyzczyć pretensje pod adresem zawalidrogi. Jednak, widząc wymowne spojrzenie Gable'a, bez słowa uklękła i zaczęła sprzątać.

– Błagam! Naprawdę myślał pan, że w dzisiejszych czasach jakiegokolwiek informacje o naszych poczynaniach nie są dostępne w odpowiednich bazach danych? – Gable sprawiał wrażenie rozbawionego. – Każdy ruch, kontakt, znajomości... Wszystko jest podane jak na tacy. Ale chyba pracownikowi urzędu ochrony nie muszę o tym wspominać? Przecież wykorzystujecie takie dane.

– Po prostu nie przywykłem, że ktoś je sprawdza. – Antoine wzruszył ramionami, by ukryć zdziwienie. Pracował w tej branży od wielu lat, ale aktorstwo nie było jego mocną stroną.

– Zostawmy jednak kwestię tego, kto o kim ile wie i skupmy się na szczegółach. Proszę za mną.

Chavalerin musiał na moment zasłonić oczy, gdy poraziło go sztuczne, ostre światło. Korytarz, do którego wprowadził go doktor, zdawał się niemal sterylny. Nie było widać jakichkolwiek załamań – białe ściany sprawiały wrażenie idealnie gładkich, jakby wszystko wykonano z jednego wielkiego kawałka połyskującego plastiku. Gdy ruszyli przed siebie, Antoine stwierdził, że nie dostrzegł też żadnej recepcji, żadnych pokoiów, okien. Ludzie w zlewających się z otoczeniem kitlach mijali ich wpatrzeni w naręczne wyświetlacze. Co jakiś czas tylko z boku dobiegało syknięcie, po którym na ścianach rozsuwały się niewidoczne wcześniej drzwi.

Każdy, dosłownie każdy, kogo minął Antoine, był pracownikiem placówki. Żadnych cywili, mimo że ośrodki reformy rzucały w medialnych komunikatach informacje o możliwościach odwiedzin pacjentów.

Podróż po bezkresnej hermetycznej bieli wydawała się nie mieć końca. Wszystko wyglądało tak samo. W pewnym momencie jednak się zatrzymali.

- To tutaj - oznajmił Hillary Gable, skręcając zniecka w prawo. Nie podniósł nawet głowy. - Korytarz F21 - rzucił przez ramię.

Antoine nie dostrzegał oznaczeń, tablic informacyjnych, wyświetlaczy. Wszyscy poruszali się jak zaprogramowani. Podążył jednak za doktorem, który znów skręcił w prawą odnogę niekończącej się bieli.

- Długo tu pan pracuje? - zapytał poddenerwowany Chavalerin. Nawet położony na górnych piętrach Enklawy szpital, w którym Antoine robił sobie płuca, nie był tak... dziwny.

Starszy mężczyzna zarechotał.

- Od samiuśkiego początku - odparł radośnie. - Najpierw, jeszcze jako renomowany psychiatra, dołączyłem do programu relokacji ofiar trzeciej wojny światowej - opowiadał, nie zwalniając kroku. - Wyniki miałem nadzwyczaj dobre, toteż formujący się Urząd Jedności Myśli wziął pod lupę moje dotychczasowe badania i orzekł, że jestem idealnym kandydatem do prowadzenia tego typu placówki. - Gable zatrzymał się i zaczęła stukać w swój naręczny wyświetlacz. - Nie zastanawiałem się długo. Każdy z nas chce zapisać się na kartach historii, nieprawdaż?

- Brzmi to, jakby miał pan poczucie misji, poczucie, że jest się kimś więcej, a takie twierdzenie to przestępstwo, wiąże się z wiarą.

- A pan nie ma misji?

- Mam obowiązki. - Antoine zacisnął zęby.

- Czym się to różni od poczucia misji?

- Robię to, co mi każą.

- Czyli nie wierzy pan, panie Chavalerin, że naprawia pan świat?

Antoine chciał coś odpowiedzieć, lecz słowa ugrzęzły mu w gardle. W międzyczasie zresztą odezwał się znikąd niezidentyfikowany, elektroniczny głos:

- Dostęp przyznany. Pacjent 13888B24.

Fragment białej ściany poszarzał, gdy drzwi cofnęły się i powędrowały w górę. Usta Chavalerina rozchyliły się lekko.

Pomieszczenie było naprawdę niewielkie, a jego rozmiar w bezkresie bieli pomagał ocenić ekran wiszący na jednej z obłych ścian - wyświetlał to, czym Nowy Porządek karmił swych wolnych obywateli od rana

do nocy. Ale oni zawsze mogli to wyłączyć. Tu wydawało się to niemożliwe. Był to propagandowy rytuał, którego ofiarą padł Edwyn. Przyjaciel Antoine'a siedział z rękoma założonymi za plecami i wpatrywał się tępo w ekran. Blady, nieobecny, odziany w czerwony uniform pacjenta. Dawniej bystre, świdrujące dogłębnie rzeczywistość oczy stały się tylko małymi zamrożniętymi ekranami pustki.

- Czy po takiej terapii pamiętają cokolwiek? - zapytał cicho Chavalerin.

Doktor przetarł okulary.

- Będę z panem szczerzy. Nie. - Pokręcił głową. - Nie prowadzimy tu leczenia depresji czy problemów z łaknieniem. To dużo bardziej intensywne procesy psychologiczne.

- Czyli faktycznie nikt stąd nie wraca - rzekł już bardziej stanowczo Antoine.

- Słucham?

- Przestają być ludźmi. Programujecie ich.

O dziwo, wyrzut Chavalerina nie oburzył starszego mężczyzny. Przeciwnie - doktor Gable zachichotał wyraźnie rozbawiony.

- Trafne porównanie - ocenił. - Kodujemy w nich pewien rodzaj... sztucznej inteligencji. Tworzymy idealnych obywateli Nowego Porządku. Jedzą, pracują, śpią - wylizali na palcach - czasem nawet kopulują, oczywiście tylko dla prokreacji. Jedyne, co znają, to - jak pan - obowiązki... Tylko oni nie zadają żadnych dodatkowych pytań.

Dłoń Gable'a na nowo powędrowała w stronę ściany. Chavalerin jeszcze raz spojrzął na swego przyjaciela, a po chwili jego obraz zniknął, zasłonięty zlewającymi się z resztą korytarza drzwiami. Antoine wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni i chwycił jeden z nich. Gdy tylko przyłożył do niego zapalniczkę, przechodzący obok strażnik postanowił zainterweniować. Nie zdążył jednak nawet otworzyć ust, bowiem Gable wymownym spojrzeniem nakazał mu odejść. Krzemień zagrzechotał i płomień rozpalil wysuszony tytoń.

- Czy takie ubezwłasnowolnienie człowieka nie przeczy ideom Nowego Porządku? - dociekał Antoine, wypuszczając z ust chmurę



dymu. – Czy nie to właśnie czyniły religie, które teraz zwalczamy? Czy świat Nowego Porządku nie jest światem wolności?

– Wolność to tylko piękne hasło – ton Gable’a był beznamiętny. – Zresztą nawet chrześcijanie bez przerwy powtarzali, że Bóg dał im wolną wolę i to różni ich od zwierząt, by chwilę później recytować listę zakazów i nakazów swojej religii. Wolność, panie Chavalerin, to luksus, na który stać niewielu.

Dwóch mijających ich pracowników ośrodka podejrzliwie zlustrowało urzędnika. Odwzajemnił im się tym samym.

– Po pierwsze żołnierze walczący na wojnie w imię wolności walczą o wolność swoich władców, a po drugie – doktor kontynuował swój wykład – żeby dać komuś wolność, trzeba najpierw zabrać ją komuś innemu. Pan też zabiera ją innym dla społeczeństwa Nowego Porządku. – Rozłożył ręce i wydał pomarszczone wargi. – Ani ja, ani pan nie jesteśmy prawdziwie wolni. Mamy swoje przemyślenia, swoje hobby... ale wszystko musi się mieścić w ramach społecznych nakazów i zakazów. Wolność i równość to rzeczy bardzo umowne w dzisiejszych czasach.

Monolog Hillary’ego Gable’a zirytował Chavaleriną. Nie przyjechał tu słuchać umoralniających przemówień, lecz po to, by znaleźć odpowiedzi. Tyle był winien Edwynowi i Rickowi.

– Teraz ja będę z panem szczery, doktorze – wycedził. – Wnikliwie sprawdziłem protokoły mojego wydziału z ostatnich czterech lat. Z osób zatrzymanych przez nas i odesłanych do waszego ośrodka ledwie osiem jest aktywnych w naszych systemach. Pośród pozostałej liczby nie widzimy żadnej aktywności: nie korzystają z komunikacji, nie robią zakupów, nie logują się do sieci, nie są nigdzie zatrudnieni, nie widzą ich kamery. Mówiąc wprost: nie istnieją. Gdzie więc trafiają ci, których nie uda się zaprogramować?

Hillary Gable zaśmiał się pod nosem i kiwnął głową.

– Już wiem, skąd u pana taka skuteczność – oznajmił. – Nic się przed panem nie ukryje. – W jego głosie dało się słyszeć faktyczny podziw. – Dobrze, pokażę coś panu i wszystko wytłumaczę. Proszę za mną.

Antoine ruszył za starszym mężczyzną w głąb zdającego się nie mieć końca korytarza upiornej bieli. Szczęk żelastwa i kroków mijanych strażników odbijał się echem.

– Kiedy byłem młodym chłopakiem, oglądałem film z katastrofy Exxon Valdez w osiemdziesiątym dziewiątym – rzekł sentymentalnie Gable.

– Czy ma to jakiś związek z odpowiedzią na moje pytania? – warknął Antoine, wypuściwszy kolejnego dymka.

– Ogromny – odparł stanowczo doktor, nie zwalniając przy tym kroku. – Otóż w tym filmie na jednym z ujęć była czarna mewa.

Chavalerin uniósł pytająco brew, a Hillary Gable uśmiechnęła się półgębkiem.

– Żadne białe pióro nie wystawało spod czarnej, smolistej warstwy ropy pochodzącej z przeciekającego tankowca – opowiadał. – Inne ptaki krążyły wokół niej, ale mimo jej wołania, nie próbowały pomóc. Skrzeczały do innych, informując o zagrożeniu. Poświęciły jedną, by mogło przeżyć całe stado.

Hillary Gable zatrzymał się przy ścianie i znowu, w miejscu wyglądającym jak każde inne tutaj, przyłożył dłoń. Sekundę później skaner identyfikował tęczę doktor.

Korytarz nagle zaczerwienił się, a z niewidocznych głośników popłynął sygnał ostrzegawczych syren. Antoine odruchowo sięgnął do kabury pod prochowcem, ale doktor powstrzymał go machnięciem ręki.

– To miejsce, do którego niewielu ludzi ma dostęp – powiedział Gable. Błyskający czerwienią korytarz w ułamku sekundy został odizolowany z dwóch stron pancernymi osłonami, które pojawiły się jakby znikąd.

Zanim Chavalerin zdążył zapytać, o co w tym wszystkim chodzi, ściana obok nich rozsunęła się. Gable wszedł do środka, a Antoine, nie mając wyjścia, podążył za nim w nieznaną.

W jego nozdrza uderzył smród potu i zgnilizny. Dopiero chwilę później udało mu się skupić na otoczeniu. Klatki. Niczym te, w których ludzie dawniej hodowali bydło, kiedy jeszcze mięso było surowcem dla

każdego. Zamknięte niemal z każdej strony, jedynie na górze pozostawiając i tak niedostępną namiastkę wolności. W klatkach tych zaś stłoczone żywe istoty. Nagie, ranne, wychudzone i obdarte z wszelkiej godności. Puste skorupy, które niegdyś były ludźmi.

Zaniemówił. Zastygł w bezruchu. Papieros wyślizgnął mu się z ust. Patrzył z niedowierzaniem na to wszystko. Wielka hala, już nie sterylna, a po prostu otoczona betonowymi płytami. Cała wypełniona żywymi trupami, które stąpały po własnych fekaliami i zwłokach towarzyszy niedoli. Nie było płaczu, jęków. Tylko beznamiętne, ciche pogodzenie z losem.

– Co... Co to jest, do cholery?! – wyjąkał Antoine. Jego żołądek odmówił posłuszeństwa i zwrócił śniadanie wprost pod błyszczące buty doktora. Ten jednak zdawał się tym zupełnie nie przejmować.

– Poświęcam czarną mewę, by białe mogły cieszyć się pełnią życia – odrzekł z nieskrywaną dumą Gable, zbliżając się do barierki podwyższenia, na którym stali. Chociaż Chavalerin nie mógł tego widzieć, żrenice starca aż błysnęły, gdy rozejrzał się po tysiącach ściśniętych za kratami ludzi kilka metrów pod jego stopami.

– To gorsze niż obozy koncentracyjne! – wrzasnął Antoine, nie odrywając wzroku od oddartych z człowieczeństwa mężczyzn i kobiet w każdym wieku.

– Uznaję to za komplement – cynicznie mruknął Hillary. – Josef Mengele za Żydów czy Shiro Ishii za Mandzurię może i zyskali miano zbrodniarzy oraz sadystów, ale to nie zmienia faktu, że do dziś korzystamy z osiągnięć ich eksperymentów, panie Chavalerin. Jeżeli więc i mnie przypadnie taka rola, będę zaszczycony.

– Jest pan szalony. A moim obowiązkiem jest sprawę zgłosić do najwyższej...

– Naprawdę jest pan tak naiwny? – Gable machnął ręką, przerywając Antoine'owi. – Wierzy pan, że nikt nie wie o tym, czym rzeczywiście zajmują się ośrodki reformy? – Zarechotał. – To dzięki mnie nie rodzą się już upośledzone dzieci. To dzięki mnie nie musimy się szczepić i cieszymy się zdrowiem do późnej starości. Być może niedługo średnia długość życia, zamiast stu lat, będzie wynosić dwieście! Zresztą komu

ja to mówię? – Doktor dźgnął wskazującym palcem w klatkę piersiową Chavalera. – To dzięki moim eksperymentom cieszy się pan zdrowymi płucami, prawda? Cztery lata temu wykryto u pana raka i tylko moje badania mogły pana uratować. Oddałby pan teraz swoje życie w zamian za żywot któregoś z nich, panie Chavalerin?

Antoine milczał. Czuł, jak coś w nim pęka, kawałek po kawałeczku.

– Wkrótce, dzięki mnie, społeczeństwo Nowego Porządku będzie idealne – powiedział pewnie Gable. – Myśląc w jeden sposób, bez chorób, bez wojen, bez przemocy. I gwarantuję panu, że poświęcę nawet milion istnień, jeżeli uratuje to miliardy.

Część jednej ze ścian betonowej hali rozsunała się. Ludzie popatrzyli tępo w tamtą stronę. Tuzin postaci w roboczych, żółtych skafandrach oraz specjalnych maskach ochronnych weszło do środka. Postacie przypominające Chavalerinowi medyków z czasów dżumy, których widział za młodu na obrazach w Luwrze, zbliżyły się pojedynczo do kilku klatek. Na swoich naręcznych komunikatorach wbili kody otwierając cele. Uwięzieni jednak nie próbowali uciekać. Z każdym krokiem wchodzących do środka osób cofali się, ściskając do granic możliwości. Pracownicy ośrodka zaś w tym czasie zabierali tyle trupów, ile tylko mogli. Niektóre zwłoki nawet nie przypominały już kształtem ludzi. Antoine zapalił kolejnego papierosa trzęsącymi się rękoma.

– Po co mi to pokazałeś? – wyszeptał.

– Chciał pan wiedzieć. – Gable oparł się o barierki i splótł dłonie, podziwiając swoje dzieło z prawdziwą fascynacją. – No i... słyszałem, że złożył pan papiery o przeniesienie wyżej, zgadza się? – zapytał po chwili.

Chavalerin odprowadził wzrokiem ciągnięte ciała, aż betonowe drzwi zamknęły się za nimi z hukiem.

– Ta – bąknął i wypuścił chmurę dymu przed siebie. – Co to ma do rzeczy?

Doktor kolejny raz przetarł okulary.

– Lepiej, żeby wiedział pan, jak smakuje Nowy Porządek – odpowiedział.

Nagle zatrzęsło całym pomieszczeniem. Antoine był przerażony, ale Gable patrzył na niego, mrużąc oczy skryte za szkłem. Sufit potężnej hali rozchylił się, a dotychczas niemrawi „pacjenci” zaczęli powarkiwać, krzyżeć i przepychać się. Drapali ciała ludzi obok siebie, gryźli, a nawet zaczęli się bić. Chavalerin rozszerzył oczy z niedowierzaniem.

– Co to, kurwa, ma być?!

– Pora karmienia. – Gable się uśmiechnął.

Z odsłoniętego sufitu wysunęły się hydrauliczne podajniki, które zaczęły zrzucać do klatek różową maź. Stłoczeni w nich ludzie rzucili się na substancję jak wygłodniałe bestie. Walka o jedzenie rozgorzała na dobre.

– Czym ich karmicie? – zapytał zszokowany Antoine. Nie przypuszczał, że ludzie potrafią być takimi zwierzętami.

– Cóż. – Doktor się skrzywił. – To, co nie nadaje się, by zastąpić pańskie płuca, musi być jakoś spożytkowane. W naturze nic nie ginie.



Taran z łatwością wyważył drzwi mieszkania. Do pomieszczenia wpadło pięciu policjantów, a ich wyposażenie wyraźnie wskazywało, że to nie rutynowa akcja. Opancerzeni, odziani w czerń od stóp do głów, krok po kroku zaczęli sprawdzać zgłoszony apartament. Za nimi przechodzący deptakiem dwudziestego drugiego piętra Enklawy ludzie zaczęli tworzyć gęstniejący tłum. Próbowali zajrzeć do wnętrza i dostrzec coś między lawirującymi uzbrojonymi mężczyznami.

– Zgłaszam kod 143-15 – mruknął jeden z funkcjonariuszy.

– Przyjąłem.

Pozostała czwórka dokładnie sprawdzała zakamarki przestronnego lokum. Poza standardowym wyposażeniem oraz garstką mebli nie było tu jednak żadnych śladów czyjejkolwiek obecności. Puste szafki, szuflady, garderoba. Jedyne żółtawe plamy na niezaścielonym materacu oraz odciski palców na dotykowym holowyswietlaczu świadczyły, że jednak ktoś

tu musiał żyć. Domysły znalazły potwierdzenie w kuchni, gdzie walały się sterty pustych opakowań po najtańszym syntetycznym jedzeniu.

– Zabójstwo? – zapytał trzaskający głos z komunikatora.

Na krześle pod ścianą siedział mężczyzna o ciemnych, lekko kręconych włosach i gęstej brodzie. Bez ruchu. Obok, w kałuży czerwonej, lepkiej cieczy, spoczywał pistolet.

– Samobójstwo – wymamrotał policjant, obchodząc siedzącego.

– Jeżeli nie miał rodziny, trudno będzie go zidentyfikować. – Policjant nachylił się i dostrzegł, że denat, którego twarz była mieszaniną flaków i potrzaskanych kości, trzyma coś w dłoni. Palce nie chciały się rozewrzeć, więc brutalnie je wyłamał.

– Potwierdzam – rzekł policjant. – Numer legitymacji 3030, obywatel Antoine Chavalierin. Zgon przez postrzelenie.

Nim zabrali ciało, funkcjonariusz postanowił już spokojnie wyjść na balkon i zapalić. To go zawsze uspokajało, jeśli na akcji znalazł trupa. Dym pozwalał mu przynajmniej pozornie pozbyć się zapachu śmierci z ubrania.

Zapalniczka zawirowała w palcach, by z trzaskiem buchnąć płomieniem. W gardle zaś pojawiło się przyjemne, drapiące uczucie.

Ludzie na ulicach i balkonach gapili się na wyświetlacz.

Rozejrzał się. Na holoszybie wyświetlano film przypominający te pokazywane policjantom na szkoleniach. Nie, nawet gorszy... To nie były obozy koncentracyjne, a wręcz ludzkie hodowle.

Problem w tym, że ten obraz nie pochodził z archiwum. Data wskazywała na dwa dni wstecz, zaś lokalizacja na jeden z ośrodków reformy. Nie zastanawiał się. Sięgnął po okutą pałkę i rozbił urządzenie ukazujące szkalujący Nowy Porządek materiał. Zauważył jednak, że to nie wystarczy. Powoli na innych ekranach pełniących w apartamentach rolę szyby i telewizora pojawiały się podobne, dziwne obrazy.

– Komórka netterrorystyczna! – wrzasnął policjant do komunikatora na nadgarstku. – Kod 2103 w Enklawie trzynastej! Wyłączyć całe zasilanie!

W ułamek sekundy metropolia, dotychczas połyskująca spiralą neonowych barw i jazgotem dźwięków, opleciona została całunem mroku i ciszy.

W końcu prawda mogła być tylko jedna... Nawet jeśli nią nie była.

## **Wojciech Boratyński**

Urodził się w Warszawie i tam też spędził większość swojego życia, znajdując czas na roczny pobyt w Lublinie. W życiu zajmował się wieloma rzeczami, od pracy fizycznej i handlu poprzez poligrafię, aż po administrację IT. Ostatecznie jednak został dziennikarzem, pracując w telewizji, radio i gazetach. Fantastyką zainteresował się dzięki starszej siostrze. Niewinne hobby szybko zamieniło się w pasję, ale pisywał głównie do szuflady bądź na fora internetowe. Największą inspiracją i spełnionym marzeniem jest dla niego jego małżonka, a największą dumą warszawski Grochów, na którym się wychował i na którym mieszka. Mówi, że „Blok Ekipa” to nie wymysł scenarzystów, a reportaż z życia na tej dzielnicy.





# NAGRODA WOJOWNIKA

Sylwia Finklińska

Abdullah wchodzi we mnie mocno, szybko. Boli. Wszystko odbywa się tak, jak zapowiadały inne żony.

Nie odzywa się do mnie ani słowem. Zaspokaja swoje potrzeby, nie poświęcając mi nawet maleńkiego okrucha uwagi. Nie patrzy na mnie, zamknął oczy i tylko dyszy mi prosto w twarz. Czy tak powinno się traktować oblubienicę?

Po dwóch, trzech minutach męczarni jest po wszystkim. Małżonek odwraca się plecami, nie zwracając uwagi na moje łzy i krew. Śpi? Nie powinien, ale trudno to stwierdzić. Odpoczywa.

A ja leżę na wznak, bojąc się ruszyć. W środku wszystko mnie boli, mam wrażenie, że włócznia Wybranego dokonała straszliwych zniszczeń. Nie tak wyobrażałam sobie pierwszą noc z mężem.

Łzy – teraz upokorzenia, nie bólu – nabrzmiewają w kącikach oczu. Jedna za drugą spływają po skroniach. Ale nie szlocham – ostrzegano mnie przed tym. Abdullah nie powinien usłyszeć, że zbliżenie było dla mnie rozczarowujące. Wielkie, gorzko-słone krople wsiąkają w moje czarne, błyszczące loki i połyskliwy jedwab okrywający małżeńskie łóżce.

Czekam.

Wreszcie nadciąga. Kolejna fala bólu, nieporównanie silniejsza niż przy utracie dziewictwa. Dokładnie tak, jak zapowiadały kobiety. To

błyskawicznie odrasta hymen. Gryzę pięści, by nie wyć. Abdullah bardzo tego nie lubi.

W końcu cierpienie mija, gojenie się skończyło. Znowu jestem idealna – młoda, piękna, nienaruszona i gotowa, by służyć mężowi.

Słyszę, jak ktoś cicho chrząka w korytarzu za drzwiami. To znak dla mnie – powinnam opuścić alkowę.



Następnej nocy wszystko się powtarza. Z pewnymi różnicami. Jest łatwiej, bo wiem, czego się spodziewać. Jest trudniej, bo wiem, czego się spodziewać.



Kilka kobiet oprowadza mnie po okolicach posiadłości Abdullaha. Pokazują bujne rośliny i ufne, łagodne zwierzęta. Właściwie na zewnątrz nie ma niczego, co nie znajdowałoby się w pałacu lub ogrodach. W oddali majaczą mury majątków należących do sąsiadów naszego małżonka.

Panująca tu słoneczna pogoda, tak przyjemna, gdy siedzi się obok szmerzącej fontanny, staje się istnym utrapieniem po zmianie zwiewnego stroju na pełną burkę. Pod zasłoną natychmiast robi się niesamowicie parno, przez gęstą siatkę na wysokości oczu wpada niewiele świeżego powietrza. Po minucie cała spływam potem. Po dwóch – kręci mi się w głowie od gorąca i duchoty.

Bez przerwy towarzyszy nam trzech rzezańców. Pilnują, abyśmy dochowały wierności mężowi. Jakby którakolwiek z nas miała ochotę na dodatkowe zbliżenia i wiążący się z nimi koszmary bó!



Mieszka nas tu bardzo dużo. Jeszcze nie znam wszystkich. W hadisach obwieszczono, że powinnam mieć siedemdziesiąt jeden towarzyszek,

ale kiedy próbujemy w coś grać i dobrać się w pary, trójki lub czwórki, zawsze jedna pozostaje samotna. Dziwne. Na pewno coś mi się pomyliło. A może któraś żona stale dyżuruje przy naszym mężu?

Mimo obecności tak wielu kobiet Abdullah każdej nocy wzywa do łoża właśnie mnie. Urok nowej zabawki.

A ja już nie mogę tego dłużej wytrzymać. Gdyby chociaż szepnął do mnie czułe słówko. Albo w ogóle się do mnie odezwał! Uśmiechnął. Pocałował... Ale nie. Szybkie, szorstkie pchnięcia i widok pleców Wybranego. Czuję się jak ręcznik, w który ktoś wyciera zbrukane palce, aby chwilę później odrzucić tkaninę ze wstrętem. Jedyne, co otrzymuję od małżonka, to nasienie i ból. Ból rozrywanej błony i męka jej odrastania. Noc w noc.

Tutaj żadna z nas nie miewa księżycowego krwawienia. Może dlatego, że księżyc nigdy nie gości na niebie. Jesteśmy wiecznie czyste i zawsze gotowe wypełniać wolę naszego pana. Odkąd pojawiłam się w pałacu, nie miałam ani jednej spokojnej nocy. Do tego jeszcze całkowite lekceważenie moich uczuć. Jakbym była poduszką, której nie powinno obchodzić, kto się na niej kładzie.

Wybrany ani razu nie zwrócił się do mnie po imieniu. Pewnie w ogóle go nie zna. Ciekawe, w jaki sposób tłumaczy eunuchom, kogo mają przyprowadzić. „Tę nową”? Pytałam, ale nie odpowiedzieli. Trzebieńcy nie chcą ze mną rozmawiać. Mimo tłumu towarzyszek niedoli czuję się rozpaczliwie samotna. Och, rozumiem mnie doskonale, ale to ja dostarczam przyjemności Abdullahowi, nie one. Co on we mnie widzi? Może i jestem piękniejsza od innych, ale jak długo męczyzna może fascynować się jedną twarzą? Zwłaszcza że i tak na nią nie patrzy...

W końcu naprawdę już dłużej nie mogę. Którejś nocy po wypełnieniu obowiązków żony szepczę:

– Panie mój, pozwól mi jutro nie odwiedzać twojego łoża. Proszę. Nadmiar wody szkodzi wielbłądowi.

W odpowiedzi Abdullah każe mnie wychłostać.

Eunuch, który tego wieczoru pełni służbę za progiem alkowy, nie żałuje siły. Kolejne uderzenia spadają na moje obnażone plecy. Świsł

i piekący ból. Jak struga wrzątku rozlewająca się po skórze. Świst i ból, świst i ból. Nawet nie próbuję milczeć. Rzezaniec w ogóle nie reaguje na moje wrzaski, jęki i błagania. Krzyczę mimo to, aż do ochrypnięcia. Ta męka przekracza wszystkie cierpienia, których dotychczas doznałam w pałacu.

Wreszcie kara dobiega końca. Ile razy dostałam? Dziesięć? Dwadzieścia? Pięćdziesiąt? Nie wiem, nie liczyłam. Siepacz odnosi mnie na posłanie. Kładzie, nawet dość delikatnie. Szlocham, tym razem z ulgi. Nie mam dość siły, aby obrócić się na brzuch, więc tylko, leżąc na boku, zwijam się w bezradną, zapłakaną i półprzytomną z bólu kulkę.

Inne żony przestrzegają mnie, abym nie sugerowała naszemu mężowi, że powinności kobiety nie sprawiają mi radości, ale nie uwierzyłam. Jak mogłam być taka głupia?! Myślałam, że snują intrygi jak w każdym wielkim haremie. Że wolą, abym to ja spędzała noce z naszym władcą, bo wtedy one mają spokój. Niesłusznie oceniałam towarzyszkę niedoli.

364



Następnego wieczoru obowiązki w alkowie są jeszcze gorsze niż dotychczas; dochodzi ból poranionych pleców. Nie aż tak okrutny jak wczoraj – kobiety posmarowały mnie czymś, co bardzo pomogło – jednak dokuczliwy. Mążonek wydaje się w ogóle tego nie zauważać. Może już zapomniał, że kazał ukarać utyskującą niewiastę. Każde pchnięcie przesuwa mnie odrobinę po łożu. Dla pociętej skóry nawet jedwab jest szorstki. Staram się wygiąć w łuk, aby nie dotykać plecami pościeli, ale Abdullah dociska mnie swoim ciężarem, udaremniając wysiłki. Mogę tylko jak najmocniej zacisnąć zęby i pięści. Teraz nie wolno mi krzyczeć. Zrobię wszystko, byle tylko nie zasłużyć na kolejne razy.



Bardziej doświadczone kobiety twierdzą, że chłosta to najłżejsza z kar stosowanych w haremie i Abdullah musi mnie naprawdę lubić.

Najsurowszy wyrok to zajście w ciążę. Nasz małżonek, jeśli tylko zechce, może sprawić, że staniemy się brzemiennie. Ale nienaruszony hymen bardzo komplikuje poród, a żadna z nas nie zna się na akuszerstwie. Abdullah też nie, to oczywiste. Wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, ale w pałacu nie mieszkają stare kobiety. Wszystkie mamy po trzydzieści trzy lata i żadnych doświadczeń z dzieckiem rosnącym pod sercem.

Bardzo zaskoczyło mnie, że nikt w posiadłości nie potrafi pomóc rodzącej. Rzezańcy przecież często znają się na medycynie. Przyjaciółki wyjaśniły, że mężczyźni, których brałam za eunuchów, to synowie naszego męża. Nie zostali okaleczeni, ale i tak nie są zdolni do współżycia. Nie obdarzają kobiet uczuciami, szanują wyłącznie ojca i bez względu na wszystko pozostają wobec niego lojalni. Jeśli akurat nie wykonują poleceń Abdullaha, zabijają czas na krwawych potyczkach z synami sąsiadów. Trudno w to uwierzyć, ale w godzinę po opuszczeniu martwego ciała matki osiągają pełen wzrost. Za to ich dusze nigdy nie dojrzewają. Jeżeli w ogóle posiadają dusze. Ile człowieczeństwa można zdobyć w godzinę? Jeśli dorosły nie kryje w sobie dziecka, musi być pusty jak wylinka skorpiona.

Po pałacu kręcą się setki mężczyzn. A każdy oznacza śmierć jednej kobiety i zesłanie kolejnej następnego ranka.



Wszystkie liczymy sobie po tyle samo lat, ale bardziej doświadczone żony pamiętają, w jakiej kolejności zjawialiśmy się w haremie. Częściowo widać to w czarnych oczach – mam wrażenie, że z czasem spojrzenie nabiera głębi. Postanawiam porozmawiać z najstarszą stażem hurysą. Znajduję ją w Różanym Ogrodzie, przy fontannie otoczonej krzewami obsypanymi kwieciami. Fazila siedzi z zamkniętymi oczami, wsłuchana w żywą melodię szemrzącej wody. A może w śpiew licznych ptaków? Woń róż upaja. To jeden z najbardziej uroczych zakątków w majątku naszego męża.

Podchodzę nieśmiało, kłaniam się uprzejmie i zaczynam:



- Dostojna Fazilo, czy mogłabyś podzielić się swoją mądrością z nowo przybyłą?

- Pytaj, o co zechcesz, prześliczna Rasho.

- Czy Abdullah nas nienawidzi?

- Dlaczego tak sądzisz?

Pierwsza żona zaskakuje mnie tą odpowiedzią. Jak to? Czyż każda z nas otrzymała mało dowodów? Nie godzi się traktować istoty, którą się choć trochę lubi, jak pobrudzonej szmaty!

- Przecież wie, że nigdy nie przeżywamy porodu, a spójrz, ilu synów Wybranego spaceruje po ogrodzie nawet w tej chwili.

- Nie wszystkie kobiety zgadzają się ze mną, młoda Rasho, ale myślę, że nasz małżonek nie kontroluje swoich pragnień tak dobrze, jak by chciał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie obrzuca się kamieniami drzew jałowych, lecz tylko te, z których strącić można owoce. Jestem tu od bardzo dawna, widziałam narodziny setek chłopców i śmierć setek kobiet. Zwykle były to najmilsze niewiasty spośród naszego grona, słodkie jak pierwszy łyk wody po powrocie z pustyni. Nie wydaje mi się, że ciąża to kara wymierzana przez Abdullaha.

- Jak to? Kto więc decyduje o poczęciu syna?

- Och, nasz małżonek, oczywiście. Ale sądzę, że nie robi tego świadomie. Jakby wystarczyła płocha myśl, niczym rączka gazela przebiegająca przez głowę: „O! Ależ piękna ta czarnooka! Ciekawe, czy nasze dziecko byłoby równie urodziwe”. I staje się.

Koncepcja Fazili wręcz odbiera mi oddech. Czy to możliwe?! Dopiero po dłuższej chwili mogę wyjąkać:

- Ale... w takim razie... dlaczego... no... W łożu, dlaczego wówczas nie obdarza nas pieścizotami? Nie zasypuje miłymi słówkami? Nawet nie zwraca się do swych żon po imieniu!

- Ach! Przecież dopóki nie patrzy na twoją twarz, nie może zamaryć o synu równie pięknym jak ty. Dopóki nie pamięta twojego imienia,

nie może zastanawiać się, czy dziecko Rashy zadawałoby równie wiele pytań...

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Abdullah swoją oschłością może próbować nas chronić.

– Dlaczego wobec tego co noc współżyje ze swymi żonami? – zadaję ostatnie pytanie.

– Tego nie wiem. Nigdy nie ośmieliłam się poruszyć tej kwestii z naszym panem. Może z jakiegoś powodu musi? Gdy wąż cię kocha, możesz go nosić jako naszyjnik, ale co ma czynić kochający wąż, który nie może przestać kąsać? Może to obowiązek Wybranego? Zauważ jednak, iż każdej nocy wzywa do alkowy tylko jedną kobietę.



Mija wiele dni.

Pan i władca wreszcie przestaje żądać mojej obecności w łóżu każdej nocy. Znudziłam mu się? Czy zaczęłam zbyt fascynować, abym była bezpieczna?

Nie potrafię odpowiedzieć. Wiem jednak, że jeśli każdego wieczoru nie traci się dziewictwa z niekochanym mężczyzną, życie w raju staje się całkiem znośne. To i tak znacznie gorzej, niż oczekiwałam. Nawet drogocenne klejnoty nie sprawiają takiej przyjemności, jak mogłoby się wydawać; kiedy nikt ich nie pożąda, nie pragnie kupić, pozostają tylko kamieniami – twardymi i zimnymi.

Zaczynam się zastanawiać, dlaczego trafiłam do pałacu Abdullaha. Jakimi grzechami splamiłam się za życia? Rozmawiam o tym z przyjaciółkami.

Siedzimy przy niskim stoliku, popijamy kawę, pogryzamy ciasteczka pistacjowo-daktylowe. Wszystkie żony twierdzą, że pamięć o czynkach popełnianych na ziemi wróci do mnie już wkrótce. Zazwyczaj pojawia się w postaci snu, niekiedy snu na jawie. Bardzo rzadko tę wiedzę nagle odkrywa się w umyśle jako obudzone wspomnienia. Kobiety nie mogą się zgodzić co do tego, jak długo trwa nieświadomość minionych



przewin. Zdania są podzielone: przeszłość wraca po skończeniu rama-  
danu (którego tutaj nikt nie przestrzega, bo i czas trudno mierzyć, jeśli  
jeden dzień tak bardzo przypomina drugi, a na niebie nie ma żadnych  
gwiazd), po roku albo po siedmiu miesiącach księżycowych, kiedy ma-  
terialne ciało przestanie istnieć, kiedy bliscy wybaczą zmarłej winy...  
Wciąż padają nowe propozycje, aż zaczynają się sprzeczać, coraz gło-  
śniej wypowiadając swoje argumenty.

– Dobrze, zostawmy to – mówię, aby zapobiec kłótni i interwencji  
synów Abdullaha. – Kim byłyście za życia? – Zmieniam temat. – Salimo?

Zapytana odwraca wzrok, dolewa wszystkim kawy, mimo że wcale  
nie ma takiej potrzeby. Wreszcie odpowiada, chociaż wydaje się mówić  
do moich sandałów:

– Byłam... nieposłuszną żoną. Czytałam heretyckie książki z za-  
chodu, o tym, że nawet kobieta może czerpać radość ze współżycia.  
Dlatego teraz...

Któraś czarnooka syczy ostrzegawczo, inna trąca Salimę w łokieć,  
aby zamknąć jej usta. Wszystkie rozglądamy się czujnie, nie mamy chęci  
na kolejną chłostę. Ale chyba żaden z naszych pasierbów nie usłyszał, że  
poruszamy zakazany temat.

– Unikamy tutaj opowieści o ziemskich błędach. – Wysmukła  
Baszira, hurysa o najdłuższym stażu spośród zgromadzonych przy sto-  
liku, zamyka dyskusję. – To przeszłość i nie da się jej już zmienić, więc  
po co rozdrapywać rany?

Wszystkie kobiety wydają się poirytowane moim pytaniem. Są  
jakby zawstydzone. Nie rozumiem dlaczego. Przecież nie zostałyśmy  
ukarane.

Ciekawi mnie moja ziemską przeszłość. Nie mogę się doczekać,  
kiedy ją poznam.



Jedna z kobiet odkryła, że jest w ciąży. To Inam, bardzo sympatyczna  
dziewczyna, dotychczas zawsze skora do uśmiechu. Chętnie pomagała

mi w pierwszych dniach pobytu w pałacu. Harem zaczął kipieć od niespokojnych szeptów.

Może Fazila ma rację? Nie wyobrażam sobie, za co nasz małżonek chciałby ukarać Inam.

Jak wobec tego powinnam postępować? Zauważyłam, że oprócz mnie Wybrany przeważnie wzywa do alkowy najbardziej opryskliwe, niemiłe i leniwe kobiety. Inne, te słodkie niczym baklava i przyjemne jak zapach jaśminu, noce zwykle spędzają w spokoju. Ale z cierni nie zbierzesz winogron – to one zachodzą w ciążę i umierają jako pierwsze. Trudny wybór.



Odkąd wieść o błogosławionym i przeklętym stanie Inam dotarła do Abdullaha, ten diametralnie zmienił swój stosunek do hurysy. Teraz poświęca brzemiennej mnóstwo czasu; codziennie spacerują razem po ogrodach, wspólnie jedzą posiłki. Nasz pan obsypuje matkę swego dziecka podarkami i pieszczotami, delikatnie gładzi pęczniący brzuch, który za kilkanaście tygodni sprowadzi na nią śmierć. Wybrany przy każdej okazji rozmawia ze skazaną żoną, zwraca się do niej po imieniu!

Pozostałe kobiety patrzą na to wszystko z mieszaniną zazdrości i współczucia, ciekawości i strachu.

Zastanawiam się, co skłania małżonka do takiej czułości. Wyrzuty sumienia? Perfidia? Chęć spełnienia ostatnich życzeń nieszczęsnej ciężarnej? Okazja, by pogawędzić z kimś, komu już nie może bardziej zaszkodzić?



Spaceruję po moim ulubionym zakątku ogrodów, tym pełnym kolorowych ptaków i ze srebrną fontanną z wodą o kolorze i zapachu fiołków. Nagle od strony najbliższej bramy dobiega okropny zgiełk. Ciekawość

popycha moje stopy w kierunku hałasu, przez ścieżki, z których zniknęły wszystkie hurysy.

Pełno tu zaaferowanych synów Abdullaha. Każdy z bronią w ręku. Uświadamiam sobie, że nigdy wcześniej nie widziałam tych mężczyzn gotowych do walki. Nosili ozdobne dżambie u pasów, ale w dłoniach trzymali najczęściej pożywienie, które skądś przynosili do haremu, lub dzbany z kawą i pachnącą wodą. Teraz wymachują włóczniami i bułatami. Widzę, że mają powody – brama z pięknie rzeźbionej kości słoniowej, wzmocniona żelaznymi sztabami, trzeszczy pod naporem uderzeń z zewnątrz.

Chcę wiedzieć, co tu się dzieje. Ktoś próbuje nas uwolnić? Zabrać do własnego pałacu? Zabić? Może lepiej umrzeć od ciosu mieczem niż przy porodzie? Pierwszy zagadnięty pasierb mruczy niezrozumiale – nie wszyscy mężczyźni są zdolni do mówienia – i popycha mnie w stronę pałacu.

Od sąsiedniej bramy nadbiega grupka synów mojego męża. Wyglądają, jakby przed chwilą walczyli – poranieni, w porozdzieranych szatach. Chwytam jednego z nich za rękaw, to wysoki młodzieniec, który pokrzykuje do swoich kompanów.

– Co robicie? – pytam. – Kto jest za bramą?

Zamiast odpowiedzieć, zniecierpliwiony mężczyzna ciągnie mnie do pałacu, aby wymierzyć mi karę.

Jeszcze raz słyszę paraliżujący świst, a tyczka wypisuje na mojej skórze nową regułę. Czy to plecy przyzwyczyły się do bambusa, czy to wojownik jest zmęczony i osłabiony ranami? Ból nie jest już tak straszliwy. Jednak krzyczę równie głośno. Po wszystkim pasierb odnosi mnie do haremu i kładzie na posłaniu. Nawet słowem nie tłumaczy, za co zostałam wychłostana. Za ciekawość? Za przeszkadzanie wojownikom? Za domniemaną chęć ucieczki od Abdullaha? Na pewno nie zamierzam w to wnikać. Zostajemy na wąskim łożku we dwoje: ja i pulsujący ból.



Po dłuższej chwili przychodzi Dana, klęka przy materacu i ociera moje łzy. Nie przebywa w pałacu tak długo jak Fazila, ale niewiele krócej. Jest bardzo bystra, harem szepcze, że poznała wszystkie tajemnice posiadłości Abdullaha. Jej słowa zdają się potwierdzać tę plotkę:

– Rasho, jeśli możesz chodzić, powinnaś udać się do Gorzkiej Fontanny i wykąpać się w jej wodzie. To zmniejszy twoje cierpienie.

– Która fontanna jest gorzka?

– Ta z zielonkawego kamienia rzeźbionego w rośliny, które splatają się niczym węże. Między Niebieskim Ogrodem a Jaśminowym Labiryntem.

Kiwam głową. Znam to miejsce, ale dotychczas nie poświęcałam mu wiele uwagi – w tym zakątku nie ma aż tylu pięknych kwiatów.

– Daj rękę, pomogę ci wstać – proponuje Dana.

Nadzieja wlewa we mnie świeże siły. Wsparta na przyjaciółce małymi kroczkami zmierzam w stronę uzdrawiającego źródła. Kiedy już opieram się o cembrowinę, Dana podaje mi srebrny czerpak na długim trzonku.

– Teraz sama sobie poradzisz. Pamiętaj, że nie powinnaś powtórnie stosować tego lekarstwa aż do jutra, a najlepiej przez trzy dni – mówi, po czym wraca do pałacu.

Płyn w misie fontanny rzeczywiście jest gorzki, aż język drętwieje. Oblewam nim plecy, nie kłopotząc się zdejmowaniem szaty. Czuję, jakby ból spływał wraz ze strużkami wody, chociaż skaleczenia zostają. Nogi uginają się pod mną z ulgi, ledwie mogę dojść do prostej kamiennej ławeczki wtulonej w pobliski żywopłot. Ostrożnie układam się na niej i nawet nie wiem, kiedy zasypiam.



Budzi mnie cicha rozmowa. Już chcę się zerwać, kiedy rozpoznaję głosy: to Abdullah i Inam. Drętwieję ze strachu. Ból pleców niemal minął, ale nie będę ryzykować kolejnej chłosty. Kto chodzi boso, ten nie powinien

siać kalców. Zamieram w bezruchu, aby jedwabny strój nie zaszeleścił. Oddycham jak najciszej.

– Dlaczego w ogóle szturmowali twój pałac? – pyta kobieta.

– Każdy z sąsiadów ponosi taką samą karę jak ja. Krążą różne pogłoski, co trzeba zrobić, aby się zakończyła: zgromadzić sto hurys, pokochać jedną z nich szczerym uczuciem, doczekać narodzin córki, zebrać siedmiuset siedemdziesięciu siedmiu synów, ujrzeć śmierć ostatniego syna... Nie wierzę w żadną z tych rzeczy, ale inni niekiedy próbują.

Każde słowo wybrzmiewa wyraźnie, muszę siedzieć na ławeczce po drugiej stronie żywopłotu.

– Za co zostaliście tak okrutnie ukarani? – w głosie Inam słychać rozpacz. Nie rozumiem tego. Abdullah cierpi razem z nami?

– Tego nie wolno mi zdradzić. Wiesz, za co ty pokutujesz?

Ciężarna długo milczy, wreszcie szepcze:

– Tak.

– Lew idąc, zaciera ogonem ślady swych łap. Lecz czym zatrzeć ślady ogona? Ja byłem ogonem, a teraz ze wstydu nie potrafię spojrzeć wam w oczy.



Następnego poranka budzę się, wciąż pamiętając ostatni sen. Nietypowy, inny niż wszystkie, które dotychczas nawiedzały mnie w pałacu męża. Widziałam broń; karabiny, amunicję, granatniki... We śnie miałam grube, silne i owłosione ręce, przymocowywałam sobie nimi materiały wybuchowe do brzucha. Czy to możliwe? Czy naprawdę byłam... byłem mudżahedinem? Nie, to nieprawda! Hadisy nie mogą kłamać!

Gdybym urodziła się mężczyzną i zmarła za wiarę, po śmierci czekałyby na mnie siedemdziesiąt dwie przepiękne hurysy. I koniec! Skoro tak nie jest, musiałam być krnąbrną żoną, nie słuchałam swego męża i nie okazywałam mu należytego szacunku. Może nawet sięgałam do zakazanych ksiąg, jak czyniła to Samila. Na pewno nie byłam wojownikiem!

To tylko zły sen.

## **Sylwia Finklińska**

Mózg, od dzieciństwa karmiony fantastyką ze stopniowo rosnącą domieszką tekstów popularnonaukowych. Interesuje się różnymi dziwnymi dziedzinami, przechowuje w pamięci tysiące dowcipów. Daty przyjscia na świat tak bez walki nie poda. Wchodzi w skład redakcji kwartalnika „Silmaris”. Debiutowała w 2014 roku opowiadaniem „Zbrodnia” w antologii „Toystories”. Ostatnio ukazał się tekst „Wymiana kulturowa” w „Nowej Fantastyce”.

# DZIEWCZYNY-MALINY

Rafał Cuprjak

Krzyk odbił się echem pomiędzy drzewami. Małą znowu męczyły koszmary.

– Cichutko. Śpij, kruszynko, śpij.

Przykryła ją kocem i wtuliła się mocno, głaszcząc spocone włosy. Delikatnie ucałowała rozgrzane czoło i policzki.

– Moja kochana Juluśka. No już, już.

Oddech dziewczynki się uspokoił. Po chwili zasnęła. Irena odczekała jeszcze kilka minut, zanim wstała. Rozejrzała się uważnie, nasłuchując dźwięków lasu. W ciszy obserwowała bezchmurne niebo. Dwa księżycy, duży biały i mniejszy, błękitny. Spadające gwiazdy. Niżej majaczyły smukłe sosny i świerki. Z oddali dochodził szum morza, a skórę chłodziło mgliste, wilgotne powietrze.

Od wielu miesięcy podążały na północ, uciekając przed dokuczliwymi upałami. Irena wiedziała, że gdzieś tutaj musi znajdować się przejście na Wyspę, że właśnie w tym miejscu odnajdą drogę do wolności. Marzyła jej się przeprawa do tajemniczej krainy pozbawionej niebezpieczeństw, bogatej w żywność, odległej od nieprzyjaznej ziemi Myśliwych.

Nie pamiętała początku podróży. Machania dłonią, pożegnalnych uścisków, łez rozstania. Jakby od zawsze istniał jedynie ten szary, wrogi świat i nic poza nim. Jakby nigdy nie była dzieckiem, nie bawiła się

w chowanego z ukochaną babcią, nie miała domu, koleżanek czy pudelka Fifi, ulubionego przyjaciela o słodkiej, okrągłej mordce. To wszystko uleciało niczym sen. Wydawało jej się, że przemierzają bezkresy, płynąc w gorącej mgle, że dookoła zapanowała dziwna bezradność, apatia zabraniająca normalnych międzyludzkich kontaktów, wykreślająca szacunek czy choćby zwykłe „dzień dobry” wypowiedziane z uśmiechem na ustach.

Nieziemnie towarzyszył im głód. Przeczesywały opuszczone miasta i wioski w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za pokarm. Łudziły się, że gdzieś między gruzami wypatrzą choćby zagonioną puszkę z mięsem, że w zasypanej piwnicy cudem uchował się słoik z ogórkami albo kompotem wiśniowym.

Nie rozmawiały o jedzeniu, ponieważ to wzmagało apetyt. Irena bała się wówczas, że nie wytrzyma, że gwałtowne łaknienie zniewoli organizm i w rezultacie zwariuje albo rzuci się w akcie desperacji na Myśliwego. Żołądek wręcz przyrastał jej do kręgosłupa. W dodatku wciąż oszukiwała młodszą siostrę. W wyludnionej wiosce, przy stacji kolejowej, barczysty, brodaty mężczyzna podarował im bochenek chleba. Zlitował się chłopina, chociaż sam pewnie ledwie wiązał koniec z końcem. Dzieliły każdą cienką kromkę na pół, ale Irena często udawała, że ją zjada, a tak naprawdę chowała nietknięty kawałek z powrotem do worka. Bezustannie starała się oszczędzać, aż słabła z przemęczenia. Dopiero wtedy pozwalała sobie na chwilę przyjemności. Niekiedy uśmiechał się do nich Ios, tak jak w zeszłym tygodniu, gdy, zbaczając z głównego traktu, natknęły się na polankę upstrzoną krzakami dorodnych jagód. Krótco potem trafiły na trzy przygięte do ziemi jabłonki ukryte za zburzonym spichlerzem. Julię rozboleł brzuch od niedojrzałych guguł, ale i tak maszerowały przepojone oszałamiającym wrażeniem, że zamiast sterty kwaśnych owoców targają na plecach szkatułkę wypełnioną drogocennymi pierścionkami, złotymi obrączkami i dolarami.

Prawdziwym skarbem Ireny był schowany pod kurtką tobolek. W środku mieściła się książka zatytułowana „Drugi, błękitny księżyc”.



Dawno temu siostry złożyły obietnicę, że dostarczą dzieło na Wyspę bez względu na koszty. Domyślały się, że powieść pełni rolę klucza do raję.

Poprzedniego dnia dotarły nad morze. Podążały ostrożnie asfaltową drogą, która rozpruwała las na pół. Ryzykowały podróż po otwartej przestrzeni, zmęczone ukrywaniem się po lasach. Rozglądały się uważnie, bacznie nasłuchując każdego dźwięku, ponieważ nawet szmer mógł zwiastować niebezpieczeństwo. Irena nieco z przodu, Julia niespełna metr za nią, schylona, wiecznie czujna.

W dramatycznym tempie ubywało im sił, a w serca stopniowo wkradała się obojętność. Z tej przyczyny odważyły się wyjść z lasu na dłużej. Tego ranka po raz pierwszy oglądały plażę i słuchały szumu fal. Zastygły na brzegu niczym zaczarowane. Później kąpały się, chłodząc wycieńczone upałem nastoletnie ciała. Udało im się chociaż na moment pozbyć palących trosk.

Tuż przed zmierzchem zawędrowały do wyludnionej osady. Dalej na wschód, w wąwozie, dostrzegły rząd starych, zdezelowanych przyczep turystycznych, pozostałość po niegdyśniejszym campingu. Postanowiły na próbę zamieszkać w największej, najlepiej zachowanej.

Przeczesały ruiny, ostrożnie sprawdzały smutne wnętrza niszczonej budynków. Znajdowały wyłącznie resztki, ale traktowały je jak wygraną na loterii. Worek podgniłych ziemniaków, butelka oleju rzepakowego czy pęczek suszonych ziół. Istne dary fortuny.

Podczas poszukiwań zachowywały się niezwykle cicho; już dawno opanowały sztukę bycia niemal niewidzialnymi. Ostatniego popołudnia trafiły na dużą grupę Myśliwych. Sześciu mężczyzn patrolujących okolicę. Głodni krwi, usiłujący wytropić i unieszkodliwić niedobitki przebrzmiałej cywilizacji. Znieruchomiały w gęszczu drzew na obrzeżach osady. Perfekcyjnie wtopione w tło, jakby przeobrażone w część krajobrazu. Wstrzymały oddech, do niezbędnego minimum ograniczając każdy ruch, próbując spowolnić bicie serca. Wysocy, jasnowłosi herosi w brudnych mundurach minęli je, zaciekle dyskutując w obcym języku.

I znowu szczęśliwym trafem się udało. Nocą, w przyczepie, Irena pocieszała płaczącą siostrę.

- Zobaczysz, najwyżej tydzień. Wytrzymasz, już tyle wytrzymałaś.

- Skąd wiesz? Godziny, dni złane ze sobą, prawie identyczne. Pory roku przesuwają się powoli, jakby trwały dziesiątki lat.

- To złudzenie, dziewczyno-malino. Dotarliśmy aż tutaj. Został nam ledwie krok. Nie poddawaj się.

- Ginie nadzieja, Irenko. Musi się poprawić. Inaczej któregoś ranka pobiegnę na plażę popływać i już nie wrócę. Albo poproszę Myśliwych o kawałek kiełbasy. Niechybnie w nagrodę powieszę mnie na drzewie. Nasycą się, może innym dadzą spokój. Może kogoś uratuję w ten sposób.

- Nie wolno tak mówić! Przecież niesiemy księgę. Ona stanowi łącznik. Cichutko. Pomódlmy się przed snem. Niechaj święte słowa rozświetlą drogę. Archaniele Rafaelu, wzywam cię...

Spotkali się w wąwozie przed przyczepą. Irena i Julia stanęły jak zamurowane. Niski, szpakowaty dżentelmen ubrany w za szeroki skórzaną płaszcz przemówił ciepłym głosem:

- Wreszcie, dziewczyny-maliny. Udało się. Zabieram was na Wyspę. Mamusia usycha z tęsknoty. I braciszek. Cała rodzina przy wystawnym stole.



Melancholia. Szukałem synonimów, ale chyba to słowo najtrafniej opisywało mój stan. Czułem w sobie ranne, dzikie zwierzę zapędzone w ślepy zaułek. Pogodzone z losem, czekające na najgorsze. Wydawało mi się, że oszukam przeznaczenie. Wystarczy uciec, zerwać pęta. Lecz wolność wywołała jedynie melancholię. Oblepiony ciężkim błotem, zdrętwiały, mógłbym godzinami gapić się w morze, obserwując wędrujące słońce. Albo smarkule bawiące się w chowanego. Mewy wydłubujące z piasku okruchy chleba. Wiatr malujący piaskowe pejzaże. Aż do zmroku. Dopóki nie zgłodnieję albo nie zmarznę.

Wcześniej alienacja. Decyzję podjąłem dawno temu. Martwiłem się tylko, czy koniec końców nie zabraknie sił, czy w ostatniej chwili nie zrezygnuję i nie pożegnanię się z marzeniami. Wieczny buntownik

przeciwko powszechnemu, odrażającemu stylowi życia. Słaby, przegrany. Żadnych egzotycznych wakacji. Nie jeździłem, wzorem kolegów z firmy, najnowszym modelem BMW. Nie wydawałem kasy na gadżety, nie interesowały mnie smartfony, tablety, kina domowe, olbrzymie telewizory. Wynajmowałem za grosze kawalerkę z dala od centrum i oszczędzałem. Nie prowadziłem zbyt bujnego życia towarzyskiego. Oczywiście, co jakiś czas przytrafiały się kobiety. Niektóre piękne, zakochane, deklarujące dozągonną miłość, próbujące pojąć zasady, wytłumaczyć dziwactwa, rozplątać zagadkę ascetycznego postępowania. Ale nigdy nie dawałem nadziei. Nigdy nie pokocham. W zamierzchłej przeszłości, gdy byłem nastolatkiem, zdarzały się miłości, zwiewne zauroczenia. Lecz teraz chyba nawet tego nie potrafię. Poza tym w głowie wyryła się idea przesłaniająca wszystko, spychająca na dalszy plan każde, na pierwszy rzut oka niezwykle ważne wydarzenie. Powtarzana co wieczór niczym mantra:

– Pewnego dnia, ja, Maciej Krzyszczyk, syn Zbigniewa i Remigiuszy, wyjadę na kraniec świata, kupię kawałek ziemi i przytulny drewniany domek, w którym będę pędził żywot spokojnego człowieka.

Dezercja. Dokładnie w dniu swoich czterdziestych urodzin odszedłem z pracy. Kupiłem przyczepę campingową i zamieszkałem w niej w małej nadmorskiej osadzie. Tak na dobry początek. Zerwałem i tak wątpliwe relacje z rodzicami. Zresztą od zawsze podejrzewałem, że nie jestem ich synem. Zamiana niemowląt w szpitalu, adopcja, podrzutek znajomej alkoholiczki z parteru. Im dłużej o tym myślę, tym większej pewności nabieram. Jasne, nie mam dowodów, to wyłącznie przecucie. W dodatku ten archaiczny sposób wychowania. Przesadna dyscyplina, kościół, nauka, wyprostowane plecy i łokcie przy sobie, kiedy jadłem posiłki. Ja pierdolę, rzygałem tym. Uciekałem w samotność, do krainy księżek. Do przyczepy zabrałem ze sobą kilkaset egzemplarzy. Wśród nich moje ulubione dzieło Stanisława Junga, „Drugi, błękitny księżyc”. Znałem całe strony na pamięć.

Zamęt. Historie wykreowane przez Junga, coraz częściej przypominające rzeczywistość. Wiecznie towarzyszące mi niemal namacalne wrażenie, że sam stałem się postacią fikcyjną, że występuję w roli jednego

z bohaterów powieści, że moje losy zostały zmyślone i nie mam na nic wpływu. Dlatego zrezygnowałem z planowania czegokolwiek. Skupiłem się na obserwacji otoczenia. Dookoła, niczym mgła, zapadło dziwne przygnębienie. Na początku jeszcze sądziłem, że to przypadek, złudzenie, ponieważ wpadłem w obsesję, straciłem rozum męczony bezsennością i halucynacjami.

Później zdumienie. Gigantyczne, ponieważ wszyscy wokół rzeczywiście się zmienili. Pogrążeni w apatii, jakby odgradzeni wysokim murem od otoczenia. Zupełnie jak w „Drugim, błękitnym księżycu”. Tam z niewiadomych powodów ludzkość dopadł wirus otępienia. Człowiek przestał nienawidzić, ale i kochać. Z braku miłości nie rodziły się dzieci. Żadnej namiętności, wszelkie potrzeby ograniczały się do złagodzenia głodu i pragnienia. Do wymoszczenia sobie ciepłego miejsca do spania.

Stany psychotyczne. Głosy w głowie, że już wkrótce, Maciek, już się zaczęło. To początek. Dlaczego nikt oprócz mnie tego nie zauważa? Gaśniemy. Rezygnujemy z pracy. Nie tylko ja. Inni również. Stopniowo. Krok po kroku. Zostawiamy żony. Dajemy wyfrunąć z domu synowi i córce. Nikt się nie przejmuje. Koło się kręci, lata lecą. I co z tego, że zażegnaliśmy wszelkie konflikty zbrojne?! Nie ma wojen?! Kurwa! Wojna to nasza natura! Drugie ja! Mamy we krwi zabijanie. A sztuka? Opuszczone filharmonie, sale koncertowe. Zamiast muzyki wyłącznie równomierne wybijanie rytmu. Jakbyśmy się cofali. Odwrotna ewolucja. Średniowiecze. Australopitek. Muzea świecące pustkami.

– Dzień dobry. Kłaniam się nisko sąsiadowi. Kiedy ostatnio byłeś na wystawie? A wernisaż? Premiera teatralna?

– Przesadza pan. Proszę dać mi spokój.

– Spokój? Tak. I odrętwienie. Beznadzieja. Nie widzisz, że świat się wali? Nadchodzi apokalipsa. Nieubłaganie.

– Niech mnie pan puści. Skąd ta agresja?

– Agresja?! Ty ślepy skurwysynu!

– Puść mnie pan!

Wściekłość. Nie dostrzegają, głupcy. Gotuję się niczym woda w gwizdzącym czajniku. Byle bzdura wyprowadza mnie z równowagi

Zombie na zakupach. Zombie w kościele. Modlitwy klepane automatycznie. Archaniele Rafaelu, wzywam cię... Głupia religia tłumacząca sens, a przecież sensu nie ma. Obudźcie się, debile, spójrzcie w niebo!

I szaleństwo. Dlatego, że ja spojrzalem. Na początku nie uwierzyłem. Pytałem innych. Gnoje twierdzili, że nie zauważyli, że weź spadaj, idioto, więc po wtóre szaleństwo, spotęgowane gigantycznie. Gapię się, człowieku, w gwiazdy, tak godzinami? Ja tak, gapiłem się. Perseidy. Saturn. Mars. Dziesiątki samolotów. Sztuczne satelity. I to. Drugi, błękitny księżyc.

- Co?!

Odjechało mi kompletnie! Kuku na muniu, fiksacja, pomieszanie zmysłów. Zamkną w wariatkowie, zapną w kaftan, naćpają, elektrowstrząsy, odgradzony żółtym pancerzem. A jeśli to trwa latami? A może moje życie otumaniło mnie, niczym jeden wielki grzyb halucynogeny? Może od urodzenia cierpię na schizofrenię? Może wciąż poruszam się po omacku? Nic nie rozumiem. Nie zdaję sobie sprawy, że zwariowałem.

Albo odwrotnie.

Prawda. Prawda zapewne brzmi tak, że nie istnieję w tak zwanej rzeczywistości. Poruszam się wyłącznie na stronach powieści. Nie posiadamy własnej woli. Nawet fakt, że się sprzeciwiam, został wyreżyserowany przez autora. Mój Boże!

Wolność. Podążam prosto na północ asfaltową drogą, która rozpruwa las na pół. W dłoniach „Drugiego, błękitnego księżyc”, znam na pamięć całe strony, dlatego dokładnie wiem, jak wygląda zakończenie. Postanowiłem je poprawić, panie pisarzu! Materia nieożywiona podniosła bunt!

Śmierć. Najpierw oglądałem plażę, wsłuchując się w szum fal. Stałem na brzegu oczarowany. Później kąpałem się, chłodząc wycieńczone upałem ciało, dzięki czemu udało mi się na moment pozbyć palących trosk. Złożyłem obietnicę, że już nigdy nie wrócę. Dopłynę na Wyspę. Odległą. Z rodziną przy wystawnym stole. W głowie dudni ciepły głos:

- Przybądź, synku-malinku, przybądź natychmiast...





Stare Żydzicho. Tak mnie nazywasz, panie. Boisz się. A nuż rzuci urok. Pogrozi, skurwiel, palcem. W konsekwencji dzieciątko jedyne zapadnie na szkarlatynę albo odrę i umrze. Dlatego w trwodze uginają łby, dzieląc się bochenkiem chleba, wzorem tego barczystego brodacza spod stacji kolejowej. Zlitował się chłopina.

Ubili mi bliskich, panie. Najadłem się tragedią, przełknąłem ponadludzką moc. Otworzyłem najgłębiej ukryte pokłady świadomości. Szkatułkę z drogocennymi pierścionkami, złotymi obrączkami, dolarami. Potrafię więcej, durnie. Śmiech przez łzy.

Zatem wlokę się, zapłakany, przez gorąco niesłychane, odbijające się od kostki brukowej i parzące stopy. Błądzą ulicami getta, przeczesuję zatłoczone miasto w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby posłużyć za pokarm. Łudzę się jak głupiec, panie, że gdzieś wypatrzę choćby zagubioną puszkę z mięsem, że jakieś dobre serce wyłowi z piwnicy słoik z ogórkami albo kompotem wiśniowym, pozwalając na dłużej zapomnieć o głodzie.

Nie myślę o jedzeniu, ponieważ to wzmaga apetyt. Obawiam się, że zwariuję do reszty, że nie wytrzymam, gwałtowne łaknienie opanuje organizm i rzucę się w akcie desperacji na któregoś z Niemców. Niechybnie w nagrodę powieszę na drzewie albo dadzą kulkę w łeb. Lub wyślą pociągami na egzotyczne wakacje do Auschwitz. Skądinąd nasycą się mną, więc może innym dadzą spokój. Może Stare Żydzicho kogoś uratuje w ten sposób.

Stare Żydzicho dopadł wirus otępienia. Przestałem kochać i nie-nawidzić. Żadnych namiętności, wszelkie potrzeby ograniczone do złagodzenia permanentnego klucia w boku, wywołanego pragnieniem. Po nocach śni mi się ciepłe, wymoszczone łóżko.

To początek apokalipsy. Dlaczego nikt oprócz mnie tego nie zauważa?! Gaśniemy. Rezygnujemy. Nie tylko ja. Inni także. Stopniowo. Krok po kroku. Zostawiamy żony. Dajemy wyfrunąć z domu synowi i córce. Patrzymy, jak żebrzą. Jak zdychają z głodu. Ani słowa protestu. Byleby samemu przetrwać dzień dłużej. Zagłada, panie. Na ręce opaska z gwiazdą Dawida. Schylona postać, wiecznie czujna. Dookoła gniją trupy,

lecz ich nie zauważam. Wojna zachwiała światem. Ponoć wojna to nasza natura, nasze drugie ja. Mamy we krwi zabijanie. I sztukę. W całym tym smrodzie kwartet skrzypcowy nr 10 op. 74 Beethovena i feeria dźwięków brzmiących zupełnie inaczej, niczym zwiastun upadku.

A kiedyś? Przed bałaganem? Przed obozami, nędzą, znieczulicą? Przedsiębiorca. Artysta. Mąż. Szanowany przez Polaków, przez Żydów. Lecz z drugiej strony... co ze mnie za Żyd? W synagodze ostatnio w wieku dziesięciu lat. Hitlerowcy przetrzebili naród. Polują jak myśliwi na kaczkę. Oni myśliwi, a ja? Gdy przechodzą ulicą, wtapiam się w tło. Już dawno opanowałem sztukę bycia niemal niewidzialnym.

Zmieniłem się całkowicie. Niby przezorny, od początku się domyślałem, ale jednak... Ogromny majątek, co do grosika roztrwoniony w zamian za duszną piwnicę z małym okienkiem wychodzącym na główną ulicę. Naprzeciwko posterunek policji. Rzekomo najciemniej pod latarnią. Zapasy na kilka miesięcy. Worek ziemniaków, butla oleju rzepakowego, pęki ziół. Kilogramy niedojrzałych jabłek, od których bolały brzuchy. Istne dary fortuny. Moje córki, Irenka i Julia, żona Sara i synek Adam, czterolatek zaledwie, a już dorosły. Wciąż ich oszukiwałem, mimo że żołądek wręcz przyrastał do kręgosłupa. Dzieliliśmy każdą cienką kromkę na pół, ale często udawałem, że ją zjadam i chowałem nietknięty kawałek z powrotem. Bezustannie starałem się oszczędzać, aż do momentu, gdy słabłem z przemęczenia i dopiero wtedy pozwalałem sobie na chwilę przyjemności, taką jak znaleziony w ruinach kamienicy słoiczek dżemu jagodowego i jego cudna zawartość połknięta wspólnie, łyżeczka po łyżeczce.

Obrączkami, pierścionkiem i resztą dolarów zapłaciłem za polską matkę dla Adama. Obiecałem, panie, mojemu kochanemu synkowi-malinkowi, że go odnajdę po wojnie, że znów połączymy się rodzinnymi więzami. Adoptowała go Krzyszczukowa, była służąca z dworu. Traktowała dobrze, jak swego. Adaś wydorósł i również począł syna, choć ponoć wcale nie potrafili się dogadać. Przynajmniej został uratowany, mógł zapomnieć o okrucieństwach, których doświadczył jako dziecko.



Niewielu wiedziało o skrytce. Pewnie łajdaki zagrozili śmiercią bliskich, przystawili lufę do czoła. Nie dziwię się, że ktoś sprzedał Stare Żydzicho. Sam też bez wątplenia bym zdradził. Kazali dozorczy zburzyć sztuczną ścianę. Dzięki temu dostaliśmy parę minut na pożegnanie. Musiałem zjeść ich strach. Kazałem patrzeć wyłącznie na mnie.

– To, co tutaj, nie istnieje, dziewczyny-maliny. Wędrujecie ciągle na północ, uciekając przed upałami. Tak naprawdę życie w tajemniczej, sennej krainie. Dzisiaj to zamierzchły koszmar. Zaraz Julia obudzi Irenę. Jej krzyk odbije się echem pomiędzy drzewami. Wkrótce dołączę do was i popłyniemy na Wyspę bogatą w żywność, wolną od niebezpieczeństw. Do babci, do koleżanek, do pudelka Fifi. To, co tutaj, nie istnieje, dziewczyny-maliny...

Powtarzałem. Powtarzałem, aż wdarli się do środka. Sześciu jaśnowłosych herosów. Żadnych krwi. Chciałbym, żeby to, co wydarzyło się później, zniknęło w mrokach niepamięci. Ale to nie ma zamiaru zniknąć.

Uratowały mnie metalowe okucia notatnika, w którym trzymałem rękopis mojej powieści, „Drugi, błękitny księżyc”. Kolejne dwie kule musnęły ucho. Rykoszety utkwili w ścianach. Cud, panie. Zdarza się. Chociaż i tak pragnąłem umrzeć.

Brat dozorczy przeszmurował mnie do getta. Nasza rozmowa utkwiała mi głęboko w pamięci. Wspominam ją w kółko. Mąci, zatruwa duszę.

– Kłaniam się nisko, bom twój dłużnik. Ale lepiej byś ukatrupił i zostawił na pastwę losu.

– Nie. Pan jesteś słynny pisarz. Ja pana znam z gazet, wystaw. Pana sztuki grywano w teatrze. Pan musisz żyć.

– Przesadzasz. Proszę dać mi spokój. Nie widzisz, że ten świat się wali? Nadchodzi apokalipsa. Nieubłaganie. Niech mnie pan porzuci w bramie.

I ostatkiem sił próbowałem targnąć się na niego. By dobił. Powiesił na drzewie.

Oddałem mu rękopis. Po wojnie książka oparta na jego podstawie okazała się ogromnym sukcesem. Moje nazwisko noszą szkoły, ulice, place.

Ale to w przeszłości. A teraz Stare Żydzicho. Kiedyś Stanisław. Wkrótce Wyspa. Wkrótce mój ród zginie. Nie chcę krwi potomków narażać na zło. Bo nie ma tu nic więcej. Poza złem.

Podążam na północ, w kierunku bramy do getta. Ubrany w za szeroki skórzany płaszcz kroczę w stronę morza. Mokra jesień. Skórę chłodzi mgliste, wilgotne powietrze. Brukowana ulica na pół rozpruwa obdarte z tynku kamienice.

Krzyk odbił się echem pomiędzy budynkami.

## **Rafał Cuprjak**

Urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku, rodowity częstochowianin, absolwent Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Autor wydanej w 2015 roku powieści „Po drugiej stronie”. W marcu 2018 roku nakładem wydawnictwa Genius Creations ukazała się jego druga powieść pod tytułem „Mamusiu, przecież byłam grzeczna”.

# ZDRADA W SCHIVERHEIM

Łukasz Trykowski

## Zdradzony

Wysoki i chudy jak patyk biskup Volker nie lubił przepychu. Był prostym człowiekiem, oddanym swemu bogu. Do Schiverheim przybył skromnie i bez zbędnego rozgłosu, lecz mimo to w mieście już na niego czekali.

Pojmali go, gdyż należał do Frontu, fanatycznego odłamu Zigmarian dążących do powołania państwa religijnego. Stawiali coraz większy i zajadlejszy opór władającym Rassarom. Tu, na południowym wschodzie dawnego Imperium, władza królewska nie istniała od czasów wojny z mrocznymi elfami. Rządziły raczej lokalne bandy, a teraz również fanatycy.

Nim zakuto go w kajdany, po raz ostatni pogładził się po swojej przyszytych bródce, jak to miał w zwyczaju, gdy analizował sytuację. Nawet cieszył się, że zaprowadzą go przed oblicze herszta Uwego. Szybciej załatwi sprawę.

Strażnicy rzucili go na podłogę. Volker wstał, wyprostował się i spokojnie zapytał:

– Co to wszystko ma znaczyć?

Spasiony Uwe siedział w łożu w otoczeniu kilku doradców i strażników.

– Jestem nieuzbrojony i – zabrzączał głośno kajdanami – pojmany. Więc pytam ponownie: co to wszystko ma znaczyć, Uwe? A może powinienem powiedzieć: hrabio Schiverheim?

– Tytuł nie został mi jeszcze nadany. Zobaczymy, jak nagrodzi mnie król – odparł herszt.

– Na księcia bym nie liczył, Uther nie jest aż tak dumny – mówił kapłan. – A teraz pozwól, że ci przypomnę o twoich zobowiązaniach wobec naszego pana i jego Kościoła. To dzięki mnie i Frontowi zdobyłeś ten zamek wraz z miastem. Dzięki nam władasz do dziś. Nie miesza się do polityki...

– Dobrze, powinien...

– Zamilcz, nie skończyłem – przerwał mu Volker.

Nawet skuty wzbudzał posłuch.

– Daliśmy ci Schiverheim i możemy w każdej chwili je odebrać. Dostałeś wolną rękę, by władać, przestrzegając przy tym naszych świętych zasad. Jak dziś wygląda to miasto? Pełne nierządu, lichwy, świątyń innych bóstw, targów w dni święte! Wystaliśmy naszych braci, by was napomnieli. Powiesiliście ich!

– Wystaliście swoich zbójów, by siłą...

– Podnieśliście rękę na wybrańców naszego pana, na jego święty lud! – ryknął Volker.

– Nie dajesz mi skoń...

– Zigmar jest miłosierny! – oznajmił doniośle biskup. – Wiele rzeczy potrafi wybaczyć, o ile ktoś okaże skruchę. Ale jednej rzeczy nie wybacza! Zdrady! Innowiercy i bezbożnicy nie są takim złem jak odstępcy i heretycy, a tym ostatnim przewodzi uzurpator. Wpuściłeś wilka do owczarni! Przybyłem tu osobiście, by skłonić cię do wyrzeczenia się zła. Wyróżnij zdrajców i wróć na łono Kościoła. A z drobniejszymi grzechami rozprawimy się w późniejszym czasie. Jak powiedziałem, Zigmar jest miłosierny, tacy są też jego prawdziwi słudzy. Ale wprawdzie musisz okazać skruchę. Zegnij kolano i proś wybaczenia.

– Czy on jest normalny? – szepnął jeden z doradców.

– To chory fanatyk, jak wszyscy frontyści – dodał inny.

Volker wpatrywał się w Uwego, czekając na odpowiedź.

– Mój drogi przyjacielu – zaczął herszt. – Jestem dozwonnie wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłeś. Front mnie wyniósł, Front też może mnie obalić. Król zaś odzyskał inicjatywę. Schiverheim w jego ręku może doprowadzić do zjednoczenia i nowej, zyskowej ery. Front był ważny, ale... przyszłość jest u Rassarów. Z nimi ponownie uczynimy nasze imperium wielkim. To nie ja powinienem tu okazać skruczę.

Biskup uśmiechnął się złowieszczo.

– Jestem już martwy, ale się nie mylę. Zginąć w obronie wiary to szlachetna śmierć. Jestem gotów. Zabij mnie, lecz ostrzegam: po mnie przyjdą inni! Żar ich wiary was spopieli i zasypie pod gruzami tego miasta. A to będzie dopiero początek wielkiej pożogi.

– Zabić go – rozkazał Uwe. – Nie mogę już tego słuchać.

Wystarczył jeden wystrzelony bełt, by Volker padł martwy. Herszt wstał, podszedł do stołu i uniósł kielich wypełniony winem.

– Za króla! I nowy porządek.

389

## Fanatyk

Trzech mężczyzn sterczało przed opuszczoną, sypiącą się oborą. Blask bijący z obu księżyców sprawiał, że noc była bardzo jasna.

– Myślę, że się nadam – zapewniał barczysty Gwindon. – Chyba już się sprawdziłem, nie? W końcu kto wam dostarczył informacje? Oczywiście, że ja! – chełpił się. I miał ku temu powody.

– Pozostał jeszcze ostatni test – odparł beznamiętnie kapłan Folkman.

Był najstarszy z całej trójki. Miał ponad pięćdziesiąt lat, twarz pooraną zarówno bliznami, jak i zmarszczkami. Część z nich starał się zakrywać brodą, by nie wyglądać tak szpetnie – w końcu musiał wzbudzać zaufanie. To on odpowiadał za przeprowadzenie wszystkich dotychczasowych zadań, tym razem jednak dowodził stojący obok Strauss. Żaden oddział Frontu jeszcze nigdy nie działał na taką skalę, więc starzec potrzebował pomocy kogoś zaufanego i wiernego sprawie. Jeśli wszystko

pójdzie zgodnie z planem, o Froncie będzie głośno nie tylko w granicach dawnego imperium, ale na całym kontynencie.

– Musimy sprawdzić twoje oddanie wobec naszego Pana – rzucił Strauss. Czuł nieznośny, przejmujący chłód, chciał więc jak najszybciej zamknąć tę sprawę. – Wiemy, co cię motywowało, by do nas dołączyć. Wiemy, że wyprowadziłeś swoją rodzinę z Schiverheim. Teraz jednak nie ma już powrotu, rozumiemy się?

Gwindon nie odpowiedział.

Przywódcy dobrze wiedzieli, że mężczyzna miał karciane długi. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, nie będzie musiał już o nich myśleć, wszystko jakoś się potoczy. Jednak przy drugiej części zadania ta motywacja mogła okazać się niewystarczająca. Musieli zmniejszyć ryzyko.

– Wejdiesz do środka – rozkazał Folkman. – Zabijesz to, co tam znajdziesz.

– Prosta sprawa – odpowiedział z nieukrywaną ulgą Gwindon. Spodziewał się czegoś gorszego. – Zabijanie to dla mnie pestka. Ludzie, zwierzęta, cokolwiek. Nie takie rzeczy się robiło.

Towarzysze nic nie odpowiedzieli, spoglądali na niego wyczekująco.

– To nie człowiek, prawda? – Kanciarz się uśmiechnął. – Wiecie, od mojego noża to potwory padają jak muchy. Wściekle psy, błahostka! – Zauważył, że nie reagują na jego przechwałki. – Niedźwiedzia to mógłbym nawet wy... – ugryzł się w język, spoglądając na starego kapłana – ... wypatroszyć. Raz prawie zabiłem smoka.

– Smoka? Prawie? – Strauss nie wytrzymał.

– Małego. Ledwo się wykluł, więc się nie liczy.

– Wchodź – rozkazał zdruzony Folkman. – Pokaż, coś wart.

Otworzył drzwi. Musiał wyężyć wzrok. Gdyby nie było tak ciemno, z pewnością dostrzegłby związanego, zakneblowanego chłopca. Miał może osiem lat.

– Chyba was popierdoliło! – oburzył się kanciarz.

Chwyił dzieciaka za fraki i wyprowadził go na zewnątrz.

– To tylko elf – rzucił ostro stary kapłan.

- Możliwe, że mroczny – dodał Strauss. – Zresztą jebał to pies!  
Elf to elf.

- Kurwa! To jeszcze dziecko! – złościł się Gwindon.

- Dobry elf to martwy elf! – splunął dowódca.

Karciarzowi bardzo się to nie podobało. Nie miał pewności, czy oni chcą, by zabił dzieciaka. Może go testowali? Z drugiej strony... Dla fanatycznego starca wszystko było czarne lub białe, elfy zaś stanowiły wcielenie zła. To przez nie wszystko się zaczęło. Wielka wojna i całe stulecie starć. No i towarzyszył mu żołnierz-dezertner, nie mniej bezwzględny.

- Mam gdzieś, czy to elf, czy człowiek! Myślicie, że akurat ten komuś zawadzał? To po prostu dziecko! – irytował się szachraj.

- Jeszcze – ciągnął smutno Folkman. – Jak dorośnie, najpewniej zacznie palić ludzi w piecu albo truć ich gazem. A jak nie, to będzie strzelał innym w tył głowy. Elfy już takie są. Mordują inne rasy tylko dlatego, że nie są elfami.

Przerażony młodzik cały się trząsł.

- Nie zabiję dzieciaka – oznajmił stanowczo oszust. – Nie pisałem się na to.

- W takim razie ja to zrobię – przerwał mu dowódca.

- Byle nie ja... – wymamrotał Gwindon. Z jednej strony chciał powstrzymać Straussa, ale z drugiej nie mógł mu się przeciwstawić. Nie teraz. Wiedzieli, gdzie jest jego rodzina, mogliby jej zagrozić. – Nie jestem zabójcą, przydam się inaczej – dodał spokojniej, odwracając głowę. – Zaufajcie mi, nie będziecie żałować.

- Pan dał nam talenty – mówił były żołnierz, wyciągając sztylet – ale wymaga od nas poświęceń.

Uderzył, lecz ostrze dosięgło serca szalbierza, nie chłopca.

- Kurwa... – wymamrotał Gwindon, padając na ziemię. – Chuju pie...

- Słabe ogniwo musi zostać wyeliminowane – skomentował kapłan. – Zabij chłopca. Kłapouch mógł za dużo usłyszeć. Więcej się nam nie przyda.

Strauss, w przeciwieństwie do martwego obecnie Gwindona, nie miał żadnych obiekcji. Bez zawahania poderznął zapłakanemu

dzieciakowi gardło. Przywykł. Nie potrafił już zliczyć osób, których pozabawił życia. Zresztą nie lubił elfów.

Folkman spojrział na ciała.

– Trzeba nakarmić jakieś świnię. Choć nie wiem, czy elfinę zeżrą, toż to zwykłe gówno jest. – Wylał ręce o szatę. – Zatem zostało nas siedmiu. Wszyscy sprawdzeni. Jutro ostatnia modlitwa i działamy.

Strauss uklonił się nisko, zaś stary kapłan udał się do obozu. Przez kilka godzin modlił się w namiocie, oddając cześć Zigmariowi i prosząc go o wsparcie. Potem położył się spać.

Wstał przed wschodem słońca. Rozebrał się i udał nad rzekę, by się oczyścić. Nie chodziło o zwykłą kąpiel dla higieny, lecz o pewne odezwanie od świata i oddanie swemu bogu przed tak ważną misją.

Wiele lat temu Folkman wytatuował sobie na plecach koronę nałożoną na miecz i zaczął udawać kapłana Zigmarian. To był ich święty znak wynikający wprost z wierzeń i legend. W imperium każdy znał historię Zigmara i jego przymioty, więc wybór zdawał się jasny.

Zigmara czasem określano Mesjaszem. Według wierzeń przez pewien czas był podobno zwykłym człowiekiem. Następnie przy pomocy miecza dokonał podboju i wyprowadził ludzi z mroku, jak zapamiętano. Stworzył imperium, koronował się i zadbał o sukcesję. Wydawało się, że dynastia ta przetrwa aż po kres czasów, jednak półtora wieku temu mroczne elfy rozpętały największą w dziejach wojnę. Imperium nie miało szans z bardziej rozwiniętym wrogiem. Ród Zigmara wygasł, zaś po wojnie i elfach nastąpiło jeszcze gorsze nieszczęście: Rassarowie.

Ci nie potrafili przywrócić państwu dawnego blasku, ale też nie chcieli oddać zdobytej korony. Zresztą od czasów Pnerba przestali również używać tytułu cesarza, który i tak stracił już dawno na znaczeniu, a powodował też wydumane porównania i zacieklą niechęć. Front Przeciwników Drugiej Dynastii, jak formalnie ich nazywano, uznał, że władzę powinni sprawować kapłani Zigmara, w ten sposób wypełniając jego wolę. Folkman się z tym zgadzał. Choć nigdy nie pragnął tronu dla siebie, marzył, by Rassarowie, mroczne elfy i inne wyrotowe elementy raz na zawsze zniknęły z tego świata.



Dopiero na oczyszczonej ziemi dałoby się odbudować dzieło ich pana. Folkman wierzył w to z całego serca i to też głosił. Właściwie nie ukończył żadnych szkół, ledwo posługiwał się piśmem i miał braki w teologii, ale jego serce przepełniały zapał i oddanie. Początkowo występował jako samozwańczy kaznodzieja, potem zaś w roli brata zakonnego. Nikt nie wiedział o braku święceń, ale z biegiem lat przestało to być ważne. Został uznanym frontystą, oddanym i gotowym do poświęceń. Teraz mierzył się z najważniejszym zadaniem w całej swojej karierze. To miał być punkt zwrotny w wojnie z heretykami i innymi pomiotami zła. Zigar ponownie zatrząsł światem, choć tym razem rękoma swoich wyznawców.

Ci, którzy sterowali Frontem, doskonale wiedzieli, że to walka o władzę. Umiejętnie podsycali nienawiść, wykorzystując innych w walce. Po czystkach etnicznych, jakie przeprowadziły mroczne elfy, nie było to takie trudne. Każda niedola zawsze musi mieć swoją przyczynę. Wystarczyło ją nazwać. Elfy i stronnicy Rassarów byli wręcz idealni. Obcy, inni, a tym drugim właśnie coś się udawało. Musieli oszukiwać.



Podczas porannego nabożeństwa w cichym brzoźowym zagajniku zebrali się wokół Folkmana. Ten zaś grzmiał:

– W Schiverheim doszło do zdrady! – zrobił krótką pauzę, zanim nazwał wroga, jak go uczono. – Zalęgli się tam królewscy! Schiverheim poddało się Rassarom. Uzurpator stara się umocnić swoją pozycję. Nim go dopadniemy, trzeba dać jasny sygnał tym, którzy się z nim układają. Schiverheim zniknie z powierzchni ziemi! My to sprawimy! Zadamy wrogom tak straszliwy cios, że będą lękać się nas po wsze czasy!

Strauss, który stał dotychczas z boku, podszedł do kapłana, by swym zaangażowaniem wesprzeć mówcę.

– Gwindon, nasz przyjaciel – głosił dalej starzec – dostarczył nam wielu istotnych informacji. Od rozmieszczenia zbrojnych, przez zakamarki, po położenie ujęć wody. To miasto opierało się wrogom przez setki lat, ale mroczne elfy znalazły sposób, by je zająć, a podziemne korytarze

wykorzystały jako arsenał. Pod koniec wojny część tuneli się zawaliła. Niedawno królewscy dotarli do ukrytej broni. Musimy ją zniszczyć, zanim jej użyją! Wykorzystamy proch elfów, który jest tam zgromadzony. Wybuch zmiecie całe miasto. Bezbożne Schiverheim upadnie. Każdy z was będzie miał udział w tym świętym zadaniu.

Strauss pierwszy wyrwał się z okrzykiem:

– Dla bożej chwały!

Pozostali zawtórowali, unosząc broń i wymachując nią nad głowami. Stary kapłan musiał odczekać, aż tłum ucichnie, by kontynuować. Spoglądał na zgromadzonych, a jego serce się radowało.

– Wpierw musimy wywołać tam chaos – ciągnął – który odwróci uwagę wrogów, podczas gdy my zrealizujemy właściwy zamach. Wszyscy razem spotkamy się dopiero po drugiej stronie, przed obliczem naszego sprawiedliwego i umiowanego pana! Za chwilę porozmawiam jeszcze z każdym z was, by upewnić się, że rozumiecie plan.

W przeszłości Schiverheim rozrosło się poza obszar wydrążonej zapewne przy udziale krasnoludów twierdzy. Ale po wojnie z mrocznymi elfami miasto ponownie znalazło się w obrębie murów, dokładnie nad podziemnymi komnatami. Obwarowań pilnie strzeżono, nawet przy akwedukcie znajdowała się strażnica. Jak w każdym podziemnym pałacu, tak i tu słabością były filary. Wystarczyłoby je wysadzić, by wszystko się zawaliło i pogrzebało mieszkańców.

– Śmierć za naszego pana – tłumaczył Folkman – to wejście do krainy szczęśliwości. Tym chwalebnym uczynkiem zapewnicie sobie godziwe miejsce w zaświatach. Nagrodę za nasze bezwarunkowe oddanie słusznej i sprawiedliwej sprawie.

Musiał ich zmotywować i dopilnować, by wszyscy wypełnili swoją część planu. Patrzył na nich i nie miał wątpliwości. Przebyli długą drogę.

Podążają.

## Tchórz

Przez wieki Schiverheim zyskało reputację twierdzy nie do zdobycia. Potężna warownia zbudowana na wzniesieniu, do tego jeszcze wydrążone pod nią tunele... Fortecy dało się bronić latami.

Kilka oblężeń faktycznie miało miejsce, ale nacierającym nigdy nie udało się złamać oporu obrońców. Jedyne, czego byli w stanie dokonać, to zniszczyć okalające fortecę miasto, które i tak odradzało się po każdym ataku. Oczywiście z wyjątkiem tego ostatniego.

Więści o nieudanych oblężeniach skutecznie zniechęcały potencjalnych agresorów. Zanim nadeszła wojna z elfami, nawet w burzliwych czasach Schiverheim najczęściej pozostawało nietknięte, miasto zaś bezpiecznie rozkwitało w jego cieniu.

Mroczne elfy nie respektowały reguł Starego Świata. Ich karabiny maszynowe z łatwością dziesiątkowały rycerstwo, a czołgi i działa kruszyły nawet najgrubsze mury. Mówiono, że bomby zrzucone ze smoków mogły niszczyć całe armie.

Najpierw spalono miasto. Część mieszkańców uciekła do twierdzy, pozostałych wyłapano. Jeńcom kazano wykopać rowy, a następnie, by nie marnować amunicji, połamano im ręce i nogi, a na końcu zakopano żywcem. Dopiero potem zajęto się fortecą. Ostatecznie padła po pięciu dniach desperackiej obrony.

Ocalałych zniewolono i zmuszono do ciężkiej, niewolniczej pracy. Elfy nie pragnęły miasta, ale twierdzy – jej położenie było dla nich kluczowe z dwóch powodów. Po pierwsze potrzebowały kilku baz wypadowych dla wschodniego frontu. Po drugie zaś widziały w tym możliwość łatwej kontroli podbitego terytorium, z czym Rassarowie nie potrafili sobie poradzić przez ponad sto lat.

Z czasem akwedukt został naprawiony, a miasto wzbogacone o system pomp, z którego wciąż czerpali wodę mieszkańcy.

Pod koniec wojny elfy przeniosły większość swoich sił poza twierdzę. Te, które pozostały, ostatecznie zdezerterowały po klęsce swego króla. Rozumiały, że bez wsparcia i koordynacji sztabu czeka je klęska.

Nikt nie pozostał na posterunku.

Ludwig znał tę historię i w pewien sposób rozumiał elfy. Rudy młodzieniec często zastanawiał się, dlaczego w ogóle bierze udział w tej akcji. Nie wierzył w świętą sprawę. Był przerażony. Zupełnie jak tamte elfy, przyszłość widział jedynie w czarnych barwach. Tyle że on nie potrafił uciec, zaszyć się gdzieś. Folkman, Strauss czy Lutfryd z pewnością by go dopadli i skrzywdzili.

– Czego się trzęsiesz?! – zapytał stojący przy bramie parchaty strażnik, szturchając młodzieńca. – Pewnie przez te uszy, co? Prosiakom tak nie odstają.

Ludwig, jak prawie każdy, kto zamierzał dostać się do Schiverheim, musiał przejść przez odprawę. U wejścia królewscy obserwowali, kto wchodził, a kto wychodził. Czasem też bardziej podejrzanym wędrowcom zadawano pytania. Utrudnienie dotyczyło przybywających, lecz nie zamykało drogi Frontowi.

– Elfów... – skłamał. – Boję się elfów...

– Przygłup? – zapytał drugi, jeszcze bardziej parszywy strażnik.

– Trochę tak wygląda. Ale fakt, boi się. Zobacz no tylko, jak trzęsie tymi swoimi wielkimi uszami! – Zarechotał. – Nochal też mu już przetręcili, w sumie dobrze.

Młody zamachowiec poczuł, jak coś ściska mu żołądek. Pomyślał, że zaraz zwymiotuje. Miał proste zadanie, ale przeczuwał już klęskę – mogą go zwyczajnie nie wpuścić. Wyobraził sobie wściekłego Lutfryda i Straussa. Załukliby go bez słowa.

– Błagam, nie mogę zostać na zewnątrz! – Zaczął płakać. – Zabiją mnie!

Nie musiał kłamać. Wierzył, że tak właśnie będzie. Nie powiedział tylko, kogo tak naprawdę się boi. Padł przed strażnikami.

– Wstawaj! – ryknął pierwszy z nich. – Blokujesz drogę.

– Zabiją mnie... – łkał Ludwig.

– Właż, tylko żebyś niczego nie ukradł, na łąkę wyglądasz.

Odetchnął z ulgą, podziękował im i przebiegł przez bramę, cały czas trzęsąc się jak osika.

Nawet nie pamiętał, jak wplątał się w ten zamach. Po upadku dawnego Imperium i Królestwa Mrocznych Elfów zaczęły się rządy band – problem, z którym Rassarowie wciąż sobie nie radzili. Mieszkańcy miast byli zastraszeni przez gangi, zaś przebywając z dala ludzkich osiedli – w najlepszym przypadku – musieli się układać z lokalnymi rozbójnikami. Najprostszym rozwiązaniem była ciągła ucieczka. Ludwig stosował tę taktykę samodzielnie już od szóstego roku życia. Przez siedem kolejnych lat prawie wcale nie spał. Cały czas czuwał niczym zwierzę. Nikomu nie ufał. Dlatego, gdy trafił do obozu frontystów, zdziwiła go ich otwartość. W pewien sposób nawet mu zaimponowali. W końcu dano mu szansę, by stał się częścią czegoś, co naprawdę miało znaczenie.

Przez te kilka lat, gdy z nimi żył, wydawało mu się, że ostatecznie wyzbył się strachu. Teraz wiedział, że tak nie było. Robił tylko, co mu kazano. To pomagał zielarzowi, to sporządzał leki czy trucizny.

Dopiero teraz zrozumiał, że tak naprawdę bał się frontystów. Bał się sprzeciwić czy nawet zaprotestować. Myślał, że mogą go wyrzucić lub zrobić coś znacznie gorszego. Wykonywał bezwolnie każdy ich rozkaz. Gdy miał zabić elfie dziecko, zerknął tylko na srogiego Folkmana, a następnie wziął nóż i zarżnął elfkę, tak jak robił z królikami w obozie. Czuł, że chyba nie tego wymaga od nich wiara, jednak nie potrafił się sprzeciwić. Nie chciał zawieść ani Folkmana, ani Straussa. Wiedział, że gdyby to zrobił, nie byłoby dla niego nadziei.

Stary kapłan zawsze tłumaczył, dlaczego trzeba czynić tak, a nie inaczej. Dowódca zaś wymagał bezwzględnego posłuszeństwa. Nie raz śnił się Ludwigowi po nocach. Chłopak bał się nawet pomyśleć, co by się stało, gdyby nie wykonał zadania. Strauss z pewnością by go dopadł. Wkurzony stawał się bezwzględnym fanatykiem.

Teraz musiał tylko dotrzeć do ujęć wody. Miał je zatruć, a co za tym szło – spowodować zamieszanie. Szczęśliwie dla niego jedno z mniejszych znajdowało się na uboczu. Elfy przebudowały kanalizację, stworzyły też wielką cysternę. Cała ta misterna konstrukcja wciąż jeszcze działała. Jakoś nawet ją konserwowano, choć nikt w mieście nie posiadał ani wiedzy, ani technologii, by ją odtworzyć lub rozbudować.

Przez kilka godzin Ludwig kręcił się po Schiverheim. Nie wyglądał podejrzanie, strażnicy nawet go nie przepytawali. Do akweduktu dotarł w nocy. Gdy wsypywał do niego truciznę, rozmyślał nawet, czy opuścić miasto. Mógłby prysnąć gdzieś daleko, zaszyć się w jakiejś głuszy. Na samą myśl jednak ogarniał go lęk – co, jeśli po drodze napotka Straussa lub Folkmana?

Ukrył się więc w mieście, licząc, że cudem przeżyje kilka kolejnych dni. Wiedział jedno: nie będzie pił, nawet gdy zacznie odczuwać pragnienie. Chyba że spadnie deszcz.

### **Szaleniec**

Nazywali go Johanem Dużym, choć tak naprawdę nawet nie wiedzieli, jak miał na imię. Półogr mierzył ponad dwa metry i mówił niewiele. Postawny, z łysą głową osadzoną na grubej szyi. Groźnego wyglądu dopełniała przekrzywiona szczęka. Nie grzeszył inteligencją, ale też nikt go o nią nie posądział. Nade wszystko uwielbiał znęcać się nad innymi, mordować i torturować – był idealny do tego zadania.

Miał zaledwie kilka lat, gdy jego rodzice zginęli w konflikcie z Rassarami. Nie zamierzali walczyć – to wojna przyszła do nich. Dzieciaka przygarnęli Zigmarianie, najwyraźniej z litości, co nie przeszkadzało im traktować go jak wyrzutka. Szybko zrozumieli jednak, że jest przydatny. Wystarczyło zostawić go w spokoju, by pracował i nie zadawał zbędnych pytań.

Później przygarnął go Front. Tam wykorzystano jego naturalny dar. Johan Duży dobrze się czuł jako kat, choć przesłuchiwanie szło mu raczej słabo – ostatniemu więźniowi wyrwał wątrobę. Twierdził, że to z nerwów.

– Zostaw tę pieprzoną elfkę! – ryknął Rogar, zakuty w zbroję siwobrodym krasnoludem.

Truchło wisiało na sznurze przywiązany do gałęzi. Zapewne zginęła tylko dlatego, że miała szpiczaste uszy. Po wojnie większość ras brała odwet na elfach. Nie zwracali uwagi na to, czy byli mrocznymi czy zwykłymi – i tak nie potrafili ich odróżnić. Jeśli nadarzyła się okazja,

zawsze znalazł się ktoś chętny do zabicia elfa. Jednak nawet frontyści nie starali się robić z tego celu swej działalności. W miastach, zwłaszcza podległych królowi, elfy mogły czuć się w miarę bezpiecznie, ale na traktach nawet w prostym wieśniaku mógł obudzić się mściciel.

Johan nie czuł nienawiści do elfów – po prostu uwielbiał mordować. Ściągnął dyndające ciało ze sznura i położył na ziemi. Krasnolud odwrócił się. Podejrzewał swego towarzysza o zapędy nekrofilskie, ale się pomylił. Półogr poczuł potrzebę wybić elfce oczy – przy okazji porachować kości – a następnie powiesić na jej własnych jelitach. Strauss nie raz próbował okiełznać półogra, ale tak, by nie zatracić jego dzikości.

– Mamy zadanie do wykonania – gderał zirytowany Rogar. – Ta zdzira i tak już jest martwa!

Poganiał towarzysza, ale starał się go nie denerwować. Liczył się z tym, że jego słowa nie odniosą żadnego skutku. Johan Duży był nieobliczalny. Prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że misja, na którą wysłał go Front, to samobójstwo. Nawet jeśli coś takiego mu przebaknęli, to i tak nie rozumiał. Mówił po swojemu, praktycznie nikt nie traktował go poważnie. W końcu nie potrafił nawet się przedstawić.

Johan wreszcie dokończył swego dzieła i zostawił je w dobrze widocznym miejscu, by nie przeoczyli go inni podróżni.

– Weź, kurwa, wytrzymaj z siebie tę krew! – ryknął krasnolud, widząc swojego towarzysza.

Johan jedynie odchrząknął.

– I pamiętaj, że to ja wszystko załatwiam. Nie mordujesz i nie torturujesz nikogo, zanim ci na to nie pozwolę, jasne?! Potem całe miasto będzie twoje.

Półogr spojrział na niego, uśmiechając się obrzydliwie.

– Próż mnie, głąbie! I naszych! Będziesz miał kobiety, dzieci, starców. No kurwa, kogo tylko złapiesz!

Johan oczami wyobraźni już widział ludzi wrzeszczących podczas łamania karków, rozbryzgiwane na ścianach mózgi i wrywane kończyny. I dzieci, szczególnie chciał dostać w swoje łapska dzieci. Już sama myśl

o obserwowaniu, jak z ofiar uchodzi życie, sprawiała mu przyjemność. Zaczął ślinić się, planując, co zgotuje mieszkańcom Schiverheim.

Gdy dotarli do bramy, zatrzymało ich dwóch strażników. Królewscy nosili charakterystyczne czerwone płaszcze z białymi kropkami.

- Muchomory. - Krasnolud uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Mam nadzieję, że się nie obrażacie za to określenie. Wiele słyszałem i cieszę się, że w końcu was widzę!

Zdobienia i insygnia sugerowały, że jeden z nich to sierżant. Drugi wyglądał Rogarowi na rekruta, którego ledwo co wciągnięto do służby dla króla.

- Coście za jedni? - dopytywał sierżant. Podróżni wyglądali mu bardzo podejrzanie, w szczególności wielkolud.

- Łowcy nagród, a jak trzeba, to i ochroniarze. Wy chronicie miasto, a my zajmujemy się bandytami.

- On też? - Rekrut wskazał Johana.

- Też. Bez niego nie dałbym rady, bywa pomocny... o ile nie wpadnie w szaf. Szukamy zarobków, z dała od... No wiecie kogo, przecież nie będę mówił głośno.

Nie zamierzał. Nie był pewien, czy półogr by to zrozumiał. Jeszcze utyskiwania na Front wzięłyby za zdradę i narobił bigosu.

Spojrzał na niebo, właśnie zaczęło kropić.

- Paskudna pogoda - mruknął. - Przydałaby się jakiś zajazd.

- Gospody są, o to się nie martwcie - uspokajał sierżant. - Dobra, właście, ale żebyśmy przez was żadnych burd nie mieli.

Johan uśmiechnął się krzywo. Krasnolud spojrzał na niego porozumiewawczo.

- Niczego nie będzie, słowo! Zlecen można szukać na targu?

- Tak, staniecie sobie pod murem.

- Jak jakieś dziwki. - Drugi strażnik zarechotał.

- Tam, gdzie byłem jakiś czas temu, dziwki stały w takich wysokich butach - wspominał Rogar. - Były o dobre pół metra wyższe od przechodniów. Jak klientów brakowało, podnosiły spódnice. Ale w ten sposób to my pracodawcy nie znajdziemy. - Zaśmiał się.



– Pewnie nie! – przytaknął sierżant. – Postoicie, może ktoś się do was odezwie. Niczego nie obiecujemy.

Weszli do miasta. Tym razem czekała ich spokojna noc. Na swoją część zadania musieli poczekać, aż trucizna zacznie działać. Półogr wiedział jedynie, że ma czekać na polecenia Rogara – tyle potrafił zapamiętać.

Zajęli się szukaniem przytulnej i cichej gospody, w której mogliby zebrać siły.

## **Mściciel**

Rabujące i mordujące gangi dla jednych były zmorą, dla innych – sposobem na życie. Lutfryd należał do tych drugich. Dobijał już pięćdziesiątki i był zaledwie cieniem dawnego siebie. Zgorzkniał, przygarbiony i ponury. Golił się i mył nieregularnie, wyglądał trochę jak chodzący trup, zwłaszcza przez ciemne wory pod oczami – jednak mimo to wciąż miał w sobie wiele krzepy i niszczycielskich zapędów.

W swojej dawnej bandzie stopniowo awansował aż do pozycji herszta. Przez wiele lat był skrytobójcą. Dzięki temu potrafił poruszać się prawie bezszelestnie, kryć w zakamarkach i czekać na ofiarę. Te umiejętności sprawiły, że w całej akcji Lutfryd miał odegrać kluczową rolę: przeprowadzić Straussa i Folkmana do miejsca właściwego zamachu oraz zabezpieczyć tyły. Byłemu zabójcy odpowiadało to znakomicie.

Pamiętał dawne czasy bardzo dobrze. Miał wówczas trzy żony i tuzin dzieci. Pławił się w luksusie ponad miarę, a usłudźni pachołkowie zawsze pilnowali, aby niczego mu nie brakowało. Tak się wtedy spał, że ledwo chodził. Pozostawał jednak czujny i żaden z jego podwładnych nie ważył się wystąpić przeciw niemu.

Został mimo to zaatakowany przez niespodziewanego przeciwnika. Cesarz, a później król Pnerb – ojciec obecnego króla – starał się w tamtym okresie umacniać swoje terytorium. Wysyłał oddziały coraz dalej od stolicy. Według jednych wprowadzały prawo i sprawiedliwość, a według innych podporządkowały mu kolejne ziemie.

W starciu z regularną armią banda Lutfryda nie miała szans. Stracił wszystko. Majątek, pozycję, bliskich. Nawet nie pamiętał, jakim cudem ocalał z tamtej rzezi. Czy uciekł? Może ktoś go uratował?

Po latach Pnerb gryzł już glebę, a jego synalek kontynuował politykę ojca – starał się umocnić swoją pozycję. Lutfryd dołączył do frontystów z jednego powodu: był zagorzałym przeciwnikiem Drugiej Dynastii. Nie fanatykiem religijnym jak pozostali, nie interesowali go Zigmarianie i ich cele. Chciał pomścić rodzinę. Najlepszym sposobem na to było pokrzyżowanie planów monarchii lub jeszcze lepiej – obalenie jej. Stał się wzorowym członkiem organizacji, pragnienie zemsty stanowiło idealną motywację, której nikt nie kwestionował.

– Zniszczymy skurwieli, jestem gotów za to zginąć – obiecywał Folkmanowi.

Ten wówczas uśmiechał się dumnie.

– Zaprawdę. Taki jest nasz cel.

Nie potrzebował nic więcej ponad zemstę. Z łatwością przeszedł test i stał się pełnoprawnym frontystą. Tam też spotkał Straussa, który zajmował się szkoleniem wojowników Frontu. Cichy, oddany, twardy i znajdujący się w dobrej komitywie z kapłanem wojownik zrobił fenomenalne wrażenie na Lutfrydzie. Obaj byli oddani swojej misji tak bardzo, że nie zwracali uwagi na motywację zabójcy. Dodatkowo świetnie się dogadywali.

Do Schiverheim przedostał się sam, wtopiwszy w grupę uchodźców, ludzi niemających wiele do stracenia, ale wciąż liczących, że może tym razem, w Schiverheim, los się do nich uśmiechnie.

Lutfryd doskonale zadawał sobie sprawę, że będą pierwszymi ofiarami. Jeśli nie spotkają się z niechęcią mieszkańców lub innych podróźnych, z pewnością zatruje ich woda. Cóż, przynajmniej mieli małe szanse dotrzeć do wybuchu, ale była to marna pociecha.

Przedstawił się jako zniszczony ciężką pracą drwal – Unterberg. Nie pytano go o nic więcej. Nowoprzybyli sypiali pod gołym niebem na jednym z placów. Niektórzy próbowali znaleźć sobie inne miejsca, pozwalające ukryć się przed siąpiącym deszczem. Formalnie pilnowali

ich strażnicy, ale w nocy łatwo było się przedostać w inne rejony miasta. Gwindon wiele im opowiadał o tym miejscu, ale nie nadawał się na przewodnika. Przejścia Lutfryd tak naprawdę musiał odkryć sam. Czasu pozostawało mu niewiele, chociaż dopiero kolejnego dnia miał razem z Folkmanem i Straussem przystąpić do właściwej części planu.

Gdy już dokonał rekonesansu, uznał, że ma jeszcze jedną rzecz do załatwienia. Wszedł do gwarne go zajazdu, przecisnął się między podchmielonymi krasnoludami i ledwo trzymającymi się na nogach orkami. W końcu zasiadł naprzeciwko grubego karczmarza czyszczącego właśnie kufle.

– Piwo, macie tu?

Grubas przytaknął.

– Dobrze jakieś?

– Sami warzymy.

– Mocne chociaż? – Lutfryd machnął ręką. – Nieważne, polej, dwa kufle od razu. Dziwki, macie tu?

Szynkarz przytaknął.

– Świetnie. – Wyciągnął sakiewkę. – Mam zamiar dziś się zabawić tak, jakby jutro miał skończyć się świat!

## **Neofita**

Johan Mały był cherlawy, a wzrostem tylko trochę przewyższał przeciętnego niziołka. Mimo niepozornego wyglądu, to jemu wejście do miasta sprawiło największy problem, głównie przez oddanie panu. Kilka lat wcześniej wyciął sobie na czole miecz w koronie, znak Zigmarian. Bosy, obdarty i z widocznym znamieniem – fanatyk jak nic. Musiał się upaćkać, by brud zakrył blizny. Wychudzony, z bielmem na lewym oku, mógł uchodzić nawet za parchatego żebraka. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Kiedyś wyglądało to inaczej. Był pięknym chłopcem. Zbyt pięknym. Nie pamiętał, kiedy go po raz pierwszy zgwałcono. Jeden z hersztów, samozwańczy baron, posiadał swój dziecięcy harem. Johan, mając osiem lat, stał się doświadczoną, wykwalifikowaną męską kurwą.

Nie znał innego życia. Ale gdy zaczął dorastać, przestał wzbudzać zainteresowanie barona. Młodzieńca porzucono w puszczy. Przetrwiał

i zajął się tym, na czym znał się najlepiej – sprzedażą swojego ciała i okazjonalną kradzieżą.

Może w dużych miastach byłoby lepiej, ale nie na południu. W okolicy szalały bandy i Zigmarianie, rozrastał się Front, zaś homoseksualizm stanowił tu ulubioną podstawę do samosądu.

Johan nie przejmował się miejscowymi przepychankami hersztów i fanatykami. Zigmarianie jednak w końcu go dopadli i prawie ukamienowali. Jeden z nich go ocalił. Twierdził, że z dobroci serca, szybko okazało się jednak, że zależało mu tylko na tym, by chłopaka uciszyć i wykorzystać seksualnie. Pokusa dotykała wszystkich.

Wówczas po raz pierwszy przejrzał na oczy. Zadział. Przyznał się jednemu z frontystów, opowiedział mu całą swoją historię. Ten nie tylko go wysłuchał, ale też pomógł. Zakonnika – oprawcę Johana – ukamienowano, sam chłopak zaś trafił do obozu, gdzie przechodził intensywną indoktrynację. Wyleczyli go. Uświadomili mu zło, które uczynił. Chłonął ich nauki, aż z czasem zapragnął jednego: odkupienia. Wtedy właśnie stał się żarliwym wyznawcą Zigmara, gotowym na wszystko, byle zmazać hańbę.

Początkowo nawet nie przeszło mu przez myśl, by wziąć udział w zamachu. Dopiero gdy okazało się, że wśród królewskich urzędników znajduje się ten sam baron, który go wykorzystywał, Johan zrozumiał, że to jego przeznaczenie. Tego wymagał Zigmar. Cierpliwie ćwiczył pod okiem Straussa, który obiecał mu udział w arcyważnej misji.

Prawdopodobnie jako jedyny miał pewne wątpliwości co do natury akcji. Akceptował fakt, że trzeba zniszczyć królewskich i tych, którzy ich popierają, ale zrobiło mu się żal wszystkich ofiar. Podzielił się swoimi przemyśleniami z kapłanem.

– Pan czasem traci cierpliwość. Potrzeba przelać krew niewinnych, by w ten sposób załagodzić jego gniew. Wtedy lituje się nad nami. Taki jest bowiem sens cierpienia wiernych. Nasz pan zapragnie nam ulżyć, tym samym zlituje się nad wszystkimi innymi. Ta śmierć jest bolesna, ale konieczna – tłumaczył mu Folkman. – Ich niewinna śmierć ocali ten świat. Nawet jeśli zabijemy wszystkich, nasz pan rozpozna swoje owieczki.

Dla Johana to wystarczyło. Krew niewinnych, by przebłagać Zigmara za grzechy – brzmiało przekonująco. Umacniał siebie i innych w tym przeświadczeniu, rozmawiając z wiernymi w świątyni Zigmara, w Schiverheim. Władze – przede wszystkim mianowany w stolicy Wielki Teokrata i jego świta – nie kontrolowały tego, co głosili kapłani na prowincji. Ten w mieście sprzyjał frontystom, choć z pewnością nie zdawał sobie sprawy z prawdziwej natury planowanego zamachu. Dał Johanowi schronienie i wszystko, czego ten potrzebował. Królewscy zaglądali do świątyni parę razy dziennie, ale łatwo się ich zbywało.

Młody Zigmarianin do późnych godzin nocnych wznosił modły i błagał swego pana o wsparcie oraz o to, by odmienił oblicze świata. Obudził się przed świtem, by powitać dzień samobiczowaniem. Odkąd Folkman powiedział mu o mocy krwi niewinnych, młodzieniec starał się zadawać sobie codziennie odrobinę cierpienia. Zigmar z pewnością doceniał jego oddanie.

Gdy Johan wyszedł, chmury skrywały niebo. Do ciała przymocował ładunki wybuchowe i zakrył je ubraniem. Gdy szedł ulicami Schiverheim, zauważył, że ludzie zaczęli już chorować przez zatrutą wodę. Jakaś kobieta leżała na ziemi martwa, inny mężczyzna chodził na czworaka, a z ust ciekła mu krew.

– Pomocy! – łkał.

– Niebawem znajdziesz się w lepszym świecie – rzucił Johan. Szczerze w to wierzył. Skoro można było zginąć w imię prawa i sprawiedliwości Zigmara, należało umożliwić to również innym.

Na bruku widział wiele świeżych śladów krwi i czasem kogoś leżącego na ziemi. Najczęściej umierającego. Przy źródle wody zaś zalegały też martwe szczury i gołębie. Ludzie zaczęli coś podejrzewać, ale wciąż znajdowali się tacy, którzy próbowali zaspokoić pragnienie.

W końcu dotarł do strażników. Od razu wzięli go za chorego, brudnego żebraka.

– Mam ważne informacje dotyczące zarazy! Zostaliśmy otruci! – Rozglądał się nerwowo i ściszył głos: – Nie mogę o tym mówić wprost, nie tu. W bezpiecznym miejscu. Nie mogą mnie usłyszeć! – Wzdrygnął się na

widok przechodzącej kobiety, by chwilę później odetchnąć z ulgą. – Nie, to nie oni... – mruknął.

Nieufni strażnicy zaprowadzili go do koszar. Przebywała tam większość sił lojalnych królowi.

Poszło lepiej, niż się spodziewał. Liczył na którąś z warowni. Ale koszary? Zigmar mu sprzyjał. Czy mogło być inaczej, skoro tak sumiennie wypełniał jego wolę?

– Macie rację, podejrzewając Front. Słyszeliście o działaniach barona Drangorna?

Zaciekawiony kapitan przytaknął. Znał tę historię. Jeszcze przed wybuchem wojny z mrocznymi elfami wspomniany baron przewodził wywiadowi Imperium. Organizacja w pewnej formie odrodziła się za czasów Rassarów. Sam baron był zaś bohaterem wielu opowieści uwielbianych przez dorastających chłopców.

– Nie muszę mówić, kim jestem. Infiltrowałem Front. Zatruli wodę, by wywołać zamieszanie, ale prawdziwy cel... to wy. Zejdźmy do piwnic, chcę mieć pewność, że się jeszcze nie przekopali!

– Ej, spokojnie! – uspokoił go oficer. – Najpierw musimy ustalić, kim w ogóle jesteś? Różne gagatki tutaj przychodzą.

– I zwykle świry – dodał inny strażnik.

– Johan, mieszkam niedaleko, przy trakcie – przerwał im młodzieniec.

– Przy trakcie... czy na? – dopytywał dowódca.

– Na...

– Czyli bezdomny – westchnął inny Muchomor. – To jeszcze nie ta pora roku, by dawali się łatwo zamykać w celach.

– Może przezorny? – zażartował kapitan. Inni zaczęli się śmiać.

Johan wiedział, że musi się jakoś wyłgać.

– Panowie, gdybym chciał dać się zamknąć, to rzuciłbym się z pięściami na któregoś z was. Szybko dostałbym po łbie i obudził się w celi, prawda? – zapytał.

– Nie jest głupi – zasugerował jeden ze strażników. – Może sobie żarty stroi? Lub komuś pomaga?

– Możliwe – zastanawiał się dowódca. – Po co Front miałby dobijać się do naszych piwnic? Tego nie wiem. No ale pośmialiśmy się, a teraz sprawdzimy.

Wyznaczył dwie osoby, by im towarzyszyli, reszcie kazał zająć się innymi sprawami.

– Weźcie pochodnię, nie jestem elfem.

– Żebracy to teraz nachalni. – Muchomor się skrzywił.

– Idźcie we czterech. Jak coś będzie kombinował, nie cackajcie się – rozkazał kapitan.

Nie budziło to niczych zastrzeżeń. Neofita mógł wreszcie zrobić dokładnie to, co do niego należało. Szli, gdy nagle odwrócił się, wyrwał pochodnię strażnikowi i przyłożył do swoich szat. Chwilę później nastąpiła eksplozja. Pierwsza. Niezbyt imponująca, ale wystarczająca, by zasiać spustoszenie w koszarach.

## **Trup**

Większość izby została zdemolowana, a półogr nie mógł się już doczekać rzezi.

– Wstawaj! Jełop! – wybełkotał Johan Duży. – Robota je! Mordować, leniu! Mordować trza!

Mimo że słyszał go doskonale, krasnolud nie mógł się podnieść. Leżał w zbroi na posłaniu.

– Spał w żelastwie! – rzucił półogr. – Pierdolony!

Rogar nie odpowiedział. Czuł jak drży ręka mu. Tylko tego mu teraz brakowało. Już kilkakrotnie rano nie potrafił nawet się ubrać. To był jeden z dwóch powodów, dla których w ogóle nie ściągał zbroi od prawie dwóch lat. Wiedział, że to idiotyczne, ale nic lepszego nie wymyślił.

Drugą z przyczyn była jeszcze bardziej przerażająca. Jego ciało zżerał nowotwór, a guzów wciąż przybywało. Nie wyglądał dobrze, więc inni go unikali, bojąc się zarażenia. Krasnolud wiedział, że nic im nie grozi, zresztą podobnie mówili uzdrowiciele z świątyni, ale lęk i głupota ludu przeważnie brały górę nad logiką.

Na nic zdążyli się modły i ofiary. W świątyniach przedłużali mu życie o kilka miesięcy, ale nawroty wyglądały coraz gorzej. Rogar walczył z wrogami, z którymi nie potrafił się mierzyć – ze starością, słabością i chorobą. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że przegrywa. W czasie bitwy, gdy czuł skok adrenaliny, wciąż był w stanie wywijać toporem, ale normalnie wszelki ruch wiązał się ze sporym wysiłkiem. Każdego dnia coraz większym. Tak jak teraz. Nie mógł nawet wstać.

– Jeszcze chwilę – wymamrotał.

Znów myślał o tym, co skłoniło go, by dołączyć do Frontu. Śmierć. Chciał umrzeć, ale nie jako nikt, o nie. Pragnął zostać zabity w walce. Paść z wycieńczenia. Dać się przeszyć mieczem lub naszpikować strzałami. W boju, gdy wpadał w szal, zapominał o śmierci. Tylko wtedy naprawdę czuł, że żyje.

Z całego serca bał się chwili, w której i to będzie już tylko wspomnieniem. Front do misji potrzebował osób gotowych do poświęcenia. Zapytał wtedy, jakie ma szanse na przeżycie. Gdy usłyszał, że żadne, wiedział, że to zadanie dla niego. Dokładnie tego potrzebował. Starcia, w którym da z siebie wszystko i polegnie, zwyciężając chorobę. Zabijanie postronnych przestało go w ogóle obchodzić. Kiedyś był inny, zbuntowałby się. Ale teraz, gdy wiedział, jak blisko jest śmierć, stracił wszelkie uczucia wobec bliźnich. Sprawa fanatycznych Zigmarian i ich waśni z Rassarami zupełnie go nie interesowała. Rozgoryczony, szukający swego końca, czuł radość, mając nadzieję na wymarzony tryumf.

– Kiedy wstanie? Krasnojelop? Nasrać pomoże? Na twarz może! – wrzeszczał półogr. Był dziś wyjątkowo wygadany, z pewnością cieszył się myślą, że już niedługo będzie mógł bezkarnie mordować. – Krasnojelop... go mać! Leniwy! Spaślak!

Rogar uśmiechnął się tylko.

– Srał?

Krasnolud nie reagował. Przez chwilę sam miał wątpliwość. Zdarzało mu się już nie trzymać moczu. Wściekał się na samego siebie, ale też cieszył w głębi ducha. Jego czas był bliski.

Minęło kilka chwil, nim stanął na nogi. Nie był już tak bezradny.



– W żelastwie śpi... Idiota to – ciągnął półogr.

Po śniadaniu poszli na targ. Usiedli na schodach prowadzących na szczyt muru, tak, by nie irytować strażników. Obserwowali miejską codzienność. Kowal wykuwał podkowy, przekrzykujące się przekupki zachwalały towary, zaś przy straganach kręcili się potencjalni klienci i doliniarze szukający okazji. Poobserwował ich chwilę, później zaś odwrócił wzrok.

Zauważył też osoby cierpiące na zatrucia. W tej części Schiverheim jednak nie było ich zbyt wiele. Pewnie jeszcze nie zdążyli nabrać świeżej wody albo nałapali deszczówki w nocy. Najważniejsze, że strażnicy mieli sporo do zrobienia. Biegali w różne strony, czasem przenosząc jakieś ciała. Nie zwracali uwagi na targowisko. Gorzej, kiedy ktoś zaczął tracić siły między kramami, a to coś przewrócił albo zapaskudził krwią. Potem padali na ziemię. Niektórych ciał nie wynoszono, tylko skopywano gdzieś na bok. Chaos powoli narastał.

W końcu dwaj przyszli zamachowcy usłyszeli wybuch.

– Pora na nas – rzucił krasnolud. Podniósł swój topór i podszedł do najbliższego straganu.

– Podać coś? – zapytała kobieta. – Może świeże jabłuszko?

Rogar po prostu zamachnął się toporem i wbił go w głowę przekupki. Ktoś zaczął krzyczeć.

– Co się stało? O co poszło? – dopytywał się jeden kupiec. – Znów bójka?

Jedni odwracali się, uważnie rozglądając, inni wciąż jeszcze zajmowali się swoimi sprawami. Dopiero po trzeciej zabitej przekupce na targu rozległy się wrzaski i zapanował istny zamęt. Obecni na targowisku wpadali w panikę, próbując ucieczki, jakieś kurczaki wyskoczyły z klatki. Kosze spadały na ziemię, kilka kramów przewrócono. Wszyscy starali się oddalić pośpiesznie od krasnoluda, hałasując przy tym, jakby to mogło w czymś pomóc.

Nikt nie zwracał uwagi na półogra.

Johan Duży podszedł do jednej kobiety i wyrwał jej niemowlę z rąk.

– Oddawaj mojego synka! Oddaj Elana! – wydarła się.

Półogr zgniótł mu główkę, a zakrwawione zwłoki rzucił zrozpaczonej matce.

– Elan! – wydzierala się. – Zabił Elana!

Kopnął ją tylko z całej siły i zabrał się za mordowanie kolejnych przechodniów. Po dwóch przypadkowych ofiarach wrócił do zrozpaczonej kobiety. Złapał ją za nogi, zamachnął się i roztrzaskał jej głowę o bruk.

Krasnolud w tym czasie zdążył już ubić pięć osób. W końcu dostrzegł w oddali strażników uzbrojonych w arkebuzy. Zaśmiał się triumfalnie. Zamachnął się toporem i kryjącemu się pod kramem mężczyźnie odrąbał rękę. Kupiec uciekł, wrzeszcząc i zraszając wszystkich dookoła jasną krwią.

Krasnolud spojrział na szalejącego półogra. Teraz wiedział, że warto było wspierać Front.

## **Zdrajca**

Strauss został przywódcą grupy nie tylko ze względu na staż w Froncie, ale przede wszystkim na wojskowe doświadczenie. Nigdy nie ukrywał, że przez lata służył w wojsku Rassarów. Zdezerterował. Zmienił stronę. Swojej lojalności względem obozu dowiódł nie raz. Pytany o to, czemu stanął po ich stronie, mówił wprost: zemsta.

Jego rodzina zginęła w walce z Frontem – o tym już nie wspominał. Zresztą nikt nie wnikał w szczegóły.

Jako jedyny wjechał do miasta na koniu, z mieczem u boku.

– Mam nadzieję, że dotarłem na czas! – zawołał do strażników. – Musicie zakazać picia wody z ujęć! Frontyści planują je zatruć! To ważne!

Strażnicy popatrzyli na niego zdziwieni i znużeni jednocześnie.

– Woda już została zatruta. Wszyscy o tym wiedzą.

– Kurwa mać... – Strauss udawał wściekłego. – Mam list uwierzytelniający. – Podał im pomięty świstek. – Przekażcie go dowództwu, do rąk własnych.

Nie mógł sobie lepiej wymarzyć czasu przyjazdu. Akurat w tamtej chwili nastąpił wybuch w koszarach.

Strażnicy pobledli.

– Mówilem, kurwa, mówiłem! – irytował się Strauss. – Spóźniłem się, ale jeszcze nie wszystko stracone. Przekażcie dokumenty dowódcom! Ja spróbuję rozemnać w sytuacji. – Zsiadł z konia. – Możecie go gdzieś przetrzymać?

Przytaknęli.

– Kim pan jest? – zapytał niepewnie jeden ze strażników.

– Kim ja jestem? Ja jestem spóźniony – rzucił nerwowo. – Wyprowadźcie z miasta tyłu, ilu się da!

Nawet nie próbowali go zavrócić. Jeśli zaczną wypełniać jego polecenia, w Schiverheim zapanuje jeszcze większy chaos.

Dalej już nikt go nie zatrzymywał. Dotarł na umówione miejsce, gdzie czekali na niego Lutfryd i Folkman.

– Znalazłem przejście – rzucił szybko dawny herszt.

– Pan nam sprzyja! – Kapłan się uśmiechnął, z radością wznosząc dłonie ku niebu.

Ruszyli za Lutfrydem. Mijali uciekające kobiety, wrzeszczące coś o szaleńcach na targu, widzieli agonię zatrutych. W końcu przedostali się do wąskiej wyrwy w murze. Elfy musiały zostawić ją jako drogę ucieczki. Lutfryd miał najmniejszy problem z wejściem do środka, natomiast Folkmanowi sprawiło to sporo trudności.

Zaczęli schodzić trzymając w rękach wcześniej przygotowane olejowe lampy. Czasem zatrzymywali się, czekając w ukryciu na zbliżających się strażników. Lutfryd zabił dwóch. Doświadczenie skrytobójcy wciąż dawało mu przewagę nad królewskimi.

– Dalej musicie iść sami – polecił. – Będę zabezpieczać tyły.

Dokładnie taki był plan.

– Niech pan przyjmie cię w swoim królestwie. Oby jeszcze dziś – pobłogosławił go Folkman.

Strauss skinął głową i ruszył pierwszy. Po dłuższej chwili dotarli do żeliwnej bramy.

– Pan ma nas w swojej opiece – tłumaczył Folkman, otwierając wrota. W środku panowała ciemność.

– Ciemno jak w dupie. Nic dziwnego, że tym cholernym elfom było tu tak dobrze – mruknął pod nosem Strauss.

Zapalił lampę i weszli do środka. Dotarli do arsenału, który królewscy dopiero próbowali przejąć. Znajdowało się tu wiele karabinów i pistoletów. Choć miały prawie dwieście lat, wciąż były bardziej zaawansowane i niezawodne niż najnowsze arkebuzy czy rusznice. No i, co najważniejsze, znaleźli tu także skrzynie wypełnione materiałami wybuchowymi, dynamitem i bombami.

– Prawdziwy arsenał – zadumał się Strauss. – Czasem dziwię się, jak elfy mogły przegrać tę wojnę.

– Bogowie pomogli – przypomniał Folkman. – To był cud!

– Cudem jest to, co tu znaleźliśmy.

– Mówiłem, że pan ma nas w swojej opiece.

– Zostaje tylko to podpalić – zauważył wojskowy, kładąc lampę przy skrzyni. – Wystarczy ją popchnąć i...

– Świetny pomysł, ale musimy się zabezpieczyć. Odejdę na pewną odległość i dam ci znać. Wtedy pchniesz lampę... Jeśli nie zapali skrzyń, wrócę i dokończę boże dzieło. A jeśli wszystko się uda... I tak zginę.

Folkman odwrócił się. Strauss, nie tracąc czasu, dobył miecza i wbił go kompanowi w plecy. To nie był śmiertelny cios, o nie. Mężczyzna chciał, by starzec padł na ziemię i umierał powoli, nie mogąc nic zrobić.

– Co u... – Kapłan nie potrafił zrozumieć, co właśnie się stało. Nie rozumiał, że ktoś mógł go zdradzić. Był bardziej zdziwiony niż wściekły.

Strauss ukrywał prawdę przez wiele lat. Owszem, był rozczarowany panowaniem Rassarów, rozgoryczony z powodu niemocy armii. Ale to nie oni zabili mu rodzinę, lecz Front.

Musiał wiele poświęcić, by dociec prawdy, jednak w wojsku nikt nie chciał go słuchać. Król Pnerb uznał, że wieloletnia walka z Frontem nie przynosi rezultatów, więc spróbował się na nich otworzyć. Niczego tym nie osiągnął, uznali go jedynie za słabego.

Strauss pragnął ukarać winnych, zadać Frontowi taki cios, by cała organizacja została ugodzona. Nade wszystko chciał dopaść Folkmana. Nie miał zamiaru go zabijać, a przynajmniej nie od razu. Wpierw myślał

o tym, by go schwytać i trzymać w jakiejś piwnicy. Dzień w dzień łącać kolejne kości. Ale z czasem uznał, że lepiej będzie go skrzywdzić, pozwalając mu obserwować, jak niweczy się jego dzieło.

– Coś ty zrobił... – wyszeptał leżący Folkman.

– Zmiana planów.

Strauss znał wielu Zigmarian, nawet takich, którzy twierdzili, że ich bóg umarł, jeśli w ogóle istniał. W ten sposób dowiedział się, że Zigmar nigdy nie odpowiadał, nikomu. Jego kapłani musieli korzystać z magii, by móc czynić cuda. Nie mieli charyzmatów takich jak wyznawcy innych bóstw. Dla Straussa byli zwykłymi, fanatycznymi oszustami lub oportunistami.

Stanął nad Folkmanem i odrębał mu ręce i nogi, rozkoszując się wrzaskami bólu.

Podszedł do lampy. Zamierzał ją zgasić, a potem położyć przed umierającym kapłanem.

– Rzuć to! – krzyknął strażnik. – Zostaw to! Ręce do góry!

Nie powinno tu być straży. Musieli natknąć się na Lutfryda.

– Jeśli tego nie...

Nie dokończył, bo bełty wbiły się w jego pierś. Strauss upadł, zaś na twarzy Folkmana jakby pojawił się pośmiertny uśmiech. Lampa upadła wprost do jednej ze skrzyń.

– Zigmar was wykończy! Zigmar was wykończy! – wrzeszczał szaleńczo.

Dopiero wtedy zrozumieli.

Zginęli od razu, gdy wybuchła skrzynia. Potem zaczęły eksplodować kolejne.

Schiverheim się zawaliło. Herszt Uwe i jego doradcy polegli pod gruzami.

Wielu zginęło tego dnia, inni zaś opowiadali różne wersje tych zdarzeń. Waśń między zwolennikami Rassarów i Frontu rozgorzała na dobre, by z czasem przerodzić się w otwartą wojnę.

## **Łukasz Trykowski**

Wrocławianin, rocznik 1979. Zawodowo wykorzystuje informatykę w bankowości. Prywatnie fanatyk „Gwiezdných Wojen”, które są jego przekrojową pasją, łączącą film, fantastykę i podróżowanie. Od lat związany z Bastionem Polskich Fanów Star Wars (<http://www.star-wars.pl>). Z żoną prowadzi też blog Filmowe Szlaki (<http://www.filmowe-szlaki.pl>). Ze zwierząt lubi gady, więc ma żółwia. Literacko debiutował w antologii konkursowej „Dobro złem czyn” wydawnictwa Genius Creations, gdzie zajął trzecie miejsce. Dobra passa konkursowa zaowocowała wyróżnieniem w antologii „Poznań Fantastyczny. Droga wolna”. Zaś opowiadanie w tych samych (sur-)realiach, co to poznańskie, pojawiło się w „Świecie ebooków”. Kto wie, może wyjdzie z tego coś więcej.

# DZIEWCZYNA Z CHLEBEM

Michał Studniarek

Czarek próbował zrozumieć, dlaczego dał się w to wrobić. Zapewne dlatego, że od urodzenia był miły, grzeczny i nikomu nie odmawiał pomocy. No, może jeszcze dlatego, że panowała wiosna, słońeczko pięknie świeciło, drzewa kwitły, a dziewczyna ładna. Miała sukienkę w kropki i do tego oryginalną fryzurę zrobioną na *vintage*. Widział takie panny w „Wojennych dziewczynach”, kiedy wpadł z wizytą do rodziców. Z rąk wyleciały jej wszystkie bochenki chleba. Pomógł pozbierać, by przy okazji zagadać:

- Strasznie to nieporęczne.
- Dziękuję. Pomoże mi je pan zanieść?

*Jasne, że pomogę, tak pięknej kobiecie się nie odmawia!*

Dziwne były te bochenki, takie duże i zupełnie nie jak ze sklepu. Staromodne, pewnie będą nimi częstować na evencie. Ale gdzie ten ma się odbyć? Prosiła, aby Czarek przyniósł je tutaj, chociaż za cholerę nie widział w okolicy żadnego biurowca, kawiarni ani w ogóle jakiegokolwiek pasującego miejsca. Wokół same bloki starsze od niego, szare i bez wyrazu.

Odłożył bochenki na najbliższą ławkę i sięgnął do kieszeni po smartfona. Minęła chwila, nim znalazł mapę okolicy, i...

*Cholera, takiego numeru w ogóle tu nie ma.*

Dla pewności sprawdził jeszcze raz.

*No pięknie, co teraz? Przerwa się skończy, robota czeka, zaraz będą dzwonić, gdzie się podziewam...*

Rozglądał się dookoła, mając nadzieję, że zobaczy dziewczynę, ale oczywiście nigdzie jej nie było. Prawa Murphy'ego wiecznie żywe – żaden dobry uczynek nie ujdzie bezkarnie. Tyle lat już przepracował i jeszcze nie oduczył się wyrywać z pomaganiem innym?

*Uprzejmości mi się, cholera, zachciało* – pomyślał, kręcąc się w miejscu. Nie wiedział, gdzie jest ten dom. Przechodząca pani z pieskiem też nie wiedziała. Pewnie dziewczyna się pomyliła, ale o który numer chodziło? Może poszła już na miejsce?

Podrapał się po głowie. Nie mógł przecież tych chlebów po prostu zostawić. Może zadzwoni do kogoś, uprzedzi, że się spóźni? Ostatnio szef czepiał się Jacka, że ten za długo czekał w knajpie na obiad.

*Szkoda, że nie palę* – pomyślał z ironią. *Dwa sztachnięcia i panienska zaraz by się pojawiła. Na autobusy to działa.*

Zdecydował, że rzuca to wszystko i wraca. Odwrócił się i zobaczył jasnowłosego dzieciaka. Miał może dwanaście lat i był ubrany w strój z epoki, tak jak tamta dziewczyna: koszula, krótkie spodnie z szelkami, ciemne buty i skarpetki zsunięte do kostek. Czarek odetchnął głęboko.

– Nareszcie! Jesteś z tej imprezy?

Chłopak nie odpowiedział – tylko patrzył to na niego, to na chleby. Wzrok miał taki, że Czarkowi po plecach przebiegły ciarki. W oczach dzieciaka były błaganie, prośba i coś jeszcze, jakby... głód? Ogromny, dojmujący głód.

– Jesteś z tą dziewczyną, tak? – spytał już mniej pewnie. Zrobił krok, a chłopak się cofnął. Może głuchoniemy albo z autyzmem? Tego jeszcze brakowało – jak się z takim dogadać?

Jednym szybkim ruchem dzieciak porwał leżący najbliżej bochenek. Ale Czarek też miał refleks, i to nie tylko do wyłapywania okazji na giełdzie.

– No nie... – stęknął, usiłując odzyskać chleb i czując narastające zażenowanie.



Sytuacja robiła się coraz bardziej absurdalna – zaraz zbiegną się ludzie i będzie trzeba wszystko tłumaczyć. Młody walczył z zaciętością i siłą, jakiej się po nim nie można było spodziewać, w oczach miał narastającą panikę. Czarkowi przemknęło przez głowę, by odpuścić, niech sobie bierze te chleby. W tym momencie jego palce przypadkiem przesunęły się po brązowej skórcie bochenka i zetknęły z dłonią dziecka.

– Tomek, zostaw to!

Chłopak odskoczył. Czarek spojrzął za siebie i odetchnął z ulgą.

Dziewczyna podeszła do ławki i pospiesznie zebrała leżące bochenki.

– Gdzie to właściwie niesiesz? Nigdzie nie znalazłem adresu.

– No jak to, przecież to tutaj – odpowiedziała, wskazując brodą kierunek.

Czarek popatrzył w tamtą stronę i zaniemówił. Przed chwilą był tam ciąg garaży, zaś teraz zastąpił je szary, piętrowy dom o spadzistym, krytym dachówkami dachu, w którym ziała ogromna dziura. Dookoła na jezdni i chodniku walał się gruz, szkło, kawałki wyrwanych framug, mniejsze lub większe fragmenty mebli. Najbardziej zdziwiła jednak Czarka przekrzywiona tabliczka przy bramie – numer, który podała mu dziewczyna. Szła teraz w stronę na wprost otwartej bramy i czekających w niej ludzi. Kiedy ją zobaczyli, wyraźnie się ożywili, rozległy się głosy ulgi i radości. Niesione przez nią chleby porwano w kilka sekund z łapczywością, jakiej Czarek nie widział nigdy wcześniej. To nie była tylko atrakcyjna wyprzedaż w dyskoncie. Drżące ręce unoszące kawałki pieczywa niczym najcenniejszą rzecz na świecie, przedmiot na wagę złota.

*Co tu się dzieje, do diabła?*

– To głód – powiedział nagle ktoś obok, przerażając go śmiertelnie. Mężczyzna w koszuli z podwiniętymi rękawami spokojnie dopalał papierosa. Był starszy, włosy miał zwichrzone. Nie wyglądał na rekonstruktora.

– Nic tak nie dodaje apetytu jak głód.

Przydeptał papierosa, zawołał: „Mania, zostaw coś dla mnie!” i pobiegł w stronę bramy. Czarek spojrzął na asfalt, gdzie powinien leżeć niedopałek, i przestał cokolwiek rozumieć.

Otoczona przez mieszkańców dziewczyna rozłożyła bezradnie ręce. Powiedziała coś, czego nie usłyszał, odwróciła się i ruszyła w jego stronę.

- Co tu się stało? - spytał ją.

- Bomba spadła, na szczęście ludzie siedzieli w piwnicy - odpowiedziała krótko, otrzepując ręce.

- Jak to?

Spojrzała na niego jak na wariata.

- Jest wojna... jeśli wciąż nie zauważylesz. Codziennie bombardują. Dobrze, że to nie była „krowa”.

Czarek zamrugał.

- Przecież wojna dawno się skończyła! Co to jest, rekonstrukcja, *happening?! Flash mob?!*

- Co?

Czarek rozejrzał się dookoła. Ulica wyglądała, jakby ktoś uruchomił program do obróbki zdjęć i zaczął bawić się w nakładanie na siebie fotografii, usiłując połączyć archiwalne kadry ze współczesnymi. Stare budynki stykały się i przeplatały z nowymi, jak zachodzące na siebie konary drzew. Tu nowy blok, a obok stary płot z desek, tutaj śmietnik z pustaków, a tam kamienica o podziurawionej przez kule fasadzie. A tamten dom... nie, akurat on ocalał. Także na podwórku między blokami i ulicą pojawiło się więcej ludzi. Słońce pięknie świeciło, jeździły samochody, autobusy i tramwaje, przechodnie ganiłi za swoimi sprawami. Jedni ubrani normalnie, inni... po dawnemu. Panie z włosami upiętymi w koki lub owiniętymi chustką, ubrane w sukienki jak ze starych fotografii i pantofle na korku albo nawet ciepłe trzewiki, panowie w szerokich spodniach, koszulach, marynarkach z nietypową klapą, kapeluszach, cyklistówkach... Żadnych żakietów, szpilek, szortów czy T-shirtów, tatuaży ani wypięęgnowanych bród.

*Dziwne, ale oni są tacy... całkiem zwyczajni - zauważył Czarek. Ot, przeciętni mieszkańcy, jacy tu mogli żyć... w czasie wojny.*

Spacerowali, przystawali, rozmawiali ze sobą, oglądając nowoczesną architekturę, jakby byli na wycieczce. Niektórzy przysiedli w ogródku

kawiarenki mieszczącej się w parterowym pawilonie. Czarek gapił się na to wszystko, usiłując zrozumieć, co się dzieje.

*Duchy?*

– Słuchaj, nie mam czasu tak stać, chleba zabrakło, muszę przynieść resztę. Chodź, pomożesz mi.

Chciał zaprotestować, że spieszy się do pracy, ale w jej głosie było coś takiego, że zamknął usta.

– Tu obok jest sklep...

– Lepiej niech najpierw odlecą.

– Odlecą? – Czarek zamrugał już całkiem skołowany. – Jak to, chwileczkę... Na miłość boską, mówiłem ci przecież, odlecieli już siedemdziesiąt lat temu! Wojna dawno się skończyła!

Dziewczyna pokręciła głowę.

– Jest wojna. Powstanie. Zawsze jest wojna.

Szedł koło niej w milczeniu, usiłując zrozumieć. „Zawsze jest wojna...” – czyżby czas się zapętlił?

*Nie, to nie na moją głowę!*

Zatrzymał się.

– Wojna się skończyła, zrozum to – powiedział powoli. – Teraz chleb kupuje się w sklepach.

Popatrzyła mu prosto w oczy, a on miał wrażenie, że spada w jakąś otchłań.

– Dla nas wojna nigdy się nie skończy. Zrozum to – powiedziała dobitnie. Minęła go i ruszyła dalej. Czarek podążył za nią. W ten sposób chyba się z nią nie dogada.

– Słuchaj, jak to się w ogóle stało, że cię widzę?

– Bo zwróciłeś uwagę na to, że mi się chleb rozsypał – odparła, jakby to była oczywistość. – Swoją drogą... zapomniałam ci podziękować.

– Nie ma za co... – odparł odruchowo. Przez chwilę zastanawiał się, czy zadać następne pytanie: – Słuchaj... Jak to właściwie jest w tym powstaniu?

Teraz to dziewczyna milczała przez chwilę.

– Ciężko... Nasi trzymają Niemców dwa kwartały dalej, walczą, ale ciężko jest... Siedzimy po piwnicach, bo ciągle jak nie nalot, to ostrzał... Człowiek nie jest pewien dnia ani godziny. Z jedzeniem ciężko... Marzy mi się pomidorowa.

– I cały czas siedzicie w tych piwnicach?

Niespodziewanie dziewczyna uśmiechnęła się lekko.

– Zasadniczo zarządca tak mówi... ale to strasznie nudne. Ile można? Wolę iść na górę, kwiaty podlać, kurze zetrzeć, usiąść w fotelu, poczytać jak człowiek.

Czarek uświadomił sobie nagle, że tak naprawdę rozmawia z rówieśnicą swojej babci. Zaciekawiała go coraz bardziej, otwierała drzwi do dawno minionej przeszłości. Czy dlatego, że była taka młoda?

– Słuchaj, a co się teraz tańczy, jakieś fokstroty? – To była jedyna nazwa, jaką sobie przypomniał.

Dziewczyna spojrzała na niego jak na wariata.

– Tu niedaleko podają dobrą pomidorową.

Cisza.

*No tak, duchy przecież nie jedzą.*

– Masz jakiegoś ulubionego pisarza?

Dziewczyna westchnęła zniecierpliwiona.

– Jak możesz mnie o to pytać? Jest wojna, ludzie giną! Nie czas na fokstroty.

*No teraz to już przegięła z tą powagą – pomyślał Czarek. Obraziła się czy co?*

Nigdy nie umiał za bardzo ogarniać takich spraw. Westchnął z irytacją, zastanawiając się, co robić. Może spytać o coś bardziej neutralnego, ale o co? Jej się chyba wszystko kojarzy z jednym.

*Dobrze, załóżmy, że to pętla czasu – pomyślał powoli. Musiał pójść za dziewczyną i zobaczyć, co z tego wyniknie. Może wtedy zdoła coś zrozumieć.*

Szli w stronę przejścia dla pieszych, kiedy jego uwagę przyciągnęła rozglądająca się bezradnie dziewczynka, może dziesięcioletnia,

w wiosennym, czerwonym płaszczyku. Zdziwiło go, że w ten upał nie jest jej za gorąco.

– Idę do mamy. Gdzie jest mój dom? Pani wie?

– Tam, ale to daleko. – Dziewczyna wskazała kierunek w stronę centrum. – Najlepiej spróbuj znaleźć tramwaj, jedź trzy przystanki i poszukaj kamienicy z koszem kwiatów wyrzeźbionym nad bramą.

Dziecko podziękowało i odeszło we wskazaną stronę.

– Nigdy tam nie dotrze – powiedziała dziewczyna. – Przychodzi już od tylu lat...

– Naprawdę?

– Kiedy wrócimy, znowu tutaj będzie. Sam zobaczysz.

Ludzie z przeszłości kręcili się tu i tam niczym puszczone luzem wycieczka. Czarkowi nieustannie towarzyszyło dziwne uczucie. Ciarki? Niepokój? Jak wtedy, gdy wiadomo, że szef krąży po sali i może właśnie kontrolować, co robisz.

Niespodziewanie usłyszał za plecami pełne zdziwienia i niedowierzania pytanie:

– Romek, to ty?

Odwrócił się, aby spojrzeć w oczy młodej kobiecie o elegancko pofalowanych włosach. Dostrzegła swoją pomyłkę, bo przysłoniła usta dłonią.

– Boże, pan nas widzi! Przepraszam! Taki pan podobny do mojego męża, a ja – zaczęła walczyć z płaczem – nie mam od niego żadnych wiadomości...

Czarek jęknął w duchu – zupełnie nie wiedział, co robić. Najchętniej by uciekł, ale mimo to stał, usiłując jakoś odpowiedzieć tej nieszczęsnej kobiecie. Zerknął, czy nie mógłby zawołać towarzyszącej mu dziewczyny na pomoc, ale ta była za daleko.

– Jeśli go pan zobaczy, niech mu pan powie, że znajdzie nas na Smoczej, pod dziesiątką...

„*Złączona miłość, złączona miłość / Leży w tym grobie*” – przypomniła mu się stara piosenka.

Światło się zmieniło, a kobieta odeszła, by dalej szukać męża.

Czarek przeszedł przez jezdnię, a kilka metrów dalej dziewczyna nagle zatrzymała go gwałtownym gestem.

– Uważaj, gdzie stawiasz nogi.

Czarek rozejrzał się i nie zauważył niczego – no, może poza tym, że kostka brukowa nie zdążyła się jeszcze w tym miejscu pofalować.

*O co chodzi, na co tu trzeba uważać?*

Niczego nie widział... ale chyba nie ostrzegałaby go bez przyczyny? Miał przemykać pod ścianami? Nie no, co za głupota.

Wziął głęboki oddech i zrobił następny krok.

Ulica, ludzie, domy – wszystko zniknęło. Znalazł się w zupełnej ciemności i poczuł, że ktoś go ciągnie za rękaw.

– Ratunku, ludzie, pomóżcie! – wymamrotał nieprzytomnie niski facecik z łysinką, cały utyłany w tynku i ceglany masy. – Żonę zasypało, pomoże pan...?

Przestraszony Czarek próbował go ominąć, lecz z mroku nagle wyłoniła się kobieta z niemowlęciem na ręku. Patrzyła na niego z rozpaczą i bezradnością.

– Pomóż mi! Czym mam nakarmić moje dziecko?!

– Wygnali nas, dom spalony, męża, syna zabili! – krzyknęła za jego plecami inna, przyciskając do siebie zakrwawioną męską koszulę.

– Brat zaginął... – łkała dziewczyna w jasnej sukience modnej przed kilkudziesięciu laty, rozmazując łzy po zabrudzonej pyłem twarzy. – Wszędzie go szukam...

*Jeżu, ale jak... – pomyślał zaskoczony, obracając się. Ludzie, czego wy chcecie, co tu się dzieje?! Jak mam wam wszystkim pomóc?!*

– Pomóż! Pomóż! POMÓŻ!

Wzdrygnął się, szarpnął i stracił równowagę. Zatoczył się w bok, oparł o ścianę pawilonu. Otworzył oczy; dziewczyna stała obok, uśmiechając się ironicznie.

– Co... Co to było?!

– Mówiłam, żebyś uważał. Tutaj spadła bomba, zabiła wielu ludzi. Do tej pory nie mogą się pogodzić z tym, że nie żyją. Ciągłe potrzebują pomocy.

*Nieosiżliwe, nieosiżliwe, nieosiżliwe!* – pomyślał z rezygnacją. *Nie da się wszystkim pomóc!*

Poszedł za nieznanomą.

*Znam to* – pomyślał. *Te stare historie dziadków, ciągle te same. Ten zginął, tamtego rano, ktoś stracił dom, ktoś męża...*

Nagle zobaczył coś wstrząsającego. Stał przy skraju chodnika i patrzył na ciągnący się przed nim rząd mogił usypanych z piasku. Na niektórych stały krzyże zbite z jakichś kawałków desek lub okiennych ram z wypisanym nazwiskiem albo pseudonimem.

– Tak jest wszędzie – powiedziała dziewczyna. – Nigdzie nie ma już miejsca. Tylko trupów coraz więcej.

No tak, tego się należało spodziewać. Postął jeszcze chwilę, aby odzyskać choć odrobinę równowagi i zrobił parę głębokich wdechów. Teraz już wiedział, dlaczego należy patrzeć pod nogi.

Obszedł groby szerokim łukiem, wstrzymując oddech i z bijącym sercem czekając na to, co jeszcze może się wydarzyć. Na jednej z mogił dostrzegł czerwoną pelargonię w glinianej doniczce, na innej – ogarek. Minął je i czym prędzej ruszył za dziewczyną. Uważnie przyglądał się przechodniom, czy przypadkiem oni też nie będą czegoś chcieli. Nic się takiego nie stało, ale zaczął wylapywać urywki ich rozmów.

– I popatrz – jakiś mężczyzna westchnął filozoficznie do swojej towarzyski na widok przechodzącej kobiety – taka panusia dociągnie do późnej starości. Już w tej chwili ma więcej lat, niż ja kiedykolwiek będę miał...

– Też bym chciała tyle żyć – mruknęła kobieta, odprowadzając przechodzącą wzrokiem.

Kilka metrów dalej minęli biurowiec Czarka; zobaczył tam starszego pana w muszce i marynarce, który w zachwycie podziwiał konstrukcję. Pałacy przy wejściu pracownicy w ogóle nie zwracali na niego uwagi.

– Niesamowite! Fantastyczne! Szklany dom, jak u Żeromskiego! Że też czegoś takiego nie doczekam!

Czarek zatrzymał się, by przepuścić jadącego ścieżką kuriera na rowerze; ledwo go minął, na drogę wytoczyła się dziwna piłka wyglądająca

jak zszyta z różnych kawałków skóry. Za nią biegł chłopiec w za dużych spodniach, prosto pod koła nadjeżdżającego kuriera. Czarek otworzył usta, lecz rowerzysta dosłownie przemknął przez chłopca. Dzieciak jak gdyby nigdy nic dobiegł do piłki i kopnął ją z powrotem.

– Ślepa komendo, dziecka nie widzisz?! – krzyknęła z wściekłością matka za kurierem. – Widzi pani?! Jakbyśmy w ogóle nie istnieli!

– Szacunku żadnego. – Starsza kobieta stojąca obok pokiwała głową. – I dlaczego tak? Bo mieliśmy pecha żyć wcześniej?

– E tam! – Spacerujący w pobliżu mężczyzna w garniturze i kapeluszu machnął ręką. – Po prostu dla nich nie istniejemy. I nie ma co się zastanawiać.

Jakby na potwierdzenie tych słów dwie przechodzące obok, najwyraźniej wracające ze szkoły nastolatki wybuchnęły radosnym śmiechem.

– Ja tu umarłam, a wy się śmiejecie – powiedziała ze smutkiem towarzyszka Czarka.

Skrzywił się.

– Nie przesadzasz trochę? Daj spokój, przecież trzeba żyć!

– Nie rozumiesz tego! Nie zrozumiesz, dopóki nie umrzesz! Ciekawe, czy wtedy będzie ci do śmiechu!

– To już zupełnie inny świat, wojna się skończyła.

– Dla nas nigdy się już nie skończy.

Dziewczyna poruszyła ustami, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale w końcu westchnęła zrezygnowana:

– Nie, tego się nie da...

Przez jakiś czas szła w milczeniu.

Z drugiej strony ulicy doleciał głośny, świdrujący uszy gwizd. Za dziewczyną ze słuchawkami na uszach szedł typowy chłopak z Pragi, ze zsuniętą na tył głowy czapką. Wołał coś, czego oczywiście nastolatka nie słyszała. Brak reakcji najwyraźniej irytował wyrostka coraz bardziej – kiedy dziewczyna zatrzymała się na czerwonym świetle, stanął przed nią i zamachał dłonią przed twarzą. Próbował złapać ją za ramię, uderzyć w plecy, lecz każdy cios po prostu przez nią przelatował.



- Ciesz się, ty żyjesz! - wykrzyczał jej w twarz z bólem i żalem. - A ja?! Ja?! A żeby was wszystkich...!

Nastolatka poszła dalej, nie zdając sobie sprawy z tego, co się w ogóle wydarzyło i pozostawiając rozwścieczonego apasza za sobą. Czarek uznał, że nie ma sensu się mieszać i spytał swoją przewodniczkę:

- Daleko jeszcze do tego chleba?

- Tutaj - odpowiedziała, wskazując na pusty, porośnięty trawą plac obok ogrodzenia parkingu.

Podeszła do siatki, schyliła się i podniosła dwie stare, połamane deski. Pod nimi Czarek zobaczył niknący w ciemności kawałek muru z popękanych cegieł i drewnianych szalunków.

Nagle zastanowił się, jak wielki musiał być stojący tu niegdyś budynek. Zajmował cały ten plac, może nawet wchodził na parking, stojąc w jednym szeregu z innymi? Przecież kilka takich domów widział prawie codziennie, jeżdżąc do pracy. Ile jeszcze zostało podobnych miejsc, które wciąż można rozpoznać?

Dziewczyna sięgnęła w ciemność i wyciągnęła z niej duży bochenek, który położyła na deskach; kolejny podała Czarkowi, nawet nie podnosząc głowy. Zaskoczony wziął go bez sprzeciwu.

- Czy to znaczy, że ty... tu leżysz?

- Tu zginęłam. Stałam w kolejce po chleb. Piekarnia mieściła się tam, gdzie ten murek.

- Przepraszam, ale...

- Tak?

Czarek przełknął ślinę.

- Możesz powiedzieć, jak to się dokładnie stało?

- Jak umarłam? To prawda, co mówią. Że bomby przeznaczonej dla ciebie nigdy nie usłyszysz. Staliśmy w tej kolejce, pierwsze wybuchy były gdzieś daleko, i nagle zrobiło się najpierw biało, chyba od tynku, a potem zupełnie ciemno. No i... jestem tutaj.

- Co z rodziną? Nie szukali cię?

- To właśnie moi bliscy czekają na ten chleb. - Dziewczyna podała mu jeszcze kilka bochenków, spoglądając w stronę kryjówki. - Ciągle im

go przynoszę, ale nie mogę donieść, bo ludzi ciągle jest tyłu... Boję się, że i tym razem nie wystarczy. – Westchnęła smutno.

*Nigdy nie wystarczy – pomyślał ponuro Czarek i nagle coś zrozumiał. To będzie trwało w nieskończoność, będzie się powtarzać, jak zapętlony kawałek filmu. Dziewczynka w płaszczyku, chłopak pod ścianą, matka z chłopcem... Wszyscy oni są jak wciąż powracające echa lub zapętlone nagranie. Też tu utknę?! Będę przez wieczność tak biegać po tej ulicy w tę i z powrotem?!*

Wrócił za dziewczyną, gorączkowo zastanawiając się, co robić.

*O co z tym wszystkim chodzi? Czemu oni zachowują się w taki sposób, dlaczego czepiają się ludzi, czego od nich chcą?*

Poczuł kolejny przypływ niepokoju, bo miał wrażenie, że wszystkie duchy patrzą na niego; a może tylko tak mu się zdawało? Na pewno mu się zdaje, przecież pomaganie jakiejś dziewczynie z przeszłości to norma, tak jak rozmowy ze zmarłymi, którzy mają pretensje do żywych.

Dlaczego on w ogóle to wszystko widzi? Bo zobaczył ją z tymi bochenkami? Ale dlaczego? Za co kopnął go taki zaszczyt? Czy to jest jakaś pieprzona tajemnica wszechświata?

Intensywnie próbował znaleźć odpowiedź, lecz w końcu się poddał. Zaraz jednak przyszły kolejne myśli:

*Czego oni chcą? Tu w każdym miejscu ktoś zginął, to miasto jest jak cmentarz... Tylko cisza, smutek, powaga, zaduma, łzy. Jak się w takim mieście umawiać na randkę, skoro śmiech jest nie na miejscu? Tak się nie da żyć! Tu się nie ma co zastanawiać, trzeba odnieść te chleby, pożegnać grzecznie i wiać.*

Tak jak mówiła dziewczyna, przy przejściu dla pieszych ponownie spotkali dziewczynkę w czerwonym płaszczyku. Tym razem próbowała zwrócić na siebie uwagę kobiety ze spacerowym wózkiem.

Doszli z powrotem pod zbombardowany dom – jego mieszkańcy już na nich czekali. Kiedy zobaczyli nadchodzących, wyraźnie się ożywili. Dziewczyna oddała im swoje chleby.

– Dziękuję – powiedziała, odbierając bochenki od Czarka.

Uśmiechnęła się tak, że chłopak był gotów wybaczyć jej to całe zamieszanie... nawet jeśli była z przeszłości. Wyglądała, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale się zawahała. Czarek kiwnął zachęcająco głową.

– Nazywam się Maria Czertycka, lubię Sienkiewicza i Samozwaniec, filmy z Rudolfem Valentino, zupełną pomidorową i tańczę tango – wyrecytowała gwałtownie, niemal z rozpaczą. – Proszę cię, pamiętaj o mnie.

Z początku zaniemówił zaskoczony, jednak zdołał się ogarnąć.

– Obiecuję – odpowiedział poważnie. Nieważne, czy mówił do ducha czy jakiegoś cienia przeszłości. Czuł, że jest to ważne. – Nie zapomnę cię, Mario.

Odwrócił się i wtedy zagadnął go przysypany mężczyzna, którego spotkał w tym miejscu na samym początku:

– Dlaczego nas nie zauważacie?

– Słucham? – Czarkowi żołądek podjechał do gardła.

– Moglibyście nas zauważyć – dodał mężczyzna spacerujący nieopodal z żoną. W jego głosie słychać było słabo maskowaną irytację. – Jesteśmy takimi samymi mieszkańcami jak wy, tylko żyliśmy nieco wcześniej. Ale to dla was typowe, leccie tylko do przodu i nie zauważacie niczego. Przeszłość w ogóle was nie interesuje.

– A to? – Czarek wskazał na pobliski dom. Podeszli do wmurowanej w ścianę szarej tablicy z charakterystycznym krzyżem.

– W tym miejscu hitlerowcy rozstrzelali dwadzieścia osób – przeczytał mężczyzna. – Nieprawda, nas tam było więcej!

– Zobacz, jednak pamiętaj o nas... – powiedziała kobieta, wskazując na stojące pod ścianą wypalone znicze.

– Akurat! Dlaczego nie ma świeżych kwiatów, wieńców, biało-czerwonej wstęgi? Tu się powinien ciągle palić znicz! Jakaś warta honorowa! To wszystko powinno tu cały czas być! A błąd trzeba poprawić. Gdzie można to zgłosić? Niech im pan to powie!

– Ale... – bąknął Czarek.

Zaczynał mieć dosyć tej sytuacji, tym bardziej że zauważył, jak zaczynają się przy nich zatrzymywać też inni ludzie z przeszłości. Podejrzał, w jaką stronę zmierza ta rozmowa, i wcale mu się to nie

podobało. Czuł przenikające go na wylot spojrzenie mężczyzny i miał wrażenie, że stoi nagi pośrodku ulicy, wystawiony na spojrzenia wszystkich.

– Dosyć tego! – wykrzyknął nagle ze złością, potrząsając głową, aby pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia. – Ludzie, oszaleliście?! Przecież pamiętamy o was!

– Pięknie – odparł mężczyzna ponuro – doprawdy, pięknie o nas pamiętacie. Od święta, dwa razy do roku i już, odklepane. Parę zebrań przy pomnikach, kilka słów, trochę wieńców i do domu! A tu przecież – rozłożył ręce, jakby chciał objąć nimi okolice – zginęło wielkie miasto! Ten chodnik był cały we krwi! Zasłany trupami! A wy... – uniósł rękę i oskarżycielsko wycelował palec w Czarka – nie chcecie o nas ani myśleć, ani słyszeć!

– Zaraz, to wcale nie tak... – zaprotestował słabo chłopak. Miał wrażenie, że atmosfera robi się coraz gęstsza, a biurowy instykt podpowiadał mu, że właśnie ktoś próbuje obciążyć go czymś, czego wcale nie był winny.

*Ale jak im to wytłumaczyć?*

– Niech pan pójdzie i powie, by o nas pamiętali... – poprosiła kobieta. – Bo my tu ciągle cierpimy!

Czarek popatrzył na nią smutno. Rozumiał ich, ale co niby miał z tym zrobić?

Atmosfera zgęstniała tak, że można ją było kroić nożem. Czarek przeczuwał, że zaraz stanie się coś strasznego. Lęk trzymał go za gardło, ścisnął serce, duszę, czy co tam miał w środku. Jakichkolwiek słów by nie użył, i tak do nich nie dotrze.

– Ludzie, dajcie mi spokój – jęknął. – Mam swoje życie, chcę żyć!

– A myślisz, że my nie chcieliśmy? – spytała smutno kobieta z dzieckiem. – Naszą zbrodnią było właśnie to, że chcieliśmy żyć!

– Powinniście to uszanować!

– Chodźcie sobie, gadacie, śmiejecie się, jakby tu się nic nie wydarzyło!

– Wiesz, jak to boli, kiedy odłamek rozcina brzuch i wrywa ci jelita?!

– Spadła na ciebie ściana?!

– Przestać się śmiać, rozmawiać, kochać i żyć z powodu tego, co was spotkało?! – krzyknął rozpaczliwie Czarek. – Przecież to miasto żyje! To chyba... To chyba zwycięstwo, nie?!

– Zwycięstwo?! – krzyknął mężczyzna. – Całe miasto w ruinie! Ludzie zabici! To ma być zwycięstwo?!

– Chodźcie po naszych grobach! Wasze dzieci bawią się naszymi kośćmi!

Niespodziewanie rozległ się huk, nad przystankiem autobusowym wyrosła szybko powiększająca się biała chmura. Zaraz potem Czarek z przerażeniem zobaczył, jak wali się ściana niskiego bloku naprzeciwko...

Nie, wszystko w porządku, to musiał być mur jakiegoś domu, który stał w tym miejscu wcześniej.

– Ostrzał! – krzyknął ktoś. Jednocześnie do Czarka dotarła pierwsza chmura pyłu i cały świat zniknął za szarą zasłoną.

Chłopak nie wytrzymał, obrócił się na pięcie i zaczął uciekać, wśród dymu i wywołanego ostrzałem zamieszania. Zdążył przebiec zaledwie kilkanaście metrów, kiedy rzucili się na niego zewsząd, wykrzykując swoje cierpienia jedno przez drugie, bombardując nimi ze wszystkich stron. Słowa, których nikt już nie wypowie, pytania, na które nie poznają już odpowiedzi, jęki strachu i bóleści, pojawiające się na ułamek sekundy obrazy. Potop wrażeń przelewał się przez umysł, wypełniał całego niczym woda. Wydawało mu się, że rozsadaż mózg. Czarek trzymał się za głowę, krzyczał, usiłując je z siebie wypchnąć, lecz słowa i obrazy płynęły i płynęły bez końca. Dojmujący smutek, ból, rozdarcie, lęk, lzy... Zgiął się, usiłował wykrzyzczyć z siebie to wszystko, aż w pewnym momencie ktoś zawołał:

– Dosyć!

Maria położyła mu dłoń na ramieniu.



Obudziło go szuranie miotły po asfalcie. Drgnął i otworzył oczy. Na ławce nie było żadnych chlebów, nie mówiąc o dziewczynach i chłopakach z grupy rekonstrukcyjnej. Tylko dozorczyńni zamiatała chodnik.

*Usnąłem?*

Przypomniał sobie, co widział, i aż się otrząsnął. Patrzył na podwórko, otaczające je bloki, wyłożone kostką ścieżki, wyschłe na wiór trawniki i powoli oswajał się z tym, co przeżył. Wspomnienia jak z koszmarnego snu, wciąż nękające skołowany mózg, mimo że człowiek już dawno się obudził. Gdzie podziały się domy, które widział? Ludzie? I ta dziewczyna, jak jego babcia za młodu, jak te wszystkie znane i nieznanne kobiety, które na swoich barkach niosły ciężar wojny... Czy to wszystko było prawdą? Chyba nie, ale tak bardzo realne jak na koszmar. Odetchnął głębiej kilka razy i miał wrażenie, że powietrze jest ciężkie, nasycone oparami przeszłości niczym smogiem. Ależ to wszystko było chore! Dobrze, że to tylko sen, prędzej czy później się z niego otrząśnie.

Patrzył chyba odrobinę za długo, gdyż kobieta przerwała zamiatanie i spytała:

– Wszystko w porządku? Pomóc jakoś?

Czarek otworzył usta, kilka razy usiłował coś powiedzieć, ale zrezygnował. W końcu westchnął i przetarł twarz dłońmi.

– Przepraszam, zasnąłem – mruknął w końcu niechętnie, czując się głupio z takim wyjaśnieniem. – I kogoś tu widziałem.

– Nie pan jeden. – Kobieta się roześmiała.

Serce Czarka zamarło.

– Pani też widziała takiego... no... dzieciaka? – wykrztusił w końcu.

– Ciągle tu kogoś widzę. – Kobieta podeszła bliżej. – Tu domy stały, jak w powstanie bomba spadła, ludzi w piwnicach zasypało. Może się potem jakiś otwór zrobił, może jak rury kopali, to coś znaleźli czy jak... Ale mają tę piwnicę naniesioną na planach, więc chyba ją omijają.

– I oni tam cały czas leżą? – spytał Czarek z niedowierzaniem.

– E tam, już dawno, zaraz po wojnie, wszyscy znaleźieni, wykopani i pochowani na Woli. Pełno takich miejsc w całej Warszawie. Siedzą w tych piwnicach, czasem im coś przyniosę, pogadam... Odkąd się tu z mężem sprowadziłam na nowe mieszkanie, to tak jest. Ta dziewczyna to ciągle im ten chleb niesie i donieść nie może. A oni ciągle tylko chcą chleba i chleba. Nigdy go nie starcza, wiecznie są głodni.

Czarek pokiwał głową. Mają tu pod nogami takie zasypane piwnice, niepogrzebanych ludzi, nieprzeżyte sprawy. I tak wszędzie. Coś musi wisieć w powietrzu tego miasta.

– I co pan tam zobaczył?

– Ludzi... – powiedział niechętnie po chwili. Czuł na sobie wzrok tych, których napotkał, ich milczącą obecność. Wciąż tam byli, patrzyli, czekali. – Tylu ludzi...

– No tak. – Kobieta wyciągnęła z kieszeni paczkę cieniutkich papierosów, podsunęła Czarkowi pod nos, a kiedy odmówił, wydłubała jednego i zapaliła plastikową zapalniczką. – Tak to wyglądało. Na własne oczy widziałam, do szkoły między ruinami chodziłam. A ojciec do roboty trzy godziny na Pragę szedł, bo mosty ciągle zatkane ludźmi.

Czarek pokiwał głową. Przypomniały mu się fotografie z książek i gazet. Te wszystkie góry gruzów z niewyraźnych, czarno-białych zdjęć stały się prawdziwe, nabrały ostrości, koloru, uniosły się, otaczając go ze wszystkich stron stromymi ścianami wysokimi na kilka metrów. Kiedyś były to domy, w których mieszkali ludzie. Usiłował wyobrazić sobie, że cała jego droga do pracy odbywa się po ruinach, i zmroziło go na myśl, jak rozległa musiała być ta pustynia.

– Czy to w ogóle jest jeszcze ta sama Warszawa?

– Zależy jak patrzeć – westchnęła filozoficznie kobieta, wydmuchawszy dym. – Dużo odbudowali od zera, ale są przecież ulice, gdzie wszystko wygląda po starymu. Jedni ludzie wrócili, inni dopiero przyszli... Jak to po ciężkiej chorobie, miasto dochodzi do siebie.

– Chyba po śmierci klinicznej...

*Nie – poprawił się zaraz Czarek – raczej jak po ciężkim wypadku, gdy wiadomo, że pewnych rzeczy nie da się już zrobić.*

Westchnął i przejechał dłonią po włosach, jakby sprawdzając, czy głowa nadal jest cała.

- Skoro tak, to może... Może powinienem iść do lekarza?

- O tak – zgodziła się starsza pani – wszyscy powinniśmy. Tak w ogóle to ma pan coś na ramieniu.

Czarek na materiale dostrzegł jakiś dziwny, biały pył. Strzepnął go – poczuł znajomy zapach.

*Mąka?*

### **Michał Studniarek**

Urodzony w 1976 roku, mieszka w Warszawie. Absolwent historii na UW. Pisaniem zajął się na studiach, kiedy trafił na reaktywację warsztatów Klubu Tfurców. Miłośnik RPG i komiksów, współpracował z „Magią i Mieczem” (jest współautorem systemu „Wiedźmin: Gra Wyobraźni”) oraz miesięcznikiem „Fenix”. Obecnie bierze udział w kolejnej edycji warsztatów i pracuje nad kolejną powieścią. Debiutował opowiadaniem „Ciche miejsce dla Alex” („Legenda” 1/98). W antologii Klubu Twórców „Robimy rewolucję” (Prószyński i S-ka, 2000) pojawiło się jego opowiadanie „Gucio”. Publikował też na łamach „Clicka – Fantasy” opowiadania z cyklu „Necropolice” i w „Science Fiction”. W 2004 roku ukazała się jego pierwsza powieść „Herbata z kwiatem paproci” (Runa). W roku 2011 opowiadanie „Czas nie czeka na nikogo” zostało opublikowane w japońskiej antologii fantastyki krajów wschodnioeuropejskich, „Jikan wa daremo matte kurenai”, wydanej przez wydawnictwo Tokyo Sogensha.



# INCYDENT HELENOWSKI

Tomasz Krzywik

Gdy zapadł zmrok, lękałem się przejść raz jeszcze przez to złowrogie miejsce, przeto nadłożyłem drogi i wróciłem do miasta okrężną drogą od południa.

Nie wiedzieć czemu zapragnąłem, by się zachmurzyło – wisząca nade mną otchłanna próżnia nieba napawała mnie dziwną bojaźnią.

H.P. Lovecraft, „Kolor z innego wszechświata”

433

## Wstęp

*Wydarzenia, które wówczas miały miejsce w pruszkowskim Helenowie, wstrząsnęły opinią publiczną. Wstrząsnęły tym bardziej, że mimo jawnego łamania przez rząd konstytucyjnej zasady państwa prawa, opozycja nie kwapiła się do jakichkolwiek protestów. Mało tego: nawet najwięksi krytycy działań większości sejmowej nieśmiało wskazywali, że są przypadki, kiedy politycy powinni się jednoczyć – zwłaszcza jeśli chodzi o dobro państwa. Dziennikarzy interesujących się sprawą uciszano, odsuwano do zupełnie błahych tematów, a jeśli byli wyjątkowo dociekliwi, pozbawiano uprawnień. Jak zawsze w takiej sytuacji, pojawiały się osoby odporne na nacisk polityczny. Te najczęściej zapraszano do szpitala psychiatrycznego w Tworkach, gdzie hospitalizowano dawnych mieszkańców Helenowa. Tego rodzaju uprzejme propozycje sprawiały, że nawet najbardziej ciekawscy i wygadani stawali się nagle nadzwyczaj powściągliwi.*

*Prawdopodobnie właśnie dlatego wysiedlenie mieszkańców Helenowa i poddanie części z nich przymusowemu leczeniu przeszło w mediach bez większego echa. W konsekwencji wieś rychło obrosła legendami. Ludzie z sąsiednich miejscowości opowiadali, zawsze ścisząc przy tym głos, o szeregach murszejących domów, kniei pełnej szarych drzew i przede wszystkim o dziwnych iluminacjach, które można zaobserwować nocą w miejscu, gdzie stało niegdyś jedno ze starszych gospodarstw w gminie.*

*Wszystkie historie, którymi próbowano tłumaczyć dziwny los Helenowa, wydają się nie mieć pokrycia w rzeczywistości. Jedynym, jak się zdaje, prawdziwym obrazem jest list przekazany proboszczowi parafii w Otrębkach. Jego nadawcą miał być niejaki Daniel Kawka. W liście tym, jeśli wierzyć księdzu, mężczyzna opisał pewien incydent ze swojego życia. Twierdził przy tym, że wszystko, co napisał, było prawdą. Miało to dotyczyć właśnie owej feralnej nocy, która poprzedziła ewakuację Helenowa. Na łożu śmierci ksiądz przekazał list wikaremu i polecił strzec go pilnie. Niestety – wkrótce i wikary zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach; wówczas niesławny list trafił do mnie. Mimo wielu otrzymanych przestróg postanowiłem przeczytać tę korespondencję, głównie dlatego, że byłem bliskim przyjacielem rodziny P. Kawki. Ponadto list dotyczy także i mojej osoby. Mieszkałem przez jakiś czas w Helenowie, a wolność zachowałem głównie ze względu na swój autorytet. Właśnie dzięki niemu uniknąłem przymusowej „hospitalizacji” w gruncie rzeczy będącej kwarantanną.*

*Wszystkie posiadane dokumenty przesyłam przez zaufaną osobę. Zdaję sobie sprawę z tego, iż dysponujecie Państwo większymi od moich kompetencjami w tej sprawie, przeto ufny w Waszą wiedzę liczę, że będziecie w stanie rzucić na całą sprawę choć odrobinę światła.*

*Z góry uprzedzam, że list ma nieco dziwną formę, co wynika po-  
niekąd z faktu, iż młody Kawka uwielbiał pisać prozą.*

*Z wyrazami szacunku*

*prof. dr hab. Stanisław Zenon Poławski*

**List przechwycono:** 26 kwietnia 2016 r.

**Nadawca:** prof. dr hab. Stanisław Poławski

**Adresat:** Uniwersytet Miskatonic (Arkham, Massachusetts, USA)

**Czy zarchiwizowano:** TAK/NIE

**Czy utajniono:** TAK/NIE

**Korespondencja przechwycona przez:** prac. służb. Michał Skowroński

## 1

Tamten poranek był wyjątkowo pochmurny, nawet jak na marzec. Od skłębionych na niebie obłoków co jakiś czas odrywały się wstęgi deszczu.

Siedziałem wtedy w kuchni, patrząc na rozciągniętą za oknem wodną kurtynę. Swoją półprzezroczystością przysłaśniała sąsiednie bloki, które w tej przygnębiającej aurze wydawały się raczej topornie ociosanymi monolitami. Przymocowany za oknem termometr wskazywał ledwo dziesięć stopni, tym bardziej więc doceniałem stojący przede mną kubek z parującą kawą. O śniadaniu nawet nie myślałem – rzadko kiedy byłem w stanie coś zjeść z samego rana. Musiałem jedynie zaspokoić pragnienie, gdyż przez noc całkiem zaschło mi w gardle. I znowu się nie wyspałem.

Od tygodnia dręczyły mnie bowiem sny, czy też raczej koszmary. Bliżej nieokreślone imaginacje czegoś nienazwanego, tchnącego grozą. Niewyraźne wizje ogromnego miasta o budowlach łamiących wszelkie prawa geometrii, pełnego konstrukcji przypominających morskie fale zamienione w granit. Metropolia ta leżała na ogromnym kontynencie, rozciągającym się poza wszelkimi znanymi człowiekowi szerokościami i długościami geograficznymi. Wędrowałem po jego powierzchni, która zdawała się być równie plastyczna, co kawałek rozgrzanej plasteliny. Zawsze docierałem w końcu do olbrzymiej katedry wzniesionej chyba przez cyklopów – ogrom jej wrót wykluczał jakikolwiek ludzki udział w jej formowaniu. Pomimo przytłaczającej obcości wypalonych na fasadzie liter, niezrozumiałe brzmienie dominowało w mojej głowie, zagłuszając wszystkie inne myśli. *Na'ghazu annitisar wasalae!*

Wtedy też zawsze się budziłem. Za każdym razem spocony, za każdym razem z wyschniętym na wiór gardłem. Staralem się obarczyć winą alkohol, którego ostatnio piłem zdecydowanie za dużo; podświadomie jednak wiedziałem, że kryje się za tym coś więcej, zwłaszcza że nie zwykłem reagować na trunki w ten sposób.

Oczywiście próbowałem dowiedzieć się czegoś o dręczących mnie wizjach. Niestety jedyne, co udało mi się znaleźć w Internecie, to nazwisko dawnego profesora Uniwersytetu Warszawskiego, niejakiego Stanisława Skockiego. W jednej ze swoich książek wspominał o istocie, którą nazywał *Na'ghazu*. Była to jednak jego ostatnia publikacja.

Główny powód stanowił fakt, że profesor został uznany za obłąkanego. Pisał bowiem o rzeczach tak niezwykłych, że brzmiały zgoła absurdalnie. Ponadto Skocki zapierał się, że wszystko, co opisał, jest prawdą, i wykladał o tym na uczelni. Zakazano mu wkrótce publikowania kolejnych prac, a sam profesor popadł w nielaskę. Zmarł niedługo potem w szpitalu dla obłąkanych, bełkoczący i całkiem szalony.

I to było wszystko, co wiedziałem.

Od tych dziwnych rozważań oderwała mnie kawa, której zapach był jak przebłysk słońca. Miała na mnie zbawienny wpływ, zwłaszcza w ostatnim czasie, kiedy każdej nocy dręczyły mnie koszmarne wizje, a po przebudzeniu nie miałem już szansy na sen. W dodatku tamtego dnia czekała mnie dość daleka podróż samochodem i nie mogłem sobie pozwolić na brak koncentracji. Wybierałem się do ojca, który już od dłuższego czasu czynił mi wyrzuty z powodu moich rzadkich wizyt w rodzinnej wsi. Dlatego, dokończywszy kawę, ubrałem się i zacząłem przygotowywać do wyjścia.

## 2

Zgodnie z przewidywaniami do leżącego po drodze Pruszkowa dojechałem niecałą godzinę później. Drogi były prawie puste, ale padający deszcz uczynił je nadzwyczaj niebezpiecznymi. Zresztą sam ich stan pozostawiał wiele do życzenia – kiedy tylko minąłem granicę Warszawy, moja stara toyota zaczęła podskakiwać nieprzyjemnie na wypełnionych wodą

dziurach. Miałem wprawdzie nowszy samochód, dużo bardziej zdalny do takich warunków, ale obecnie stał w osiedlowym garażu. Powód był dość prozaiczny: w naszpikowanym nowinkami technologicznymi SUV-ie wysiadła elektronika. Co za tym idzie, auto stało się bezużyteczne.

Przez Pruszków przejechałem bez żadnych przeszkód; był piątek, ledwo minęło południe, więc większość ludzi albo pracowała, albo uczyła się w jednej z miejscowych szkół. Nie zatrzymywałem się, jeśli nie liczyć krótkiego postoju na stacji benzynowej ulokowanej na wylocie z miasta. To właśnie wtedy zauważyłem, że wszystko staje się coraz bardziej ponure. Człowiek przy kasie był wyjątkowo małomówny i rzucał mi nieprzyjemne spojrzenia. Wychodząc, odniosłem niejasne wrażenie, że gapi się na moje plecy.

Wkrótce potem zanurzyłem się w rozciągniętej za Pruszkowem kniei.

Dopiero tutaj zrozumiałem, jak daleko od cywilizacji znajduje się Helenów. Jeżeli od Warszawy ciągle mijałem mniejsze lub większe miasteczka, to teraz ze wszystkich stron otaczały mnie pola i lasy. Z dzieciństwa pamiętałem, że gdzieś w okolicy znajdowały się obiekty wojskowe i stawy zwane Helenowskimi, były to jednak wspomnienia na tyle spowite mgłą niepamięci, że nie dawałem im stuprocentowej wiary.

Im bliżej znajdowałem się rodzinnej miejscowości, tym bardziej nabierałem przekonania, że okolica zdziczała. Mogło to jednak wynikać z faktu, że nie było mnie tu od dawna; przecież pamięć kocha upiększać niedoskonałości, a miejscom z czasów dzieciństwa nadaje szczególnego blasku.

Ale kraina, u której progu przyszło mi się znaleźć, nie przypominała tej, jaką zachowałem we wspomnieniach. Dziwne, złowrogie drzewa pochylały się nad drogą, tworząc specyficzną atmosferę grozy. Deszcz siekł ostro; wysłużone wycieraczki toyoty pracowały na pełnej prędkości. Nie czułem, że wracam w znajome strony, wręcz przeciwnie: miałem przecucie, że jakaś siła stara się za wszelką cenę zawrócić mnie z obranej drogi, przegnać z powrotem do bezpiecznego mieszkania w Warszawie.

W końcu jednak knieja przerzedziła się, a zaraz potem skończyła, jakby ucięta nożem. Przejechałem przez most nad drobną rzeczką, przekraczając tym samym naturalną granicę między Helenowem a resztą świata.

Pojawiły się pierwsze domy jednorodzinne. Na początku rozsypa-  
ne bezładnie po okolicznych polach, porządkujące się jednak im bliżej  
centrum wsi. Wreszcie, dojrawszy tabliczkę z napisem „WKD Helenów  
– 500 metrów”, odbiłem we wskazanym kierunku i po chwili znalazłem  
się na mojej ulicy.

Od razu zauważyłem, jak wiele się tu zmieniło.

Pierwszorzędna niegdyś droga sparszywiła, zmieniając się w nie-  
równą łataninę pełną dziur i wybojów. Rosnące przy niej drzewa sprawiały  
wrażenie schorowanych, a chodniki straszyły parszywym wykonaniem.  
Brakowało tablic z nazwami ulic, a te, które się ostały, wisiały krzywo,  
ledwo trzymając się na płotach. Wreszcie sam przystanek Warszawskiej  
Kolei Dojazdowej oszpeciły żółte barierki, a na przejeździe kolejowym  
pojawiły się roгатki. I mieszkańcy: nie mijalem ich wielu, ale zdawali się  
jacyś dziwni, apatyczni. Kiedy przejeżdżałem koło nich, stawali w miejscu  
i patrzyli tępo na moje auto.

W końcu zatrzymałem się przy chodniku i wyłączyłem silnik.  
Wsluchując się w głuche bębnienie deszczu, który tłukł o dach samo-  
chodu, odniosłem wrażenie, że stracił już nieco na sile. Kotłujące się na  
niebie chmury zdawały się przerzedzać. Miałem nadzieję, że do jutra się  
przejaśni.

Wysiadłem, nie zwlekając już dłużej. Słyszałem znajome szczeka-  
nie psów, które pewnie ojciec wypuścił, zobaczywszy samochód.

Dom, w przeciwieństwie do samej wsi, nie zmienił się w ogóle.  
Dach nadal kryła wysłużona blacha, miejscami pokryta zielonym nalotem,  
a poręcz tarasu wciąż oplatała kręta wstęga bluszczu. Ogród miał się  
nieco gorzej, rośliny wyglądały na przymierające, ale mogło to być tylko  
złudzenie. Wszak marzec to kapryśny miesiąc, pozbawione listowia łodygi  
nie stanowiły niczego nadzwyczajnego.

I wtedy przed dom wyszedł ojciec, a ja doznałem szoku.

Wyglądał na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości. Wprawdzie miał już blisko sześćdziesiąt lat, ale podczas mojej ostatniej wizyty sprawiał wrażenie znacznie młodszego. Chodził wyprostowany jak struna, rąbał drewno wcale nie gorzej niż ja czy mój brat, a czasem nawet lubił pobiegać.

Tymczasem stojący w progu starzec w niczym nie przypominał znanego mi człowieka. Siwy, zgarbiony, o zmęczonej twarzy, wydawał się wrakiem człowieka, w którym nie było nic z energicznego mężczyzny, za jakiego jeszcze niedawno wszyscy go mieli. Podszedłem do niego, odganiając się od dwóch skaczących wokół mnie kundelków. Spojrzał wtedy na mnie, krzywiąc się w czymś, co mogło być tak uśmiechem, jak i grymasem zniecierpliwienia.

– Wreszcie – powiedział zmęczonym głosem. – Witaj w domu.

### 3

Ogień trzaskał w kominku, trawiąc kolejne szczapy.

Jego blask oświetlał naznaczoną zmarszczkami twarz ojca, wpatrzonego teraz w płomienie. Milczeliśmy obaj, a przygotowane wcześniej herbaty stygły na stoliku przed nami. Rozmowa była ciężka i nie sprawiała mi żadnej przyjemności, choć też nieszczególnie się temu dziwiłem. W ciągu ostatnich kilku lat popadłem w niełaskę – to mój młodszy brat częściej przyjeżdżał do Helenowa i to właśnie on interesował się rodzinnym domem, nie ja.

– Więc... – Ojciec w końcu przerwał panujące od dłuższego czasu niezręczne milczenie. – Masz kontakt z Bartkiem, tak?

– Mam – odparłem dopiero po chwili. – Pewnie bardziej sporadyczny, niż byś tego chciał, ale jednak. Wiesz jak to jest: on prowadzi swoją klinikę, ja szukam pracy...

– I jak ci idzie?

– Nie idzie mi w ogóle – westchnąłem ciężko. – Wiesz, poprzednia redakcja sama się do mnie zgłosiła, mój blog przypadł im do gustu, więc wtedy była to po prostu kwestia zgody na współpracę. A teraz? Wszędzie mają już obsadzone wakaty, mogę tylko liczyć na łut szczęścia.

– Rozumiem. Udało ci się odłożyć jakieś pieniądze?

– Pewnie, że tak. Mniej niż bym chciał, ale z głodu nie umrę. W każdym razie nie w najbliższym czasie – spróbowałem zażartować.

– Aha – mruknął tylko.

I to „aha” było stwierdzeniem oznaczającym, że dla ojca temat został wyczerpany. Od zawsze wolał prowadzić rozmowy pod swoje dyktando i najwyraźniej nic się w tej kwestii nie zmieniło. Do tego odniosłem wrażenie, że coś go trapi: miał bardziej niż zwykle zacięty wyraz twarzy i konsekwentnie unikał mojego wzroku.

– A co u ciebie? – spytałem, czując w swoim tonie fałszywą troskę, której ojciec jednak najwyraźniej nie wychwytił.

– Bez zmian. – Podniósł się, żeby dorzucić drewna do kominka. – Mam już dość pracy, najchętniej rzuciłbym ją w cholerę i zaszył się gdzieś daleko, na wsi...

– Helenów ci już nie wystarcza?

– Helenów to nie wieś – odparł twardo.

– Zawsze powtarzałeś co innego...

– Bo tak było. – Tata próbował zabrznieć przekonująco, jednak w przeciwieństwie do niego świetnie wyczuwałem kłamstwo. – Ale ostatnio zaczyna się tu robić dla mnie za gęsto. Wszędzie te przekłętę samochody, przyjezdni, tabuny miastowych jeżdżące do stadniny w Kaniach...

– Aż tak źle?

– Gdybyś częściej odwiedzał rodzinne strony, doskonale byś rozumiał, o co chodzi.

Poczułem nagle falę ciepła uderzającą do głowy, ale udało mi się utrzymać język za zębami. Wiedziałem, że ojciec ma prawo do takich uwag. Nie byłem ostatnio najlepszym synem, a on od zawsze miał swoje zdanie i nie bał się go wyrażać.

– Pewnie masz rację – mruknąłem. – Tak czy inaczej, będę musiał przejść się po Helenowie, zobaczyć, jak wygląda okolica...

– Skoro chcesz się przejść, to może wyprowadzisz psy na spacer? – Ojciec zerknął na kręcącą się pod jego nogami Burę. Stary jamnik



machał ogonem niecierpliwie. – Zawsze z nimi wychodzę o tej porze, ale skoro już jesteś, to możesz połączyć przyjemne z pożytecznym.

– Pewnie. – Przywitałem tę propozycję z prawdziwą ulgą.

– W takim razie przejdź się pod las i zajrzyj na podwórko starego Grodlewskiego. Nikt w Helenowie nie ma pojęcia, co za ustrojstwo tam postawił, ale uważam, że warto rzucić na to okiem. Myślę, że ci się spodoba. Zawsze lubiłeś takie dziwne rzeczy.

– Skoro tak mówisz – westchnąłem tylko.

– I jeśli zamierzasz iść w tamtą stronę, to nie zakładaj skórzanych butów, szkoda ich na taką pogodę. Twoje stare powinny stać w piwnicy, koło pieca.

– Jasne.

– I weź coś solidniejszego niż ten twój płaszczyk.

– Wezmę.

– Nie wzdychaj tak i nie przewracaj oczami. – Ojciec zmarszczył brwi, kiedy zobaczył moją minę. – Roztopy przyszły i Zimna wystąpiła z brzegów. W okolicy jest teraz mnóstwo błota.

– No dobrze, rozumiem przecież.

– Daniel...

– Hm? – Spojrzałem na tatę, nagle dziwnie zmieszanego.

– Uważaj na siebie.

Ta ostatnia uwaga z jakiegoś powodu sprawiła, że poczułem się nieswojo. Ojciec nigdy nie należał do osób szczególnie troskliwych, a jeżeli już, to zdecydowanie częściej poświęcał uwagę mojemu bratu. Z tego też powodu w pierwszej chwili pomyślałem, że na starość zaczyna po prostu tracić jasność umysłu.

I dopiero później, już wychodząc z domu, zrozumiałem prawdziwą przyczynę mojego niepokoju. To nie sama uwaga ojca tak mnie poruszyła.

Otóż uświadomiłem sobie, że w jego głosie poza troską usłyszałem także strach.

Niecałe pół godziny później zbliżałem się wraz z psami do czerniejącej na horyzoncie ściany lasu. Jak cała okolica, również i ona wyglądała wyjątkowo przygnębiająco. Helenów od zawsze był miejscowością raczej spokojną, ale teraz miałem wrażenie, że wieś dosłownie opustoszała. Domy zmurszały, a na dachach pojawiły się naloty mchu. Ogrody zdziaczały, lecz w jakiś niepokojący sposób: rosnące w nich rośliny stały się bujne, ale jednocześnie łamliwe i kruche. Nawet trawa, zazwyczaj już zielona o tej porze roku, miała przykry dla oka szarobury kolor. Wobec takiego stanu flory nie zdziwiło mnie, że nie widziałem żadnych leśnych zwierząt, jeżeli nie liczyć martwego zająca leżącego na samym skraju lasu. Wyglądał dziwnie: korpus miał nieproporcjonalnie wielki w stosunku do reszty ciała, a pyszczek zdeformowany. Dużo mówił już sam fakt, że psy ominęły truchło szerokim łukiem.

Po drodze do lasu spotkałem tylko jedną osobę, w dodatku zachowaniem zdradzającą pewne ubytki rozwojowe. Ów mężczyzna stał bowiem na drodze, wpatrywał się tępo w przestrzeń i kiwał na boki. Pomyślałem, że może być alkoholikiem, ale jakoś mi to nie pasowało. Do tego twarz miejscowego szpeciła dziwna biologiczna degeneracja. Kiedy go mijalem, ożywił się nagle, powiedział cicho „dzień dobry” i oddalił w swoją stronę kaczkatym chodem.

Wreszcie dotarłem do biegnącej wzdłuż lasu ulicy stanowiącej naturalną granicę wsi. Od rozciągającego się przede mną gąszczu dzieliło mnie teraz raptem parę metrów. Wiedziałem, że gdzieś tam w głębi lasu, pomiędzy poskręcanyimi drzewami, stoją stare, opuszczone chaty, które za młodu chętnie z kolegami eksplorowaliśmy. Przez chwilę miałem ochotę sprawdzić, czy jeszcze stoją, ale uznałem, że do zachodu pozostało za mało czasu. Pogoniłem więc psy wzdłuż drogi, która w pewnym momencie odrywała się od lasu i kończyła przy gospodarstwie Grodlewskiego.

To, co tam zastałem, przerosło moje najśmielsze wyobrażenia.

Ojciec uprzedzał wprawdzie, że stary Grodlewski zwariował i buduje przy swoim gospodarstwie jakąś dziwną maszynę. Że w tym położonym na uboczu domu dzieją się niepokojące rzeczy, którymi nawet

policja nie chce się zajmować. Że w nocy można tam usłyszeć dziwne, nieludzkie odgłosy. Mimo wszystko jednak nie spodziewałem się czegoś równie fascynującego.

Sam dom w żaden sposób się nie zmienił; nadal była to stara drewniana chałupa, której konstrukcja pamiętała jeszcze poprzednie stulecie. Również ciągnące się od niej pole, granicami sięgające rzeki Zimnej, wciąż pozostawało tym samym polem, jakie znałem od dziecka.

Nijak jednak nie potrafiłem sklasyfikować tej dziwnej, metalowej konstrukcji, która stała obok domu. Pełna prymitywnie wykonanych kół zębatych, kształtem przypominała nieco rusztowania budowlane i wydawała się być w ciągłym ruchu. Zdecydowanie przewyższała okoliczne drzewa i miałem jakieś osobliwe przeczucie, że sięga również w głąb ziemi. Syczały paski i taśmy, których kolejne metry przewijały się przez całą maszynę.

Za najbardziej zaskakujący w tym wszystkim uznałem fakt, że maszyna rzeczywiście zdawała się działać. Pozostawało tylko pytanie: jakie jest jej przeznaczenie?

Z zamyślenia wyrwało mnie warczenie Burej.

Stała trochę dalej, przy żeliwnym włączniku kryjącym zapewne zejście do kanalizacji. Nastroszyła się, odsłaniając kły, ale ogon miała podkulony i dopiero po chwili zorientowałem się, że całą uwagę skupia właśnie na włączniku. Fafi stał nieco dalej, wyraźnie wystraszony zachowaniem suki. Chciałem machnąć na to ręką – ot, kolejne niezrozumiałe wybryki starzejącego się psa – ale wtedy usłyszałem coś dziwnego.

Początkowo myślałem, że to zwykły chlupot wody.

Było w nim jednak coś dziwnego, co kazało mi przykłąknąć nad pokrywę i nasłuchiwać. I wtedy dopiero zrozumiałem, że słyszę nie chlupot, a... słowa. Niezrozumiałe mamrotanie, które to się nasilało, to znów zanikało. W przypiływie irracjonalnej fascynacji zacząłem nasłuchiwać, chciałem zrozumieć cokolwiek, ale bez skutku – głos spod ziemi był zbyt wytłumiony.

Wszystko to wydało mi się tak dziwne, że z wrażenia przysiadłem na trawie. Próbowałem jakoś to wytłumaczyć, rozważałem różne

możliwości. Kto mógł siedzieć w zamkniętym kanale o tej porze? Jacyś robotnicy? Właściciel posesji? A może to tylko omamy słuchowe?

Wtem rozległo się łupnięcie, a pokrywa poruszyła się nieznacznie.

Bura zaskamląła żałośnie i uciekła w kierunku domu; po chwili w jej ślady poszedł Fafi i zostałem sam z tajemniczym włazem.

Wpatrywałem się w niego jak urzeczony, bojąc się chociażby poruszyć. Zaczęła mi świtać myśl, że być może ktoś został uwięziony w kolektorze, który znajdował się pod żeliwną pokrywą. Przecież Bartek nie dalej jak wczoraj opowiadał mi, że ostatnio kogoś porwano. Ta teoria miała sens, zwłaszcza jeśli uwzględnić plotki o szaleństwie Grodlewskiego...

W jednej chwili w mojej głowie pojawiło się wytłumaczenie tak straszne, że bałem się nawet pomyśleć, co by się wydarzyło, gdyby ktokolwiek mnie tu zobaczył. Czym prędzej wstałem i oddaliłem się od tego przeklętego gospodarstwa.

*Policja – pomyślałem. Muszę zadzwonić na policję.*

Sięgnąłem do kieszeni po telefon i dopiero gdy próbowałem wybrać odpowiedni numer, zauważyłem, że trzęsą mi się ręce.

– Policja? – zapytałem słabo, gdy tylko usłyszałem głos w słuchawce. – Daniel Kawka z tej strony, dzwonię z Helenowa, chciałem zgłosić...

Jednak mężczyzny, który odebrał telefon, nie interesowało, czego „chciałem”. Najpierw szczegółowo wypytał mnie o dane osobowe, zatrzymując się z jakiegoś powodu na dłużej przy moim imieniu i nazwisku. Nie wiedzieć czemu, zaczął mi zadawać mnóstwo pytań niezwiązanych ze sprawą. Co robię w Helenowie? Czy mam tu rodzinę? Na jak długo przyjechałem?

Z każdym takim pytaniem próbowałem grzecznie, ale stanowczo poruszyć temat maszynarii; kiedy mi się wreszcie udało, policjant powiedział, że podobnych doniesień miał już kilka. Tylko w ciągu ostatnich dwóch tygodni odebrał trzy zgłoszenia naruszania ciszy nocnej. Dopiero wspomnienie o dziwnych odgłosach z kolektora wzbudziło jego prawdziwe zainteresowanie. Poprosił, żebym opisał zasłyszane dźwięki, co oczywiście zrobiłem, jednak dość niezgrabnie. W normalnych okolicznościach nie miałbym z tym kłopotu, ale teraz nie potrafiłem wydukać

z siebie więcej niż kilka bezładnych określeń. Ich bezsens dotarł do mnie dopiero jakiś czas później, gdy na spokojnie analizowałem całą rozmowę.

W pewnym momencie mój rozmówca zamilkł; notował coś chyba, a ze słuchawki dobiegało tylko „hm” i „mhm”. I kiedy myślałem, że już się nie odezwie, powiedział:

– Proszę wrócić do domu i pod żadnym pozorem nie wychodzić na zewnątrz. Wyślemy patrol na podany adres. Dziękuję za zgłoszenie, życzę dobrej nocy.

– Ale... – zacząłem, lecz przerwał mi dźwięk odkładanej słuchawki.

Spojrzałem na wyświetlacz telefonu i zakląłem z bezsilności. Obejrzałem się za siebie. Droga nadal była pusta, ale pchany niepokojącym przeczuciem przyspieszyłem kroku. Miałem spory kawałek do przejścia, a ciężkie chmury kryjące niebo faktycznie pociemniały. Zbliżała się noc.

Jak się okazało, psy czekały pod furtką. Oba złęknione, z podkulonymi ogonami i spuszczonej nisko pyskami. Jeżeli ucieszyły się na mój widok, to tylko dlatego, że miałem przy sobie klucze. Na podwórku odzyskały nieco pewności, ale i tak poszły prosto do domu.

Ja zaś poczułem się bezpiecznie dopiero wtedy, kiedy zamknąłem za sobą drzwi i przekręciłem zamek.

## 5

Tatę zastałem w salonie.

Siedział na starym fotelu, który przysunął sobie blisko kominka, i czytał jakąś powieść. Kiedy wszedłem do domu, spojrzał na mnie, na moje zabłocone buty i samym wzrokiem wyraził dezaprobatę. Nie musiał przy tym niczego mówić, doskonale wiedziałem, o co chodzi. Jednak dostrzegł też prawdopodobnie wyraz mojej twarzy, bo zamknął książkę i odłożył ją na stolik.

– Gdzie byłeś? – spytał, choć odniosłem wrażenie, że domyśla się odpowiedzi.

– Poszedłem zobaczyć gospodarstwo Grodlewskiego – odparłem niechętnie.

- Robi wrażenie, prawda?

- Robi – przyznałem. Faktycznie, dzieło starca, choć bez wątpienia szalone, wywierało na człowieku szczególne wrażenie. – Ale muszę z tobą porozmawiać na ten temat.

- Widzę. – Ojciec westchnął ciężko. – Wyglądasz jak człowiek, który wrócił właśnie z drugiej strony. Zgaduję, że stało się tam coś dziwnego?

- Nie jesteś zaskoczony – stwierdziłem dla odmiany nieco zbity z tropu.

- Przyznaję, nie jestem.

Miałem zamiar usiąść na sfatygowanej kanapie, ale wtedy ojciec wstał z fotela i z półki nad kominkiem zdjął ręcznie wykonane pudełko. Wyjął z niego paczkę Winstonów.

Uniosłem brwi.

- Palisz?

- Tylko przy wyjątkowych okazjach – powiedział. – A wydaje mi się, że właśnie taka się nadarzyła. Wiesz, pierwsza szczerza rozmowa z synem od dawna... Jest do czego kurzyć. Bierz jednego i chodź przed dom, nie będziemy przecież palić w środku.

Wziąłem od taty papierosa i wyszedłem z nim na taras.

Na zewnątrz było niemal całkiem ciemno, do tego zaczął się drobny deszcz. Ojciec mruknął coś pod adresem pogody, wyciągając z kieszeni zapalniczkę.

- To co chcesz wiedzieć, synu? – spytał, kiedy już oba papierosy się żarzyły. – Zapewne spytasz najpierw o...

- ...maszynę – dokończyłem. – Dokładnie. Wiesz, po co to wszystko?

- Nie mam pojęcia. – Ojciec zaciągnął się, by po chwili wypuścić chmurę dymu. – O to musiałbyś spytać profesora Poławskiego. Grodlewski pomagał mu przy pracach nad dymarkami, więc pewnie znali się całkiem nieźle. Przez ostatni rok mieli obsesję na tym punkcie, ale w którymś momencie Poławski wycofał się z tej współpracy. Podejrzewam, że z powodu postępującego dziwaczenia Grodlewskiego. Profesor nazwał go, cytując,

„starym świrem”. Ale z drugiej strony nie ma co się dziwić, staruszek nie miał ostatnio lekkiego życia.

– To znaczy?

– Grodlewski miał strasznie pechowy rok. Najpierw, na początku stycznia, zmarła jego żona. Wydało nam się to dziwne, w końcu była od niego o prawie dziesięć lat młodsza, cieszyła się świetnym zdrowiem... Widziałem ją zresztą jakiś tydzień przed śmiercią, na pasterce. Pewnie, miała już swoje lata, ale wyglądała bardzo dobrze, sam pamiętasz, jaka piękna była z niej kobieta.

Zamilkł na chwilę, wpatrując się w ciemność. Gdzieś w głębi ogrodu rozległ się trzepot skrzydeł.

– Po jej śmierci Grodlewski się załamał. Przestał chodzić do kościoła, coraz rzadziej pokazywał się ludziom. Zaniedbał gospodarstwo, a przecież zawsze obejście miał oporządzone na medal. Chcieliśmy jakoś pomóc i właśnie wtedy Poławski zaproponował mu udział w badaniach nad świeżo odkrytymi na terenie Helenowa dymarkami. Wydaje mi się, że to go na jakiś czas ożywiło, przecież od zawsze go ciągnęło do grzebania w ziemi, do archeologii. Jeździł więc z grupą studentów Poławskiego na wykopaliska, a kiedy okazało się, że dymarki są także i w sąsiednich Kaniach, to i tam się wybierali. I nawet jeśli jego gospodarstwo nadal marniało, to Grodlewski chociaż na jakiś czas wrócił do żywych.

– Długo to trwało?

– Do sierpnia ubiegłego roku. Do momentu, w którym nad naszą wsią przeleciał meteor – mówiąc to, ojciec sposepniał jeszcze bardziej.

– Słyszałem o tym – przerwałem mu. – Mówili w telewizji, porównywali to do upadku meteoru czelabińskiego.

– Przesadzali, chociaż przyznaję, najadłem się wtedy strachu. Wyobraź to sobie: w środku nocy w całym Helenowie zrobiło się jasno jak w dzień, rozległ się niewyobrażalny huk... Coś strasznego. Zacząłem dzwonić po znajomych, nie wiedziałem, co się dzieje, myślałem, że może gdzieś wybuchł gaz, ale nigdzie nie było widać pożaru. Po kilkunastu minutach byłem już pewny, że nikomu nic się nie stało, straty ograniczyły

się do tych czysto materialnych. Ale został mi wtedy jeszcze jeden telefon do wykonania. Do Grodlewskiego.

- To wtedy oszalał?

Ojciec kiwnął głową. Uświadomiłem sobie, że w mętnym świetle zewnętrznej żarówki ojciec wyglądał jak trup - był blady, a na jego czole perliły się krople potu.

- Nie odbierał, więc ubrałem się, wsiałem na rower i pojechałem do niego. Ile wtedy ludzi wyszło na ulice... Nigdy wcześniej i później nie widziałem równie dużego tłoku w Helenowie. Na miejscu zobaczyłem, że zapadła się stodoła. Zupełnie bezzasadnie przestraszyłem się, że biedak siedział w środku i ucierpiał w czasie zdarzenia. Otworzyłem więc bramę i czym prędzej pobiegłem w tamto miejsce. Ale to nie w stodołę go znalazłem; kiedy upewniłem się, że nie leży pod żadną z krokwi, poszedłem sprawdzić, czy jest w domu. Jego pies nie wiedzieć czemu mnie nie rozpoznał, próbował gryźć, ale odgoniłem go kopniakiem. Drzwi były otwarte, a Michała znalazłem w salonie. Siedział na starej kanapie, w rękę trzymał zdjęcie Wandy i płakał. Chciałem go uspokoić, ale ciągle powtarzał zdania, których nie potrafiłem zrozumieć. Przez chwilę byłem przekonany, że mówi po arabsku, ale nie. Biedak po prostu bełkotał w przyływie przerażenia. Musiała minąć dłuższa chwila, zanim z jego oczu zniknął obłąd. Myślałem, że wrócił mu rozum, ale wtedy złapał mnie za ramiona i krzyknął, że wszyscy jesteśmy tylko sarnami.

- Sarnami? - zapytałem z niedowierzaniem.

Ojciec kiwnął głową.

- Dokładnie tak powiedział. Było to tak dziwne i głupie stwierdzenie... Myślałem, że to skutek szoku. Nie wiedziałem co robić, zadzwoniłem więc do Poławskiego, a potem po karetkę.

- Rozumiem, że nic mu się nie stało, skoro postawił tak niedorzeczną konstrukcję?

- Fizycznie rzeczywiście nie, ale wydaje mi się, że właśnie wtedy straciliśmy go na dobre. Poławski odsunął go od wykopalisk, bo Grodlewski popadł w jakąś chorobę psychiczną. Mówił ciągle o trójwymiarowym



firmamencie, tunelach biegnących pod całą Europą i obcej cywilizacji, którą nazywał „rasą bogów”.

– Przerażające – mruknąłem, wygaszając resztki papierosa. Przypomniałem sobie dziwne dźwięki spod ziemi i aż zadrzałem. – Wiadomo coś jeszcze o tych tunelach? Skąd mu przyszedł do głowy taki pomysł?

– Mogę tylko zgadywać. – Ojciec również skończył papierosa. – Podejrzewam, że Poławski wie coś więcej na ten temat, musiałbyś go zapytać.

– Pewnie jutro go odwiedzę. Co się dalej działo po sierpniowym impakcie?

– Grodlewski zaczął tworzyć swoje dzieło. Najpierw postawił proste rusztowanie, nic niezwykłego. Ale z upływem czasu ludzie uznali go za dziwaka. Całkiem wycofał się z życia towarzyskiego. Przestał o siebie dbać, zapuścił brodę, stracił na wadze... Przykry widok. A kiedy pojawiły się taśmy i koła zębate, zrozumieliśmy, że Grodlewski ma w swojej schorowanej głowie jakiś szalony plan, który próbuje wcielić w życie. Pracował bez przerwy, nawet w najbardziej wietrzne i deszczowe dni, aż wreszcie jego konstrukcja przewyższyła okoliczne domy. I wtedy zainteresował się nim urząd.

– Żartujesz?

Ojciec nie wyglądał, jakby był w tym momencie zdolny do jakiegokolwiek żartu.

– Niby czemu? Jesteś dziennikarzem, na pewno masz jakieś pojęcie o prawie i wiesz, że nie można sobie ot tak stawiać jakichś dziwnych, wynaturzonych konstrukcji na posesji bez uzyskania zgody. Teraz na wszystko trzeba mieć pozwolenia i inne papierki.

– Dobrze, więc odwiedził go jakiś urzędnik i co? Nie nakazali mu rozebrania tej całej maszyny?

– Jak sam widziałeś... – westchnął ciężko. – Przyjął tego urzędnika, zaprosił go nawet do domu. Nie minęło dziesięć minut, jak człowieczek wyszedł z domu Grodlewskiego. Chichotał nerwowo, a starej Wawrzonowej, która go w drodze powrotnej wzięła na spytki, powiedział,

że gmina już więcej się nie zainteresuje sprawą. My mamy nie wchodzić staruszkowi w drogę do czasu, aż nie przyjadą po niego ludzie z zakładu psychiatrycznego.

– Tato, zacznym się bać.

Faktycznie, byłem przerażony. Ta niesamowita opowieść snuta rzeczowym tonem, niepokoiła mnie do tego stopnia, że wróciło mi drżenie rąk. Sam ojciec wyglądał na zrezygnowanego i dopiero teraz zrozumiałem, że już od dawna chciał opowiedzieć tę historię. Co gorsza, musiał nauczyć się z nią żyć. Nie rozumiałem tylko, dlaczego nie opowiedział jej Bartkowi – młody odwiedzał go o wiele częściej... Ale mieszkał w Olsztynie. Daleko stąd był bezpieczny, nietypowe problemy Helenowa miały prawo zupełnie go nie obchodzić.

– Nie dziwię się. Teraz, kiedy zginął ten niepełnosprawny dzieciak... Wszyscy boją się, że to robota Grodlewskiego. Że może na przykład ubzdurał sobie, że jego maszyna musi być zasilana ludźmi. – Rzucił trzymany do tej pory niedopałek gdzieś w trawę.

– Tato, przestań.

– Co: przestań? Przecież ten człowiek całkiem stracił rozum, wszystko jest możliwe.

Zamilkliśmy obaj. Ze świadomością ciężaru, jaki niosła za sobą ta historia, staliśmy tak jeszcze chwilę, spoglądając w rozciągnięty przed nami woal ciemności. Po chwili wróciliśmy do domu.

W pewnym momencie chciałem opowiedzieć ojcu o incydencie ze spaceru. Ale kiedy zobaczyłem, jak siada zmęczony na fotelu, sięga po książkę, a jego twarz wykrzywia słabo ukrywany smutek, zrezygnowałem. Zamiast tego podszedłem do barku, wyciągnąłem dwie szklanki i butelkę whisky.

– Napijemy się? – zaproponowałem. – Wiesz, jak ojciec z synem.

Wtedy tata, po raz pierwszy od wielu lat, uśmiechnął się do mnie.

## 6

Następnego dnia pogoda się poprawiła.

Chmury przeredziły się, a zza ich siwego kołtuna wyrzało wreszcie słońce. Wbrew moim przypuszczeniom nie ożywiło to jednak

Helenowa. Przeciwnie: lepsze światło wręcz podkreśliło niezdrowy i przymierający krajobraz okolicy. Gdy to zobaczyłem, nabrałem pewności, że znajduje się pod wpływem jakiejś straszliwej anomalii. Próbowałem odgadnąć jej źródło, ale za każdym razem moje myśli wkraczały na niebezpieczny tor prowadzący do gospodarstwa Grodlewskiego i kosmicznej maszyny stojącej na jego podwórku.

Nie wiedzieć czemu, miałem osobliwe przeczucie, że to nie on sam jest autorem tego monstrualnego, jakby wyrwanego z innego wszechświata dzieła. Coś podsuwało mi niepokojącą myśl, że tak naprawdę za każdym jego uderzeniem młotka czy ruchem śrubokrętu stoi coś zupełnie innego; jakiś koszmarny intelekt, którego zamiarów nawet nie śmiałem odgadywać. Nie wiedziałem, skąd u mnie tak mroczne myśli, gdyż od zawsze byłem człowiekiem raczej sceptycznie nastawionym do wszelkich mistycyzmów. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że to wina koszmarów, z którymi się ostatnio zmagalem.

Jedno uznałem za pewne – musiałem pilnie odwiedzić profesora Poławskiego. Nie znałem go wprawdzie zbyt blisko, jednak od podstawówki przyjaźniłem się z jego córką, Alicją. Liczyłem, że wyrwe to w pewnym stopniu wpływ na jej ojca, tym bardziej że wciąż dręczyło mnie wspomnienie incydentu z wczorajszego wieczora.

Dlatego też do Poławskich udałem się jeszcze przed południem.

Mieszkali po drugiej stronie torów Warszawskiej Kolei Dojazdowej, zaraz przy drodze wylotowej z Helenowa. Pomimo niewielkich rozmiarów ich dom wyróżniał się jakże rzadkim w dzisiejszych czasach dworkowym stylem, co zresztą w pewien sposób dobrze oddawało charakter pana domu.

Gdy dotarłem do furtki, wahałem się przez chwilę. A jeśli zostaną potraktowany jak zwykły natręt?

Pogodziłem się ostatecznie z tą możliwością – wiedziałem bowiem, że nie mogę się teraz wycofać. Od małego lubiłem dociekać do momentu, w którym poznałem wszystkie sekrety w sprawie. A nigdy wcześniej nie spotkałem się z tajemnicą tak wielką jak ta, która obecnie się przede mną ukrywała.

Nie wiedzieć czemu, profesor wyszedł po mnie osobiście.

Już w pierwszej chwili zauważyłem, że – zupełnie jak mój ojciec – zestarzał się od czasu mojej ostatniej wizyty. Stracił na wadze, włosy miał przerzedzone, a sylwetkę przygniatał mu ciężar wieku. Wbrew dotychczasowym zwyczajom nie nosił się już elegancko i zaczął przedkładać wygodę nad wygląd; do luźnego wełnianego swetra założył przetarte sztruksowe spodnie.

– Daniel? – zdziwił się. – Alicja nadal jest w Warszawie. Z tego, co wiem, wciąż ma jakieś egzaminy do zaliczenia i ma wrócić dopiero na święta.

– Wiem – odpowiedziałem z nieco nerwowym uśmiechem. – Rozmawiałem z nią kilka dni temu. Właściwie przyszedłem do pana, panie profesorze. Tata opowiedział mi wczoraj o meteorze helenowskim i ja właśnie do pana w tej sprawie...

W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak nagle opadł z sił. Poławski wyraźnie zmarnotniał, oparł się ciężko o furtkę i rzekł:

– Danielu... Nie ma w tej sprawie nic, co powinno cię interesować. Żadnej politycznej sensacji, żadnych ważnych nazwisk, słowem: nic, co można by potem opisać w jakimikolwiek artykule. Nie patrz tak na mnie, nie robię ci wyrzutów. Po prostu wiem, że jesteś dziennikarzem i to dziennikarzem politycznym. A to zupełnie inna bajka.

– Właściwie to byłem dziennikarzem. Straciłem pracę.

– Och, to na pewno tylko przejściowe trudności. – Poławski wyraźnie się zmieszał. – Jesteś zaradnym człowiekiem, do tego młodym, dlatego...

– Panie profesorze, dziękuję – powiedziałem. – Ale nie przyszedłem tutaj po słowa pocieszenia ani tym bardziej po materiał. Wczoraj wieczorem widziałem maszynę Grodlewskiego, poza tym ta sprawa wyraźnie męczy tatę. Chcę się po prostu dowiedzieć czegoś więcej.

– Nie wiem nic więcej, poza plotkami, które wszyscy powtarzają.

– Pracował pan z Grodlewskim... – nie ustępowałem.

– Owszem, pracowałem, ale przy dymarkach. Jeśli chodzi o tamten okres, to dobrze wspominam naszą współpracę. Niemniej Grodlewski

nie wykazywał wtedy żadnych oznak szaleństwa, a tylko zwykłe wyczerpanie psychiczne. Podejrzewam zresztą, że znasz już tę historię.

– Wiem także, że mówił o tunelach biegnących pod Helenowem. Nie umknęło mi, że profesor się zawahał.

– Wszystko to tylko bełkot dogorywającego umysłu. Nie wiem, jak mógł wpaść na równie niedorzeczny pomysł. Prawdopodobnie przeczytał jakąś książkę, w której takie tunele się pojawiały, i te z jakiegoś powodu utkwily mu w pamięci. Nie traktowałbym jednak tego poważnie.

– A maszyneria?

Poławski zamilkł, spojrzał ponad moim ramieniem i popadł w głęboki namysł. Przez chwilę myślałem, że go zdenerwowałem i odeśle mnie precz, ale zaraz potem otworzył furtkę i gestem zaprosił do siebie.

– Nie patrz tak na mnie. – Profesor westchnął. – Widzę przecież, że nie pozbędę się ciebie tak łatwo. Wolę zaspokoić twoją ciekawość i mieć pewność, że nie będziesz już chciał poruszać więcej tego tematu. Tym bardziej, że na pewno wyda ci się całkiem niedorzeczny.

Kiedy wszedłem na posesję, Poławski przed zamknięciem furtki wyjrzał jeszcze na ulicę i rozejrzał się w obie strony.

W domu panował zaduch.

Posiadłość Poławskich od zawsze kojarzyła mi się z jakimś historycznym dworem, ale teraz wyglądała na jeszcze starszą, niż była w rzeczywistości. Stało się to głównie za sprawą obrazów, których przybyło na ścianach od mojej ostatniej wizyty. Najczęściej oprawione w pozłacane ramy, przedstawiały mroczne lasy i skąpane w jakimś dziwnym świetle odległe zamki, których nijak nie umiałem rozpoznać, chociaż nie wykluczałem, że są po prostu pewną wizją artystyczną.

Skierowaliśmy się do gabinetu Poławskiego, do którego przechodziło się przez salon. I właśnie w salonie siedziała pani Zofia, żona profesora. Odruchowo rzuciłem w jej kierunku „dzień dobry”, ale nie zareagowała. Kiedy jej się przyjrzałem, okazało się, że twarz ma poszarzałą, a spojrzenie puste, wlepione w ścianę.

– Proszę za mną – ponaglił mnie Poławski, najwyraźniej poruszony. – Małżonka i tak nie odpowie.

Kiwnąłem głową, czując narastającą grozę tego miejsca. I pani Zofia! Jakie nieszcześnie musiało spotkać tę kobietę? Wciąż pamiętałem ją jako niezwykle energiczną i uśmiechniętą osobę. Od zawsze stanowiła kompletne przeciwieństwo swojego męża, co więc mogło się stać?

Kiedy weszliśmy do gabinetu, Poławski zamknął za mną drzwi i na chwilę zapadły egipskie ciemności: wszystkie okna były szczelnie zasłonięte. A potem zapalił światło.

Otworzywszy usta, chłonałem w niemym szoku otaczający mnie widok.

Wisiąco tu pełno historycznych map, rysunków i czarno-białych zdjęć, a półki wiekowych biblioteczek uginały się pod ciężarem opasyłych tomisk przykrytych grubą warstwą kurzu. Także i na biurku zalegało od groma wszelkich antyków: stary globus zdobiły wbite w niego kolorowe pinezki, a obok stała maszyna do pisania. Większość ksiąg czy notatek dotyczyła historii ziemi helenowskiej, ale nie brakowało także tych poświęconych przeszłości Polski czy świata.

Podszedłem powoli do biurka profesora. Moją uwagę przykuło leżące tam bluźnierczo oprawione tomisko, bez wątplenia zresztą bardzo stare. Było w nim coś ohydneho, coś co sprawiało, że miałem ochotę odwrócić spojrzenie, a jednocześnie czułem pociąg do tego, żeby sprawdzić, co kryje tak plugawa księga.

– Możesz zajrzeć do środka, ale nic nie zrozumiesz – powiedział Poławski zmęczonym głosem, widząc moją natychmiastową fascynację. – Przyszliś to wczoraj z uniwersytetu, poprosili o przetłumaczenie, ale obawiam się, że czeka mnie mnóstwo pracy. W życiu nie widziałem równie dziwnej odmiany arabskiego, a rysunki...

– Może przy innej okazji – mruknąłem, odsuwając z obrzydzeniem dłoń. Pokusiłem się o dotknięcie oprawy księgi, a ta okazała się nieprzyjemnie lepka. – Pan wybaczy, profesorze, ale chciałbym się dowiedzieć więcej na temat meteoru i rzekomych tuneli rozciągających się pod Helenowem.

– Czemu tak cię interesują te tunele, Danielu? Przecież wyraźnie powiedziałem, że nie ma podstaw, żeby sądzić, iż faktycznie istnieją.

– Grodlewski o nich wspominał – zawahałem się, a potem zacząłem grać w otwarte karty. – Poza tym sam wczoraj słyszałem dziwne dźwięki dobiegające spod ziemi.

Poławski zamarł wpatrzony w mapę Helenowa wiszącą na ścianie.

– Gdzie słyszałeś te dźwięki? Może to były tylko odgłosy kanalizacji? – zasugerował bez przekonania.

– Przy gospodarstwie Grodlewskiego, a o żadnej pomyłce nie może być mowy. Poza tym coś próbowało podważyć wąż. Na początku sądziłem, że ktoś tam utknął albo został uwięziony, dobiegły mnie przecież krążące po okolicy niepokojące plotki... Ale potem ojciec powiedział mi o tych tunelach. Połączyłem te rewelacje z zasłyszczanymi przeze mnie dźwiękami i doszedłem do pewnych wniosków.

– To znaczy? – zapytał Poławski zupełnie tak, jakby wcale nie chciał usłyszeć odpowiedzi.

– Otóż, panie profesorze, jeżeli założyć, że te tunele faktycznie istnieją... Jeżeli faktycznie przebiegają w pobliżu gospodarstwa Grodlewskiego, może nawet i bezpośrednio pod jego domem, to proszę sobie wyobrazić, jak to wszystko mogło się potoczyć. Na początku roku stracił żonę, a jego zdrowie psychiczne zostało nadwreżone. Wkrótce potem zaczął jeździć na wykopaliska, pomagał przy pracach nad dy-markami w Helenowie i Kaniach, obcował więc ze śladami starożytnej cywilizacji. Jednocześnie zjawiska akustyczne, być może nawet zwykłe przeciągi w tunelach, nękały go każdej samotnej nocy. Niewykluczone, że słyszał je nawet przez sen; dźwięki dobiegały spod ziemi, zaczął więc wyobrazać sobie starożytne istoty, które mieszkają pod jego domem – dedukowałem dalej. Z każdym kolejnym słowem byłem coraz bardziej pewny, że to wszystko brzmi logicznie. Twarz Poławskiego pozostawała jednak nieprzenikniona. – Wreszcie meteor, który zrujnował jego stodołę! Wszystko to mogło trafić na tak podatny grunt, że jego psychika najzwyczajniej tego nie zniosła. Wyobraził sobie, że obca cywilizacja próbuje się z nim skontaktować, znalazł gdzieś jakieś plany inżynieryjne i teraz próbuje wcielić je w życie.

– Co w takim razie próbowało podważyć pokrywę? – przerwał mi dziwnym głosem profesor. Z szuflady biurka wyciągnął coś, co okazało się kolejną mapą. – Sam wspominałeś o tym, że wyczuliś jakiś ruch pod ziemią.

– Być może gaz...

– Żaden gaz. – Rozwinął mapę, która okazała się przedstawiać topografię Helenowa. Pełno było na niej czerwonych kleksów, rozrzuconych, jak mi się zdało, w losowych miejscach. – Niestety, Danielu, właśnie nie ma mowy o żadnym gazie i dlatego chciałem, żebyś zaniechał drążenia tej sprawy. Skoro jednak już tu jesteś, a to wszystko tak bardzo cię zaabsorbowało, nie pozostaje mi nic innego, jak powiedzieć ci, co wiem. Najpierw ów aerolit: faktycznie spadł w Helenowie, wszystko również wskazuje na to, że nie spalił się do końca w atmosferze. Sam pamiętam białą chmurę, jaką po sobie zostawił na niebie, i falę uderzeniową, która przetoczyła się przez wieś. Na początku baliśmy się, bo zawsze mogło spaść ich więcej. Mimo to ludzie wyszli na ulice. Ślady zniszczeń wskazywały, że meteor spadł tuż za gospodarstwem Grodlewskiego. Twój tata dotarł tam jako pierwszy.

Następnego dnia do wsi zjechało mnóstwo geologów, biologów i fizyków. Każdy z nich chciał dotknąć tego fenomenu, zobaczyć na własne oczy fragment kosmosu. Napotkali jednak pewien problem: meteoryt zniknął. Zniknął, rozpląnął się w powietrzu, przepadł. – Profesor przetarł oczy. – Stała się rzecz równie niewiarygodna, jak po impakcie tunguskim: w miejscu katastrofy drzewa rozłożyły się promieniście, tworząc okrąg, w którego centrum powinny leżeć fragmenty meteorytu. Ale żadnych nie było. Naukowcy nie mogli dojść do porozumienia, próbowano znaleźć jakieś sensowne wyjaśnienie, aż wreszcie pobrano trochę próbek ziemi. I co się okazało?

– Promieniowała? – spróbowałem zgadnąć.

– Dokładnie. Przy czym promieniowała na tyle, by dało się to zaobserwować na licznikach, ale jednocześnie w sposób zupełnie niegroźny. Zabrano więc próbki tej ziemi, obszar ogrodzono, a badania przeniesiono do laboratoriów.



– I co dalej się działo z meteorytem?

– Nic. – Poławski wyraźnie unikał patrzenia mi w oczy. – Nie znaleziono choćby okrucha, a promieniowanie z czasem zanikło. Ale następstwa upadku tego meteorytu, które zresztą sam zdążyłeś pewnie po części zauważyć, okazały się fatalne.

– Ma pan na myśli...

– Dziwnie układające się cienie, kolor promieni słonecznych, szarzące lasy czy wodę w Zimnej, która zaczęła cuchnąć gorzej niż ściek. Tak, dokładnie to mam na myśli, Danielu. Ale to nie wszystko. Widziałeś moją żonę?

– Chce pan powiedzieć, że... – zacząłem, ale profesor znów nie dał mi dokończyć.

– Apatyczna... Ledwo się rusza, nic do niej nie dociera. Przeszła chodzić do pracy. A w nocy potrafi krzyżeć przez sen słowa w jakimś zupełnie obcym języku. Boże! Znałeś ją przecież, wiesz, jaka to była kobieta!

– Owszem – westchnąłem ciężko i oparłem się o biurko. – Panie profesorze, pozostaje pytanie, czy należy łączyć to wszystko z meteorytem? Przecież nie można wykluczyć, że doszło do innej anomalii, zupełnie z nim niezwiązanej.

– Oto jest i dalszy ciąg mojej historii: na początku stycznia udałem się wraz z Alicją na spacer w okolice gospodarstwa Grodlewskiego. O meteorze większość ludzi zdążyła już zapomnieć. Tymczasem coś ciągle nie dawało mi spokoju, miałem uczucie, że przeoczyłem coś niezwykle istotnego. Dlatego wybraliśmy się w miejsce impaktu, żeby obejrzeć to wszystko jeszcze raz. Jak się okazało, w miejscu zdarzenia ziemia się zapadła. Dół miał średnicę mniej więcej dwóch metrów i głębokość prawie siedmiu! – Oczy profesora błyszczały niezdrowo. – Nie było to jeszcze dziwne samo w sobie, podobne zjawiska miały miejsce w Helenowie już wcześniej, ale tym razem osuwisko odkryło coś jeszcze. Po pierwsze charakterystyczna dla tego obszaru gleba łąkowa uległa jakiejś specyficznej przemianie. Wtedy miałem dobry podgląd na przekrój, a było na co popatrzeć. Nawet laik w tych sprawach odczułby niepokój. Poza tym ukazało się także to, co tak cię dręczy...

Poławski zawiesił na chwilę głos, jakby chciał się przygotować na to, co miał zamiar powiedzieć. Po chwili podjął z powrotem opowieść.

– Nie będę już dłużej tego ukrywał. Faktycznie, tunele istnieją, znalazłem nawet wejście do nich. Nie zapuszczałem się jednak w głąb, jedynie zbadałem pobieżnie samo wejście. Mierzyło jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów. Wydawało się stare, bardzo stare; od razu wykluczyłem jakikolwiek związek ze znajduwanymi na terenie Kań czy Helenowa dymarkami. Tamte piece miały góra dwa tysiące lat, tunel zaś wydawał się dużo starszy...

– Określił pan to tak po prostu? – spytałem, krzyżując ręce na piersi.

– Widzisz, Danielu... – westchnął ciężko. – Ludzie w tamtych czasach nie potrafiliby wydrążyć czegoś równie imponującego, mając do dyspozycji jedynie narzędzia z tamtej epoki... Pod warstwą gleby kryje się lita skała i tylko Bóg jeden wie, skąd się pod nią wzięły te tunele. Niemożliwe, by ludzie, którzy zbudowali dymarki, mogli je wydrążyć.

– Do czego pan zmierza?

– Do tego, że tunele, owszem, są. Ale wcale nie jest powiedziane, że są dziełem człowieka.

W gabinecie zapadła cisza.

Patrzyłem uważnie na profesora, licząc, że zaraz wybuchnie śmiechem i powie, że to wszystko żart. Jednak jego twarz pozostawała niewzruszona.

– Chce pan powiedzieć, że...

– Nie chcę nic nawet sugerować. – Profesor podeszedł do biblioteczki. – Rozmyślenia na ten temat pozostawiam tobie. Ale pozwól, że pokażę ci jeszcze dwie pozycje.

Położył na biurku parę woluminów. Pierwszy, bez wątpienia starszy, nosił tytuł „Rzecz o tunelach”, drugi zaś był zatytułowany „Tore zur Unterwelt”.

– Wiesz, do czego zmierzam, Danielu?

– Takie tunele pojawiły się nie tylko u nas... – mruknąłem, przeglądając tę, która była po polsku.

- W istocie. Podobne znajdowano w Bawarii, Styrii czy Szkocji.  
- Podczas wyliczania Poławski miał w oczach jakąś dziwną gorączkę.  
- Zresztą nie tylko tam, ale i w całej Europie, mało tego: jeśli wierzyć księgom, także i ziemie Ameryki Południowej przecina siatka takich tuneli. Zachowało się mnóstwo dzienników z epoki wielkich odkryć geograficznych, które opisują podobne zjawiska. Niektóre są krótkie, liczą sobie po kilkadziesiąt metrów, ale są i takie, które ciągną się kilometrami. Ciężko precyzyjnie określić ich wiek, ale szacunki opierające się zwykle na badaniach kolejnych warstw gleby najczęściej wahają się w granicach dwunastu tysięcy lat. Dwunastu tysięcy! Danielu, wyobraź sobie tylko, jaki to ogrom czasu; pierwszą z piramid w Gizie wybudowano około dwa i pół tysiąca lat przed naszą erą! Tymczasem tunel pod Helenowem może być nawet czterokrotnie starszy...

- Nie mamy co do tego pewności - powiedziałem, choć rzucane przez profesora liczby były przytłaczające. - Panie profesorze, to się da wytłumaczyć na wiele całkiem normalnych sposobów. Podziemne rzeki, ciśnienie, erozja... Nawet nie wiemy, czy tunel, który pan widział, można uznać za podobny do tych opisanych w księgach.

- Nie, nie i jeszcze raz nie. - Poławski przetarł czoło chusteczką.  
- Danielu, o żadnej pomyłce nie ma mowy.

- Co więc pan sugeruje?

- Sam nie wiem... - Profesor się zawahał. - Ale podejrzewam, że dawno temu wylądowali na naszej planecie obcy i to oni pozostawili te tunele.

W innych okolicznościach uznałbym, że rozmawiam z wariatem. Z kimś obłąkanym. Ale poważny ton profesora, ostrożność jego wypowiedzi, a nade wszystko przygniatająca atmosfera gabinetu sprawiły, że jego słowa wydawały się przerażająco prawdziwe.

Sam Poławski zresztą uważnie sondował wzrokiem moją twarz, zapewne w poszukiwaniu pobłażliwego uśmiechu. Kiedy jednak go nie znalazł, odetchnął z ulgą.

- Wierzysz mi? - spytał.

- Sam pan rozumie...

– Rozumiem.

W głowie miałem prawdziwy mętlik. Po raz kolejny ciekawość zwyciężyła z rozsądkiem.

– Ale Grodlewski odkrył te tunele?

– Wielce prawdopodobne – przytaknął.

– I zakłada pan, że coś tam znalazł?

– W rzeczy samej.

– Ale jeżeli natknął się na coś, co oni tam zostawili... Ta maszyna w jego ogrodzie... Panie profesorze, co się tutaj, do cholery, dzieje? – pytałem dalej, coraz bardziej skołowany.

– Nie wiem, Danielu. – Poławski usiadł na krześle pod ścianą. – Jestem już zmęczony całą tą sprawą. Dotychczas nikomu o tym nie mówiłem. Pewne rzeczy... lepiej zostawić samym sobie. Boję się, że im bardziej będziemy drążyć i dochodzić do kolejnych wniosków, tym straszniejsze mogą otworzyć się przed nami perspektywy i w końcu pozostanie nam już tylko palnąć sobie w łeb.

– Do jakich wniosków?

– Widzisz... – Profesor machnął w kierunku spoczywających przede mną książek. – Zakładając, że moja absurdalna teoria o lądowaniu obcych jest prawdziwa, to co z niej wynika? Jedyne ślady, jakie po sobie zostawili, to tunele. Po co je drążyli? Nie mam pojęcia. Bo czy sarna, która w lesie trafi na resztki wykopalisk, jest w stanie zrozumieć, co ma przed sobą? Czy dzikie zwierzę, które przypadkiem wpadnie do kopalni węgla, będzie pojmowało jej przeznaczenie? Nie. I tak samo sprawa może mieć się z nami: dla obcych, którzy wtedy tu wylądowali, wcale nie musieliśmy być inteligentną rasą, choć teraz oczywiście my sami się za taką uważamy. Oni mogli całkiem zignorować naszych prymitywnych przodków i oddać się swoim badaniom. Być może, kiedy w tylko sobie znanym celu drążyli te tunele, nasi pradziadowie patrzyli na nich z równie wielką trwogą, jak sarny, które widzą pracujących w lesie archeologów.

– Czemu tu w takim razie nie wrócili? – spytałem, czując suchość w gardle.

– Och, jest bardzo prawdopodobne, że wrócili. – Poławski uśmiechnął się ponuro. – Jeżeli faktycznie byli tu przed dwunastoma tysiącami lat, to wcale nie jest powiedziane, że to była ich jedyna wizyta. Wystarczy tylko wspomnieć średniowieczne epidemie.

– Co to ma do rzeczy?

– Pamiętasz, co było najbardziej zabójcze dla Indian, kiedy odkrywano Amerykę? – zapytał jakby z innej beczki.

– Panie profesorze, Indianie...

– Choroby, które przywieźli ze sobą Europejczycy. Grypa, dżuma, ospa... Wszystko to dziesiątkowało populację rdzennych mieszkańców Ameryki. Choroby przywiezione przez białego człowieka zabijały równie skutecznie jak broń, którą dzierżył. Być może taki sam wpływ mieli na nas obcy. Przywleczone przez nich wirusy dla nich mogły być niegroźne, a dla nas okazały się zabójcze. Być może sami nie zdawali sobie z tego sprawy, nie znalazło się to w ich kalkulacjach... Zresztą to bez sensu próbować zrozumieć przedwieczny intelekt za pomocą ograniczonego rozumu człowieka.

Chciałem coś powiedzieć, ale profesor nie dał mi dojść do słowa.

– Tak samo ów aerolit, który spadł w Helenowie. Ileż dziwów działo się w tamtym miejscu! A przecież równie dobrze to mogły być po prostu kosmiczne śmieci... Co zresztą w dość przygnębiający sposób podsumowuje naszą zdolność do odróżniania rzeczy cennych od bezwartościowych. Uświadamia, jak bardzo zacofani możemy w tym momencie być.

To powiedziawszy, Poławski zamilkł.

Nie potrafiłem tak po prostu ogarnąć tych przerażających rewelacji, zresztą sam profesor stawał się dla mnie coraz bardziej złowieszczy, bardziej nawet niż jego biedna żona. Bo o ile kobieta po prostu siedziała apatycznie i zachowywała się nieszkodliwie, o tyle profesor wydawał się całkiem przytomny na umyśle. Tym bardziej więc przerażały mnie jego wywody – bluźniercze i odpychające. Jednocześnie sposób, w jaki o tym opowiadał, nadawał tematowi niezwyklej wiarygodności, mimo że przecież sam pomysł z lądowaniem kosmitów w Helenowie wydawał się śmieszny.

Niepokoilo również to, że cała historia układała się w sensowną całość; teoria gazów czy podziemnej rzeki nie przekonywała nawet mnie samego.

Przez długą chwilę trwaliśmy z profesorem w ciszy mąconej tylko przez tykanie starego zegara.

- Ta księga... - zacząłem w końcu niechętnie - którą pan dostał do tłumaczenia... Też jest o tunelach?

- Nie jestem w stanie powiedzieć. - Spojrzał zniesmaczony na leżące tomisko. - Wiem, że szukali jej od dawna. Mieli z tym nielichy problem, bo na świecie zostało tylko kilka egzemplarzy, najczęściej zachowanych w prywatnych zbiorach. Ten tom jest akurat z Uniwersytetu Miskatonic, ale to tylko kopia. Oryginał został napisany rzekomo przez niejakiego Abdula Alhazreda, ale zaginął w pomrokach dziejów. Ta księga pochodzi z trzynastego stulecia... I teraz ja mam to przetłumaczyć na polski.

- Jaki nosi tytuł?

- „Necronomicon”.

Kiedy profesor wypowiedział tę nazwę, z jakiegoś powodu przeszedł mnie nieprzyjemny dreszcz. Uznałem, że czas opuścić ten niepokojący gabinet.

- Panie profesorze... - Wstałem z krzesła. - Bardzo dziękuję panu za gościnę, ale mam jeszcze dzisiaj kilka spraw do załatwienia.

- Rozumiem, nie zatrzymuję. - Połowski uśmiechnął się, ale w jakiś podejrzany sposób. - Danielu, prosiłbym tylko o jedno...

- Słucham?

- Nie rozmawiaj o tym z nikim. Nie chcę, żeby ludzie mieli mnie za wariata.

## 7

Rozmyślania nad odbytą rozmową pochłonęły mnie do tego stopnia, że nawet nie zauważyłem, kiedy zdążyłem wrócić do domu. Taty nie było - według kartki, którą zostawił na stole, poszedł do znajomych. Udałem się więc prosto do swojego pokoju. Tam zamknąłem za sobą drzwi i usiadłem do starego komputera. Nie miałem konkretnego planu; zamierzałem

jedynie poukładać sobie zebrane wiadomości i może przy okazji rzucić trochę światła na sprawę.

Początkowo poszukiwania szły mi opornie; docierałem jedynie do pojedynczych zdjęć i krótkich wzmianek w miejscowej prasie. Wydało mi się to dziwne, wszak w przypadku incydentu czelabińskiego zachowało się wiele gigabajtów materiałów z miejsca zdarzenia. Co zatem sprawiło, że podobne zjawisko, choć nieco mniej efektowne, przeszło w sieci praktycznie bez echa? Wtedy pojawiła się myśl, że może nie jest to przypadek, a efekt celowego działania.

Podążając za tą hipotezą, zacząłem szukać w Internecie jakichkolwiek informacji, jednak bezowocnie; wyniki rozczarowały mnie do tego stopnia, że po kilku godzinach spędzonych przed komputerem zamierzałem się poddać...

...i wtedy wpadłem na to zdjęcie.

Nie było najlepsze. Niewielkie, o słabej rozdzielczości, a jednak ponad wszelką wątpliwość przedstawiało gospodarstwo Grodlewskiego. Zdjęcie wykonano w sierpniu, zaraz po upadku aerolitu, więc posesji nie szpeciła jeszcze kosmiczna maszyna.

Na fotografii gospodarstwo wyglądało tak, jak opisywał je ojciec: skromny wiejski domek stojący zaraz przy bramie; za nim budynek gospodarczy, rozpadający się, ale raczej ze względu na zaniedbanie. Wreszcie stodoła, czy raczej to, co z niej zostało: poczerniała kupa desek, resztki przepalanej więźby dachowej, trochę strzechy. Na zdjęciu otaczała ją taśma policyjna, a za nią krążyli jacyś ludzie, najpewniej naukowcy, o których mówił Poławski. Kiedy już obejrzałem dokładnie fotografię, wszedłem w link podany w opisie obrazka.

Początkowo byłem rozczarowany.

Trafiłem bowiem na jedno z tych forów internetowych, gdzie amatorzy „wiedzy tajemnej” wymieniają się sensacjami. Zostałem przekierowany akurat do wątku poświęconego sprawie Helenowa. Zaskoczyło mnie, że budzi aż takie ożywienie; inne tematy były dość niemrawo omawiane. Tymczasem liczba komentarzy w tej dyskusji przewyższała wpisy w pozostałych o kilkaset.

Zaintrygowany zacząłem czytać wątek od pierwszej strony.

Całą dyskusję otwierało zdjęcie zniszczeń na posesji Grodlewskiego. Autor dość prostym językiem streścił przebieg wydarzeń, które towarzyszyły upadkowi meteoru. Jego opowieść nie odbiegała od tego, co powiedzieli mi ojciec i profesor Poławski.

Dopiero kolejne komentarze wniosły powiew świeżości.

Przede wszystkim forumowicze zaczęli dzielić się swoimi zdjęciami, nierzadko wykonanymi za granicą. Uderzyło mnie przy tym, jak bardzo te obrazy korespondowały z tym, co widziałem na własne oczy. Fotografie z całego świata – wykonane chociażby w austriackiej Styrii, tureckiej prowincji Hakkari czy niemieckiej Bawarii – przedstawiały podobne zjawisko: przymierający krajobraz, poszarzałe rośliny, specyficzne oświetlenie. Jeśli wierzyć opisom, również i zapach unoszący się we wspomnianych okolicach był nieprzyjemny, a przy tym nie kojarzył się z niczym znanym.

W pewnym momencie jeden z polskich uczestników dyskusji wspomniał, że w jego rodzinie od pokoleń opowiada się dziwne historie o Pustyni Błędowskiej. Ten leżący na pograniczu Wyżyny Śląskiej i Wyżyny Olkuskiej obszar znany był w całym kraju ze względu na swój unikatowy klimat. Jednak historie dotyczące pustynnienia tych terenów pozostawiają wiele niejasności. Miejscowe legendy mówiły o diable, który dawno temu zasypał ten obszar piaskiem.

Człowiek ów kontynuował wywód, powołując się na miejscowe kroniki. Jeśli dać mu wiarę, dotarł do klasztornych spisów jeszcze z dwunastego wieku. Natrafił na pewne trudności, gdyż obowiązującym wtedy w piśmiennictwie językiem była łacina, ale uporał się z tym. Wtedy też przekonał się, że w istocie dzisiejsza Pustynia Błędowska niegdyś była gęsto porośnięta wszelkiego rodzaju drzewami. W dokumentach można przeczytać, że „miejscowi chłopci często chodzą do okolicznej puszczy po opał”.

Przetłumaczona przez forumowicza kronika miała opisywać spadającą gwiazdę, która przecięła niebo i zaorała las „niczym pług”.



Gwiazdy tej potem nie znaleziono, choć połamane drzewa jasno wskazywały tor upadku.

Mnisi – jak podejrzewałem, cystersi – opisywali później okolice upadku gwiazdy jako wymierającą i szarzejącą. Drzewa stawały się kruche, łamały się nieraz jak drzazgi. Postępowało pustynnienie obszaru, a co za tym idzie – spowodowało to konieczność zmiany zagospodarowania okolicy.

Pomysł na to pojawił się w momencie odkrycia przez miejscowego proboszcza tunelu, prowadzącego w głąb ziemi, gdzie znalazł bogate pokłady rudy srebra. W dokumentach mowa była o korytarzach biegnących pod powierzchnię. Wkrótce potem zaczęto wydobywać z nowo powstałej kopalni niebywałe wręcz ilości srebra i innych metali, których kolorów mnisi nijak nie umieli opisać.

Relacja dotycząca pustyni wzbudziła żywe zainteresowanie, choć ciągnęła za sobą również i rozczarowanie. Pustynniejące obszary w różnych częściach świata wydawały się być pewną analogią, niemniej nie potrafiąco bezpośrednio powiązać ich z ciągnącymi się pod ziemią tunelami. Ponadto innym forumowiczom brakowało podobnej desperacji, która pchnęłaby ich w kierunku równie skrupulatnych poszukiwań.

W pewnym momencie wątek umarł na jakiś miesiąc. Brakowało nowych poszlak, czegoś, co ożywiłoby temat. Ciszę przerwało dopiero kilka zdjęć wstawionych przez Brazylijczyka, niejakiego Philippe. Mieszkał w małym miasteczku w stanie Acre, w pobliżu którego miały miejsce wykopaliska archeologiczne. Twierdził, że brazylijscy archeolodzy – poza resztkami starożytnych struktur i glinianymi naczyniami – znaleźli także tunel, którego opis pasowałby do schematu. Nikt jednak nie chciał powiedzieć, co w nich znaleziono – teren został ogrodzony, a sami badacze mieli dostać zakaz jakichkolwiek publikacji na jego temat.

Ale którejś nocy Philippe wybrał się na własną rękę w pobliże owych ruin. Brazylijskie władze nie zadbały o odpowiednie zabezpieczenia, a prymitywny płot nie stanowił wielkiego wyzwania dla żądnego wiedzy chłopaka. Sforsował ogrodzenie i uzbrojony w latarkę zagłębił się w tunele.

We wpisie twierdził, że w środku panowała charakterystyczna dla tamtej strefy klimatycznej wilgoć. Samo wejście sprawiało wrażenie raczej jaskini: zarosło bluszczem pełnym wałęsaków, ptaszników oraz owadów, jakich nigdy wcześniej nie widział. Ponoć przyjmowały fantastyczne kształty, których nie dało się ubrać w słowa. W dalszej części tunel wydawał się pusty: nie rosły w nim żadne rośliny, a ze zwierząt natknął się tylko na ogromne nietoperze. Ściany były niezwykle gładkie, a wraz ze sklepieniem tworzyły idealny łuk.

W pewnym momencie korytarz zaczął opadać, a sam Philippe zauważył, że od dłuższego czasu w powietrzu unosi się ohydna woń, która nieprzyjemnie drażniła nos. Ściany stały się bardziej owalne i, co ciekawe, zauważył na nich ślady śluzu. Jak pisał, czuł się w tamtej chwili, jakby brnął przez ogromny układ trawienny; wtedy też zaczął rozważać powrót na powierzchnię. Uznał jednak, że postara się jeszcze trochę przejść, a potem zawróci.

W ten sposób dotarł do komory. Rzekomo pełno w niej było stalowych rurek, miedzianych przewodów i glinianych naczyń, a nad tym wszystkim wznosiła się niezwykła galeria, która jego zdaniem żadną miarą nie mogła być dziełem ludzkich rąk. Na potwierdzenie swoich słów zrobił zdjęcia, które opublikował na forum.

Wzdrygnąłem się.

Komora była największą jaskinią, jaką w życiu widziałem, a przy tym najniezwyklejszą, gdyż całkiem pozbawioną stalaktytów i stalagnatów. Wyglądała bardziej na umyślnie wydrążone pomieszczenie niż przypadkowe dzieło natury. Uczucie niepokoju towarzyszące oglądaniu zdjęć potęgował śluz, który złowrogo połyskiwał w półmroku. Ociekały nim ściany, podłoga, chyba tylko sufit był wolny od tego szkaradzieństwa.

Najbardziej nieswojo poczułem się jednak na widok galerii. Stało na niej mnóstwo dziwnej maszynerii, metalowych pudeł o zgoła kosmicznych kształtach i olbrzymich kryształów. Klejnoty miały w sobie coś niepokojącego, coś, co sprawiało, że nie cieszyły oka i nie budziły podziwu, ale odrazę. Nawet na zdjęciu, w sztucznym świetle latarki chłopaka, wydawały się nie mieć jednego stałego koloru.

Jak pisał Filippe, w pewnym momencie do jego uszu dotarły dziwne dźwięki, dobiegające z sąsiedniego tunelu. Niosły się echem po podziemnej płątaniej przejść, a w swoim tonie miały coś, co dogłębnie go poruszyło. Ciekawość pchała go w tamtym kierunku, ale w obawie, że może natknąć się na pracowników rządowych, zaniechał dalszej eksploracji. Wziął ze sobą jedynie glinianą figurkę, która według jego relacji miała być rozgrzana i pozornie plastyczna. Nie umiał wyjaśnić dlaczego „pozornie”; twierdził, że wydawała się prosta do odkształcenia, ale mimo to nie zmieniała formy.

Potem, kiedy już opuścił bezpiecznie teren wykopalisk, przyjrzał jej się bliżej i stwierdził, że nigdy wcześniej nie widział nic równie szkaradnego. Bez wątpienia była stara, bardzo stara; Filippe obiecał wgrać jej zdjęcia, ale tego nie uczynił. Być może znudził się tematem? Albo miał kłopoty?

Pchany typową dla mnie ciekawością odnalazłem nazwisko Filippe w dziale, gdzie nowi użytkownicy przedstawiali się innym, a następnie zacząłem szukać chłopaka na portalach społecznościowych.

Nie było to proste zadanie; Filippe okazał się być osobą o dość pospolitym w Brazylii nazwisku: Silva. Do odnalezienia go trzeba było przefiltrować niektóre dane przez pryzmat domniemanych zainteresowań. Kiedy w końcu dotarłem do właściwego profilu, miałem nadzieję, że wreszcie cała ta tajemnicza sprawa nabierze rozpędu.

Zastane informacje w kilku zdaniach przekreśliły moje nadzieje. Otóż Filippe Gonzalo Silva, zapalony archeolog amator, historyk i miłośnik fantastyki, po miesięcznej hospitalizacji w szpitalu psychiatrycznym popełnił samobójstwo.

## 8

Kiedy dwie godziny później wstałem wreszcie od komputera, nie czułem niczego prócz potwornego wyczerpania. Bolały mnie oczy, a głowa huczała od nadmiaru zdobytych informacji, wśród których najbardziej niepokojąca była spójność wszystkich znalezionych opowieści, ich schematyczność. Oczywiście zdarzały się różnice, ale najczęściej niewielkie,

nie mające żadnego znaczenia dla sprawy. I te teorie o obcych sprzed wieków...

- Boże - mruknąłem, wyglądając przez okno. Uświadomiłem sobie dwie rzeczy: byłem głodny i miałem ochotę na whisky. Wyłączyłem więc komputer, zasunąłem krzesło i szedłem do kuchni.

Jak się okazało, parter domu pogrążony był w ciemności. Tata nadal nie wrócił. Uznałem więc, że pierwszą szklankę wypiję sam.

Na plan wpadłem dokładnie w momencie, w którym otwierałem znalezionej w ojcowskim barku butelkę. W pierwszej chwili przeraziła mnie jego śmiałość, ale już po chwili zacząłem obmyślać szczegóły.

Na początek musiałem tylko znaleźć w piwnicy latarkę i łom...

## 9

Ojciec wrócił niecałe dwie godziny później.

Nie wyglądał na zrelaksowanego czy wypoczętego; w świetle dochodzącym z przedsiionka wydawał się raczej zrezygnowany. Siedząc w ciemnościach salonu, obserwowałem, jak zdejmuje najpierw buty, a potem znoszoną skórzaną kurtkę. Po wejściu do pokoju aż podskoczył, gdy w blasku zapalonego światła zobaczył mnie na kanapie.

- Daniel! - Złapał się za serce. - Czemu mnie straszysz?

- Musiałem zebrać myśli - powiedziałem, wzruszając ramionami. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że whisky osłabiła mój umysł i zacząłem mówić bełkotliwym tonem: - Wiesz, przeczytałem trochę o tych tunelach, o meteorycie... Porozmawiałem także z profesorem Poławskim, podzielił się ze mną ciekawymi spostrzeżeniami. Widziałem też jego żonę.

- Biedna Zofia. - Ojciec z ciężkim westchnieniem zanurzył się w fotelu. - Słyszałem, że podupadła na zdrowiu?

- Wrak człowieka.

- Taka piękna kobieta! Szkoda. Spotkałeś Alicję?

- Nie, nadal przebywa w Warszawie, profesor powiedział, że ma problemy z sesją. Ale szczerze mówiąc, nie wierzę w to - stwierdziłem.

– Dlaczego? Sam nieraz miałeś poprawki, a przecież dobrze się uczyłeś... Zresztą z jakich powodów miałyby okłamywać ojca? Z tego, co mi wiadomo, mieli dobry kontakt.

– Och, ciągle mają. – Gestem zaproponowałem ojcu whisky, ale odmówił. – Alicja jest osobą bardzo towarzyską, bardzo rodzinną... Podejrzewam więc, że nie chodzi o stosunki z ojcem, ale o to, gdzie ten ojciec mieszka. Nie patrz tak na mnie, doskonale znasz moje zdanie o Helenowie. Ale nie w tym rzecz – wycofałem się, widząc wyraz twarzy ojca. – Sądzę, że Alicja podświadomie czuje, że ta miejscowość jest trapią jakąś straszliwą chorobą, którą pewnie sam zaobserwowałeś. Nie, nie próbuj nawet zaprzeczać: widziałem wczoraj jednego z mieszkańców. Był kompletnie zdegenerowany.

Nawet jeśli ojciec faktycznie chciał zaprotestować, prawie natychmiast porzucił ten pomysł. Zdawało mi się, że tylko jeszcze bardziej zapadł się w fotelu.

– Podobnie żona Poławskiego. Spędza tu niemal cały czas, bo przecież nie pracuje i zamiast tego dogląda domu. Grodlewski natomiast, według waszych relacji, całkiem stracił zdrowie psychiczne. Przypuszczam, że epicentrum tej niszczącej anomalii znajduje się w okolicach jego gospodarstwa. Wreszcie ty sam, tato... Wybacz, ale wyglądasz, jakbyś postarzał się nagle o dziesięć lat. I tak jesteś relatywnie zdrowy, a w każdym razie zachowałeś jasność umysłu. Podejrzewam zresztą, że z tych samych powodów, co Poławski: całe dni spędzacie w Warszawie, a do Helenowa wracacie tylko na wieczór. W tym wszystkim zastanawia mnie jedynie zachowanie psów: one wydają się nie zwracać uwagi na fakt, że środowisko umiera.

– Danielu... – powiedział ojciec po jakimś czasie. – Nie będę zaprzeczał, że w Helenowie dzieje się coś dziwnego, nie jestem głupi, tym bardziej ślepy. Ale obawiam się, że w swoich wnioskach zaczynasz posuwać się w zbyt niebezpiecznym kierunku.

– Co masz na myśli, tato?

– Zmierzasz do tego, co Grodlewski. – Pokręcił głową i ostatecznie jednak nalał sobie whisky. – Za chwilę zaczniesz opowiadać, że

znalazłeś niezbite dowody na istnienie... Jak to było? Ach, tak: „rasy bogów”. „Wielkich Przedwiecznych”, jak to ujął Poławski. Czyli po mojemu: zaczniesz mówić o ufoludkach. Zamiast podążać normalnym torem dedukcyjnym, zaczniesz szukać sensacji...

- Nie mówiłem nic o obcych - przerwałem mu. - I nie zamierzałem mówić, choć przyznaję, że przyszło mi coś takiego do głowy.

- Jakie masz więc wytłumaczenie?

- Nie mam żadnego sensownego - odpowiedziałem. Nieco zbyt głośno odstawiłem szklanicę na stół. - Ale widzisz, kiedy próbuję poskładać to wszystko w całość, natrafiam na luki, braki, puste strony w mojej głowie. Koła zębate, które nie potrafią zaskoczyć i poruszyć mechanizmu zdolnego do rozwikłania tej zagadki. I wiesz, czego się boję? Że być może tak naprawdę jestem w stanie to wszystko wyjaśnić... Tylko podświadomie się przed tym wzbraniam. Organizm człowieka potrafi wykreować rozmaite formy ochrony przed wirusami, dlaczego więc mózg miałby nie być zdolny do analogicznego działania? A co jeśli, dajmy na to, w moim umyśle ta cała układanka ułożyła się i okazała tak przerażająca, że wyparłem ją...?

- Danielu, idź spać. - Ojciec również odstawił szklankę i podniósł się z fotela. - Zaczynasz gadać od rzeczy.

- Tato, to nie jest normalne! Widziałeś przecież ogród, wszystko jest szare, niszczeje, umiera...

- To może być kwestia gleby albo skażonej wody. Niedaleko powstała oczyszczalnia ścieków, mogło dojść do jakiejś awarii, przez którą okolica jest regularnie zatrutowana...

- Wierysz w to? - zirytowałem się.

- Wierzę w to, że jestem zmęczony - westchnął ciężko ojciec. - Danielu, weź się w garść. I tak mam wystarczająco dużo problemów, nie dokładaj mi ich, proszę, opowieściami o kosmitach.

- To nie...

- Dobranoc, Danielu - powiedział, wchodząc po schodach na piętro. - Jutro, jeśli będziesz chciał, przejdziemy się do tej oczyszczalni.

Zniknął mi z oczu, usłyszałem dźwięk zamykanych drzwi sypialni, a wkrótce potem stłumione skrzypienie sprężyn. Wiedziałem, że nie mogę działać w pośpiechu, dlatego odczekałem jeszcze dwadzieścia minut, zanim nabrałem pewności, że ojciec faktycznie mógł już zasnąć.

Założyłem stare buty jeszcze z czasów studiów. Były już mocno zniszczone, ale wciąż wygodne i, co ważniejsze, przystosowane do chodzenia po błocie. Szybko narzuciłem kurtkę, cicho nakazałem psom siedzieć w domu i wyszedłem. Pozostało tylko zamknąć drzwi i wyciągnąć wcześniej ukryte w ogrodowych krzakach rzeczy. Sam nie do końca wiedziałem, po co ta ostrożność, niemniej przecucie nakazywało mi dochowania wszelkiej tajemnicy.

Z łomem w jednej ręce i latarką w drugiej wyszedłem na ulicę Helenowa i po raz kolejny uświadomiłem sobie, że nocą wieś jest miejscem nader złowrogim. Otulona odhumanizowaną ciszą wydawała się jeszcze bardziej wyludniona niż za dnia; pochylone, niszczące domy ciągnęły się wzdłuż ulic, tworząc ponury labirynt. Rozlewające się po chodnikach pomarańczowe światło latarni w zetknięciu z zalegającymi tu i ówdzie śmieciami tworzyło groteskowe cienie, nieraz padające pod zupełnie absurdalnym kątem.

Nic jednak nie przerażało mnie tak bardzo, jak te poszarzałe drzewa: mimo całkiem bezwietrznej pogody kotływały się złowieszczo, każde w innym kierunku.

I choć ulice wydawały się zupełnie opustoszałe, nie mogłem pozbyć się niepokojącego przecucia, że jestem stale obserwowany. Parę razy obejrzałem się przez ramię, ale nie spostrzegłem niczego oprócz kilku nocnych ptaków i kota. Zwierzęta poruszały się cicho na granicy cienia, jakby umykały nie tylko przed moim spojrzeniem, ale czymś jeszcze. Nie traciłem jednak czasu na próżną obserwację. Na szczęście szkocka zdążyła uderzyć mi do głowy i skutecznie stłumiła lęk. Dlatego też nie zatrzymywałem się aż do gospodarstwa Grodlewskiego. Tam – kiedy znowu przyszło mi spojrzeć na skąpaną w bladym świetle księżycy maszynię – zacząłem szukać znajomego żeliwnego włazu. O dziwo, było to o wiele trudniejsze, niż podejrzewałem – jak się okazało, ktoś

nieudolnie próbował zamaskować wąż świeżym piachem. Kim był ów ktoś, mogłem się tylko domyślać, niemniej nie marnowałem na to czasu: zabrałem się do pracy.

Gwiazdy tej nocy świeciły wprawdzie jasno, ale i tak przy podważaniu włazu łomem pomagałem sobie latarką. Jej światło było mocne, dlatego nie umknęło mojej uwadze, że pada pod skrzywionym kątem, jakby przechodziło przez tafłę wody. Kiedy pokrywa wreszcie odskoczyła i odsłoniła kryjącą się pod nią ciemność, uderzył mnie odór tak okrutny, że natychmiast odruchowo się odsunąłem. Trudno opisać ten fetor; wyobraźnia podsunęła mi ohydny obraz cuchnącego morza pełnego śniętych ryb i chyba dobrze oddawało to istotę tego zapachu. W końcu jednak przemogłem się i podszedłem do ziejącej w ziemi dziury.

Nawet w świetle latarki nie było widać zbyt wiele. Na ścianach pionowego kanału zamocowano uchwyty, które tworzyły prymitywną drabinkę. Ciągnąłem się głęboko w dół – znacznie głębiej, niż przypuszczałem. Światło nawet nie muskało dna, chociaż ledowa latarka świeciła bardzo mocno. W jej promieniu pojawiło się jednak coś innego: gęste opary dziwnego gazu ciągnące od ciemności. To właśnie one niosły ze sobą zapach rozkładu i coś, czego nie potrafiłem nazwać. Wahałem się bardzo długo, w tych okolicznościach każdy krok wymagał ode mnie sporej odwagi. W końcu jednak przemogłem się i zdawszy sobie sprawę z własnego szaleństwa, zacząłem opuszczać się w ciemność.

Wydawało mi się, że zejście na dno tego Hadesu trwa w nieskończoność; w pewnym momencie czułem przemożną chęć, żeby zawrócić i tylko wrodzona ciekawość sprawiła, że nie zaniechałem swojej wyprawy. Nieraz zdarzył się brak szczebla; musiałem wtedy ostrożnie błędzić po omacku stopą, szukając oparcia. Trud jednak się opłacił i w końcu dotarłem do twardego gruntu. Właściwie nie należało mówić o gruncie, ale raczej o posadzce: jakkolwiek nie znałem materiału, na którym stałem, to przez analogię uznałem go za coś zbliżonego do cegły.

Znalazłszy się w czymś w rodzaju ogromnej studni, jąłem rozglądać się za jakąś drogą, która by stąd odchodziła; jeśli bowiem ktoś trudził się na tyle, żeby stworzyć taką konstrukcję sięgającą w głąb ziemi,



wątpilem, by na tym poprzestał. I miałem rację: po mojej prawej stronie znajdowała się kolejna czeluść, tym razem biegnąca już w poziomie.

Choć wiedziałem, że to może nie być najlepszy z moich pomysłów, zagłębiłem się w ciemność przede mną. Światło latarki zachowywało się tu fascynująco – łamało na wszelkie możliwe sposoby, dryfując w kierunku czegoś niemal namacalnego. Sam korytarz był specyficzny: brakowało w nim bocznych wyjść, a ściany – na oko chropowate – w dotyku okazały się zupełnie gładkie. Do tego duszący, drażniący nozdrza zapach nie słabł ani na chwilę. Nie wykluczałem, że do pewnego stopnia wpływa on na moje postrzeganie świata. Jednocześnie atmosfera tego miejsca nasuwała niepokojące myśli związane z tym, czego dotychczas się dowiedziałem. Wśród tych myśli pojawiała się relacja Filippa Silvy, którego zdjęcia stworzyły w mojej świadomości pewną wizję tego, co mogło mnie czekać na końcu korytarza. Zresztą nie wierzyłem już, że znajduję się w strukturach wytworzonych pracą człowieczych rąk. Co prawda był to po prostu tunel, który przez cały czas wił się i zakręcał, ale w niewytłumaczalny sposób wydawał się taki... nieludzki.

W końcu tunel się skończył i przeszedł w przestrzeń tak ogromną, że przez chwilę sądziłem, iż znów jestem na powierzchni. Dopiero kiedy skierowałem światło latarki w górę, ujrzałem, że wciąż mam nad sobą sklepienie – gładkie aż do przesady, jakby wyszlifowane. Musiałem trafić do jakiejś komory; przy czym nigdy nie widziałem czegoś równie niesamowitego. W pewnym momencie posadzka kończyła się nagle urwiskiem, ale nie znaczyło to wcale, że znalazłem się w ślepym zaułku: wzdłuż ścian biegła swego rodzaju galeria prowadząca zapewne do innych korytarzy.

Centralny punkt komory stanowiła więc ziejąca otchłań, z której wyrastał potężny, monolityczny obelisk; u jego podnóżu coś chlupotało w niepokojąco znajomy sposób. Wydawał się rozszerzać ku dołowi, a jego architektura była tak obca, że z trudem potrafiłem wytrzymać, patrząc na to.

Obelisk ten przypominał nieco wielostopniową raketę kosmiczną, choć zbyt wiele w nim było organicznych kształtów, żeby uznać go za maszynę *sensu stricto*. Poza tym, choć nie widziałem tego wyraźnie, twórca

najwyraźniej przyprawił tej konstrukcji także coś w rodzaju szczątkowych skrzydeł. Przypominały nieco te należące do myśliwców odrzutowych, choć końce miały poszarpane, a z głównym kształtem połączone zostały – jak się zdaje – kamiennym wyobrażeniem błony. Najbardziej nie pasowały w tym wszystkim guzowate wypukłości, pokrywające obelisk od rogatego czubka, aż po sam dół. Było w nich coś nieprzyjemnego, wywołującego uczucie niepokoju. Miałem dziwne przecucie, że każdy mój ruch jest obserwowany. Jeden fakt nie ulegał wątpliwości: to właśnie tutaj swoje źródło miały plugawe wyziewy. Być może to dlatego wciąż nie popadłem jeszcze w szaleństwo czy zapomnienie – powalający smród przypominał mi, że jestem tylko człowiekiem.

Zacząłem iść ciągnącą się wzdłuż ścian galerią, choć teraz, mając podejrzenia, jak głęboki może być wykop, pilnowałem się na każdym kroku. Świadomość tego, że mały błąd może kosztować mnie życie, była najlepszym chłodziwem na rozgrzane emocje.

Każdy mój krok odbijał się echem w ogromnej sali. Oprócz tego, zasadniczo panowała cisza; dopiero kiedy zacząłem zbliżać się do kolejnego korytarza, do moich uszu dobiegł przytłumiony szcęk kół zębatych i syk, który skojarzył mi się z gigantyczną maszyną parową. Źródłem dźwięku mogła być tylko konstrukcja Grodlewskiego – znałem więc, że ów agonalnie poskręcany tunel musi w jakimś stopniu wić się pod jego gospodarstwem. Po krótkim namyśle skierowałem się w tamtą stronę.

Kolejny korytarz nie odbiegał konstrukcją od poprzedniego, zresztą nie wyobrażałem sobie, by mogło być inaczej. Gdzieś z tyłu głowy jakiś instykt kazał mi wierzyć, że owa sieć jest dziełem jednego intelektu mającego wiedzę i narzędzia niedostępne dla ludzi. Profesor Poławski wspominał, że te tunele wydają się starsze od dymarek – teraz byłem tego pewien. Pomimo świetnie zachowanej struktury epatowały archaicznością, choć archaicznością specyficzną, bo całkiem pozbawioną jakichkolwiek ozdób. Zastanawiałem się nad tym przez chwilę i doszedłem do wniosku, że brak chociażby najprostszych reliefów mógł przesądzać o tym, iż eksplorowane przeze mnie tunele miały kiedyś charakter użytkowy, nie estetyczny. Ozdoby mogły, rzecz jasna, zaniknąć wraz z upływem czasu na

skutek wietrzenia, niemniej nie dawałem temu wiary. Powstawał jednak inny problem: jakim cudem to wszystko przetrwało? Wszak nawet mimo braku ingerencji człowieka wciąż pozostawały procesy mechaniczne czy specyfika podziemnego klimatu, które na dłuższą metę okazywały się zwykle zabójcze dla wszelkich konstrukcji biegnących pod powierzchnią. Ostatecznie uznałem, że tunel najpewniej zakonserwowano w nieznanym mi sposób. Szedłem więc dalej, czując gęstniejącą we mnie mieszaninę strachu i podekscytowania. Tym większe zaskoczenie przeżyłem, kiedy minąłem róg korytarza i niemal wpadłem na drabinę.

Nie była w żaden sposób podobna do tej, po której zszedłem do podziemi. Stała oparta luzem o ścianę, a wykonana była z butwiejącego drewna parszywej jakości. Okazało się też, że jest zaskakująco krótka. Szukając przyczyn takiego stanu rzeczy, spojrzałem na sklepienie i wtedy zorientowałem się, że jest wydrążone. Nie przyczynił się do tego jednak ten sam umysł, który stworzył te przerażająco fantastyczne korytarze; tutaj wyrobisko zostało wykonane bez jakiegokolwiek finezji. Ktoś oczywiście wyrębał sobie drogę na dół. Co za tym idzie, chodnik, który teraz przemierzałem, w pierwotnym zamyśle kończył się w tym miejscu. Tylko kto w takim razie miał w sobie na tyle desperacji, żeby przerywać się do tunelu przerywać się do tunelu...?

Godlewski. Biedny, na wpół oszalały starzec. Musiał usłyszeć jakiś dźwięk spod ziemi, być może ów chlupot, który rozlegał się wokół tamtego straszego obelisku, a który niósł się echem. Słuchając w nocy nieznanymi odgłosów, musiał powoli popadać w obłąd, a skoro zszedł tutaj, skoro ujrzał ohydny obelisk, to całkiem prawdopodobne, że właśnie przez to do końca stracił możliwość racjonalnego postrzegania świata. Jeżeli nawet ja, obyty z różnymi okropieństwami dziennikarz, ledwo potrafiłem znieść kosmiczny horror tego tworu, to co dopiero prosty rolnik...

Niewiele myśląc, zacząłem wspinać się ostrożnie po drabinie. Łoskot maszynerii był tutaj głośniejszy. Dotarwszy do klapy wejściowej, napotkałem opór; dopiero po zdecydowanym naporciu ta ustąpiła, z hukiem przewracając blokującą ją skrzynię.

W piwnicy, w której się znalazłem, panował bałagan: wszędzie wały się przeżarte rdzą sprzęty domowego użytku, narzędzia rolnicze, nawet jakiś rower. Pod betonową ścianą stały półki zastawione do połowy przykurzonymi słoikami. W części z nich zamiast przetworów znajdowały się dziwne, metalowe cylindry, których przeznaczenia nijak nie umiałem odgadnąć. Nie pasowały do reszty zgromadzonych przedmiotów – biło od nich coś kosmicznego, coś, co nakazywało mi odwrócić wzrok i zapomnieć o nich jak najszybciej. Skierowałem więc światło latarki na sufit, gdzie z kolei na lepkiej pajęczynie siedział największy pająk, jakiego w życiu widziałem. Wzdrygnąłem się, ale po chwili obrzydzenie pokonała fascynacja. Po dokładnym przyjrzeniu się owadowi stwierdziłem, że nie tylko jest niepospolitego rozmiaru, ale ma również dziesięć odnóży, zamiast zwyczajowych ośmiu. Przezroczyste blaszki na odwłoku przypominały nieco mrówcze skrzydła, choć wątpiłem, żeby pająk był w stanie latać. Niemniej jego wygląd, noszący znamiona mutacji, tylko potwierdzał tezę, że im bliżej domniemanego miejsca upadku meteorytu, tym dziwniejsze rzeczy się dzieją. Przez to mój głód wiedzy, zamiast przygasnąć, został tylko jeszcze bardziej podsycony.

Wiedziałem, że nie powinno mnie tu być. Nie tylko dlatego, że *de iure* włamałem się właśnie do czyjś domu, ale również dlatego, że miałem niejasne przeczucie, iż „coś” – jakaś bliżej nieokreślona groza – wcale nie chce, żebym tu był. Budynek drżał nieznacznie, wprawiany w rezonans kosmiczną maszyną Grodlewskiego, a w powietrzu unosił się słodkawy zapach rozkładu. Odnalazłem w ciemnościach prowadzące na piętro schody i ze zgrozą spostrzegłem, że noszą nieregularny ślad zacieku, który prowadził aż do drzwi.

Kiedy podszedłem, okazało się, że są uchylone, a na klamce również widnieją plamy opalizującego śluzu. Z najwyższym obrzydzeniem pchnąłem je, otwierając sobie przejście do reszty gospodarstwa.

Ślad ciągnął się dalej przez korytarz, salon i urywał się dopiero przy drzwiach do – jak podejrzewałem – sypialni. Powoli zaczynałem uświadamiać sobie rozmiary tego, co zostawiło trop. Już wtedy powinienem był zawrócić. Jednak w momencie, gdy podjąłem decyzję o powrocie

do tuneli, usłyszałem głuchy łoskot. Nie był to hałas wywołany upadającym przedmiotem; raczej jakby coś ciężkiego zsunęło się na podłogę, a potem wierzgnęło. W tym samym momencie rozległ się krzyk.

Zresztą nie krzyk: wrzask. Brzęknęło szkło, coś ciężkiego przesunęło się po podłodze. Zakołysało wiszącymi na ścianie starymi obrazami. Usłyszałem przytłumione odgłosy szamotaniny, które umilkły równie nagle, jak się zaczęły.

W jednej chwili pożałowałem, że w ogóle zszedłem do tych przeklętych podziemi. W przerażeniu wpatrywałem się w drzwi i prosiłem Pana, żeby nigdy się nie otworzyły, żeby to wszystko okazało się po prostu moim kolejnym koszmarnym snem... I wtedy z pokoju zaczęły dobywać się te straszne dźwięki.

Nie potrafiłem ich opisać: brzmiało to tak, jak gdyby potwornej wielkości mięczak używał swojej chitynowej tarki do ścierania masy organicznej. Dziwne młaśnięcia i ohydny, stłumiony dźwięk łamanych kości wywoływały w moim umyśle tak przerażające obrazy, że przez chwilę miałem ochotę się rozplakać. A kiedy już wydawało się, że mój umysł nie będzie musiał znosić nic gorszego, usłyszałem ten nienawistny głos. Był jak tysiąc igieł wbijających się w serce, a zdawał się powtarzać tylko jedno: *Na'ghazu*.

Zaraz potem usłyszałem ssąco-młaszczący odgłos przesuwającego się cielska.

W panice rozejrzałem się za jakąkolwiek drogą ucieczki i pobiegłem do kuchni. Była najbliżej, a ja za wszelką cenę chciałem uniknąć powrotu do tuneli; cokolwiek tu grasowało, ponad wszelką wątpliwość przyszło właśnie stamtąd.

Wpadłem jak burza, zatrzasnąłem drzwi i widząc, że nie mają nawet najprostszej zasuwy, zacząłem przepychać lodówkę, żeby choć trochę zabezpieczyć swoje schronienie. Przewróciłem też jakieś szafki, cisnąłem parę przypadkowych przedmiotów, aż wreszcie przysiadłem skulony w kącie i zacząłem szlochać.

Cokolwiek przebywało w tym przeklętym domu, wysunęło się na korytarz. Upierne trzeszczenie desek aż nadto wyraźnie sygnalizowało,

że stwór zbliża się do mojej kryjówki. Wreszcie znalazł się pod samą kuchnią; poczułem obrzydliwy fetor, a przez szczelinę przy podłodze zaczęła przeciskać się ohydny opar. Milczałem, bojąc się nawet odetchnąć. Czułem, że monstrum w każdej chwili mogłoby sforsować moją śmieszna barykadę.

Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę obcy stał tam i bełkotał w swoim plugawym języku. W końcu jednak z jakiegoś powodu zrezygnował; usłyszałem, jak odstępuje od kuchni i wypelza na zewnątrz, wciąż powtarzając złowrogie: *Na'ghazu*. Niechętnie, wciąż targany dziwną febrą, podniosłem się i wyjrzałem przez okno. Nie mogłem się powstrzymać: musiałem wiedzieć, z czym przyszło mi się mierzyć.

To, co zobaczyłem, na zawsze wypaliło się w mojej pamięci; w życiu bowiem nie widziałem równie pokracznej istoty, która samym swoim wyglądem stanowiłaby potwarz dla jakichkolwiek praw natury. Długa na około trzy metry, przypominała olbrzymiego, pozbawionego muszli ślimaka wzbogaconego o szczytkowe skrzydła na obślizgłym grzbiecie i parę pajęczych odnóży. Mógłbym też przysiąc, że gdy stwór odwrócił się w moim kierunku, u spodu obmierzonego cielska widziałem obleśny pysk z rzędami chitynowej tarki. Światło księżycza załamywało się na potworze w podobny sposób, jak promień mojej latarki czynił to w tunelach. Być może to ten śluz...?

Miałem wrażenie, że całe wieki minęły, zanim wreszcie odważyłem się opuścić kuchnię. Paraliżował mnie okrutny strach, ale przecież wiedziałem, że nie mogę tracić czasu – musiałem koniecznie dowiedzieć się, co wydarzyło się w pokoju Grodlewskiego.

Najpierw jednak zamknąłem drzwi frontowe na klucz i dopiero upewniwszy się, że jestem względnie bezpieczny, udałem się do pokoju starego rolnika. Spojrzałem jeszcze na ekran telefonu, ale chociaż nie miałem już nad sobą kilku ton ziemi, wciąż nie łapał zasięgu. Mogłem liczyć tylko na siebie.

Wziąłem więc głęboki oddech i wszedłem do pokoju.

Było ciemno; tylko przez brudne okno przedostawała się do środka trupioniebieska poświata księżycza. Padała prosto na podłogę

i rozciągnięty na niej ciemny kształt, względem którego od razu nabrałem najgorszych przeczuc. Ze ściśniętym żołądkiem namacałem w mroku włącznik lampy. Kliknąłem go, a chwilę później stara żarówka zapaliła się z cichym brzękiem, zalewając pokój słabym światłem. Odstoniła tym samym kurtynę ciemności, potwierdzając jednocześnie moje wszelkie podejrzenia co do szaleństwa Grodlewskiego.

Ściany pokryte były wycinkami z gazet, książek, rzadziej jakimiś fotografiami. Stojące w kącie biurko ugięło się od woluminów, o których posiadanie starego rolnika raczej bym nie posądzał. Po podłodze walały się szklanki i niedopałki papierosów. Nic jednak nie potrafiło odciągnąć mojej uwagi od tego, co zalegało na podłodze.

Nie był to człowiek, a w każdym razie nie do końca; jeżeli bowiem zniekształcona twarz wciąż zachowała swój ludzki charakter, o tyle klatka piersiowa i nogi zostały zdewastowane. Sflaczałe, rozciągnięte ponad miarę, wydawały się całkiem pozbawione kości. Mostek przecinała długa krecha rany, z której jak świeży pęd wyrastała niewielka oślizgłość, przypominająca – jak sobie ze zgrozą uświadomiłem – ślimaczą nogę. Wszystko wskazywało na to, że miałem przed sobą coś, co znajdowało się w stadium przejściowym między człowiekiem a jakąś okropnością. Niemniej było to również martwe: rozległe obrażenia wykluczały jakiegokolwiek szanse na przeżycie. Przynajmniej w przypadku tej ludzkiej części.

Nie potrafiłem jednak oderwać wzroku od twarzy. Od tej skrzywionej w bólu karykatury człowieka, który w latach mojej młodości nieraz przeganiał mnie ze swego sadu.

Nie potrafiłem oderwać wzroku od twarzy Grodlewskiego.

## 10

Kierowany przyzwyczajoną nakryłem zwłoki starca prześcieradłem.

W normalnych warunkach czułbym żal, ale teraz ogarniało mnie tylko potworne wyczerpanie. Nie miałem jak wezwać policji, a perspektywa ucieczki nie napawała optymizmem. Opcje miałem dwie: jedną było wyjście na podwórko, gdzie najpewniej wciąż grasował ohydny brzuchońóg, drugą zaś – powrót do podziemi. Ta ostatnia możliwość odpychała

mnie jednak jeszcze bardziej – nie wyobrażałem sobie ponownego zejścia do tuneli, gdzie nawet światło nie zachowywało się tak, jak powinno.

Na biurku, pośród książek, znalazłem niewielki zeszyt. Nie podejrzewałem, żeby stary rolnik prowadził szczegółowy dziennik, ale jeżeli znalazłbym tam chociaż krótkie wzmianki dotyczące tej dziwnej maszynierii przed jego domem... Cały czas słyszałem przekłęty wizg i terkot dobiegające z zewnątrz, które zresztą zdawały się nasilać; teraz miałem wreszcie szansę dowiedzieć się, co to wszystko oznacza.

Przesunąłem biurko, blokując nim drzwi do pokoju. Wydawało się wystarczająco ciężkie, żeby dać mi czas na ewentualną ucieczkę przez okno, w razie gdyby to coś zechciało wrócić. Zgasilem światło w pokoju i usiadłem w kącie. Przyświecając sobie latarką, zabrałem się do lektury.

## **5 sierpnia 2015 r.**

*Piszę, bo chyba zaczynam wariować.*

*Wczoraj za naszą wsią spadł meteoryt. Tak przynajmniej twierdzą specjaliści, którzy od rana kręcą się po moim gospodarstwie. Zbadali już to, co zostało po stodole, teraz chyba pobierają próbki ziemi z gajku za gospodarstwem, gdzie padły wszystkie młode brzoźki. Nie wydaje mi się, żeby znaleźli krater, chociaż są zawzięci. Przez chwilę myślałem, żeby powiedzieć im, co widziałem, ale przecież uznaliby mnie za idiotę. Zresztą nie dziwiłbym się im.*

*Poprzedniej nocy znowu słyszałem głosy spod ziemi. Wydaje się, że najlepiej słychać je było w piwnicy, ale głowy nie dam. Żle się ostatnio czuję, ciągle dręczą mnie koszmary. Uznałem, że wyjdę się przewietrzyć, noce są ostatnio bardzo ciepłe. Ale kiedy wyszedłem przed dom, poczułem się jeszcze dziwniej niż w środku: powietrze zdało mi się jakieś inne, jakby naelektryzowane. Dopiero po chwili zauważyłem, że Majcher nie zwrócił na mnie uwagi, a przecież to czujny pies.*

*I wtedy spojrzałem na niebo.*

*Dobry Boże! Gdybym sam tego nie widział, nie uwierzyłbym! Chciałbym umieć opisać to, co widziałem, ale do tego nie wiem, jak zdolny musiałbym być!*



*Niebo zagięło się nade mną, a w każdym razie takie odniosłem wrażenie: na co dzień płaskie, wtedy miało kształt podobny do odwróconej miski. Zostałem otoczony przez gwiazdy; zbliżyły się do mnie tak, że byłem w stanie dosięgnąć ich ręką. Jedne świeciły jasno jak słońce, inne przybierały kolory tak niezwykle, że nie potrafię ich opisać. Chyba właśnie wtedy meteoryt uderzył w Helenów, ale nie jestem pewny – straciłem przytomność. Kiedy się obudziłem, byłem w swoim salonie. Koło mnie siedział Kawka: twierdził, że wymawiałem dziwne słowa, chyba po arabsku. Podobno majaczyłem też o podziemnych tunelach i starożytnych bogach, czego zupełnie nie pamiętam. Powiedziałem mu, żeby się nie martwił, a chwilową niepoczytalność tłumaczyłem koszmarami, które mnie ostatnio męczyła.*

Niżej nabazgrane było tylko jedno słowo:

*Na'ghazu.*

Przewróciłem gorączkowo kilka kolejnych stron, na których Grodlewski opisywał wydarzenia w Helenowie, jakie miały miejsce wkrótce po impakcie. Nie czytywałem się w nie, bo też nie pisał o niczym, czego bym już nie wiedział.

## **15 sierpnia 2015 r.**

*W nocy znowu słyszałem głosy spod ziemi.*

*Tym razem nie wychodziłem na dwór; zamiast tego pognałem prosto do piwnicy. Tam padłem na podłogę i zacząłem nasłuchiwać. Teraz, kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że źle zrobiłem: język, którym te głosy mówiły, był całkiem obcy. Wydawał się raczej neutralny, ale... poruszał w moim umyśle jakąś niespokojną strunę, która kazała mi wziąć kilof i rozbić wylany w piwnicy beton. Obudziła się we mnie chęć przebicia się do rozciągających się pod ziemią jaskiń. Byłem i jestem pewny, że tam są. I chciałem się do nich dostać. Ale... po co?*

## **16 sierpnia 2015 r.**

*Obudziłem się potwornie zmęczony.*

*Śniły mi się dziwne kontynenty, skamieniałe miasta i przerażające potwory. Pierwszy raz koszmar był taki wyraźny. Widziałem w nim istotę, którą chyba nazywałem Na'ghazu. Nie pamiętam, jak wyglądała. Pamiętam tylko, że była olbrzymia.*

*Obudziłem się przepecony, a na piżamie miałem kawałki betonu. Na podłodze, obok łóżka leżał kilof. Był bardziej zużyty, niż zapamiętałem.*

*Ze ściśniętym gardłem zszedłem do piwnicy. Domyślałem się, co tam zastanę, ale i tak serce zatrzymało mi się na chwilę, kiedy zobaczyłem dziurę w podłodze, w której stała drabina. Chyba sam ją tam wstawiłem.*

*Co się ze mną dzieje?*

482

## **17 sierpnia 2015 r.**

*Dzisiaj spałem spokojnie, ale rano zaskoczył mnie jeszcze bardziej niż poprzedni.*

*W ogóle zaczynam się bać, że tracę rozum. Coraz częściej mam amnezję, coraz częściej tracę kontrolę nad tym, co robię. Uciekają mi całe godziny w ciągu dnia, a przecież nie jestem alkoholikiem i nie jestem chory psychicznie. Chociaż może... sam nie wiem.*

*Kiedy później chciałem zadzwonić do Nowocienia, okazało się, że w słuchawce nie ma sygnału. Na podwórku zorientowałem się, że kabel telefoniczny jest przecięty.*

*Boję się. Nie rozumiem, co się dzieje, ale mam niejasne przeczucie, że ma to związek z tunelami pod moim domem. Muszę jakoś przykryć wejście do nich...*

*Nic nie muszę.*

Przewróciłem kilka kolejnych stron. Dalej pismo stawało się coraz mniej staranne, coraz bardziej roztrzęsione. Powoli zaczynał do mnie docierać rozwój obłądu Grodlewskiego i groza, z jaką przyszło mu się zmierzyć.

## **6 września 2015 r.**

*Kolejny dzień.*

*Rano okazało się, że na podwórku leży mnóstwo elementów rusztowania, narzędzi i różnego rodzaju elektroniki. Nie pamiętam, żeby ktokolwiek w nocy przyjeżdżał do gospodarstwa, albo żebym coś zamawiał na wczesny ranek... A jeśli to Alzheimer? Jeżeli mój mózg zaczyna rdzewieć? Ludzie we wsi patrzą na mnie dziwnie, ostatnio nawet listonosz nie chciał ze mną rozmawiać, a przecież tyle lat się znamy... I Wandę lubił.*

*Boję się, strasznie się boję.*

*Od tygodnia zakupy robię wcześniej rano, żeby w drodze do sklepu spotkać jak najmniej osób. Wszyscy mają mnie za wariata, widzę to w ich spojrzeniach, ale nie potrafię sobie przypomnieć dlaczego. Piszę ten dziennik, żywię nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży, ale ciągle mam wrażenie, że staję się coraz bardziej samotny. Kiedy wieczorem kładę się do łóżka, upewniam się, że kłapa w podłodze jest zakryta pudłem. Nie wiem, co żyje w tych podziemiach, ale czuję, że to jakaś straszliwość. Moje koszmary zniekształca coś olbrzymiego, coś nie z tego świata, a raczej uwięziona w tym obiekcie tytaniczna kolumna oczu. Na'ghazu, przedwieczny bóg gwiazd. Pan starszych istot.*

*Co za brednie piszę. Jestem chory, muszę pojechać do miasta kupić leki.*

*Boże, żeby chociaż raz te głosy spod ziemi zostawiły mnie w spokoju...*

## **21 września 2015 r.**

*Maszynaria wydaje się być skończona.*

*I ja jestem skończony: te rzadkie przeblýski świadomości są jak tåk powietrza dla tonącego. Już tylko czasem, rzadko, odzyskuję przytomność umysłu. Siły starcza mi wtedy tylko na zaspokojenie głodu i ugaszenie pragnienia. Gdy wiem, co robię, patrzę na siebie w lustrze i smutno mi, gdy widzę tego schorowanego starca, jakim się stałem. Chodzę pochyłony, często słabną, w moim moczu pojawia się krew. Żołądek odmawia mi posłuszeństwa. I czuję, że coś w środku potwornie mi ciąży. Przegrywam walkę o siebie z czymś dużo starszym nie tyle ode mnie, ile od gatunku ludzkiego w ogóle.*

*Nie schodzę do tych tuneli, ale każdej nocy we śnie trafiam do komnaty Na'ghazu. Klęczę wtedy przed tym cholernym obeliskiem i przyjmuję kolejne zlecenia. Cokolwiek jest uspióne w tym monumencie, nie będzie spało przez wieki. Coraz częściej odnoszę wrażenie, że ten obelisk jest czymś w rodzaju skorupy, która ma hibernować ukrytą w środku istotę. I tylko się zastanawiam: co jeśli ów Na'ghazu się przebudzi?*

*Jestem na pewno ciężko chory, już nie tylko na umyśle, ale i na ciele. Nie jestem lekarzem: moje studia inżynieryjne z medycyną miały niewiele wspólnego. Archeologia jako hobby też nie pomaga. Wiem, że powoli zaczynam umierać, jak zresztą cała okolica. Drzewa poszarzały, trawa jest całkiem krucha. Helenów staje się pustynią. Obserwuję to już od dłuższego czasu. Powietrze jest suche, a temperatura wysoka.*

*Boże, może ktoś w porę zrozumie, czym jest to urządzenie...*

*Znowu zaczynam gasnąć. Napiszę za jakiś czas.*

## **6 października 2015 r.**

*Nie wolno mi zapomnieć! Maszyneria ma zostać zniszczona za wszelką cenę...! Jeśli jej nie zatrzymam, czeka nas koniec. Nie znam planów tej istoty, ale zdaje się, że zmiany w środowisku dodają jej siły. We śnie dowiedziałem się, że zabiła jednego z miejscowych, żeby przemienić go w Yimę. Pokazała mi, jakby powiedziała, że wybrała najsłabszego przedstawiciela gatunku, ułómnego na umyśle. Chyba miałem w ten*

sposób przekonać się o jej pokojowych zamiarach. Zresztą ciągle odno-  
szą wrażenie, że Na'ghazu próbuje mnie złamać do reszty. Nie poddam  
się. Myślę o Wandzie i ta myśl dodaje mi sił.

**31 października 2015 r.**

*Bożenieczmikośpomożesąwtunelach*

Przestałem czytać dziennik. Szybko przerzuciłem kilka kolejnych stron,  
pełnych obłąkańczych rysunków, bluźnierstw i nieznanych runów. To, co  
działo się z Grodlewskim przez ten czas, było czymś strasznym; ten nie-  
wielki zeszyt dawał pewne pojęcie o tragicznym losie starca.

Nie miałem jednak czasu na lekturę całości, przerzuciłem więc  
kartki, by dotrzeć do ostatniej daty.

**23 marca 2016 r.**

*Nie mogę zrozumieć nawet zła, z którym będzie musiał walczyć świat,  
kiedy Na'ghazu wyrwie się ze swojej klatki. Jak zrozumieć istnienie tak  
stare, że gatunek ludzki jest przy nim leśnymi mrówkami? Jutro już bę-  
dzie miał dość sił, żeby przebić się przez otaczającą go skorupę. I... co  
wtedy? Zmęczony wiekami pod ziemią wróci do gwiazd? A może nas  
wszystkich zniszczy?*

*Moja rola już się skończyła. Umieram. Coś rozrywa mi klatkę  
piersiową od środka, mózg zaczyna postrzegać rzeczywistość w innych  
wymiarach. To koniec. Niedługo stanę się jednym z nich. Będę się bronił  
przed tym tak długo, jak to możliwe, a wydaje mi się, że mam dość sił,  
żeby uszkodzić tę przeklętą maszynę. Muszę tylko poczekać do jutra,  
aż przyjdzie po mnie Yima. Będę musiał spróbować go zabić... Wydaje się  
niegroźny, ale chyba, gdy już zaatakuję, będę musiał walczyć na śmierć  
i życie.*

*Muszę czekać do jutra...*

*DEUS VULT!*

Dziennik wypadł mi z rąk i upadł z cichym szelestem na podłogę.

Wpatrywałem się weń bezmyślnie, czując, jak groza i determinacja ulatniają się ze mnie, ustępując miejsca pustce i rezygnacji. Stało się dokładnie to, co chyba najlepiej zdawał się rozumieć profesor Poławski. Przyszło mi wreszcie stanąć w obliczu czegoś, czego motywów nie potrafiłem zrozumieć. Napotkawszy archeologów w lesie, stanąłem ogłupiały między drzewami i wpatrywałem się w nich, nie rozumiejąc sensu ich pracy. I tylko w swojej ignorancji sądziłem, że jestem czymś inteligentnym; wbiegłem więc między nich, chcąc się lepiej poznać. Nie wiedziałem – bo skąd zwierzę może to wiedzieć? – że całkiem mnie zignorują, ewentualnie potraktują jako rodzaj ciekawostki.

W pewnej chwili poczułem, jak ziemia drży. Cały budynek zatrzęsł się nagle, a piekielna machina na zewnątrz przyspieszyła gwałtownie; wizgi i terkot stały się niewyobrażalnie głośne.

Wstałem i powolnym krokiem ruszyłem w kierunku zamkniętych drzwi wyjściowych. Musiałem wydostać się na podwórko, całe gospodarstwo drżało w fundamentach, gotowe rozpaść się w każdej chwili.

Po odsunięciu biurka drzwi ustąpiły bez problemu, a ja wyszedłem na zewnątrz.

Powietrze wydawało się przesiąknięte elektrycznością, ale teraz to nie miało znaczenia.

Spojrzałem w niebo.

Wyglądało to tak, jak podejrzewałem: zazwyczaj płaska, posrebrzana nocna mozaika zakrzywiła się, zmieniając firmament w trójwymiarową kopułę. W kopule tej jedne gwiazdy zdawały się być bliskie na wyciągnięcie ręki, inne zaś były równie odległe jak kraje Arabii. Całe gospodarstwo otoczyła zakrzywiona mapa kosmosu, której wystarczyło tylko dotknąć, by rozpocząć międzygwiazdne wojaże.

A pośrodku tego wszystkiego, z obłądną prędkością i upiornym wizgiem, pracowała maszyna obcych.

Trzęsienie ziemi nasiliło się: usłyszałem, jak dom zaczyna pękać, a ściany zapadają się do środka, grzebiąc pod gruzem zwłoki

Grodlewskiego. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że walący się budynek musiał zakryć także zejście do tuneli.

W tamtym strasznym momencie czułem się całkiem ogłupiony. Po prostu stałem porażony otaczającą mnie obcością i chłonąłem widok horroru. Gdyby teraz na podwórko wpadła jakaś zbłąkana sarna, pewnie nie potrafiłbym zachować się mądrzej od niej.

Powierzchnia za gospodarstwem eksplodowała, wyrzucając w nocne powietrze tony ziemi, kamieni i pyłu; chwilę później od powstałej szczeliny buchnęły znane mi już obrzydliwe opary, które szybko ogarnęły całe gospodarstwo. Towarzyszyły im nienawistne dźwięki, tak dalece nieludzkie, że przez krótką chwilę mój umysł groźnie balansował na granicy przytomności, którą ostatecznie – na moje nieszczęście – zachował. Wolałbym stracić świadomość, niż być świadkiem tego, co nastąpiło w finale tej przerażającej fantasmagorii.

Bo oto spod ziemi wynurzył się Na'ghazu.

*Obelisk* – pomyślałem. Tytaniczna kolumna miliona oczu. Przedwieczny półbóg, żywa wieża widzenia. Kształtem przypominał zwieńczony rogami cyklopowy ostrostup, u którego spodu rozwierały się i zamykały setki wypełnionych kłami paszczy. Pokrywała go miriada nie oczu, a fotoreceptorów pozostających w nieustannym ruchu, sięgających swoim wzrokiem daleko poza wszelkie znane człowiekowi horyzonty. Był ogromny, swoimi rozmiarami przekraczał wszystko, co dotychczas w życiu widziałem. I zdawał się ciągle rosnać. Jego wygląd napawał wstrętem: nawet w koszmarach nie widziałem czegoś równie ohydneho, czegoś, co przez sam swój wygląd stanowiłoby pogwałcenie podstawowych praw natury.

Dopiero widok tego monstrum uświadomił mi, jak małą i kruchą istotą jest człowiek. Popelniliśmy błąd, gdy szukaliśmy podobnych nam istot, sądząc, że i my będziemy postrzegani jako gatunek wysoko rozwinięty. Tymczasem wcale nie jest powiedziane, że będziemy tak traktowani. Więcej nawet: wciąż bliżej nam do mrówek, których stada lgną do biwaku w lesie, aniżeli do tych potężnych, starożytnych półbogów. Nie potrafilibyśmy i jeszcze długo nie będziemy potrafili odgadnąć celu,

w jakim Na'ghazu i jemu podobni wydrążyli na całej planecie tunele, jak więc mielibyśmy w ogóle porozumieć się z tymi przedwiecznymi bytami?

Upadłem na kolana, szlochając bezradnie. Uświadomiłem sobie, że modłę się w jakimś dziwnym języku, którego w życiu nie słyszałem, a który mimo to wydawałem się doskonale rozumieć:

– *Na'ghazu annitisar wasalae! Na'ghazu annitisar wasalae! Ia!*

Przedwieczna kolumna oczu poruszyła się, ale nawet nie ludziłem się, że zwróciła na mnie uwagę. Patrzyła po prostu we wszystkie strony, pulsując gwałtownie. W końcu – a zdawało się to trwać całą wieczność – rozpostarła swoje szczątkowe skrzydła, jakby rozciągając je po długim śnie, i sięgnęła w kierunku otaczających nas gwiazd. Dotykając kopuły, poruszyła jej powierzchnię, wywołując na niej kręgi podobne tym, jakie tworzy kropla deszczu, wpadłszy do kałuży.

Wtedy też trójwymiarowy firmament zaczął obracać się wokół nas, a zawarte w nim ciała niebieskie rozmywały się w długie, srebrne pasy. Wszystko to nabierało ciągle tempa i przyspieszało, wywierając wrażenie pędu, aż w końcu otoczyła nas zwarta, gwieździsta ściana. Z początku nie wydawała żadnego dźwięku, ale kiedy Na'ghazu zbliżył się do niej, usłyszałem potępieńczy skowyt światów, do których owe plugawe bóstwo zmierzało. W niemym szoku obserwowałem, jak sylwetka Istoty zbliża się do wirującej światłości; byłem jak sarna pochwycona nocą na drodze przez światła samochodu. Dotarło do mnie, że ta zachwycająca srebrzysta kurtyna nie jest niczym wspaniałym, ale przerażającym; jak zresztą światy zamieszkiwane przez tak okropne monstra mogłyby być zachwycające?

Na'ghazu pochylił całą swoją plugawą sylwetkę i zanurzył się w otaczającym nas wirze. Obrzydliwa kolumna oczu wydłużyła się, rozciągając na całą długość wirującego firmamentu, na sam koniec odrywając wstrętny spód od ziemi. Ujrzałem wtedy, że największy z otworów gębowych nie mieścił się wcale na jego boku...

Stwór wirował wokół mnie razem z gwiazdami, poruszając się między nimi z taką łatwością, z jaką dorosły człowiek przekracza próg swojego domu. Chwilę później potępieńczy skowyt urwał się, otaczająca



nas kopała skurczyła do niewielkich rozmiarów, a wszystkim wokół targnęła implozja.

## 11

Przytomność odzyskałem nad ranem.

Leżałem na środku podwórka, uwalany błotem i przemoczony przez padający deszcz. Chłód porannego przymrozka przenikał przez moje ubranie, wbijając w ciało setki igieł. Chmury kryjące firmament rozjaśniała szarość brzasku zwiastująca początek nowego dnia. Dnia, który tak naprawdę nigdy dla mnie nie nastał: już na zawsze jakaś część mnie miała pozostać uwięziona w owej szalonej, wirującej kopule razem z kolumną oczu Na'ghazu.

Po chwili spędzonej w całkowitym bezruchu poczułem, jak targa mną dreszcz, a czucie w kończynach zaczyna powoli wracać. Przekręciłem się więc na bok i spojrzałem na gospodarstwo, czy raczej to, co z niego zostało.

Stodoła i dom zapadły się pod ziemię, grzebiąc tym samym wszelkie ślady po obrzydliwie zdeformowanym Grodlewskim. Nie wiedziałem, czy tunele również się zawaliły, ale nie zajmowało mnie to teraz. Byłem wyczerpany.

Maszynaria zamieniła się w stopioną masę metalowych przewodów, prętów i rurek. Nigdzie nie widziałem sterującego nią plugawego Yimy, którego spotkałem wczoraj. Zapewne, jako wierny sługa, wyruszył w podróż wraz z Na'ghazu. Zresztą – czemu miałby zostać na Ziemi? W swojej poprzedniej, ludzkiej formie był tylko upośledzonym chłopakiem. Chciałbym powiedzieć, że może spotkał go lepszy los, ale przypomniałem sobie wizję przekłętych przez przedwiecznego gwiazd... Nie, nie potrafiłem wierzyć w lepsze życie tamtego biedaka; zapewne już po kres swoich dni będzie tylko pełzającą kreaturą przeznaczoną do usługiwania wyższej formie istnienia.

Do tego... okolica umarła.

Rośliny do reszty straciły swój kolor, a cały Helenów stał się rozległą pustynią pyłu. Jeszcze tylko pobliskie pole, które graniczyło

z Kaniami, zachowało swój charakter; żerujące na nim ptaki jakby nie zauważyły przygnębiających zmian wokół nich.

Kiedy z trudem podnosiłem się na nogi, na podwórko – czy raczej na to, co kiedyś było podwórkiem – wjeżdżał pierwszy policyjny samochód. Za nim jechał drugi i kolejny. Żaden nie włączył sygnału, ale doskonale wiedziałem, w jakim celu tu przyjechali...

W jakim celu przyjechali tu dopiero teraz.

Powoli ruszyłem w ich kierunku. W lewej kostce dał o sobie znać ostry ból. Kulałem. Machnąłem ręką w kierunku pierwszego policjanta, który wysiadł z radiowozu, i przewróciłem się. Widząc to, szybko ruszył w moją stronę.

– Potrzebuję pomocy – wybełkotałem. – Na'ghazu... To, co się tutaj działo...

– Nie twoja sprawa, przyjezdny – warknął policjant, wyjmując pałkę.

Zanim pozbawił mnie przytomności, zdążyłem zauważyć, że zamiast zarostu miał szpecącą brodę chitynowych łusek.

## 12

Wkrótce potem trafiłem tutaj.

Wmawiali mi, że jestem obłąkany, że postradałem zmysły. Kiedy rzucałem się, krzycząc, iż nie to nieprawda, bili mnie, jakby chcąc wytłuc z mojej pamięci straszne obrazy. Głupcy! Jak można pozbyć się wspomnienia tego ohydnego, ociekającego szlamem obelisku? Tej żywej kolumny oczu?

Biedni idioci próbowali wmówić mi, że doszło do wybuchu podziemnego złoża gazu, a ja nieszczęśliwym trafem znajdowałem się w okolicy. Akurat! Zapytałem o Grodlewskiego, ale lekarze tylko rozkładali ręce w przeproszającym geście i mówili, że niestety nie mają żadnych potwierdzonych wiadomości na jego temat. Kontakt z Poławskim odmówiono mi wprost.

Chciałem też zobaczyć się z tatą, prosiłem o adwokata i rzekomo te prośby zostały wysłuchane. Niestety ojciec podobno nie był

zainteresowany odwiedzeniem syna, zaś żaden adwokat nie był gotów zająć się moją sprawą. Kłamstwo, wszystko to wredne kłamstwo!

Czasem daję mi więcej swobody. Mogę wtedy wyjść na zewnątrz i pospacerować między drzewami – rzecz jasna, pod czujnym okiem strażników. Jest to pewne pocieszenie – kwiecień tego roku okazał się nad wyraz przyjemny. Drzewa wyjątkowo wcześniej przyprószyła zieleń, a kwiaty urosły niepospolicie wielkie i żywe. Dzięki nim zapominam czasem o przynębiającym krajobrazie martwego Helenowa.

Ale nawet moje spacerunki odbywają się w samotności. Nie mogę rozmawiać z innymi osadzonymi, karzą mnie też za każdym razem, gdy zaczynam rysować. Ogarnia mnie wtedy jakiś szal: w przeblaskach artystycznego geniuszu tworzę tak niesamowite figury geometryczne, że samo patrzenie na nie napawa moich lekarzy przerażeniem. Nie mogą znieść zwłaszcza pewnego osobliwego ostrosłupa wypełnionego kulistymi kształtami; mówią, że powinienem zaniechać tworzenia takich obrazów. Widzę wtedy, że doskonale wiedzą, co siedzi w mojej głowie: owa straszliwa kolumna oczu, nienawistny przedwieczny Na'ghazu. Uśmiecham się wówczas szyderczo i opowiadam im moje straszliwe bluźnierstwa, opowiadam tak długo, aż siłą podadzą mi środki uspokajające.

Przyznaję, że nie wyszedłem cało ze spotkania z tym obcym intelektem. Zdarza mi się – ale podkreślam, bardzo rzadko – ślinić bezmyślnie, chichotać albo płakać. Teraz już wiem, że głupotą było zakładać, iż będę w stanie porozumieć się z obcym jak równy z równym. My, ludzie tak zwanego Zachodu, jesteśmy ogarnięci manią pysznego uniwersalizmu. Przekonani o własnej wyższości kulturowej i potędze sięgamy ku gwiazdom, oczekując, że zostaniemy tam przyjęci jak równi. Tymczasem być może dobrze się stało, że nasz świat jest tak samotny w kosmosie. Dalej, poza granicami tego, co znane, rozciąga się bezmiar wiedzy tak ogromnej, że w naszym mniemaniu jest wręcz szalona. To wiedza, na którą nie jesteśmy gotowi.

Czasem budzę się w nocy spocony. Śnię o cyklopowych miastach przypominających pochwycone w granit fale i o zamieszkujących

je istotach nie do opisania. Ale nadeszła wreszcie pora to zakończyć. Wczoraj podczas spaceru znalazłem resztki szklanej butelki, najpewniej przerzuconej przez płot przez jakiegoś prymitywa... Choć nie wykluczam, że była to robota lekarzy. Może wiedzieli, do czego zmierzam?

Kończę już. Miałem nadzieję, że spisanie tej strasznej historii na papierze przyniesie chociaż odrobinę ulgi. Niestety nadal, kiedy zamykam oczy, widzę te ciągnące się w nieskończoność tunele. Widzę, jak światło w nich załamuje się na przekór fizyce, widzę wreszcie ohydłą transformację Grodlewskiego. Moje uszy wciąż wypełnia ta okrutna modlitwa: *Na'ghazu annitisar wasalae!* Nie potrafię już cieszyć się słonecznym porankiem, nie odnajduję przyjemności w spoglądaniu na błękit nieba, nie cieszy mnie świergot ptaków. Stałem bowiem przed perspektywami tak potwornymi, że chyba najlepiej będzie dla mnie, jeżeli sam dokonam tego, co i tak mnie czeka. Boli w tym wszystkim małość mojego żywota, cóż bowiem czeka mnie po śmierci, jeżeli w kosmosie żyją tak piekielne byty? Modlę się, żeby w tym bezkresie ciemności odnalazł mnie jakiś bóg i ukoił znękaną duszę. Testament kładę na poduszce. Oznajmiam, że byłem w pełni przytomny na umyśle w trakcie jego sporządzania.

Idę do wanny. Mam nadzieję, że woda będzie wystarczająco gorąca, żeby złagodzić ból cięcia.

### **Tomasz Krzywik**

Urodzony w 1993 roku w Toronto. Miłośnik weird fiction, fantastyki i kuchni swojego brata. Zadeklarowany fan H.P. Lovecrafta. W swojej twórczości koncentruje się przede wszystkim na szeroko pojmowanym horrorze, chociaż kiedyś chciałby napisać też fantasy; współautor bardzo ciepło przyjętej antologii „Słowiańskie koszmary”, publikował też w kwartalniku „Okolica Strachu” (1/2017) oraz w magazynie „Histeria” (nr. XIV i nr. XV). Związany od najmłodszych lat z forum literackim Weryfikatorium oraz wesołą społecznością

Pessimus.pl. W opowiadaniach często porusza problemy konfliktu jednostki z ogromem wszechświata, niemożliwości poznania jego prawdziwej istoty, a całości stara się nadać melancholijny wydźwięk przemijającego czasu. Sama radość.